

Stephen Dobyns

Świątynia martwych dziewcząt



**To najbardziej fascynująca i najbardziej
przerazająca książka, jaką ostatnio
przeczytałem.**

Stephen King

W małym miasteczku Aurelius od pewnego czasu znikają bez śladu kilkunastoletnie dziewczynki. Intensywne śledztwo nie przynosi rezultatu, a co gorsza, tajemniczym zniknięciom towarzyszą również inne, alarmujące wydarzenia: morderstwa, napady, akty wandalizmu i agresji. Wiadomo na pewno, że sprawca uprowadzeń dzieci jest mieszkańcem miasteczka. Narastająca stopniowo atmosfera podejrzliwości sprawia, że ludzie o nieposzlakowanej do tej pory opinii, powszechnie szanowani i lubiani, ujawniają ciemne strony swych charakterów. Nikt nie powinien spać spokojnie, każdy bowiem może zostać oskarżony przez znajomych, sąsiadów a nawet najbliższą rodzinę.

Doskonały thriller psychologiczny!

Cena 33,90 zł

ISBN 83-7319-124-0



9 788373 191242 >

www.muza.com.pl

Stephen Dobyns

Świątynia martwych dziewcząt

przełożył
Arkadiusz Nakoniecznik

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Tytuł oryginału:

The Church of Dead Girls

Projekt okładki:

Tadeusz Kazubek

Redakcja:

Ewa Woźniakowska

Redakcja techniczna:

Zbigniew Katafiasz

Korekta: Magdalena Szroeder

© 1997 by Stephen Dobyns. All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2002

© for the Polish translation by Arkadiusz Nakoniecznik

ISBN 83-7319-124-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2002

Toby'emu i Catherine Wolffom

Prolog

Oto jak wyglądały: trzy martwe dziewczęta siedzące na trzech krzesłach z wysokimi prostymi oparciami. Pośrodku czternastolatka, wyższa od pozostałych o pół głowy, trzynastolatki po jej lewej i prawej stronie. Na piersi każdej z nich krzyżowały się linki prowadzące w górę nad ramię, w dół wokół talii i związane za plecami. Wszystkie trzy były bose, ich kostki przywiązano do nóg krzesła. Więzy były jednak dość luźne, jakby miały za zadanie nie tyle unieruchomić żywego więźnia, ile raczej utrzymać nieboszczyka w pozycji siedzącej. Oznaczało to, że dziewczęta zostały związane już po śmierci.

Nie widziałem tego na własne oczy, oglądałem tylko fotografie, które pokazał mi mój kuzyn. Było ich mnóstwo. Podobno policja sfilmowała też strych kamerą wideo, ale tego filmu nie udało mi się obejrzeć.

Krzesła stały w odległości około pół metra od siebie. Ze względu na suche powietrze dziewczęta wyglądały staro, w niczym nie przypominały nastolatek, raczej wychudzone, kościste, co najmniej siedemdziesięcioletnie kobiety. Klimatyzator działający non stop przez całą dobę, dzień za dniem, wysysał wilgoć z ich ciał; były zasuszone, ich skóra przypominała pomarszczony brązowy papier. Proces ten był zaawansowany w różnym stopniu, ponieważ ofiary ginęły w sporych odstępach czasu:

zamordowana najpóźniej wyglądała najmłodziej. Głowy miały przechylone na bok lub do tyłu. Jasne włosy środkowej zwisały jej przed twarzą długimi pasmami, włosy pozostałych były kasztanowe. Wszystkim trzem sięgały mniej więcej do połowy pleców - być może coś to oznaczało. Nadawały im dziewiczy wygląd, chociaż teraz, tak bardzo postarzałe, dziewczęta przypominały raczej mniszki lub stare panny, ich włosy zaś zdążyła pokryć warstwa kurzu. Co najmniej dwie z nich sprawiały wrażenie wychudzonych, jakby przed śmiercią były głodzone - chociaż mogło to również stanowić efekt odwodnienia. Wszelka żywotność została wyszana z ich skóry. Policzki zapadły się zaskakująco głęboko. Dziąsła zsunęły się z zębów.

Co miały na sobie? Nie ubrania, w których je porwano, tylko uszyte domowym sposobem aksamitne szaty. Środkowa - ciemnozieloną, z długimi rękawami, sięgającą prawie kostek, ta po prawej - ciemnoczerwoną, ta po lewej - błękitną. Kolory to jednak nie wszystko. Przyszyte, przymocowane szpilkami, a nawet przyklejone, na sukniach lśniły gwiazdy, księżyce i słońca z białego i żółtego połyskującego materiału. Również zwierzęta, a raczej ich sylwetki: psy i niedźwiedzie, konie i ryby, jastrzębie i gołębie. Także cyfry - piątki, siódemki, czwórki - z błyszczącej folii, do kupienia w każdym sklepie papierniczym. Trudno było doszukać się jakiegoś wzoru albo schematu w ich ułożeniu. Do tego tania sztuczna biżuteria, przypięta do materiału albo udrapowana na sukniach: bransolety, naszyjniki, kolczyki. Łącznie było tego tyle, że z trudem dało się rozpoznać kolor szat.

Czy wspominałem o słowach? Na niektórych sylwetkach i figurach widniały zagadkowe, pozbawione sensu zbitki liter: „CK”, „NT”, „TCH” i „FIL”. Fragmenty słów, ich początki i zakończenia. Co mogły oznaczać? Do sukien przyczepiono także miedziane dzwoneczki, lusterka, kawałki metalu oraz różnobarwne szklane paciorki.

Wszystkie te litery, kształty, cyfry i świecidełka najprawdopodobniej zawieszono na sukniach już po tym, jak dziewczęta zostały przywiązane do krzeseł, ponieważ niczego nie było na plecach i pod kościstymi pośladkami. Należało przypuszczać, że dziewczęta ozdobiono w ten sposób już po śmierci, trwało zaś to prawdopodobnie wiele dni, gdyż praca została wykonana niezwykle starannie.

A krzesła? Jak już wspomniałem, miały wysokie proste oparcia, nie pochodziły jednak ze sklepu. Zostały zbite niezbyt wprawną ręką z kantówki, ale można się było o tym przekonać dopiero po dokładnych oględzinach, ponieważ niemal całe pokryte były blaszkami wyciętymi z puszek po napojach oraz zielonymi, żółtymi, przezroczystymi i brązowymi dnami butelek, przybitymi lub przytrzymanymi przez zakrzywione gwoździe.

Krzesła lśniły, iskrzyły się, zdawały się niemal patrzeć na tego, kto im się przyglądał. Rozbłyskujące feerią barw sprawiały wrażenie, jakby się poruszały, może nawet agresywnie. Ich nogi owinięto folią aluminiową, różnobarwne kółka połyskiwały na niej jeszcze bardziej; tego zabiegu również dokonano już po tym, jak dziewczęta znalazły się na swoich miejscach, tam bowiem, gdzie ich ciała stykały się z krzesłami, pozostało nagie drewno.

Jak wyglądał strych? Było to obszerne pomieszczenie pod dwuspadowym dachem. W najwyższej, środkowej części mogło mieć jakieś trzy i pół metra wysokości, z boków zaś najwyżej po sześćdziesiąt centymetrów. Klimatyzator zainstalowano przy świetliku blisko szczytu dachu. Nie widziałem całego wnętrza, ale bez trudu odtworzyłem jego wygląd i rozmiary na podstawie fotografii. Między belkami nośnymi tu i ówdzie zwisała błyszcząca folia izolacyjna, do samych belek zaś przybito niezliczoną liczbę cienkich pasków folii aluminiowej. Przy działającym klimatyzatorze paski te przypuszczalnie drżały i falowały lekko. Jakże to wszystko musiało lśnić i migotać w blasku świec!

Właśnie: były jeszcze świece. Wiele z nich całkiem się wypaliło, w ich miejsce jednak stawiano nowe, z czego wynikało, że ten, kto je zapalał,

często przychodził na strych. Na zdjęciach świece nie płonęły, trzeba więc było sobie wyobrazić, jak ich pełgające ogniki odbijają się w folii, szkiełkach i blaszkach, kolorowych szklanych paciorkach. Jak żywe, jak rozedrgane musiało być to pomieszczenie w powielonym stokrotnie, migotliwym blasku. Ściany, krzesła, stroje: świetlna rozmowa, eklezja-styczne rozjaśnienie. I jakie cuda musiało to migotanie wyczyniać z twarzami dziewcząt: roztańczone cienie nadawały im pozory ruchu, sprawiały wrażenie, jakby dziewczęta wciąż były żywe, jakby wcale nie umarły.

Wszystko to jednak trzeba sobie wyobrazić. Wiem na pewno, że policjanci nie zapalili świec. Zrobili zdjęcia, zabrali ciała i zdemontowali dekoracje. Nie mam pojęcia, czy zostały następnie zniszczone, czy wciąż są gdzieś przechowywane. Można by sobie wyobrazić, jak jakiś pozbawiony skrupułów osobnik wykrada je, a następnie pokazuje za opłatą tym, którzy chcieliby je oglądać. Może nawet usadowiłby na krzesłach manekiny w aksamitnych sukniach. Ekspozycja nosiłaby tytuł „Świątynia martwych dziewcząt” albo „Jama potwora”.

Bez wątpienia ten, kto zamordował te dziewczynki, był potworem, ale czyż nie żył wśród nas? Miasteczko nie jest duże. Ten człowiek bywał tu i tam, prowadził interesy, zawierał znajomości, nawet przyjaźnie. Nikt, patrząc na niego, nie pomyślał: oto potwór! Chyba to właśnie było najbardziej niepokojące, że ów człowiek w żaden sposób nie rzucał się w oczy, albo że nikt z nas nie wykazał się wystarczającą czujnością, by dostrzec oznaki, jakiegokolwiek by one były. No bo czy to możliwe, żeby takie zło i potworność pozostały całkowicie niezauważalne? A jednak człowiek ten żył w naszej społeczności. Jak sądzicie, w jaki sposób wpłynęło to na nasze wzajemne stosunki, nawet później, już po ujawnieniu tego, co mieściło się na strychu? Skoro jeden z nas okazał się zdolny do zachowania w tajemnicy tak strasznego sekretu, a przede wszystkim do popełnienia tak strasznego czynu, to co sądzić o pozostałych? Jakie były

ich tajemnice? I czy patrząc na mnie, zastanawiali się nad tym samym? Oczywiście, że tak.

Trzy martwe dziewczęta na trzech krzesłach, podtrzymywane linkami, z przechylonymi głowami i papierową skórą. Miały lekko otwarte usta i ściągnięte wargi. Można było bez trudu dostrzec ich małe zęby, wyobrazić sobie wyschnięte języki, czarną pustkę wypełniającą milczące gardła. Te zęby również lśniły w blasku świec, podobnie jak oczy ukryte za półprzymkniętymi powiekami. Ich bose stopy na drewnianej podłodze wyglądały jak szpony, takie były brązowe i zasuszone.

To jednak jeszcze nie wszystko. Brakowało im lewych rąk. Każdej dziewczynce ucięto w nadgarstku lewą rękę. Kości były doskonale widoczne. One też błyszczały. Na zdjęciach były zaskakująco mlecznobiałe. Skóra i ciało cofnęły się, odsłaniając okrągłe białe zakończenia. Ich widok przywiódł mi na myśl oczy - ślepe oczy, bo przecież takie kości nigdy niczego nie widziały.

A brakujące ręce? Nie znaleziono ich ani na strychu, ani w domu.

Część pierwsza

1

Później wszyscy twierdzili, że zaczęło się od zniknięcia pierwszej dziewczynki, w rzeczywistości jednak zaczęło się wcześniej. Okropne wydarzenia prawie zawsze poprzedza ciąg pozornie niezwiązanych ze sobą wypadków i dopiero po fakcie można stwierdzić, jak wiele miały one ze sobą wspólnego. Weźmy na przykład człowieka, który poderżnął sobie gardło. Czyż anatomopatolog nie stwierdza podczas sekcji, że na szyi denata znajduje się kilka płytkich nacięć, jakby zmarły starał się wcześniej przekonać, jak bardzo będzie bolało? W przypadku naszego miasteczka, jeszcze przed zniknięciem pierwszej dziewczynki, ponad wszelką wątpliwość doszło do kilku zdarzeń będących odpowiednikami takich próbnych nacięć nad żyłą szyjną.

Na przykład we wtorkowy poranek na początku września, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, na zewnętrznym parapecie okna sali lekcyjnej siódmej klasy w Albert Knox Consolidated School znaleziono bombę. Wyglądała jak trzy laski dynamitu obwiązane srebrzystą taśmą. Dwa zielone przewody łączyły je z leżącą na trawie papierową torbą. Jeden z uczniów pokazał znalezisko pani Hicks, nauczycielce angielskiego, ta zaś podniosła alarm. W naszej szkole, podobnie jak w innych, zdarzają się fałszywe alarmy bombowe, na szczęście nigdy żadnej nie znaleziono. Oczywiście odwołuje się zajęcia, zarządza ewakuację, wśród uczniów natomiast panuje całkowicie bez troska atmosfera, kiedy śmiejąc się i przekrzykując, opuszczają budynek.

Tego wrześniowego ranka wiadomość o znalezieniu prawdziwej bomby rozeszła się lotem błyskawicy. Uczniów ogarnął lęk.

Ósmoklasistka Sarah Phelps została popchnięta i przewróciła się na schodach, kilkoro innych również zostało poturbowanych. Opuszczaliśmy budynek w popłochu. Najwięksi nauczyciele służbiści, tacy jak Lou Hendricks i Sandra Petoski, zdołali zachować spokój, innym jednak niezbyt się to udało, w niektórych klasach zaś - na przykład w klasie pani Hicks - po prostu zapanowała panika. Pani Hicks jest nerwową, łatwo ulegającą ekscytacji kobietą, nie należało więc się chyba dziwić, iż skwapliwie wykorzystała okazję, by poekscytować się czymś autentycznym.

Szkołę zamknięto, wszyscy zgromadzili się na parking. Zaprowadziłem tam kilkoro uczniów z dziesiątej klasy, których uczyłem biologii, ale większość moich podopiecznych gdzieś się rozpierzchła. Harry Martini, nasz dyrektor, poszedł obejrzeć bombę i wrócił biegiem. Na jego białej koszuli z krótkimi rękawami pojawiły się pod pachami półokrągłe plamy potu. Harry jest dość korpulentnym człowiekiem, bieg zaś wiąże się ze sporym wysiłkiem. Przegonił nas w najdalszą część parkingu i na rozmiękle boiska. Prawie sześciuset uczniów to spory tłum; na szczęście nie padało.

Ryan Tavich, od niedawna porucznik, był pierwszym policjantem, który zjawił się na miejscu. Wkrótce potem nadjechały trzy radiowozy. Ryan objął dowodzenie. Był po cywilnemu - w szarym garniturze, jeśli dobrze sobie przypominam - na głowie miał tweedową czapkę. Funkcjonariusze otoczyli szkołę taśmami, potem zaś wszyscy czekaliśmy na przybycie stacjonującego w Potterville oddziału saperów z policji stanowej. Uczniowie kręcili się niespokojnie, a kiedy okazało się, że tego dnia lekcji już nie będzie, ci zmotoryzowani odjechali, zabierając ze sobą kolegów. Większość jednak została, by przekonać się na własne oczy, czy dojdzie do eksplozji.

Obserwowałem przebieg wydarzeń z perspektywy pogodnej ignorancji. Nie zaginęła jeszcze ani jedna dziewczynka, miasto stanowiło jakąś całość, a burmistrz miał pełne prawo mówić o wspólnocie mieszkańców.

Teraz, spoglądając na tamto zdarzenie przez filtr innych zaszczości, dostrzegam kruchość tam, gdzie wcześniej widziałem elastyczność, i ulotność tam, gdzie wtedy widziałem stałość. Ranek był ciepły, liście zaczęły żółknąć dopiero na kilku klonach, w dębach rosnących za boiskiem do baseballu krakały wrony. Niebo było tak soczyście błękitne, jak bywa wyłącznie wczesną jesienią, goniły się po nim tylko dwa lub trzy niewielkie obłoczki. Szkoła była usytuowana na północnych obrzeżach miasta; nad wierzchołkami drzew wznosiły się wieża kościoła św. Marii oraz czerwony dach trzypiętrowego Weber Building, najwyższej budowli w mieście. Z jednego z pobliskich domów wypadł golden retriever i biegał wśród uczniów, przystając tylko po to, by dać się podrapać za uszami i poklepać po grzbiecie.

Widzę ich wszystkich, jak tam stoją: Meg Shiller o długich kasztanowych włosach, pogrążoną w rozmowie z nieśmiałym Bobbym Lucasem, którego ściągnąłem do kółka szachowego; Bonnie McBride jak zwykle z naręczem książek; Hillary Debois z futerałem na skrzypce; Sharon Malloy wciąż rozczesującą palcami jasne włosy. Oczywiście nie pamiętałem nazwisk wszystkich uczniów, czułem się jednak tak, jakbym znał je wszystkie. Z rodzicami niektórych spośród tych dzieciaków chodziłem przecież do szkoły. Kilku chłopców zaczęło grać w piłkę, dwóch innych rzucało latającym talerzem. Nauczyciele zerkali na nich niecierpliwie, jakby chcieli dać im do zrozumienia, że nie znaleźli się tu dla zabawy.

We wrześniu uczniowie lepiej się ubierają. Mają nowe stroje, nowe obuwie, nowe fryzury. We wrześniu nawet nauczyciele zdają się spoglądać z nadzieją w przyszłość. Harry Martini przechadzał się nerwowo między uczniami a policjantami, wyznaczając własną barierę. Obawiam się, że nigdy go nie lubiłem, wtedy zaś na jego widok nasunęło mi się porównanie z kołyszącą się na boki gęsią pchającą przed sobą roztrzęsione brzuszysko. Nauczyciele przypominali zaniepokojone kwoki.

Szczerze mówiąc, nie po raz pierwszy nasunęły mi się takie skojarzenia.

Policijni saperzy zjawili się po trzydziestu minutach, kiedy autobusy rozwiozły już prawie wszystkich uczniów do domów. Wielu chciało zostać, Harry Martini jednak nie zgodził się na to. Leżące na parapecie znalezisko wyglądało dość groźnie, nikt nie był w stanie określić, jak wielkich zniszczeń może dokonać. Jednopiętrowy budynek szkoły wzniesiono w połowie lat pięćdziesiątych z żółtych cegieł - nietrudno było wyobrazić sobie, jak te cegły oraz ich odłamki świszczą w powietrzu niczym szrapnele. Poza tym, ma się rozumieć, Harry panicznie bał się zrobić coś, co mogłoby się nie spodobać radzie szkolnej.

Pomimo jego nieprzychylnych spojrzeń postanowiłem zostać i obserwować rozwój wypadków. Z miejsca, w którym stałem, doskonale widziałem niewielki srebrzysty kształt oparty o szybę. W moje ślady poszło około dwudziestu nauczycieli, parę osób przyjechało z miasta. Franklin Moore z tygodnika „Independent” przeprowadził wywiad z Ryanem Tavichem. Byli bliskimi przyjaciółmi, w czwartkowe wieczory grywali razem w koszykówkę w szkolnej sali gimnastycznej, często wspólnie spędzali weekendy. Obaj mieli bardzo poważne miny. Ryan co chwila zdejmował czapkę i przesuwiał dłonią po krótkich ciemnych włosach. Trzydziestokilkuletni Franklin był wysoki i szczupły. Rozmawiał również z panią Hicks, która mówiła bez przerwy: „Mamy szczęście, że żyjemy!”. Powtórzyła to chyba z tuzin razy, jakby uczyła się roli na pamięć.

Córka Franklina, Sadie, była moją uczennicą z siódmej klasy: ładna, kasztanowowłosa, długonoga dziewczynka poruszająca się jak tancerka. Wróciła szkolnym autobusem do miasta, zanim zjawił się ojciec. Jej matka zmarła dwa lata wcześniej na raka piersi, przypuszczałem więc, że Sadie, tak jak większość uczniów, których oboje rodzice pracowali, wróciła do pustego domu. Niespełna miesiąc później stało się nie do pomyślenia, żeby jakieś dziecko siedziało samo w domu.

Sądząc po zachowaniu kapitana z oddziału policji stanowej, bomba mogła eksplodować w każdej chwili. Funkcjonariusze odsunęli taśmy zabezpieczające jeszcze dalej od budynku, spychając nas na boisko. Choć operacją teoretycznie wciąż dowodził Ryan Tavich, kapitan od razu przejął rządy. Nie słyszałem, o czym rozmawiali, miał jednak bardzo marsową minę, jakby Ryan zrobił coś nie tak jak należy, co oczywiście było nieprawdą.

Z parkingu usunięto również wszystkie samochody, by nie ucierpiały w razie wybuchu. Dwaj saperzy z oddziału specjalnego mieli na sobie grube kombinezony i srebrzyste hełmy, upodabniające ich do kosmonautów. Najpierw bardzo długo i uważnie przyglądali się bombie przez lornetki, potem zbliżyli się do niej z wielką ostrożnością, niosąc coś przypominającego wielki biały pojemnik na śmieci.

Wstrzymaliśmy oddechy. Prawdę mówiąc, większość z nas spodziewała się, że tamci dwaj lada chwila zostaną rozerwani na strzępy. Jeden z nich podszedł bardzo, bardzo blisko, zajrzał do torby, przez kilka sekund stał nieruchomo, po czym niecierpliwie machnął ręką na partnera, który zbliżył się i również tam zajrzał. Nawet z daleka bez trudu dało się wyczuć ich ulgę. W torbie leżała cegła owinięta końcówkami przewodów. Mimo to mężczyźni z wielką ostrożnością umieścili w pojemniku dynamit - albo to, co wyglądało jak dynamit - wstawili pojemnik do również białej, zabudowanej ciężarówki i odjechali.

Policjanci przystąpili do zwijania taśm, a Franklin Moore przeprowadził wywiad z kapitanem. Później dowiedzieliśmy się, że dynamit, owszem, był prawdziwy, brakowało jednak zapalnika. Bomba miała wyłącznie przstraszyć, a nie zabić lub zranić. Jeszcze tego samego popołudnia Phil Schmidt, szef naszej miejskiej policji, przyznał, że to już druga bomba, jaką znaleziono w ciągu kilku dni. Pierwsza została podłożona w szkole podstawowej. Ta niepokojąca historia zwróciła na nasze miasteczko uwagę mediów. Przyjechały ekipy telewizyjne z Syracuse i Utiki. Wszyscy się zastanawiali, gdzie zostanie podłożony kolejny ładunek.

Policja stanowa oddelegowała do miasta jednego funkcjonariusza, nasz komendant wzmocnił zaś siły patrolowe dodatkowym policjantem.

Oczywiście wiele dyskutowano o tym, kto mógł podkładać bomby. Pojedyncza osoba czy grupa? Dla głupiego żartu czy z jakichś poważniejszych pobudek? Na przykład baptyści z Kościoła Ebenezera otwarcie domagali się powrotu modlitwy do szkół. Słyszałem ludzi zastanawiających się głośno, czy to przypadkiem nie ktoś z nich uznał za stosowne przekazać ostrzeżenia. Krążyło wiele takich teorii. Rozgniewany rodzic? Nauczyciel lub inny pracownik, który został zwolniony? Domysły te uczyniły znacznie więcej szkód niż same bomby, dowodząc, że, zależnie od okoliczności, oskarżycielski palec może zostać wymierzony w dowolnym kierunku. Biorąc pod uwagę to, co miało się wkrótce wydarzyć, nie była to wcale błahostka.

Nasze miasteczko, Aurelius, liczy siedem tysięcy mieszkańców, czyli o dwa tysiące mniej niż na przełomie stuleci. Założono je w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym na gruntach przekazanych weteranom Wojny Wyzwoleńczej. Potterville, siedziba hrabstwa, leży niecałe dwadzieścia kilometrów na południe, najbliższym dużym miastem jest Utica, ponad sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód. Zanim zbudowano kanał Erie, Aurelius leżało zaledwie o włos na południe od głównej drogi prowadzącej na zachód i aż do końca architektonicznego neoklasycyzmu nosiło nazwę Loomis Corners. Nowa nazwa pojawiła się w roku tysiąc osiemset czterdziestym trzecim. W mieście przetrwało wiele budynków utrzymanych w stylu neoklasycznym, białych z białymi kolumnami. Kiedy jednak oddano do użytku kanał, Aurelius przestało rosnąć, podczas gdy miasta nad kanałem rozwijały się w błyskawicznym tempie. Niektórzy twierdzą, że to źle, iż tak się stało, inni zaś mówią coś wręcz odwrotnego.

Późniejsze zmiany nie były duże. Przed ratuszem wzniesiono pomnik ofiar wojny domowej: wysoką kolumnę z odlaną w brązie postacią żołnierza z muszkietem. Pojawił się dworzec kolejowy, przetrwał sto lat, popadł w ruinę, by następnie odrodzić się pod postacią pizzerii. Wycięto wiązy, pozostawiając огоłoconą Main Street. Aurelius College, będący początkowo gimnazjum dla dziewcząt, w latach dwudziestych stał się liceum, w pięćdziesiątych - college'em, wciąż wyłącznie dla dziewcząt, by w latach siedemdziesiątych przekształcić się w koedukacyjną szkołę średnią. Uczęszcza do niej ponad pięćset uczniów. Doskonale uczą tam jeździectwa; co roku kilkoro absolwentów podejmuje naukę na wydziale weterynaryjnym Uniwersytetu Cornelia.

Na obrzeżu miasta pojawiło się centrum handlowo-usługowe z supermarketem, stacją obsługi samochodów i kilkunastoma sklepami. Około setki ludzi pracuje w Utice lub najbliższej okolicy, pozostali znaleźli zatrudnienie w Potterville albo w fabryce leków w Norwich. W mieście jest fabryka lin i niewielki zakład należący do General Electric. Wielu farmerów hoduje kapustę, którą kisi się w Potterville. Jesienią odbywają się wybory Królowej Kiszonej Kapusty. Mamy meduzy szpital, kino o nazwie Strand oraz trzy wypożyczalnie kaset wideo.

Biblioteka miejska jest całkiem nieźle zaopatrzona, w razie potrzeby może ściągać książki z Potterville lub z miejscowości dalej położonych. Mamy dwa salony samochodowe: Jack Morris Ford i Central Valley Chevrolet. W salonie Forda sprzedaje się również volkswageny, u Chevroleta zaś - toyoty. A w obu półciężarówki, ma się rozumieć. Od wielu lat więcej ludzi wyprowadza się z Aurelius, niż się tu osiedla. Zawsze są jakieś domy do sprzedania. Raz w miesiącu w bibliotece odbywają się spotkania klubu czytelników, tak samo jak wtedy, kiedy byłem bardzo młody. Szkolna drużyna futbolowa, Teriery, zeszłej jesieni zdobyła mistrzostwo okręgu, ale w walce o finał stanowy uległa zespołowi z

Baldwinsville. Rzymianie, drużyna z college'u, zajęli w swojej grupie trzecie miejsce. Zwyciężyli chłopcy z Hamilton. Przed czterdziestu laty między Utiką i Binghamton przestały kursować pociągi, osiem lat temu zlikwidowano połączenie autobusowe. Ostatni spektakl w budynku opery, Lil's Abner, odbył się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. Często słyszy się o planach remontu, ale na razie nic z tego nie wynika. Mamy dwa motele: Gillian's i Aurelius. Duży hotel w centrum spłonął w latach sześćdziesiątych, podczas mojego pobytu w college'u w Buffalo. Teraz w tym miejscu znajduje się niewielki Key Bank. Mamy też dwie włoskie restauracje, McDonald'sa, Dunkin' Donuts i Pizzę Hut. Księgarnia przeistoczyła się z biegiem lat w coś pośredniego między sklepem papierniczym a pamiątkarskim, ale wciąż sprowadzają książki na zamówienie. Sklep przemysłowy Trustworthy ma się znakomicie, podobnie jak piekarnia Weavera. W miasteczku są dwa tanie zajazdy, w których jesienią chętnie zatrzymują się turyści, w pozostałe pory roku natomiast - oczywiście oprócz lata - rodzice odwiedzający dzieci uczące się w college'u. Mamy sześć kościołów. Niegdyś najliczniejsze grono wiernych miał episkopalny kościół św. Łukasza, zaraz za nim kościół św. Marii, ostatnio jednak na czoło wysunął się kościół ewangelicki Dobrego Pasterza. Phil Schmidt, nasz komendant policji, dowodzi dziesięcioma pełnoetatowymi oraz, zależnie od pory roku, czterema lub sześcioma półetatowymi funkcjonariuszami. Straż pożarna składa się głównie z ochotników, chociaż jej szef, Henry Mosley, jest na etacie.

Centrum składa się z jedno- i dwupiętrowych budynków z czerwonej cegły. Górne części ich fasad, z gzymsami, pilastrami i nieskomplikowanymi fryzami przedstawiającymi Postęp i Wolność, nie są pozbawione pewnego wdzięku. Na ostatnim piętrze Weber Building, na rogu Main Street i State Street, pyszną się nawet okna z łukowymi frontonami. Od czasu do czasu podejmowane są próby podniesienia budowli do rangi

zabytku, są one jednak z góry skazane na niepowodzenie ze względu na dokonane w latach pięćdziesiątych przeróbki dolnej części budynku, polegające na wstawieniu, gdzie tylko się dało, taniego plastiku i aluminium. Firmy, które wprowadziły się wtedy do urządzonych według ówczesnej mody pomieszczeń, dawno już się wyniosły.

Naprzeciwko Weber Building wznosi się ratusz, bardziej gotycki niż neoklasycy, z wieżyczkami i murami z czerwonej cegły. Do wielkich dwuskrzydłowych drzwi prowadzi dwadzieścia białych marmurowych stopni. Drewniane elewacje szerniały, szyby pokryły się kurzem. Mieszanina dostojności i bylejakości nadaje centrum miasta dziwny, ambiwalentny wyraz. Zawsze są tu puste domy do kupienia.

Przypuszczam, że we wschodniej części kraju są setki miasteczek takich jak nasze. Mówi się o nich, że są sennie. Niekiedy trafiają się w nich doskonałe drużyny piłkarskie lub koszykarskie. Tereny wokół Aurelius są pofałdowane, pasma wzniesień ciągną się z północy na południe, przecinają je wąskie doliny z rzekami i jeziorami. Farmy położone w dolinach są bogate, te na wzgórzach - biedne. Na zachód, w kierunku Finger Lakes, rozciągają się sady jabłoniowe. W przepływającej przez Aurelius rzece Loomis na wiosnę łowi się pstrągi. Wielu ludzi ma domki nad jeziorami - jeżdżą tam nie tylko latem, ale i zimą, żeby łowić ryby pod lodem.

Przed tą jesienią, kiedy wszystko się popsulo, moi koledzy i koleżanki z college'u zgodnie twierdzili, że dobrze im się tu żyje. Od czasu do czasu ktoś wybierał się do Nowego Jorku w odwiedziny albo do teatru, większość jednak nigdzie się nie ruszała. Nie mogę powiedzieć, żeby byli gnuśni, ale z pewnością nie widzieli powodów, by odwiedzać inne miejsca. Niekiedy w college'u odbywały się cykle wykładów, a kwartet smyczkowy z Syracuse dawał koncert, lecz skłamałbym, mówiąc, że ludzie walili drzwiami i oknami. Od czasu do czasu organizowano

autokarowy wyjazd do Syracuse na jakiś ważny mecz. Wielu mężczyzn polowało, więc od strony wzgórz dobiegały jesienią odgłosy strzałów. Ludzie głosowali raczej na republikanów, gdyby jednak pojawiły się nowe, intrygujące perspektywy, zapewne nie zawahaliby się oddać głosu na demokratów.

Jeżeli w naszym mieście w ogóle cokolwiek się działo, to wyłącznie za sprawą tego, o czym pisał „Independent”, a konkretnie jego wydawca, Franklin Moore. Niektórzy uważali, że po śmierci żony Franklin powinien podjąć pracę w redakcji jakiejś gazety z Utiki albo Syracuse, co pozwoliłoby wielu z nas dalej spać spokojnie, chociaż fakt, iż jego gazeta donosiła o pewnych wydarzeniach, bez wątpienia nie czynił go odpowiedzialnym za konsekwencje tych wydarzeń. Inni byli zdania, iż powinien się ponownie ożenić - czyli, inaczej mówiąc, zająć się innymi sprawami i zostawić nas w spokoju.

Franklin Moore nie pochodził z Aurelius. Nie wspominał o tym, by obarczyć go jakąś szczególną odpowiedzialnością za to, co się wydarzyło, chociaż niektórzy twierdzili, że gdyby był stąd, postępowaliby nieco dyskretniej. Może istotnie człowiek z zewnątrz jest skłonny do nieco bardziej obcesowego działania niż ktoś mocno osadzony w danej społeczności. Ludzie powiadali, że Franklin nie miał nic do stracenia, nic nie łączyło go z miastem, w każdej chwili mógł się stąd wynieść, nie zapuścił tu korzeni. Była to jednak nieprawda. Miał przecież córkę.

Przed pięciu laty przyjechał z Rochester z żoną Michelle i wówczas ośmioletnią Sadie. W Rochester pracował jako reporter „Chronicle”. Wcześniej studiował na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Cornelia, jeszcze wcześniej pisywał dla „Sun” i był nawet jednym z wydawców tej gazety. Pochodził z okolic Nowego Jorku.

Kiedy Franklin obejmował stanowisko zastępcy redaktora naczelnego tygodnika „Independent”, wszyscy przypuszczali, że najdalej w ciągu dwóch lat zostanie redaktorem naczelnym, ale zaledwie rok po tym, jak osiedlili się w Aurelius, u jego żony wykryto raka piersi. Nie miała jeszcze nawet trzydziestu lat. Zdaje się, że w Rochester pracowała jako fotograf, z gazetą Franklina zaś współpracowała jako wolny strzelec. Choroba, ma się rozumieć, położyła temu kres. Przebiegała w smutno znany sposób: mastektomia, chemioterapia, naświetlania, przerzuty, kolejne operacje i leczenie, wreszcie śmierć. Kiedy to nastąpiło, byli

mieszkańcami Aurelius już od trzech lat. Jak to zwykle bywa w małych miasteczkach, zaangażowaliśmy się w jej historię i obserwowaliśmy, jak dzieje się coraz gorzej. Michelle spoczęła na Homeland Cemetery, w pogrzebie uczestniczyła również jej rodzina z Bronxville.

Podczas trwającej dwa lata choroby żony Franklin istotnie został redaktorem naczelnym i pracował bardzo ciężko, choć z pewnością opieka nad Michelle pochłaniała mnóstwo jego czasu i energii. Była oszłamiająco piękną ciemnowłosą kobietą, która musiała stawić czoło nie tylko chorobie, lecz także wszystkim związanym z nią upokorzeniom: mastektomii, ziemistej cerze, utracie włosów. Czyniła to z godną podziwu siłą.

Poznałem ją, ponieważ uczyłem Sadie w siódmej klasie, i któregoś dnia obie przyszły na spotkanie wychowawcze. Czy Sadie wystarczająco się stara? Czy uważa na lekcjach? Matka zapewniała mnie, że mogę śmiało obarczać jej córkę poważnymi zadaniami, jest bowiem pracowita i ambitna. Michelle Moore była już wtedy bardzo szczupła i nosiła perukę, nawet całkiem atrakcyjną. Jednak udawana żywotność, podkreślana właśnie przez perukę i ostry makijaż, kładła się na niej piętnem śmierci - chociaż pozornie była wciąż jeszcze żywą, dobrze ubraną, energiczną kobietą.

Siedziała przed moim biurkiem i przekonywała mnie, że powinienem być bardzo wymagający dla jej córki - nie po to, by jej dokuczyć, lecz żeby pomóc jej stać się lepszą uczennicą. Ponad wszelką wątpliwość zostało jej już niewiele czasu, a mimo to ani słowem nie wspomniała o swojej chorobie - ba, zmyliła mnie tak, że niewiele brakowało, a niczego bym nie zauważył. Była bardzo dumna - Sadie częściowo odziedziczyła po niej tę cechę - i kilka razy napomknęła, iż chciałaby, żeby jej córka kontynuowała naukę w szkole pielęgnarskiej lub weterynaryjnej. W mieście, w którym zaledwie połowa absolwentów szkoły średniej idzie do college'u, takie ambicje były godne uwagi. Michelle Moore siedziała wyprostowana na krześle, mówiła cicho, od czasu do czasu muskała

podbródek którymś z długich palców albo poprawiała apaszkę. Ani na chwilę nie spuszczała ze mnie oka. Jeśli cierpiała, to nie dała tego w żaden sposób poznać.

Trzy tygodnie później, pod koniec października, dowiedziałem się, że nie żyje. Sadie przez tydzień nie chodziła do szkoły, a kiedy zjawiała się ponownie, szukałem na jej twarzy oznak rozpacz; znalazłem wyjątkową błądź i głąboką powagę, dziewczynka słowem nie wspomniała jednak ani o matce, ani o tym, czego z pewnością była świadkiem. Michelle umarła w domu, straciwszy przytomność w kuchni. Franklin wezwał lekarza, ale było już za późno. Ludzie mówili, że to szczęście, że wszystko wydarzyło się tak prędko, ale co ludzie wiedzą? Czy w takich sytuacjach nie myślą zawsze o własnej śmierci? Kto tak naprawdę wie, jaki sposób jest lepszy?

Pół roku po śmierci żony Franklina ludzie zauważyli, że „Independent” zaczął się zmieniać. Wstępniaki stały się bardziej agresywne i zaangażowane, pojawiły się wywiady z mieszkańcami. Większość twierdziła, iż wiązało się to z wewnętrzną przemianą, jaka zaszła we Franklinie, choć ja przypuszczam, iż najzwyczajniej w świecie miał teraz więcej czasu i chciał zająć się czymś, co odwróciłoby jego myśli od nieszczęścia, które go dotknęło. W praktyce oznaczało to tyle, że nie tylko pisał wstępniaki i redagował stałe rubryki, lecz również regularnie zamieszczał obszernie artykuły swojego autorstwa. Oprócz niego redakcja składała się z dwóch reporterów (w tym jednego sportowego), fotografa oraz kobiety łączącej funkcje recepcjonistki, sekretarki i sekretarza redakcji. Objętość gazety nie wzrosła, bez wątpienia zwiększył się natomiast ciężar gatunkowy jej zawartości.

Może jednak chodziło o coś więcej niż o zwykłe szukanie zapomnienia. „Trzeba obudzić ludzi”, powtarzał Franklin. Zaczął nawet szybciej jeździć. Jego niebieski ford taurus zawsze ostro brał zakręty. Franklin miał wtedy trzydzieści cztery lata, około metra osiemdziesięciu pięciu

wzrostu, był bardzo szczupły, o przerzedzonych, dość długich jasnobrązowych włosach, które zaczesywał do tyłu. Idąc, pochylał się do przodu w ten sposób, że górna część jego ciała, ta bardziej wypełniona intencjami, zjawiała się na miejscu wcześniej niż dolna. Mówił szybko i głośno, a jeśli rozmówca spóźniał się z odpowiedzią, podsuwał mu do wyboru kilka gotowych rozwiązań. Nieliczne piegi na twarzy nadawały mu chłopięcy wygląd. Roztaczał też wokół siebie aurę swoistej niewinności - jeśli tak można nazwać przekonanie, że inni dzielą z tobą twoją pasję.

Wiele osób uważało go za pieczeniara, ale Aurelius jest małym, trochę zapyziałym miasteczkiem, w którym w najlepszym razie wszystko dzieje się w ślimaczym tempie. Franklin działał znacznie szybciej, chociaż może takie właśnie tempo obowiązywało w świecie? Był energiczny i troskliwy, zjawiał się na wszystkich zebraniach rodziców w szkole i z zaangażowaniem rozmawiał o córce. Dziwiło mnie tylko - choć być może niesłusznie - iż nigdy ani słowem nie wspomniał o żonie. Przypisywałem to chęci przewyciężenia rozpacz, co wcale nie zmienia faktu, iż słuchając go rozprawiającego o córce i opowiadającego o jej wczesnym dzieciństwie, można było odnieść wrażenie, że zawsze wychowywał ją samotnie, że Michelle nigdy nie istniała.

Kolejna zmiana polegała na tym, że Franklin sprzedał obszerny wiejski dom, w którym mieszkał na skraju Aurelius, i przeniósł się do centrum na Van Buren Street. Kupił tam biały wiktoriański dom, niemal po sąsiedzku z moim, też chyba za duży tylko dla nich dwojga. Wszystkie domy przy naszej ulicy zostały wzniesione krótko po wojnie secesyjnej, z wyjątkiem domu Sutterów, który stał tu dużo wcześniej, kiedy dookoła rozciągały się jeszcze łąki i pastwiska. W domu, w którym ja mieszkam, przyszła na świat moja matka, wróciła zaś tu po tym, jak jej mąż zginął podczas wojny w Korei. Ludzie powiadali, że Franklin chciał być bliżej gazety, przypuszczam jednak, iż równie dużą rolę w podjęciu decyzji o

przeprowadzce odegrało pragnienie uwolnienia się od wspomnień. Po pewnym czasie sprzedał nawet taurusa i kupił białe subaru kombi.

Często widywałem go malującego ściany, koszącego trawę lub grabiącego liście. Wszystko robił szybko, niemal niecierpliwie. Sadie miała fioletowy rower górski z żółtymi zygzakami jak błyskawice; odprowadzałem ją wzrokiem, kiedy przejeżdżała obok mojego domu, a ona, jeżeli mnie zauważyła, machała mi ręką. Była bardzo szczupła, ciągnęła za sobą pasmo rozwianych kasztanowych włosów.

Dotarły do mnie opinie, że po utracie żony Franklin stracił również umiejętność, a może i ochotę, utrzymywania ścisłych więzów gazety z miasteczkiem. Istotnie, można było odnieść wrażenie, że „Independent” coraz częściej atakował i krytykował zamiast wspierać i chwalić. Na przykład w swoich wstępniakach Franklin wielokrotnie opowiadał się za tym, żeby rada miejska uchwaliła pięcioletni program naprawy infrastruktury komunalnej, ponieważ remonty ulic przeprowadzane są chaotycznie, kanalizacja zaś znajduje się w oplakanyam stanie. Twierdził, iż taki plan uświadomiłby mieszkańcom, co konkretnie należy zrobić, a miasto mogłoby w sensowny i uporządkowany sposób gospodarować funduszami, zamiast przeprowadzać tylko doraźne naprawy.

Franklin skrytykował także decyzję rady szkolnej, która odrzuciła pomysł, żeby administracji i nauczycielom przyznać siedmioprocentową podwyżkę oraz objąć ich ubezpieczeniem stomatologicznym. Największy problem stanowiło właśnie ubezpieczenie. Ponieważ niemal połowa mieszkańców okręgu nie korzystała z żadnego ubezpieczenia zdrowotnego, rada nie widziała powodu, dla którego administracja i nauczyciele mieliby korzystać z takich dobrodziejstw.

Franklin przekonywał, że zadaniem szkoły jest wyznaczanie nowych standardów zarówno w salach lekcyjnych, jak i poza nimi, oraz że jeśli Aurelius chce mieć w swoich placówkach oświatowych nauczycieli wysokiej klasy, musi zaproponować im przyzwoitą płacę oraz atrakcyjny

pakiet socjalny. Tym samym za jednym zamachem udało mu się zasugerować, iż władze miasta i rada szkolna nie wywiązują się zbyt dobrze z obowiązków, poziom nauczycieli zaś i kadry administracyjnej pozostawia sporo do życzenia.

Wiele osób nie dostrzegało jednak potrzeby wprowadzania aż tak rewolucyjnych zmian, i trudno było im się dziwić. Dobrze znaliśmy członków rad miejskiej i szkolnej. Nie byli to źli ludzie. Pracowali do końca kadencji, po czym wybierano ich ponownie lub zastępowano innymi. Artykuły Franklina nie wywołały co prawda powszechnego oburzenia, niemniej niektórzy czuli się tak, jakby ktoś sypał im piasek do pościeli. Zaczęli go unikać. Myślę, że gdyby nie był przystojnym młodym wdowcem z córeczką, stałby się jeszcze bardziej niepopularny. Był uprzejmy, traktował swoich rozmówców z szacunkiem, dla tych jednak, których wziął na ostrze pióra, stawał się solą w oku. Nie życzyli mu źle, ale nie zmartwiliby się, gdyby zniknął. Jego artykuły odnosiły przynajmniej taki rezultat, że ludzie zaczęli zwracać uwagę na pewne sprawy. Nawet jeśli nie zgadzali się z nim pod wieloma względami, to w ich umysłach kiełkowała świadomość, że w mieście nie wszystko układa się tak doskonale, jak jeszcze niedawno sądzili.

Cotygodniowe wywiady Franklina siały znacznie więcej zamętu niż jego wstępniaki. Potrafił skłonić ludzi, żeby mówili o sobie rzeczy, o których inni najchętniej nic by nie wiedzieli. Jednym z jego pierwszych rozmówców był Herb Wilcox, pośrednik w handlu nieruchomościami i broker ubezpieczeniowy, od dwudziestu lat nieprzerwanie zasiadający w radzie miejskiej. Wszyscy go znali, wszyscy znali jego żonę Betty, obserwowali, jak dorasta trójka ich dzieci. Dwoje poszło do college'u, najmłodszy zaś. Bob, podjął pracę w firmie ojca. W wywiadzie Herb dał jasno do zrozumienia, że w Aurelius sprawy wyglądają tak jak powinny.

„Bywałem w innych miastach. Podobają mi się, nie powiem, ale żadne nie może się równać z naszym. Mamy pierwszorzędne szkoły, dobry szpital. Nie rozumiem, dlaczego ludzie stąd wyjeżdżają. Weźmy na przykład moje dzieciaki, Bruce'a i Mary Lou. Oboje dostali stypendia w Aurelius College, ale Bruce wolał uczyć się dalej w Albany, a Mary Lou w Cortland. Teraz Bruce wylądował w Cohoes. Pytam was, co to za miejsce?”.

Jeszcze długo ciągnął w ten sposób, aż czytelnicy zrozumieli, że Herb nie mówi o zaletach i wadach Aurelius, lecz o wyjeździe dwójki swoich dzieci, o tym jak je kocha i o zawodzie, jaki mu sprawiły. Franklin odsłonił słaby punkt Herba, czyniąc go w ten sposób jakby mniejszym. Tak się zwykle dzieje, kiedy ktoś okazuje się bardziej ludzki.

Tydzień później Franklin zamieścił wywiad z Willem Fowlerem, dyrektorem miasta. W Aurelius mamy zarówno burmistrza, jak i dyrektora. Burmistrz jest wybierany, ale nie otrzymuje wynagrodzenia, chociaż ma sekretarkę oraz niewielki budżet na wydatki reprezentacyjne. Zwykle stanowisko to obejmuje ktoś, kto bardzo lubi ścisnąć ludziom rękę. Z dyrektorem miasta sprawy mają się zupełnie inaczej: zatrudniony przez radę miejską, zazwyczaj jest kimś z zewnątrz. Nasz obecny burmistrz, Bernie Kowalski, często nazywa Fowlera swoim biczem. „Kto ma bicz, ten wiele może osiągnąć”, powiada.

Franklin zapytał Willa Fowlera, co ten sądzi o Aurelius. „To sympatyczne miasto, w którym mieszka wielu miłych ludzi”. Czy jest więc doskonałe? „Z pewnością nie”. A co myśli o radzie miejskiej? „Również nie jest doskonała”. Czy Fowler ma jakieś konkretne zastrzeżenia? „Być może niektórzy jej członkowie zbyt długo w niej zasiadają”. Co Fowler myśli o projekcie uchwalenia pięcioletniego planu inwestycyjnego? „Potterville ma taki plan. Prawie wszystkie miasta tej wielkości mają taki plan. Problem polega na tym, że wyborcy mogą rozliczyć radę z jego wykonania. Być może niektórzy członkowie rady tego sobie nie życzą”. I

ostatnie pytanie: „Sześć lat temu przeprowadził się pan tutaj z Albany. Czy tęskni pan za Albany?”. Odpowiedź: „Oczywiście. To znacznie większe miasto”.

Wszyscy, którzy tydzień wcześniej czytali wywiad z Herbem Wilcocksem, odnieśli wrażenie, że Herb zrobił z siebie głupca. Jego nieustające zadowolenie bardziej szkodziło miastu niż mu pomagało, a skoro jego zdaniem wszystko było w jak największym porządku, to z pewnością nie miał motywacji do bardziej wyťažonej pracy. Z kolei Willowi Fowlerowi Aurelius w ogóle się nie podobało. Wolałby wrócić do Albany. „Ma nas za prowincjuszy”, powiedział jeden z moich kolegów nauczycieli.

Może i byliśmy prowincjuszami, ale nie mieliśmy ochoty się nad tym zastanawiać. Wydawało nam się za to, że i o Herbie Wilcocksie, i Willu Fowlerze wiemy teraz więcej, niżbyśmy chcieli. „Za kogo on się uważa?”, pytano. Fowler został zaangażowany, żeby zarządzać miastem. Ludzie przypuszczali, że jest szczęśliwy, ponieważ może mieszkać w takim miłym miejscu. Teraz poznali prawdę.

Rzecz jasna, większość cotygodniowych wywiadów Franklina nie miała aż tak poważnych konsekwencji. Dzięki nim jednak sporo się o sobie dowiedzieliśmy. Okazało się na przykład, że Tom Henderson, właściciel sklepu przemysłowego, budował modele statków w butelkach. Margaret Debois, pielęgniarka ze szpitala, grywała jazzowe kawałki na fortepianie w jednym z klubów w Utice. Lou Fletcher należał do Klubu Miłośników Sherlocka Holmesa i zbierał pieniądze, by wyruszyć do Londynu na wyprawę śladami wielkiego detektywa. Kilka osób odmówiło udzielenia wywiadu, wśród nich dowódca straży pożarnej Henry Mosley, aptekarz Donald Malloy oraz ja.

- Ale dlaczego? - zapytał Franklin.

Było to ponad rok temu. Zagadnął mnie, kiedy grabiłem liście przed domem.

- Nie uważam, żebym był wystarczająco interesujący.

- Pracował pan w Nowym Jorku jako naukowiec, a potem wrócił do Aurelius. To bardzo interesujące.

- Nie jako naukowiec, tylko laborant, i bez względu na to, czy to interesujące, czy nie, nie mam ochoty udzielać wywiadów.

Nie chciałem być niegrzeczny, ale po tym, co mu powiedziałem, powinien był dać mi spokój. Wątpię, żeby naprawdę uważał mnie za interesującego człowieka, ponieważ wiedział o mnie tylko tyle, ile usłyszał od córki. Przypuszczalnie po prostu przechodził ulicą, myśląc o przyszłotygodniowym wywiadzie, zobaczył mnie i od razu zagadnął. Przeprowadzał wywiady z wieloma mało interesującymi ludźmi: mechanikami samochodowymi, ekspedientkami, nawet z hydraulikiem. Muszę jednak przyznać, iż z większości z nich zdołał wydobyć coś ciekawego lub niezwykłego, i chyba właśnie dlatego odmówiłem jego prośbie. Nie chciałem, żeby ludzie patrzyli na mnie i myśleli: Aha, wiem coś o tobie! Przypuszczam, że Franklin szanował mnie za tę odmowę, od tej pory bowiem zaczęliśmy się częściej widywać - może nie jako przyjaciele, ale na pewno jako bliscy znajomi. On wpadał do mnie na herbatę, ja zaglądałem do niego na piwo. Jak już wspomniałem, mieszkał prawie po sąsiedzku.

O dziwo, największy oddźwięk wywołał wywiad nie z którymś z mieszkańców naszego miasteczka, lecz z nauczycielem historii, który tuż przed rozpoczęciem drugiego semestru został zatrudniony w Aurelius College. Odbyło się to w dużym pośpiechu - mówię o tym dlatego, że gdyby poszukiwania nowego nauczyciela przebiegały w konwencjonalny sposób, ten człowiek z pewnością nie zostałby przyjęty. Nie dlatego, żeby był głupi lub niekompetentny, skądże znowu. Był jednak marksistą i Algierczykiem, a na dodatek nie przebierał w słowach. Zanim ukazał się wywiad, wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że jeździ małym czerwonym Citroenem i że przybył do nas z Kingston w Ontario. Najpierw zobaczyliśmy jego samochód, czerwonego Citroena, dopiero potem dowiedzieliśmy się, jak się nazywa: Houari Chihani.

3

Franklin rozmawiał z Chihanim w jego gabinecie w Aurelius College. Wzniesione w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku budynki z czerwonej cegły stoją wokół dziedzińca, na którym rosną klony i dęby. Po ścianach pnie się bluszcz, kolumny są pomalowane na biało, do wejść prowadzą szerokie granitowe stopnie. Niestety, ze względu na ograniczenia budżetowe, gmachy popadły w zaniedbanie: farba odłazi płatami, a zaprawa w wielu miejscach wykrusza się spomiędzy cegieł. Trawniki nie są strzyżone tak często jak powinny, to samo dotyczy żywopłotów. Jeśli chodzi o uczniów, to stanowią mieszane towarzystwo: trafiają się całkiem niezli, lecz zdecydowana większość prezentuje mierny poziom.

W środkowej części stanu Nowy Jork jest mnóstwo szkół, Aurelius College nie należy jednak do tych cieszących się najlepszą renomą. Aby zwiększyć nabór, przygotowano specjalne programy edukacyjne dla młodzieży z problemami, z dysleksją, uczącej się angielskiego jako języka obcego. Wśród uczniów można spotkać zarówno bystre, garnące się do wiedzy osoby pochodzące z nie najlepszych środowisk, jak i takie, które z rozmaitych powodów nie mogły znaleźć miejsca w innych szkołach. Jeśli zdołały przebrnąć przez pierwszy rok, zazwyczaj przenosiły się tam, gdzie bezskutecznie usiłowały się dostać w pierwszej kolejności.

Oczywiście można narzekać, że ci młodzi ludzie wychowywali się na sieczce oferowanej przez MTV i czasopisma takie jak „People”. Że nie zastanawiali się nad przeszłością ani przyszłością. W większości przypadków taka ocena była całkowicie słuszna: nie mieli najmniejszych

zadatków na wielkich myślicieli, ba, cała ta gadanina o dysleksji i szkolnych kłopotach najzwyczajniej w świecie służyła ukryciu faktu, że byli niezbyt rozczytani. Nieliczni dysponowali jednak sporym potencjałem intelektualnym i tylko czekali na pojawienie się właściwej osoby, niczym wyschnięte gąbki oczekujące kropli wody. Tą osobą mogłby być ktokolwiek; niestety, był nią Houari Chihani.

Miał pięćdziesiąt kilka lat - dokładnie pięćdziesiąt pięć - urodził się i wychował w Algierze, podczas wojny o niepodległość przeniósł się do Paryża. Ojciec był lekarzem, matka - nauczycielką. Przypuszczalnie odczuwali bliższe powinowactwo z francuskimi ciemężycielami niż ze swymi muzułmańskimi braćmi. Podczas tej wojny rebelianci zwalczali umiarkowanych muzułmanów chyba nawet bardziej zaciekle niż Francuzów. Houari przez kilka lat studiował na Sorbonie, potem zaś wyjechał do Montrealu, gdzie podjął studia na tamtejszym uniwersytecie. Marksistą został jeszcze w Paryżu, około roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. To zabawne, jak wielu marksistowskich intelektualistów pochodzi z klas uprzywilejowanych. Wychowani w komforcie walczyli o to, by jak najbardziej utrudnić życie innym, nie rezygnując jednak z żadnych wygód. Chociaż w przypadku Chihaniego taka ocena nie była całkiem sprawiedliwa, ponieważ nie otaczał się zbytkiem.

W Montrealu przebywał trzy lata. Po uzyskaniu magisterium podjął studia doktoranckie na wydziale historii Uniwersytetu w Chicago i ukończył je z wyróżnieniem. Nikt nigdy nie kwestionował jego wyjątkowości. Pomimo wyraźnego akcentu był doskonałym nauczycielem. Trudność polegała na tym, że był nie tylko nauczycielem, lecz również fanatycznym ideologiem o niemal religijnym apostołskim zacięciu, w wyniku czego wszędzie, gdzie się pojawił, natychmiast zakładał lub brał pod swoje skrzydła klub młodych marksistów albo marksistowskie kółko zainteresowań. Może rozsądniej byłoby zaczekać na drugą kadencję,

choć właściwie taka otwartość działania świadczyła dobitnie o szczerości jego intencji. Nie pozostawiał żadnych złudzeń co do swoich przekonań. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, iż wielu uważało, że siany przez niego ferment jest z gruntu pozytywnym zjawiskiem, co jednak nie zmieniało faktu, iż w żadnym college'u nie udało mu się zagrzać miejsca dłużej niż przez dwa lub trzy lata. Michigan. Carnegie-Mellon, Uniwersytet Windsorski, Cleveland, Lafayette, Olivet, wreszcie Kingston w Ontario. Tę posadę też utracił, a raczej nie przedłużono z nim umowy na kolejny rok.

W grudniu w wypadku samochodowym zginął Max Schnell, wykładowca historii w Aurelius College. Trzeba było szybko znaleźć zastępstw. Roger Fielding, dziekan wydziału historii, rozpoczął intensywne poszukiwania.

Zależało mu na specjalistcie od europejskiej historii współczesnej. Wśród tych, którzy odpowiedzieli na prasowe ogłoszenie, znajdował się również Houari Chihani. Na papierze jego kandydatura nie miała sobie równych: doktorat uniwersytetu w Chicago, liczne publikacje, pochwały studentów. Opinie z dotychczasowych miejsc pracy również nie budziły zastrzeżeń. Takie opinie bywają czasem niezbyt szczere, zwłaszcza jeżeli dotyczą kogoś, kogo pracodawca chciałby się pozbyć. Dziekan college'u X chętnie pozbyłby się Chihaniego, w związku z czym dał mu doskonałe rekomendacje. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, iż zarówno Roger Fielding, jak i Priscilla Guerthen, nasza dziekan, mieli spore ambicje i oboje dostrzegli w Chihanim kogoś, kto może przyczynić się do podniesienia prestiżu szkoły. Czyż w jego książkach oraz innych publikacjach nie znajdzie się informacja, że uczy w Aurelius College? Tak więc Chihani dostał posadę.

Nie miał problemów z podjęciem decyzji, czy opuścić Kingston College przed końcem roku szkolnego. Poinformowano go przecież, że nie jest tam mile widziany, skoro nadarzyła się więc okazja, by odplacić pięknym za nadobne, skwapliwie z niej skorzystał. Spakował książki,

wysłał je do Aurelius, sam zaś wsiadł w swego czerwonego citroena i od początku stycznia podjął pracę w naszym college'u. Prowadził zajęcia z trzech przedmiotów: cywilizacji zachodniej, ruchów politycznych w dziewiętnastowiecznej Europie oraz kapitalizmu i pracy. W lutym założył koło, a raczej kółko dyskusyjne skupiające kilkoro uczniów. Nazywało się Tropiciele Prawdy, w skrócie TP, co brzmiało wystarczająco ogólnie i mało konkretnie. Wtedy właśnie Franklin Moore poprosił go o udzielenie wywiadu.

Gabinet Chihaniego mieścił się w Douglas Hall, czyli budynku, w którym wykładano nauki humanistyczne, tuż obok skrzydła administracyjnego. W pokoju ze świetlikiem na drugim - ostatnim - piętrze zabrakło półek dla książek, toteż przy ścianie piętrzyły się wypełnione po brzegi kartonowe pudła. Franklin opisał Chihaniego jako wysokiego, przystojnego mężczyznę o twarzy nasuwającej skojarzenia z drapieżnym ptakiem. Rzeczywiście, ja również zapamiętałem długi, zakrzywiony nos, wystające kości policzkowe i podbródek oraz czarne kręcone włosy. Kolor jego skóry przypominał dębową politurę. Miał długie szczupłe ręce, ręce koszykarza, nie przejawiał jednak najmniejszego zainteresowania sportem. Ubierał się zawsze w ciemny garnitur i białą koszulę, nosił krawat, niekiedy także beret.

Franklin nie wspomniał o tym, że lewa noga Chihaniego była wyraźnie dłuższa od prawej, w związku z czym podeszwa prawego buta miała grubość coś najmniej ośmiu centymetrów; Chihani dość mocno utykał - prawa noga zostawała nieco z tyłu, stopa przekręcała się w bok, przenosiła w przód i z głośnym stuknięciem stykała z ziemią. Często używał laski. Myszkując między regałami w bibliotece miejskiej, często słyszałem charakterystyczne mocne stąpnięcia świadczące o tym, że Chihani również tam jest.

Podczas rozmowy Chihani siedział za biurkiem, na którym stał telefon oraz leżały czysta kartka papieru i kosztowne złote pióro. Franklin zajął

miejsce naprzeciwko. Zapytał, czy mógłby nagrywać rozmowę, lecz Chihani nie wyraził zgody, tak więc Franklin tylko notował. Początkowo przypuszczał, iż jego rozmówca cieszy się, że trafił do Aurelius College, szybko jednak zrozumiał, że zdaniem Chihaniego to Aurelius College powinien się cieszyć, że on się tu zjawił. Chihani nie miał poczucia humoru na swój temat. Podziwiał sam siebie jako intelektualistę oraz człowieka obdarzonego misją. Przypuszczalnie właśnie ze względu na tę misję zgodził się poświęcić Franklinowi piętnaście minut.

Franklin zaczął od pytania, jak podoba mu się w Aurelius. Standardowe pytanie, na które oczekiwał standardowej odpowiedzi.

- To małe miasteczko bardzo podobne do wielu innych - odparł Chihani. - Staroświeckie, malownicze i otępiałe.

Franklin zapytał, z czego wynikało to otępienie.

- Z braku wiedzy o świecie, z braku poczucia przeszłości i przyszłości.

Chihani siedział za biurkiem bez marynarki, łokcie oparł na blacie. Złączone czubkami palce rąk tworzyły coś w rodzaju namiotu.

Czy po to, by wieść szczęśliwe życie, trzeba dysponować wiedzą o świecie, spytał Franklin.

- Nie jest to konieczne, ale bez wiedzy nie sposób wznieść się ponad krowy i owce. Powie pan zapewne, że owce i krowy są zadowolone ze swego losu, ale ja powiem panu, że ich ignorancja prowadzi ostatecznie do smutnego końca w rzeźni. Działanie powoduje konsekwencje. Nie-wiedza dotycząca natury działań nie zwalnia człowieka od odpowiedzialności za konsekwencje.

Franklin uświadomił sobie, że stąpa po grząskim gruncie. Wywiad z Chihanim to nie to samo co rozmowa z dentystą albo piekarzem. W związku z tym przerzucił się na jego przeszłość: młodość w Algierze, szkołę w Paryżu, studia w Montrealu i Chicago. Chihani był bezdzietnym

rozwodnikiem. Nie miał rodzeństwa. Oboje rodzice nie żyli. Stwierdził, że nie ma pojęcia, jak długo pozostanie w Aurelius, ale dopóki ma książki, jest mu wszystko jedno, gdzie mieszka. Wynajął dom w mieście. Nie zamierzał kupować żadnej nieruchomości, ponieważ nie zgadzał się z koncepcją prywatnej własności ziemi.

Franklin opowiadał później, że Chihani mówił powoli, lecz bez przerw ani wahań. Z pewnością nie miał problemów z formułowaniem myśli, nie bawił się jednak również w dyplomację.

Franklin zauważył, że to przykre, iż stanowisko wykładowcy zwolniło się w następstwie tragicznego wypadku.

- To wcale nie była tragedia - odparł Chihani. - Przykre, bardzo smutne wydarzenie, ale nie tragedia. Przypadkowa śmierć człowieka wykonującego swoje obowiązki nigdy nie jest tragedią.

Tamten zostawił żonę i dwoje małych dzieci, zauważył Franklin.

- Więc to jeszcze bardziej smutne, ale nie tragiczne.

Franklin zapytał, co Chihani sądzi o swoich uczniach w Aurelius College.

- Z młodością nieodłącznie wiąże się ignorancja. To normalne, młodość to przede wszystkim właśnie niewiedza. Zwykle zakłada się, że młodzi są zdolni do nauki. Tutejsi uczniowie są nie tylko pogrążeni w ignorancji, lecz również w apatii. Na szczęście niemal zawsze znajdzie się kilka chętnych osób, ich chęci zaś przekładają się zazwyczaj na inteligencję albo na gotowość, która musi ją zastąpić. Ci nieliczni są w stanie pociągnąć za sobą kolejnych. Tam, gdzie są plewy, zwykle można znaleźć także parę ziaren. Tutaj jest mnóstwo plew.

A inni wykładowcy?

- Są równie głęboko pogrążeni w ignorancji jak uczniowie, różnica polega na tym, że ich umysły zdążyły już skostnieć. W najlepszym razie są w stanie przekazywać informacje uważane powszechnie za użyteczne. Uczniowie potrafią przyswoić je sobie na tyle, na ile ta użyteczność

wiąże się z przyjemnością. Prawdziwa wiedza nie musi jednak mieć z nią nic wspólnego. Do jej przyswojenia niezbędna jest intelektualna sprawność słuchacza. Dlaczego Houari Chihani para się nauczaniem?

- Uczę, żeby pomóc młodym ludziom wziąć odpowiedzialność za świat i za siebie. Edukacja musi mieć jakiś cel. Zazwyczaj za ten cel uważa się zwiększone możliwości zarobkowania. To złudzenie połączone z innym złudzeniem: nieograniczonym wzrostem. Ja uważam, że celem edukacji powinny być odpowiedzialność i zmiany.

Czy przez zmiany Chihani rozumie rewolucję?

- To takie melodramatyczne słowo. Chodzi mi o odpowiedzialność za świat. Niewielka część ludzkości wykorzystuje większość, czyniąc z niej nieświadomych konsumentów. Pracują ciężko, lecz bez sensu, tylko po to, by kupować ubrania, samochody i zabawki, które mają ich rzekomo uszczęśliwić. Popadają w długi, stają się niewolnikami, szukają odprężenia w przemocy i sporcie. Rola wykształcenia jest minimalizowana, sztukę spycha się na margines. Alternatywę stanowi społeczeństwo ceniące jednakowo wszystkich swoich członków, poczuwające się do odpowiedzialności za nich i działające w poczuciu tejże odpowiedzialności. Społeczeństwo, które stara się zwalczać chciwość, ignorancję oraz prymitywne instynkty, a nie dostarczać pożywek do ich rozwoju.

Czy Chihani nazywa to marksizmem, chciał wiedzieć Franklin.

- Wiele spośród tych koncepcji można znaleźć u Marksa, ale tak jak teoria ewolucji wykroczyła daleko poza ramy określone przez Darwina, tak teoria ekonomii wykroczyła daleko poza ramy określone przez Marksa.

Ale przecież Chihani uczy o Marksie?

- Jego idee nie były niczym nowym. Niektóre z nich można odnaleźć nawet w Nowym Testamencie. Naszym zadaniem jest przygotowanie

młodych ludzi do życia w dwudziestym pierwszym wieku, a to znacznie bardziej skomplikowane niż nauczanie marksizmu.

A co pan Chihani sądzi o mieszkańcach Aurelius?

- Są pogrążeni we śnie i dobrze im z tym. Boją się świata, sen zaś pozwala im zapomnieć o lęku. Pewnego dnia jednak się zbudzą. Być może dlatego, że wydarzy się coś strasznego. Takie rzeczy często zdarzają się tam, gdzie panuje ignorancja. Gdzie wszyscy śpią.

Wywiad z Chihanim nikomu się nie spodobał. W jego świetle Roger Fielding i Priscilla Guerthen objawili się czytelnikom jako ludzie, którzy popełnili błąd, zatrudniając Chihaniego, to zaś przypomniało ludziom o innych błędach, które popełniali w przeszłości. We czwartek, jak tylko ukazała się gazeta - był to trzeci czwartek lutego - Harvey Shavers, prezydent Aurelius College, wezwał Rogera i Priscillę do swego gabinetu i przeczytał im na głos cały wywiad. Podobno było go słyhać aż w korytarzu. Harvey był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o głosie adekwatnym do postury, wyćwiczonym podczas niezliczonych publicznych wystąpień. Jego funkcja polegała głównie na zdobywaniu pieniędzy, zdawał więc sobie doskonale sprawę, jak utrudnione będzie miał zadanie w społeczności, którą jeden z nauczycieli, najogólniej mówiąc, mocno zlekceważył w oficjalnym wystąpieniu. Dla Shaversa bardziej niż autentyczna jakość liczyły się jej pozory. Wielokrotnie zdążył się już przekonać, iż ludzie obdarzeni talentem rzadko potrafią okiełznać swoje zdolności, co oznacza, że zbyt dużo mówią i czynią zbyt wiele zupełnie niepotrzebnego zamieszania. Znacznie łatwiej mieć do czynienia z milczącą przeciętnością, która udaje coś znacznie bardziej wartościowego.

Zawrzało również wśród nauczycieli. Czyż nie zakwestionowano ich zawodowych umiejętności? Robinson Smart, dziekan anglistyki, oznajmił, że nie będzie mógł stanąć przed uczniami dopóty, dopóki Chihani nie złoży publicznych przeprosin. Po dłuższym zastanowieniu grono

pedagogiczne doszło jednak do wniosku, że lepiej nie ustawiać Chihaniemu trybuny, z której mógłby wygłosić kilka kolejnych kąśliwych uwag. Zamiast tego podjęto uchwałę, że jego wypowiedzi zostaną ocenzone, gdyby jeszcze kiedyś przyszło mu do głowy podawać w wątpliwość kwalifikacje kadry nauczycielskiej Aurelius College.

Samorząd uczniowski posunął się krok dalej i wysłał trzyosobową delegację, która zażądała wyjaśnień.

- Czyżbyście uważali, że nie jesteście ignorantami? – zapytał Chihani.

Wywiązała się dyskusja na temat znaczenia słowa „ignorancja”. Chihani twierdził, że w żaden sposób nie deprecjonuje ono zdolności ani potencjału intelektualnego osoby, w stosunku do której zostało użyte. Sam na przykład gotów był ochoczo przyznać, że jest ignorantem jeśli chodzi o znajomość japońskiego.

- Powinniście szanować swoją ignorancję, ponieważ dzięki niej możecie się uczyć.

Siedzieli w jego gabinecie. Luty był tego roku wyjątkowo śnieżny, przez cały miesiąc nie padało tylko przez dwa dni. Ziemię przykryła ponadmetrowa warstwa białego puchu. Wydawało mi się, że za każdym razem, kiedy spoglądałem w okno, widziałem za szybą gnane wiatrem płatki śniegu.

- Mnie się nie podoba tylko to - odparła Sharon McGregor, sprawująca funkcję wiceprzewodniczącej samorządu - że pan uważa, że aby być weterynarzem, muszę znać historię Rosji.

- Ależ skąd! - zaprotestował Chihani. - Tylko wtedy, jeśli zamierzasz być dobrym weterynarzem.

Reakcje na zewnątrz college'u nie były tak silne, ale również gorzkie. Społeczność wiejską - hodowców krów i farmerów uprawiających kapustę - zawsze dzieliła od miejskiej jeśli nie przepaść, to przynajmniej szeroka szczelina. Farmerzy odnosili się nieufnie do miasta w ogóle, do college'u zaś w szczególności. Fakt, że Chihani czynił tego rodzaju niegrzeczne uwagi, tylko utwierdził ich w przekonaniu o słuszności takiego

stanowiska. Ten cały college to banda głupków, a jeden z nich dał temu dobitnie wyraz. Fakt, że był cudzoziemcem, niechrześcijaninem, a w dodatku marksistą, tylko pogorszył sytuację. Ci, którzy zainteresowali się sprawą, nie uważali go za normalnego człowieka. Jego czerwony samochód, beret oraz śniada skóra okazały się zbyt ekscentryczne. Przez jakiś czas dyskutowano o nim w nielicznych barach odwiedzanych przez farmerów, po czym uznano sprawę za zamkniętą. Wszyscy wiedzą, że łąjno cuchnie, ale przecież nikt nie rozprawia o tym w nieskończoność.

Gwałtowniej zareagowali ludzie z miasta. Wielu z nich uważało, że w Aurelius żyje się całkiem przyjemnie, a tymczasem ten marksista twierdzi, że bardziej kulturalnie jest nawet na biegunie północnym. W barach i pubach to rozgoryczenie przybierało niekiedy dość ekspresywne formy: ktoś powinien skopać mu dupę. W bardziej wyrafinowanych kręgach zwracano uwagę na całkowite niezrozumienie przez Chihaniego aspektów łączących się nierozdzielnie z życiem w społeczności. Lekarze, prawnicy i biznesmeni mówili o zaletach przyjaźni oraz więzów towarzyskich, dzięki którym wszystko toczyło się tak jak powinno. Nawet nauczyciele z Albert Knox Consolidated School zamierzali wysłać do Chihaniego list protestacyjny, chociaż ostatecznie odstąpiono od tego pomysłu.

Nawet jeśli Houari Chihani wiedział, jak bardzo stał się niepopularny, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Uczył tak jak do tej pory, przedstawiając swoje poglądy suchym, obojętnym tonem. Widywano go w śródmieściu i w centrum handlowym. Należał do osób, które koncentrują się wyłącznie na celu i nie rozpraszają gapieniem na ludzi ani przedmioty. Chihani patrzył zawsze prosto przed siebie, jakby otaczała go pusta przestrzeń. Czerwony citroen często przedzierał się przez śnieg w kierunku jego domu, potem z powrotem do college'u, potem do supermarketu albo sklepu przemysłowego. Byłoby lepiej, gdyby Chihani miał jakiś bardziej zwyczajny samochód, mały czerwony citroen

był bowiem jak ziarenko soli wcierane bez przerwy w rany społeczności. Pięć dni po opublikowaniu wywiadu Chihani wyszedł z zakupami z supermarketu i znalazł na przednim siedzeniu samochodu duży kamień, który został wrzucony tam przez przednią szybę. Włożył zakupy do bagażnika, wrócił do sklepu i zadzwonił na policję. Telefon odebrał mój kuzyn Chuck Hawley. Rzecz jasna po sprawcy nie pozostał najmniejszy ślad i było oczywiste, że Chihani dzwoni tylko po to, by dopełnić formalności zawartych w warunkach ubezpieczenia.

- Nie był nawet rozzłoszczony - opowiadał później Chuck. - Śnieg sypał mu się do auta, ale on nie zwracał na to uwagi. Złożył zeznanie, podpisał, i to wszystko. Zapytałem go, czy widział kogoś podejrzanego i czy ma wrogów. Czytałem wcześniej wywiad, ma się rozumieć. Powiedział, że nie ma najmniejszego powodu przypuszczać, że ma jakichkolwiek wrogów, a potem wsiadł do wozu i odjechał. Śnieg walił mu prosto w twarz. Musiało mu być cholernie zimno.

Nazajutrz Franklin i Sadie wpadli do mnie na herbatę. Na regałach w salonie trzymam między innymi książki, które w młodości czytywała moja matka; Sadie wzięła sobie *Understood Betsy* i usiadła z podwinętymi nogami w starym fotelu. Kasztanowe włosy spływały po obu stronach jej twarzy. Wysoka i koścista, była bardzo podobna do ojca. Postawiłem na stoliku talerz z ciasteczkami posypanymi cukrem. Brała ciasteczko, zjadała je małymi kęsami, a następnie sięgała po następne. Podczas całej wizyty powiedziała tylko „dobry wieczór”, „dziękuję” i „dobranoc”.

Franklin był tak podekscytowany, że nawet nie usiadł. Z jednej strony odczuwał wyrzuty sumienia z powodu wywiadu, z drugiej zaś - wyrzuty te ogromnie go irytowały, fakt bowiem, że się pojawiły, sugerował, iż został popełniony błąd w sztuce dziennikarskiej.

- Nie zmieniłem ani nie dodałem słowa do tego, co powiedział! - powtarzał. - Jeśli już, to raczej starałem się łagodzić, co się dało. Nie chciałem, żeby wyszedł na fanatyka.

Miał na sobie stary, sięgający do kolan kożuch, na szyi długi niebieski szalik z dwoma czerwonymi pasami, w ręce trzymał irlandzki rybacki kapelusz, którym co chwila uderzał o kolano, strząsając z niego krople wody. Musiało mu być gorąco, lecz w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Spod grubych, głęboko żłobionych podeszew co chwila odrywały się grudki śniegu i roztopiały na tureckim dywanie mojej babki Francine. Z pewnością chętnie by zapalił, wiedział jednak, że nikomu nie pozwalałam palić w moim domu. Sadie od czasu do czasu podnosiła głowę, uśmiechała się do niego, po czym wracała do lektury.

- W każdym mieście żyją najrozmaitsi ludzie - ciągnął Franklin. - Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy mieli na wszystko jednakowe poglądy. Poza tym, skoro dochodzi do takich kontrowersji, to chyba nikt nie może powiedzieć, że panuje tu gnuśna i senna atmosfera!

To nie były jednak kontrowersje, tylko gniew i niechęć. Choć zdecydowana większość tych uczuć była skierowana do Chihaniego, ludzie doskonale zdawali sobie sprawę, kto umożliwił mu publiczną prezentację poglądów. Gdyby Franklin nie przeprowadził z nim wywiadu, mało kto wiedziałby o tym, że wśród nas zamieszkał zdeklarowany marksista.

Franklin ściągnął szalik i rzucił go na kanapę. Odniosłem wrażenie, że to przemyślany gest - może nie wystudiowany, ale i nie do końca spontaniczny. Gest człowieka nie całkiem pewnego, kim naprawdę jest, który decyduje się skorzystać z zapożyczonego gestu, jego zdaniem najlepiej pasujące do sytuacji.

- Praca dziennikarza polega na tym, żeby zmuszać ludzi do myślenia. Mógłbym pisać same miłe rzeczy, na które oni nie zwracaliby najmniejszej uwagi, ale to by oznaczało, że nie robię tego, co powinienem.

Spytałem go, co zamierza zrobić w sprawie wybitej szyby.

- Napiszę o tym we wstępniaku.

I tak uczynił. W numerze, który ukazał się w pierwszy marcowy czwartek, Franklin zaatakował nie tylko sprawcę dewastacji samochodu Chihaniego, lecz także tych, którzy uważali, że ten akt wandalizmu był usprawiedliwiony. „Jeśli my jako społeczność miasteczka w ogóle możemy mówić o jakimkolwiek bogactwie, to z pewnością polega ono na naszej różnorodności. Różnimy się od siebie i powinniśmy być z tego dumni... Człowiek, który uderzył kamieniem w szybę samochodu Houariego Chihani, uderzył w naszą dumę... Powinniśmy się cieszyć, że Chihani jest wśród nas, ponieważ dzięki niemu możemy się sobie przyrzec i przekonać się, co warto poprawić”.

Wątpię, żeby jego artykuł przyczynił się do poprawy atmosfery. „Franklin znowu grozi nam palcem”, usłyszałem w pokoju nauczycielskim od jednego z kolegów. Należałoby raczej pominąć sprawę milczeniem i pozwolić, żeby ludzie zapomnieli o Chihanim, Franklin jednak przyjął odmienną taktykę. Ponieważ bał się jak ognia podejrzeń o tchórzostwo, a więc, w swoim mniemaniu, również o nieprofesjonalizm, zaczął pytać Chihaniego o zdanie na temat różnych wydarzeń nie tylko w mieście, ale także w świecie. Nie czynił tego regularnie, niemniej w swoich artykułach dość często powoływał się na opinie Chihaniego. W zdecydowanej większości były zupełnie niewinne - na przykład w trakcie dyskusji o reformie ubezpieczeń zdrowotnych Chihani powiedział tylko tyle, że każde cywilizowane państwo powinno dbać o swych obywateli - czasem jednak wywoływały zaniepokojenie, aż wreszcie stały się jeszcze bardziej jątrzące niż wszystko, co Chihani powiedział w wywiadzie.

Nieprawdziwe byłoby wszakże stwierdzenie, że jego uwagi wywoływały powszechny gniew. Kilka osób gorąco im przyklaskiwało - mowa oczywiście o założonym przez niego kółku zainteresowań. Tropiciele Prawdy było wtedy pięcioro. Wszyscy chyba pamiętamy z lat szkolnych takie niewielkie, wyalienowane grupki. Zasady ich powstawania najlepiej objaśniały podręczniki psychologii. Nieśmiali, krostowaci, rozgoryczeni...

Można było odnieść wrażenie, że łączyli się po to, żeby wspólnie z czymś walczyć, a nie do czegoś dążyć.

Do grupy Chihaniego należeli między innymi bracia Jesse i Shannon Levine, odpowiednio z drugiego i trzeciego roku, deskorolkowi nihilisci, słuchający z radiomagnetofonów muzyki składającej się w znacznej części z białego szumu. Jasne włosy mieli związane w kucyki i byli potwornie wychudzeni, w związku z czym ich kolana i łokcie wydawały się nieproporcjonalnie duże. Na rękach i ramionach nosili wykonane domowym sposobem imitacje więziennych tatuaży: lakoniczne przesłania miłości i nienawiści, anarchii i niezadowolenia. Chodzili wyłącznie w dżinsach, T-shirtach oraz wielkich koszykarskich butach z rozwiązanymi sznurowadłami. Ich ojciec wykładał psychologię na uniwersytecie stanowym w Cortland. Zanim związali się z Chihanim, groziło im wyrzucenie z college'u, on jednak zdołał zmobilizować ich na tyle, że zdołali osiągnąć średnią ocen trzy. Skanalizował również ich niezadowolenie. Teraz byli w stanie poprzeć swoją wściekłość rzeczowymi argumentami. Ich bunt nabrał intelektualnego wymiaru, stał się bardziej racjonalny.

Widywałem Jessego i Shannona w mieście. Nowa wiara dodała im pewności siebie, otoczyła nawet jakby aurą wyższości. Przejęli od Chihaniego zwyczaj wpatrywania się w jakiś odległy punkt, zachowywania się w taki sposób, jakby byli sami na świecie. Deskorolki zamienili na książki, które im podsuwał, a następnie wyjaśniał. Traktowali nas jako chciwą, zaślepioną, ciemną masę. Między sobą porozumiewali się żargonem niezrozumiałym dla nieoświeconych. Wywiad udzielony przez Chihaniego uznali za atak wymierzony w pogrążone w otępiającym śnie społeczeństwo i z nadzieją wyglądali kolejnych bitew. Uważali się za żołnierzy, w związku z czym zaczęli nosić ciemne, niby-paramilitarne stroje, i nawet sznurowali buty.

Wśród Tropicielei Prawdy był również Leon Stahl, cierpiący na nadwagę młody człowiek, który przespiał całe dnie, czytał zaś i dyskutował

w nocy. Nigdy nie rozstawał się z dwulitrową butelką coca-coli. Miał okrągłą przyszczatą twarz i nieduży czarny wąsik, nosił białe koszule o zupełnie zszarzałych kołnierzykach i plamach na plecach. Traktował swoją brzydotę jako oręż w walce z konwencjami, chociaż gdyby zrzucił jakieś pięćdziesiąt kilogramów, byłby całkiem przystojny. Cierpiał na zadyszkę, dlatego też otrzymał klucz do wind, z których mogli korzystać tylko nauczyciele i niepełnosprawni. Zanim poznał Chihaniego, jego ulubioną książką była *Złota gałąź*; teraz zaczytywał się książkami i czasopismami Chihaniego i uczył się na pamięć całych akapitów. Był zapałonym dyskutantem, znanym z tego, że nigdy się nie poddaje. Kiedyś wciągnął dwóch uczniów do trwającej dwadzieścia sześć godzin debaty o absurdach koncepcji prywatnej własności ziemi. Na pierwszym roku zapisał się do kółka dyskusyjnego, na drugim został jego przewodniczącym, na trzecim - skreślono go z listy członków. Nosił mocne, poplamione tłustymi paluchami szkła w cielistych oprawkach. Pochodził z Dunkirk, na południe od Buffalo, gdzie jego rodzice byli nauczycielami w szkole średniej.

Czwartym uczestnikiem był Jason Irving - wysoki, szczupły młodzieniec, którego podejrzewałem o to, że jest gejem, który jednak później przyznał mi się do całkowitej abstynencji seksualnej. Zapalał papierosa od papierosa i wypijał hektolitry kawy. Grywał w szachy na czas. Chętnie się swoimi długimi włosami i bez przerwy je cesał. Lubił przesiadywać godzinami u McDonald'sa i czytać *Kapitał*. Wręcz nadużywał „proszę” i „dziękuję”, lecz poza tym niewiele można było od niego usłyszeć. Na wszystkich palcach, kciuków nie wyłączając, nosił tandetne sygnety. Był dobrym uczniem, w przyszłości zamierzał kontynuować edukację historyczną. Przed przyłączeniem się do Tropicielei Prawdy nauczył się na pamięć zdania „Mały czarny królik ukradł żółty rower grubemu garbusowi” w dwudziestu sześciu językach, w tym również po persku.

Tak daleko sięgały jego intelektualne ambicje, które później zogniskował na marksizmie.

Piątym członkiem grupy była młoda kobieta z trzeciego roku, Harriet Malcomb. Pochodziła z Binghamton, miała długie, rozpuszczone czarne włosy i cieszyła się opinią bardzo urodziwej. Wychudzona do granicy anoreksji, nigdy się nie uśmiechała. Jej bladą twarz zawsze pokrywał kredowobiały makijaż, w związku z czym przypominała krewną rodziny Addamsów. Krążyły plotki, jakoby w dzieciństwie została wykorzystana seksualnie przez starszego kuzyna. Kiedy zapytałem, skąd biorą się te pogłoski, dowiedziałem się, że to ona je rozpowszechnia. Radykalna feministka, ubierała się jednak wyzywająco, prezentując nogi i piersi. Często flirtowała z młodymi mężczyznami, a następnie porzucała ich, doszukawszy się jakichś wad. Być może „flirt” to zbyt mocne słowo: dawała do zrozumienia, że jest dostępna, kiedy zaś chłopak usiłował z tego skorzystać, natychmiast stawała się całkowicie nieosiągalna, po czym atakowała go za sam fakt, że odważył się do niej zbliżyć, jakby świadczyło to o jego seksizmie albo nawet zezwierzęceniu. Można było odnieść wrażenie, iż nie tylko nie lubi mężczyzn, lecz również czyni wszystko, by przedstawić ich w jeszcze gorszym świetle. Przyjaźniła się blisko z Jasosem Irvingiem - do tego stopnia, że często ubierali się w identyczne czerwone jedwabne koszule i workowate spodnie koloru khaki. Leon Stahl uważał, że się w niej kocha, i posapując, chodził za nią jak pies. Zazwyczaj traktowała go łagodnie i posyłała po papierosy albo gumę do żucia - były to chyba jedyne okazje, kiedy biedaczysko mógł zaznać odrobiny ćwiczeń fizycznych. Jesse i Shannon wydawali się całkowicie odporni na jej wdzięki.

Tych pięcioro uczniów utworzyło grupę, która przyjęła nazwę Tropicieli Prawdy. Spotykali się co tydzień w niewielkim domu Chihaniego przy Mapie Street i omawiali lektury - głównie podstawowe teksty z teorii marksizmu. W chwili, kiedy wywiad ukazał się drukiem, Chihani

uczył w college'u dopiero od siedmiu tygodni, a więc fakt, że udało mu się zgromadzić nawet tak nieliczne grono współwyznawców, był ze wszech miar godny uwagi.

Tropicielom Prawdy wywiad sprawił ogromną satysfakcję. Do tej pory na twarzach tych młodych ludzi najczęściej gościły ironiczne uśmiechy lub grymasy niezadowolenia, teraz zaś pojawiła się autentyczna radość. Świat wreszcie zrozumie, że należy się z nimi liczyć. Kiedy krótko potem doszło do dewastacji samochodu Chihaniego, byli gotowi zorganizować pikietę przed ratuszem i zapewne uczyniliby to, gdyby Chiha ni nie zdołał im tego wyperswadować.

W ciągu tygodnia po ukazaniu się wywiadu do Tropicieli Prawdy przyłączyło się pięć kolejnych osób, w tym czworo z college'u: studiujący biologię Barry Sanders z Aurelius; Bob Jenks i Joany Rustoff z ostatniego roku, nierozłączni od czasów wspólnej nauki w szkole średniej w Utice; Oscar Herbst, student historii z Troy. Był na drugim roku i ubolewał nad tym, że marksizm jest tak straszliwie niedoceniany. Ta czwórka była młoda, zdezorientowana i przeciętna, przy tym zaś ogólnie zniechęcona, co czyniło ją nadzwyczaj podatną na ideologię głoszoną przez Chihaniego. Z piątym nowym członkiem grupy sprawy miały się zupełnie inaczej. Po pierwsze, nie miał nic wspólnego z naszą szkołą. Chociaż urodzony i wychowany w Aurelius, uczęszczał do college'u w Buffalo. Po drugie, był znacznie starszy - miał około dwudziestu trzech lat - i wrócił do miasta po ponadrocznej nieobecności. Nazywał się Aaron McNeal, a jego ojciec, Patrick, uczył kiedyś ze mną w szkole średniej.

5

Niewiele osób przyjęło z entuzjazmem powrót Aarona McNeala do Aurelius. Znaliśmy poplątaną historię jego życia, byliśmy świadomi przygnębiających szczegółów z życia jego rodziców, wiedzieliśmy, jaki okrutny koniec spotkał jego matkę. Nie byliśmy szczęśliwi, że wrócił, by nam o tym wszystkim przypomnieć.

Matka Aarona, Janice, odeszła od męża, kiedy Aaron miał sześć lat, nie wyprowadziła się jednak z miasta, lecz kupiła dom zaledwie dwie przecznice dalej, przy Hamilton Street, żeby być blisko syna. Tak przynajmniej mówiła. Prawo do opieki nad dzieckiem sąd przyznał Patrickowi, głównie ze względu na seksualne wyczyny jego żony, z których zresztą nie robiła żadnej tajemnicy. W wyczynach tych niemalą rolę odgrywali prominentni mieszkańcy naszego miasta łącznie z sędzią Marshalllem, który w związku z tym został wykluczony ze składu sędziowskiego orzekającego w sprawie McNealów. Niektórzy podawali nawet w wątpliwość, czy Patrick na pewno jest ojcem Aarona; według krążącego po mieście dowcipu miał być jedynym mężczyzną w Aurelius, z którym Janice nie miała kontaktów seksualnych.

Janice była drugą żoną Patricka. Sporo od niej starszy, ożenił się z kobietą z Uтики o imieniu Rachel albo Roberta - nigdy nie mogłem zapamiętać. Miał z nią córkę, Paulę, która - jeśli wierzyć docierającym do mnie pogłoskom - po przyjściu Aarona na świat najczęściej nim się opiekowała. Niektórzy twierdzili, że do takiego a nie innego postępowania skłoniły Janice zazdrość o pierwszą żonę Patricka oraz niechęć do

Pauli, choć nie wydaje mi się, by Janice potrzebowała jakichkolwiek pretekstów. Kipiała energią, mąż zaś najzwyczajniej w świecie ją nudził, chociaż niewykluczone, że darzyła go taką samą sympatią, jaką darzy się starszego brata.

Po separacji w dalszym ciągu otaczała się licznymi przyjaciółmi. Pracowała jako technik w laboratorium firmy farmaceutycznej z Norwich, na szczęście stamtąd właśnie pochodziła znaczna część jej kochanków, znajdowali się więc poza zasięgiem naszych plotek. Aaron na dobrą sprawę mieszkał w obu domach, chociaż oficjalnie przebywał pod opieką ojca. Paula nie utrzymywała niemal żadnych kontaktów z macochą, co zdawało się potwierdzać plotki o niechęci, jaką czuła do niej Janice. Często widywałem się z Patrickiem w szkole i było mi go bardzo żal. Uczniowie doskonale wiedzieli o wyskokach Janice i z sadystyczną przyjemnością przypominali mu o tym przy każdej okazji. Podobno kiedyś z jej usług skorzystali nawet trzej chłopcy z ostatniego roku - a przynajmniej tak twierdzili. W miasteczkach takich jak nasze różnica między tym, co wydarzyło się naprawdę, a tym, co nie miało miejsca, ale o czym się mówi, prawie nie istnieje. Najprawdopodobniej ci trzej młodzi ludzie nigdy nawet nie zbliżyli się do Janice, w kontekście plotek nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Można by pomyśleć, że Janice była oszałamiającą piękną; nieprawda. Była niska, przy kości, z dużymi ustami. Kiedy się śmiała, odsłaniała wszystkie zęby. Kąciki zielonkawych oczu były lekko uniesione, nos grubawy, podbródek wystający. Końce krótko ostrzyżonych ciemnych włosów zawijały się poniżej brody. Chyba nie jestem najlepszym sędzią kobiecych wdzięków, niemniej dziwiło mnie, że tak bardzo podoba się mężczyznom. Dobrze się ubierała, nosiła z godnością, a mimo to sprawiała na mnie wrażenie osoby nieco tandetnej.

Gdyby Patrick zdołał zapomnieć o swojej byłej żonie, jego życie z pewnością potoczyłoby się mniej krętymi ścieżkami, lecz on najwyraźniej wciąż

ją wielbił i każda rozmowa na jej temat sprawiała mu ból. Chuck Hawley, mój kuzyn zatrudniony w policji, spotkał go kiedyś przed jej domem o drugiej w nocy. zaproponował, że odwiezie go do domu, Patrick jednak odmówił. Podobno płakał. Chuck opowiadał o tym tak, jakby to był doskonały dowcip. Zapytałem, czy wyczuł od Patricka alkohol, ale Chuck zaprzeczył. „Był trzeźwy jak gwizdek”.

Ludzie spodziewali się, że albo Patrick, albo Janice wyjadą z Aurelius, ale żadne z nich się na to nie zdecydowało. Można było odnieść wrażenie, że choć rozwiedzeni, to wciąż są dla siebie najważniejszymi partnerami, jakby ona uwielbiała się nad nim znęcać, on zaś z rozkoszą poddawał się torturom - oczywiście gdyby ich o to zapytać, bez wątpienia stanowczo by zaprzeczyli.

Nawet jeżeli Aaron cierpiał z tego powodu, to nie dawał tego po sobie poznać. Przynajmniej początkowo. Być może mógł to zawdzięczać swojej przyrodniej siostrze Pauli, która bardzo go kochała. Był pogodnym małym chłopcem, zwracającym się do wszystkich po imieniu, ładnie ubranym, zadbanym i czystym, ze starannie uczesanymi jasnymi włosami i uśmiechniętą piegowatą twarzą. Jeszcze w podstawówce zatrudnił się jako roznosiciel gazet; rozwoził je na rowerze, w towarzystwie goniącego za nim co sił w łapach spaniela imieniem Jefferson. Miał niewielu przyjaciół, ale równocześnie nie wyglądał na kogoś, komu by ich brakowało. Naturalnie było to nieprawdą, wszyscy bowiem potrzebują przyjaciół, jemu jednak wystarczało własne towarzystwo, mało kto więc się o niego niepokoił, a nawet jeśli, to szybko zapominał. Dopiero poniewczasie ludzie przypomnieli sobie, jakim był samotnikiem, i próbowali wyciągnąć spóźnione wnioski.

Aaron z pewnością wiedział o obyczajach matki, gdyż ta bynajmniej nie starała się ukryć związków z kolejnymi przyjaciółmi, inne dzieci zaś naigrawały się z niego bezlitośnie. Uczyłem go fizyki w klasie ósmej i biologii w dziesiątej. Był bardzo bystry, zawsze chętnie zgłaszał się do wszystkich dodatkowych zadań. Wydawało mi się, że lada dzień poznam

go bliżej, wciąż jednak wiedziałem o nim tyle samo co w pierwszym dniu szkoły.

W wieku lat szesnastu Aaron osiągnął sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i przestał dalej rosnąć. Jasne blond włosy zmieniły się w jasnokasztanowe, był szczupły, ale nie kruchy: miał ciało gimnastyka, choć nie uprawiał żadnego sportu, jeśli nie liczyć jazdy na rowerze. Byłby przystojny, gdyby nie zbyt blisko osadzone oczy, przez co odrobinę przypominał rybę. Na lewym policzku miał niewielką bliznę w kształcie litery L, pamiątkę po ugryzieniu przez psa. Pewnego dnia podczas rozwożenia gazet malamut Lou Hendricksa zaatakował Jeffersona. Trzynastoletni wówczas Aaron pospieszył mu z pomocą, lecz ogarnięty paniką Jefferson ugryzł go w policzek. Chłopcu założono szwy, blizna jednakże pozostała. Szczególnie rzucała się w oczy wtedy, gdy ogarniał go gniew: cała twarz bladła, blizna natomiast czerwieniała.

Kiedy Aaron był w ósmej klasie, jego matka przysłała kiedyś na wywiadówkę. Nie powiem, żeby otwarcie ze mną flirtowała, niemniej czułem się w jej towarzystwie trochę niepewnie. Wpatrywała się we mnie lekko skośnymi oczami, tak że w końcu musiałem odwrócić wzrok. Oczywiście wiedziałem o jej reputacji. Wywiadówki w naszej szkole wyglądały w ten sposób, że rodzice chodzili od nauczyciela do nauczyciela, rozmawiając z każdym przez kilka minut. Janice zaczęła co prawda od pytania o postępy syna w nauce, ale jak tylko dowiedziała się, że Aaron radzi sobie doskonale, zaczęła mnie wypytywać o życie w Nowym Jorku. Widocznie ktoś jej powiedział, że kiedyś tam mieszkałem. „Dlaczego wrócił pan do Aurelius?”, powtarzała kilka razy. Byłem bardzo zadowolony, kiedy wreszcie ustąpiła miejsca następnemu rodzicowi. Dwa lata później nie zjawiała się w szkole ani razu. Rzecz jasna widywałem się często z Patrickiem, który świetnie wiedział, że jego syn jest dobrym uczniem.

Dorastanie to okropny okres. Dostrzegamy przede wszystkim tych młodych ludzi, którzy zachowują się niewłaściwie i w ten sposób zwracają

na siebie uwagę, a przecież są też inni, równie ciężko doświadczeni, którzy nie otrzymują żadnej pomocy z tego prostego powodu, że milczą. Podejrzewam, że Aaronowi było równie ciężko jak wszystkim jego rówieśnikom, dopiero jednak w ostatniej klasie po raz pierwszy odsłonił rąbek czegoś, co niektórzy uznali za jego ciemną stronę. Być może nawet wtedy byśmy tego nie dostrzegli, gdyby nie inny chłopiec, Hark Powers, jeden z jego długoletnich dręczycieli.

Hark Powers należał do młodzieńców, którzy przodują w sporcie i w prześladowaniu innych, i w niczym więcej. Być może zazdrościł Aaronowi uzdolnień, być może naprawdę był oburzony postępowaniem matki Aarona. Tak czy inaczej, w dziesiątej klasie dokuczał mu przy każdej okazji. Na lekcjach biologii musiałem sadzać ich w przeciwległych kątach sali. Na koniec roku Aaron dostał piątkę, Hark zaś dwóję. Nie dostałby świadectwa, gdyby trener Pendergast nie przekonał mnie, że jego pupil jest niezbędny dla drużyny.

Hark Powers był cięższy od Aarona co najmniej o trzydzieści kilogramów. Pochodził z farmerskiej rodziny i był najmłodszym z pięciu braci, którzy z trudem wspinali się po szczeblach drabiny edukacji. Chodził w dżinsowych spodniach i kurtce, miał długie, zawsze brudne włosy oraz czarne wysokie buty motocyklowe z łańcuszkami. Nic nie bawiło go tak jak postępowanie matki Aarona. Fakt, że ojciec Aarona był nauczycielem, nastrajał go jeszcze bardziej bojowo. Zdarzało się, że nawet podczas lekcji nucił „Ciekawe, kto rżnie ją teraz” na melodię jakiegoś westernowego standardu.

Między chłopcami dochodziło do wielu incydentów. Kiedyś Hark włożył do tylnej kieszeni spodni Aarona niedopałek papierosa, który wypalił w nich dużą dziurę. W stołówce wielokrotnie oblewał go lub obsypywał jedzeniem. Nie było tygodnia bez jakiejś złośliwości: otwartych szyderstw, porozumiewawczych mrugnięć, rozsyłania po klasie liścików z przejrzystymi aluzjami.

Mógłbym mnożyć przykłady w nieskończoność. Doszło do tego, że Aaron przestał przyjeżdżać do szkoły rowerem, żeby Hark mu go nie zniszczył.

Znosił wszystko ze stoickim spokojem. Strzepywał resztki jedzenia z ubrania, polewał wodą płonąca kieszeń, nie zwracał uwagi na zaczepki. Jego powściągliwość ośmieliła kilku innych chłopców, większość jednak nie niepokoiła go w żaden sposób - nie z dobroci serca, lecz dlatego, że był taki dziwny. Traktowano go tak przez kilka lat: prześladowania nie były ani na tyle poważne, żeby sprowokować władze szkolne do interwencji, ani na tyle błahe, żeby całkiem przejść nad nimi do porządku dziennego.

W szkole średniej w Aurelius znajduje się coś w rodzaju świetlicy połączonej z kawiarenką, gdzie po lekcjach uczniowie mogą pograć w gry wideo albo coś przekąsić lub wypić - zazwyczaj ciastko i czereśniową colę. Do dyspozycji mają również młodzieżowe czasopisma oraz szafę grającą. Niekiedy w pomieszczeniu gromadzi się nawet trzydzieścioro dzieciaków. Hark odwiedzał to miejsce niemal codziennie, Aaron natomiast nigdy się tam nie pojawiał.

Któregoś majowego popołudnia, około czwartej, Aaron niespodziewanie zjawił się w świetlicy. Wcześniej tego samego dnia w stołówce doszło do kolejnego incydentu: Hark wylał do spaghetti Aarona całą zawartość szklanki z gazowanym napojem pomarańczowym. Zdarzenie mogło wydawać się mało istotne, Hark bowiem dopuszczał się już znacznie gorszych czynów, niemniej należy pamiętać, że takie postępowanie trwało już od dość dawna. Później słyszałem opinie ludzi, którzy uważali, że Aaron zdążył się już do tego przyzwyczaić - zupełnie jakby można było przyzwyczaić się do nieustannego bycia ofiarą.

- Oto nasz dziwkowy synalek! - wykrzyknął na jego widok Hark. Siedział przy stoliku z Cindy Loomis, swoją dziewczyną, oraz jeszcze dwoma chłopcami. Wszyscy mieli wielką ochotę na dobrą zabawę.

Aaron był ubrany w białą koszulę i spodnie khaki - istotny szczegół, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę dalszy przebieg wydarzeń. Cindy powiedziała mi później, że się uśmiechał. Może nie był to przyjazny uśmiech, ale też nie zwiastował niczego niedobrego.

- Opowiedz nam, jak twoja matka robi to z marynarzami! - zaproponował Hark, strząsając na podłogę popiół z papierosa.

Aaron zbliżył się jakby nigdy nic. Cindy mówiła mi, że spodziewali się jakiejś odpowiedzi, może również żartu. Dotarliśmy do stolika, mrugnął do Harka, a następnie pochylił się, jakby zamierzał powiedzieć mu coś w tajemnicy. Zaskoczony Hark przysunął się, nastawiając ucha. Do tej pory Aaron nigdy nie odezwał się do niego ani słowem. Gdyby było inaczej, Hark może powściągnąłby swoją ciekawość.

Aaron i tym razem nic nie powiedział, tylko chwycił zębami ucho Harka i zacisnął szczęki. Hark wrzasnął przeraźliwie. Kopnął w stolik, rzucając szklanki na podłogę, złapał Aarona za koszulę; ból jednak musiał być porażający. Aaron zaczął się cofać, ściągając Harka z krzesła. Trzymał w ustach większą część jego ucha. Hark próbował uderzyć nastpnika, lecz bez powodzenia, prawie całą uwagę poświęcał bowiem donośnym krzykom. Pokonali w ten sposób kilka metrów, po czym Aaron zacisnął zęby jeszcze mocniej i z całej siły pchnął Harka. Hark zatoczył się pod ścianę, przyciskając obie ręce do krwawiącego ucha, Aaron zaś zatrzymał się przy drzwiach i wyjął coś z ust. Była to znaczna część, co najmniej trzy czwarte, małżowiny Harka.

- Oddaj to! - wykrzyknął właściciel lokalu.

Prawdopodobnie przypuszczał, że ucho będzie można przyszyć.

Naturalnie wszyscy pozostali także krzyczeli.

Aaron włożył ucho z powrotem do ust i zaczął przeżuwać. Jego biała koszula była schlapana krwią Harka. Sam Hark leżał na podłodze z podkulonymi nogami i darł się wniebogłosy. Cindy klęczała przy nim, większość uczniów jednak gapiała się na Aarona przeżuwającego ucho

Harka. Wreszcie wypluł je - upadło z wilgotnym plaśnięciem na białą terakotową posadzkę. Według jednego ze świadków przypominało sztuczne woskowe usta, które można sobie przykleić na Halloween: bezkształtna różowa grudka leżąca na podłodze tuż obok porzuconej przez kogoś zielonej słomki.

Aaron jak gdyby nigdy nic oblizał się i spokojnie potoczył wzrokiem po obecnych. Właściciel wezwał policję.

Aarona zwolniono z aresztu dopiero po kilku godzinach. Kaucję zapłacił ojciec. Od tej pory syn zaczął go całkowicie ignorować. Nigdy nie widywano ich razem, w szkole Aaron mijał Patricka z kamienną twarzą. Chuck Hawley powiedział mi, że kiedy Patrick zjawiał się na posterunku, Aaron nawet nie rzączył na niego spojrzeć.

Chociaż groziło mu oskarżenie o napaść i uszkodzenie ciała, sprawa nie trafiła przed sąd. Wiele osób opowiedziało o szykanach, jakich doświadczał ze strony Harka. Stało się oczywiste, że nie zostanie skazany. Zamiast tego skierowano go do psychologa. Uczył się w domu, musiał wypełniać rozmaite testy. Był doskonałym uczniem i miał już pewne miejsce w college'u w Buffalo. Chodziło o to, by trzymać go z dala od szkoły, ponieważ nikt nie wiedział, co strzeli mu do głowy.

Hark również przestał uczęszczać na zajęcia. O przyszyciu ucha nie mogło być mowy, ponieważ Aaron przeżył je na miązgę. Jako dowód rzeczowy ucho trafiło do słoja z formaliną. Stało się główną atrakcją naszego posterunku; podobno policjanci z innych miast, a nawet funkcjonariusze policji stanowej przyjeżdżali specjalnie po to, by je obejrzeć.

Aaron poszedł wreszcie do college'u, Patrick wciąż uczył, Janice pracowała w Norwich i miała kolejnych przyjaciół. Latem spotkałem Harka na ulicy. Tam, gdzie kiedyś było ucho, miał gruby opatrunek. Później rana się zabiłżniła, Hark zapuścił dłuższe włosy. Nie wiem, czy nie było

sposobu, żeby zrekonstruować brakującą część małżowiny, czy po prostu tego nie chciał. Patrick z pewnością zapłaciłby za operację.

Aaron znikł na trzy lata. Przypuszczam, że gdyby nie śmierć matki, nigdy by do nas nie wrócił. Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że małe miasteczko jest jak rodzina. Nawet zupełnie obcy ludzie uczestniczą w twoich doświadczeniach. Jeździmy tymi samymi ulicami, robimy zakupy w tych samych sklepach. Ja byłem chyba najbardziej obcy spośród wszystkich obcych, a jednak śmierć Janice w brutalny sposób wtargnęła i do mojego życia. Sprawiała, że inaczej patrzyłem na świat i na sąsiadów. Jeśli na mnie wpłynęła w ten sposób, to inni zostali nią dotknięci jeszcze mocniej. Rzecz jasna, nie była to zwyczajna śmierć, tylko morderstwo.

Ciało Janice znalazła Megan Kelly, która w każdą środę o dziesiątej rano przychodziła do niej sprzątać. Była połowa października, włączono już ogrzewanie, w domu było gorąco. Trzy koty Janice - dwa czarne i jeden biały w drobne czarne łatki - szalały. Dawno zjadły to, co miały w miskach, i były potwornie głodne. Ludzi dziwiło, że sąsiadów nie zaalarmowały ich wrzaski, sąsiedzi jednak twierdzili, że przyzwyczaili się do hałasów dobiegających z domu Janice.

Pani Kelly była mocno zbudowaną sześćdziesięcioletnią kobietą. Mówiła, iż zorientowała się, że coś jest nie w porządku, jak tylko otworzyła drzwi. Naturalnie od razu zwróciła uwagę na zachowanie kotów, utrzymywała jednak, że poczuła niezbyt jeszcze wyraźną woń ciała we wczesnej fazie rozkładu. Jeden z kotów natychmiast uciekł, dwa pozostałe owinęły się wokół jej nóg, mało jej nie przewracając. Pani Kelly powiesiła palto w szafie w hallu, wyjęła odkurzacz, posprzątała hall. Koty cały czas kręciły się w pobliżu, co bardzo ją zdziwiło, zazwyczaj bowiem uciekały przed hałasem. Janice należała do kobiet lubiących „żywe” pomieszczenia: na pokrytych żółtymi i różowymi tapetami ścianach wisiały reprodukcje francuskich obrazów z kwiatami i mnóstwem światła: Matisse i Bonnard, zwłaszcza ten drugi. Meble były solidne, ciężkie, z bladokwiecistą tapicerką, dywan zaś w fioletowe i żółte trójkąty.

Kiedy pani Kelly przeszła z odkurzaczem do salonu, natychmiast zobaczyła ciało. Janice leżała na wznak między kanapą a kominkiem. Miała na sobie niebieski aksamitny szlafrok, przypuszczalnie własność

któregoś z jej solidniej zbudowanych przyjaciół. Rozchylone poły szlafroka odsłaniały nagie ciało. Twarz Janice była sina, oczy szeroko otwarte i wybaluszone, jakby wpatrywała się z natężeniem w coś stojącego na okapie kominka. Została uduszona, lecz nie to było najgorsze; najgorsze według pani Kelly było to, że ucięto jej lewą dłoń. Z kikuta sterczała kość „jak biały patyk w kałuży krwi”. W pierwszej chwili pani Kelly pomyślała, że rękę pożarły wygłodniałe koty, okazało się jednak, że było inaczej.

Pani Kelly pobiegła do sąsiadów, by wezwać policję. W ciągu dziesięciu minut zjawiły się trzy radiowozy, czyniąc na Hamilton Street największe od wielu lat zamieszanie. Dowodzenie objął Ryan Tavich, czterdziestokilkuletni, cieszący się powszechną sympatią oficer. Kłopot polegał na tym, że on również, i to wcale nie tak dawno temu, był kochankiem Janice.

To właśnie stanowiło największy problem: kochankowie Janice. Kiedy po upływie dwudziestu czterech godzin nie udało się schwytać sprawcy, uwaga prowadzących śledztwo siłą rzeczy skupiła się na tych mężczyznach. Niektórzy mieli rodziny i widywali się z nią potajemnie; teraz ich życie przewróciło się do góry nogami. Stali się podejrzanymi albo co najmniej potencjalnymi podejrzanymi. Nie o wszystkich wiadano, należało więc liczyć się z tym, że pozornie niemający nic wspólnego ze sprawą także byli w nią zamieszani. Kwestia ta stała się tematem wielu dyskusji oraz mocno przesadzonych domysłów.

Komendant Schmidt zadzwonił do szeryfa z Potterville, ten zaś zawiadomił policję stanową. Ryana, przynajmniej naszym zdaniem, potraktowano po macoszemu. Był dużym, zwalistym mężczyzną, eks-ciężarowcem, którego ramiona, klatka piersiowa, biodra i uda zdawały się mieć identyczny obwód. Miał szeroką twarz z kwadratową szczęką, krótkie czarne włosy i ciemne, smutne oczy o zawiedzionym spojrzeniu. To on rozpoczął śledztwo i zebrał pierwsze zeznania, przede wszystkim sąsiadów i byłego męża Janice, Patricka. Potem Phil Schmidt porozmawiał z burmistrzem, ten porozmawiał z dyrektorem miasta, i wspólnie

postanowili odsunąć Ryana od śledztwa.

Zjawili się reporterzy z Utiki, Syracuse, a nawet z Albany. Informacja poszła w świat. Fakt, że zwłokom brakowało lewej ręki, dodał sprawie rozgłosu. Przez kilka dni przed ratusz zajeżdżały samochody stacji telewizyjnych. Chyba właśnie dlatego związek Ryana z Janice, chociaż zerwany minionego lata, stał się takim problemem - dla wszystkich oprócz niego. Nigdy nie ukrywał, że spotyka się z Janice. Był rozwodnikiem i często pokazywał się z nią publicznie, czy to w restauracji, czy w kinie. Właśnie dlatego tym bardziej zależało mu, by schwytać tego, kto ją zabił. W oczach innych czyniło go to jednym z podejrzanych. Niestety zarówno ludzie z biura szeryfa, jak i policja stanowa często traktują z góry kolegów z małych miasteczek, chociażby z takiego powodu, że ci znacznie mniej zarabiają. Znali Ryana i chyba nawet go lubili, jednak wątpili w jego profesjonalizm.

Ryan rozmawiał o tym z Franklinem. Było to na krótko przed śmiercią Michelle, kiedy jeszcze wszyscy myśleliśmy, że pożyje dłużej. Sadie miała wtedy jedenaście lat. Ryan przyjechał do domu Franklina - nie tego po sąsiedzku z moim, lecz dużego rancza przy Jackson Street. Michelle leżała w łóżku w swoim pokoju. W domu unosił się zapach lekarstw i było bardzo ciepło, chyba około trzydziestu stopni. Pod koniec dnia Michelle zawsze robiło się zimno i prosiła o zwiększenie ogrzewania.

Mężczyźni wypili w kuchni po dwa piwa. Kiedy Michelle była zdrowa, utrzymywała w domu wzorowy porządek, ale teraz zrobiło się tam dość brudno - wcale nie chodziło o to, że Franklin był flejtuchem albo że nie wiedział, jak włączyć odkurzacz. Po prostu choroba żony podziałała na niego jak uderzenie pałą w głowę i z trudem mógł się skoncentrować na czymś więcej niż na pracy w redakcji.

Ryan nie zjawił się u Franklina w związku z zabójstwem Janice, lecz dlatego, że byli przyjaciółmi i aby okazać mu współczucie z powodu

choroby żony. W takich sprawach nie trzeba wielu słów, rozmawiali więc głównie o głupstwach: o szansach szkolnego zespołu futbolowego na zajęcie dobrego miejsca w końcu sezonu oraz o nadziejach związanych ze zbliżającym się meczem. Franklin zdawał sobie jednak sprawę, że Ryan również jest przygnębiony. Od śmierci Janice nie minął jeszcze tydzień.

- Kochałeś ją? - zapytał Franklin.

Ryan poruszył się na krześle.

- Potrafiła człowiekowi nieźle zawrócić w głowie.

- Kto zerwał?

- Doszła do wniosku, że za bardzo się do niej przywiązałem.

Franklin liczył na to, że usłyszy coś więcej, ale Ryan w milczeniu skrobał palcem naklejkę na butelce.

- Wściekleś się, kiedy to się stało?

- Jasne, ale wiedziałem, że ma rację. Rozmawiasz ze mną służbowo?

- zapytał Ryan z bladym uśmiechem.

- Po prostu chciałem wiedzieć, co wtedy czuleś.

- Myślałem o niej przez cały dzień, a kiedy szedłem do niej wieczorem, czasem nawet nie zdążyłem się przywitać, tylko od razu zaczynałem ją pieścić i całować. Kiedyś ugryzła mnie w wargę. Bolało. Czulem to jeszcze przez tydzień po naszym rozstaniu i wcale nie zależało mi na tym, żeby przestało boleć.

- Jak długo się spotykaliście?

- Przez trzy miesiące. W tym samym czasie widywała się z kimś jeszcze, ale mnie to nie przeszkadzało. Z tego co wiem, mogło ich być nawet dwóch albo trzech.

- Jak myślisz, kto ją zamordował?

- Podczas sekcji zwłok stwierdzili, że kochała się z kimś na krótko przed śmiercią. Powinni więc mieć jego DNA, chyba że używał prezerwatywy. Ponoć niczego jednak nie znaleźli, więc może zrobiła to kobieta? Zazdrosna żona albo ktoś w tym rodzaju?

- A odcięta ręka?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Kompletne wariactwo.

- Całkowicie odsunęli cię od sprawy?
- Śledztwo przejęła policja stanowa. Uważają, że nie powinienem się w to mieszać. Musieli się nieźle naszukać, żeby znaleźć ludzi, którzy nie mieli z nią nic wspólnego. Podobno spotykała się nawet z chłopcami z biura szeryfa. Rzecz jasna oficjalnie nikt tego nie przyzna.

- Miała spory apetyt.
- Chyba można tak powiedzieć - przyznał Ryan ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Łączył was tylko seks, czy coś więcej?
- Gdyby to był tylko seks, już bym o niej zapomniał. Była cudowną kobietą, zabawną i energiczną. Do licha, chętnie kręciłbym się koło niej nawet wtedy, gdyby nie było żadnego seksu!

- Ale nie będziesz się wtrącał?
- Wciąż o niej myślę. Poniżej pępka miała znamię w kształcie maliny. Ciągłe je widzę. Nie zamierzam wchodzić Schmidtowi w drogę, ale będę miał oczy i uszy szeroko otwarte. Jeżeli zabił ją ktoś stąd, na pewno go znajdę.

- A tymczasem co zamierzasz robić?
- Jakoś dojsz do ładu ze sobą. Tamtego dnia wszedłem do jej domu po raz pierwszy od trzech miesięcy. Poznałem wszystkie zapachy, ale pojawił się jeszcze jeden: zapach śmierci. Janice leżała na podłodze z siną twarzą i wytrzeszczonymi oczami. Kiedyś całowałem tę twarz. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić jak to jest, kiedy widzisz martwą twarz kobiety, którą kochałeś.

W tej samej chwili Ryan przypomniał sobie o Michelle w sąsiednim pokoju, zaczerwienił się po czubki uszu i umilkł.

Aaron przyjechał na pogrzeb z Buffalo. Był na ostatnim roku college'u, pisał pracę z matematyki. Nie zatrzymał się u ojca, lecz w motelu Gillian's. Ludzie byli zaszokowani. Gdyby tylko zechciał, mógłby zatrzymać się u

kogokolwiek, on jednak wybrał motel. Nie tylko nie starał się tego ukryć (zresztą, niby dlaczego miałby to czynić?), ale nawet podkreślał to w rozmowach, jakby takie postępowanie stanowiło swego rodzaju demonstrację.

Przyjechała również Paula i zamieszkała z ojcem. Nie widziałem jej od kilku lat i zaskoczyło mnie, jak piękną stała się kobietą. Nigdy nie zbywało jej na atrakcyjności, ale teraz jej dziewczęca uroda w pełni dojrzała. Była wysoka, szczupła, z gęstymi czarnymi włosami sięgającymi poniżej ramion. Nosiła okulary o dużych okrągłych szklach. Skończyła studia w Binghamton i pracowała dla IBM.

Nabożeństwo żałobne odprawiono w kościele episkopalnym św. Łukasza. Patrick i Paula siedzieli z przodu, Aaron zajął miejsce po drugiej stronie przejścia i kilka ławek z tyłu, obok kuzynki ze Scarsdale. Kościół był pełen. Zjawili się koledzy i koleżanki Janice z firmy farmaceutycznej w Norwich, krewni, nawet sąsiedzi, wielu ludzi pojawiło się jednak wyłącznie z ciekawości. Oprócz Ryana Tavicha, który usiadł obok Franklina, przyszło sporo samotnych mężczyzn; trudno było powstrzymać się przed snuciem domysłów, że przynajmniej część z nich łączyły ze zmarłą dość bliskie więzi.

Ciało Janice zostało poddane kremacji; w środkowym przejściu naprzeciwko ołtarza stało na podwyższeniu białe kartonowe pudełko. Wprost nie do wiary, iż jego zawartość jeszcze całkiem niedawno potrafiła zawrócić w głowie tylu mężczyznom. Podwyższenie otaczały astry, lilie i róże, setki róż. Kwaciarnia przy Jefferson Street wyprzedala wszystkie zapasy, kwiaty zamawiano więc nawet w Utice. To również było zdumiewające, że łączna objętość wieńców i bukietów co najmniej tysiąckrotnie przewyższała objętość białego pudełka. Nieodparcie nasuwała się myśl, że pudełko zawiera nie prochy zmarłej, ale jej serce.

Nabożeństwo odprawiał ojciec John, Eunice Duncan grała na organach. Bacha, jak mi się wydaje. Ojciec John mówił o naukowej karierze Janice, o jej aktywnej działalności na polu medycyny, chociaż, jak już

wspomniałem, była tylko technikiem w laboratorium. Mówił o tragedii, jaką było jej gwałtowne odejście z naszej społeczności. Mówił o jej energii i pogodzie ducha. Mówił o jej ciepłe i otwartym sercu. Stanowiło to jedyną uwagę, którą - przy sporym udziale wyobraźni - dało się odebrać jako zawołowaną aluzję do jej podbojów.

Atmosfera panowała trochę napięta, gdyż podejrzewano, że w ceremonii może uczestniczyć również zabójca. Ryan wciąż rozglądał się dookoła, w kościele znajdowali się funkcjonariusze po cywilnemu. Jeden z nich zajął stanowisko na chórze, obok Eunice Duncan. Czyżby oczekiwali, że sprawca zdemaskuje się pod wpływem widoku smutnego małego pudełka, morza kwiatów i chwytającej za serce mowy ojca Johna? Zapewne wiele osób spodziewało się czegoś niezwykłego i głównie z tego powodu przyszło do kościoła, nic takiego jednak się nie zdarzyło.

Po nabożeństwie długa kolumna samochodów z włączonymi światłami ruszyła w kierunku Homeland Cemetery. Na przedzie jechał cadillac z Domu Pogrzebowego Belmonta. Padał deszcz, liście straciły już piękne jesienne barwy. Na cmentarz udała się mniej więcej połowa uczestników nabożeństwa, wśród nich Ryan Tavich, Franklin oraz policjanci po cywilnemu. Ojciec John przemówił nad otwartą mogiłą do ludzi zgromadzonych pod parasolami.

Homeland to ładny cmentarz z rozłożystymi dębami oraz kilkoma wiktoriańskimi nagrobkami w kształcie szlochających driad i aniołów. Ludzie otoczyli grób półkolem; Aaron stał naprzeciwko ojca i przyrodniej siostry. Pudełko było niewielkie, toteż grób nie miał imponujących rozmiarów - nic dziwnego, że niemal całkowicie znikł pod przywiezionymi z kościoła różami. Niedługo potem stanął na nim ogromny nagrobek ufundowany przez Patricka. Niektórzy twierdzili, iż był taki wielki, ponieważ mieścił się w nim schowek na urnę z prochami. Inni utrzymywali, że zakup takiego niemal dwumetrowego pomnika stanowił ze strony Patricka akt buntu. Jeszcze inni byli zdania, że to w złym guście, jakby

Janice w ogóle nie zasługiwała na nagrobek, jej prochy zaś powinny zostać wsypane do rzeki.

Nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Ceremonia dobiegła końca i żałobnicy wrócili do samochodów, wydeptując w mokrej trawie błotnistą ścieżkę. Jeszcze w tym samym miesiącu niektórzy spotkali się tu ponownie na pogrzebie Michelle Moore; tym razem głównymi żałobnikami byli Franklin i mała Sadie. Był to znacznie skromniejszy pogrzeb, z mniejszą ilością kwiatów, za to z pełnowymiarową trumną. Nie uczestniczyli w nim też policjanci, z wyjątkiem Ryana Tavicha.

Informacje na temat śledztwa docierały do mnie z wielu źródeł, w tym także od mojego kuzyna. Dochodzenie posuwało się naprzód bardzo opornie z dwóch powodów: nadmiaru potencjalnych podejrzanych (byli nimi wszyscy kochankowie Janice) oraz całkowitego braku poszlak (nikt niczego nie widział). Udało się zidentyfikować większość jej przyjaciół i sprawdzić ich alibi. Rzecz jasna nie obyło się bez skandalu, ponieważ niektórzy byli żonaci, utrzymywali stałe związki z innymi kobietami lub byli powszechnie znanymi postaciami, jak choćby sędzia Marshall z Potterville. Istniały też uzasadnione podejrzenia, iż do kilku nie zdołano dotrzeć; poza tym zabójca Janice mógł nie mieć żadnego związku z jej życiem uczuciowym.

Nie sposób było nie zastanawiać się nad zagadką brakującej lewej ręki Janice. Przypuszczalnie wciąż jeszcze gdzieś istniała, zajmując mniej więcej tyle samo miejsca co białe kartonowe pudełko. Dlaczego ją obcięto? Zabójstwo w napadzie szału wywołanego zazdrością dawało się przynajmniej zrozumieć, obcinanie rąk graniczyło jednak z szaleństwem.

Kilkakrotnie słyszałem od kuzyna, że policja szykuje się do aresztowań, lecz nic takiego nie nastąpiło. Część mężczyzn związanych z Janice nie miała w ogóle alibi, część miała bardzo słabe, co wcale nie przesądzało jeszcze o winie. Przesłuchano Patricka McNeala, policja w Buffalo miała sprawdzić, gdzie przebywał Aaron w porze zabójstwa. Pod lupę wzięto nawet poczynania Pauli.

W miarę jak mijały dni, uświadamialiśmy sobie coraz wyraźniej, że nie należy oczekiwać szybkiego wyjaśnienia sprawy. Rosła liczba osób przekonanych o tym, że mordercą był ktoś obcy, spoza miasteczka, ktoś z Utiki, Syracuse albo nawet Norwich. Policja stanowa całkowicie przejęła sprawę, chociaż współpracował z nią człowiek oddelegowany z biura szeryfa. Z naszych policjantów śledztwo prowadził tylko Ryan Tavich, a i to po godzinach i z zachowaniem jak największej dyskrecji. Bądź co bądź, sam był jednym z podejrzanych.

Ustalono, że Janice zginęła w niedzielę późno w nocy lub w poniedziałek wcześniej rano. Sąsiedzi zeznali, że nie było jej cały wieczór, wróciła więc zapewne już wtedy, kiedy położyli się do łóżek. Nikt nie wiedział, gdzie przebywała; wiadomo było tylko tyle, że około dwudziestej trzeciej tankowała paliwo na stacji przy Cumberland Farms w północnej części miasta. Nikt nie zgłosił się z informacją, że to z nim lub z nią Janice spędziła wieczór. Po południu grabiła liście przed domem. Gdzie spędziła wieczór? Kiedy wróciła do domu? Czy wróciła sama? Po dwóch tygodniach, gdy nie udało się znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań, zainteresowanie zaczęło słabnąć.

Zresztą już bezpośrednio po pogrzebie uwagę publiczności częściowo skupiło na sobie zachowanie syna ofiary. Spodziewano się, że dwudziestojednoletni wówczas Aaron wróci do college'u, on jednak został w mieście. Często widywano go w barach, między innymi w Bud's Tavern, gdzie kelnerką była rudowłosa, starsza od niego o rok Sheila Murphy. Uczyłem ją fizyki. Była miłą, ale aż do bólu przeciętną uczennicą. Zaraz po ukończeniu szkoły podjęła pracę w knajpie. Ojciec pracował w utrzymywanej przez miasto ekipie naprawiającej nawierzchnię ulic. Matka, o ile wiem, zajmowała się wyłącznie grą w bingo.

Nikt nie wiedział, że Aaron spotyka się z Sheila, i prawdopodobnie nie spotykał się z nią w tradycyjnym, rozumieniu tego słowa - chyba że

podczas wizyt w Bud's Tavern - aż do pewnego wieczoru dwa tygodnie po pogrzebie matki. Ich związek nie miał długiej historii, a raczej jego historia zaczęła się w chwili, gdy dobiegł końca.

Oto co się wydarzyło. Około wpół do trzeciej nad ranem przeraźliwe krzyki obudziły kilkunastu gości spędzających noc w motelu Gillian's. Tak przynajmniej twierdzili świadkowie, z którymi rozmawiał Franklin. Byli wśród nich ludzie bawiący tam tylko przejazdem, jak również kilkoro mieszkańców Aurelius zaangażowanych w niezbyt oficjalne związki.

Na korytarz, podciągając spodnie lub poprawiając piżamy, wybiegło paru mężczyzn. Chwilę potem drzwi pokoju Aarona otworzyły się gwałtownie i wyskoczyła stamtąd Sheila ubrana jedynie w dżinsy. Na jej piersiach czerwieniła się krew. (Nie określam dokładnie, ile jej było, ponieważ w tej kwestii zeznania świadków mocno się różnią, nawet jednak gdyby było jej bardzo mało, to i tak byłoby to przerażające). Sheila, rzecz jasna, krzyczała. Miała duże piersi, rana znajdowała się na lewej. Krew kapiała nie tylko na wykładzinę podłogową, ale nawet na ściany. Ktoś zaprowadził dziewczynę do łazienki, ktoś inny wezwał policję. W drzwiach pojawił się Aaron. Uśmiechał się nie tyle wesoło, co raczej chępliwie, był bez koszuli, miał rozpuszczone włosy. Kilka osób zwróciło uwagę na bliznę na jego twarzy: zrobiła się czerwona i ostro kontrastowała z bladym policzkiem.

Okazało się, że Aaron ugryzł Sheilę, mało nie wrywając jej kawałka lewej piersi. Rana była tak głęboka, że musiano założyć szwy. Na miejsce zdarzenia pojechał mój kuzyn. Aaron odmówił wyjaśnień, Chuck natomiast musiał chronić go przed gniewem świadków zdarzenia, którzy uważali, że od razu powinien zostać ukarany.

Sheila wyszła z łazienki i, przyciskając do piersi zakrwawiony ręcznik, wyzywała Aarona od bydłaków i zboczeńców. Oczywiście w tej części motelu nikt już nie spał, właściciele zaś, Jimmy i Kate Gillian, byli potwornie zdenerwowani. Przypuszczano, że Aaron jest pijany. Chuck

założył mu kajdanki i zawiózł na posterunek, a karetka zabrała Sheilę do szpitala, chociaż dziewczyna utrzymywała, że nic jej nie jest i że da radę pojechać tam sama. Ktoś pozbierał jej rzeczy, Gillianowie zajęli się uspokajaniem gości i wreszcie wszyscy wrócili do swoich pokojów.

Nikt nie zapomniiał o tym, że przed trzema laty Aaron odgryzł ucho Harkowi Powersowi. Zaczęto nazywać go Wampirem. Jego uczynki zasługiwały na potępienie, choć trudno im było również odmówić odrobiny komizmu - naturalnie śmiać mógł się każdy poza niefortunnymi ofiarami. Aaron i Sheila pili w Bud's Tavern, a po zamknięciu lokalu przyjechali do motelu. Sheila twierdziła, że Aaron chciał, by zdjęła spodnie, lecz ona odmówiła. Doszło do przepychanki i szarpaniny. Sheila była silną dziewczyną, a podczas pracy w barze nauczyła się radzić sobie z podchmielonymi przeciwnikami. W końcu Aaron ugryzł ją w pierś i nie puszczał aż do chwili, kiedy kopnęła go w krocze, ale wtedy najgorsze już się dokonało.

Aaron utrzymywał, że był pijany, nie uznano tego jednak za wystarczające usprawiedliwienie. Przedstawiono mu zarzuty, wyznaczono datę rozprawy. Po raz kolejny Patrick zapłacił kaucję za syna; Aarona zwolniono, z aresztu pod warunkiem, że do rozprawy zamieszka w domu ojca. Ryan Tavich rozmawiał z Sheilą i sędzią, kładąc nacisk na fakt, że zaledwie przed dwoma tygodniami Aaron pochował matkę. Choć Sheila była na niego wściekła, to przecież miała dobre serce. Zawarto ugodę: Aaron pokrył koszty leczenia, a w zamian dostał wyrok w zawieszeniu na rok. Musiał również odbyć serię spotkań u psychologa. Zdecydował się uczynić to w Buffalo, dzięki czemu od początku drugiego semestru mógł wrócić do szkoły.

Ludzie dziwili się, że Aaron zdołał się wykić tak tanim kosztem, niektórzy zaś - a zwłaszcza Hark Powers - sugerowali istnienie jakiejś zmowy, nie posiadali jednak żadnych dowodów na poparcie swojej teorii. Uznałiśmy, że Aaron po prostu miał szczęście, i byliśmy zadowoleni,

że wyjechał z miasta. Wydawało się, że w ten sposób ta nieprzyjemna historia dobiegła końca.

Mijały miesiące i stopniowo zapominaliśmy o Aaronie. Hark Powers zatrudnił się jako mechanik w salonie dealerskim Forda prowadzonym przez Jacka Morrisa. Za każdym razem, kiedy go widziałem - nie było to często - przypominałem sobie, co zrobił mu Aaron, bo chociaż Hark nosił długie włosy, to każdy wiedział, że nie ma jednego ucha. Ani trochę się nie zmienił. Wciąż głośno się zachowywał, wciąż lubił podporządkowywać sobie innych. Jeśli atak Aarona miał być dla niego nauką, to nie spełnił zadania - chociaż być może Hark teraz nieco staranniej dobierał swoje ofiary. Przez jakiś czas spotykał się z Sheila Murphy, co wydawało się całkiem naturalne, jako że oboje nosili na swoich ciałach ślady zębów Aarona, nie trwało to jednak długo. Sheila twierdziła, że Hark ją bije, ludzie zaś mówili między sobą, iż jest jedną z tych kobiet, które zostały stworzone po to, żeby mężczyźni nimi poniewierali. Kiedyś celowo zaszedłem do Bud's Tavern, żeby ją zobaczyć: sprawiała całkiem miłe wrażenie, choć może odrobinę za dużo paliła i zbyt głośno mówiła.

Na ponad rok Aaron znikł nam całkowicie z oczu. Skończył szkołę, a potem roczny kurs komputerowy. Przepuszczalnie kontaktował się z ojcem i przyrodną siostrą, aczkolwiek my nic o tym nie wiedzieliśmy. W szkole często widywałem się z Patrickiem, stał się jednak zamknięty w sobie i nie uczestniczył w życiu towarzyskim. Podobno szukał pracy w innym mieście, aż wreszcie jesienią przeniósł się do Utiki. Przypadkowo w tym samym czasie jego córka podjęła na nowo pracę w naszym college'u w charakterze doradcy do spraw przyszłej kariery zawodowej uczniów. Nawet najzagorzalsi miłośnicy Aurelius nie byli w stanie zrozumieć, dlaczego wróciła. Mało tego: na dodatek zamieszkała w domu ojca.

Wątpię, żeby wiele osób wiedziało o powrocie Aarona: na pewno jego siostra, może jeszcze ktoś. Nie bywał w barach, rzadko gdzieś wychodził. Sprowadził się w grudniu do wynajętego mieszkania w jednym

z ceglanych budynków w pobliżu ratusza. Pracował jako analityk dla nowojorskiej firmy zajmującej się projektowaniem baz danych, co oznaczało, że siedział w domu przy komputerze. To właśnie najbardziej mnie zdziwiło: miał zawód, który w niczym nie ograniczał mu swobody wyboru miejsca zamieszkania, a mimo to zdecydował się wrócić do Aurelius. Czy jednak jego siostra nie postąpiła tak samo, zupełnie jakby oboje chcieli być jak najbliższej grobu Janice? Taka interpretacja była chyba odrobinę zanadto melodramatyczna.

Jeśli chodzi o zabójstwo Janice, to policja wciąż wiedziała tyle samo co w pierwszym dniu śledztwa. W takich sprawach zazwyczaj oprócz dowodów są również poszlaki, wątpliwości i przypuszczenia, o których się mówi i dyskutuje. Tu niczego takiego nie było. Oficjalna wersja brzmiała tak, że Janice spotkała się z kimś, kto był w mieście przejazdem, albo przyjechał w domu kogoś spoza miasta. Naturalnie sprawdzono wszystkich, którzy w tym czasie zatrzymali się w motelach w mieście oraz w okolicy.

Najwięcej zwolenników miała teoria, w którą najłatwiej uwierzyć: że zabójcą był ktoś z daleka. Sugestie, że mógł nim być ktoś spośród nas, na przykład nauczyciel lub sprzedawca ze sklepu, spotykały się z powszechną dezaprobatą. Naszym zdaniem sprawa była już zamknięta. Nie brakło nawet świętoszkowatych opinii, że sama sprowadziła na siebie to nieszczęście swoim rozwiązłym, nieuporządkowanym trybem życia.

Ale przecież sprawę Aarona McNeala również uważaliśmy za zamkniętą, a tymczasem oto pojawił się znowu wśród nas.

Oprócz Aarona znałem jeszcze jednego Tropicielea Prawdy, Barry'ego Sandersa. Uczyłem go fizyki oraz biologii na poziomie podstawowym i zaawansowanym. Był teraz na ostatnim roku i pisał pracę właśnie z biologii. Namawiałem go do przenosin na któryś z lepszych college'ów stanowych, ale on postanowił zostać tutaj, żeby być blisko chorej matki, chociaż moim zdaniem jej choroba była w znacznej mierze udawana. Barry należał kiedyś do moich najlepszych uczniów i gdyby zdecydował się pójść drogą kariery naukowej, część zasługi z pewnością mógłbym przypisać sobie.

Możliwość, że jednak nie wybierze takiego rozwiązania, wynikała nie z jego braków intelektualnych, lecz z niezdecydowania. Sporo wysiłku kosztowało mnie namówienie go do tego, żeby zapisał się na biologię dla zaawansowanych - na te zajęcia, które prowadziłem po godzinach, uczęszczało tylko kilkoro najbardziej uzdolnionych uczniów.

To zdumiewające, w jak rozmaity sposób ludzie torują sobie drogę przez życie. Dla niektórych wszystko jest bajecznie proste. W ogóle się nie wahają. Są piękni i mądrzy, i życie otwiera się przed nimi jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Mimo to nawet oni wchodzą niekiedy w strefę cienia. Na przykład Franklin, któremu do pewnego czasu wszystko układało się jak w bajce. Kto jednak mógł przewidzieć śmierć Michelle? Niektórzy mówili, że to nieuczciwe, ale co ma z tym wspólnego uczciwość? Jednakże są i tacy, którzy cały czas żeglują w pełnym słońcu. Żyją im się wspaniale i pozostawiają po sobie szczęśliwe dzieci.

Inni toczą nieustającą walkę. Są nieśmiali albo zabawnie wyglądają. Jąkają się. Nie radzą sobie w sporcie. Są wiecznie zakłopotani. Uśmiechają się głupkowato. Milczą wtedy, kiedy powinni mówić, a mówią wtedy, kiedy należy milczeć. Kiedy słyszą czyjś śmiech, od razu zakładają, że to oni są przyczyną. Chociaż mądrzy, czują się głupio. Chociaż twórczy, czują się puści w środku. Brną przez życie jak przez grząskie bagno. Wielu z nich jest takimi już od urodzenia. Patrząc na nich, jestem niemal skłonny uwierzyć w reinkarnację, w to, że życie niektórych ludzi jest dla nich karą. A skoro to kara, to za co, jak nie za grzechy popełnione w poprzednim wcieleniu?

Barry Sanders był albinosem: miał białe włosy, bardzo jasną cerę i różowe, wiecznie zmrużone lub mrugające oczy ukryte za ciemnymi okularami. Miał również sporą nadwagę, co zawdzięczał zbyt dużej ilości ciastek, tortów i legumin, które wpychała w niego matka, pragnąc w ten sposób wynagrodzić mu fakt, że jest inny od reszty dzieci. Barry był również niski. Wyróżniał się niskim wzrostem przez cały okres nauki w szkole, a kiedy osiągnął sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, w ogóle przestał rosnąć. Do tego wszystkiego należało dodać nieśmiałość. To szczególne przekleństwo dla kogoś tak bardzo zwracającego na siebie uwagę.

W szkole podstawowej Barry'ego zwano Prosiakiem. Chociaż bardzo inteligentny, uczył się przeciętnie, a to za sprawą prześladowających go lęków; Barry ani na chwilę nie zapominał, kim jest ani jak wygląda. Zupełnie jakby przez cały czas obserwował siebie z boku, czy to w klasie, czy na boisku, i chłonał swoją odmienność.

Mieszkał przy Birch Street z matką, Mabel Sanders. Ojciec znikł, kiedy Barry Uczył sobie dwa lata. Mabel pracowała w State Farm Insurance. Uważała, że syn jest słabowity - chociaż moim zdaniem to nieprawda - i traktowała go tak, jakby lada chwila miał się rozsypać. Wiosną, kiedy

inne dzieciaki biegały już bez kurtek, Barry wciąż chodził opatulony po czubek nosa. W Halloween nie mógł biegać z kolegami od domu do domu, nie wolno mu też było uprawiać żadnych sportów.

Chociaż w ósmej klasie był najlepszy z fizyki, na moich lekcjach przez cały rok nie odezwał się ani słowem. Zawsze siedział na uboczu z pochyloną głową, tak nieśmiały, że ja sam nie miałem odwagi zwracać na niego uwagi innych. Rozmawiałem z nim czasem po lekcji, co dla niego było prawdziwą torturą, szczególnie kiedy chwaliłem go za jakieś osiągnięcia. Doprowadziłem jednak do tego, że przestano nazywać go Prosiakiem.

W dziesiątej klasie nabrał nieco odwagi, choć w czasie zajęć wciąż milczał jak zakłęty. Zaczął natomiast odzywać się po lekcjach, pod koniec roku szkolnego zaś zdarzało mu się nawet samemu nawiązać rozmowę. Rzecz jasna nasze rozmowy dotyczyły wyłącznie spraw naukowych. Nie miałem żadnych wiadomości o jego pozaszkolnym życiu, chociaż znałem z widzenia jego matkę i wiedziałem, gdzie mieszkają. Pożyczyłem mu przeczytane egzemplarze „Scientific American”; szybko do tego przywykł i przyjmował je z wdzięcznością.

Wiosną - podczas ostatniego roku Barry'ego w szkole - zorientowałem się, że jest gejem. Uczestniczył w prowadzonym przeze mnie kursie biologii dla zaawansowanych i radził sobie doskonale. Spotykaliśmy się po lekcjach, on zaś często, to znaczy przynajmniej raz w tygodniu, zostawał po zakończonych zajęciach. Minęło kilka miesięcy, zanim poruszyliśmy temat jego homoseksualizmu, i w końcu przyznał, że miał krótkotrwałą przygodę z jednym z mieszkańców naszego miasta. Nie chciał jednak powiedzieć, z kim, a kiedy wciąż go wypytywałem, natychmiast zamknął się w skorupie. Odniosłem wrażenie, że boi się nie mnie, lecz właśnie tego tajemniczego mężczyzny. Dowiedziałem się tylko tyle, że jest to „profesjonalista”, jakby Barry chciał podkreślić, że nie zdecydowałby się na związek z byle kim. Później okazało się, że to tamten mówił o sobie w ten sposób. Co prawda znałem kilku gejów nie

czyniących żadnej tajemnicy ze swojej orientacji seksualnej, ale nie wydawało mi się prawdopodobne, żeby to był któryś z nich. Sprawa ta stała się dla mnie jeszcze jedną małą tajemnicą naszego miasta, mnie zaś wprawiała w lekkie zakłopotanie - nie ze względu na jej specyfikę, lecz na zainteresowanie Barry'ego mną jako samotnym mężczyzną. Wprawdzie nie osiągnęliśmy etapu, na którym musiałbym mu powiedzieć wprost, że jestem niedostępny, myślę jednak, że to wyczuł. Ucieszyłem się, kiedy poszedł do college'u, ponieważ oznaczało to, że teraz będziemy się widywać znacznie rzadziej.

Przez pierwszy rok nadal mieszkał w domu, a jego stosunki z matką stawały się coraz bardziej napięte. Nie sądzę, żeby się buntował, był tylko ponury i rozgoryczony, jakby winił matkę za to, kim jest i jak wygląda. Ona z kolei przytłaczała go swoją nadopiekuńczością. Nie pozwalała mu nawet kosić trawnika, twierdząc, że zbyt długie przebywanie na świeżym powietrzu może mu zaszkodzić. Zatrudniła do tego chłopca z sąsiedztwa. Barry opowiadał mi kilka razy, jak siedzi przy oknie, obserwuje Sammy'ego McClatchy koszącego trawnik i marzy o tym, by znaleźć się na jego miejscu. Doprawdy, żałosna historia.

Za to w college'u Barry zaczął nawiązywać przyjaźnie. Niewiele, najwyżej dwie lub trzy, stworzył sobie jednak w ten sposób świat, który mógł przeciwstawić światu matki. Wciąż odwiedzał mnie w szkole pod pretekstem pożyczania „Scientific American” i opowiadał o beznadziejnie nudnych młodych ludziach interesujących się wyłącznie szachami, fantastyką naukową albo grą w Dungeons and Dragons. Mimo to już na drugim semestrze pierwszego roku nawiązał bliskie kontakty z jednym z nich, uczniem w klasie fortepianu z Wilkes-Barre. Związek się nie utrzymał, co napełniło Barry'ego jeszcze większym gniewem. Gniew ten był skierowany nie przeciwko jego homoseksualizmowi, matce ani kuriozalnej aparycji, lecz przeciwko życiu w ogóle - temu, że człowiek się

rodzi, drąży sobie spokojnie własny tunel i nagle, prawie zawsze wbrew swojej woli, jest z niego wyciągany na światło dzienne.

Cóż, w gruncie rzeczy trudno było się dziwić takiemu nastawieniu. Barry miał dosyć bycia odmieńcem, potrzebował kogoś - lub czegoś - kogo mógł winić za taki stan rzeczy. Dlatego też na drugim roku przeprowadził się do internatu, chociaż oznaczało to konieczność przepracowania piętnastu godzin tygodniowo w szkolnej kafeterii. Z nieśmiały mi jest dziwna sprawa: właściwie nigdy nie są w stanie tak naprawdę nauczyć się mówić, nie potrafią wysławiać się z pełną swobodą. Barry starał się wymawiać każde słowo najkrócej jak to możliwe, w związku z czym można było odnieść wrażenie, że nie mówi, tylko strzela słowami. Najczęściej opowiadał o szkole, matce i o tym, jak mu się wiedzie - bardzo ogólnie, bez żadnych szczegółów. Pod koniec pierwszego semestru drugiego roku wciąż szukał kogoś, kto uwolniłby go od paralizującej nieśmiałości. Właśnie wtedy do Aurelius College przybył Houari Chihani.

Wiosną Barry nie miał z nim żadnych zajęć, chociaż oczywiście wiedział o jego istnieniu. Jak mogło być inaczej? Wiedział również o nowo powstałym kółku zainteresowań, ponieważ przyjaźnił się, albo przynajmniej znał, z Jasonem Irvingiem; obaj należeli do kółka szachowego. Podobnie jak inni, Barry też mógł podejrzewać Jasona o homoseksualizm, choć, jak już wcześniej wspomniałem, Jason z jednakową obojętnością traktował obie płcie. Początkowo Barry nie zamierzał przyłączyć się do Tropicielei Prawdy. Nie lubił zwracać na siebie uwagi. Kiedy jednak Franklin opublikował wywiad z Chihanim, zaczęła go dręczyć ciekawość. Po tym, jak szeregi Tropicielei zasilili Bob Jenks i Joany Rustoff, Jason zaczął namawiać Barry'ego, by i on to uczynił.

Nie wiem, czy jego namowy odniosłyby skutek, gdyby nie fakt, że właśnie wtedy do kółka wstąpił także Aaron McNeal. Barry był ponad trzy lata młodszy od niego i nie znał go osobiście, wiele natomiast o nim słyszał - znaczną część stanowiły, ma się rozumieć, mocno przesadzone

plotki. Odgryzienie ucha Harkowi Powersowi ponad wszelką wątpliwość stanowiło czyn o niezwykłym dramatyzmie, kiedy jednak historia ta dotarła do uszu Barry'ego, rozrosła się niemal do rozmiarów operowego libretta. Również zdarzenie z Sheila Murphy przedstawiano już w sposób nie przynoszący Aaronowi szczególnej ujmę, chociaż, co zrozumiałe, takich interpretacji z pewnością nie dałoby się usłyszeć w jej towarzystwie.

Pod koniec marca Barry przyłączył się do Tropicielei Prawdy. Był dumny ze swojej decyzji. Wreszcie wyznaczył sobie w życiu jakiś ważny cel, choć na razie nie potrafił go jeszcze nazwać. Niemniej dużo ze mną o tym rozmawiał. Co dwa, trzy tygodnie odwiedzał mnie w szkole, raz czy dwa wpadł nawet do mnie do domu, mimo że niechętnie godziłem się na wizyty uczniów, wszystko jedno, byłych czy aktualnych. Po co dawać pożywkę plotkom.

Początkowo Tropiciele Prawdy spotykali się w poniedziałkowe wieczory w sali wykładowej w Webster Hall. Chihani mówił o powstaniu klasy średniej po rewolucji francuskiej, o naturze imperializmu, o wykorzystywaniu siły roboczej. Czytano i omawiano nie tylko Marksa, lecz także Veblena oraz powieści takie jak *Grona gniewu*, Chihani chciał bowiem nie tylko uczyć podopiecznych, ale również napełnić ich serca oburzeniem. Rzecz jasna, to on sterował dyskusją swym suchym, pozbawionym emocji głosem, który sam z pewnością nazwałby głosem rozsądku. Ci młodzi ludzie nic nie wiedzieli o historii, w związku z czym nawet informacje o zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej wywoływały ich niepokój. W szkole średniej mówiono tylko o jasnych stronach amerykańskiej historii; teraz Chihani pokazywał im ciemne.

Gdyby Tropiciele ograniczyli się do tych poniedziałkowych spotkań, przypuszczalnie nie zwróciliby na siebie niczyjej uwagi, ale wkrótce Chihani zaczął zapraszać ich w piątki do swego domu. Z założenia miały to

być spotkania towarzyskie, dla Chihaniego jednak żadne spotkanie nie miało wyłącznie towarzyskiego charakteru. Na przykład jeśli puszczał muzykę, wybierał Paula Robesona i opowiadał uczniom o tym sfrustrowanym człowieku. Jeśli oglądali film na wideo, było to na przykład *Bound for Glory* Woody'ego Guthriego. Chihani zawsze nauczał, nawet wtedy, kiedy wydawało się, że zajmuje się czymś innym, i wiele z tego, o czym opowiadał, miało mocne podstawy. Nie musiał wymyślać historyjek o złowrogim obliczu kapitalizmu, ponieważ mógł czerpać pełnymi garściami z bogatego archiwum prawdziwych.

W miarę jak szeregi Tropicielei Prawdy rosły, na spotkaniach coraz częściej po prostu dyskutowano, zamiast omawiać zadane lektury. Uczestnicy dzielili się wrażeniami o przeczytanych ostatnio książkach, rozprawiali o Marksie, a także o tym, co niedobrego dzieje się w Aurelius. Stanowiliśmy dla nich doskonały przykład chorej społeczności. Najstarsi stażem członkowie - Jesse i Shannon Levine, Leon Stahl, Jason Irving, Harriet Malcomb - przyjęli role straży przybocznej Chihaniego; traktowali go jak własność i spierali się z „nowymi”. Problem polegał na tym, że Aaron, chociaż „nowy”, był od nich starszy i bardziej czytany. Stał się przywódcą „nowych”. Nie atakował bezpośrednio Chihaniego, bez pardonu natomiast rozprawiał się z Harriet lub Leonem. Zarówno „starzy”, jak i „nowi” ostro rywalizowali o względy mistrza. Chihani zdawał sobie z tego sprawę i podsycał rywalizację. Bardziej niż na przyjaciółkach zależało mu przecieżyć na wyznawcach.

Widywaliśmy ich razem również przy innych okazjach. Jeśli spadł śnieg, dwoje lub troje Tropicielei zamiatało chodnik i podjazd przed domem Chihaniego. Kiedy pogoda się poprawiła, w piątkowe wieczory gromadzili się w ogródku za domem i dyskutowali bez końca, opróżniając niezliczone dzbanki mrożonej herbaty. Oczywiście rzucało się to w oczy i uszy sąsiadom, tak że nawet w najbardziej tolerancyjnych umysłach zaczęły w końcu kiełkować rozmaite podejrzenia. Niekiedy dochodziło do

głośnych kłótni, czasem rozlegały się jeszcze głośniejsze wybuchy śmiechu.

Od kwietnia pięcioro nowych członków zaczęło zbierać się co czwartek w mieszkaniu Aarona w centrum miasta. Wątpię, by uważali się za opozycję wobec pozostałych, niemniej jednak Aaron przygotowywał grunt pod dyskusję w szerszym gronie i budował wspólny front, tak by mogli skutecznie przeciwstawić się Leonowi i Harriet. Barry był tym niezwykle podekscytowany i nie ukrywał swego podziwu dla Aarona, spełniając różne jego polecenia i chodząc za nim jak pies. Aaron nie odczuwał do niego najmniejszego pociągu seksualnego, aczkolwiek takie zachowanie ogromnie mu pochlebiało, a nawet jeśli nie, to lubił korzystać ze swojej władzy, chociaż nie była ona zbyt wielka. Posyłał Barry'ego po rozmaite głupstwa, a nawet zaczął nazywać go Prosiakiem - chociaż, jak przypuszczam, w jego ustach przezwisko to nabrało nieco pieszczotliwego odcienia. W każdym razie, nikomu innemu nie było wolno zwracać się do Barry'ego w ten sposób.

Podczas poniedziałkowych spotkań głównymi oponentami stali się Aaron i Harriet. Leon Stahl również był nieźle odczytany, ale jego tusza czyniła go postacią raczej komiczną. Jeśli usiadł na podłodze, potrzebował pomocy, by się podnieść. Jesse i Shannon ciągnęli go za ręce przy akompaniamencie śmiechu pozostałych. Chihani z kolei uważał, że taka otyłość musi świadczyć o pewnym zepsuciu, a przynajmniej o braku dyscypliny; chociaż nie przyłączał się do kpin, często namawiał Leona do schudnięcia. Zdaje się, że pod wpływem tych rozmów Leon na pewien czas zamienił zwykłą colę na colę light. Był bez wątpienia najbardziej inteligentny w grupie, jednak jego tusza oraz przeróżne śmieszności, w tym również gorące uczucie, jakim darzył Harriet Malcomb, uniemożliwiały mu podjęcie skutecznej walki o przywództwo. Na placu boju pozostali więc tylko Harriet i Aaron.

Jeśli wierzyć Barry'emu, oboje serdecznie sobą gardzili, ale chyba nie było to aż takie proste ani nawet prawdziwe. Na swój sposób Harriet była bardzo okrutna. Jej uroda, lśniące czarne włosy, blada cera, cienka jak u osy talia i duże piersi stanowiły arsenał, z którego chętnie korzystała. W szkole nosiła krótkie spódniczki i sweterki, poza szkołą - obcisłe dzinsy i równie obcisłe bluzki. Aaron nie zwracał najmniejszej uwagi na jej wygląd. Podczas spotkań odzywał się do niej uprzejmie, lecz protekcyjnie i raczej zdawkowo, jakby zależało mu na tym, by jak najprędzej skoncentrować uwagę na kimś innym. Ona mówiła do niego sarkastycznym tonem, nie wywoływało to jednak żadnej reakcji, jeśli nie liczyć okazjonalnego pobłażliwego uśmiechu.

Gdzieś w połowie maja Aaron powiedział Barry'emu, że zamierza „dorwać” Harriet Malcomb. W pierwszej chwili Barry pomyślał, iż chodziło o to, by ośmieszyć ją przed innymi, ale okazało się, że nie miał racji. Działo się to w czasie lunchu. Aaron jadł hamburgera, Barry zaś, który doszedł do wniosku, że jest wegetarianinem, zamówił sałatkę. Siedzieli przy barze. Długie, związane w koński ogon włosy Aarona zaczęły się już nieco przerzedzać, co nadawało mu dość dystyngowany wygląd. Barry zapytał, co konkretnie miał na myśli Aaron, mówiąc, że zamierza „dorwać” Harriet.

- Chcę zrobić z niej mojego żołnierza - odparł Aaron, unosząc jedną brew, jakby sądził, że to wystarczy, aby Barry zrozumiał ukryte znaczenie jego słów.

- Jak?

- Robiąc z niej moją dziwkę.

Barry nie lubił rozmawiać o seksie. Uważał, że tego tematu w ogóle nie powinno się poruszać. Oczywiście zdawał sobie sprawę z urody Harriet, chełpił się jednak tym, że jest odporny na jej wdzięki.

- Co... co za... zamierzasz zro... zrobić? - spytał, jękając się.

- Chcę, żebyś zaniósł jej ten list - powiedział Aaron, wyjmując kopertę z płócienną torbę z książkami.

Wtedy Barry zrozumiał, że pora i miejsce lunchu zostały dobrane z myślą o dostarczeniu listu. Świadczył o tym chociażby fakt, że list był już napisany. Był czwartek, a we czwartki Harriet nie miała zajęć. Wszyscy wiedzieli, że czwartki poświęcała na lektury związane z jej działalnością w TP.

- A co w nim jest?

Aaron wcisnął mu kopertę do ręki, po czym na poły żartobliwie chwycił za kark. Barry nie miał pojęcia, czy po to, by go pogłaskać, czy po to, żeby podnieść jak kota.

- Zaproszenie na rozmowę. I pochlebstwa.

Barry dostarczył list w czwartek o drugiej po południu. Był rześki wiosenny dzień. Niebo na zmianę to całkiem się wypogadzało, to znów zasnuwało ciemnymi chmurami. Porywisty wiatr siekł piaskiem rozsypanym na jezdniach podczas zimy. Kilkoro emerytów grabiło liście pod rododendronami. Barry jechał przerdzewiałym fordem fairlane stanowiącym własność jego matki; z powodu popękanych sprężyn i zepsutych amortyzatorów samochód kołysał się jak statek na morzu. Pod wstecznym lusterkiem bujało się zapachowe drzewko.

Harriet Malcomb mieszkała na poddaszu przy Adams Street, zaledwie dwie przecznice od college'u. Barry zaparkował przed wejściem do budynku i wszedł na górę. Pomimo zabójstwa Janice McNeal wciąż nikt w naszym mieście nie zamykał drzwi na klucz. Harriet nieszczęśliwie ucieszyła się na jego widok; Barry'emu wydawało się, że powitała go wręcz wrogo, ale być może ta interpretacja wynikała bardziej z jego obaw niż z faktów. Dziewczyna miała na sobie szorty i bluzę z logo Colgate. Jak tylko Barry wręczył jej list, zaczęła zamykać drzwi. „Przed samym nosem”, poskarżył mi się później. Zatrzymał je ręką.

- Mam zaczekać na odpowiedź.
- Więc zaczekaj - odparła, zatrzasnąwszy drzwi.

Barry został sam w hallu. Żałował, że nie wziął ze sobą jakiejś książki - nie po to, żeby ją naprawdę czytać, tylko po to, żeby sprawiać wrażenie pochłoniętej lekturą, kiedy Harriet znowu się pojawi, żeby dać jej do

zrozumienia, że wcale na nią nie czeka, że w ogóle zapomniał o czekaniu, ponieważ zajął się innymi, ważniejszymi sprawami. Przez okno w hallu widział białą kopułę i dzwon wieńczące budynek administracyjny college'u. Na parterze czekał pies, z oddali dobiegał odgłos wkręcanego na wysokie obroty motocyklowego silnika.

Dziesięć minut później Harriet ponownie otworzyła drzwi. Nadal miała na sobie szorty, ale zamiast bluzy włożyła białą bluzeczkę. Nie spodobało się to Barry'emu, ponieważ w nowym stroju wyglądała zupełnie skromnie, co w ogóle nie budziło jego zaufania. Długie włosy zebrała z tyłu głowy i ściągnęła grubą czerwoną gumką. Na szyi miała naszyjnik z niebieskich paciorków.

- Jestem gotowa - oświadczyła.

Ponieważ Barry nie znał treści listu, nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować. Uczynił jednak wszystko, żeby ukryć zmieszanie.

- Mam wóz na dole - rzucił.

Wyszli z domu. Barry nie otworzył jej ani drzwi wejściowych, ani drzwi swojego forda. Podczas jazdy zastanawiał się intensywnie, co by powiedzieć. Harriet spoglądała przed siebie nieruchomym wzrokiem. Barry uznał, że wzorowała się na Chihanim.

Osiedle, w którym mieszkał Aaron, nosiło nazwę Belvedere Apartments. W jego budynku znajdowały się cztery mieszkania oraz umieszczony centralnie hall, z którego sufitu zwieszał się ozdobny, lecz nieco tandetny żyrandol. Aaron zajmował lokal na piętrze. Harriet wspięła się za Barrym po schodach, on zaś zastukał najpierw dwa razy, a potem raz. Był to ich prywatny sygnał, chociaż Aaron nie wspominał ani słowem, że życzy sobie, żeby Barry go zastosował.

Kiedy Aaron otworzył drzwi, nie sprawiał wrażenia ani trochę zaskoczonego widokiem Harriet.

- Wchodźcie - powiedział.

Mieszkanie składało się z obszernego salonu, sypialni oraz niewielkiej kuchni. Biurko, przy którym pracował Aaron, oraz komputer stały w

sypialni. Na ścianach salonu wisiały plakaty Zapaty i Pancho Villi z napisem *Huelga!*¹ Umebłowanie składało się z wypełnionej książkami biblioteczki, sprzętu stereo, kilku foteli oraz modernistycznej kanapy, bardzo długiej i bardzo niskiej. Na podłodze leżał kolorowy dywan.

¹ Huelga (hiszp.) - strajk

- Zaczekaj w sypialni - zwrócił się Aaron do Barry'ego.

Barry pomyślał, że to jakaś gra.

- Dobra.

Zamknął za sobą drzwi. Z rozczarowaniem stwierdził, że nie ma w nich dziurki od klucza. Nad pojedynczym łóżkiem wisiała reprodukcja obrazu Vermeera przedstawiającego kobietę z żółtym szalem. Emanująca z jej oczu radość życia mocno kontrastowała z ascetycznym wystrojem pomieszczenia: białe ściany i podłoga, biurko zrobione z białych drzwi, komputer, telefon, faks, drukarka. Jedynym ozdobnym elementem na biurku była oprawiona fotografia młodej kobiety o lekko skośnych oczach i dużych ustach. Barry'emu od razu nasunęło się skojarzenie z żabą. Wziął zdjęcie do ręki i dopiero po dłuższej chwili uprzytomnił sobie, że przedstawia ono Janice McNeal, matkę Aarona. Przypuszczał, nie domyśliłby się tego prędzej, gdyby kobieta na fotografii nie była taka młoda, najwyżej w wieku Aarona.

Barry odstawił zdjęcie i podszedł do drzwi. Słyszał głos Aarona, nie był jednak w stanie zrozumieć słów. Ton był stanowczy. Barry przypuszczał, że rozmowa dotyczy jakiegoś tematu poruszanego wcześniej podczas spotkań u Chihaniego. W pewnej chwili Harriet głośno i wyraźnie powiedziała „Nie!”, na co Aaron równie głośno się roześmiał. Potem rozległ się łoskot przewracanego fotela. Barry stał z ręką na klamce; zastanawiał się, dlaczego Harriet tak chętnie z nim tutaj przyjechała i co z tego może wynikać.

Z każdą minutą czuł się coraz mniej pewnie. Podszedł do telefonu, jakby zamierzał do kogoś zadzwonić, ale nie wiedział do kogo. Niepokoił

się, nie miał najmniejszego pojęcia, co się dzieje za drzwiami. Aaron mówił coraz głośniej. Kiedy Barry ponownie zbliżył się do drzwi, usłyszał odgłos uderzenia, a zaraz potem płacz Harriet. Chwilę później Aaron powiedział „Kretynka” niemal pieszczotliwym tonem.

Barry podbiegł do okna. Miał dziewiętnaście lat i bał się wielu rzeczy, w tym przede wszystkim tych, których nie rozumiał. Znalazłoby się tego sporo. Zmrużył oczy, oślepił blaskiem słońca. Czerwony citroen Chihaniego właśnie skręcał w Monroe Street. Co prawda Barry nie wiedział, jak nazywają się ludzie, których widział, większość z nich znał jednak z widzenia.

Wkrótce potem usłyszał wołanie Aarona:

- Prosiak! Prosiak!

Potruchtał do drzwi.

- Chodź tu, Prosiak!

Barry otworzył drzwi. Harriet leżała na dywanie. Miała ściągnięte szorty, jej biodra były bardzo białe. Aaron leżał na niej ze spodniami zsuniętymi do kostek. Harriet wpatrywała się w sufit, ale powoli, bardzo powoli skierowała wzrok na Barry'ego. Odniósł wrażenie, że coś jest nie w porządku z jej oczami.

- Prosiak... - powiedziała cicho.

Aaron podpierał się rękami opartymi na podłodze tuż obok ramion dziewczyny. Nie uśmiechał się, wręcz przeciwnie: zmierzył Barry'ego wściekłym spojrzeniem, ten zaś cofnął się gwałtownie i zatrzasnął drzwi. Odwrócił się, oparł o nie plecami, zasłonił uszy i osuwał się powoli, aż wreszcie usiadł na podłodze i znieruchomiał w tej pozycji, wpatrzony w podwójnie zawiązane sznurowadła. Odślonił uszy, usłyszał kolejny krzyk, pospiesznie znowu zasłonił je rękami. Poczul się bardzo samotny. Śledził wzrokiem cienie pełzające po podłodze w kierunku łóżka Aarona. Gapił się w okno, wyobrażając sobie, że przez nie skacze, ale zdawał sobie sprawę, że na pewno by się nie zabił, tylko poranił. Po pewnym

czasie zachciało mu się pójść do łazienki, ale żeby się dostać do niej, musiałby przejść przez sąsiedni pokój. Wciąż przyciskał ręce do uszu. Wkrótce cienie wspięły się na łóżko Aarona i już tam zostały.

Drzwi niespodziewanie drgnęły, zatrzymały się na jego grzbiecie, ktoś trzy razy rąbnął w nie pięścią. Barry zerwał się na nogi. Drzwi się otworzyły, stanął w nich Aaron, dwa kroki za nim Harriet. Oboje byli ubrani.

- Idziemy na pizzę - powiedział Aaron. - Pójdiesz z nami?

Barry otworzył już usta, by powiedzieć, że nie jest głodny, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Skinął głową. Wciąż musiał skorzystać z toalety. Wszedł tam, zamknął za sobą drzwi. Kiedy mył ręce, zauważył na podłodze jakąś kartkę. Był to list, który dostarczył Harriet. Włożył go do kieszeni.

Wieczorem, po powrocie do domu, wyjął go i przeczytał. „Mamy sobie wiele do zaoferowania. Potrzebuję twojej pomocy. Przyjedź z Prosiakiem”. Nie miał pojęcia, dlaczego po lekturze tego listu Harriet zdecydowała się mu towarzyszyć ani co Aaron rozumiał przez „pomoc”. Zrobiło mu się przykro, że nazwał go Prosiakiem.

W następnym tygodniu Barry nie poszedł na zebranie Tropicielei Prawdy, nie zjawił się również na czwartkowym spotkaniu w domu Aarona ani na zebraniu w kolejny poniedziałek, ostatni poniedziałek maja. We wtorek zadzwonił do niego Aaron.

- Przyjdź do mnie we czwartek wieczorem - powiedział i odłożył słuchawkę.

Barry'ego nawiedzały fantazje seksualne dotyczące Aarona. Wyobrażał sobie, że leży na podłodze zamiast Harriet, Aaron zaś przygniata go całym ciężarem ciała i wbija się w niego. Początkowo usiłował z nimi walczyć, w końcu jednak poddał się i zdecydował na masturbację. Jeśli chodziło o Harriet, to nienawidził jej serdecznie, przypuszczając - zapewne nieco naiwnie - że gdyby nie ona, Aaron poświęcałby mu więcej

uwagi. Wciąż powtarzał w pamięci fragment listu Aarona: „Mamy sobie wiele do zaofiarowania”.

Kiedy we czwartek zjawił się w mieszkaniu Aarona, zastał tam wszystkich Tropicielei Prawdy. Aaron i Harriet siedzieli obok siebie na kanapie. Dotykali się, ale nie pieścili ani w żaden sposób nie okazywali afektacji.

Od tej pory Aaron stał się nieoficjalnym przywódcą Tropicielei, Chihani zaś był ich mentorem. Nie starał się nimi kierować; to oni prosili go o wskazówki, a tym, który ich do niego prowadził, był właśnie Aaron - tak przynajmniej wyglądało to na zewnątrz. Podczas czwartkowych spotkań u Aarona omawiali wyznaczone lektury. W piątek zjawiali się u Chihaniego, by napić się kawy i podyskutować, lecz często brakowało tam Aarona. Z Chihanim łączyły go przyjazne, choć równocześnie chłodne stosunki. Z pewnością nie patrzył w niego jak w obraz, tak jak na przykład Jason Irving. Aaron utrzymywał pełen szacunku dystans, a kiedy Chihani wyznaczał mu jakieś zadanie lub o coś prosił, spisywał się bez zarzutu. Nigdy jednak nie wisiął u jego kłamki.

Często spotykał się z Harriet. Spędzała w jego mieszkaniu wiele nocy, trudno więc było nie wyobrazić ich sobie razem na wąskim łóżku. Dla Barry'ego stanowiło to prawdziwą torturę. W miejscach publicznych Aaron i Harriet nie zachowywali się demonstracyjnie; owszem, czasem trzymali się za ręce, choć zawsze wydawało się, że ich palce splotły się tylko na chwilę i jedynie przypadkowo. Namiętności dopuszczali do głosu (i to całkiem dosłownie) dopiero w domowym zaciszu. Martin Tyson, nauczyciel ze szkoły średniej, mieszkał w tym samym budynku i twierdził, że często docierał do niego brzęk tłuczonego szkła oraz łomot przewracanych mebli. Kiedyś nawet zastukał do drzwi Aarona, by sprawdzić, czy nie stało się tam nic poważnego.

Pamiętając o tym, co przydarzyło się Sheili Murphy, ludzie przyglądali się uważnie Harriet, szukając na jej twarzy sińców lub oznak

przygnębienia. Jej skóra była jednak równie blada i nieskalana jak zawsze. Nawet jeśli Aaron zostawiał ślady na jej ciele, to tam, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Ze względu na jego wcześniejsze dokonania ludzie niemal pragnęli coś znaleźć, pragnęli dostrzec jakiś ślad świadczący o tym, że los tego młodego człowieka toczy się zgodnie z ich oczekiwaniem. Sheila Murphy, która wciąż pracowała w Bud's Tavern, podchodziła do sprawy ze sceptycyzmem.

- Poczekajcie jeszcze trochę - mówiła.

Cechą charakterystyczną małych miasteczek jest to, że ścieżki życia mieszkańców bezustannie splatają się ze sobą. Ktoś staje się na pewien czas częścią naszej egzystencji, potem znika, by później znowu się pojawić. Na ulicy i w sklepach spotykasz wciąż tych samych ludzi. Zamieniasz z nimi kilka zdań, poznajesz nowinki o sąsiadach. Nawet ja, człowiek wiodący samotne życie, podczas sobotnich zakupów rozmawiam co najmniej z czterema lub pięcioma osobami. Dowiaduję się, że pani Durratty miała grype, że Midge, córka Toma Hendersona, właśnie skończyła college stanowy w Cortland, że leciwa pani Howster uderzyła swoim dodge'em w sarnę. Uwielbiam te rozmowy, prasy codziennej zaś nie prenumeruję, lecz kupuję ją w sklepie Malloya, przede wszystkim ze względu na pogaduszki nieodmiennie towarzyszące każdej mojej wizycie.

Ponieważ własne sprawy staram się zachować wyłącznie dla siebie, jest więc naturalne, że dla równowagi angażuję się w życie innych. Martwię się o panią Howster i cieszę razem z Tomem Hendersonem, chociaż niektórzy mogliby powiedzieć, iż tego rodzaju kontakty pozwalają mi stworzyć sobie iluzję zaangażowania, a równocześnie jeszcze bardziej cieszyć się odizolowaniem.

Mniej więcej przez rok po śmierci żony Franklin Moore trzymał się na uboczu. Opiekował się Sadie. Kultywował przyjaźń z Ryanem Tavichem. Ciężko pracował w redakcji. Miał jednak dopiero trzydzieści kilka lat. Należało oczekiwać, że prędzej czy później zacznie się interesować

innymi kobietami. A biorąc pod uwagę wielkość naszego miasteczka oraz skromną liczbę dostępnych kobiet, było chyba nieuniknione, iż w końcu jego uwagę zwróci przyrodnia siostra Aarona, Paula.

Paula miała trzydzieści lat i była niezamężna. Podobno przez cztery lata mieszkała w Binghamton z jakimś mężczyzną, ale okazało się, że był pijakiem i sprawa skończyła się nieciekawie: musiała prosić policję o opiekę i między innymi właśnie z tego powodu wróciła do Aurelius. Do podjęcia tej decyzji mógł się także przyczynić fakt, że dom jej ojca stał zupełnie pusty. Podejrzewam, iż Patrick zamierzał go sprzedać, jako że twardo postanowił przenieść się do Utiki i najwyraźniej nie chciał mieć nic wspólnego z naszym miasteczkiem; kiedy jednak Paula przeprowadziła się do Aurelius, wynajął jej dom za symboliczną opłatą. To było dla niego typowe: nie pozwolił jej po prostu zamieszkać tam za darmo, lecz wprowadził element, który zdystansował go wobec własnego dziecka - chociaż z drugiej strony nie słyszałem, żeby Paula miała coś przeciwko takiemu układowi. Patrick po prostu czuł się bezpiecznie tylko w otoczeniu dokumentów i prawników. Jego nieżyjąca żona żartowała, że używa prawników tak samo jak inni mężczyźni prezerwatyw. Nawiasem mówiąc, Henry Swazey, prawnik Patricka, był jednym z kochanków Janice.

O tym, że Paula wróciła do Aurelius, dowiedziałem się dopiero po kilku tygodniach. Rzadko pokazywała się publicznie, chociaż w tym miejscu nie od rzeczy byłoby pytanie, gdzie w Aurelius mogłaby się pokazywać osoba niegrająca w kręgle, bingo oraz nienależąca do żadnego przykościelnego stowarzyszenia. Raz czy dwa uczestniczyła w imprezach kulturalnych w college'u. Jestem przekonany, iż większość mieszkańców nie zdawała sobie sprawy z jej powrotu, chociaż gdyby byli bardziej spostrzegawczy, z pewnością zauważyliby ją podczas spacerów z psem Fletcherem, dużym czarnym mieszańcem labradora z wilczurem.

Franklin, jako redaktor naczelny lokalnej gazety, miał dostęp wszędzie, nie było więc nic dziwnego w tym, że w końcu zawitał do gabinetu dziekana do spraw studenckich i że spotkał tam Paulę.

Krótko obcięte, gęste czarne włosy zaczęły jej się trochę kręcić. Pierwsza żona Patricka, Rachel albo Roberta, była Żydówką; mieszanica krwi szkockiej i żydowskiej zaowocowała dość egzotyczną urodą. Na przykład oczy miała jasnoniebieskie. Ubierała się i zachowywała odrobinę po staroświecku, co w małych miasteczkach wcale nie należy do rzadkości. Okulary dodawały jej nieco powagi, co bardzo licowało ze stanowiskiem, jakie piastowała w college'u.

Paula i Franklin doskonale się razem prezentowali - on w spodniach khaki i tweedowych marynarkach, ona w kraciastych spódnicykach i białych bluzkach. Ludzie dobrze im życzyli. Nieszczęścia, które ich dotknęły - śmierć pierwszej żony Franklina, zabójstwo macochy Pauli - uchroniły ich przed okrucieństwem, którego nie brak w większości plotek. Nie to, żeby afiszowali się ze swoimi uczuciami. O nie, byli na to zbyt dyskretni, ale widywano ich razem w kinie lub restauracji, niekiedy zaś białe subaru Franklina do późnego wieczora stało przed domem Patricka McNeala.

Gdyby nie związek, jaki przez pewien czas łączył go z jej macochą, Ryan Tavich być może również spotykałby się z Paulą. Był nieco przewrażliwiony na punkcie takich powiązań, ale ponieważ przyjaźnił się z Franklinem, czasem siadywali we trójkę w Bud's Tavern lub jeździli na biegówkach po lesie graniczącym z Lincoln Park. Ryan interesował się też innymi kobietami, z żadną jednak nie związał się na dłużej. Ludzie powiadali, że wciąż był pod urokiem Janice. Od czasu do czasu pokazywał się z Patty McClosky, sekretarką Schmidta, albo z Ronnie Glivens, pielęgniarką ze szpitala.

Pauli nie lubiła natomiast Sadie, chociaż nie wiem, czy to określenie jest najwłaściwsze. Polubiłaby ją, gdyby nie uczucie, jakie łączyło Paulę z

jej ojcem. Trzynastoletnie dziewczęta mają skomplikowane, aczkolwiek pod wieloma względami dość prostolinijne umysły. Bezpośrednio po śmierci matki Sadie bardzo zbliżyła się do Franklina. Wszędzie chodzili razem. Kiedy Franklin zaangażował się w związek z Paulą, siłą rzeczy nie mógł już poświęcać córce tyle czasu. Często on i Paula zabierali Sadie do kina albo na spacerów do parku, ale chociaż dziewczynka nie zachowywała się nieuprzejmie, to jednak była milcząca i nieszczęśliwa. Niekiedy Franklin wspominał o tym podczas rozmów ze mną.

- Ona uważa, że zaniedbuje pamięć o jej matce.
- Jest o ciebie zazdrosna - odpowiadałem.

W rzeczywistości Sadie uważała, że to ona jest zaniedbywana i zdradzana. Wydawało jej się, że została odsunięta na bok, co oczywiście było głupie, ale przecież miała tylko trzynaście lat. Docierały do niej wyolbrzymione, rozdmuchane opowieści o Janice i jej śmierci, przypuszczała więc, że Paula jest do niej podobna, mimo że w ogóle nie była z nią spokrewniona. Najsmutniejsze, choć zarazem zabawne było to, że kiedy ojciec Pauli, Patrick, dwadzieścia pięć lat wcześniej zaczynał spotykać się z Janice, Paula żywiła do Janice takie same uczucia, jakie obecnie maniastowała wobec niej Sadie. Patrick chyba mądrze by zrobił, gdyby wziął sobie wtedy do serca zastrzeżenia córki.

Sadie próbowała ukarać ojca, chociaż sama nie postrzegала swego zachowania w ten sposób. Coraz gorzej się uczyła, wychodziła z domu, nie mówiąc ojcu, dokąd idzie. Bardzo go to niepokoiło. Do tej pory zawsze zachowywała się odpowiedzialnie, Franklin zaś, będąc samotnym ojcem, bardzo liczył na tę odpowiedzialność. Franklin zatrudnił panią do prowadzenia domu. Była nią Megan Kelly, ta sama, która znalazła ciało Janice McNeal. W poniedziałki, wtorki i środy pani Kelly gotowała dla niego, a raczej dla Sadie, ponieważ obowiązki zazwyczaj zatrzymywały Franklina w redakcji do późnego wieczora.

Zdarzało się często, że kiedy Sadie wychodziła z domu, nie mówiąc, dokąd idzie, zjawiała się u mnie, o czym Franklin oczywiście doskonale wiedział, ponieważ go o tym informowałem - nigdy jednak nie przyznałem się Sadie, że na nią donoszę. Odkąd skończyła jedenaście lat, zabrałem ją, pokazując okazy, które trzymam w słojach z formaliną. Nazywam je marynowanymi dziwami. Jest wśród nich kilka żab, szczur, grzechotnik, ludzki płód z zamkniętymi oczami odziedziczony po poprzednim nauczycielu biologii, dziesięć krowich gałek ocznych oraz płód świni. Gromadziłem tę kolekcję przez wiele lat i wykorzystuję ją podczas zajęć. Formalina nadała jej jednakowy ciemnoszary kolor, szczur prawie całkiem wyłysiał, krowie oczy spoglądają ze słoja z melancholijną inteligencją, nienarodzona świnka wygląda tak, jakby się czymś martwiła. Sadie zawsze najbardziej fascynował płód ludzki: zastanawiała się, kim byli jego rodzice i kim by został, gdyby dane mu było się urodzić. Takie rozważania nieodmiennie wprawiały ją w bardzo filozoficzny nastrój.

Zdarzało się też, iż wyruszała na samotne długie spacerory lub przejażdżki rowerowe, co było mocno niepokojące, szczególnie jeśli Franklin akurat zamierzał ją dokądś zabrać albo po prostu chciał wiedzieć, gdzie się podziewa. Miała sporo przyjaciółek w swoim wieku, wśród nich nieszczęsną Sharon Malloy, i często zaglądała do jej domu. Jednak rodzice Sharon nie byli aż tak troskliwi, by za każdym razem informować Franklina, że jego córka właśnie u nich przebywa.

Od czasu do czasu Paula próbowała wybrać się dokądś wyłącznie w towarzystwie Sadie, lecz ta zazwyczaj odmawiała, jeśli zaś nawet się godziła, to przez cały czas nie odzywała się ani słowem. Trwało to co najmniej przez pół roku i muszę przyznać, że imponowała mi wytrwałość Pauli. Ale Sadie nie lubiła jej towarzystwa albo może przemawiał przez nią zwykły upór. W rezultacie Franklin coraz częściej widywał się z Paulą bez udziału córki, co tylko pogarszało sytuację.

Miał nadzieję, że problem sam się rozwiąże. Paula przecież była miłą osobą, opowiadała zabawne historyjki, kupowała Sadie prezenty. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby jego córka wreszcie jej nie polubiła, lecz zalety Pauli jedynie podsycaly podejrzliwość Sadie.

- Po co kupuje mi te rzeczy? - zapytała któregoś dnia. - W niedzielę dostałam od niej niebieski sweter.

- Chce, żebyś ją polubiła - odparłem.

- Ale ja nie chcę!

- Co zrobiłaś ze swetrem?

- Oddałam go Sharon. Nie wydaje ci się, że ona za często się uśmiecha?

U dorosłych takie zachowanie świadczy o nerwicy, osoby w wieku dojrzewania potrafią natomiast łączyć nerwicę z normalnością w całym zgrabną całość. Pomagałem Sadie w nauce, zaczęła dostawać lepsze stopnie, wciąż jednak znikala bez śladu, aż wreszcie późną wiosną Franklin zaczął mówić o tym, że zamierza pojechać z nią do psychologa w Hamilton. Przypuszczalnie pomysł podsunęła mu Paula, która sama była psychologiem. Rzecz jasna Ryan Tavich uczulił kolegów po fachu na nagłe zniknięcie dziewczynki i wiele razy policja odstawiała ją do domu, co oczywiście wywoływało niesłychane zainteresowanie sąsiadów.

Z pewnością bardziej niepokoiłoby mnie jej zachowanie, gdybym nie czerpał z niego pewnych korzyści. Chociaż nie brakuje mi rodziny, to jednak bardzo lubiłem obecność Sadie. Po każdym jej wyjściu czułem się idiotycznie i besztalem się w myślach, choć nie robiliśmy nic złego. Mimo to wolałbym, żeby nie rozniosło się po szkole, że przez cały wieczór piekłem z Sadie Moore czekoladowe ciasteczka. Nie piekliśmy ich zresztą codziennie, najwyżej raz w miesiącu, ale za każdym razem czekałem na to z utęsknieniem. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że powinienem przynajmniej podjąć próbę przekonania jej o dobrych intencjach

Pauli, to nie chciałem ciosać jej kołków na głowie ani tym bardziej podważyć zaufania, jakie we mnie pokładała. Prawda przedstawiała się w ten sposób, że wizyty Sadie były dla mnie znacznie ważniejsze od tego, w jaki sposób układają się jej stosunki z Paulą.

Ryan Tavich również zainteresował się Sadie i, jak przypuszczam, usiłował skłonić ją, by zaakceptowała Paulę. Zimą jeździł z Sadie na nartach, wiosną łowił z nią pstrągi. Nie był szczególnie rozmowny, niemniej opowiadał jej o drzewach, kwiatach i zwyczajach pstrągów. Jako stąpający mocno po ziemi, pozbawiony rozwiniętej wyobraźni człowiek, po prostu dzielił się z nią informacjami o świecie.

Tak więc Sadie i ja piekliśmy czekoladowe ciasteczka i oglądaliśmy martwe okazy w słoikach, Ryan Tavich zaś zabierał ją na ryby. Wtedy widok starszego mężczyzny w towarzystwie młodej dziewczyny nie budził niczyjego zainteresowania. W życiu Sadie był jednak jeszcze jeden mężczyzna i jego obecność stanowiła już powód do troski: Aaron McNeal. Nawet Franklina niepokoiła ich przyjaźń. Podejrzewam, że Sadie zdawała sobie sprawę z ambiwalencji uczuć ojca i, całkiem niewinnie, starała się z tego korzystać. Franklin spędzał wiele czasu z Paulą, Sadie więc spotykała się z jej przyrodnim bratem. Najprawdopodobniej uważała, że tak jest w porządku.

Stosunki Pauli z Aaronem były dość skomplikowane. Brała udział w jego wychowaniu i często się nim opiekowała, kiedy był mały, ale nie lubiła macochy, Aaron natomiast bardzo ją przypominał. Mieli takie same lekko skośne oczy. Odziedziczył nawet gesty Janice - na przykład wzruszanie jednym ramieniem albo specyficzny sposób zasłaniania ust podczas śmiechu.

A jak wyglądały uczucia Aarona wobec przyrodniej siostry? Po tym, jak Patrick i Janice się rozwiedli, Paula nie tylko zastąpiła mu matkę, lecz również odizolowała go od Janice. To ona przynosiła mu książki, to ona odprowadzała go do miejskiej biblioteki. Usiłowała nawet chronić

go przed Harkiem Powersem, kiedy ten zaczął zjawiać się przed ich domem, by się z niego naigrawać. Przypuszczalnie to właśnie Paula namówiła Aarona do rewanzu, choć z pewnością nie podsunęła mu pomysłu, żeby odgryzł Harkowi ucho. Zwykle trudno jest przeniknąć wewnątrz - rodzinne układy: mieszają się tam sympatia z antypatią, miłość z egoizmem, a wszystko okraszone zazdrością, żalem i gniewem. Ja na szczęście nie miałem rodzeństwa i byłem wychowywany tylko przez matkę, ale i tak miałbym poważne problemy z opisaniem łączących mnie z nią więzów, szczególnie w kilku ostatnich latach jej życia.

Kiedy Franklin zaczął się spotykać z Paulą, Aaron jeszcze nie wrócił do miasta. Zjawił się jakieś trzy miesiące później, w grudniu; wspólne święta były zapewne koszmarem. Sadie wybrzydzała na upominki otrzymane od Pauli - sweter w niewłaściwym kolorze, bluzka w niewłaściwym rozmiarze - Aaron z kolei dość chłodno traktował Franklina, choć ten był dla niego bardzo uprzejmy, a nawet miły. Można by przypuszczać, że Aaron okaże mu nieco współczucia w związku ze śmiercią Michelle, był jednak tak bardzo pogrążony we własnych sprawach, że nie dostrzegał cierpienia innych. Być może zazdrościł Franklinowi łatwości rozwiązywania problemów. Franklin wiódł ustabilizowane życie, nie miotał się w poszukiwaniu nie wiadomo czego, w dodatku zaś kochała go Paula. Mogło to wywołać zazdrość Aarona, który pragnął, by Paula skoncentrowała uwagę wyłącznie na jego osobie.

Pod tym względem Aaron i Sadie byli tacy sami. Święta spędzili, grając w monopol i rzucając śnieżkami, głównie we Franklina. Spotykać się zaczęli dopiero po tym, jak „Independent” opublikował wywiad z Chihanim i po tym, jak Aaron dołączył do Tropicieli Prawdy. Franklin oczywiście od razu zaczął się obawiać, czy w grę nie wchodzi coś poważniejszego. Aaron obdarowywał Sadie prezentami; zazwyczaj była to tania

bizuteria, czasem książka. Franklin mu nie ufał, chociaż chciał. Paula, przyrodnia siostra Aarona, także mu nie ufała.

- Nigdy nie wiadomo, co on zaraz zrobi - powiedział mi kiedyś Franklin. - Zwykle zachowuje się całkiem normalnie, a potem, nie wiadomo dlaczego, robi coś zupełnie zwariowanego: na przykład spija psa Pauli rumem albo dla zabawy chowa mi klucze. Czy wiesz, że kiedy rozmawiasz z ludźmi, zazwyczaj prowadzisz z nimi równocześnie dwie rozmowy, tę „na wierzchu” i drugą, ukrytą? Łatwo możesz dostrzec czyjąś lek, dumę albo słabą stronę. Kiedy rozmawiam z Aaronem, nie widzę niczego. - Roześmiał się. - Ta druga rozmowa jest zbyt głęboko ukryta, a bez niej nie jestem w stanie przewidzieć jego postępowania ani zrozumieć, dlaczego robi to, co robi. Nie mam pojęcia, w jaki sposób pojmuje związek przyczyny ze skutkiem. Jest jak powierzchnia jeziora. Pod nią coś się porusza, ale ja nie wiem co.

Sadie wcale nie spędzała z Aaronem wiele czasu, niekiedy jednak widywano ją w jego samochodzie albo dzwoniła z jego mieszkania do ojca i prosiła, żeby po nią przyjechał, chociaż od domu dzieliło ją zaledwie około ośmiu przecznic. Czasem jedli razem lody w szkolnej kafeterii. Wyglądało na to, że darzą się sympatią, ale Aaron miał dwadzieścia trzy lata, a Sadie trzynaście, my wszyscy zaś dobrze znaliśmy jego historię.

Sadie również ją znała, lecz bardzo ją sobie uromantyczyła. Dla niej to on był ofiarą. Poza tym, doskonale zdawała sobie sprawę, że przyjaźnię się z Aaronem, drażni ojca, i jej nastoletnia dusza ogromnie się tym radowała. Kiedyś namalowała sobie na policzku czerwony znak w kształcie dużej litery L - taki sam jak blizna Aarona. Kiedy Franklin to zobaczył, w pierwszym odruchu chciał jej kazać, żeby natychmiast go zmyła, w końcu jednak nic nie powiedział.

Należy zwrócić uwagę na fakt, że wiosną, po I zakończeniu semestru w college'u, żaden z dziesięciorga Tropicielei Prawdy nie wyjechał z miasta. Większość znalazła sobie wakacyjne zajęcia w Aurelius. Harriet Malcomb zatrudniła się jako kelnerka w Pine Cone Inn. Leon Stahl wykonywał prace biurowe w Ames. Jesse i Shannon Levine pomagali przy sprzątanii i pracach remontowych w college'u. Oscar Herbst został zatrudniony w Aurelius Lumber. Nie jestem pewien, co robili pozostali, w każdym razie wszyscy w dalszym ciągu spotykali się dwa albo trzy razy w tygodniu. Czytali książki wskazane przez Chihaniego, dyskutowali o nich u Aarona i ustalali, jakim żargonem będą je później omawiać. Oficjalnie nazywało się to ustalaniem nomenklatury. W piątkowe wieczory w nieco mniejszym gronie zbierali się u Chihaniego i w dalszym ciągu prowadzili dyskusję, tyle że na bardziej towarzyskiej stopie. Jesse i Shannon strzygli nie tylko szkolne trawniki, lecz również trawnik przed domem Chihaniego, Joany Rustoff zaś sprzątała i prała. Czyniła to jednak za opłatą.

Tropiciele zamieniali się powoli w wyznawców, niektórzy w bardziej, inni w mniej fanatycznych. Barry od dawna pragnął uwierzyć w cokolwiek, aż wreszcie zjawił się Chihani. Tak samo było ze wszystkimi, z wyjątkiem Aarona: pragnienie wiary pojawiło się wcześniej niż jej obiekt. Każdemu z dziesięciorga Tropicielei czegoś brakowało w życiu, pustkę tę zaś wypełnił w końcu Houari Chihani wraz ze swoją ideologią, równie dobrze jednak mogłyby ją wypełnić pasja do baletu klasycznego,

działalność w Greenpeace lub opieka nad psem. Gdybym powiedział to Barry'emu, poczulby się urażony. Każde z nich wierzyło, że puste miejsce w jego lub jej życiu miało jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny kształt i że wypełnić go mogli tylko Tropiciele Prawdy.

Jak już wspomniałem, wyjątek stanowił Aaron. Wątpię, żeby był autentycznym wyznawcą; byłbym raczej skłonny uznać go za nieortodoksyjnego nihilistę poszukującego alternatywy dla nihilizmu. Jego specyficzne poczucie humoru (jeśli tym rzeczywiście było) objawiało się w zamiłowaniu do przeciwieństw. Czyniło go to mniej jednoznacznym od pozostałych, tym bardziej że bawiły go również różnice pojawiające się między Tropicielami. Mało tego, nawet często je podsycał. Niesłusznie jednak podejrzewałem go o to, że działa pod wpływem kaprysu. Jego postępowaniem bez wątpienia kierowała silna, jednoznacznie określona pasja... Ale wybiegam nieco w przeszłość.

Wielka szkoda, że Aaron często nie uczestniczył w piątkowych spotkaniach u Chihaniego, z biegiem czasu bowiem zamieniły się one w sesje samokrytycyzmu. Byłem wzruszony tym, jak Barry opowiadał o swoich uczuciach związanych z niskim wzrostem oraz albinizmem. Wyznał nawet, jak bardzo nienawidzi być nazywany Prosiakiem. Byli to całkiem zwyczajni, trochę gruboskórni młodzi ludzie, ale dzięki drażącej dociekliwości Chihaniego nauczyli się dostrzegać przynajmniej część swoich wad. Leon Stahl musiał stawić czoło swemu obżarstwu. Jason Irving mówił otwarcie o lęku związanym z seksem. Bob Jenks i Joany Rustoff przyznali, że jednym z rezultatów ich bliskiego związku było odgrodenie się od reszty świata. Nie wierzę, żeby Jesse i Shannon Levine kiedykolwiek wątpili w swoją wyjątkowość, ale pod wpływem Chihaniego przynajmniej pojęli, o ile wyżej cenią sobie własne zdanie od zdania wszystkich dookoła. Jeśli nawet trudno było dopatrzeć się czegoś niewłaściwego w uświadamiającej roli Chihaniego, to chyba należało

uznać za błąd próby zastąpienia odkrytych w ten sposób słabości jego własną, szczególną odmianą marksizmu.

Podobnie jak Aaron, Harriet Malcomb nie przejawiała większego zainteresowania samokrytycyzmem. Co prawda twierdziła, że opuszcza spotkania u Chihaniego ze względu na pracę w Pine Cone Inn, możliwe jednak, iż czyniła to na żądanie Aarona. Być może obawiał się osłabienia swojej władzy nad dziewczyną. Trudno ocenić, ile tak naprawdę miał tej władzy, szczególnie wtedy, kiedy zaczęła się spotykać z Ryanem Tavi-chem. Ryan zobaczył ją w Pine Cone Inn, gdzie zabrał na kolację Ronnie Glivens. Później Harriet zadzwoniła do niego.

- Jasne, że się z nią spotykam - odpowiedział na pytanie Franklina w któryś czwartkowy wieczór po meczu koszykówki. - Byłbym idiotą, gdybym odmówił tak pięknej kobiecie.

- Jesteś od niej ponad dwadzieścia lat starszy - zauważył Franklin.

- Potrafię liczyć - odparł Ryan. - Skoro jej to nie przeszkadza, dlaczego ja miałbym się tym przejmować?

Harriet była od niego wyższa, on jednak regularnie uczęszczał na siłownię i prezentował się całkiem nieźle. Wydawało się dość dziwne, że tych dwoje zwróciło na siebie uwagę, ale wówczas jeszcze to, co dziwne, niekoniecznie od razu stawało się podejrzane.

- O czym rozmawiacie? - spytał Franklin.

- O różnych policyjnych sprawach. Uwielbia moje wojenne opowieści.

Spotkania w domu Chihaniego przebiegały pod ścisłą kontrolą gospodarza. Kiedy uczestniczył w nich Aaron, stawał się zupełnie inną osobą, pełną szacunku i uległą.

W pewien lipcowy poniedziałek Tropiciele Prawdy mieli omawiać *The Power Elite* C. Wrighta Millsa. Salon w domu Chihaniego był urządzony

po spartańsku: dwa stelaże łóżek z futrzakami i kilka krzeseł. Jediną ozdobę stanowiły czerwono-granatowy algierski dywan na ścianie oraz drugi, utrzymany w różnych odcieniach brązu, na podłodze. Żadnych książek, płyt ani zdjęć. Chihani miał mnóstwo książek, wszystkie jednak trzymał na piętrze. Podejmował gości herbatą miętową bez cukru oraz niesłodzonymi kanadyjskimi ciasteczkami.

Jako jedyny usiadł na krześle. Reszta porozsiadała się po całym pokoju.

- Czym jest sprawiedliwość? Czy ktoś z was potrafi to wyjaśnić?

- Czymś, co jest dobre dla większości? - zapytał Leon. Siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, obejmując je mocno, ponieważ były tak grube, że rozchodziły się na boki.

- W takim razie, czym jest dobro?

W ustach Chihaniego wszystkie sylaby były takiej samej długości.

- Dobro to równość - odezwała się Harriet z futrzaka, na którym na pół leżała obok Aarona kartkującego jakieś francuskie czasopismo.

Leon zacytował Marksa:

- „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego zasług”.

- Dlaczego to ma być uczciwe? Czyżby idea sprawiedliwości opierała się na moralnych prawach jednostki?

- Opiera się na teorii historii - odparł Leon.

- Wyjaśnij to.

- Historia oznacza postęp. Prowadzi w kierunku lepszego ładu społecznego.

- Co to znaczy „lepszy ład społeczny”?

- Emancypacja ludzkości - włączył się do rozmowy Shannon.

- Dlaczego właśnie ona ma być lepsza?

- Ponieważ wyzysk człowieka przez człowieka wywołuje tarcia wewnątrz społeczeństwa - wyjaśniła Harriet. - Nie wszyscy pracują dla dobra

ludzkości. Zepchnięci na margines są wykorzystywani i prędzej czy później buntują się przeciwko tym, którzy są u władzy. Leon podniósł rękę, a następnie zaczął czytać z Marksa:

- „Kiedy wielka rewolucja społeczna zapanuje nad pozostałościami epoki burżuazji, światowym rynkiem i nowoczesnymi środkami produkcji, a następnie podda je wspólnej kontroli najwyższej rozwiniętych narodów, wówczas dopiero postęp ludzkości przestanie przypominać tego ohydneho pogańskiego bożka pijącego nektar wyłącznie z czaszek pomordowanych”.

- Podoba mi się to o czaszkach pomordowanych - odezwał się Oscar. Z kącika ust sterczała mu złota spinka. Słuchając, obracał ją i przesuwiał językiem, jakby smakował coś słodkiego.

- Lenin powiedział, że moralne jest wszystko, co pomaga w zniszczeniu starego społeczeństwa wyzyskiwaczy i jednoczy robotników w dziele budowy nowego społeczeństwa komunistycznego - wtrąciła Harriet.

- Czy to nie znaczy po prostu, że cel uświęca środki? - zapytał Barry. Rzadko zabierał głos, ale kiedy to czynił, był z siebie niezmiernie dumny.

- A co w tym złego? - odparł Oscar.

- Zło w służbie dobra przestaje być złem - powiedział Aaron.

- To wątpliwa filozofia - stwierdził Leon.

- Czasem tak, a czasem nie - zripostował Aaron.

- A policja? - spytał Leon.

- Leon boi się policji - parsknął Oscar.

Był heretykiem pożądanym konkretnych dowodów, mało zainteresowanym teorią. Przypominał mechanika samochodowego, który nie widzi powodu, by prowadzić filozoficzne dyskusje o awariach silników, ale porównanie to nie jest do końca prawdziwe. Oscar niczego nie naprawiał. Fascynowało go niszczenie. Pożądał destrukcji.

Chociaż zimy w Aurelius bywały długie, chłodne i śnieżne, to lata wspaniałe - słoneczne i niezbyt upalne. To lato było szczególnie piękne. Pamiętam pewien tydzień w lipcu, kiedy co wieczór padał niewielki deszcz, dni natomiast były całkowicie bezchmurne. Przez jakiś czas mogło się wydawać, że natura wreszcie poszła po rozum do głowy. Mimo że trawnik przed moim domem jest dość rozległy, strzygę go samodzielnie. Lubię, kiedy sąsiedzi widzą mnie pracującego w ogródku, czuję, jakbym w ten sposób stawał się jednym z nich. Sadie czasem mi pomagała, ja zaś płaciłem jej symboliczną sumkę za opiekę nad moimi kwiatami, dzięki czemu miałem rabaty z geranium, niecierpkami i liliami. Pomagała mi również przy malowaniu garażu na biało - z zielonymi obramowaniami. Nosiła szorty i bawełniane koszulki. Stwierdziłem z żalem, że już bardzo niedługo przestanę być dzieckiem.

Jak już powiedziałem, Tropiciele Prawdy spotykali się przez całe lato, w ich szeregach pojawiły się jednak tarcia i niepokoje. Nie wierzę, by Chihani je podsycił - co najwyżej ich nie dostrzegał. Zdaniem Barry'ego, była to sprawka Aarona. Nienawidził spokoju. W lipcu przez kilka dni niemal nie rozstawał się z Joany Rustoff, pływał z nią i chodził do kina. Być może również chciał uczynić z niej swego żołnierza, cokolwiek to znaczyło. Irytowało to Harriet i Boba Jenksa. Potem nagle przestał się z nią spotykać, co z kolei zirytowało samą Joany. Nie przypuszczam, żeby doszło między nimi do zbliżenia cielesnego, początkowo jednak bardzo się nią interesował, by nagle całkowicie zobojeźnić. Była ładną blondynką, chodziła w obcisłych dżinsach i skąpych koszulkach na ramiączkach. Miała lekko zadarty nos, zupełnie jak aktorki z lat pięćdziesiątych, i szczyła się nim tak, jak niektórzy szczycą się inteligencją. Rzadko się malowała, ale wtedy, kiedy zalecał się do niej Aaron, nie pokazywała się bez makijażu. Później to się skończyło i Joany wróciła do Boba.

Napięcie istniało także między Barrym i Oscarem Herbstem. Oscar gardził Barrym. Nie podobało mu się, że Barry jest albinosem oraz że

jest gejem, do czego ten przyznał się podczas jednego z seansów samokrytycyzmu. Nie podobało mu się, że Aaron traktuje Barry'ego jak maskotkę. Być może sam chciał zająć to miejsce, skończyło się jednak na tym, iż usiłował poróżnić go z Aaronem.

Jesse i Shannon demonstrowali dużą lekkomyślność, upijając się i awanturując w barach. Czym zaś można było wytłumaczyć romans Harriet z Ryanem, jeśli nie również lekkomyślnością? Zawsze, kiedy widziano ich razem na ulicy lub w eskorcie Ryana, dosłownie na nim wisiała. W miarę jak lato zbliżało się do końca, Tropiciele Prawdy stawali się coraz bardziej nieobliczalni.

Jednym z przykładów takiego postępowania była nocna zabawa, która Aaron zorganizował na początku sierpnia na Homeland Cemetery. Wątpię, żeby reszta, może z wyjątkiem Oscara Herbsta, miała ochotę w niej uczestniczyć. Leon Stahl, który w ogóle nie był zwolennikiem chodzenia, a szczególnie chodzenia po cmentarzach, podkreślał kilkakrotnie, że „nie lubi szaleć”. Barry też nie chciał iść, ale jednocześnie nie chciał zostać w domu. Joany i Bob Jenks poszli chyba tylko po to, by pokazać, że nie przywiążą żadnej wagi do flirtu, jaki kilka tygodni wcześniej Aaron prowadził z Joany. Harriet specjalnie na tę okazję odwołała spotkanie z Ryanem. W końcu nawet Leon dał się przekonać i powiedział, że jeśli obandażuje sobie kolana, to może uda mu się dojść nawet tak daleko. Jak się wkrótce potem okazało, uczynił lepiej, zostając jednak w domu.

Mieli ze sobą nieduży radiomagnetofon, papierowe kubeczki, cztery litry soku pomarańczowego i litr wódki. Wzięli również piwo i krakersy.

- A balony? - zapytałem później Barry'ego.
- Niech pan da spokój.

Barry przez cały czas miał wrażenie, że lada chwila złapie go za spodnie koścista ręka albo że lodowate palce zacisną się na jego szyi. W związku z tym starał się trzymać w środku grupy, rozpychając się i

potracając pozostałych, co wreszcie mocno ich rozzłościło. Przypuszczalnie wszyscy czuli się trochę nieswojo. Bądź co bądź, byli o północy na cmentarzu. Chudy księżyc nie dawał wiele światła, lecz Aaron, Shannon i Bob Jenks zabrali latarki. Barry'emu nie przyszło to do głowy.

W środkowej części cmentarza przed pięciometrowym obeliskiem leżała wielka granitowa płyta. Był to rodzinny grobowiec Hyrama Peabody, bankiera, żyjącego i działającego w Aurelius w dziewiętnastym wieku. Płyta miała dwa i pół metra długości i dwa szerokości, a wyryty na niej napis głosił: „Robił wszystko natchniony duchem przemian”. Obelisk otaczały mniejsze nagrobki różnych członków rodziny, w tym także dzieci, spośród których kilkoro umarło bardzo młodo. Rosnące w pobliżu dęby były już dość stare, wśród nich stało pięć lub sześć eleganckich marmurowych grobowców stylizowanych na greckie świątynie. Jeden z nich, należący do Cyrusa Tuckera, dorównywał rozmiarami niewielkiemu domkowi.

Kiedy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych chodziłem do szkoły, wśród uczniów krążyły pogłoski, że odważne pary kochały się w nocy na płycie nagrobnej Hyrama Peabody. Niektórzy chłopcy twierdzili nawet, że na własne oczy widzieli porzucone w trawie, zużyte prezerwatywy, chociaż nie wiadomo, czy mówili prawdę.

Aaron upatrzył sobie właśnie tę płytę. Mieli na niej tańczyć. Mieli pić wódkę z sokiem pomarańczowym, obscenicznie się zachowywać i dyskutować o Marksie. Kiedy szli między grobami, naigrawał się z pozostałych, pytając: „Widzieliście? Co to mogło być?” albo „Co to za hałas?”. Za każdym razem zbijali się w ciasną gromadkę.

Shannon postawił radiomagnetofon u podstawy obelisku. Aaron włączył Doorsów. Oscar przyrządził drinki. Bob i Joany tańczyli do melodii piosenki *Mahagonny* o księżycu nad Alabamą. „O, wskaż mi drogę do najbliższego baru...”. Tańczyli prześmiewczo, jak marionetki. Jason odwrócił się tyłem do wszystkich, skrzyżował ręce, położył sobie dłonie

na ramionach i kołysał się, jakby tańczył z kimś jeszcze szczuplejszym od niego.

- Dalej, bierz się do roboty! - zachęcał go Shannon.

- Aha! - wtórował mu Jesse.

Barry stał tak blisko Aarona jak było to możliwe, nie dotykając go jednak. Bał się usiąść, wyobrażał bowiem sobie, że ziemia rozstąpi się pod nim i wciągnie go do środka. Nie rozumiał, dlaczego zgodził się tu przyjść. Gdziekolwiek spojrzeł, jego wzrok trafiał na coś potencjalnie przerażającego.

- Na czym polega różnica między dialektyką epistemologiczną, ontologiczną i względną? - zapytał Oscar. - Joany zrobi loda temu, kto prawidłowo odpowie!

- Zamknij się! - prychnęła pogardliwie Joany.

- No dobrze: skoro nie ona, to Harriet.

- Leon na pewno by odpowiedział - rzucił Barry, czując, że powinien stanąć po stronie tego, kto okazał się na tyle mądry, by tu nie przyjść.

- I właśnie dlatego go tu nie chcieliśmy - oświadczył Oscar.

- Jemu na pewno nie chciałabym robić loda - wtrąciła Harriet ze śmiechem. Aaron również się roześmiał.

Na myśl o tym, że Joany lub Harriet miałyby dotykać ustami jego penisa, Barry'ego ogarnęło przerażenie. Jednym haustem wychylił zawartość kubka. Nie poczuł smaku wódki, wiedział jednak, że ona tam jest. Latarki rzucały na ziemię i pomniki rozedrgane plamy światła.

- Czy ludzie umierają dlatego, że na to zasługują? - zapytał Jason.

- Umierają dlatego, że są starzy i chorzy - odparła Harriet.

- Umierają dlatego, że są znudzeni - powiedział Aaron.

Przez liście dębów sączył się blask księżyca. Harriet ustawiła po sześć świec po obu stronach radiomagnetofonu. Chociaż noc wydawała się bezwietrzna, płomyki świec tańczyły w takt muzyki.

Aaron i Bob Jenks rozpoczęli dyskusję o pauperyzacji oraz różnicach między pauperyzacją częściową a całkowitą. Obaj już sporo wypili. Bob

twierdził, że zjawisko pauperyzacji występuje obecnie tylko w nielicznych, najbardziej zacofanych krajach trzeciego świata.

- Zerznijmy jakiegoś spauperyzowanego trzecioświatowca! - zaproponował Oscar Herbst.

- Spauperyzowani trzecioświatowcy to nasi ludzie - zwrócił mu uwagę Shannon. - Lepiej zerznijmy jakiegoś kapitalistę.

- Martwego kapitalistę - dorzucił Jesse.

- Założę się, że mogliśmy ruszyć któryś z tych kamulców!

- Oscar naparł całym ciężarem ciała na obelisk, ten jednak nawet nie drgnął.

- Nie rób tego! - wykrzyknął Barry.

- Słuchajcie! Prosiak nie chce niepokoić martwych kapitalistów!

- Łau, łau, łauuuuu! - zawył Jesse.

- Cicho bądźcie! - syknęła Harriet. - Chcecie, żeby ktoś zawiadomił policję?

- Ten się trochę rusza! - dobiegł z boku głos Shannona.

- Za mały - stwierdził lekceważąco Aaron. - To pewnie grób jakiegoś biedaka, jednego z wyzyskiwanych.

Oscar zajął się znacznie większym nagrobkiem Wilhelma Bockmana, niegdyś właściciela przędzalni.

- Chodźcie tutaj!

Jesse i Shannon pospieszyli mu z pomocą. Tablica nagrobna kołysała się coraz mocniej. Barry zasłonił uszy. Był pewien, że lada moment wydarzy się coś okropnego. Pomnik miał prawie dwa metry wysokości. Bob i Jason przyłączyli się do pchających. Chwilę później to samo uczyniła Joany. Nagrobek zachwiał się jeszcze bardziej, a następnie z głuchym łoskotem runął do tyłu.

- Załatwiliśmy skurwiela! - rzucił Oscar z satysfakcją.

- Który teraz? - spytał Shannon.

- Może ten największy? - zaproponował jego brat.

Naparli na obelisk, lecz ten ani drgnął. Nic nie dała nawet pomoc Aarona.

- Prosiak, chodź tu! - polecił.

- Nie.

- Rób, co mówię!

- Nie chcę - odparł Barry. Odwrócił się do nich tyłem, natychmiast jednak poczuł się bardzo samotny, więc ponownie stanął przodem do grupy.

- Pieprzeni kapitaliści - wysapał Oscar. - Bierzmy się do roboty!

W ciągu pół godziny przewrócili dziesięć nagrobków. Cały ten czas Barry spędził samotnie przy obelisku. Trochę podtrzymywał go na duchu głos Jima Morrisona, słowa piosenki natomiast przyprawiły o dreszcze: „kiedy muzyka umilknie, wyłącz światło”. W pewnej chwili dołączyła do niego Harriet.

- Mięczak z ciebie - powiedziała nie bez życzliwości.

- Wiem. Przepraszam.

- Tylko nic nie mów policji.

Jej twarz wisiała w ciemności jak blady owal.

- Na pewno nie powiem.

- Marny byłby z ciebie rewolucjonista, Prosiaku.

- Nie chcę być rewolucjonistą.

Wkrótce potem zjawili się pozostali. Oscar rzucił się na trawę i wyglądało na to, że zasnął. Shannon i Jesse pili piwo. Aaron przyrządził drinki, a następnie wręczył je Harriet, Jasonowi i Bobowi. Barry również wyciągnął rękę.

- Ty nie dostaniesz. Byłeś niegrzeczny.

- Niegrzeczny! Niegrzeczny! - wykrzyknął Oscar, leżąc na brzuchu z twarzą w trawie.

„Odwołuję rezerwację na zmartwychwstanie”, śpiewał Jim Morrison. Aaron rozejrzał się dookoła.

- Moja matka też gdzieś tu leży.

- Zamordowana kobieta... - wymamrotał Bob Jenks.

- Myślę, że to tam.

Aaron ruszył w lewo, Harriet za nim. Pozostali tylko patrzyli, po czym Oscar poderwał się na równe nogi i dołączył do tej dwójki. Zaraz potem to samo uczynili Shannon i Jesse. Barry znowu został sam. Przez moment się wahał, a następnie pobiegł za Jessem.

- Zaczekajcie!

Grób Janice McNeal znajdował się w nowszej części cmentarza. Leżały na nim kwiaty; Barry zastanawiał się, kto mógł je tam położyć. Aaron, Bob i Shannon oświetlili nagrobek latarkami.

- Przewrócimy go? - zapytał Oscar.

- Nawet nie próbuj - ostrzegł go Aaron.

- Jaka ona była? - spytała Harriet. Aaron milczał przez chwilę.

- Lubiała się pieprzyć - powiedział wreszcie. Nikt nie zareagował.

- Lubiała walić konia facetom i patrzeć, jak sperma tryska im z fiutów.

- Mówiła ci o tym? - spytała Harriet.

- Oni mi mówili. Uważali, że powinienem wiedzieć, jaką mam matkę. Siedzę sobie w knajpie i piję piwo, a tu podchodzi jakiś gość, klepie mnie po ramieniu i mówi: „Hej, twoja matka ciągnęła mi druta”.

Ulicą przejechał samochód.

- Kutasy - mruknął Shannon. Snop światła z jego latarki zatańczył na nagrobku.

- Uważasz, że jest coś złego w ciągnięciu druta? - W głosie Aarona rozbrzmiewał gniew. - A może ona to lubiła? Lubiała wiele rzeczy.

- Co myślisz o morderstwie?

Barry zamierzał trochę inaczej sformułować pytanie. Chciał wiedzieć, czy Aaron kogoś podejrzewa.

- A jak myślisz, do cholery, co on może o tym myśleć? - warknął Jason.

- Coś mi się wydaje, że Prosiak na zbyt wiele sobie dzisiaj pozwala - stwierdził Oscar.

- To bardzo, bardzo niedobrze - zawtórował mu Shannon.
- Nie pomógł mi przy tych cholernych kapitalistycznych nagrobkach - dorzucił Jesse.

- Mam wrażenie - ciągnął Oscar - że najlepiej uczymy pamięć Janice McNeal, jeśli ofiarujemy jej portki Prosiaka.

Shannon parsknęła śmiechem.

- Świetny pomysł!

- I gatki - dorzucił Oscar.

Barry zaczął się cofać, został jednak błyskawicznie schwytny i powalony na ziemię. Shannon ukląkł mu na ramionach, Oscar zaś i Jesse zaczęli rozpinać mu spodnie. Po chwili dołączył do nich Bob Jenks.

Barry walczył ze wszystkich sił.

- Nie!

Więcej nie zdołał krzyknąć, ponieważ Shannon zatkała mu usta ręką. Najpierw ściągnęła Barry'emu buty, potem zaczęła szarpać za spodnie. Wijąc się i wrywając, widział stojących nad nim Aarona i Harriet. Dziewczyna uśmiechała się lekko, twarz Aarona nie wyrażała żadnych uczuć.

Kiedy Barry został bez spodni i spodenek, Oscar wstał i skierował strumień światła latarki na jego genitalia.

- Nic dziwnego, że ma ksywkę Prosiak!

- Jak myślisz, Barry, kiedy ci urośnie? - zapytał Shannon. Bezlitośnie naigrawali się z jego penisu.

- Może potrzebuje witamin? - zasugerowała Joany.

- Albo nawozu do trawy - dodał Bob.

Aaron milczał, a wreszcie odwrócił wzrok. Barry z całej siły zacisnął powieki. Marzył o tym, by zniknąć. Oscar powiesił jego spodnie na nagrobku Janice.

- Cieniu przeszłości! - zaintonował. - Przyjmij od nas ten dar, abyś wiedziała, jak bardzo nam ciebie brakuje!

Oświetlili latarkami grób. Nogawki spodni Barry'ego tworzyły odwróconą literę V z imieniem Janice w środku.

- Zabieramy się stąd - oznajmił Aaron. - Znudziło mi się.

Oscar złapał spodnie i popędził z nimi w kierunku ulicy, a za nim Jesse, Shannon i pozostali. Barry został na ziemi, wciąż zasłaniając oczy rękami. Uświadomił sobie, że leży nad szczątkami Janice. Nie poruszał się. Ciemność zgęstniała, odezwał się jakiś nocny ptak. Potem zapadła całkowita cisza. Wciąż nie odsłaniał oczu.

- Prosiak - powiedział. - Prosiak.

W martwej ciszy jego głos zabrzmiał jak krzyk. Nagle rozległ się pisk opon ruszającego gwałtownie samochodu. Barry wciąż się spodziewał, że lada chwila zostanie wciągnięty pod ziemię do królestwa umarłych, ale teraz oczekiwał tego z utęsknieniem.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Przeleżał bez ruchu prawie godzinę, aż w końcu zrobiło mu się zbyt zimno. Wstał i ruszył w stronę ulicy. Zniknęły również jego buty. Zegarek wskazywał wpół do czwartej nad ranem. Wszedł na żwir i skaleczył sobie stopę.

- Prosiak - powtórzył po raz kolejny.

Dotarłszy do ulicy skrył się za drzewem. Nie jechał żaden samochód, okna domów były ciemne. Od internatu dzieliło go ponad półtora kilometra. Do matki miał bliżej, ale nie mógł się tam pokazać. Wyobraził sobie, jak maszeruje bez spodni przez miasto. Ktoś na pewno go zauważy. Najchętniej w ogóle by się stąd nie ruszał. Zazdrościł umarłym.

Okolo wpół do piątej usłyszał samochód. Przywarł do pnia. Samochód zatrzymał się przed bramą cmentarza, otworzyły się drzwi.

- Barry!

To był Aaron. Barry wyszedł zza drzewa.

Aaron wysiadł z samochodu z jego spodniami w ręku. Popatrzył na Barry'ego, po czym mu je rzucił.

- Wsiadaj.

Różnica dziesięciu lat między Aaronem a Sadie sprawiała, że trudno było nazwać ich rówieśnikami, chociaż ja osobiście mam przyjaciół starszych lub młodszych ode mnie o dziesięć lat i traktuję ich właśnie jak rówieśników. Ale Sadie miała dopiero trzynaście lat. Nikt nie pochwalał ich przyjaźni, mało tego: Sadie często ostrzegano przed Aaronem. Fakt, że się nią zainteresował, uznano za dowód na to, że coś jest nie w porządku. Samo w sobie istotnie było to interesujące: dlaczego się nią zainteresował, dlaczego spędzał z nią tak dużo czasu? Życie jest takie skomplikowane między innymi dlatego, że mało co dzieje się w nim z jednego powodu. Powodów może być wiele, zarówno uświadamianych, jak i nieuświadamianych. W moim ulubionym fotelu do czytania siadywała moja matka, kiedy czytała mi na głos. Gdy sprowadziłem się ponownie do naszego domu, nie zdawałem sobie z tego sprawy, choć zapewne każdego wieczoru spędzałem w nim długie godziny. Ciemnobrązowe obicie zostało zastąpione jasno-błękitnym w żółte kwiaty. Wysiedziany, z grubymi podłokietnikami, nie był to wcale najwygodniejszy fotel w pokoju, a jednak coś sprawiło, że mój wybór padł właśnie na niego. W nim właśnie czułem się najlepiej psychicznie. To przykład powodów nieuświadamianych.

Aaron być może polubił Sadie ze względu na to, że była niezepsuta i wciąż jeszcze patrzyła na świat z podziwem. Ja także lubiłem ją między innymi dlatego; nadal miała świeże spojrzenie. Poza tym była energiczną, pełną zapału, uprzejmą i ładną osobką, miała też poczucie

humoru i lubiła rzeczy niezwykle albo nawet dziwaczne - jednym z jej ulubionych zajęć było wymyślanie historyjek o mojej spreparowanej śwince i o bezwłosym szczurze w słoiku z formaliną; nazwała go Powolniakiem i z zapalem opowiadała o jego przygodach, z których żadna nie zakończyła się szczęśliwie.

Aaron z pewnością miał też inne powody. Zetknął się już z ciemnymi stronami życia. Sadie ich nie znała, były jeszcze przed nią. Nawet głupawy idealizm Tropicieli Prawdy opierał się na nadziei, że zmiany w tworzonych przez ludzi bytach formalnoprawnych pozwolą na likwidację tych ciemnych stron, chociaż podejrzewam, iż takie sformułowanie zaskoczyłoby znaczną część Tropicieli. To właśnie ów idealizm był jedną z głównych przyczyn, dla których Aaron postanowił do nich się przyłączyć. Niewinność Sadie pociągała nas obu. Różnica polegała na tym, że ja za nic nie uczyniłbym czegokolwiek, co mogłoby narazić Sadie nawet na najmniejsze niebezpieczeństwo; takie stwierdzenie w odniesieniu do Aarona niekoniecznie musiało być prawdziwe.

Dziesięć dni po wydarzeniach na cmentarzu Aaron zabrał Sadie do zatopionych kamieniołomów kilkanaście kilometrów na wschód od Aurelius. Był to teren prywatny, jednak od czasu do czasu zjawiały się tam policyjne patrole, ponieważ w ciągu kilku lat wydarzyły się trzy lub cztery przypadki utonięć. Stare maszyny zostały częściowo zalane wodą, częściowo zaś wystawały nad jej powierzchnię, tak zardzewiałe i powyginate, że nie sposób było odgadnąć, do czego kiedyś służyły. Franklin na pewno nie byłby zachwycony, że Aaron zawiózł jego córkę w tak niebezpieczne miejsce, ale dowiedział się o tym dopiero po fakcie.

Przypuszczam, że Sadie przez całe lato błagała Aarona o tę wycieczkę, dlatego też trudno obarczać go stuprocentową odpowiedzialnością. Z drugiej strony jednak to właśnie od niego dowiedziała się o istnieniu kamieniołomów. Kąpano się tam już wtedy, kiedy byłem chłopcem, mimo że to miejsce zawsze miało złą sławę. Nigdy się tam nie wybrałem,

żeby nie narazić się na gniew matki.

Aaron zostawił swoją starą toyotę w cieniu drzew i ostatnie półtora kilometra pokonali na piechotę, najpierw przez pola, a potem niewielki las. Sadie zrobiła kanapki z salami, mieli też sześć puszek pepsi w turystycznej lodówce. Była połowa bardzo upalnego sierpnia. Gorący, bezchmurny dzień. Grały cykady. Od ponad tygodnia nie spadła ani kropla deszczu. Wyjechali z Aurelius około dziesiątej, na miejsce dotarli jakąś godzinę później. Sadie chciała zabrać ze sobą psa, czarnego cockerspaniela imieniem Cień, który nienawidził wszelkiego wysiłku fizycznego, lecz Aaron kazał jej zostawić go w domu.

Dewastacja Homeland Cemetery skupiła na sobie uwagę mieszkańców, niemniej nikomu nie postawiono zarzutów, ponieważ wciąż nie było wiadomo, kto się jej dopuścił. „Independent” opublikował artykuł na ten temat, a Franklin napisał we wstępniaku o tym, jak można ocenić teraźniejszość na podstawie jej stosunku do przeszłości. Przewrócono ponad dziesięć nagrobków, jeden z nich pękł na dwie części. Znalaziono sporo puszek po piwie. Według dość powszechnej opinii odpowiedzialność za ten wybryk ponosili uczniowie college'u, nikt jednak otwarcie nie oskarżył Tropicielei Prawdy, chociaż niektórzy z pewnością ich podejrzewali. Kilka miesięcy później Tropicielei podejrzewano już o wszystko, od kradzieży psów poczynając, na zaśmiecaniu ulic kończąc. Miejskowa drużyna skautów podjęła się uporządkowania cmentarza, policja zaś częściej patrolowała jego okolice.

Kiedy Sadie wspomniała o cmentarzu, Aaron od razu przyznał, że tam był.

- Przewracałeś pomniki?
- Kilka. Były bardzo ciężkie.

Szli wąską ścieżką wzdłuż krawędzi zatopionego kamieniołomu. Zbiornik miał kształt poszarpanego owalu długości około stu pięćdziesięciu metrów. Po drugiej stronie z pochylonego drzewa skakali do

wody czterech chłopcy, gdzieś niedaleko ujadł pies.

- Nie baliście się, że narobicie sobie kłopotów?
- Nie myśleliśmy o tym. Martwych nic już nie obchodzi, a żywych nie było w pobliżu.
- Dlaczego to zrobiliście?
- Myślę, że z nudów.

Wybrali niewielką plażę, na której ułożono trójkąt z pni drzew. We wnętrzu trójkąta palono kiedyś ognisko. Parę metrów dalej wznosiło się kilkumetrowe urwisko. Wzdłuż brzegu gęsto rósł sumak. Aaron i Sadie usiedli dokładnie naprzeciwko chłopców kąpiących się w miejscu, gdzie do zbiornika docierała gruntowa droga, na której od czasu do czasu pojawiał się radiowóz. Pies wciąż szczekał. Jeden z chłopców cisnął w niego kamieniem, ale chybił.

Aaron, w towarzystwie innych osób zazwyczaj milczący, przy Sadie był wręcz rozgadany. Nie wiem, czy w jej obecności naprawdę stawał się innym człowiekiem, ale z pewnością mniej ostrożnym i zgryźliwym. On również wychowywał się w Aurelius i był szczęśliwym dzieckiem. Zmiana zaszała później. Odpowiedzialnością za to najłatwiej byłoby obarczyć Harka Powersa, Hark jednak tylko reprezentował świat. Przemianę Aarona można było także przypisać okresowi dojrzewania oraz uświadomieniu sobie, jakie życie prowadzi jego matka. Ojciec zresztą też.

Rozmawiał z Sadie nie tylko o swoich lekturach - głównie historycznych, filozoficznych i społecznych, które podsuwał mu Chihani - ale i o dorastaniu w Aurelius, rozwożeniu gazet oraz o wcześniejszych wyprawach nad zbiornik, kiedy był jeszcze młodszy niż Sadie. Wspomniał również o zamiarze opuszczenia miasta.

- Może jeszcze nie teraz, ale myślałem sobie, że dobrze by było wsiąść na motocykl i przejechać przez cały południowy Meksyk. Wiesz, Chiapas i Jukatan, tam gdzie próbowali zacząć rewolucję.

- Jaką rewolucję?

Wypakowali prowiant i zajadali kanapki. Aaron zdjął koszulę i spodnie. Został w czarnych kąpielówkach sięgających do połowy chudych ud. Siedział na ziemi oparty o głaz. Sadie usiadła na pniu. Miała na sobie krótkie dzinsowe spodnie i zieloną koszulkę. Jej nogi były znacznie dłuższe od tułowia. Na kolanach zostały blizny zebrane podczas kilku lat jeżdżenia na łyżworolkach.

- Celem rewolucji jest zawsze redystrybucja władzy. Jeśli ktoś ma kij i wali nim wszystkich dookoła, prędzej czy później ktoś mu go zabierze. Potem ten ktoś zaczyna używać kija do tego samego celu. W południowym Meksyku Indianie walczą z właścicielami ziemskimi.

- Czy zawsze muszą być rewolucje?

- Niekoniecznie. Jeśli chcesz zabrać kij człowiekowi, który cię nim okłada, powinnaś trzymać się z daleka od rewolucji.

- Będziesz mógł tam pracować?

- Mogę pracować wszędzie, gdzie jest linia telefoniczna.

- Na czym polega twoja praca? Czy ludzie opowiadają ci o swoich problemach?

Aaron roześmiał się.

- Analizuję wyłącznie dane. Martwe rzeczy. Teraz zajmuję się bazą danych szpitala w Nowym Jorku, żeby im doradzić, czy powinni zainwestować w rozbudowę oddziału położniczo-ginekologicznego.

- To nie brzmi zbyt interesująco - powiedziała Sadie, marszcząc nos.

- Zdziwiłabyś się, jaka to spokojna praca. Każdy fragmencik informacji ma swoje miejsce.

- A co zamierzasz robić po rewolucji?

- Jeśli ktoś snuje plany na po rewolucji, to znaczy, że jest reakcjonistą. Tak przynajmniej uważał Marks. - Aaron wyjął z lodówki puszkę pepsi, otworzył i podał Sadie. - Jeżeli ktoś ma kij, będzie nim tłukł innych, chyba że powstrzyma go przed tym prawo. Tak było w epoce

jaskiniowej i tak będzie wtedy, kiedy ludzie polecą na inne planety.

- Taki człowiek to tyran.

- W każdym z nas drzemie tyran. - Umilkł na chwilę, by się zastanowić, czy to prawda. - W każdym razie ja tak uważam.

Grzebał w kamyczkach dużymi bosymi stopami o długich palcach.

- Czy we mnie też drzemie tyran? - spytała Sadie z przekorą.

- Możliwe. Najpierw jednak musisz znaleźć kij.

- Czy ugryzłeś Harka Powersa dlatego, że był tyranem?

- Ugryzłem go dlatego, że mi odbiło.

- A Sheilę Murphy?

- Wściekłem się na nią, ale wtedy też mi odbiło.

- Wściekleś się dlatego, że nie chciała... No, wiesz...?

- Wściekłem się, bo nie chciała odpowiadać na pytania.

- Na jakie pytania?

- Zwyczajne.

- Wciąż jeszcze czasem ci odbija? Aaron podrapał się po głowie.

- Nie jestem pewien.

Sadie otworzyła usta, zawahała się, a następnie zapytała:

- Jak smakowało jego ucho? Aaron pociągnął łyk pepsi.

- Było mdle jak nieprzyprawione salami. Nie polecam.

- Co to znaczy, że komuś odbija?

- To znaczy, że ten ktoś robi coś, o czym wie, że nie powinien tego robić, ale nie może przestać.

- Czy wróciłeś do Aurelius właśnie dlatego, że ci odbiło?

- Nie. Miałem konkretne powody.

- Dowiedzieć się wszystkiego o rewolucji, przyłączyć się do Tropicie-
li Prawdy?

- Wróciłem wcześniej.

- Ze względu na matkę?

- Częściowo. Chcę znaleźć tego, kto ją zabił.

Sadie zniżyła głos.

- Masz jakieś podejrzenia?
 - To był któryś z jej przyjaciół. Ktoś, kto potrafi się świetnie maskować. Może ksiądz, może lekarz, może glina.
 - Więc myślisz o konkretnych ludziach?
 - Jasne. - Aaron podniósł się na nogi. - No i co, idziemy popływać?
- Sadie jednak nie wyczerpała jeszcze zapasu pytań.
- A co z Harriet?

Aaron wszedł po kostki do wody.

- Co z nią?
- Kochasz ją?
- To moja przyjaciółka. I żołnierz.
- Masz jeszcze inne przyjaciółki?
- Mnóstwo.
- Kochasz się ze wszystkimi?

Uśmiechnął się, ale szybko spowaźniał.

- Prawie. - Dał nurka w wodę, przepłynął kilka metrów, odwrócił się, wiosłując rękami w miejscu, odrzucił do tyłu mokre włosy, po czym zawołał: - Wskakujesz?

- Są tam węże?
- Boisz się?

Ona również zanurkowała. Aaron pływał z głową nad wodą, a Sadie tak, jak nauczono ją podczas treningów. Próbował ją złapać, ale była szybsza, obrócił się więc na plecy i wrócił do brzegu. Miał zupełnie białą skórę, jakby przez całe lato nie zdejmował koszuli. Był bardzo szczupły, wystawały mu żebra. Sadie popłynęła za nim. Jak tylko wyszedł na brzeg, ruszył w górę ścieżką prowadzącą na szczyt urwiska.

- Skoczysz stamtąd? - zapytała Sadie.
- Czemu nie?

Woda nie sięgała pod samo urwisko, Aaron musiał się więc porządnie rozpędzić. Długie włosy powiewały za nim w powietrzu. Odbił się,

podkulił nogi i wpadł do wody jakieś trzy metry od brzegu. Natychmiast wypłynął na powierzchnię i wrócił na plażę. Kiedy ponownie wspiął się na urwisko, Sadie właśnie ostrożnie spoglądała w dół.

- Groźnie to wygląda.

Wysokość była mniej więcej taka jak od poziomego gruntu do szczytu dachu małego domu, do tego zaś dochodziło ryzyko upadku na ziemię, jeśli skok okazałby się zbyt krótki.

- Tylko wtedy, gdy zbyt długo się zastanawiasz.

- Głęboko tam?

- Wystarczająco głęboko.

Aaron wziął kilkumetrowy rozbieg, rozpędził się i skoczył. W locie rozpostarł szeroko ręce, krzyknął, wpadł z pluskiem do wody i przez około pół minuty nie pojawiał się na powierzchni. Wreszcie wypłynął kilka metrów od miejsca, w którym się zanurzył.

- Nie rób tego, jeśli nie chcesz! - zawołał i popłynął do brzegu. Sadie znów wyglądała zza krawędzi.

- Wysoko!

- Właśnie na tym polega cała przyjemność. Tylko pamiętaj, żeby się porządnie odbić.

Wspiął się na jeden z głazów, by lepiej widzieć.

Znikła za krawędzią skarpy. Aaron czekał. Nagle pojawiła się ponownie i poszybowała w powietrzu, biała i smukła. Z donośnym krzykiem opadała wyprostowana, stopami w dół. Uderzyła w wodę jakieś dwa i pół metra od brzegu. Jak tylko wypłynęła na powierzchnię, Aaron od razu poznał po jej twarzy, że coś się stało.

- Zahaczyłam o coś - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Boli.

Aaron zeskoczył z kamienia, wbiegł do wody, potknął się i przewrócił. Sadie podpłynęła do brzegu. Chwycił ją za rękę i pomógł wyjść. Lewa noga krwawiła.

- Coś było na dnie. Zawadziłam o to.

Aaron schylił się, otarł krew z nogi, próbując ocenić rozmiary rany. Krwawienie nie ustawało, nabrał więc wody w ręce i oplukał nogę. Głębokie zadrapanie zaczynało się przy kolanie a kończyło w połowie uda.

- Możesz wstać?

- To boli.

Zmoczył ręcznik, po czym owinął jej wokół uda.

- Zawiozę cię do lekarza.

Częściowo niosąc, a częściowo podtrzymując, doprowadził Sadie do samochodu. Na szczęście niewiele ważyła.

Po drodze nie odezwała się ani słowem. Skupiła się na tym, by nie płakać. Miała zaciśnięte usta. Aaron również milczał. Jeśli odczuwał wyrzuty sumienia, to nie wspominał o nich.

Zamierzał zawieźć ją na izbę przyjęć do szpitala, ale kiedy znaleźli się w mieście, rana przestała krwawić.

- Nie chcę do szpitala - powiedziała Sadie.

Przez chwilę dyskutowali na ten temat, aż wreszcie uzgodnili, że zatrzymają się przy aptece i sami się tym zajmą.

W Aurelius działały dwie apteki: Fays Drugs w centrum handlowym i Malloy's Pharmacy przy Main Street. Donald Malloy kilka lat wcześniej przeprowadził się do Aurelius z Buffalo, idąc w ślady swego brata Allena, lekarza, ojca Sharon, przyjaciółki Sadie. Był mocno zbudowanym czterdziestoletnim mężczyzną o rudawych włosach i czerwonej twarzy. W pracy nosił biały fartuch z imieniem i nazwiskiem wypisanymi czerwonymi literami na górnej kieszeni. Tego dnia był sam w aptece. Zatrudniał niejaką Mildred Porter, która jednak akurat wtedy wyszła na lunch.

Malloy namawiał Aarona, żeby zawiózł Sadie do lekarza.

- Rana już nie krwawi - odparł Aaron. - Damy sobie radę.

- Pozwólcie, że spojrzę.

Malloy miał wysoki, piskliwy głos. Sadie powiedziała później, że jego oddech pachniał słodkawo, jakby cukierkami miętowymi.

Sadie usiadła na ładzie obok staromodnej chromowanej kasy. Malloy zdjął z jej nogi prowizoryczny opatrunek. Zadrapanie miało około trzydziestu centymetrów długości.

- Paskudnie - mruknął. - Powinnaś dostać zastrzyk przeciwtężcowy.
- Zdezynfekował ranę alkoholem. Sadie mocno ścisnęła rękę Aarona. -
Dzielna z ciebie dziewczynka. Jak się nazywasz?

- Sadie Moore.

Malloy odparł, że zna jej ojca, po czym spojrzął na Aarona.

- Ciebie też znam, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska...

- Aaron McNeal.

- Aaa...

Ponownie zajął się raną Sadie.

- Czyżbym miał aż tak niedobrą reputację? - zapytał Aaron, starając się, by zabrzmiało to jak żart. - Pewnie znał pan też moich rodziców.

- Owszem - przyznał Malloy. - Pamiętam oboje.

Chyba zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Miał duże różowe dłonie o wypięłgnowanych paznokciach. Wycisnął z tubki sporo maści, rozsmarował ją na ranie i wokół niej, następnie przyłożył gazę. Nagle przerwał i wskazał na pierścionek, który Sadie nosiła na środkowym palcu lewej ręki: tani, srebrny, z gołębicą, prezent od Aarona.

- Dlaczego go nosisz?

- Bo jest ładny. Dostałam go od przyjaciela.

- Wiesz, co oznacza?

- A musi coś oznaczać?

- Każde stworzenie coś oznacza. Na przykład lew to odwaga albo bestia z Apokalipsy.

- Przypuszczam, że gołębicą oznacza pokój i przyjaźń - powiedziała Sadie. - Może nawet miłość.

Zarumieniła się lekko.

- Między innymi - odparł Donald i zajął się bandażowaniem nogi.

- A co jeszcze? - wtrącił Aaron. Stał obok Sadie, z ręką na jej ramieniu.

- Na przykład boską ofiarę albo nadzieję.

- Co oznaczają psy? - zainteresowała się Sadie.

- To zależy od rasy. Najogólniej można powiedzieć, że wierność. - Umocował końcówkę bandaża i poklepał Sadie po kolanie. - Nie zapomnij o zastrzyku przeciwężcowym. Może go zrobić mój brat albo pielęgniarka. Podjedźcie tam, a ja do niego zadzwonię.

Sadie dotknęła założonego z łącie aptekarską precyzją opatrunku.

- Wspaniale pan to zrobił. Powinien pan być lekarzem.

- Mój brat zgłosił się pierwszy - odparł Donald i uśmiechnął się.

- Ile płacę? - spytał Aaron. Malloy pokręcił głową.

- To mój dobry uczynek na dzisiaj.

W aptece tłoczyły się stelaże z mnóstwem pocztówek, czasopism, szafy chłodnicze z napojami i lodami. Przy drzwiach stał ogromny kosz pełen piłek do siatkówki i koszykówki, tuż obok zaś skrzynia z komplectami do badmintona.

- Masz na coś ochotę?

Aaron uważał, że powinni jakoś odwdzięczyć się Malloyowi, na przykład coś u niego kupując.

- Mielśmy kupić piłkę do siatkówki - powiedziała Sadie.

- Dobry pomysł.

Wybrał jedną, rzucił ją Sadie, po czym zapłacił.

- Dobrze mi się zdaje, że twój ojciec przeprowadził się do Utiki? - zapytał Malloy, wydając resztę.

- Uczy tam w szkole średniej - Aaron powiedział to takim tonem, jakby mówił o dalekim krewnym.

- Jeśli się nie mylę, masz też siostrę?

Aaron roześmiał się.

- Jest przyjaciółką ojca Sadie. Jak pan widzi, to prawie kazirodztwo.

Objął Sadie w talii i pomógł jej zejść z lady. Malloy odprowadził ich wzrokiem do drzwi.

Pojechali na zastrzyk przeciwężcowy, a następnie Aaron odwiózł ją do domu. Kiedy wieczorem Franklin zobaczył bandaż na nodze córki, zapytał, co się stało. Sadie nie widziała powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Bądź co bądź, była to przecież przygoda.

Od chwili, kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych przyjechał do Aurelius, Ryan Tavich mieszkał samotnie w ceglanym bungalowu przy Jackson Street. Od frontu rosły dwa klony, tylnego podwórza właściwie nie było. Znałem jednego z jego sąsiadów, Whiteya Shermana, który opowiadał mi, że dom Ryana wygląda jak opuszczony, jakby nikt tam nie mieszkał. Mogłoby to wydać mi się podejrzane, ale Franklin był u Ryana i twierdził, że wszystko jest tam w całkowitym porządku. Zdziwienie mógł wywołać jedynie fakt, że obicia stojących w salonie foteli wisiały w strzępach, poszarpane pazurami przez kota, czarno-białe zwierzę o imieniu Wódz i niebywale puszystym futrze.

Ryan zbierał płyty z jazzem, w piwnicy urządził sobie siłownię. W salonie ściany były gołe, tylko nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający bażanta lecącego tuż nad żółtymi łanami zboża. Stała tam również niewielka biblioteczka, chociaż Ryan nie był namiętnym czytelnikiem, kiedy zaś chciał już sięgnąć po jakąś książkę, to korzystał z miejskiej wypożyczalni. Na biblioteczce ustawił sprzęt stereo i elektroniczne szachy. W zamykanej na klucz drewnianej szafce Ryan trzymał strzelby i sztucer. Dawniej miał psy, głównie setery, teraz jednak zrezygnował z nich, by nie stresować kota. Wychodząc rano, wołał:

- Pilnuj domu, Wodzu!

Kiedy wracał wieczorem, pytał:

- Co nowego, Wodzu?

Od rana do wieczora Wódz zajmował się niszczeniem mebli.

Ryan Tavich pochodził z Oneonty, ale gdy miał osiemnaście lat, wyjechał z rodzinnego miasta i wstąpił do wojska. Chociaż akurat trwała wojna w Wietnamie, wysłano go do Korei, gdzie, jak wyznał Franklinowi, „odmroził sobie dupę”.

Kilka lat wcześniej Franklin przeprowadził z nim wywiad. Nie był szczególnie interesujący, albo dlatego że Ryan niewiele chciał o sobie powiedzieć, albo dlatego że po prostu nie miał dużo do powiedzenia. Po odejściu z wojska pracował przez pewien czas w firmie ochroniarskiej w Albany, poszedł do szkoły policyjnej, patrolował ulice w Cohoes, aż wreszcie zdecydował się na przyjazd do Aurelius. W małych miastach policjanci są dość nędznie wynagradzani, w związku z czym trafiają tam ci, którzy albo nie potrafią znaleźć sobie lepszej pracy, albo z jakiegoś powodu chcą osiedlić się właśnie tu, a nie gdzie indziej. Ryan nie mieścił się w żadnej z tych kategorii. Był doskonałym policjantem i z pewnością znalazłby zatrudnienie w dowolnym miejscu w hrabstwie. Wybrał Aurelius, na czym bez wątplenia wszyscy zyskaliśmy, współczułem mu jednak, ponieważ plotkowano o nim tak, jakby jego przeszłość skrywała jakąś tajemnicę.

Przyjaciół miał niewielu - Franklin, przedsiębiorca pogrzebowy Ralph Belmont, Charlie Kirby z YMCA, może ktoś jeszcze - ale był wobec nich bardzo lojalny. Na przykład dałbym sobie głowę uciąć, że podczas wielogodzinnych wypraw z Sadie na ryby lub na polowanie wychwalał pod niebiosa Paulę McNeal albo przynajmniej starał się przekonać Sadie, że Paula jest całkowicie nieszkodliwa; Sadie co prawda twierdziła, że ani razu nawet nie wspomniał o Pauli.

Mimo że Ryan spotykał się z wieloma kobietami, to z żadną nie związał się na dłużej. Czasem on zrywał, czasem one, jeśli jednak rozstanie następowało z inicjatywy kobiety, to zawsze dlatego, iż uświadamiała sobie, że ich związek nie ma żadnej przyszłości, ponieważ Ryan nigdy

nie zgodzi się ustatkować na czyichś warunkach. Wyjątek stanowiła Janice McNeal. Zdaniem Franklina wynikało to z jej seksualności. Janice była kobietą, która całkowicie panowała nad mężczyznami, i być może Ryan to lubił.

Franklin donosił mi, że Ryan wciąż wraca do niej w prawie każdej rozmowie.

- Opowiadała, że sperma każdego mężczyzny ma inny smak - mówił Franklinowi. - Czasem jest słodka, czasem nijaka, a czasem gorzka. Zapytałem o moją, a ona powiedziała, że mieści się między słodką a nijaką.

Czy Ryan miał jakieś podejrzenia co do osoby zabójcy?

- Jestem pewien, że to ktoś stąd. Przyszedł do niej pieszo i pieszo odszedł.

Może kobieta?

- Kobieta nie zdołałaby jej udusić.

Niekiedy odnosiłem wrażenie, że Ryan jest nieco ograniczony. Wydawało mi się, że brakuje mu wyobraźni, że nie ożenił się ani nie znalazł sobie stałej partnerki wyłącznie dlatego, że całkowicie wystarczało mu własne towarzystwo. Zdaję sobie jednak sprawę, iż równocześnie byłem zazdrosny o jego bliskie kontakty z Sadie, a więc nie powinienem go zanadto krytykować. Chwilami przypominał mi przysadzisty, z grubsza tylko ociosany pień, ale może jedynie z tego powodu, że nie był zbyt wysoki, a ciągle ćwiczenia na siłowni rozbudowały jego muskulaturę. Powinienem chyba dodać, że niezbyt często z nim rozmawiałem.

Ryan roztaczał wokół siebie aurę smutnej tajemniczości, tak że nie-trudno było sobie wyobrazić, iż coś wydarzyło się w jego dzieciństwie albo nawet podczas służby w Korei. Według Franklina rodzice Ryana nie żyli, ale miał siostrę w Corning. Zdaje się, że jej mąż pracował w hucie szkła. Najprawdopodobniej jednak Ryan był jak roślina, która nigdy w pełni się nie rozwinęła. Brakowało mu tego czegoś, co pomaga człowiekowi wejść w strumień życia. Zresztą kto wie, może w jego towarzystwie

nie czułem się zbyt dobrze również dlatego, że to samo można było powiedzieć o mnie...

Żałuję, że ludzie nie mają w piersiach małych ekraników, czegoś w rodzaju monitorów, które można by włączyć i zobaczyć, co dzieje się wewnątrz. Nie mam na myśli funkcji organizmu, lecz ich myśli, obawy i uczucia. Bez tego jesteśmy zdani wyłącznie na domysły oparte na obserwacji zewnętrznych objawów, na podstawie których możemy tworzyć mniej lub bardziej prawdopodobne teorie.

W lipcu i sierpniu Ryan przez pięć tygodni spotykał się z Harriet Malcomb. Przypuszczałem, iż ich związek miał charakter czysto seksualnej fascynacji, bo o czym mieliby rozmawiać? Później okazało się jednak, iż nie miałem do końca racji. Ryan zerwał z nią głównie ze względu na udział Harriet w wandalskich wybrykach na Homeland Cemetery. Nie doniósł o tym władzom, choć zdawał sobie sprawę, że w ten sposób stał się jej współnikiem. Zdaje się, że miał w stosunku do niej również inne wątpliwości.

- Za często pyta o Janice - poskarżył się Franklinowi.

Trzy tygodnie później w Albert Knox Consolidated School podłożono imitację bomby, Od samego początku Ryan, wraz z całym siłami policyjnymi Aurelius, prowadził w tej sprawie własne śledztwo. Mówię o tym, ponieważ dochodzenie prowadziła także policja stanowa. Jednak od śmierci Janice stosunki Ryana z policją stanową nie układały się najlepiej. Chociaż współpracował z nimi przy dziesiątkach innych spraw, nie mógł im zapomnieć odsunięcia od śledztwa w sprawie zabójstwa Janice. Jako profesjonalista rozumiał, że decyzja była słuszna, ale jako człowiek nie mógł się z nią pogodzić. To była jego kolejna cecha charakterystyczna: miał dobrą pamięć. Nie wściekał się na policję stanową, tylko po prostu pamiętał, to zaś oznaczało, że gdyby kiedyś zdobył jakieś cenne dla nich informacje, nie wiadomo, czy zechciałby się nimi podzielić.

W pewien piątkowy rano, dziesięć dni po fałszywym alarmie o podłożeniu bomby, Ryan wyszedł z posterunku, nie mówiąc nikomu, dokąd idzie. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego, ale Patty McClosky, sekretarka Schmidta, widziała, jak sprawdza służbowy pistolet i bierze ze sobą kajdanki. Prywatnie nazywała go Starym Milczkiem.

Ryan wszedł do nieoznakowanego policyjnego samochodu, szarego forda taurusa, i ruszył w kierunku Aurelius College, w którym od końca sierpnia wznowiono zajęcia. Był to jeden z tych chłodnych słonecznych dni, kiedy człowiek uświadamia sobie, że lato już minęło i że zaczyna się coś nowego. Dzieciaki siedziały w szkołach, na ulicach panował spokój.

Ryan zaparkował na Juniper Street w pobliżu skrzyżowania ze Spruce Street, kilka przecznic od campusu. Zamknął wóz, zerknął na skrawek papieru, który wyjął z kieszeni, po czym przeszedł kilkanaście metrów dzielące go od posesji numer 335 przy Juniper Street - białego wiktoriańskiego domu, w którym wynajmowało mieszkania sześciu uczniów. Elewacja wymagała odmalowania, frontowa weranda częściowo się przechyliła, a trawnik zamienił w rozjeżdżone samochodami klepisko gdzieniegdzie porośnięte rzadkimi kępkami chwastów. Na schodkach leżały dwie puste puszki po piwie.

Ryan Tavich wszedł do budynku. Oscar Herbst zajmował mieszkanie na piętrze. Ryan porównał numer na drzwiach z zapisanym na kartce, a następnie zapukał. Chwilę później usłyszał stłumiony głos:

- Kto tam?
- Policja.

Zaczekał, po czym zapukał ponownie, głośniejszym głosem. Odczekał jeszcze chwilę, nasłuchując, a potem cofnął się o krok i kopnął w zamek. Drzwi otworzyły się z hukiem, Ryan wpadł do pokoju. Sięgnął po pistolet, ale nie musiał go wyjmować.

Oscar, co prawda w dżinsach i koszulce, ale za to na bosaka, właśnie próbował wyskoczyć przez okno. Ryan złapał go za pasek i wciągnął do środka. Chłopak zatoczył się i upadł na podłogę. Zerknął z ukosa na Ryana, zerwał się natychmiast i rzucił do drzwi. Ryan złapał go ponownie i szarpnął, tym razem nieco mocniej.

- Uspokój się.

Oscar znów ruszył do drzwi. Ryan chwycił go, uderzył, założył kajdanki. Oscar był od niego niższy o dobre dziesięć centymetrów.

- Jedziemy na posterunek. Chcesz buty?

Oscar przesunął językiem po rozciętej wardze.

- Pieprz się! - warknął.

Mimo to Ryan wziął mu buty. Na ulicy Oscar znowu próbował uciekać, lecz Ryan przytrzymał go za kark.

- Chcesz, żebym cię zaniósł?

Posadził chłopaka na tylnym siedzeniu taurusa i ruszył z powrotem w kierunku komisariatu.

- Wciąż pieprzysz Harriet? - spytał Oscar.

Ryan nie pofatygował się, by odpowiedzieć.

- Powinieneś się mnie bać - dodał Oscar.

Na posterunku Ryan zabrał go do swego pokoju i zamknął drzwi. Widziała to Patty McClosky. Kiedy kilka minut później Phil Schmidt wyszedł ze swojego gabinetu, udając się na tradycyjną partyjkę squasha, poinformowała go:

- Ryan zamknął się w pokoju z jakimś uczniem. Przyprowadził go w kajdankach.

Schmidt niezdecydowanie przestąpił z nogi na nogę. Nie chciał spóźnić się na mecz, lecz właśnie w tej chwili pojawił się Ryan z Oscarem.

- Ten chłopak przyznał się do podłożenia bomb - powiedział.

Ryan zamknął Oscara w celi. Policję stanową zawiadomił Phil Schmidt.

Oscar rzeczywiście się przyznał, ale równocześnie twierdził, że działał w pojedynkę. Rozpoznał go mężczyzna, który rano spacerował z psem w pobliżu Knox Consolidated, inny świadek zaś przypomniał sobie, że tydzień wcześniej widział go w pobliżu Pickering Elementary School.

- To nie były prawdziwe bomby - bronił się Oscar. – Tylko żartowałem.

Jeszcze w ten sam piątek, a także przez cały weekend, Ryan rozmawiał z pozostałymi Tropicielami Prawdy, w tym również z Chihanim. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nie mieli pojęcia o poczynaniach Oscara.

Najtrudniejsza okazała się rozmowa z Aaronem. Ryan był przekonany, że chłopak nie mówi wszystkiego, ale ich wzajemne relacje były nieco skomplikowane. Bądź co bądź, Ryan wciąż kochał nieżyjącą matkę Aarona.

- Nic nie wiem o żadnych bombach - oświadczył Aaron. - Oscar robił to na własną rękę.

- Nigdy nawet o tym nie wspomniał?
- W każdym razie nie przy mnie.

Aaron rozmawiał z Ryanem lodowatym tonem, jakby go nie lubił. Nie zaprosił go nawet do mieszkania. Ryan zastanawiał się, czy Harriet jest w środku i wyobraził ją sobie nagą w łóżku Aarona. Ona także zeznała, że nie miała pojęcia o bombach.

Franklin przeprowadził w areszcie wywiad z Oscarem. Ponieważ Oscar został zatrzymany w piątek, „Independent” miał się zaś ukazać dopiero w środę, już dużo wcześniej wiedzieliśmy wszystko o tym zdarzeniu z gazet wydawanych w Utice i Syracuse.

- Powinni się cieszyć, że bomby nie były prawdziwe - powiedział Oscar Franklinowi, po czym zapytał: - Dlaczego nie napiszesz artykułu o policjancie, który rżnie dziewczynę o połowę młodszą od niego? - Nazywał też Franklina „sługusem kapitalistów”.

- Kto to jest sługus? - zapytała mnie Sadie po ukazaniu się gazety.

- Człowiek płaszczący się przed zwierzchnikiem lub chlebodawcą i w natrętny sposób spełniający każde jego życzenie.

- Czyli coś jakby służący?
- Mniej więcej.

Oscar spędził weekend w areszcie. W poniedziałek przyjechał z Troy jego ojciec i wpłacił kaucję. Po rozmowie z sędzią pan Herbst wypisał syna ze szkoły i zabrał go do domu. Później Oscar przyjeżdżał do Aurelius na przesłuchania, ale na stałe mieszkał z rodzicami.

Wiadomość, że to Oscar podkładał bomby, bardzo nas zaskoczyła. Dyskutując na ten temat, siłą rzeczy ludzie wzięli na języki Tropicielei Prawdy. Zarówno wśród kadry pedagogicznej, jak i w radzie miejskiej rozległy się głosy nawołujące do zdelegalizowania grupy.

Podjęto również próbę usunięcia Chihaniego z college'u, ten jednak był już przyzwyczajony do podobnych sytuacji, natychmiast wynajął więc prawnika. Zawarł umowę z college'em na trzy lata i nie zamierzał jej zrywać, chyba że udowodniono by mu jakiś występki. Rzecz jasna nie czynił sobie żadnych złudzeń co do szans przedłużenia umowy, lecz wtedy i tak byłoby to już bez znaczenia.

Ryan rozmawiał z Chihanim w jego domu. Może w jakiś sposób podjudzał Oscara i pozostałych?

- Dlaczego miałbym to robić? - zapytał Chihani. - Nie jestem rewolucjonistą, tylko filozofem.
- Nie uczy pan, jak robić rewolucję?
- Uczę, jak patrzeć, żeby wszystko widzieć.
- Nie czuje się pan w jakiś sposób odpowiedzialny?
- Nie.
- A gdyby to była prawdziwa bomba?
- Ale nie była.
- Oscar Herbst jest pańskim uczniem.
- Ma porywczą naturę, za to zaś odpowiadają bardziej jego geny niż wykształcenie. Powinien pan raczej porozmawiać z jego rodzicami.

- Czy wie pan, co to jest spisek?
- Spisek to jest coś, czego istnienia trzeba dowieść przed sądem - odparł Chihani.

Franklin również poprosił go o rozmowę.

- Edukacja dostarcza młodym ludziom informacji o świecie - powiedział Houari Chihani. - Jeśli ci ludzie działają później w oparciu o te informacje, nie możemy winić za to nauczycieli, tak samo jak nie możemy winić gazet za wydarzenia, które opisują. Jestem po prostu pośrednikiem przekazującym określone informacje.

- Nie poczuwa się pan do odpowiedzialności za Tropicielei Prawdy?
- To tylko kółko zainteresowań. Czytają książki i spotykają się, by o nich dyskutować.

- Czy sądzi pan, że któraś z tych książek mogła zainspirować Oscara Herbsta?

- Wracamy do rozmowy o naturze informacji. To możliwe, że któraś z lektur pchnęła go do działania. Jest entuzjastą. W miarę jak odkrywał prawdziwe oblicze świata, ogarniało go coraz większe oburzenie. Chyba trudno się temu dziwić, prawda? Niepokoi mnie jednak, panie Moore, że najwyraźniej chciałby pan za to ukarać zarówno jego nauczyciela, jak i książki.

- Zapewniam pana, że nie mam takiego zamiaru.
- W takim razie nie rozumiem, do czego zmierzają pańskie pytania.

Wiele osób przypuszczało, że Ryan Tavich zdemaskował Oscara wyłącznie dzięki informacji od kogoś z Tropicieli. Zastanawiano się, kto mógł być tym informatorem. Harriet przysięgała, że to nie ona. Bądź co bądź, przestali się spotykać na kilka tygodni przed podłożeniem pierwszej bomby.

W niedzielę rano, po aresztowaniu Oscara, Barry szedł do Aarona. Było dość ciepło, liście na niektórych klonach zaczęły zmieniać kolor

z zielonego na czerwony. Idąc chodnikiem wzdłuż frontowej ściany domu, w którym mieszkał Aaron, Barry usłyszał, że za jego plecami zatrzymuje się samochód. Odwrócił się i zobaczył Jessego i Shannona wysiadających z chevroleta; najpierw rozpoznał ich po jasnych, związanych w kucyki włosach, a dopiero potem po twarzach. Zrobiło mu się trochę przykro, ponieważ Aaron nie uprzedził go, że zaprosił jeszcze kogoś, lecz zaraz zorientował się, że Jesse i Shannon są wściekli. Co sił w nogach popędził w kierunku drzwi.

Jesse dopadł go i przewrócił, zanim Barry zdołał pokonać połowę drogi. Kiedy niezdarnie usiłował się podnieść, Jesse uderzył go w twarz, strącając okulary.

- To ty powiedziałaś!
- O czym?
- O Oscarze!
- Nie, to nie ja! Przysięgam!

Barry siedział na chodniku, jedną ręką trzymał się za twarz, w drugiej ścisnął okulary. Oprawka pękła na dwie części. Rozpaczliwie mrugał powiekami. Bez szkielec niewiele widział.

- Kłamiesz! - parsknął Shannon.

Barry usłyszał, jak otwierają się drzwi, a zaraz potem rozległ się głos Aarona.

- Zostawcie go,
- Doniósł glinom na Oscara!
- Prosiak nikomu na nikogo nie doniósł - powiedział Aaron.
- Wyduszę z niego wszystko - wycedził Shannon.

Aaron położył mu rękę na ramieniu.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

Bez okularów Barry mało co widział, w dodatku oślepiało go słońce. Ledwo mógł dostrzec jasne kucyki obu braci. Spojrzeli na siebie, po czym Jesse wzruszył ramionami.

- Dobra, idziemy - rzucił Shannon.

Poszli do samochodu. Wystające łopatki na ich kościstych, opiętych bawełnianymi koszulkami grzbietach wyglądały jak kiełkujące skrzydła.

Barry podniósł się na nogi i potarł bolący policzek.

- To nie ja, słowo daję!

- Uspokój się. - Aaron ujął go za ramię i poprowadził w kierunku drzwi. - Wiem, że to nie ty.

Aresztowanie Oscara dało wszystkim wrażenie czegoś w rodzaju spełnienia: okazało się, że szalony czyn został popełniony przez szaleńca. Wiele uwagi poświęcano złotemu kolczykowi, który Oscar nosił w dolnej wardze. Gdyby sprawcami były tak zwane normalne dzieciaki, które wszyscy znali od lat - czego się zresztą obawiano - zapewne nie przeszlibyśmy nad tym faktem tak szybko do porządku dziennego. Jeśli czegoś żałowano, to tego, że nie da się połączyć z tą sprawą pozostałych Tropicieli Prawdy, chociaż z pewnością cała dziesiątka brała w tym udział, Chihani zaś był ich przywódcą. Nie koniec na tym: wszyscy przecież wiedzieli, że Franklin spotyka się z Paulą McNeal, mógł więc chronić jej przyrodniego brata, wszyscy też pamiętali, co łączyło Ryana Tavicha z matką Aarona., Sugerowano istnienie zмовы milczenia, a osobą, która czyniła to najgłośniej, był Hark Powers. Niemal codziennie rozpowiadał w Bud's Tavern, że Chihani i Aaron ponad wszelką wątpliwość maczali palce w aferze z bombami. Rzecz jasna, ze względu na incydent z uchem, można było mieć zastrzeżenia do jego wiarygodności, większość jednak była przekonana, że Oscar istotnie nie działał sam.

Plotki o współdziale Franklina i Ryana stały się tak powszechne, że pewnego ranka Phil Schmidt wezwał Ryana do swego gabinetu. Schmidt od dwudziestu pięciu lat był szefem policji w naszym mieście i przywykł traktować Aurelius jako swoją własność. Był potężny, z wielkim brzuchem, na którym podczas rozmowy zwykł splecać dłonie. Częściej niż w

mundurze chodził w garniturach, lecz garnitury te, granatowe i błyszczące, bardzo przypominały mundur. Jego żona Gladys pracowała na poczcie. Oboje wiedzieli o wszystkim, co dzieje się w mieście.

- Nie chciałem cię urazić, Ryan, ale muszę ci zadać jedno pytanie.

Ryan doskonale wiedział, o co chodzi.

- Nie chronię Aarona McNeala - powiedział.

- Myślisz, że mógł mieć coś wspólnego z tymi bombami?

- On temu zaprzecza, a Oscar twierdzi, że działał sam.

- Wierzysz im?

- Nie opieram się na tym, w co wierzę albo nie, tylko na dowodach. -

Ryan powściągnął narastającą irytację i westchnął głęboko. - Wiem tylko tyle, ile napisałem w raportach. Franklin też niczego nie ukrywa.

- Przyjaźnisz się z Aaronem?

- Chyba żartujesz? On mnie nienawidzi.

Nawet jeśli Schmidtowi to wystarczyło, to innym nie. Prezydent college'u, Harvey Shavers, również urządził Chihaniemu przesłuchanie. Sekretarka opowiadała później, jak z gabinetu przez ponad godzinę dobiegały na zmianę basowy głos Shaversa i znacznie cichszy Chihaniego. Wreszcie Shavers poddał się, najwyraźniej niczego nie osiągnąwszy.

Działająca w college'u Komisja Etyki przeprowadziła rozmowy z tymi Tropicielami Prawdy, którzy byli uczniami. Nie udowodniono im żadnego przestępstwa, nie mogli więc zostać ukarani, Barry mówił mi jednak, że przypominano im o chlubnej tradycji ich szkoły.

- Dokądkolwiek pójdziecie - perorował dziekan Phipps - ludzie nie będą widzieli Jasona Irvinga ani Harriet Malcomb, tylko Aurelius College!

Shannon Levine zasłonił usta ręką i cichutko pochrząkiwał jak świnia, chociaż zdaniem Barry'ego był mocno wystraszony. Gdyby wyszło na jaw, że to oni zniszczyli groby na cmentarzu, z pewnością wyrzucono

by ich ze szkoły. W każdym wydaniu „Independent” publikował pełne oburzenia listy dotyczące tego aktu wandalizmu i również co tydzień Phil Schmidt powtarzał, że śledztwo jest w toku.

Lęk przed spiskiem bywa zaraźliwy. Fakt, że Tropiciele Prawdy do niczego się nie przyznawali, nie miał najmniejszego znaczenia. Zdaniem ludzi spisek istniał i to powszechne przekonanie zaczęło z czasem funkcjonować na prawach dowodu. Większość podejrzewała, że afera z bombami to zaledwie początek, i spodziewała się kolejnych bulwersujących zdarzeń. Niektórzy wręcz oczekiwali ich z niecierpliwością.

Wtedy właśnie wydarzyło się coś, co natychmiast kazało ludziom zapomnieć o Oscarze Herbście i jego bombach. Problem polegał na tym, że nie zapomnieli do końca.

Megan Kelly mieszkała w niewielkim białym domku na obrzeżach Aurelius. Był to ostatni budynek mieszkalny przy Jefferson Street przed skrzyżowaniem z Adams Street - na tym odcinku mieszczą się warsztat oponiarski i kilka magazynów. Pierwsze zabudowania przy Adams Street, pół kilometra za granicami miasta, należą do farmy Bellów. Megan Kelly miała około sześćdziesięciu pięciu lat. Jej mąż Winfred był zastępcą kierownika sklepu przemysłowego, ale przed pięcioma laty zmarł na udar mózgu. Mieli cztery córki, lecz wszystkie wyjechały z miasta. Żeby dorobić do emerytury, pani Kelly wynajmowała się do sprzątania.

Przez kilka miesięcy przychodziła do mnie w każdy czwartek, w końcu jednak zrytowało mnie jej wścibstwo i zrezygnowałem z jej usług. Zanadto interesowała ją, co robię, i zbyt chętnie radziła mi, co powinienem robić. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że zapewne jest samotna i dlatego właśnie tak bardzo angażuje się w życie ludzi, u których pracuje.

Nigdy nie posądzałem jej o jakiegokolwiek złe intencje ani o plotkarstwo, niemniej uznałem, iż będzie mi znacznie lepiej bez tej natrętnej ciekawości.

W poniedziałek - osiemnastego września - po południu pani Kelly sprzątała w dużym pokoju. „Strzepywałam poduszki”, jak wyjaśniła później. Minęła już trzecia, o wpół do szóstej miała być u Franklina Moore'a, pięć minut jazdy od jej domu. Zerknąwszy przez okno na Adams Street, zobaczyła Sharon Malloy jadącą rowerem od strony miasta. Pani Kelly pomyślała, że Sharon jedzie do Bellów, których córka Joyce była jej rówieśniczką. Sharon miała na sobie džinsy i niebieski sweterek, a na plecach czerwony płócienny worek na książki. Jej górski rower „Husky” był czerwono-niebieski. Lekcje skończyły się mniej więcej przed kwadransem.

Sharon Malloy miała czternaście lat i chodziła do dziewiątej klasy. Jej rodzina w połowie lat osiemdziesiątych przeniosła się do Aurelius z Rochester. Pani Kelly wiele razy skarżyła się doktorowi Malloyowi na reumatyzm, lecz chociaż nawet go lubiła, to wołała lekarzy pochodzących z Aurelius. Doktor Malloy był obcy, więc pani Kelly czuła się trochę niezręcznie, kiedy ją badał, aczkolwiek zawsze robił to nadzwyczaj delikatnie.

Pani Kelly po prostu zauważyła Sharon Malloy, i tyle. Ulicą przejechało kilka samochodów, rozpoznała jednak tylko czerwonego Citroëna Houariego Chihani. Pani Kelly знаła ten samochód - wszyscy go znali - jego widok zaś przywiódł jej na myśl artykuł prasowy, w którym opisano, jak przyjaciel pana Chihaniego, albo może jego uczeń, został aresztowany w związku z alarmami bombowymi w szkołach. Dla pani Kelly stanowiło to kolejny dowód stopniowego upadku miast, ich degrengolady i rozkładu. Były to jej ulubione określenia.

Mniej więcej minutę później pani Kelly weszła do kuchni, by zrobić sobie herbatę. Kuchenne okno wychodzi na tył domu i również widać z niego Adams Street, tyle że w kierunku południowym, a nie północnym.

W oddali wznosił się silos na farmie Franka Bella. Pani Kelly spodziewała się ponownie ujrzeć Sharon Malloy na rowerze, ale dziewczynki nie było. Pani Kelly zerknęła na zegarek, po czym znowu spojrzała w okno. Następnie otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na tylny ganek.

Pani Kelly z natury nie była podejrzliwa, ale od czasu, kiedy przed niemal dwoma laty odkryła zwłoki Janice McNeal, w każdej chwili spodziewała się wszystkiego najgorszego. Gdyby nie tamto wydarzenie, przypuszczalnie nie zaprzętałyby sobie głowy Sharon, lecz po zabójstwie Janice świat stał się dla pani Kelly znacznie bardziej groźny i nieprzyjazny. Zaczęła zastanawiać się nad tym, jak to możliwe, że widziała Sharon przez okno w pokoju, nie zobaczyła jej natomiast przez okno w kuchni. Jeszcze raz spojrzała na zegarek, a potem wspięła się na palce, by lepiej widzieć. Była pewna, że minęło zaledwie kilka minut. Zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe, by Sharon w tak krótkim czasie dotarła do farmy Bellów.

Czekając, aż woda się zagotuje, wróciła do pokoju i pogрузzyła się w myślach. Jeśli jednak Sharon zdążyła już dojechać do farmy, to z tego wynikało, że ona, pani Kelly, straciła poczucie czasu. Bardzo ją to zaniepokoiło. Miała w Munnsville starszą od siebie kuzynkę, która straciła pamięć, jej własna matka pod koniec życia również miała problemy z pamięcią. Do tej pory pani Kelly szczyciła się wyjątkowo bystrym umysłem, w związku z czym ten przykry objaw nieco ją zatrwożył. Równocześnie jednak pamiętała o Janice McNeal - nie jako o złowróżbnym przykładzie, lecz raczej dowodzie na to, że w życiu zdarzają się różne niespodzianki. Oprócz tego nie sposób wykluczyć, że trochę się jej nudziło, z zadowoleniem powitała więc perspektywę spędzenia wczesnego popołudnia na rozwiązywaniu niewinnej zagadki.

Jak tylko czajnik zagwizdał, pani Kelly zalała wrzątkiem torebkę z herbatą, następnie podeszła do telefonu i zadzwoniła do Bellów. Sylvia Bell często podwoziła ją do kościoła, a kiedy Joyce była młodsza, rodzice

oddawali ją czasem pod opiekę pani Kelly. Na parapecie leżało kilka pomidorów, które Sylvia przywiozła dzień wcześniej. Słuchawkę podniosła Joyce.

- Czy Sharon jest już u ciebie? - zapytała pani Kelly, czując się trochę głupio.

- Nie, ale spodziewam się jej lada chwila - odparła Joyce. - Czy ma zadzwonić do pani, jak przyjedzie?

Pani Kelly nagle zrobiło się zimno.

- Bardzo proszę.

Odłożyła słuchawkę, włożyła żakiet i wyszła z domu tylnymi drzwiami. Dotarwszy do Adams Street, skręciła na południe. Dzień był wietrzny i chłodny. Liście prześlizgiwały się po asfalcie. Od strony jeziora Ontario nadciągały ciemne chmury zwiastujące deszcz. Pani Kelly usiłowała zapanować nad ogarniającym ją lękiem, jej myśli jednak wracały uparcie do dnia, kiedy znalazła na podwórku męża, wciąż ściskającego w dłoniach szpadel, oraz do Janice McNeal, leżącej na podłodze w salonie z nabrzmiałą fioletową twarzą.

Po mniej więcej trzydziestu metrach dostrzegła w wysokiej trawie coś zaskakująco kolorowego. Okazało się, że to niebiesko-czerwony rower. Bliższe oględziny pozwoliły jej rozpoznać w nim rower Sharon. Pani Kelly trąciła go stopą. Łańcuch spadł z zębatki. Spojrzała w kierunku farmy Bellów, rozejrzała się dookoła, lecz Sharon nigdzie nie było. Minęło ją kilka samochodów. Pani Kelly podniosła rower i, prowadząc go, zrobiła kilka kroków; koła kręciły się bardzo lekko. Zastanawiała się, czy go nie zabrać, ale w końcu położyła go na ziemi i najszybciej jak mogła ruszyła z powrotem do domu.

Zsunięty lub zerwany łańcuch mógł stanowić dobre wyjaśnienie zagadki, dlaczego nie zobaczyła Sharon przez kuchenne okno. Czemu jednak dziewczynka po prostu nie doprowadziła roweru do niezbyt przecieź odległej farmy? Może zatrzymał się ktoś znajomy i ją podwiózł?

Zaraz po powrocie do domu pani Kelly znowu zatelefonowała do Bellów.

- Jest już Sharon?

- Nie - odparła Joyce. - Czy coś się stało?

Pani Kelly milczała przez chwilę.

- Nie wiem - powiedziała wreszcie i odłożyła słuchawkę.

Przez jej głowę przemykały coraz bardziej niepokojące podejrzenia. Do aparatu miała przyklejoną karteczkę z numerami straży pożarnej, pogotowia i policji. Ponownie wzięła słuchawkę do ręki i zadzwoniła na policję.

Ryana Tavicha nie było wtedy w komisariacie. Pojechał do Jacka Morrisa, ponieważ w jego eskorcie szwankowały hamulce. Samochód stał na podnośniku, a Hark Powers właśnie zdejmował tylne lewe koło. Hark bezceremonialnie obchodził się z narzędziami: można było odnieść wrażenie, że traktuje pneumatyczny śrubokręt jak pistolet maszynowy. Kiedy ustał huk sprężarki, Ryan usłyszał popiskiwanie pagera. Była dokładnie trzecia trzydzieści. Natychmiast poszedł do biura, żeby zatelefonować na posterunek.

- Dzwoniła Megan Kelly - poinformował go Chuck Hawley. - Podejrzewa, że coś stało się Sharon Malloy, córce doktora.

Opowiedział o rowerze i oknach domu pani Kelly, z których jedno wychodziło na północ, a drugie na południe, lecz Ryan nic z tego nie zrozumiał. Widział przez szklane przepierzenie, jak jego escort opuszcza się na posadzkę.

- Podjadę i rozejrzę się tam - powiedział.

Godzinę później, upewniwszy się, że Sharon nie ma ani u Bellów, ani w domu, ani u żadnej z przyjaciółek, Ryan Tavich zawiadomił policję stanową. Wciąż sądził, że dziewczynka znajdzie się lada chwila, chciał jednak uzyskać dodatkową pomoc. Traktował to wyłącznie jako środek

ostrożności. Informacja przekazana patrolom przez dyspozytora w Potterville została przechwycona przez kilkanaście prywatnych skanerów w całym hrabstwie, w tym również skaner zainstalowany w redakcji Franklina Moore'a, którego nie było jednak w biurze. Wieczorem miał obserwować posiedzenie rady miejskiej, wziął więc sobie wolne popołudnie. Frieda Kraus, pełniąca funkcje recepcjonistki, kierownika redakcji i redaktora wydania, zadzwoniła do niego do domu.

Ze względu na niechęć Sadie do związku jej ojca z Paulą, Franklin i Paula często spotykali się w domu Franklina, kiedy Sadie była w szkole. Tego dnia powinna wrócić około wpół do szóstej, uprzedziła bowiem ojca, że idzie w odwiedziny do koleżanki. Paula przysła o wpół do trzeciej.

Franklin i Paula byli w łóżku.

Kiedy krótko po wpół do piątej zadzwonił telefon, Franklin początkowo starał się nie zwracać na niego uwagi. Aparat stał na nocnej szafce tuż przy poduszce.

- Lepiej odbierz - powiedziała wreszcie Paula, zsuwając się z niego.

Franklin wiedział, że to Frieda, jeszcze zanim podniósł słuchawkę. Tylko ona mogła czekać tak długo. Przypuszczalnie domyśliła się, że jest w łóżku z Paulą. Nie zdziwiłby się, gdyby zażartowała na ten temat.

Jednak głos Friedy był bardzo poważny.

- Policja podejrzewa, że coś się stało Sharon Malloy. Pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi sypialni i stanęła w nich Sadie. Ubrana była w dżinsy i za dużą szarą bluzę, w rękach trzymała piłkę do siatkówki. Wytrzeszczyła oczy na Paulę.

- Miała oczy jak spodki - opowiadał mi później Franklin.

Paulą zasłoniła kołdrą nagie piersi.

- Zaraz się tym zajmę - rzucił Franklin, odłożył słuchawkę i odwrócił się do córki, która spoglądała teraz na ubrania i bieliznę rozrzucone po podłodze.

- Myślałem, że będziesz dopiero o wpół do szóstej - powiedział, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie.

Twarz Sadie była śmiertelnie blada, długie włosy zebrane w warkocz spływały jej na plecy.

- Aaron miał odebrać mnie spod szkoły, ale nie przyjechał.

Potem jej twarz wykrzywił grymas gniewu. Uniosła piłkę do góry i z całej siły rzuciła w ojca. Piłka odbiła się od ściany za jego głową.

Część druga

Tak jak postrzegamy jedynie najbardziej zewnętrzną warstwę umysłów innych ludzi, tak samo widzimy jedynie powierzchowną warstwę ich uczynków. Obserwujemy ich ugrzecznione publiczne zachowanie i możemy się jedynie domyślać, co kryje się pod spodem. Jeśli powłoka jest wygładzona i nie odbiega od konwencji, zakładamy zazwyczaj, że w głębi jest to samo. Co to jednak oznacza? Na jakiej podstawie przypuszczamy, że ukryte przed światem wewnątrz jest tak samo ugrzecznione i bezkonfliktowe? Jeżeli dany człowiek prezentuje światu uprzejmą twarz wyłącznie pod wpływem dręczącego go strachu, to w jego środku można spodziewać się wszystkiego.

Całkiem niedawno temu jeden z uczniów pokazał mi jakiś artykuł w czasopiśmie „Rolling Stone”, ja zaś niechętny zwróciłem uwagę na część z ogłoszeniami. Między innymi były tam dwie strony wypełnione od góry do dołu numerami telefonów zaczynającymi się na 700. Zgromadzone w dziale „rozrywka przez telefon” oferowały wszystkie rodzaje seksualnych doznań, jakie można sobie wyobrazić. Zdumiał mnie nie tyle fakt, że ogłoszenia te znalazły się akurat w tym czasopiśmie, ile fakt, że było ich grubo ponad dwieście. JAK MĘŻCZYŻNA Z MĘŻCZYŻNĄ! zachęcało jedno. POCZUJ UDERZENIA BICZA!, kusilo drugie. BISEKSUALNE PANIE DOMU, informowało trzecie. DZIEWCZĘTA Z COLLEGE'U NA ŻYWO, obiecywało jeszcze inne. Ich liczba sugerowała, że mnóstwo ludzi dzwoni pod te właśnie numery telefonów. Ja osobiście nigdy tego

nie robiłem. Nie odważyłbym się. Nie przyznawał się do tego również nikt z moich znajomych, choć niektórych byłbym gotów o to podejrzewać.

Przypuszczam, że większość osób, które tam dzwonią, starannie ukrywa przed światem swoje słabości. Takie zachowanie stanowi doskonałą ilustrację teorii o skrywanej naturze człowieka, którą wcześniej przedstawiłem. Nie nazwałbym go niemoralnym, z pewnością jednak świadczy o obfitości niespełnionych pragnień. W innych czasopismach można znaleźć jeszcze więcej takich numerów. Ilu ludzi pod nie dzwoni? Tysiące? Więcej niż milion?

Niespełnione pragnienia traktujemy często jako drogowaskazy prowadzące do piekła i obawiamy się, że jeśli za nimi podążymy, będziemy musieli zaspokajać je w coraz bardziej wyuzdany sposób. Nie jestem pewien, czy to prawda, ale nawet ja, prowadzący samotne i spokojne życie, odnoszę wrażenie, że gdybym im uległ, rozpocząłbym w ten sposób podróż ku samounicestwieniu.

Między moim domem i domem Franklina stoi biały wiktoriański budynek należący do Pete'a Danielsa i jego żony Molly. Rozmawiamy niekiedy, aczkolwiek się nie przyjaźnimy. Ale nie jesteśmy też wrogami. Mam na oku ich dom, kiedy wyjeżdżają z miasta, oni zaś rewanżują mi się w taki sam sposób. Ot, zwyczajne małomiasteczkowe uprzejmości. Jestem dla nich samotnym nauczycielem biologii w średnim wieku, odrobinę zdziwaczałym, który od czasu do czasu ma pretensje do ich teriera o to, że napaskudził w rabatach z kwiatami.

Pete Daniels jest bardzo dobrym elektrykiem, lecz ja nigdy nie korzystałem z jego usług. Nie chcę widzieć go w moim domu choćby z tego powodu, że i tak już za dużo o mnie wie, chociaż wie bardzo mało. Molly pracuje w aptece w centrum handlowym. W związku z tym za każdym razem, kiedy musiałem kupić coś choćby odrobinę wstydliwego - nawet tabletki nasenne lub środek przeczyszczający - jeździłem do centrum miasta, do apteki Malloya. Donald Malloy był sympatyczny, a ponieważ

miał brata lekarza, zawsze jakoś wydawało mi się, że zna się na swojej robocie lepiej od innych.

Pete i Molly mają troje dzieci. Dwoje starszych, Dennis i Jenny, dobiegają już trzydziestki. Dennis ożenił się i pracuje z ojcem. Jenny wyszła za stroiciela fortepianów i przeprowadziła się do Oneonty. Kiedy mieli odpowiednio dziewięć i jedenaście lat, przyszła na świat mała Rosa. Urodziła się niewidoma. Dla rodziny stanowiło to ciężką próbę, Rosa jednak okazała się bardzo bystrym dzieckiem, jedyna korzyść zaś, jaka wiąże się z byciem niewidomym od urodzenia, polega na tym, że łatwiej przyzwycząć się do tego stanu. Pete i Molly starali się jak mogli, i Rosa przez kilka lat uczęszczała do Szkoły Perkinsa dla Niewidomych w Bostonie.

Rozmawiałem z nią. Miała osiemnaście lat i za rok zamierzała pójść do college'u. Często nosiła ciemne okulary, gdyż nie kontrolowała ruchów gałek ocznych, a częściowo również mimiki. Niekiedy zamiast uśmiechu na jej twarzy pojawiał się bolesny grymas, kiedy indziej bez powodu zaciskała zęby albo bez powodu otwierała usta. Nigdy nie dane jej było przejrzeć się w lustrze.

Mówię o tym wszystkim, ponieważ muszę uczynić wstydlive wyznanie. Otóż okno sypialni Rosy na piętrze jej domu dzieliło od okna mojej sypialni - a: raczej: od okna mojej byłej sypialni - najwyżej siedem metrów. Często obserwowałem ją, jak się rozbiera oraz robi inne rzeczy. Po wieczornym prysznicu wracała do pokoju ubrana tylko w stary brązowy szlafroczek. Lubiała siadywać w fotelu stojącym przodem do okna, odchyłać głowę do tyłu, rozsuwać poły szlafroka i dotykać się. Chyba nie oglądałem jej przy tym zbyt wiele razy, najwyżej dziesięć, może dwanaście, a niemal wcale od chwili, kiedy postanowiłem przenieść sypialnię do innego pokoju. Rosa prawie nigdy nie zasłaniała okna, nawet nie przyszło jej do głowy, że ktoś może ją obserwować. Pamiętała natomiast o tym, by zamykać drzwi.

Jej zachowanie wcale mnie nie podniecało. Początkowo czułem wręcz odrazę i zmuszałem się, by stać i patrzeć, choć wiem, jak dziwnie brzmi

takie stwierdzenie. Można było przypuszczać, że po prostu się odwrócić albo powiem jej matce, żeby kazała córce zaciągać zasłony. Nie uczyniłem tego, za to po kilku miesiącach, jak już wspomniałem, urządziłem sobie sypialnię w innym pokoju. Oczywiście miałem poczucie winy, stopniowo jednak owo poczucie zniknęło, aż podglądactwo zamieniło się w coś w rodzaju narkotyku i czekałem wieczorami przy oknie, aż Rosa pojawi się w swoim pokoju. Gdyby jej poczynania podniecały mnie seksualnie, być może bardziej bym się zaniepokoił, ja jednak odnosiłem wrażenie, że zaglądam w najgłębsze zakamarki jej duszy.

Pewnego razu przysłała mi do głowy zaskakująca myśl: a gdybyśmy zamienili się rolami? A gdybym to ja był obserwowany? Przecież też się czasem dotykam, a kiedy byłem w wieku Rosy, czyniłem to znacznie częściej. Co prawda nieczęsto, ale osoby, z którymi współżyję seksualnie, odwiedzają mnie w domu. Co wtedy maluje się na mojej twarzy? Czy jest to moja twarz zewnętrzna, czy wewnętrzna? I która z nich jest bardziej ekspresyjna?

Często widywałem Rose nazajutrz po tym, jak wieczorem obserwo- wałem ją przez okno. Czasem nawet z nią rozmawiałem. Szukałem wówczas na jej twarzy choćby najdrobniejszych śladów ekstazy, która gościła tam minionego wieczoru, lecz nigdy nie udało mi się ich znaleźć. Jeśli chodzi o jej myśli, to zapewne niczym się nie różniły od tych, które miałem w jej wieku. Rosa była normalną młodą kobietą. Mogłem być świadkiem jej poczynań wyłącznie dlatego, że urodziła się niewidoma. Na co dzień dostrzegamy jedynie wierzchnią warstwę naszych zachowań i możemy się tylko zastanawiać, co kryje się pod spodem. Czyż nie czynimy tak dlatego, że chcielibyśmy się dowiedzieć, do jakich działań mogą nas skłonić nasze namiętności? Czy gdybym miał pewność, że na zawsze zostanie to zachowane w tajemnicy, nie skusiłbym się, żeby od czasu do czasu zatelefonować pod 0-700? Nie chodzi zresztą wyłącznie o

zachowania seksualne. Wszystkie ludzkie uczucia - miłość, nienawiść, zazdrość, chciwość, pycha - występują co najmniej w dwóch postaciach: zewnętrznej, społecznie tolerowanej, oraz ukrytej, bez porównania gwałtowniejszej. Czy nigdy nikomu nie zazdrościłem? Czy nie pyszniłem się swoimi dokonaniem? A kiedy siedzę z przyjaciółmi w restauracji, czy nie zerkam ukradkiem na talerze, by sprawdzić, kto dostał największą porcję?

Mimo to potrafię wyznaczyć granice. W pewnej chwili mówię sobie, że już wystarczy, albo włączam hamulce. Wieczne potępienie, otchłań, utrata samokontroli... Wyobraźcie sobie człowieka, który w żaden sposób nie potrafi podporządkować się takim ograniczeniom. Czyż nie na tym właśnie polega bycie potworem, istotą bez żadnych zahamowań korzystającą z uciech i folgującą swym zachciankom? Ulegamy maleńkiej fanaberii, ona zaś rozrasta się błyskawicznie i wkrótce bierze nas w posiadanie. Wyobraźmy sobie takiego człowieka, wiodącego wśród nas pozornie całkiem zwyczajne życie. Kiedy zamyka się w czterech ścianach własnego domu, kim się staje, mężczyzną czy kobietą? Kim staje się po zaciągnięciu zasłon? Co tam robi? A teraz wyobraźmy sobie, że stopniowo zaczynamy dostrzegać ślady jego poczynań, rezultaty jego apetytu, resztki po jego przerażających posiłkach. W jaki sposób to na nas wpłynie? Czy nie zrodzi się w nas odruch przyzwolenia, który będzie miał własne konsekwencje? W przypadku Rosy Daniels sprawy przedstawiały się w ten sposób, że im dłużej patrzyłem, tym bardziej byłem zafascynowany i tym bardziej brzydziłem się swoją fascynacją. Jej rozkosz stała się moją rozkoszą. Mimo iż pozostałem obserwatorem, starałem się wchłoniąć najdrobniejsze niuanse jej postępowania. Bardzo szybko doprowadziło to do przesunięcia granic mojej autotolerancji.

Także w Aurelius pewne wydarzenia wpłynęły na zmianę naszych wyobrażeń o tym, co dopuszczalne. Zdarzyło się coś okropnego, należało więc przedsięwziąć okropne środki, by temu zaradzić. Tak twierdziło

superego, głos moralności. Czy jednak nie odczuwaliśmy dreszczyku zadowolenia, że takie okropności są teraz dozwolone? Nie twierdę, że każdego normalnego człowieka można w taki czy inny sposób skłonić do popełnienia występku, może być jednak tak, że występkę, których byliśmy świadkami lub które sobie wyobrażaliśmy, poszerzyły granice naszego permissywności. Po to, żeby usprawiedliwić jakieś działanie, wystarczyło nazwać je kontrdziałaniem. Ktoś mógł zrobić coś strasznego i nazwać to zemstą albo karą. Drzemiące w ludziach pokusy obudziły się i wypełzły na wierzch, upodabniając ich do potworów. Tak przynajmniej stało się w moim mieście.

Przez dwadzieścia cztery godziny po zniknięciu Sharon Malloy ludzie wciąż przypuszczali, że dziewczynka zjawi się lada chwila lub zatelefonuje do rodziców. Albo że zatelefonuje ten, kto ją uprowadził - jeśli ktoś taki był. Nic takiego jednak nie nastąpiło i w miarę upływu dni nadzieje gasły.

Rzecz jasna, już nazajutrz rano jej zdjęcie i rysopis zostały rozesłane po całym hrabstwie. Fotografia przedstawiała ją stojącą przed białą bramą garażu z ręką ukrytą w rękawicy baseballowej. Uśmiechała się z lekko podniesioną głową. Miała zuchowatą owalną twarz i aparat na zębach, który lekko połyskiwał. Była ubrana w ten sam niebieski sweterek co w dniu zaginięcia. Jasne rozpuszczone włosy sięgały poniżej łopatek. Rozstawiła stopy, nogi nieco ugięła w kolanach. Jej twarz była po prostu śliczna, malowały się na niej oczekiwanie i niecierpliwość świadczące o tym, że czeka nie tylko na to, aż ktoś rzuci jej piłkę, ale i na samo życie. Otaczała ją aura całkowitej niewinności, jakby żyła myślą o tym, co ją dopiero czeka. A co ją czekało? Tego nikt nie wiedział, i to właśnie było najgorsze.

W ciągu tygodnia zdjęcie Sharon pojawiło się dosłownie wszędzie: w sklepowych witrynach, na poczcie, w bankach, na słupach, bramkach przy wjeździe na autostradę, nawet za tylnymi szybami samochodów. Codziennie wiele razy mogłem zobaczyć radosną, pełną oczekiwania twarz Sharon i zawsze boleśnie uderzał mnie rozdźwięk między tym, czego się spodziewała, a tym, co przypuszczalnie otrzymała. Czy nie

skłaniało to ludzi, w tym również mnie, do rozważań o niespodziewanych zwrotach w życiu każdego z nas? Sharon stała się uosobieniem niedotrzymanych obietnic - tych, które kiedyś wszyscy otrzymaliśmy - dotyczących tego, co powinniśmy otrzymać od życia.

Od samego początku śledztwo prowadzono na dwóch płaszczyznach: w świecie i w Aurelius. Sharon szukała cała policja na Wschodnim Wybrzeżu. Wszyscy funkcjonariusze, wszyscy agenci FBI nosili przy sobie jej zdjęcia. Mówiono o niej w NBC i CNN. Do Aurelius przyjechali reporterzy i wozy transmisyjne z miast oddalonych o setki kilometrów. Rodzina Sharon była w szoku i początkowo nie chciała rozmawiać z dziennikarzami, za to Megan Kelly udzieliła co najmniej pięćdziesięciu wywiadów. Joyce Bell opowiadała o niepokoju, jaki ją ogarnął, kiedy Sharon nie zjawiła się u niej tamtego popołudnia. Wywiadów udzielali nauczyciele i przyjaciele Sharon, w tym również Sadie. Niektórzy przygotowali sobie miniprzemowy (choć jestem przekonany, że wcale tak o nich nie myśleli), w których opowiadali o tym, jakim to wspaniałym dzieckiem była Sharon. Informacją tą podzielił się z mediami także właściciel szkolnej kafeterii, który prawie wcale jej nie znał. Prawdę powiedziawszy, do zażyłości przyznawali się nawet ludzie, którzy przed zniknięciem dziewczynki ledwie zamienili z nią kilka słów.

Trudno mówić o tej sprawie bez odrobiny cynizmu. Zniknięcie Sharon dało nieco popularności wielu osobom, które do tej pory mogły o tym tylko marzyć. Harry Martini, dyrektor Knox Consolidated, występował w programach nadawanych przez stacje telewizyjne z Syracuse i Utiki, omawiając niebezpieczeństwa czyhające na dzieci chodzące samotnie do i ze szkoły. Nie omieszkał dodać, iż Sharon była jedną z najjaśniejszych świecących gwiazd na szkolnym firmamencie. Wyglądał jak nadmuchany, miał smutną twarz i co chwila ocierał oczy. Nie wątpię, iż w swoim przekonaniu zachowywał się uczciwie, lecz jestem również przekonany o tym, że z trudem był w stanie sobie przypomnieć, jak wyglądała Sharon.

Była dobrą uczennicą ze średnią ocen cztery, ale nie grzeszyła śmiałością i rzadko zwracała na siebie uwagę. Tymczasem, sądząc po tym, ile i jak się o niej mówiło, można było odnieść wrażenie, iż należała do najlepszych i najbardziej popularnych uczniów w szkole.

Wcale nie twierdzę, że ludzie kłamali. Na pewno wydawało im się, że mówią szczerze, niemniej jednak przez sam fakt udzielania wypowiedzi na jej temat ściągali na siebie jakąś część należnej jej uwagi. Gdybym wspomniał o tym Martiniemu, z pewnością byłby oburzony, a kiedy w pokoju nauczycielskim zapytałem Ruth Henley, która uczyła Sharon angielskiego, jak dobrze naprawdę ją znała, natychmiast się nastroszyła i zarzuciła mi, zupełnie niesprawiedliwie, iż najwyraźniej żałuję, że Sharon nie była również moją uczennicą.

W rzeczywistości wcale mnie to nie martwiło; uczyłem biologii jej starszych braci, Franka i Allena juniora. Nie podobało mi się całe to zamieszanie, te wyścigi, żeby zdążyć się do niej przyznać. Podczas lekcji widziałem przez okno ekipy telewizyjne filmujące budynek college'u, po wyjściu z sali natykałem się na reporterów rozmawiających z nauczycielami lub uczniami. Ze względu na reflektory i mikrofony od razu rzucali się w oczy. Nawet Herkimer Potter, opóźniony w rozwoju chłopiec od niepamiętnych czasów uczęszczający do Knox Consolidated, został zwolniony z lekcji, aby opowiedzieć przed kamerą o tym, jak to kiedyś poczęstował Sharon gumą do żucia, a ona mu podziękowała.

Takie pragnienie skierowania na siebie uwagi za wszelką cenę wydawało mi się czymś chorobliwym. W ten sposób ci wszyscy ludzie ujawnili jedno ze swych skrywanych pragnień. Kiedy jednak wspomniałem o tym Franklinowi, on tylko wzruszył ramionami.

- To bardzo ułatwia życie dziennikarzom. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi aż pali się do rozmowy.

- Chcą się wydawać ważni.

- Chcą potwierdzić swoje istnienie.
- Harry'emu Martini zależy chyba na czymś więcej niż tylko na potwierdzeniu.
- Chodzi o coś w rodzaju świadectwa autentyczności - odparł Franklin. - To ma być dowód na to, że żyją.

Ja jednak wciąż się zastanawiałem nad tym, dlaczego ludzie tak ochoczo zaczęli ujawniać nie najpiękniejsze cechy swoich charakterów.

Druga płaszczyzna śledztwa, miejscowa, nie przyciągała takiego zainteresowania. Chociaż w dochodzeniu uczestniczyli policjanci z naszego miasta, a szczególnie Ryan Tavich, to kierowała nim policja stanowa, konkretnie zaś kapitan Raymond Percy. Wtedy jeszcze go nie znałem, choć Franklin i mój kuzyn Chuck Hawley byli o nim dobrego zdania. Percy'ego charakteryzował profesjonalizm wyzuty z jakichkolwiek, nawet najdrobniejszych śladów osobowości. Mieszkał w Norwich, do stopnia kapitana awansował całkiem niedawno. Osiem lat służył w wojsku, z czego większość jako sierżant żandarmerii. Był wysoki, w doskonałej kondycji fizycznej, ciemnowłosa, lekko szpakowaty. Jego długi, bardzo wąski nos nasuwał mi skojarzenia z ostrzem maczety. Nosił ciemne garnitury i smętne krawaty. Przypuszczalnie miał niewiele ponad czterdzieści lat. Nie sposób było się w nim dopatrzeć żadnych ułomności charakteru, był bardzo pracowity, nie okazywał jednak żadnych uczuć. W pewnym sensie nawet mi to odpowiadało, chociaż nie przeczę, iż nie miałbym nic przeciwko okazjonalnemu przekleństwu albo uśmiechowi. Cóż, chyba nie jestem zbyt konsekwentny, utyskując na ukryte wady jednych i równocześnie narzekając, że inni zdają się ich zupełnie nie mieć.

Wyglądało na to, że Raymond Percy pragnie być maszyną, i może to właśnie należało uznać za jego skrywaną wadę. Nie wykazywał oznak jakiegokolwiek życia wewnętrznego, co sprawiało, że z tym większym zapalem starałem się je wypatrzeć. Chyba na tym polegała moja słabość:

pragnąłem zawsze i wszędzie - za wszelką cenę - zajrzeć pod powierzchnię. Miałem nieodparte wrażenie, że kiedy Raymond Percy budzi się o czwartej rano i wpatruje w sufit, jest zupełnie innym człowiekiem. Ryan Tavich często z nim przebywał.

- Jaki on właściwie jest? - zapytał Franklin.
- Szczegółowy.
- To znaczy?
- Generuje mnóstwo papierów, rozmawia z mnóstwem ludzi, żąda mnóstwa raportów.

Franklin i Ryan siedzieli przy kuchennym stole w domu Franklina. Był wczesny wieczór w pierwszym tygodniu po zaginięciu Sharon. Obaj pili piwo. Sądzili, że Sadie odrabia lekcje w swoim pokoju, ona jednak wymknęła się chyłkiem, przycupnęła na schodach i podsłuchiwała.

- Interesuje się futbolem? - chciał wiedzieć Franklin.
- Nie interesuje się niczym, co nie jest związane ze śledztwem.
- Miewa na koszuli plamy po jedzeniu?
- Człowieku, o co ty pytasz?
- Muszę się o nim czegoś dowiedzieć. Jak mam pisać o kimś, kto jest jak kawał drewna?

Przejeżdżałem raz obok jego domu. Kapitan Percy mieszkał w zupełnie nowym budynku na narożnej działce, białym z czarnymi okiennicami ze sztucznego tworzywa. Ogrodzone podwórko, bez tablicy do koszykówki przy garażu, bez porozrzucanych rowerów i zabawek, zasłony w oknach starannie zaciągnięte. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że dom kapitana Percy'ego bardzo przypominał jego samego; czemu zresztą nie? Wiedziałem, że ma żonę i dwóch nastoletnich synów, nie dostrzegłem jednak żadnych oznak ich istnienia.

Ryan Tavich spisał zeznania Megan Kelly po upływie godziny od momentu, gdy zawiadomiła policję. Kapitan Percy rozmawiał z nią nazajutrz w ratuszu. Opowieść pani Kelly o tym, jak to zobaczyła Sharon

przez okno w pokoju, a potem nie zobaczyła jej przez okno w kuchni, została poddana drobiazgowej analizie. Między tymi wydarzeniami upłynęło trzy do pięciu minut. Pani Kelly przyznała, że w tym czasie ulicą przejechało kilka samochodów - chociaż Adams Street nie jest szczególnie uczęszczana - ale ona zapamiętała tylko jeden z nich, a mianowicie czerwonego citroena Houariego Chihani.

Nieco później tego samego przedpołudnia, we wtorek dziewiętnastego września, Ryan i kapitan Percy pojechali do Aurelius College, by porozmawiać z Chihanim. Prowadził akurat zajęcia z historii dziewiętnastowiecznej Europy, kapitan Percy poprosił jednak, by wywołano go z sali. Ryan mówił później, że on z pewnością by tego nie uczynił, że narażanie Chihaniego na plotki nie miało najmniejszego sensu. Oprócz Ryana Percy'emu towarzyszyli sierżant i kierowca. Ich wizyty raczej nie można było nazwać dyskretną. Megan Kelly wspomniała już paru osobom, że rozpoznała samochód Chihaniego, i większość z nich wyraziła zdziwienie, że nauczyciel nie został natychmiast aresztowany.

Ryan i kapitan Percy czekali na Chihaniego w pustym pokoju w budynku administracji. Ryan opowiadał, że słyszeli jego nierówne kroki, kiedy, utykając, zbliżał się korytarzem w towarzystwie szkolnej sekretarki i sierżanta. Chihani był ubrany w czarny golf, szary sportowy płaszcz, na głowie miał берет. W ręce ścisnął laskę. Nie wyglądał na zachwyconego.

- Spotykam się z tymi uczniami zaledwie dwadzieścia sześć razy w ciągu semestru. Panowie właśnie przerwaliście mi jedno z tych spotkań, w związku z czym będę zmuszony je powtórzyć.

- Proszę usiąść - powiedział kapitan Percy.
- Nie zamierzam siadać.
- Proszę pana, żeby pan usiadł.
- A kim pan jest?

Kapitan Percy wyjaśnił, kim jest.

- Mimo to nie usiądę, ponieważ nie mam na to ochoty.

I Chihani stał z laską przyciśniętą do prawej nogi. Kapitan Percy również stał. Wszyscy czterej stali, chociaż krzesel było pod dostatkiem. Chihani i Percy mieli sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Obaj byli w dobrej formie fizycznej - ale Percy barczysty i umięśniony, Chihani zaś suchy i żyłasty.

- Wczoraj tuż po trzeciej po południu widziano pana w samochodzie na Adams Street. Czy może pan powiedzieć, dokąd jechał?

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ jest to istotne dla prowadzonego śledztwa.

Chihani dość długo wpatrywał się w podłogę, jakby nie miał zamiaru odpowiadać, po czym niespodziewanie zaczął mówić.

- Jechałem do Henderson's Orchard po jabłka, jabłecznik i miód.

Na jego twarzy malował się głęboki niesmak, jak gdyby nie był w stanie zrozumieć, dlaczego policja interesuje się jego zakupami.

- Czy opuszczając granice miasta, wyprzedził pan dziewczynkę jadącą na rowerze?

- Nikogo takiego nie widziałem.

- Musiał ją pan zauważyć - wtrącił się Ryan.

- Nie widziałem żadnej dziewczynki.

- Jechał pan po jabłka - przejął pałeczkę Percy. - Kupił je pan?

- Po drodze przypomniałem sobie, że wziąłem za mało pieniędzy, więc wróciłem do domu. Zamierzam kupić je dzisiaj po południu.

- Czy wracał pan tą samą drogą?

- Skręciłem w Drake Street, żeby podjechać do banku.

- Dojechał pan aż do Henderson's Orchard i dopiero wtedy zawrócił? - spytał Ryan.

- Nie, znacznie wcześniej. Dlaczego to takie ważne?

- Dziewczynka była w niebieskim sweterku i miała czerwony plecak na książki - powiedział Percy. - Rower był niebiesko--czerwony.

- Nie widziałem jej.
- Gdzie teraz jest pański samochód?
- Na parkingu dla nauczycieli.
- Obawiam się, że będzie pan musiał pojechać z nami - oświadczył

Percy.

Na twarzy Chihaniego po raz pierwszy pojawiło się zdziwienie.

- Dlaczego?
- Ta dziewczynka zaginęła.
- W takim razie chciałbym skontaktować się z moim prawnikiem.

Czerwony citroen został odwieziony do policyjnych warsztatów w Potterville. Percy uzyskał już nakaz przeszukania zarówno samochodu, jak i domu Chihaniego.

W ratuszu Chihani powtórzył to samo, co powiedział w college'u. Nie widział żadnej dziewczynki na rowerze. Zawrócił, nie dojechawszy do Henderson's Orchard. Jego prawnikiem była Agnes Whitehead. Zażądała przedstawienia zarzutów albo natychmiastowego zwolnienia klienta. Podczas gdy Chihani był przesłuchiwany, jego dom przeszukiwała specjalna ekipa policji stanowej. Percy'emu udało się przetrzymać go aż do późnego popołudnia. W domu nie znaleziono najmniejszego śladu Sharon. Samochód badano drobiazgowo jeszcze przez jeden dzień, ale nie odkryto żadnego dowodu świadczącego o tym, że kiedykolwiek siedziała w nim Sharon Malloy.

- Chodzi o to, że to praktycznie niemożliwe, by Chihani usunął jej ślady - powiedział Ryan Franklinowi. - Znaleźliśmy mnóstwo śladów innych osób, w tym kobiet, ale nie Sharon.

- Jakich kobiet?

- Z Tropicieli Prawdy. Przede wszystkim Harriet Malcomb i Joany Rustoff.

Znowu siedzieli przy stole w kuchni. W pokoju obok Sadie ćwiczyła gamy na pianinie.

- A więc Chihani nie wysprzątał samochodu...

- Zgadza się. Poza tym, nie da się sprzątać selektywnie, usuwając ślady tylko wybranej osoby.

- Czy są jakieś dowody, że Chihani kiedykolwiek choćby rozmawiał z Sharon?

- Żadnych.

Franklin zawołał Sadie i zapytał, czy Sharon choć raz rozmawiała z nią o Houarim Chihani.

- A kto to taki?

Sadie uczyła się grać na pianinie na wyraźne życzenie ojca, nie miała więc nic przeciwko przerwie w ćwiczeniach.

- Nauczyciel z college'u. Jeździ czerwonym citroenem.

- Tym małym czerwonym samochodzikiem? Widziałam go, ale nie miałam pojęcia, czyj jest. Rety, co to za nazwisko?

- Algierskie.

- On się tam urodził?

- Chyba tak - odparł jej ojciec.

- To trochę daleko od Aurelius - zauważyła Sadie.

Chociaż Chihani został zwolniony, to nadal pozostawał potencjalnym podejrzanym. Funkcjonariusze stanowi i zastępcy szeryfa wypytywali ludzi mieszkających przy Adams Street i Fletcher Street, czy go widzieli. Wielu zapamiętało czerwonego citroena, nie byli jednak pewni, czy akurat tego poniedziałkowego popołudnia przejeżdżał obok ich domu.

Wiadomość, że Chihani był przez kilka godzin przesłuchiwany w ratuszu, jego samochód zaś trafił w ręce policyjnych ekspertów w Potterville, szybko się rozeszła. Jestem gotów iść o zakład, że każdy, kto się o tym dowiedział, prędzej czy później pomyślał o Oscarze aresztowanym w związku z podkładaniem bomb, a także o Tropicielach Prawdy w ogóle. Wiele osób właśnie wtedy zaczęło się zastanawiać, czy grupa ta nie miała czegoś wspólnego z niewyjaśnionym do tej pory aktem wandalizmu na Homeland Cemetery. Co prawda nie było żadnych dowodów na to, że dewastacja grobów i bomby w szkołach są ze sobą w jakikolwiek

sposób powiązane, lecz Aurelius to małe miasto i liczba osób gotowych wejść w konflikt z prawem jest tu dość ograniczona. Siłą rzeczy nasuwał się więc również wniosek, że istnieje związek między Tropicielami Prawdy a zniknięciem Sharon. Franklin nie zapomniał, że w poniedziałek po południu Aaron nie stawił się na umówione spotkanie z Sadie. Gdzie wtedy był? Naturalnie Franklin przekazał tę informację Ryanowi Tavichowi.

Ryan z pewnością czuł się fatalnie. Choć doskonale wiedział, kto zdewastował cmentarz, nie powiedział o tym nikomu. Wcale nie uważał, że w ten sposób chroni syna swojej nieżyjącej kochanki ani nawet Harriet Malcomb. Po prostu wyświadczał przysługę grupce nierozważnych, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwych dzieciaków. Biorąc pod uwagę niezbyt dużą popularność Chihaniego oraz otaczającą Tropicieli atmosferę podejrzliwości, należało się spodziewać, iż ujawnienie sprawców zbezczeszczenia grobów na miejskim cmentarzu wywoła nieproporcjonalnie gwałtowną reakcję. Dlatego też uznał, że lepiej będzie milczeć.

W poniedziałek, po zniknięciu Sharon, Ryan usiłował odszukać Aarona. Cztery razy sprawdzał w jego mieszkaniu, dwa razy był u Harriet. Od sierpnia ich stosunki bardzo się ochłodziły. Ryana irytowało to, że wciąż jej pożąda, oraz to, że w ciągu pięciu tygodni, które spędzili razem, nie zdołał się dowiedzieć, co ona o nim myśli. Odwiedził również pozostałych Tropicieli Prawdy, w tym Barry'ego, który powiedział później: „Był wściekły. Bałem się, że mnie uderzy”.

Ryan wciąż myślał o aktach agresji, jakich Aaron dopuścił się wobec Harka i Sheili. Myślał też o tym, jak dużo czasu Aaron ostatnio spędza z Sadie. Możliwe, że Ryan był zazdrosny. Możliwe, że zabierając Sadie na ryby, chciał przede wszystkim osłabić wpływy Aarona. Jednak bez względu na to, jak bardzo go nie lubił, nie mógł nic poradzić na to, że za każdym razem, kiedy na niego patrzył, widział twarz jego matki.

Ryan powinien był od razu zawiadomić Percy'ego, że Aaron przepadł bez wieści, ale tego nie uczynił. Szukał go przez cały wieczór i we wtorek rano, budził Tropicieli Prawdy, dwa razy odwiedził Paulę McNeal, aby zapytać, czy ma jakieś wiadomości o przyrodnim bracie. Nikt jednak niczego nie wiedział.

Paula wyszła z domu Franklina około piątej, wkrótce po tym jak Sadie zastała ich w łóżku. Było jej przykro, że zdenerwowała Sadie, ale miała też pretensję do Franklina, że zachował się tak, jakby zdradził córkę. A ponieważ miała w zwyczaju ukrywać emocje, postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że wszystko jest w porządku.

Wiadomość o zaginięciu Sharon z pewnością przytłumiła jej rozgoryczenie, ale go nie zagłuszyła. Paula wróciła więc do domu, Franklin zaś spędził dwie godziny w towarzystwie Ryana Tavicha, po czym udał się na posiedzenie rady miejskiej. Sadie została ze mną, jako że pani Kelly wciąż udzielała wyjaśnień policji.

Uderzyło mnie, że Franklin przyprowadził córkę osobiście. Przecież mieszkaliśmy prawie po sąsiedzku. Była to pierwsza oznaka zmian, jakie miały nastąpić w wyniku zniknięcia Sharon.

Sadie oczywiście zmartwiła wiadomość o zaginięciu koleżanki, aczkolwiek jeszcze do niej nie dotarło, co to może oznaczać. Znacznie bardziej wstrząsnął nią fakt przyłapania Pauli i ojca w łóżku.

- Dlaczego on ją tak lubi? - pytała bez przerwy. - Czy nie widzi, że ona go oszukuje?

- Dlaczego miałyby go oszukiwać? - zapytałem.

- Bo jest nieuczciwa! - odparła Sadie, mierząc mnie ponurym spojrzeniem, ale zaraz się uśmiechnęła, rozbawiona własną powagą.

- A jak ci się wydaje, czego może od niego chcieć?

- Na przykład jego pieniędzy albo domu... A może mnie nienawidzi i chce mnie skrzywdzić.

- A może go kocha?

- On nie potrzebuje takiej miłości.

Na wszelki wypadek zawsze miałem w zapasie parę opakowań makaronu z serem. Tego wieczoru otworzyliśmy jedno, Sadie odrobiła lekcje, a potem oglądała telewizję, ja zaś sprawdzałem prace uczniów. W wiadomościach o jedenastej wspomniano o zaginięciu Sharon i nawet pokazano jej fotografię.

- To mój sweter - powiedziała Sadie. - Dostałam go od Pauli.

Ryan Tavich odnalazł Aarona we wtorek około ósmej rano. W praktyce wyglądało to tak, że właśnie zatrzymał samochód przed domem,

w którym mieszkał Aaron, zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył go zbliżającego się chodnikiem. Było chłodno, Aaron jednak miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami. Ryan wysiadł z samochodu.

- Szukałem cię.

Aaron nie odpowiedział. Rozpuszczone włosy opadały mu poniżej ramion. Oczy miał podkrążone.

- Gdzie byłeś?

- Poza domem.

- To znaczy gdzie?

- Tu i tam..

- Dlaczego wczoraj nie odebrałeś Sadie ze szkoły?

- Byłem zajęty.

- Co wiesz o Sharon Malloy?

- Tylko tyle, ile usłyszałem wczoraj w wiadomościach. Znaleźli ją?

Wyjął z kieszeni gumkę i związał włosy w koński ogon.

- Co robiłeś wczoraj około trzeciej po południu?

- Byłem zajęty.

- A dokładniej?

Aaron zastanawiał się przez chwilę.

- Dokładniej nie powiem.

Ryan odstawił go do ratusza i przekazał Percy'emu. Opowiedział kapitanowi jego historię, wspominał o Tropicielach Prawdy i napomknął, że właśnie tę grupę podejrzewa o zbezczeszczenie cmentarza. Rozmowę przypadkowo usłyszał Chuck Hawley, który prowadził tę sprawę.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej, do jasnej cholery? - zapytał raczej zdziwiony niż zirytowany.

Ryan otworzył usta, żeby odpowiedzieć, zamknął je i wzruszył ramionami. Podobno zaczerwienił się po same uszy.

Percy skontaktował się z policją w Troy i poprosił o zatrzymanie Oscara, następnie zaś polecił przywieźć do ratusza wszystkich Tropicieli.

Razem z Ryanem pojechał do college'u, przeprowadził kolejną rozmowę z Chihanim i jego również przywiózł na posterunek. W południe niemal całe miasto wiedziało już, że Tropiciele Prawdy zostali aresztowani. W szkole także huczało od plotek, chociaż większość była stanowczo przesadzona. Podobno Jesse i Shannon stawiali opór i zostali pobici, Leon Stahl doznał czegoś w rodzaju udaru, Jason Irving usiłował uciec przez okno, ale został schwytyany. Harriet znaleziono ukrywającą się w szafie. Joany Rustoff i Boba Jenkinsa przyłapano gołych w łóżku i odwieziono na komisariat w bieliźnie. Barry się popłakał. Nic z tego nie było do końca prawdą, choć w większości historii kryło się jej ziarenko. Barry na przykład przyznał mi się, że był okropnie zdenerwowany, ale nie płakał. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Takie właśnie opowieści przekazywano sobie z ust do ust. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, aby wpaść na pomysł, że ta sama grupa marksistów z college'u uprowadziła Sharon. Czy nie próbowali już wysadzić w powietrze szkoły średniej?

Tylko nieliczni byli przekonani o całkowitej i niepodzielnej winie Tropicieli Prawdy, a jeszcze mniejsza grupka wierzyła w ich niewinność. Z pewnością mieli coś na sumieniu, bo przecież zostali aresztowani. Nieco później tego samego dnia dowiedzieliśmy się, że wszystkim członkom grupy, z wyjątkiem Leona Stahla, postawiono zarzut wandalizmu, i ludzie przypomnieli sobie poprzewracane tablice nagrobne na Homeland Cemetery. Ci, którzy nie podejrzewali Tropicieli o dokonanie tego czynu, dziwili się własnej naiwności - a przynajmniej tak twierdzili - no bo czyż takie oto wyjaśnienie zagadki nie było najbardziej oczywiste?

Lęk i zapalczywe domysły tworzą niezdrową mieszaninę. Pod koniec lekcji uczniowie rozmawiali wyłącznie o czarnej magii i satanizmie. Słyszałem na własne uszy, jak pani Hicks od angielskiego zastanawiała się głośno, czy Sharon nie została aby złożona w ofierze. Od zaginięcia dziewczynki minęły wtedy dwadzieścia cztery godziny. Niektórzy wciąż

mieli nadzieję, że lada chwila się pojawi, lecz obecność dziennikarzy, policji i mnóstwa obcych ludzi sugerowała coś innego. Do tego jeszcze należało dodać fakt aresztowania Tropicielei Prawdy. Nikomu jakoś nie przeszkadzało, że zarzuty, jakie im przedstawiono, nie miały nic wspólnego ze zniknięciem Sharon. Ludzie co nieco o nich słyszeli, mniej więcej orientowali się, co się stało, i na tej podstawie wysnuwali wnioski.

Sandra Petoski, na co dzień całkiem rozsądna kobieta, powiedziała w pokoju nauczycielskim, że od dawna podejrzewała, iż Barry Sanders może być niezrównoważony psychicznie. Inni natychmiast zaczęli dorzucać swoje opowieści nie tylko o Barrym, lecz również o Aaronie, tak że w końcu mogło się wydawać, iż zaginięcie Sharon od dawna było przesądzone. Ponieważ społeczność szkolna stanowi pomniejszone odbicie społeczności miasta, należało się domyślać, iż podobne rozważania toczyły się wszędzie, prowadząc do identycznych konkluzji: w zniknięciu Sharon maczali palce Tropiciele Prawdy wykonujący polecenia Chihaniego, który był supermózgiem sterującym wszystkimi poczynaniami grupy. A na pytanie, dlaczego Chihani miałby polecić swoim zwolennikom, by przewracali nagrobki na cmentarzu, odpowiedź okazała się bardzo prosta: czyż nie był muzułmaninem, a do tego komunistą? Na jego niekorzyść przemawiał nawet fakt, że jeździł czerwonym samochodem. Wydaje mi się, że policja powinna była działać z nieco większą dyskrecją, w tym przypadku dały jednak o sobie znać naiwność oraz brak wyobraźni. Nikt się nie domyślał, jakie skutki dla naszego miasta pociągną za sobą te wydarzenia.

We wtorek po południu Tropiciele Prawdy przetransportowano do siedziby sądu okręgowego w Potterville. Wywierano na nich naciski, by przyznali się do udziału w uprowadzeniu Sharon. Wiszące nad ich głowami oskarżenie o dewastację cmentarza służyło jako straszak, który miał skłonić do mówienia. Równocześnie w ich domach przeprowadzono szczegółowe rewizje.

Barry'ego wprowadzono do jakiegoś pokoju i kazano czekać. Wkrótce potem pojawili się dwaj funkcjonariusze w cywilu i poinformowali go, że za uczestnictwo w akcie wandalizmu grozi mu pięć lat więzienia. Czy działali pod wpływem narkotyków? Barry nie mógł sobie przypomnieć. Myślał tylko o tym, co powie matka i jak bardzo będzie się na niego gniewała. Co prawda wiedział o zaginięciu Sharon, ale nie miał pojęcia, że jego aresztowanie ma z tym jakikolwiek związek. Jeden z policjantów powiedział mu, że być może władze odstąpią od postawienia zarzutów dotyczących wandalizmu, jeśli Barry powie wszystko, co wie o Sharon. Barry wprawdzie znał jednego z jej braci, nie był jednak pewien, czy choć raz widział ją na oczy, a przynajmniej ostatnio.

- Co dla ciebie oznacza liczba 666? - padło niespodziewane pytanie.

Barry zastanawiał się intensywnie. Chodziło o numer telefonu czy może o numer szafki w szkolnej szatni?

- Nie wiem - powiedział wreszcie.

Siedział nieruchomo, mrużąc oczy.

Policjanci kazali mu opowiedzieć, co robił w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, ze szczególnym uwzględnieniem godziny trzeciej w poniedziałkowe popołudnie. Barry najpierw był w szkole, wieczorem zaś odwiedził matkę. Później zamierzał spotkać się z Aaronem, ale Aarona nie było w domu.

- Skąd wiesz?

- Zadzwoiłem i nikt nie podniósł słuchawki.

- Jak myślisz, gdzie wtedy był?

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy ostatnio widziałeś pana Chihaniego?

- Na spotkaniu w piątek wieczorem.

Policjanci zadawali pytania na zmianę. Barry'emu kręciło się od tego w głowie.

- O czym rozmawialiście?

- *O Ekonomii marksistowskiej* Desaia. Pan Chihani zagaił, a potem dyskutowaliśmy.

Barry modlił się w duchu, żeby nie kazali mu opowiadać, o czym jest ta książka, ponieważ miał tylko bardzo ogólne pojęcie.

- Czy ktoś wspomniał o Sharon Malloy?

- Nie przypominam sobie. Wydaje mi się, że nie.

- Uważasz, że jest ładna?

- Nie pamiętam, jak wygląda.

- Lubisz małe dziewczynki?

- Chyba tak - odparł Barry, który wcale nie lubił małych dziewczynek, ale bał się powiedzieć coś niewłaściwego. - Są w porządku, chociaż ostatnio widywałem je wtedy, kiedy sam byłem jeszcze mały.

Ryan zdołał oddzielić Harriet od reszty Tropicieli i zamknąć się z nią w osobnym pokoju.

- Myślałam, że nikomu nie powiesz o cmentarzu.

Zamiast szkieł kontaktowych miała okulary z przezroczystymi oprawkami. Czarne włosy okalały jej twarz. Obszerna bluza z napisem Colgate skrywała figurę dziewczyny do tego stopnia, że Ryan nie był w stanie dostrzec ani śladu piersi, które kiedyś tak bardzo mu się spodobały. Wyglądała na dwanaście lat i miała pryszcz na brodzie. Nie mógł uwierzyć, że się z nią kochał.

- Prędzej czy później i tak wyszłoby to na jaw - odparł.

- W takim razie ja im powiem, że mnie rznąłeś.

Ryan stwierdził, że nie może na nią patrzeć.

- Rób, co chcesz.

- Myślisz, że to lubiłam? Zgodziłam się tylko dlatego, że Aaron mi kazał. Jesteś starym kurdupem.

- Aaron? - Ryan ledwo zwrócił uwagę na obelgę. - Dlaczego?

- Zapytaj go, jeśli chcesz wiedzieć.

- Chyba będę musiał.

Ryan wreszcie podniósł wzrok, lecz wpatrywał się nie w oczy Harriet, tylko w pryszcz na brodzie. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek kochał się

z jakąś kobietą nie po to, by zapomnieć o Janice McNeal.

Żaden z Tropicieli nie miał nic do powiedzenia o Sharon Malloy. Niektórzy, na przykład Leon Stahl i Joany Rustoff, twierdzili, jakoby nie nie wiedzieli o jej zaginięciu. Aaron przyznał, że mętnie ją sobie przypomina, tak samo jak Barry, pozostali natomiast utrzymywali, że w ogóle jej nie znają. Jeśli zaś chodziło o ich poczynania w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, to w większości wypadków łatwo dało się je zweryfikować. Byli w szkole. Byli w mieście. Pili piwo w Bud's Tavern. Ci robili to, tamci co innego, każdemu jednak brakowało alibi na jakiś - krótszy lub dłuższy - czas.

Kiedy zwolniono Leona, Ryan odwiózł go do Aurelius.

- Rety, jak się cieszę, że zostałem wtedy w domu! - powtarzał chłopak. - Koniecznie chcieli, żebym z nimi poszedł. Pierwszy raz mam jakąś korzyść z tego, że jestem gruby!

Pozostałym przedstawiono zarzut wandalizmu, po czym wszystkich, z wyjątkiem Aarona, wypuszczono z aresztu. Aaron mógł wyjść na wolność dopiero po wpłaceniu kaucji w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Zadzwoił do swojej przyrodniej siostry, ta zaś skontaktowała się z prawnikiem ich ojca, Henrym Swazeyem. Policja stanowa z Troy stwierdziła, że Oscar Herbst nie mógł mieć nic wspólnego z uprowadzeniem Sharon. W poniedziałek po południu był u dentysty.

W środę po południu Franklin zjawił się w Aurelius College, żeby porozmawiać z Chihanim; miał nadzieję, że usłyszy coś na tyle interesującego, by umieścić to w mającym ukazać się nazajutrz wydaniu swojej gazety. Zastał Chihaniego w Douglas Hall, w gabinecie na drugim piętrze. Nie było żadnych nowych informacji o Sharon, choć policja badała wiele różnych tropów. Niestety, wszystkie okazały się fałszywe. Ludzie, którym się zdawało, że widzieli Sharon, telefonowali nawet z Chicago.

W mieście mówiło się jednak niemal wyłącznie o Tropicielach Prawdy i o tym, że pani Kelly widziała na ulicy czerwonego Citroëna.

Ponieważ Chihani był już przesłuchiwany przez policję i wiedział o podejrzeniach kierowanych przeciwko niemu i Tropicielom, traktował Franklina dość nieufnie, ale tego nie okazywał. Franklin usiadł naprzeciwko jego biurka i naszykował notes.

- Ma pan jakieś podejrzenia, co mogło się stać z Sharon Malloy?
- Żadnych.

Wąskie usta Chihaniego przypominały spłaszczoną literę M ułożoną na spłaszczonej literze W. Franklin odniósł wrażenie, że jego rozmówca lekko się uśmiecha, ale nie był tego pewien.

- Nie domyśla się pan, dlaczego została uprowadzona? - zapytał, zapisując coś w notesie.

- Mogę snuć wiele domysłów, lecz nic z tego nie wyniknie. Na razie nie wiemy nawet, czy na pewno została uprowadzona. Mogła udać się z tą osobą z własnej woli albo nikogo takiego nie było i oddaliła się całkiem sama. W tej chwili może być gdziekolwiek.

- A więc przypuszcza pan, że nie mamy do czynienia z przestępstwem?

- Twierdzę tylko, że opierając się na znanych nam faktach nie mamy żadnych podstaw, by automatycznie zakładać, iż zostało popełnione przestępstwo. Ale rzecz jasna, jest to bardzo prawdopodobne.

- Dziewczynka zaginęła w poniedziałek około trzeciej po południu na Adams Street, w pobliżu granicy miasta. W tym samym czasie widziano pana w tej okolicy. Czy to możliwe, żeby minął pan Sharon, nie zwracając na nią uwagi?

- Owszem. Dookoła były również domy, drzewa, ptaki, psy, inne samochody, a jednak nie zapamiętałem ich dokładnie.

Franklin zanotował to.

- Przyjmijmy jednak, że została uprowadzona. Jak pan sądzi, w jakim celu?

- To zbyt hipotetyczne pytanie.

- Zapytam więc pana konkretnie, choć również hipotetycznie, o gwałt. Są miejsca, gdzie gwałty zdarzają się bardzo często, i są takie, gdzie nigdy do nich nie dochodzi. Czy potrafi pan to wyjaśnić?

Chihani oparł łokcie na biurku.

- Dla większości gwałcicieli ofiara jest tylko pretekstem, zastępczym środkiem do wymierzenia kary społeczeństwu. Sprawca nieporadnie stara się udowodnić, że nie zasługuje na bycie ofiarą. Żeby zostać sprawcą, najpierw trzeba zostać ofiarą. Seks ma z tym niewiele wspólnego. Ludzie wyrzucani poza nawias społeczeństwa rozpaczliwie próbują do niego wrócić, słabi i odsunięci na boczny tor wyrażają swój sprzeciw. Takie są przyczyny ogólne. Oczywiście należy uwzględnić także psychikę konkretnego gwałciciela, lecz tę możemy poznać dopiero po jego schwytaniu.

- Czy myśli pan, że Sharon Malloy mogła zostać zgwałcona?

- Nie mam pojęcia.

- Czy uważa pan, że gwałciciel jest ofiarą w takim samym stopniu jak ten, kogo gwałci?

- Z pewnością jest ofiarą, co jednak nie oznacza, że nie powinien być ukarany. Niektóre przestępstwa, a może nawet większość, występują wyłącznie w związku z rozkładem społeczeństwa, stanowią reakcję na ten rozkład. Żeby je wyeliminować, społeczeństwo może albo się zmienić, albo karać tych, którzy je popełniają, lecz wówczas również łamie prawo i będzie musiało ponieść za to karę.

- Pańskim zdaniem ten człowiek powinien zostać ukarany?

- Moim zdaniem ważniejsze od samego gwałtu są przyczyny, które do niego doprowadziły. Zamknięcie sprawcy w celi z pewnością nie rozwiąże problemu gwałtu. W ten sposób tylko na jakiś czas pozbywamy się jednego gwałciciela.

- Jakie zmiany mogłyby się przyczynić do zmniejszenia liczby gwałtów?

- W społeczeństwie, w którym panowałaby autentyczna równość, gwałtów byłoby znacznie mniej.

- Ale nie udałoby się ich całkowicie wyeliminować?

- Oczywiście istnieją przyczyny inne niż polityczne, jeśli jednak u podłoża gwałtów leżą władza i bezsilność, to trzeba najpierw zająć się tymi właśnie chorobami. Problem z naszym społeczeństwem polega na tym, że stara się ono usunąć przyczyny walcząc ze skutkami, zamiast pozostawić skutki samym sobie i skoncentrować się bezpośrednio na przyczynach.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Ponieważ ten system polega na tym, że ktoś ma władzę, ktoś inny zaś jej nie ma. Nie wykorzenimy przestępczości, nie dokonując radykalnych zmian w społeczeństwie.

Nie wszystko ukazało się drukiem. Franklin wprowadził drobne korekty i poprzestawiał zdania, uważając, że pozostał wierny ogólnemu duchowi wypowiedzi. Nie chciał bowiem sprawiać Chihaniemu niepotrzebnych kłopotów. Nie wspomniał na przykład, że Chihaniego widziano w pobliżu miejsca, w którym znikła Sharon. Ale ludzie już o tym wiedzieli i czytali wywiad między innymi po to, by się przekonać, co Chihani ma na ten temat do powiedzenia.

Franklin pomiął również teoretyczne wywody Chihaniego, przecuwając, że narobiłyby tylko zbędnego zamieszania. Może postąpiłby rozsądniej, w ogóle nie przeprowadzając z nim wywiadu, nie chciał jednak, by czytelnicy odnieśli wrażenie, że „Independent” boi się poruszać drażliwe tematy.

W wersji, która ukazała się w gazecie, na pytanie o uprowadzenie Chihani odpowiedział, co następuje: „Nie wiemy, czy na pewno została uprowadzona. Być może poszła z tym człowiekiem dobrowolnie, a może sama się oddaliła. W tej chwili może być gdziekolwiek. Nie mamy żadnych podstaw, by automatycznie zakładać, że zostało popełnione przestępstwo”. O gwałcie natomiast wypowiedział się tak: „Seks rzadko miewa

z tym coś wspólnego. Chodzi przede wszystkim o władzę. Moim zdaniem o wiele ważniejsza od samego gwałtu jest przyczyna, dla której ktoś się go dopuszcza. Gwałciiciel również jest ofiarą, jednak łamie obowiązujące w tym społeczeństwie prawo i dlatego musi zostać ukarany. W społeczeństwie, w którym panowałyby autentyczna równość, gwałtów byłoby znacznie mniej”.

Aarona zwolniono za kaucją w środę po południu. Przedstawiono mu taki sam zarzut jak pozostałym: dopuszczenie się aktu wandalizmu na Homeland Cemetery. Wciąż nie chciał powiedzieć, gdzie był w poniedziałek po południu i wieczorem. Mój kuzyn twierdził, że niewiele brakowało, by policja oskarżyła go również o udział w uprowadzeniu Sharon, ale to nie była prawda. Nie istniały żadne dowody na to, że Sharon rzeczywiście została uprowadzona, ani na to, że Aarona cokolwiek łączyło z tym zdarzeniem. Chuck zamierzał raczej powiedzieć, że policja chciała go oskarżyć. Nie odpowiadał na pytania. Nic nie mówił. Policja chciała, żeby okazał się winny, ponieważ miała ogromną ochotę go ukarać. Nie twierdzą, że właśnie tak podchodził do sprawy kapitan Percy, i jestem przekonany, że Ryan Tavich również tak nie myślał, niemniej nie ulega wątpliwości, iż Aaron nie zyskał wśród policjantów wielu przyjaciół.

Tak więc wciąż nie wiedzieliśmy, co Aaron robił w poniedziałek po południu; on sam natomiast swoim zachowaniem bezustannie dolewał oliwy do ognia. Niechęć policji chyba sprawiała mu przyjemność, jaki bowiem mógł być inny powód jego milczenia? Podejrzywałem, że nie puści pary z ust, nawet gdyby miało się okazać, że robił wtedy coś zupełnie niewinnego. Ot tak, dla kawału, ponieważ taki właśnie był. Miał też wiele powodów, by starać się nas zranić. Jego matkę zamordowano, ludzie zaś wytykali go palcami jako jej syna.

Jedna grupa osób nie pojawiała się do tej pory w moich rozważaniach, a mianowicie rodzina Sharon Malloy. Bez względu na to, jak bardzo wstrząsnęło nami zniknięcie dziewczynki, nasze uczucia i tak stanowiły tylko odległe echo tych, które stały się udziałem Malloyów. Doprawdy trudno jest oszacować czyjaś rozpacz, ponieważ rozpacz nie ma granic. Wspominam cierpienie, którego doświadczałem po śmierci matki lub odejściu bliskich przyjaciół (w kilku przypadkach bardzo młodych, chorujących na AIDS), powiększam je wielokrotnie, by wyobrazić sobie, co odczuwała rodzina Sharon, i pojmuję, że i tak jest to zapewne tylko drobna część ich bólu.

Kiedy Sharon miała trzy latka, Malloyowie przeprowadzili się do Aurelius z Rochester. Siostra doktora Allena Malloya, Martha, wysłała za miejscowego księgowego, Paula Leimbacha; Paul cieszył się powszechnym szacunkiem i przypuszczalnie dokonywał rocznego rozliczenia podatków dla połowy mieszkańców miasteczka. Doktor Malloy pragnął uciec z dużego miasta. Po kilku włamaniach do jego domu w Rochester doszedł do wniosku, że i dla niego, i dla rodziny będzie lepiej, jeśli przeniosą się w bezpieczniejsze okolice. Wybrał Aurelius, żeby być blisko siostry i szwagra. Kupił duży biały dom i rozpoczął praktykę lekarza rodzinnego. On i jego żona Catherine mieli wtedy troje dzieci: Sharon, sześciolatniego Francisa, czyli Franka, oraz ośmioletniego Allena juniora. Cała rodzina uczęszczała do kościoła św. Marii. Dwa lata później Catherine urodziła czwarte dziecko, małą Millie, pięć lat młodszą od Sharon.

Martha Leimbach również miała czworo dzieci. Obie rodziny były sobie bardzo bliskie. Trzy lata po przyjeździe Malloyów do Aurelius przeniósł się tutaj także brat doktora Malloya, Donald. Donald Malloy mieszkał wcześniej w Buffalo, był aptekarzem i rozwodnikiem. Przez jakiś czas pracował w Fays Drugs, potem kupił w centrum miasta niewielką aptekę, gdzie sprzedawał też prasę, napoje i rozmaite drobiazgi. Nie przypuszczam, żeby zarabiał na tym jakieś wielkie pieniądze, ale i chyba nie wiodło mu się najgorzej. Fakt, że miał brata lekarza, z pewnością nie przeszkadzał w interesach.

Malloyowie i Leimbachowie spędzali wspólnie wiele czasu. Choćby mieli przyjaciół (choćby Robertę Fletcher, pielęgniarkę zatrudnioną przez doktora Malloya, oraz doktora Richardsa, który miał gabinet w tym samym budynku obok szpitala), to jednak najlepiej czuli się w gronie rodzinnym. Dzieci Leimbachów bez przerwy bawiły się z dziećmi doktora Malloya, a w niedzielę po mszy wszyscy spotykali się na wspólnym obiedzie.

Kiedy w poniedziałek po południu Ryan Tavich pojechał do pani Kelly i dowiedział się o zniknięciu dziewczynki, przede wszystkim wysłał ludzi do rodziców Sharon, Paula Leimbacha i Donalda Malloya, aby sprawdzili, czy się tam nie pojawiła. W ciągu godziny udało się również dotrzeć do jej rodzeństwa i kuzynów. Dopiero potem Ryan zawiadomił policję stanową i od tej właśnie chwili zaczęło się prawdziwe cierpienie rodziny zaginionej.

O szóstej wieczorem pięcioro dzieci i pięcioro dorosłych zgromadziło się w domu Malloyów, oczekując na wiadomości. Najstarsi chłopcy, John Leimbach i Allen junior, uczyli się w college'u, można więc było skontaktować się z nimi dopiero następnego dnia. Do zebranych dołączyli mój kuzyn Chuck Hawley oraz Roberta Fletcher. Sąsiedzi przysłali tace z kanapkami i salaterki z sałatką ziemniaczaną, nikt jednak nie miał

apetytu. Zdumiało mnie, jak szybko rozeszła się wiadomość o zaginięciu dziewczynki i jak prędko ludzie zareagowali, starając się pomóc w jakimkolwiek sposób, choćby przyrządzając sałatkę ziemniaczaną.

Salon w domu Malloyów urządzone trochę nowocześnie, a trochę w stylu kolonialnym: przepastne fotele i sofy, mnóstwo wzorzystych draperii, stoliczki i stoliki przypominające kształtem maselniczki. W pokoju panowała taka cisza, że doskonale było słyszeć tykanie dużego stojącego zegara. Jeśli ktoś coś mówił, czynił to szeptem. Od czasu do czasu dzwonił telefon; przeważnie telefonowali zaniepokojeni sąsiedzi, by zapytać o wieści lub wyrazić współczucie. Rozmawiała z nimi Roberta Fletcher. Była dużą, rzeczową kobietą. Starła się ograniczyć konwersacje do minimum. Nie rozumiała, dlaczego w tych ciężkich chwilach ludzie naprzykrzają się zrozpaczonej rodzinie.

Doktor Malloy był wysoki, miał lekko przerzedzone rudawe włosy oraz bujne rude wąsy, które lubił przyglądać kciukiem i palcem wskazującym. Nosił ciemne garnitury i wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać lekarz. Miał jasnobłękitne oczy oraz duże różowe ręce, prawie bezwłose, pokryte piegami. Zawsze pachniał mydłem. Wiele razy szczerpiłem się u niego przeciwko grypie, zamieniłem z nim jednak tylko parę słów. Chyba zawsze czułem się trochę nieswojo w obecności lekarzy. Niektórzy zdają się tak oddani swojej profesji, iż można odnieść wrażenie, że w ogóle nie mają osobowości. A może wybierają taki zawód między innymi po to, by skryć się za przypisywaną mu stereotypową osobowością? Pod tym względem Allen Malloy przypominał kapitana Percy'ego.

Doktor Malloy siedział na kanapie z łokciami opartymi na kolanach i podbródkiem wspartym na dłoniach. Czekał. Nie płakał, nic nie mówił. Jego żona od czasu do czasu wycierała nos. Dzieci miały wystraszone miny. Paul Leimbach co chwila wydmuchiwał nos. Donald Malloy kołysał się w fotelu na biegunach, przygryzał kciuk co pewien czas i kręcił głową.

Trudno przezwyciężyć pokusę odgadnięcia ich myśli. Bez wątpienia wszyscy zastanawiali się, co spotkało Sharon. Była młodą, dobrze wychowaną damą, która nigdy się nie spóźniała, zawsze mówiła rodzicom, dokąd idzie, i w ogóle zachowywała się jak odpowiedzialna, dorosła osoba. W miarę jak upływał czas, niedobre domysły brały górę nad nieszkodliwymi. Najgorsze rzeczy chodziły po głowie doktora Malloya; kiedy zjawiała się kolejna okropna myśl, mówił sobie „Ależ to niemożliwe!”, by chwilę później zrozumieć, że to nieprawda. A może jednak nic jej się nie stało? Nie, na pewno coś się stało. W domu często nazywał ją Gołąbeczką. Kiedy teraz o tym myślał, łzy napływały mu do oczu.

Zniknięcie Sharon oznaczało, że należało brać pod uwagę rozmaite, nawet najgorsze ewentualności. Być może została porwana i porywacze niebawem skontaktują się z rodziną. Być może ktoś ją pobił. Być może została zgwałcona i zamordowana. Oczywiście wszyscy doskonale pamiętali, że jedną z przyczyn, dla których Malloyowie przenieśli się do Aurelius, była chęć ucieczki przed niebezpieczeństwami wielkomijskiego życia.

Nawet doktor Malloy zdawał sobie sprawę, że gdyby zostali w Rochester, Sharon nie byłaby bezpieczna. Wyobrażał sobie, jak czyjaś ręka chwyta ją, szarpie na niej ubranie... Na jego czternastoletniej córeczce, z którą jeszcze rano jadł śniadanie. Pies skakał wokół stołu jak szalony. Millie przypaliła grzanekę. Frank nie mógł znaleźć podręcznika biologii. A potem doktor Malloy wyszedł z domu, w poniedziałkowy wrześnieowy poranek naznaczony śladem przymrozka. Pojechał do gabinetu. Przyjął pacjentów, przeprowadził obchód w szpitalu. Zjadł lunch z doktorem Richardsem. Przyjął kolejnych pacjentów. Około czwartej zjawiała się policja. Czy wie, gdzie może teraz być jego córka? A potem okazało się, że Sharon zaginęła.

Rodzina spędziła wieczór na wspólnym oczekiwaniu. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon lub ktoś stuknął do drzwi, w ich serca wstępowała nadzieja, ale to niestety nie były wieści o Sharon. Krótco po północy

dzieci zostały odesłane do łóżek, doktor Malloy dał żonie środek uspokajający, Donald Malloy objął brata i poszedł do domu, podobnie jak Leimbachowie. Około trzeciej nad ranem uczyniła to również Roberta Fletcher. Mój kuzyn Chuck zasnął w fotelu. Budził się od czasu do czasu, zmieniał pozycję i znowu zasypiał. Za każdym razem widział doktora Malloya siedzącego na kanapie z twarzą ukrytą w dłoniach. Odezwałby się, gdyby wiedział, co powiedzieć.

Wtorek nadszedł i minął, i wciąż nie było żadnych wiadomości. Dzieci Malloyów i Leimbachów nie poszły do szkoły. Doktor Malloy odwołał pacjentów lub przekazał ich doktorowi Richardsowi. Pojechał do ratuśza. Widział, jak policja przywozi Houariego Chihani, a potem go zwalnia. Oczywiście słyszał o tym, że na Adams Street widziano czerwonego citroena Chihaniego. Nagabywało go kilku reporterów, więc w końcu komendant Schmidt dał mu pokój, w którym Malloya nikt nie niepokoił. Przez okno widział, jak przywożą Aarona, a następnie Jessego i Shannona Levine'ów, Harriet Malcomb i pozostałych. Nawet Barry'ego Sandersa. Niektórych znał, najlepiej właśnie Barry'ego, który zgłaszał się do niego z każdym, nawet najmniejszym przeziębieniem oraz innymi głupstwami. Barry odziedziczył po matce skłonność do hipochondrii. Potem widział, jak policja odwozi ich do Potterville. Wciąż pytał, czy są jakieś informacje, ale żadnych nie było.

Co najmniej sto osób, ochotników i funkcjonariuszy, przeszukało pola wzdłuż Adams Street. Sprowadzono psy, dano im do wąchania rzeczy Sharon. Niczego nie znalazły. Przemawiało to za teorią, według której dziewczynkę uprowadzono samochodem. Po raz kolejny przesłuchano sąsiadów. W radiu i telewizji powtarzano apele z prośbą o wszelkie informacje mogące pomóc w odnalezieniu Sharon Malloy. Zgłosiło się kilka osób, które zauważyły ją jadącą na rowerze, nikt jednak nie widział, co stało się potem.

Doktor Malloy wraz ze swoim bratem Donaldem pomagali przeszukiwać pola. Donald płakał. Szli ramię w ramię. Donald Malloy miał kij, którym odgarniał gałęzie krzewów. Po zapadnięciu zmroku obaj wrócili do ratusza. Dowiedzieli się tam, że Tropicielom Prawdy przedstawiono zarzut dewastacji cmentarza i zwolniono do domów. Dowiedzieli się również, że Aaron pozostał w areszcie w Potterville, ale nie w związku z zaginięciem Sharon. Percy przesłuchiwał po kolei wszystkich członków rodziny Malloyów i Leimbachów. Około ósmej wieczorem doktor Malloy i jego brat wrócili do domu doktora. Przyjechali także obaj chłopcy uczący się w college'u i rozpoczął się kolejny wieczór oczekiwania. Chuck znowu zasnął w fotelu, doktor Malloy zaś przesiedział całą noc na kanapie.

- Nawet nie zmrużył oka - relacjonował Chuck. - To znaczy, czuwał za każdym razem, kiedy na niego patrzyłem.

W środę zaczęły nadchodzić sprzeczne informacje. Sharon widziano w Nowym Jorku. Widziano ją w Albany, Rochester, Buffalo i Syracuse. Widziano ją na wiejskiej drodze w pobliżu Plattsburga. Każda wiadomość podsyciała płomyczek optymizmu, który jednak przygasał natychmiast, jak tylko się okazywało, że była fałszywa. Każde następne rozczarowanie było gorsze od poprzedniego, za każdym razem nadzieja była mniejsza.

Aaron został zwolniony za kaucją z aresztu w Potterville i wrócił do Aurelius. Chihani był przesłuchiwany po raz drugi, ale go nie zatrzymano. W środę po południu napływało już tyle informacji o „Sharon - wszystkie nic niewarte - że przy telefonach posadzono ochotników. Jej podobiznę widać było na każdym kroku.

Wieczorem doktor Malloy wrócił do domu i razem z pozostałymi członkami rodziny czekał w salonie na wieści. Sąsiedzi przysłali prowiant. Chuck Hawley po raz kolejny zasnął w fotelu. Doktor Malloy znów siedział przez całą noc na kanapie, tym razem jednak, jeśli wierzyć Chuckowi, trochę się zdrzemnął.

We czwartek ukazał się „Independent” z wypowiedziami Chihaniego. „Być może poszła z tym człowiekiem dobrowolnie... gwałciciel również jest ofiarą... ważniejsza od samego gwałtu jest przyczyna, dla której ktoś się go dopuszcza...”.

Doktor Malloy nic z tego nie rozumiał.

Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie Sharon, to z rękawicą baseballową. Grała wtedy ze swoim bratem Frankiem. Fotografię wykonał doktor Malloy. W numerze znalazły się także wywiady z koleżankami i kolegami Sharon z klasy. „To była moja najlepsza przyjaciółka”, powiedziała Joyce Bell. „Nigdy się nie złościła, zawsze była uśmiechnięta”, wyznała Meg Shiller. „Nie mogę powiedzieć, żeby była najlepszą uczennicą, ale z pewnością należała do najlepszych i uczenie jej sprawiało mi prawdziwą przyjemność”, oświadczył Lou Hendricks, jej nauczyciel.

Cytowano wypowiedzi rodziny Malloyów. „Nie mamy pojęcia, co się z nią stało - stwierdził jej brat Frank. - Kiedy w poniedziałek rano widziałem ją po raz ostatni, wszystko było w porządku”.

„Zabiłbym tego, kto ją skrzywdził - powiedział jej wuj Donald. - Jest prawdziwą świętą, cudowną małą dziewczynką”.

„Chcę, żeby wróciła!”,- oświadczyła mała Millie.

Franklin rozmawiał także z kapitanem Percym.

- Nad tą sprawą pracują setki funkcjonariuszy. Dziewczynki szukają tysiące ludzi. Wciąż mamy nadzieję, że ją znajdziemy.

Wokół Aurelius jest mnóstwo odludnych terenów. Przeszukiwało je setki ludzi: skauci, członkowie Gwardii Narodowej, ochotnicy. Uczniowie przeczesywali metr po metrze Lincoln Park i okoliczne pola. Od Hamilton do Norwich przeszukano oba brzegi Loomis River. Szukano w Henderson State Park, w jeziorach i kamieniołomach. Dzieciaki opuszczały lekcje, żeby pomóc w poszukiwaniach, nikt jednak ich za to nie karał. Mieszkańców Aurelius ogarnęło graniczące z pewnością, fantastyczne przekonanie, że jeśli wszyscy połączą siły, to Sharon znajdzie się

cała i zdrowa, a jeżeli zostanie sprawdzony każdy metr kwadratowy powierzchni, to z pewnością uda się odkryć jakiś jej ślad. Słowa „każdy metr kwadratowy” powtarzano w nieskończoność, jakby dla podkreślenia, że chodzi o coś konkretnego i wymiernego, a nie o pogranicze magii. Sharon znikła tak nagle, dosłownie rozplywając się w powietrzu, że niektórzy nie wykluczali działania sił nadprzyrodzonych. Wiem na pewno, że konsultowano się z jasnowidzami i bioterapeutami, a podobno nawet sprowadzono różdżkarza, chociaż ani rodzina, ani władze nie miały z tym nic wspólnego.

Zniknięcie Sharon miało jeszcze jeden skutek: poczynając od środy, w godzinach rozpoczęcia i zakończenia lekcji przed szkołą tworzył się mały korek. Dotychczas większość dzieci przychodziła pieszo lub przyjeżdżała na rowerach; teraz prawie wszystkie były przywożone i zabierane samochodami. Coś się stało z Sharon Malloy. Kto mógł zagwarantować, że to samo nie stanie się z kimś innym? Komendant Schmidt zatrudnił jeszcze dwóch funkcjonariuszy, a radiowozy policji stanowej kręciły się dosłownie wszędzie.

W tym samym numerze, w którym ukazały się niefortunne wypowiedzi Chihaniego, „Independent” zamieścił także informację o aresztowaniu Tropicielei Prawdy i przedstawieniu im zarzutów dotyczących sierpniowej dewastacji Homeland Cemetery. Z pewnością nie przysporzyło im to popularności. Jason Irving przestał uczęszczać do szkoły i zamieszkał z rodzicami w Kingston. Oczywiście wcześniej musiał uzyskać zgodę policji. Pozostali nie zniknęli może całkowicie, ale przynajmniej starali się nie ściągać na siebie uwagi. Wyjątek stanowili Houari Chihani, którego czerwony samochód widywano w mieście nie rzadziej niż do tej pory, oraz Aaron McNeal, który ani trochę nie zmienił swoich zwyczajów.

Policja wciąż starała się ustalić, co Aaron robił w poniedziałkowe popołudnie i wieczór. Podobno zamierzano oficjalnie przesłuchać go w tej

sprawie, a gdyby nadal odmawiał udzielenia informacji, oskarżyć go o utrudnianie śledztwa.

W sobotę po południu Sadie pomagała mi grabić liście z trawnika. Została pod moją opieką, ponieważ Franklin był w pracy.

- Aaron nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Sharon - oświadczyła. Miała na sobie czerwoną kurtkę, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo jej nie znał, a nawet gdyby ją znał, toby jej nie porwał. On taki nie jest.

- Jaki? - spytałem, przerywając grabienie.

- Taki, żeby miał porywać dzieci.

- A jacy ludzie robią takie rzeczy?

Nie podpuszczałem jej, tylko naprawdę chciałem poznać jej zdanie.

- Żli. Aaron nie jest zły.

- Jak myślisz, co stało się z Sharon?

- Słyszałeś, że ludzie kradną psy, a potem sprzedają je do laboratoriów? Może z nią jest tak samo. Może porwano ją, żeby przeprowadzić jakiś eksperyment. Ale wiesz co?

- Tak?

- Chyba byłoby lepiej, gdyby nie żyła, bo jeśli żyje, to pewnie ją torturują.

- Może odnajdzie się cała i zdrowa - powiedziałem.

Sadie spojrzała na mnie z powagą.

- Sam w to nie wierzysz.

Zniknięcie Sharon wystawiło na ciężką próbę pracowitość Franklina Moore'a. Dotychczasową dawkę pięćdziesięciu godzin tygodniowo musiał zwiększyć do siedemdziesięciu. Oprócz tego, co do tej pory robił dla własnej gazety, przygotowywał również materiały dla prasy ukazującej się w Kingston, Rome, Binghamton i Albany. Niemal wszystkie ekipy telewizyjne, które zjawiały się w Aurelius, zwracały się właśnie do niego jako do najpewniejszego źródła informacji oraz prosiły o skierowanie we właściwe miejsca i do właściwych osób. Trudno mi powiedzieć, jak Sadie odczuła tę zmianę, w każdym razie spędzała teraz więcej czasu u pani Kelly i u mnie. Trochę narzekałem, choć w rzeczywistości było mi bardzo miło. Sadie układała nam menu, w związku z czym jedliśmy mnóstwo makaronu z serem. Tak często oglądała moją marynowaną kolekcję, że w końcu słoje z okazami rozgościły się na dobre na kuchennym stole. Codziennie rano witało mnie teraz pełne wyrzutu spojrzenie krowich oczu.

Poza oficjalnym śledztwem, którym kierował kapitan Percy, prowadzono kilka niezależnych dochodzeń. Szczególnie aktywni byli członkowie przykościelnych stowarzyszeń. Ale już tydzień po zniknięciu Sharon powstała znacznie większa grupa, która przyjęła nazwę Przyjaciele Sharon Malloy, i zajęła miejsce lub wchłonęła większość mniejszych. Jej członkowie rozlepiali afisze i ulotki, zbierali pieniądze na nagrodę za udzielenie informacji o miejscu pobytu Sharon oraz za doprowadzenie do jej szczęśliwego powrotu. Początkowo nagrody te wynosiły odpowiednio

dziesięć i dwadzieścia tysięcy dolarów, później jednak znacznie wzrosły.

Grupa ta zajęła się także filtrowaniem napływających sygnałów o Sharon. Większość tych, którzy dzwonili, czyniła to w dobrej wierze. Widzieli dziewczynkę bardzo podobną do Sharon albo podejrzanie zachowującego się mężczyznę (zazwyczaj w furgonetce) i uznali za stosowne podzielić się swoimi obserwacjami, chociaż swoją drogą ciekawe, ilu z nich miało na uwadze nagrodę... Oczywiście zdarzały się również telefony od pomyłkówców, dopatrujących się wyjaśnienia zagadki w czarnej magii lub twierdzących, że Sharon była małą zepsutą dziewczynką i że spotkała ją słuszna kara. Stanowili oni jednak zdecydowaną mniejszość.

Przyjaciele Sharon Malloy współpracowali blisko z policją i pomagali w poszukiwaniach. Fakt, że przejęli na siebie obowiązki związane z załatwianiem rozmów telefonicznych, oszczędził policji mnóstwo czasu. Włączyli się w sieć działających w całym kraju organizacji rozsyłających i zbierających informacje o zaginionych. Wkrótce potem w Aurelius pokazały się plakaty ze zdjęciami innych zaginionych dzieci. Niektórych poszukiwano już od wielu lat, sporo z nich pochodziło z Zachodniego Wybrzeża.

Na czele Przyjaciół Sharon Malloy stanęli Sandra Petoski, wykładowczyni nauk społecznych w college'u, oraz Rolf Porter, właściciel agencji pośrednictwa w handlu nieruchomościami. Jego żoną była kiedyś Mildred Porter, pracująca w aptece Donalda Malloya, ale rozwiedli się przed kilku laty. Przyjaciele Sharon Malloy liczyli na to, że przyłączą się do nich rodzice dziewczynki, lecz zarówno doktor Malloy, jak i jego żona woleli pozostać w cieniu, choć oczywiście udzielili grupie pełnego wsparcia. Dołączył natomiast Paul Leimbach, który zaraz potem ściągnął Donalda Malloya; było to bardzo ważne ze względu na nazwisko, które ogromnie pomagało w gromadzeniu środków na nagrody. Donald poświęcał Przyjaciółom kilka godzin dziennie, odbierając telefony i rozmawiając z ludźmi.

Był mniej więcej pięć lat młodszy od doktora i równie jak on emanował irlandzkością. Miał zupełnie inną sylwetkę niż brat, znacznie bardziej zwalistą, jak również więcej włosów, choć tego samego, rudawopiaskowego koloru, oraz zawsze zadbane, duże ręce o długich, delikatnych palcach. Ogromnie cierpiał z powodu zniknięcia bratanicy, to pogrążając się w rozpacz, to wybuchając gniewem. Obaj bracia przenieśli się do Aurelius z dużych, potencjalnie niebezpiecznych miast, czuli się więc oszukani, że tutaj właśnie zagrożenie przybrało tak bolesnie realną formę. Mąż ich siostry, Paul Leimbach, mieszkał tu od urodzenia, nie dzielił więc z nimi frustracji i gniewu, choć oczywiście ogromnie kochał dziewczynkę i cierpiał z powodu jej zaginięcia.

Franklin regularnie spotykał się z Donaldem. Niekiedy w rozmowach tych uczestniczyli także dziennikarze spoza miasta. Gniew Donalda Malloya był bardzo medialny; właściciel apteki często podkreślał, że popiera decyzję gubernatora Patakiego o przywróceniu w stanie Nowy Jork kary śmierci. Istotnie, wydawało się, że długoletnie więzienie to zbyt niska kara dla kogoś, kto skrzywdził dziecko. W witrynie swojej apteki Donald umieścił powiększone do ogromnych rozmiarów zdjęcie Sharon, to z rękawicą baseballową, i chociaż kwatery główna Przyjaciół mieściła się gdzie indziej, fotografia ta, a raczej witryna, w której ją umieszczono, stała się czymś w rodzaju osi, wokół której obracała się cała akcja poszukiwań. Przyjezdni robili sobie tam czasem zdjęcia. Co prawda Harry Martini powiedział, że obecność zdjęcia nie zaszkodziła interesom Donalda Malloya, a raczej wręcz przeciwnie, jego uwaga jednak została uznana za cyniczną. W oknie agencji Paula Leimbacha w centrum miasta także pojawiło się zdjęcie Sharon, ale zwyczajnych rozmiarów, wycięte z jednego z oficjalnych afiszy.

Podczas rozmów z Franklinem Donald wielokrotnie dawał wyraz swemu zdumieniu, jak w ogóle mogło dojść do tej tragedii.

- Kto mógł to zrobić? - pytał. - Żadna kara nie jest wystarczająca dla takiego potwora!

Podobne uwagi wygłaszał często zza lady w aptece. Znajdował się tam kilkucentymetrowy podest, dzięki czemu Donald Malloy sprawiał wrażenie wyższego od wszystkich klientów. Zawsze miał na sobie białe fartuch z nazwiskiem wypisanym czerwonymi literami na piersi. Nosił okulary w bezbarwnych oprawkach i, kiedy tylko chciał podkreślić wagę swoich słów, zdejmował je z nosa i uderzał nimi w otwartą dłoń.

Stanowił dla Franklina niewyczerpane źródło historyjek i anegdot z Sharon w roli głównej: o wiewiórce ze złamaną łapką, której pomogła wrócić do zdrowia; o tym, że podczas pikników dobroczynnych zawsze sprzedawała najwięcej ciasteczek z całej drużyny; o tym, że matka nauczyla ją gotować i że w środy Sharon samodzielnie przygotowywała kolacje - zazwyczaj zapiekanek z kurczaka lub bitki wieprzowe. Informacje te miały uczynić Sharon kimś więcej niż tylko twarzą z fotografii, a równocześnie ułatwiały Przyjaciołom prowadzenie zbiórki pieniężnej. Sharon była typową czternastoletnią dziewczynką; zamieszczane w gazecie artykuły odnosiły taki skutek, że czytelnicy zaczęli traktować ją jak kogoś z rodziny. Pam Larkin, kasjerka we Fleet Bank, podczas rozmów ze mną podkreślała wielokrotnie, że Sharon ogromnie przypomina jej siostrę Betsy, która przed dziesięciu laty przeniosła się do Kalifornii i obecnie mieszka w Bakersfield. Idealizacja wizerunku Sharon, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wprowadziła ją do wielu rodzin, zwiększając jednocześnie natężenie bólu i brak zrozumienia dla tego, co się stało. Wydawało się, że wszyscy pamiętamy uroczą czternastoletnią dziewczynkę i że wszystkim nam była ona bardzo bliska, wszyscy też odczuliśmy boleśnie cios, jakim było jej zniknięcie.

Franklin uważał, że drukując te materiały, spełnia swój dziennikarski obowiązek. Jego zadanie polegało na rozpowszechnianiu informacji, jego czytelnicy otrzymywali je jednak w mocno zniekształconej postaci. Być może wkraczam na grząski grunt, ale wydaje mi się, że idealizując Sharon i opisując jej zaginięcie wyłącznie w czarno-białych barwach,

Franklin narzucał ludziom właśnie taki punkt widzenia. Któregoś dnia usłyszałem w pokoju nauczycielskim, jak Frank Phelan, nauczyciel historii, opowiadał, że w dziewiątym wieku każdy schwytyany przez Anglików Duńczyk był obdzierany żywcem ze skóry, którą potem przybijano do drzwi kościoła. Jego zdaniem to samo należałoby uczynić z porywaczem Sharon. Ewentualność, że może to być osoba chora, szalona lub w jakiś sposób upośledzona, w ogóle nie była brana pod uwagę.

To było coś więcej niż obowiązek: Franklin odkrył w sobie powołanie. Ze zwyczajnego człowieka obciążonego bagażem wątpliwości, emocji i ambicji przeistoczył się w personifikację swego zawodu. Ja sam przekonałem się nieraz, iż jako nauczyciel biologii potrafię tak bardzo zaangażować się w pracę, że słaba, wąpiąca strona mojej osobowości usuwa się na bok, ja zaś zostaję wchłonięty przez rolę, którą sobie wybrałem. Krzywdzące byłoby stwierdzenie, że Franklin stał się mniej ludzki, niemniej wydarzenia rozgrywające się w naszym mieście dały mu pretekst do przekształcenia się w podręcznikową definicję dziennikarza. To samo chyba dostrzegłem w kapitanie Percym i doktorze Malloyu: obaj dali się całkowicie pochłonąć swoim profesjom. W ten sposób uniknęli konieczności podejmowania osobistych wyborów - zawód każdego z nich podejmował wybory w jego imieniu.

Trochę się zdziwiłem, że Franklin zostawił Sadie samą tuż po tajemniczym zniknięciu jej rówieśniczki, ale to nie on to zrobił, tylko jego profesja. Utożsamiając się z nią, stawiał czoło własnym lękom. Wszystko, od jego wyglądu poczynając - stary kozuch i irlandzki kapelusz, bezustanny pośpiech i ściskany pod pachą notes, zmierzwiłone włosy i przekrzywiony krawat - na otaczającej go aurze wiedzy wykraczającej poza wiedzę zwykłego śmiertelnika kończąc, odpowiadało stereotypowi małomiasteczkowego dziennikarza. W takich sytuacjach nasze niedostatki i obawy zdają się schodzić na dalszy plan.

Na początku października wszyscy mieszkańcy hrabstwa wiedzieli już, że Chihani oraz Tropiciele Prawdy byli przesłuchiwani w związku ze zniknięciem Sharon. Atmosfera wokół tej grupy stała się na tyle nieprzyjemna, że, jak już wspomniałem, rodzice Jasona Irvinga uznali za stosowne wypisać go z college'u i ściągnąć z powrotem do Kingston. Nie ulega wątpliwości, że Franklin ponosił częściową odpowiedzialność za taki stan rzeczy, ale artykuł o Tropicielach Prawdy ukazał się również w „Syracuse Post Standard”, kilka innych gazet zamieściło zaś obszernie informacje o zdewastowaniu cmentarza oraz dwóch bombach podłożonych przez Oscara Herbsta. Dziennikarze lubią wszędzie doszukiwać się powiązań, twierdzili więc, albo przynajmniej sugerowali, iż czyny te stanowiły elementy większego spisku przygotowywanego przez Tropiciele. Zdołali nawet dotrzeć do podobnie myślących funkcjonariuszy policji i urzędników miejskich, choć muszę przyznać, że ani Ryan Tavich, ani kapitan Percy nigdy nie wypowiadali się publicznie na ten temat.

Ludzie nie lubią informacji zawieszonych w próżni, szybko więc dołączyli je do teorii spiskowej, która narodziła się wraz z przybyciem Chihaniego do Aurelius pod koniec minionego roku. Najbardziej wstrzeźmieli zarzucali Tropicielom Prawdy szerzenie marksistowskich teorii, najbardziej radykalni widzieli w nich siewców zamętu i anarchistów. Dla nich wszystkie wydarzenia, poczynając od przybycia Chihaniego aż do zniknięcia Sharon, układały się w logiczną całość. Przyjaciele Sharon Malloy rozesłali nawet fotografie Chihaniego, Aarona, Oscara i pozostałych do miejscowości, w których także zdarzyły się przypadki zaginięć. Wysłali nawet zdjęcie czerwonego Citroena. Pewien osobnik zatrudniony na stacji benzynowej Texaco dostrzegł związek między kolorem samochodu a tradycyjnym strojem diabła. Miałem na końcu języka, że podobnie ubiera się również święty Mikołaj, uznałem jednak, że lepiej tego nie mówić głośno. Gdybym w tych niepewnych czasach zaczął wyśmiewać

ciesząc się dużą popularnością teorii, moje nazwisko szybko mogłoby się znaleźć na liście podejrzanych.

Paula z pewnością należała do tych, którzy obawiali się dalszego rozwoju wydarzeń, i miała ku temu sporo powodów. Doskonale знаła niepokorną naturę brata i jego zamiłowanie do prowokowania konfliktów. Podejrzewała też, iż jego zachowanie jest ściśle związane ze śmiercią matki, zupełnie jakby obarczał całe miasto odpowiedzialnością za to wydarzenie. Uwzględniając cechy charakteru Aarona, emocjonalne zaangażowanie Franklina, reakcję mieszkańców oraz poczynania Przyjaciół Sharon Malloy, Paula bez trudu mogła dostrzec punkt, w którym przecinały się wszystkie wypadkowe tych zachowań, i - jakże słusznie - bała się coraz bardziej.

Widziała również, jak traktują ją ludzie tylko dlatego, że była siostrą Aarona. Wyczuwała chłód w sklepach, na ulicy, przekonywała się coraz częściej, że osoby, które jeszcze nie tak dawno chętnie nawiązywały z nią rozmowę, teraz omijają ją z daleka. Była piękną kobietą, pełną uroku i energii. Odnosiła się do ludzi przyjaźnie, ci zaś odplacali jej tym samym. Teraz to się zmieniło. Od dawna co wieczór wychodziła z psem na kilkukilometrowy spacer, spotykała te same osoby, zawsze zamieniała z nimi parę słów. Teraz ludzie przestali się do niej odzywać. Czowała się fatalnie. Zaczęła wychodzić z psem o innych porach, spacerowała z nim innymi ulicami.

Zmianę odczuła nawet w pracy, w college'u. Uczniowie wciąż zachowywali się wobec niej tak samo, ale już kadra nauczycielska i pracownicy administracji - przynajmniej ci, którzy pochodzili z Aurelius - okazywali wyraźną rezerwę, inni natomiast obserwowali ją ukradkiem lub pokazywali sobie jako siostrę Aarona. Pam Larkin z Fleet Bank ledwo zachowywała pozory uprzejmości, a Lois Schmidt ze sklepu warzywniczego po prostu odszedł bez słowa, kiedy zadała jakieś niewinne pytanie dotyczące sałaty. Paula zdawała sobie sprawę, że jeśli ona jest traktowana w ten sposób, to jej brat oraz pozostali Tropiciele Prawdy mają o wiele gorzej.

- To małe miasto - powiedział Franklin, kiedy mu się poskarżyła. - Ludzie łatwo popadają w przesadę.

Zasadnicza różnica między nimi polegała na tym, że on, jako dziennikarz, miał tendencję do opisywania rzeczy oczywistych, ona zaś, jako psycholog, nie ufała wszystkiemu co oczywiste. Siedzieli na kanapie w salonie w domu Pauli - domu, który wynajmowała od swego ojca. Kana- pa była już trochę podniszczona, w błękitne i fioletowe kwiaty. Patrick i Janice kupili ją zaraz po ślubie, przed niemal dwudziestu pięciu laty.

- Niepokoi mnie to, że tak łatwo wydają wyroki. Każdy dzień bez wiadomości o Sharon tylko pogarsza sytuację.

- Aaron musi powiedzieć, gdzie wtedy był - odparł Franklin.

- Twierdzi, że to nie ma nic wspólnego z Sharon.

- Może twierdzić, co chce, ale ludzie i tak mu nie uwierzą.

- Spróbuj z nim jeszcze porozmawiać. Boję się tego, co się może stać.

Franklin usiłował ją uspokoić.

- Sharon się znajdzie albo policja złapie tego, kto ją uprowadził, i będzie po wszystkim. Ludzie szybko zapomną o Tropicielach.

- Mówisz tak, bo sam chcesz w to uwierzyć - zauważyła Paula. - A czy złapali mordercę Janice? Ludzie się boją, napięcie wzrasta z dnia na dzień. Spójrz choćby na nas: prawie się już nie spotykamy!

Franklin wziął ją za rękę.

- Po prostu jestem bardzo zajęty, a oprócz tego mam Sadie. Nie mogę zostawić jej samej.

- Sadie...

Zabrzmiało to tak, jakby Paula zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyśliła.

Franklin i Aaron siedzieli w salonie w mieszkaniu Aarona. Była środa rano, czwartego października, ponad dwa tygodnie po zniknięciu Sharon. Aaron związał gumką włosy w koński ogon.

- To prywatna rozmowa - oświadczył.

Franklin odłożył notes na stolik.

- Rozumiem.

- Mówiłeś o przyczynie i skutku. Każda przyczyna jest równocześnie skutkiem.

- Zapewne masz na myśli Wielki Wybuch?

- Między innymi. Przede wszystkim jednak chodzi mi o to, że przyjazd Chihaniego do Aurelius niczego nie spowodował. W przypadku kilku uczniów stał się co najwyżej katalizatorem.

Franklin kichnął, a następnie wyjął chusteczkę z kieszeni płaszcza. Katar był jednym z objawów przeziębienia, którego nabawił się kilka dni temu. Bolała go głowa i drapało w piersi.

- A więc gdzie byłeś w chwili zniknięcia Sharon?

- Ustaliliśmy, że nie będziemy o tym rozmawiać.

Aaron siedział w fotelu przy oknie, słońce świeciło tuż nad jego ramieniem. Franklin zajął miejsce na wysiedzianej, zbyt niskiej kanapie. Na ścianie naprzeciwko wisiał czerwony plakat Zapaty. Pod nim stała biblioteczka z książkami; jedynymi powieściami były *Grona gniewu* i *Dżungla*.

- Starasz się zrozumieć, co się stało, analizując ślady – ciągnął Aaron. - To tak jakbyś chciał się dowiedzieć, jak wygląda słoń, na podstawie jego tropów.

- Uważasz, że powinienem być obecny przy jego narodzinach? Mó-
wisz jak Chihani.

- Wiele się od niego nauczyłem.

- Na przykład?

- Wyobraź sobie dwa widoki. - Nie przerywając rozmowy, Aaron
zdjął gumkę z włosów, po czym znowu ją założył. - Pierwszy to łąka póź-
ną wiosną. Morze kwiatów, wszystko rośnie, w trawie uganiają się króli-
ki, motyle przelatują z kwiatka na kwiatek. Do tego mnóstwo ptaków:
drozdy, sikorki, kosy, bażanty. Przez środek łąki maszeruje dorodny
bóbr, kwitną jabłonie, ptaki wiją gniazda.

- Jak w filmie Disneya - zauważył Franklin.

- Zgadza się.

- A drugi widok?

- Taki sam, tyle że dodajemy kota, lisa, węża i jastrzębia.

- Do czego zmierzasz? - Franklin pociągnął łyk soku pomarańczo-
wego, którym poczęstował go Aaron.

- Pierwszy widok to taki, jaki ludzie sobie wyobrażają i jaki chcieliby
oglądać. Drugi to ten, który istnieje naprawdę. W realiach pierwszego
widoczku nie ma miejsca na zaginięcie Sharon Malloy ani na zabójstwo
mojej matki. Problem polega tylko na tym, że jego nie ma. Istnieje wy-
łącznie ten drugi. I nie ma w tym nic złego. Taki właśnie jest świat: za-
chodzą w nim zmiany, czasem bardzo gwałtowne, rozmaite stworzenia
pożerają się nawzajem, nic nie jest pewne. Ten radykalny brak stabiliza-
cji jest czymś zupełnie naturalnym.

- Tak właśnie Chihani nauczył cię patrzeć na świat?

- Nauczył mnie nie tęsknić za takim światem, jakiego bym pragnął.

- A co to ma wspólnego z marksizmem?

- Zawsze będą istnieć jakieś niedoskonałości. Z niektórymi można
walczyć, z innymi nie. Nic nie poradzę na to, że wszyscy się starzeją; ale
mogę przynajmniej podjąć próbę przeciwdziałania nierówności i nad-
używaniu władzy.

Franklin wyjął chusteczkę i wydmuchał nos. Zdawał sobie sprawę, że - będąc dziennikarzem - przyzwyczał się do zadawania pytań nie po to, by się czegoś dowiedzieć, lecz po to, żeby uzyskać informację, informacji tej zaś potrzebował nie dla siebie, lecz po to, by przelać ją na papier i natychmiast o niej zapomnieć. Czy tak naprawdę obchodziło go, co Aaron ma do powiedzenia albo dlaczego Aaron pragnął żyć w świecie, w którym było również miejsce dla kota, węża, lisa i jastrzębia?

- Czemu wróciłeś do Aurelius?
- A jak myślisz?
- Żeby znaleźć zabójcę matki.
- Ty to powiedziałeś, nie ja.
- Myślisz, że Chihani ci w tym pomoże?
- Dzięki niemu widzę jaśniej pewne rzeczy.
- Masz jakieś podejrzenia co do śmierci matki?

Aaron przechylił głowę w sposób, który w oczach Franklina upodabiał go do nasłuchującego uważnie ptaka.

- Przypuszczam, że zabił ją ktoś z tego miasta. Ale jaki to ma związek z naszą rozmową?

- Zastanawiam się, w jakim stopniu śmierć matki wpłynęła na twój sposób widzenia świata. Być może jest czymś w rodzaju okna, przez które na niego patrzysz.

- Jeśli więc walczę o większą równość, robię to dlatego, że moja matka została zamordowana?

- Upraszczasz sprawę.

- Jeśli ktoś studiuje filozofię i historię, a następnie wysnuwa jakieś wnioski dotyczące natury świata, to wnioski te są w gruncie rzeczy filtrowane przez jego psychikę ukształtowaną zarówno przez życie, jak i odziedziczone cechy charakteru, te zaś z kolei zostały uformowane jeszcze zanim ów człowiek wziął się za jakiegokolwiek lektury. Czy tak właśnie uważasz?

Franklin myślał tylko o tym, że do tej pory nie usłyszał niczego, co mógłby wykorzystać w gazecie, i że na zapieczętowanie jutrzejszego numeru na ostatni guzik zostało mu bardzo niewiele czasu. Oczami wyobraźni widział białe plamy na pierwszej i kolejnych stronach wydania.

- Niekoniecznie.

- Przeanalizujemy twój punkt widzenia i to, co zgodnie z nim masz do powiedzenia na temat odpowiedzialności. Skoro reakcja człowieka na wszelkie wydarzenia jest zdeterminowana przez jego psychikę, to można odetchnąć z ulgą, prawda? Znaczy to tyle, że nic nie dzieje się z twojej winy.

- Jakie wydarzenia masz na myśli?

- Na przykład śmierć twojej żony.

- Umarła na raka.

- A więc tak chciało przeznaczenie i nic nie mogłeś na to poradzić.

- Zgadza się. Nie mogłem.

- A gdyby rak został wcześniej wykryty?

- Nie było żadnych niepokojących objawów.

- Ale gdyby mimo to zrobiła sobie badania?

- Zrobiła je rok wcześniej.

- Mogła powtórzyć je po pół roku lub po dziesięciu miesiącach.

Franklin nie odpowiedział. Z zaskoczeniem stwierdził, że czuje się dość nieswojo.

- Wróćmy do wcześniejszego pytania. Co myślisz o zabójstwie twojej matki?

Aaron ponownie upodobił się do ptaka. Miał lekko ironiczną minę, jakby chciał dać do zrozumienia, że wie o swoim rozmówcy coś, czego ten nawet nie podejrzewa.

- A co miałbym myśleć?

- Na przykład, kto ją zabił.

- Kochałeś się z nią kiedyś?

- Oczywiście, że nie - odparł zaskoczony Franklin.

- Dlaczego „oczywiście”? Twój przyjaciel Ryan Tavich kochał się z nią.

- Jest samotny.

- Sądzisz, że moja matka kochała się wyłącznie z samotnymi mężczyznami?

- Nie mam pojęcia. Czyżbyś przypuszczał, że zabił ją żonaty mężczyzna?

- Jakiś na pewno ją zabił, i to taki, z którym się kochała. Na razie wiem tylko tyle. Zgodnie z twoim sposobem widzenia świata moja matka była skazana na śmierć z powodu łajdaczenia się spowodowanego jej uwarunkowaniami psychicznymi. Zaczekaj. - Aaron nie dopuścił Franklina do głosu. - Wiem, że przesadzam, ale jej styl życia i apetyt na mężczyzn, w tym także zupełnie obcych, o których nic nie wiedziała, zwiększał prawdopodobieństwo spotkania kogoś, kto ją zamorduje. Ja widzę to jednak w ten sposób, że oślepiła ją wiara w bezpieczny, przyjazny świat. Gdyby dostrzegła go takim, jakim jest naprawdę, gdyby w porę zauważyła lisa i węża, wówczas może zachowałyby ostrożność i kto wie, może by jeszcze żyła.

- A co z Sharon Malloy?

- Trudno mieć pretensje do dzieci o to, że widzą świat takim, jakim chcą go widzieć - odparł Aaron. - To właśnie mi się w nich podoba: ich ufność. I dlatego właśnie potrzebują dorosłych, którzy mają je chronić. Czyżbyś sugerował, że Sharon również była z góry skazana na taki los?

Franklin nie dopuszczał takiej myśli.

- Jeździła rowerem po całym mieście sama. Może nie powinna była tego robić. Narażała się na niebezpieczeństwo, więc może w tym sensie rzeczywiście była skazana...

- Myślisz, że to wina rodziców?

- Myślę, że to niczyja wina.

- A nie wydaje ci się przypadkiem, że możesz użyć tego argumentu, żeby wytłumaczyć, dlaczego poświęcasz Sadie tak mało czasu?

Franklin wpatrywał się w bliznę na policzku Aarona.

- Nie chcę rozmawiać na ten temat.
- Jakże to zabawne: kiedy dziennikarz ma odpowiadać na pytania, nagle okazuje się, że on też tego nie lubi...

Wieczorem szóstego października Tropiciele Prawdy - z wyjątkiem Aarona, Jasona i Oscara - zebrali się w domu Chihaniego. Barry relacjonował mi później, że dzielili się opowieściami o tym, co ostatnio spotkało ich w mieście.

- Jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć na Harriet w sklepie. Wyzywała ją od dziwek. Na Jessego i Shannona ktoś nakrzyczał na ulicy. Profesor Chihani uznał, że trzeba to przedyskutować. Mówił, że takie zdarzenia to najlepszy komentarz do funkcjonowania systemu kapitalistycznego i rozpaczliwe poszukiwanie kozłów ofiarnych. Tyle że tym razem to my zostaliśmy tymi kozłami. To był okropny wieczór. Bardzo żałuję, że tam poszedłem.

Kiedy Chihani natrafiał na problem, starał się z nim uporać za pomocą filozofii. Tego wieczoru podjął gości pączkami i jabłecznikiem, co było bardzo niezwykle, jako że do tej pory częstował uczniów co najwyżej herbatą i krakersami. Sama obecność pączków świadczyła o tym, że coś jest nie w porządku. Większość młodych ludzi siedziała na podłodze. Pamiętając, jak potraktowali go Jesse i Shannon, Barry zajął miejsce tak daleko od nich, jak to było możliwe. Usiadł w pobliżu Leona, a więc osoby, wobec której miał najmniej zastrzeżeń. Leon cuchnął potem, burczało mu w żołądku.

- Kim jest kozioł ofiarny? - zapytał Chihani.
- Osobą obarczaną odpowiedzialnością za coś, co zrobił ktoś inny - odparł Bob Jenks.
- To się wzięło ze Starego Testamentu - dorzucił Leon. Siedział na podłodze nad trzema pączkami ułożonymi na papierowej serwetce. Z jednego pączka została już tylko połowa, a szczęki Leona poruszały się w szybkim tempie. - Z Księgi Kapłańskiej.

Chihani spojrział na Harriet.

- Jakimi cechami charakteryzuje się kozioł ofiarny?

- Musi się w jakiś sposób wyróżniać, nawet jeśli to się dzieje za sprawą przypadku. Na przykład Barry jest albinosem, a więc jest inny, a więc gorszy. Ponieważ jest gorszy, doskonale nadaje się na kozła ofiarnego.

- Bardzo dobrze. - Chihani potoczył wzrokiem po swoich uczniach. - Stając się Tropicielami Prawdy, staliście się inni. Stając się inni, ściągnęliście na siebie uwagę. Ściągając na siebie uwagę, uświadomiliście społeczeństwu, że w sytuacji, gdy czuje potrzebę obarczenia kogoś winą, może obarczyć nią właśnie was. W społeczeństwie, w którym panowałyby autentyczna równość, instytucja kozła ofiarnego byłaby całkowicie zbędna. Ludzie zdawaliby sobie sprawę, że sami są odpowiedzialni za swoje błędy i nie spychaliby odpowiedzialności na innych.

Barry jednak wiedział, że to nie jest cała prawda. Czy Tropiciele Prawdy nie przewracali pomników na cmentarzu? Czy jeden z nich nie podkładał imitacji bomb w szkołach?

Chihani mówił o odpowiedzialności oraz o tym, jak w systemie kapitalistycznym odpowiedzialność za przestępstwa spada na barki klas niższych, chociaż tak naprawdę winni są sami kapitaliści. Burżuazja, gorliwie zbierająca resztki z kapitalistycznych stołów, spycha tę odpowiedzialność jeszcze niżej, na biedaków, gdyby bowiem nie oni, musiałyby sama ponosić wszystkie konsekwencje.

- Burżuazja pragnie dołączyć do klas wyższych równie gorąco, jak chrześcijanin pragnie dostać się do nieba - oznajmił Chihani. - Zadaniem klas wyższych jest podtrzymywanie i podsycanie tych pragnień.

Właśnie wtedy, kilka minut po dziewiątej, rozległ się dzwonek do drzwi.

- To Aaron - powiedziała Harriet.

Ale to nie był Aaron, tylko doktor Malloy.

Według słów Barry'ego wyglądał okropnie. Miał wynędzniałą twarz, bez śladu zwykłej irlandzkiej żywotności. Zebrani spodziewali się ujrzeć Aarona, byli więc zaskoczeni pojawieniem się kogoś obcego. Barry uświadomił sobie nagle, że tylko on zna doktora Malloya.

- Czemu możemy zawdzięczać... - zaczął Chihani formalnym tonem, lecz doktor Malloy nie pozwolił mu dokończyć.

- Jestem Allen Malloy. Chciałem się przekonać, jak wyglądacie.

Stał przy drzwiach i rozglądał się po pokoju.

- Dlaczego? - zapytał Chihani.

- Żeby zobaczyć w waszych oczach przyznanie się do winy! - odparł doktor podniesionym głosem.

- Jaką winę ma pan na myśli?

Twarz Malloya poczerwieniała. Postąpił krok w kierunku Chihaniego.

- Nie wie pan, że moja córka znikła?

Chihani powoli skinął głową.

- Zupełnie jakby pomyślał: „Aha, to t e n Malloy” - powiedział później Barry.

- Proszę przyjąć najszczerze wyrazy... - zaczął Chihani, lecz i tym razem doktor przerwał mu w połowie zdania.

- Ktoś porwał moją córkę! - wykrzyknął. - Jak pan może twierdzić, że ten człowiek jest ofiarą w takim samym stopniu jak Sharon? Tylko głupiec może mówić takie rzeczy! Albo sadysta!

Barry nie miał pojęcia, do czego nawiązuje doktor Malloy, ale Chihani natychmiast się zorientował.

- Mówiłem panu Moore'owi wiele rzeczy, a on przytoczył niektóre z nich. Nie wydaje mi się jednak, żeby chciał pan teraz rozpoczynać filozoficzną dyskusję o...

- Chcę zobaczyć, jak wszyscy gnijecie za kratkami! - wyszeptał Malloy.

Twarz Chihaniego aż się skurczyła z emocji.

- Zapewniam pana, że nikt z obecnych w tym pokoju w żaden sposób nie przyłożył ręki do zniknięcia pańskiej córki. Jeśli jest coś, co możemy zrobić, by przyczynić się do jej odnalezienia, proszę tylko powiedzieć, a z pewnością to zrobimy.

W ten sam piątek Sadie była z Aaronem aż do dziesiątej wieczorem. Kiedy wróciła do domu, ojciec czekał na nią w salonie.

- Zabraniam ci kontaktować się z Aaronem McNealem - oświadczył. Ręce wbił w kieszenie spodni, bał się bowiem, że mógłby ją uderzyć.
- To mój przyjaciel - zaprotestowała Sadie.

Odruchowo dotknęła prezentu od Aarona: srebrnego łańcuszka na szyję z wisiorkiem w kształcie cocker-spaniela. Przez chwilę zastanawiała się, czy pokazać go ojcu, ale ostatecznie doszła do wniosku, że nie powinna tego robić.

- Chcesz zmusić mnie, żebym zamykał cię w twoim pokoju? Nie widzisz, że się boję, żeby nie stało ci się coś złego?
- Aaron jest w porządku.
- Nikt z nas nie wie tego na pewno.
- Ja wiem.

Mimo to posłuchała ojca, przynajmniej do pewnego stopnia. Ja odniosłem z tego największą korzyść, ponieważ od tej pory spędzała ze mną jeszcze więcej czasu. Przychodziła do mnie zaraz po szkole trzy razy w tygodniu, wpadała również w weekendy. Jednak nawet i to zaowocowało dość szybko niezyczliwymi plotkami.

Ryan Tavich otworzył oczy. Była szósta rano w poniedziałek dziewiątego października. Ryan nie musiał sprawdzać na budziku, która godzina. Zawsze budził się o szóstej, bez względu na to, o której zasnął. Leżał na wznak i wpatrywał się w sufit. Zawsze spał na wznak. Janice McNeal nazywała to „pozycją trumienną”. Na zewnątrz wciąż jeszcze było ciemno, lecz pokój wypełniała słaba poświata lampy zapalanej w łazience. Trochę się tego wstydził: miał zwyczaj zostawiać na noc włączone światło. Dawało mu to poczucie bezpieczeństwa, podejrzewał jednak, że czterdziesto-czteroletniemu mężczyźnie coś takiego nie powinno być potrzebne.

Obudził się, myśląc o Aaronie, zupełnie jakby podświadomie myślał o nim przez całą noc. Myślał również o Janice i o wspólnych dla matki i syna cechach charakteru. Po sąsiedzku rozległ się klekot, po chwili narastający warkot silnika; to Frank Penrose uruchamiał swego leciwego pontiaka przed wyjazdem do Norwich, gdzie pracował w firmie farmaceutycznej. Ryanowi chyba po raz setny zaświtała myśl, że nawet gdyby sam nie budził się o szóstej, to pięć minut później obudziłby go Frank Penrose.

Następnie myśli Ryana skierowały się ku Arleen Barnes, sąsiadce Pauli McNeal. Arleen miała około trzydziestu pięciu lat. Jej mąż był chemikiem i również pracował w Norwich. Na imię miał chyba Harold. Nie mieli dzieci. Arleen była zatrudniona na pół etatu w biurze State Farm przy Main Street, razem z matką Barry'ego Sandersa, ubierała się natomiast tak, jakby pracowała u Saksa na Piątej Alei w Nowym Jorku.

Co prawda Ryan nigdy nie był u Saksy na Piątej Alei; ubezpieczał samochód w State Farm i miał na zderzaku nalepkę potwierdzającą ten fakt. Wpatrując się w sufit, widział identyczną nalepkę na tylnym zderzaku toyoty Aarona.

Myśli Ryana skupiły się na domu Arleen, bungalowu z zielonym dachem, stojącym z dala od ulicy, za domem Pauli. Aaron z pewnością widział go za każdym razem, kiedy odwiedzał siostrę. Ryan przypomniał sobie, że Arleen była przyjaciółką Janice. Przez jakiś czas mieszały przecież po sąsiedzku. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądał Harold Barnes, pamiętał jednak tylko tyle, że tamten łysiał i był chyba dość otyły. Z przypomnieniem sobie Arleen Barnes nie miał najmniejszych problemów: zadbana, elegancka kobieta lubiąca szyte na miarę kostiumy i kwieciste apaszki. Jej styl bardzo mu się podobał. Ubierała się jak ktoś, kto jeszcze nie dokonał ostatecznego wyboru w sferze seksualnej. Ze starannie uczesanymi jasnokasztanowymi włosami wyglądała tak, jakby przed chwilą wyszła z salonu piękności. Szczerze mówiąc, bez trudu potrafił ją sobie wyobrazić wychodzącą z Make Waves, salonu kosmetycznego przy State Street, tuż za skrzyżowaniem z Main Street. Należał do Cookie Evans - pogodnej i energicznej kobiety. Ryan wiedział, że właśnie taka jest, ponieważ spotykał się z nią od czasu do czasu i za każdym razem tracił mnóstwo sił. Bez względu na to, jak bardzo się spieszył, i tak zawsze zostawał z tyłu. A ona bez przerwy mówiła, nie bezpośrednio do niego, lecz w powietrze, przez ramię.

Wstał, włożył dres, po czym zszedł do siłowni, żeby poćwiczyć. Kot podążył za nim.

- Mam pomysł, Wodzu - powiedział Ryan.

Przez pół godziny ciężary postukiwały i brzęczały jak stare rury. Po tem Ryan wziął prysznic i nastawił kawę. Czekając, aż się zaparzy, starannie obrał czerwonego grejpfruta, pedantycznie usuwając nawet

najdrobniejsze fragmenty białej skórki. Następnie podzielił owoc na szesnaście części. Kot tak długo płatał mu się pod nogami, aż wreszcie Ryan nalał mu mleka na spodek. Potem zjadł grejfruta i wypił kawę, przeglądając „Syracuse Post Standard”. Od czasu do czasu przerywał lekturę i znowu wbijał wzrok w sufit.

- Masz szczęście, Wodzu, że jesteś kotem - oświadczył. - Kotom żyje się dużo łatwiej. Również jeśli chodzi o sprawy sercowe.

O wpół do ósmej Ryan jechał swoim escortem w kierunku salonu piękności. Nie wątpił, że zastanie tam Cookie, ponieważ zawsze otwierała bardzo wcześnie. O tej porze jednak powinno być tam pusto. Ryan nie lubił takich przybytków, kojarzyły mu się bowiem z klubami tylko dla kobiet, pełniącymi w gruncie rzeczy jedynie funkcję miejsc, gdzie wymieniano się plotkami. Z tego też powodu postanowił odwiedzić Cookie Evans. Chciał się dowiedzieć, co i o kim mówiła Arleen Barnes.

Rzeczywiście, klientki jeszcze się nie zjawiły, ale Cookie nie była sama. Jaime Rose właśnie przycinał sobie brodę przed lustrem. Jaime pracował u Cookie. Urodził się w Aurelius jako James Rozevich i nazywał się tak jeszcze całkiem niedawno, ale jego fryzjerska kariera nabrała rumieńców dopiero po tym, jak zmienił sobie imię i nazwisko na Jaime Rose. Zaczesaane do tyłu czarne włosy dodawały mu dwa albo trzy centymetry wzrostu. Był szczupły, kościsty, liczył sobie trzydzieści kilka lat. Nauczył się zawodu w Albany, chociaż opowiadał wszystkim, nie wyłączając Cookie, że uczęszczał do szkoły fryzjerskiej w Los Angeles. Krótco mieszkał w Nowym Jorku, lecz mniej więcej przed pięciu laty wrócił do Aurelius. Jego nowe imię należało wymawiać po hiszpańsku: *Haime*.

Jaime opowiadał mi później, że Cookie na prawie pół godziny zamknęła się z Ryanem w swoim maleńkim biurze. Kusilo go, żeby spróbować podsłuchać coś pod drzwiami, ale za bardzo się bał. Nie czuł się pewnie w towarzystwie policjantów. Jak na jego gust zachowywali się

zbyt hałaśliwie. Tuż przed ósmą drzwi biura otworzyły się i Ryan wyszedł z salonu, nawet nie spojrzawszy na Jaimego, który pracował wtedy nad fryzurą pani McAuley.

- O co chodziło? - zapytał Cookie.

Zabrała się do czesania peruki, którą zamówiła klientka. Cookie miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, czyli niemal dokładnie trzydzieści centymetrów mniej niż Jaime.

- Zdziwiłbyś się, jakie skandale rozgrywają się teraz w Aurelius.

- Nic, co dzieje się w naszym mieście, nie zdoła mnie już zdziwić - odparł.

Ryan poszedł prosto do biura State Farm przy Main Street. Nie zamierzał rozmawiać z Arleen Barnes, chciał tylko ją zobaczyć. Powiedział pani Sanders, że zgubił atlas, który dostał przy okazji ubezpieczenia samochodu, i że chętnie dostałby drugi, oczywiście jeśli mają jakiś na zbyciu. Arleen rozmawiała przez telefon; roześmiała się głośno, po czym zasłoniła usta ręką. Miała na sobie ciemnoszary kostium, na szyi zaś apaszkę w żółto-fioletowe wzory geometryczne. Jasnokasztanowe włosy opadały na kark dwiema falami. Umalowała się, ale nie za bardzo - przynajmniej w opinii Ryana.

Pani Sanders wręczyła mu atlas. Ryan ponownie zerknął na Arleen, wciąż śmiejącą się do słuchawki. Nie przypuszczał, żeby rozmawiała z klientem. Podziękował pani Sanders, a następnie wrócił do samochodu i pojechał do Aurelius College. Przez jakieś dwadzieścia minut rozmawiał z Paulą o Aaronie, po czym wrócił do ratusza. O dziewiątej siedział już w biurkiem. Patty McClosky przyniosła mu mocno posłodzoną kawę.

- Masz zadowoloną minę - powiedziała.

Ryan zdziwił się. Do tej pory uważał, że jego twarz jest jak nieprzenikniona ściana odgradzająca go od świata.

- Jest coś nowego w sprawie Sharon Malloy? - zapytał.

Naturalnie dobrze wiedział, że nic nie ma, bo w przeciwnym razie już by go powiadomiono.

- Dzwonił kapitan Percy, żeby uprzedzić, że będzie dopiero o wpół do dziesiątej, ale to chyba nic ważnego.

Ryan pociągnął łyk kawy. Na biurku leżał sporządzony przez Chucka Hawleya raport z trwającej przez cały weekend obserwacji doktora Malloya i jego żony. Oczywiście znajdowała się tam również informacja o tym, że w piątek wieczorem doktor Malloy pojechał do Chihaniego. Spędził u niego kwadrans, a potem wrócił do domu. Chuck zapytał później Barry'ego Sandersa, czego chciał Malloy.

- Pytał, czy ktoś z nas porwał jego córkę - odparł Barry.

Ryan przypuszczał, iż wkrótce śledztwo przejmie dwóch lub trzech funkcjonariuszy, których zadanie będzie głównie polegało na tym, by czekać, aż coś się stanie. Policja stanowa nie mogła na długo oddelegować dwudziestu ludzi do tej jednej sprawy. Tak samo było ze śledztwem w sprawie zabójstwa Janice: na początku mnóstwo zamieszania, a potem cisza. Jego myśli znowu skierowały się ku dłoniom Janice. Bardzo o nie dbała, miała długie, zawsze pomalowane paznokcie, często opowiadała o ich pielęgnacji. Jedna dłoń została ucięta. Lewa. Nie dawała mu spokoju świadomość, że teraz, w tej chwili, kiedy o niej myślał, znajdowała się w jakimś konkretnym miejscu: w rowie, na polu, na półce... Dreszcz przebiegł mu po plecach.

O wpół do dziesiątej, tuż przed przybyciem kapitana Percy'ego, Ryan zadzwonił do biura State Farm i poprosił do telefonu panią Barnes.

- Dzień dobry, Arleen, tu Ryan Tavich. Czy mógłbym zamienić z tobą dwa słowa? Na przykład podczas przerwy na kawę. Wpadnę około wpół do jedenastej. Do zobaczenia.

Ryan zabrał Arleen do Junior's, jednak trochę poniewczasie zaczął się zastanawiać, czy słusznie uczynił. Arleen była zbyt elegancko ubrana i nie pasowała do gier wideo. Ryan wybrał stolik w głębi sali.

- Masz ochotę na pączka? - zapytał.

- Jasne. Tylko koniecznie z cynamonem.

Ryan przyniósł dwie kawy i cztery pączki z cynamonem. Arleen uśmiechnęła się do niego. W czasie, kiedy był przy ladzie, zdążyła umalować usta. Ryan nigdy nie potrafił zrozumieć, jak kobiety są w stanie jeść, mając umalowane usta. Przypuszczalnie wszystko smakowało im jak perfumy. Wsypał sobie do kawy dwie łyżeczki cukru, podniósł wzrok i stwierdził, że Arleen wpatruje się w niego z oczekiwaniem. Ogarnęło go zażenowanie.

- Wiesz, Arleen... Czasem jako policjant jestem zmuszony zadawać pytania, których w normalnych okolicznościach nigdy bym nie zadał. - Przerwał, odniósł bowiem wrażenie, że mówi zbyt głośno. Chyba jednak tak nie było, gdyż pomieszczenie wypełniały elektroniczne odgłosy wydawane przez gry wideo. Arleen przyglądała mu się, trzymając palec na brodzie. - Chciałbym, żebyś zrozumiała... To znaczy, żebyś nie obraziła się na mnie, bo o to, o co zapytam, zapytam wyłącznie jako policjant, więc...

- Chcesz wiedzieć, czy pieprzę się z Aaronem McNealem, prawda?

Przez twarz Arleen przemknął uśmiech, po czym wróciła na nią powaga. Ryan rozejrzał się ukradkiem, by sprawdzić, czy nikt nie słyszał. Jakies trzy metry od nich zajadał pączka Lou Weber, farmer.

- Rzeczywiście, to właśnie chciałbym wiedzieć - przyznał.

- Odpowiedź brzmi „tak”. To znaczy, w pewnym sensie. Robiłam to, ale już nie robię. Nie widziałam się z nim co najmniej od tygodnia.

Ryan wziął w palce pączka, ale zaraz odłożył go na talerzyk.

- Czy był z tobą w dniu, kiedy zaginęła Sharon?

- Całe popołudnie, wieczór i noc. - Arleen poprawiła apaszkę. - Tuż po południu Harold zadzwonił z Norwich, że nie wróci na noc. Od razu zatelefonowałam do Aarona. Był u mnie o drugiej. Zostawił samochód przed domem siostry. Cudownie się bawiliśmy. Ledwo zdążyłam posprzątać do powrotu Harolda, a wrócił dopiero nazajutrz o piątej po południu.

Ryan usiłował sobie wyobrazić, co robili. Przypuszczał, że gdyby zechciał, też mógłby odwiedzić Arleen. Zarumienił się, a następnie spytał:

- Skąd wiedziałaś, że właśnie o to chciałem zapytać?

- Ponieważ Aaron mówił, że za wszelką cenę chcesz się dowiedzieć, gdzie wtedy był. Bał się, że Harold dowie się o wszystkim. Ja uważam, że jeśli Harold się dowie, to tylko dobrze mu zrobi. Może wreszcie zacznie doceniać to, co ma.

Po krótkim namyśle Ryan uznał, że lepiej tego nie komentować.

- Czy Aaron jeszcze coś o mnie mówił?

- Wspomniał, że ty też byłeś związany z jego matką. Chociaż ja od dawna o tym wiedziałam.

- Mówił o Janice?

- Oczywiście. Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, ale nie mam pojęcia, kto mógł ją zabić. Aaron chciał wiedzieć, z kim się spotykała. Podałam mu wszystkie nazwiska, jakie pamiętałam, chyba około dziesięciu. Czasem szliśmy na spotkanie razem i bawiliśmy się we czwórkę.

Ryan wyobraził sobie Aarona i Arleen Barnes leżących w łóżku i rozmawiających o kochankach Janice. Wcale jednak nie musieli robić tego w łóżku. Być może Aaron był jak matka: dla Janice łóżko stanowiło tylko jedną z wielu opcji. Ryan potrząsnął głową, by uwolnić się od wspomnień.

- Nie jesz pączków?

- Rozmyśliłam się. Powinnam trochę schudnąć.

Ryan zawiązał pączki w serwetki, po dwa w paczuszce. Jedną włożył do prawej kieszeni marynarki, drugą do lewej.

- W takim razie zjem je na lunch - powiedział.

Dziesięć minut później, w drodze do mieszkania Aarona, doszedł do wniosku, że Arleen mogła kłamać, ale, jak później wyznał Franklinowi, nie widział powodu, dla którego miałyby mówić nieprawdę. Trochę go podniecała i myślał sobie, że warto by kiedyś do niej zadzwonić, chociaż

zdawał sobie sprawę, że nigdy tego nie uczyni. Nie chodziło bynajmniej o męża: po prostu czułby się głupio, robiąc w jej łóżku coś, czego nie powinien tam robić, być może częściowo dlatego, że sam bywał zazdrosny o Janice, gdy spotykała się z innymi mężczyznami w okresie, kiedy często ją odwiedzał.

Przyjaciele Sharon Malloy wynajęli pusty sklepik przy Main Street. Ryan mijał go w drodze do domu Aarona. W witrynie umieszczono ogromne zdjęcie Sharon, przy krawężniku stało kilka samochodów. Otworzyły się drzwi i z pomieszczenia wyszedł Hark Powers w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Ryana zaskoczył widok Harka; nie przypuszczał, że będzie go obchodził los Sharon Malloy. Hark uśmiechał się szeroko i to również było zaskakujące. Ryan nie był w stanie sobie wyobrazić, co mogło go tak bardzo rozbawić we wnętrzu wynajętego sklepu.

Zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieszkał Aaron, zamknął samochód i wszedł do środka. Zastukał raz, drugi. Po jakimś czasie Aaron otworzył drzwi. Był w szlafroku i kapciach. Nagie pizczcele były chude i prawie bezwłose. Długie włosy spływały na ramiona. Cofnął się o krok, by wpuścić Ryana.

- Przyłapałeś mnie w stroju roboczym - powiedział.

W pierwszej chwili Ryan pomyślał, że to jakaś aluzja, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież Aaron pracował w domu.

- Osiemnastego września byłeś z Arleen Barnes.

- Ona ci powiedziała?

- Dlaczego ty tego nie zrobiłeś?

- Nie miałem ochoty.

- To jest oficjalne dochodzenie i narobiłeś sobie przez to kłopotów.

- Co mnie obchodzą wasze policyjne dochodzenia?

Aaron wyjął paczkę pall malli, wytrząsnął papierosa, zapalił. Rozległ się odgłos spuszczonej wody w toalecie. Ryan zorientował się, że w mieszkaniu jest jeszcze ktoś.

- Mam gościa - poinformował go Aaron.

Ryan powstrzymał się przez zrobieniem jakiejś uwagi na ten temat.

- Utrudniałeś nam śledztwo, ukrywając istotną wiadomość.

- I co z tego?

- Nic cię nie obchodzi Sharon Malloy?

- Ona i wy to dwie zupełnie różne rzeczy. Nie ustalicie, kto to zrobił, tak samo jak nie ustaliliście, kto zamordował moją matkę. Sharon przypuszczalnie już nie żyje. Wasza praca sprowadza się do ochrony własności, a ja nie uznaję własności.

Ryan rozejrzał się po pokoju. Był ciekaw, czy Aaron nie protestowałby, gdyby ktoś chciał zabrać mu jego meble i książki.

- Zaczęłaś spotykać się z Arleen dlatego, że przyjaźniła się z twoją matką?

- Zacząłem się z nią spotykać, bo chciałem się z nią pieprzyć.

- Jesteś bardziej podobny do matki, niż myślałem.

- Masz na myśli seks?

Ryanowi nie dawało spokoju, że patrząc na Aarona, widzi ukrytą pod jego rysami twarz Janice. Przez to nie mógł o nim myśleć racjonalnie. Przypomniał sobie Harriet Malcomb i sposób, w jaki Aaron zmusił ją, żeby się z nim kochała. Zamierzał go o to spytać, ale jeszcze nie teraz. Za bardzo był wzburzony.

- Być może - odparł i wyszedł.

Nie chciał wiedzieć, kto był w łazience. To znaczy trochę chciał, ale znacznie bardziej zależało mu na tym, żeby nie komplikować tego, co i tak było już wystarczająco skomplikowane. Później powiedział Franklinowi, że to mogła być Harriet, ale równie dobrze mógł to być ktoś inny.

W drodze powrotnej do ratusza myślał o apetycie Janice na mężczyzn. Nie miała żadnych zahamowań, z wyjątkiem awersji do bólu - ale tylko do silnego, ponieważ lekkie „tortury” sprawiały jej przyjemność.

Niekiedy masturbowała go, ściskając mu penisa aż do bólu, odwlekając orgazm, by sperma wytrysnęła jak najdalej. Czasem kierowała ją na swoją twarz. Mówiła, że to ją „maksymalnie podnieca”. Wcierala ją sobie w czoło i policzki, albo kazała robić to Ryanowi. Jeśli chodzi o niego, to podniecenie walczyło w nim z odrazą; nigdy jednak, wcześniej ani później, nie spotkał kobiety, która lubiłaby takie urozmaicenia.

Hark Powers był pierwszą osobą, która zaczęła rozgłaszać, jakoby bliźna w kształcie litery L na policzku Aarona była znakiem Lucyfera, czymś w rodzaju szczególnego tatuażu świadczącego o tym, czyją własnością stał się Aaron. Wkrótce potem wszyscy to podkreślali. Pomysł spodobał się ludziom. Wiele wyjaśniał. Ma się rozumieć, zawsze wspomniano o tym z przymrużeniem oka, ale niektórzy przymrużali oko znacznie słabiej od pozostałych.

W osiłkach i zabijakach takich jak Hark często można się doszukać głębokich pokładów sentymentalizmu. Nie wierzą w przemoc dla przemocy. Starają się umieścić swoją potrzebę upokarzania i dominowania w schemacie służącym jakiejś większej sprawie. To oczywiście tylko pretekst, niemniej pozwala im rozkoszować się siłą i władzą, redukując do minimum poczucie winy. Są w stanie wmówić sobie, że biją ofiarę nie dla przyjemności bicia, lecz dlatego, że ona na to zasługuje. Tak właśnie miały się sprawy z Harkiem Powersem.

W przeciwieństwie do Ryana Tavicha nie zdziwiłem się ani trochę na wiadomość, że Hark dołączył do Przyjaciół Sharon Malloy. Podobnie jak wielu innych, był święcie przekonany, że dziewczynkę uprowadził ktoś bawiący przejazdem w naszym mieście, chociaż równocześnie nie ulegało dla niego wątpliwości, iż osoba ta była w jakiś sposób związana z Chihanim i Tropicielami Prawdy. Harka rozwścieczyła informacja, że to jeden z Tropicieli podkładał bomby w szkołach; oburzyła go także dewastacja Homeland Cemetery. Spoczywali tam również członkowie jego

rodziny, poczuł się więc osobiście dotknięty tą profanacją. Często myślał o poprzewracanych nagrobkach i za każdym razem ogarniała go trudna do okiełznania wściekłość - a przynajmniej tak opowiadał przy piwie w Bud's Tavern. O Tropicielach Prawdy mówił najczęściej „ateiści”, chociaż sam niezbyt często chodził do kościoła.

Hark nie był głupi, należał jednak do licznej grupy młodych ludzi z małych miasteczek, którzy świadomie wybrali ignorancję. Pełniła ona funkcję filozoficznej tarczy chroniącej go przed światem zewnętrznym; nosił ją z dumą, razem z należącymi do kompletu klapkami na oczy. Na zderzaku swojej półcie-żarówki przylepił naklejkę „Dobre, bo amerykańskie”, na tylnej szybie zaś amerykańską flagę. Tekst na innej nalepce mówił coś o miłości do rewolweru. Nie trzeba chyba dodawać, że Hark był gorącym zwolennikiem nieograniczonego dostępu do broni palnej. Równocześnie cieszył się opinią niezłego mechanika i niekiedy potrafił okazywać ludziom życzliwość. Często pomagał w pracach na farmie prowadzonej przez starszego brata. Nie staram się go wybielać, niemniej zdaję sobie sprawę, że postąpiłbym nie fair klasyfikując go jako śmiecia. Nie ufał wszystkiemu, co przychodziło z zewnątrz. Nie lubił nie tylko Chi-haniego, ale i całego college'u, a fakt, że Aaron uczęszczał do szkoły w Buffalo, traktował jako dodatkowy argument przeciwko niemu.

Rzecz jasna nienawidził Aarona za to, co ten zrobił z jego uchem, jednak w ciągu lat, jakie upłynęły od tego zdarzenia, nagromadziło się wiele kolejnych powodów. Choćby fakt, że młoda kobieta, która podczas wizyty Ryana korzystała z łazienki w mieszkaniu Aarona, to wcale nie była Harriet Malcomb, lecz Jeanette Richards, asystentka kierownika działu w domu towarowym Ames. Miała nieszczególną twarz, za to wręcz oszałamiającą figurę. Problem polegał na tym, że przez całą jesień spotykała się z Harkiem, ale potem Hark dowiedział się, że Jeanette

bywa u Aarona. W miastach takich jak Aurelius, gdzie - poza telewizją - nie można liczyć na wiele rozrywek, wszelkie romanse i melodramaty bywają rozdmuchiwane do przesadnych rozmiarów. Po tym, jak kilka osób widziało dziewczynę Harka wchodzącą i wychodzącą z domu, w którym mieszkał Aaron, rozdzwoniły się telefony. Można więc śmiało zaryzykować stwierdzenie, że Hark Powers dołączył do Przyjaciół Sharon Malloy po to, by pomóc w odnalezieniu dziewczynki, ale również dlatego, że jego dziewczyna zaczęła się spotykać z jego wrogiem.

W kwaterze głównej Przyjaciół Sharon Malloy Hark odbierał telefony, otwierał listy i przyklejał znaczki. Wziął również udział w dwóch akcjach poszukiwawczych w terenie. Ponieważ wciąż pracował w warsztacie samochodowym Jacka Morrisa, Przyjaciółom mógł poświęcić nie więcej niż dziesięć godzin tygodniowo. Oba wujowie Sharon, Donald Malloy i Paul Leimbach, byli częstymi gośćmi w kwaterze głównej; Hark stał się kimś w rodzaju ich gwardii honorowej. Ochoczo spełniał każde ich życzenie, jakby sądził, że w ten sposób zyskuje na znaczeniu. Był wysoki, barczysty, o twarzy jak księżyc w pełni. Z jego ust prawie nie zniknął ironiczny półuśmieszek mający świadczyć o tym, że on, Hark Powers, wie trochę więcej niż wszyscy dookoła i nie da się łatwo oszukać. Donald Malloy i Paul Leimbach polubili go i uważali za jednego z najcenniejszych ochotników, z pewnością nie zdając sobie sprawy, w jak niebezpieczne narzędzie mógł się w każdej chwili zamienić.

Kiedy tylko było to możliwe, starał się mieć na oku Aarona i pozostałych. Korzystał również z pomocy uznających jego dominację zabijaków mniejszego kalibru. Któryś z nich prawie zawsze śledził Chihaniego, kiedy ten jechał po sprawunki. Hark i jego kumple doskonale wiedzieli, że zainteresowanie policji osobą Aarona nie ogranicza się do sprawy zbezczeszczenia Homeland Cemetery, w związku z czym uważali, iż swoimi działaniami pomagają policji w co najmniej takim stopniu, jak w

sprawie zaginięcia Sharon.

Od czasu do czasu Hark śledził także Barry'ego Sandersa, czuł jednak do niego tak wielką odrazę, że nawet przezwisko Prosiak wydawało mu się niewystarczające. Nazywał go Świńskim Gównem. Doskonale wiedział, że Barry śmiertelnie się go boi, i czerpał z tej świadomości autentyczną przyjemność. Jego zdaniem lęk Barry'ego świadczył także o tym, że ma coś do ukrycia, to zaś z kolei oznaczało, że jest winny.

Hark chyba nie wiedział, że Barry jest gejem, nie ominął natomiast żadnej okazji, by dokuczyć Jaimemu Rose. Aurelius miało swoją gejowską społeczność, ale tylko Jaime nie czynił tajemnicy ze swojego homoseksualizmu, choć też nie obnosił się z nim demonstracyjnie. „Jeśli coś masz, to tego nie chowaj”, mawiał. Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie przeprowadzi się do miasta bardziej tolerancyjnego wobec mniejszości seksualnych.

- Już to zrobiłem - odparł. - Pedaly w Aurelius są uroczy. Rozpaczliwie starają się udawać biseksów. Taki miły chłopiec jak ja zawsze będzie miał tu wzięcie.

Obecnie Hark ograniczał się do posyłania Jaimemu miażdżących spojrzeń. Rok wcześniej zauważył go w Bud's Tavern i pozwolił sobie na kilka otwartych uwag na temat homoseksualizmu, lecz Jaime wyszedł ze starcia obronną ręką. Był w towarzystwie trzech pracownic salonu piękności Make Waves. Podszedł z nimi do baru, gdzie stał Hark, i powiedział:

- Posłuchajcie go tylko! Zdaje się, że ma ochotę mnie pocałować. Dasz mi buzi, Hark?

I ułożył usta jak do pocałunku. Nawet kolesie Harka wybuchnęli śmiechem. Od tej pory Hark nie zaczął publicznie Jaimego.

O takich drobnych zdarzeniach mówi się przez jakiś czas, a potem zapomina. Ich rzeczywiste znaczenie poznamy dopiero w świetle innych wydarzeń. Tak właśnie było ze spotkaniem Harka z Chihanim.

Któregoś dnia Chihani zjawił się w Malloy's Pharmacy po aspirynę. Mocno wątpię, czy - pomimo wywieszzonego w witrynie zdjęcia - wiedział, że właścicielem apteki jest wujek Sharon. Jak już kilkakrotnie wspominałem, Chihani przywiązywał niewielką wagę do otaczającej go rzeczywistości. Głowę miał zaprzątniętą rozmowami ze zmarłymi, intelektualnymi dysputami i filozoficznymi rozważaniami. Tego dnia Donalda Malloya nie było w aptece, Chihaniego obsługiwała więc pani Porter.

Chihani zapłacił za aspirynę i podziękował. Zawsze zachowywał się grzecznie, choć odrobinę formalnie. Wychodząc, niemal zderzył się w drzwiach z Harkiem. Zdarzenie to zrelacjonował mi później Barry Sanders, który widział wszystko przez szybę wystawową. Jego zdaniem, Hark zauważył Chihaniego wcześniej i celowo wszedł do apteki wtedy, kiedy wykładowca zamierzał ją opuścić.

Stwierdziwszy, że ktoś blokuje mu drogę, Chihani zrobił krok w lewo. Hark dał krok w prawo. Chihani zrobił krok w prawo, Hark zaś w lewo. Przez cały czas Chihani miał opuszczony wzrok. Dopiero teraz podniósł go i spojrzał na Harka.

- Przepraszam pana - powiedział.
- A ja pana - odparł Hark.

Był niższy od Chihaniego, ale znacznie mocniej zbudowany. Chihani postąpił krok w lewo, lecz Hark znowu stanął tuż przed nim.

- Pan to robi celowo - stwierdził Chihani.
- Pan to robi celowo - powtórzył słowo w słowo Hark.
- Proszę zaprzestać tej niemądrej zabawy.

Kolejna próba ominięcia przeszkody również spelzła na niczym. Chihani podniósł łaskę i potrząsnął nią przed twarzą Harka.

- Proszę mnie natychmiast przepuścić!

W odpowiedzi Hark strącił mu z głowy beret i rzucił go na ulicę.

- To mój beret! Żądam, aby natychmiast mi go pan zwrócił!

Hark tylko się uśmiechnął. Barry, który stał na chodniku, podniósł beret. Chihani ponownie uniósł laskę, lecz Hark chwycił ją z drugiego końca. Wtedy do akcji wkroczyła pani Porter.

- Zostaw go, Hark.

Hark puścił laskę, Chihani zatoczył się lekko do tyłu. Barry przecisnął się obok Harka i zwrócił Chihaniem beret. Hark wszedł do apteki, tamci dwaj wyszli. Na ulicy Chihani zatrzymał się i spojrzał na wywieszone w witrynie zdjęcie Sharon Malloy.

- Dlaczego ta fotografia jest taka wielka?

- To apteka jej wujka.

- Aha. No tak, to wszystko wyjaśnia.

Chihani wsadził beret na głowę, podziękował Barry'emu i ruszył do samochodu.

- Ty też coś tam kupowałeś? - zapytał Barry'ego.

- Tylko przechodziłem. Zawsze jeżdżę do Fays Drugs.

Barry zamieszkał ponownie z matką ze względu na atmosferę podejrzeń, która otoczyła Tropicielei Prawdy po zniknięciu Sharon, oraz dlatego, że po oskarżeniu o uczestnictwo w zbezczeszczeniu cmentarza trochę bał się mieszkać sam. U matki było klaustrofobicznie, ale przynajmniej stanowił centralny punkt czyjegoś wszechświata. Od czasu do czasu spoglądała na niego i wzdychała: „Och, Barry, co z tobą będzie?”. Barry przewracał oczami, w głębi ducha jednak zadawał sobie to samo pytanie.

Kiedy już nie mógł tam wytrzymać, przychodził do mojego domu. Mówię „do mojego domu” zamiast po prostu „do mnie”, ponieważ Barry zjawiał się również po to, by zobaczyć się z Sadie, którą bardzo lubił - między innymi dlatego, że przyjaźniła się z Aaronem. Z nich dwójka Sadie była znacznie silniejsza, chociaż miała dopiero trzynaście lat, a on dziewiętnaście; udzielała Barry'emu rad i trochę nim pomiatała, choć bez złej woli ani złośliwości. Pomagał jej w pracy nad wyszywaną makatką do szkoły. Siedzieli we dwójkę na podłodze, obłożeni skrawkami materiału i przyborami do szycia, ja zaś czytałem w moim ulubionym fotelu

lub sprawdzałem raporty uczniów z ćwiczeń w laboratorium. Niekiedy rozpałałem w kominku. Późnym wieczorem Sadie podawała kakao. Był początek października. Musiałem sobie często przypominać, że to tylko złudzenie, że pozory normalności i rodzinnego ciepła, jakimi się otaczaliśmy, są właśnie tylko pozorami. Sadie była tu przecież jedynie dlatego, że jej ojciec tropił osobę odpowiedzialną za zniknięcie Sharon i bał się zostawić córkę samą w domu. Barry przesiadywał u mnie dlatego, że ludzie podejrzewali, iż miał coś wspólnego z tym zniknięciem. Nasz ciepły rodzinny kącik powstał tylko dzięki zaginięciu pewnej kilkunastoletniej dziewczynki.

W środę jedenastego października sytuacja uległa zmianie. W Somerset w Pensylwanii, na wschód od Pittsburgha, aresztowano mężczyznę usiłującego zwabić do swojej furgonetki dziesięcioletniego chłopca. Człowiek ten nazywał się Daniel Layman, był samotny, zbliżał się do czterdziestki i pracował dorywczo jako hydraulik. Przed pięciu laty narobił sobie kłopotów, napastując małego chłopca podczas szkolnego pikniku.

W trakcie przesłuchania Layman przyznał się do uprowadzenia i zamordowania trojga dzieci, wśród nich również Sharon Malloy. Twierdził, że zwabił ją do samochodu, wywiózł do odległego o pół godziny jazdy lasu, zgwałcił, zamordował i zakopał. Powiedział, że miała jasno-kasztanowe włosy i niebieski sweterek. Mówił, że cały czas wołała tatę.

Kiedy informacja o zeznaniach Laymana dotarła do policji stanowej w Potterville, kapitan Percy zadzwonił do Przyjaciół Sharon Malloy i oznajmił, że potrzebuje ochotników do dokładnego przeszukania Henderson State Park. Był to najbliższej położony zwarty kompleks leśny. Pięćdziesiąt kilometrów na południe od Aurelius znajdował się drugi, Hannible State Park. Percy wysłał również dwóch ludzi do Somerset, by przesłuchali Laymana.

W piątek rano dwieście osób przeczesywało las. Policja sprowadziła

psy i śmigłowiec. Hark Powers dowodził oddziałem dwudziestu ochotników. Nic nie znaleźli, poszukiwania wznowiono więc w sobotę. Uczestniczyło w nich jeszcze więcej ludzi, lecz przez cały weekend niczego nie znaleziono.

Ludzie, których kapitan Percy wysłał do Somerset, zadzwonili w sobotę z nową wiadomością: Layman powiedział, że przez las, w którym dokonał swego czynu, płynęła rzeka. W Henderson State Park nie było rzeki, rzeka Loomis płynęła natomiast przez Hannible State Park. W niedzielę poszukiwania rozpozczęło tam ponad trzystu ludzi.

Pozostała dwójka, do której uprowadzenia i zamordowania przyznał się Layman, również nie została odnaleziona. Udzielił niezbyt precyzyjnych informacji co do miejsc, w których zakopał zwłoki. W związku z tym zespoły poszukiwawcze zjawily się także w Northampton w stanie Massachusetts oraz w stanie Vermont, ale i tam akcja nie dała żadnych rezultatów. Na początku następnego tygodnia policja zaczęła podejrzewać, że Layman kłamie. Albo był szaleńcem, albo zależało mu na rozgłosie. Nie sposób było również wykluczyć, iż pragnął ponieść karę za jakieś inne czyny, których nie chciał wyjawic.

W srodę liczba ochotników uczestniczących w poszukiwaniach w Henderson State Park i Hannible State Park przekroczyła siedemset. Niektórzy przyjeżdżali z Utiki albo nawet z Syracuse. Ludzie zjednoczyli się tak jak nigdy dotąd, a kiedy stało się już jasne, że Daniel Layman rzeczywiście kłamał, ich oburzenie doszło do najwyższego stopnia.

A potem zdarzyło się coś, co skupiło uwagę ludzi na innych sprawach.

W poniedziałek szesnastego października Chuck Hawley zjawił się przed komisariatem o wpół do szóstej rano. Było jeszcze ciemno, na niebie świeciły gwiazdy. Wejście na posterunek znajduje się z boku budynku ratusza. Zbliżywszy się, Chuck ujrzał stojące na schodkach pudełko, a konkretnie karton po piwie. Jeśli chciał otworzyć drzwi, musiał pudełko odsunąć, wziął je więc w ręce. Później ludzie chwalili go za odwagę, mówiąc, że przecież wewnątrz mogła być bomba, ale mój kuzyn nie jest obdarzony zbyt bujną wyobraźnią i myśl, że ktoś mógłby podłożyć bombę przed posterunkiem policji, po prostu nie przyszła mu do głowy. Pudełko było lekkie. Wniósł je do środka.

Dyżur pełnił Josh Riley. Wyglądało to w ten sposób, że chrapał z głową na biurku zasłanym papierkami po czekoladowych cukierkach. Chuck postawił karton na stole i otworzył. Wewnątrz znajdowały się starannie złożony niebieski sweterek, biała bluzka, dżinsy, dziewczęca bielizna, białe skarpetki, adidas i czerwony plecaczek. Chuck zamierzał zajrzeć do plecaka, ale się rozmyślił. Natychmiast zadzwonił do Ryana Tavicha. Była dopiero za dwadzieścia szósta, toteż Ryan jeszcze spał. Podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku i usłyszał w niej podekscytowany głos Chucka:

- Ktoś właśnie podrzucił nam rzeczy Sharon Malloy!

Dziesięć minut później Ryan był już na posterunku, pięć minut przed Schmidtem. Kapitan Percy jechał z Potterville, dotarł więc na miejsce pięć po szóstej.

Patty McClosky, sekretarka Schmidta, dowiedziała się o paczce z ubraniami, kiedy zjawiała się w pracy kwadrans po ósmej. W tym czasie pudełko wraz z zawartością znajdowało się już w laboratorium policji stanowej w Ithace. Patty nalala sobie kawy, po czym zadzwoniła do swojej przyjaciółki Denise Clark.

- Wszystko było uprane i wyprasowane - powiedziała. - Nawet skarpetki i bielizna.

O dziesiątej Frieda Kraus zatelefonowała do Franklina, który właśnie wychodził z domu.

- Dziś rano Chuck Hawley znalazł przed ratuszem pudełko z ubraniami Sharon. Przed chwilą dowiedziałam się tego od Denise Clark.

Franklin zdziwił się, jak to możliwe, że Denise weszła w posiadanie takich informacji. Natychmiast zadzwonił do Ryana Tavicha.

- To prawda, ale chwilowo nic więcej nie mogę powiedzieć - oświadczył Ryan.

W ciągu godziny na posterunku odebrano telefony z gazet ukazujących się w Utice, Syracuse i Albany oraz z czterech stacji telewizyjnych. O dziesiątej przed ratuszem zatrzymał się biały mikrobus Channel 9 z Syracuse. W południe komendant Schmidt zwołał na piętnastą konferencję prasową.

Ze względu na olbrzymie zainteresowanie, konferencja odbyła się nie w biurze Schmidta, lecz w sali posiedzeń rady miejskiej na pierwszym piętrze. Wystąpiły drobne problemy proceduralne, ponieważ nominalnie śledztwem kierował kapitan Percy, ale jako że paczka została podrzuczona na stopniach posterunku Schmidta, Percy zaproponował, żeby centralne miejsce za stołem zajął właśnie Schmidt. On sam usiadł po jego prawej stronie, razem z jednym ze swoich poruczników, Peterem Marcosem, fotogenicznym młodym człowiekiem z Albany. Dalej siedzieli Ryan Tavich i doktor Malloy. Burmistrz Bernie Kowalski usiadł po lewej stronie Schmidta.

Stawiło się ponad pięćdziesięciu dziennikarzy z prasy, telewizji i radia. Reporterów przysłały nawet „New York Times” i „New York Post”. Franklin zdołał jakoś przecisnąć się do pierwszego rzędu. Podłogę pokrywała płatanina kabli. Franklin spodziewał się, że na konferencji zostanie również pokazane pudełko z rzeczami, ale nigdzie go nie widział. Wcale się tym nie zmartwił. Wciąż myślał o niebieskim sweterku, który Paula dała Sadie jako upominek mający ułatwić zakopanie topora wojennego, a który Sadie oddała Sharon. Nie chciał go już nigdy oglądać.

Phil Schmidt zaczął od oficjalnego oświadczenia, z którego wynikało, że o piątej trzydzieści rano jeden z funkcjonariuszy znalazł przed drzwiami posterunku kartonowe pudło z ubraniem Sharon Malloy. Ubranie zostało zidentyfikowane przez rodzinę zaginionej, a następnie odesłane do laboratorium policji stanowej w Ithace.

- Czy wiadomo, kto je podrzucił? - zapytał jeden z dziennikarzy.
- Jeszcze nie.
- Kiedy zostało podłożone?
- Dziś nad ranem, między trzecią trzydzieści a piątą trzydzieści. Pudełko blokowało drzwi, ostatnia osoba zaś wychodziła z komisariatu o trzeciej trzydzieści.
- Czy na ubraniu były plamy krwi?
- Nie.
- A jakieś inne plamy?
- Wszystkie rzeczy zostały uprane, wyprasowane i złożone. Przypuszczalnie były prane wiele razy.
- A więc na ubraniu mogły być jakieś plamy, które później znikły podczas prania?
- To możliwe - przyznał Schmidt.
- Czy w pudle był list, albo coś w tym rodzaju?
- Nie - odparł Percy.

Doktor Malloy wpatrywał się w blat ciężkiego dębowego stołu, równie wiekowego jak sam ratusz, o barwie starego złota. Ktoś zapalił papierosa i Percy ogłosił, że w sali nie wolno palić. Telewizyjne kamery i reflektory ustawiono przy ścianach. Fotoreporterzy kłębili się z przodu, robiąc zdjęcia szefowi miejscowej policji i doktorowi Malloyowi.

- Czy wtedy, kiedy podkładano paczkę, ktoś był w komisariacie?
- Oficer dyżurny.
- Czy coś usłyszał?
- Nie.
- A więc ten, kto ją podłożył, prawdopodobnie przyszedł pieszo?
- To możliwe.
- Czy to znaczy, że to był ktoś stąd?
- Nie mamy żadnych dowodów, które pozwoliłyby odpowiedzieć na pytanie, czy człowiek ten był mężczyzną, czy kobietą - wtrącił kapitan Percy.

- Czy to znaczy, że ta osoba, mężczyzna albo kobieta, była stąd?

Kapitan Percy wstał i oparł ręce na stole.

- Nie mamy również żadnych dowodów świadczących o tym, że człowiek odpowiedzialny za zaginięcie panny Malloy oraz człowiek, który przyniósł paczkę z jej rzeczami, to ta sama osoba.

- Ale to chyba bardzo prawdopodobne, nie sądzi pan?
- Nie mamy na to dowodów.
- Czy uważacie, że Sharon Malloy jeszcze żyje?
- Mamy taką nadzieję - odparł Schmidt - ale niczego nie wiemy.
- Co było w plecaku?
- Książki, zeszyty i inne przybory szkolne Sharon.
- Czy fakt zwrócenia rzeczy Sharon wpłynie na ukierunkowanie śledztwa?

- Co pan przez to rozumie? - zapytał Schmidt.
- Czy nie sugeruje to, że sprawca pochodzi z tego miasta?

Ponownie zabrał głos kapitan Percy:

- Nigdy nie zakładaliśmy, że jeśli panna Malloy została porwana, to sprawcą jest osoba mieszkająca w Aurelius, ani też że jest nią ktoś z zewnątrz.

- Co to znaczy „jeśli została porwana”? - chciał wiedzieć jeden z reporterów.

- W gruncie rzeczy nie dysponujemy żadnymi dowodami świadczącymi o tym, że dokonano porwania. Wiemy tylko tyle, że panna Malloy zaginęła.

- Sugeruje pan, że sama przyniosła swoje ubranie?

W głębi sali ktoś parsknął śmiechem. Kapitan Percy spojrział w tym kierunku, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie wiemy, co się naprawdę wydarzyło.
- Czy rodzina Sharon miała jakieś wiadomości od niej lub o niej?
- Nie - odparł Schmidt. Percy usiadł.
- Czy policja przypuszcza, że Sharon Malloy nie żyje?
- Nie mamy żadnych dowodów, które mogłyby na to wskazywać.
- Jak sądzicie, dlaczego zwrócono jej rzeczy? - zapytał Franklin.
- Nie mamy pojęcia - powiedział kapitan Percy.
- Może ktoś chciał sobie zakpić z policji?
- Trudno mi się ustosunkować - odparł kapitan Percy. - Nie mamy żadnych dowodów, które mogłyby na to wskazywać.

- W kontekście tego, co się wydarzyło, co należy sądzić o zeznaniach Daniela Laymana?

Schmidt zerknął na Percy'ego.

- Na tym etapie śledztwa nie mogę się wypowiadać na ten temat.

- Czy Layman wspomniał coś o tym, że rozebrał ofiarę?
- Nie mogę wypowiadać się na ten temat.
- A może ktoś przyniósł ubranie, żeby zasygnalizować, że Daniel Layman nie ma nic wspólnego z tą sprawą? - zasugerował Franklin.
- Trudno mi się ustosunkować.
- A ma pan w ogóle zdanie na jakikolwiek temat? - zapytał ktoś z Channel 9. Kilkoro reporterów roześmiało się głośno.

Kapitan Percy ponownie podniósł się z miejsca.

- Jesteśmy w trakcie zbierania i analizowania informacji. Nie wiemy, dlaczego ktoś zwrócił rzeczy panny Malloy. Nie wiemy, czy osoba ta miała coś wspólnego z porwaniem, ani nawet czy w ogóle doszło do porwania. Nie wiemy, czy fakt zwrócenia ubrania ma jakikolwiek związek z Danielem Laymanem. Nie wiemy, czy w sprawę zamieszany jest ktoś z miasta, czy spoza niego.

Percy nie był całkiem szczery. Jak tylko dowiedział się o pudle z rzeczami, natychmiast przerzucił do pracy nad tą sprawą dziesięciu dodatkowych ludzi. Przez cały dzień przesłuchiwali mieszkańców okolicznych domów. Nie umknął jego uwagi fakt, że Aaron McNeal mieszkał zaledwie dwie przecznice od ratusza. Percy błyskawicznie zdobył nakaz rewizji i jeszcze tego samego ranka specjalistyczna ekipa z Ithaki przeszukała centymetr po centymetrze całe mieszkanie Aarona. Aaron nie protestował. Przeniósł się do hallu z krzesłem i notebookiem i pracował, nie zwracając uwagi na krzątających się policjantów.

- Traktował nas jak powietrze - opowiadał mi Chuck Hawley. - Miałem ochotę walnąć go w twarz.

Chuck zajął Aaronowi przez ramię, ale na monitorze komputera zobaczył tylko liczby. To również nie dawało mu spokoju.

- Żeby chociaż coś tam było napisane!

Sprawdzono też, co robili i gdzie byli w nocy Tropiciele Prawdy i Houari Chihani. Percy chciał uzyskać także nakaz przeszukania domu

Chihaniego, Schmidt jednak uważał, że to bezcelowe. Toczącą się w gabinecie Schmidta dyskusję na ten temat słyszeli Patty McClosky i pozostali. W czasie, kiedy odbywała się konferencja prasowa, treść tych rozmów była już znana wielu osobom. Nikomu nie umknął fakt, że zarówno Tropiciele Prawdy, jak i sam Chihani wciąż znajdowali się w gronie podejrzanych.

- Dzisiaj rano policja przeszukała mieszkanie Aarona McNeala - odezwał się inny reporter. - Czy znaleziono jakieś obciążające go dowody?

- Nie mogę wypowiadać się na ten temat.

- Mieli nadzieję, że znajdą chociaż odrobinę trawki - powiedział mi później Chuck Hawley. - Mogliby go przymknąć i trochę przycisnąć.

- A więc Tropiciele Prawdy nadal są podejrzani?

- Nie należy nazywać ich podejrzanymi - odparł Schmidt.

- Na tym etapie śledztwa o nikim nie można powiedzieć, że jest albo nie jest podejrzany.

- Czy Herbst mógł przyjechać z Troy z rzeczami Sharon?

- Nie mogę wypowiadać się na ten temat.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że nie istniały żadne dowody na to, by Oscar opuszczał dom.

- A co z tym chłopakiem, który wrócił do Kingston? Może to on?

- Nie mogę wypowiadać się na ten temat.

Dziennikarz miał na myśli Jasona Irvinga, który również spędził tę noc w domu. Natomiast Tropiciele Prawdy mieszkający w Aurelius nie mieli doskonałego alibi. Co prawda matka Barry'ego zaklinała się na wszystkie świętości, że jej syn nie wychodził w nocy z domu, policja jednak nie traktowała tego jako niezbitego dowodu. „Każde z nich mogło wymknąć się na pięć minut i podrzucić pudełko przed drzwi”, powiedział mi Chuck. „Nawet ten grubas. O tej porze ulice są zupełnie puste. Nawet ty mógłbyś to zrobić”.

- Czy jest możliwe usunięcie z ubrania wszelkich śladów krwi?
- Nie przypuszczam - odparł Schmidt.
- Nie, to niemożliwe - potwierdził Percy.
- Jaki więc z tego wyciągacie wnioski?
- Że na ubraniu nie było żadnych śladów krwi.

Ktoś się roześmiał.

- A inne płyny ustrojowe? - pytał dalej reporter. - Czy po wielokrotnym praniu mogą zniknąć wszelkie ślady spermy?

- Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi.
- Czyli jest to raczej niemożliwe?
- Podobno.
- Mówi pan więc, że na ubraniu nie znaleziono śladów spermy?
- Tak jest.
- A co znaleziono?
- Wyłącznie ślady używania.
- Jakież dziury lub rozdarcia?
- Nie to miałem na myśli.

- Jeśli więc Sharon Malloy została zamordowana, zrobiono to albo w bezkrywawy sposób, albo wtedy, kiedy już nie miała na sobie ubrania?

Pytanie zadał dziennikarz z Uteki. Konferencja zamieniła się w coś w rodzaju teleturnieju. Można było odnieść wrażenie, iż wszyscy zapozniali, że Sharon Malloy była osobą z krwi i kości. Jej ojciec siedział w milczeniu z pochyloną głową i rękami zaciśniętymi na krawędzi stołu. Jego brat Donald był w głębi sali, natomiast szwagier, Paul Leimbach, stał przy drzwiach. W sali robiło się coraz bardziej gorąco od reflektorów. Zbliżała się czwarta po południu.

- Na razie nie wiemy, co stało się z Sharon Malloy - powiedział Schmidt.

- Nie można więc wykluczyć, że ją zgwałcono?

Dopiero teraz doktor Malloy nie wytrzymał.

- Czy wy nie zdajecie sobie sprawy, że mówicie o dziecku? O czternastoletniej dziewczynce? Czy wiecie, jaka jest cudowna? Oczywiście, że ten, kto ją porwał, żyje w tym mieście. On jest tu, gdzieś między nami!

Wśród reporterów wybuchło zamieszanie. Przekrzykiwali się, pytając doktora Malloya, czy wie kto to jest albo czy kogoś podejrzewa. Fotoreporterzy robili zdjęcia. Ludzie zerwali się na nogi. Ryan otoczył doktora ramieniem i skierował się z nim do tylnego wyjścia. Doktor Malloy ocierał wierzchem dłoni łzy płynące mu z oczu. Jego brat przepychał się przez tłum.

- Jak śmiecie zadawać takie pytania! - wykrzyknął doktor Malloy.

- Zabierz go stąd - polecił Schmidt Ryanowi.

Donald Malloy wreszcie przedarł się do stołu.

- To jasne, że porwał ją ktoś z tego miasta! - wykrzykiwał. - Porwał i uwięzła Trzeba go schwytać! Schwytać i ukarać!

- Ale kto to jest? - pytali ludzie.

Schmidt znalazł młotek i rąbnął nim w stół.

- Proszę wrócić na miejsca albo każę opróżnić salę!

- Znajdziemy go - mówił dalej Donald. - Przyjaciele Sharon Malloy ustanowili nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za informację dotyczącą miejsca jej pobytu i stu tysięcy za jej odnalezienie.

Oświadczenie wywołało jeszcze większe zamieszanie, flesze błyskały z jeszcze większą częstotliwością.

Chuck Hawley ujął Donalda pod ramię i wyprowadził do sąsiedniego pomieszczenia. Ryan zniknął tam wcześniej z doktorem Malloyem. Dziennikarze wykrzykiwali pytania, Schmidt walił młotkiem w stół. Franklin pospiesznie pisał w notesie. Jedyną osobą, która nie okazywała najmniejszych emocji i tkwiła na swoim miejscu jak skała, był kapitan Percy. Kiedy wrzawa w końcu ucichła, to on zabrał głos:

- Teraz wiedzą państwo tyle samo co my, czyli niewiele. Nie znamy szczegółów tej zbrodni. Nie wiemy, czy Sharon została uprowadzona. Wiemy tylko tyle, że dziś nad ranem, między trzecią trzydzieści i piątą trzydzieści, ktoś podrzucił przed drzwiami posterunku pudło z jej ubraniem i plecakiem. Ubranie zostało uprane, wyprasowane i starannie złożone. Wyczyszczono również adidas. Nie mamy pojęcia, czy zrobiła to ta sama osoba, która przyczyniła się do jej zniknięcia.

I tym razem kapitan Percy nie mówił całej prawdy. W plecaczku Sharon oprócz przyborów szkolnych znajdowały się jeszcze dwie rzeczy. Pierwszą była ręka manekina. Lewa dłoń, w cielistym kolorze, z pomalowanymi paznokciami. Rodzice Sharon oraz jej przyjaciele, wśród nich Sadie, twierdzili, że wcześniej nigdy jej nie widzieli.

Drugą była duża koperta zawierająca kartkę z kilkunastoma słowami ułożonymi z liter wyciętych z gazet i naklejonych na papier. CIPA, KURWA, DZIWKI, DUPA, SZMATA, i podobne. Słowa te zostały jednak nieco zmienione. W każdym z nich przynajmniej jedna litera została wielokrotnie przekreślona czarnym pisakiem, tak że z wyrazu CIPA zostało IPA, z KURWA - KRWA, z DZIWKI - DZIWK. Zawartość koperty znali tylko kapitan Percy i komendant Schmidt, i zachowali tę wiedzę dla siebie. O ręce manekina wiedzieli wszyscy na posterunku. Franklin też o niej wiedział, ale Schmidt poprosił go, żeby nikomu o tym nie mówił. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ w ciągu dwóch dni o ręce wiedziało już całe miasto.

Uczyniona przez kapitana Percy'ego uwaga, że dostarczenie na komisarjat rzeczy Sharon wcale nie musiało oznaczać, iż człowiek, który ją wprowadził, mieszkał w Aurelius lub w najbliższej okolicy, nikomu nie trafiła do przekonania. Według powszechnej opinii sprawca zwrócił ubranie dziewczynki, żeby zakpić z policji. Ludzie postrzegali to jako akt ryzykanckiej odwagi. Poza tym, osoba ta być może nie życzyła sobie, by Daniel Layman z Somerset w Pensylwanii przypisywał sobie coś, co zrobił ktoś inny. Dla nikogo również nie ulegało wątpliwości, że ten „ktoś” jest mężczyzną.

Podobne przekonanie panowało w szeregach policji, przynajmniej według Ryana. Nie oznaczało to jednak, że kapitan Percy mógł oficjalnie poinformować tłum dziennikarzy, że jego zdaniem uprowadzenia Sharon Malloy dokonał jeden z mieszkańców miasta. Jestem przekonany, że dziennikarze uczestniczący w konferencji spodziewali się usłyszeć jakąś sensacyjną wiadomość. W pewnym sensie spotkało ich rozczarowanie. Fakt podrzucenia rzeczy Sharon był złowróżbny, brakowało mu jednak dramatyzmu. Wybuch doktora Malloya częściowo wynagrodził im ten niedostatek.

Tego wieczoru tysiące ludzi w całym stanie, a może i poza jego granicami, zobaczyło w telewizji, jak doktor Malloy zrywa się z miejsca i wykrzykuje: „Czy wy nie zdajecie sobie sprawy, że mówicie o dziecku? O czternastoletniej dziewczynce? Czy wiecie, jaka jest cudowna? Oczywiście, że ten, kto ją porwał, żyje w tym mieście. On jest tu, gdzieś między nami!”.

Nazajutrz w okolicznych gazetach ukazało się kilka artykułów podających w wątpliwość pełne zaangażowanie władz w wyjaśnienie losu Sharon Malloy. W rezultacie kapitan Percy otrzymał zgodę na włączenie do sprawy większej liczby ludzi. Oddział specjalny - tak o sobie mówili - liczył teraz dwadzieścia pięć osób.

Narastające przeświadczenie, że zbrodniarz żyje wśród nas, wzmogło presję na Tropicielei Prawdy. Dopóki ludzie wierzyli, że przestępca jest kimś z zewnątrz, patrzyli na Chihaniego i innych członków grupy co najwyżej podejrzliwie. O ewentualnym udziale lub współudziale Tropicielei w zbrodni mówili głośno jedynie tacy jak Hark Powers. Teraz żadne podejrzenia nie wydawały się już przesadzone. Wiadomość o rewizji w mieszkaniu Aarona potraktowano jako niezbity dowód jego winy. Od tej pory śledzono każdy ruch Chihaniego i pozostałych Tropicielei Prawdy. Barry skarżył się, że gdziekolwiek się ruszy, ludzie nie spuszczaają go z oka.

- Jakbym coś ukradł, albo co.

Paula McNeal usłyszała w biurze dziekana rozmowę, z której wynikało, że władze college'u zasięgnęły opinii prawników w sprawie możliwości ewentualnego zawieszenia Tropicielei jeszcze zanim zapadnie wyrok w sprawie wybryków na Homeland Cemetery.

Pod koniec tego tygodnia, w którym znaleziono rzeczy Sharon, Bob Jenks i Joany Rustoff przestali uczęszczać do college'u i wrócili do rodziców mieszkających w Utice. Kilka dni później pojechali do Seattle, gdzie starszy brat Boba pracował w firmie komputerowej. Oznaczało to, że w Aurelius zostało już tylko sześcioro Tropicielei, no i Chihani. Obawiam się, iż wyjazd Boba i Joany tylko wzmógł podejrzenia, zupełnie jakby ich ucieczka świadczyła o winie pozostałych. Rzecz jasna oboje poinformowali kapitana Percy'ego o swoich zamiarach i podali nowe adresy, żeby w każdej chwili mógł się z nimi skontaktować.

Wśród ludzi panowało przekonanie, że jeśli przestępcą istotnie był ktoś z miasta, to lepiej, żeby okazał się nim ktoś nie cieszący się sympatią. Aaron już wcześniej zdążył ściągnąć na siebie powszechną niechęć. Barry dziwnie wyglądał. Leon był potwornie otyły, co samo w sobie świadczyło o perwersji. Jesse i Shannon każdym gestem okazywali niechęć wobec status quo. Zimna uroda Harriet kazała ludziom myśleć, że dziewczyna uważa się za lepszą, niż jest w istocie. A do tego wszystkiego był jeszcze Houari Chihani ze swoim czerwonym citroenem.

Równocześnie jednak wiele osób obawiało się, iż zbrodniarzem okaże się ktoś, kogo nikt nie podejrzewa, któryś z tak zwanych filarów społeczności. Na przykład, może to doktor Malloy uprowadził i zamordował córkę? Albo Paul Leimbach - czy w podobnych przypadkach podejrzania nie padały często na członków rodziny? Gdyby tego czynu istotnie dopuścił się ktoś powszechnie szanowany, poczucie winy ogarnęłoby nas wszystkich. Nie poznaliśmy się na jego podwójnej grze. Traktowaliśmy go jak przyjaciela. Kiedy usunie się jeden z filarów, cała budowla zaczyna się niebezpiecznie kołysać. Znacznie lepiej, jeśli złoczyńcą okazuje się ktoś obcy. Ktoś, czyje nawyki i upodobania już i tak uczyniły go podejrzany.

Pojawienie się na schodkach przez komisariatem pudła z rzeczami Sharon znacznie uprawdopodobniło oskarżenia Harka. Hark od samego początku twierdził, że Tropiciele Prawdy maczali palce w zniknięciu Sharon. Teraz mógł pić piwo przy barze w Bud's Tavern i powtarzać „A nie mówiłem?” głośniejszym głosem niż kiedykolwiek. Jak tylko rozniosła się wiadomość o ręce manekina, niezwykłość tego faktu dodatkowo uwiarygodniła jego twierdzenia. Ręka manekina w plecaczku Sharon nie miała żadnego sensu. Było to okropne i bezsensowne. Hark twierdził, iż pod tym względem niczym się to nie różniło od fałszywych bomb Oscara lub bezsensownej agresji Aarona. Stopniowo zyskiwał coraz więcej słuchaczy, jego koleś zaś, pławiąc się w odbitym blasku popularności, powtarzał

bez przerwy, że od początku miał rację. Może trudno było nazwać ich wpływową grupą, niemniej jednak na pewno ściągali na siebie uwagę.

Ilu miał tych koleśków? Trzech: Jeba Hendricksa, który pracował w Midas Muffler; Erniego Corellego, zatrudnionego w Henderson's Plumbing and Heating; oraz Jimmy'ego Feldmana, woźnego w Knox Consolidated School. Zнали Harka od dzieciństwa, choć wszyscy byli od niego trochę młodszy. Jesienią wspólnie polowali, wiosną jeździli razem na ryby. Latem grywali w softball. Tylko Feldman był żonaty. Ożenił się jeszcze w szkole średniej - dziewczyna była w ciąży - i chyba już nie dokończył nauki.

Wszyscy, podobnie jak Hark, mieli nieustającą pretensję do całego świata. Jeśli ich ulubiona drużyna przegrała mecz, to tylko z powodu zakulisowych machlojek. Jeśli podniesiono podatki stanowe, to tylko dlatego, że zbyt dużo pieniędzy trafiało do miejskich urzędów, pomocy społecznej i chciwych mniejszości narodowych. Poza tym byli raczej zwyczajnymi młodymi ludźmi patrzącymi na świat i na swoje w nim miejsce z mieszaniną dezorientacji i rozczarowania. Lubili Harka, ponieważ miał zdanie na każdy temat, za wszystko zaś, co układało się nie po jego myśli, winił tych samych ludzi co oni: innych. Był od nich silniejszy, bardziej hałaśliwy, więcej pił i trafiał jelenia, kiedy wszyscy wokół chybiali. Niemal co wieczór jeden, dwóch lub trzech z nich albo wszyscy czterej przesiadywali w Bud's Tavern, pili piwo, grali w bilard i narzekali. Niekiedy przyłączał się do nich ktoś o podobnym stosunku do świata. Zaginięcie Sharon weszło na stałe do repertuaru ich rozmów.

- Założę się o swoje jedyne ucho, że Aaron McNeal maczał w tym swoje brudne paluchy - powtarzał wielokrotnie Hark Powers.

W takich dyskusjach prawda nie była pochodną logiki, lecz ; brała się wyłącznie z siły przekonania i zdolności zakrzywienia oponentów. Im więcej

uwagi ludzie poświęcali Harkowi, tym głośniejszy się stawał, aż w końcu sam uwierzył we wszystko, co mówił.

- Czy samochód tego Araba nie przejeżdżał obok miejsca, gdzie zniknęła Sharon? - pytał, a jego kolesie i pozostali słuchacze kiwali głowami. - Gliniarze mogą nie mieć dowodów, żeby postawić go przed sądem, ale ja wiem, ja po prostu to wiem, do jasnej cholery!

Należy jednak zaznaczyć, iż Hark nie był odosobniony w swoim sposobie myślenia, w innych pubach i barach w Aurelius można bowiem było usłyszeć argumenty bardzo podobne do tych, jakimi się posługiwał. Być może wykrzykiwał je najgłośniej, ale zgadzało się z nimi wielu. Zdarzało mi się słyszeć je nawet w pokoju nauczycielskim w Knox Consolidated.

Spośród wszystkich Tropicielei Prawdy najlepiej znałem Barry'ego, ponieważ najczęściej mnie odwiedzał. Od pierwszych dni września miał przyjaciela w Aurelius College, kogoś o imieniu Ralph, kto zamierzał zostać inżynierem elektrykiem. Uwaga, jaką Barry ściągał na siebie, będąc Tropicielem, od samego początku nie dawała Ralphowi spokoju. Po zniknięciu Sharon, kiedy grupa została oskarżona o zbezczeszczenie cmentarza, powiedział Barry'emu, że nie chce się już z nim spotykać, choć jednocześnie zapewniał go, że nie przestał być jego przyjacielem. Zdaje się, że w pokoju Barry'ego doszło między nimi do ostrej kłótni, podczas której Barry wyznał, że kocha Ralpha i że odbiera jego decyzję o zerwaniu jako okrutną zdradę.

W piątek - pięć dni po tym, jak na posterunek podrzucono rzeczy Sharon - Barry zjawił się u mnie. Nie czynił tajemnicy ze swego rozczarowania. Był samotny. Miał złamane serce. Był skazany na samotność do końca życia.

- Już nikt mnie nigdy nie polubi!
- A co z tym człowiekiem z miasta? - zapytałem.
- O kim pan mówi?

- O tym pierwszym, z którym się związałeś.

Wciąż mnie intrygował, ponieważ Barry nie ujawnił jego tożsamości.

- Nie lubię go.

- Co razem robiliście?

- Nic miłego.

- Czyli?

- Ja go masturbowałem, a on nawet mnie nie dotknął. I był bardzo surowy.

- Krzyczał na ciebie?

- Nie, ale kazał mi myć ręce i stał przy mnie, i pilnował, czy porządnie to robię.

Samotność Barry'ego wynikała w znacznej mierze z faktu, że na dobrą sprawę bywał tylko w dwóch miejscach: w szkole i domu matki, a tam raczej nie miał co liczyć na możliwość poznania nowych mężczyzn. Przez chwilę pomyślałem o Jaime Rose, należało jednak wątpić, czy zainteresuje się Barrym. Wiedziałem natomiast, że Jaime często bywał poza domem: grał w kręgle i należał do kółka ogrodniczego przy bibliotece. Od czasu do czasu widywałem go nawet w barach - oczywiście nie w Bud's Tavern, ale na przykład w barze w Gillian's Motel. Powiedziałem więc Barry'emu, że powinien więcej przebywać poza domem. Nie była to chyba bardzo radykalna rada.

- Ludzie się na mnie gapią - odparł.

- Nikogo nie poznasz, jeśli nie będziesz wychodził.

- Nie lubię pić.

- Przy bibliotece działają rozmaite kółka zainteresowań. Są tam klub jazzowy i klub podróżnika. Musisz się trochę uaktywnić.

Potrzeby i pragnienia są wyjątkowo egalitarne: wszyscy je mamy. Dręcząca Barry'ego potrzeba posiadania towarzystwa niczym nie różniła

się od potrzeb innych ludzi. W tę sobotę szkolny klub narciarski zorganizował w kafeterii college'u zabawę z udziałem miejscowego zespołu o nazwie Nieodpowiedzialne Zachowanie. Równocześnie jeden z wykładowców hiszpańskiego, Ricardo Diaz, wydawał w swoim domu meksykańskie przyjęcie.

W centrum miasta miało się odbyć spotkanie u masonów, Łosie organizowały aukcję, z której dochód miał być w całości przeznaczony na pokrycie kosztów związanych z występami drużyny w Małej Lidze. Kościół ewangelicki zapraszał na „przyjęcie naleśnikowe”, kilka włoskich restauracji pękało w szwach, ten zaś, kto stanąłby przed ratuszem i głęboko wciągnął powietrze, zapewne poczułby zapach oregano i oliwy. W barze w Gillian's Motel wszystkie panie mogły zamówić dwa drinki w cenie jednego, Bud's Tavern kusila darmowymi skrzydełkami kurczaka do każdego zamówienia, na parkingu przed kręgielnią nie było ani jednego wolnego miejsca. Dostawczy samochodzik z Domino's Pizza kursował prawie bez przerwy, w kinie przy pełnej sali wyświetlano film pod tytułem *Głupki*. Młodzi ludzie zatrudnieni w sklepie spożywczym przy Main Street nie nadążali z robieniem kanapek.

Właśnie w tę sobotę Barry Sanders wreszcie zdecydował się wyjść z domu i udał się do kręgielni - nie po to, żeby grać w kręgle, lecz po to, by usiąść przy stoliku i pić colę. Choć wydaje się to dość niewinnym zajęciem, Barry jednak uważał, że wykazał niesłychaną odwagę. Kto wie, co chodziło mu po głowie. Włożył nową niebieską koszulę, starannie uczesał białe włosy. Popijał colę, mrużył różowe oczy za grubymi szklami, najprawdopodobniej wzdrygał się przy każdym większym hałasie. Na swój sposób wyruszył hen, daleko poza miasto.

Aaron także wyszedł tego wieczoru z domu. Umówił się na drinka w Gillian's Motel z Jeanette Richards, a kiedy o wpół do ósmej wyszła, został jeszcze, by porozmawiać z Ronem Slavitem, piszącym wiersze

nauczycielem angielskiego ze szkoły średniej. Aaron twierdził, że poezja jest przeżytkiem, Ron Slavitt zaś utrzymywał coś wręcz przeciwnego. Przy barze samotnie pił Jaime Rose. Lubił wymyślne drinki z egzotycznymi owocami.

Franklin i Paula zabrali Sadie na kolację do Angotti's Spaghetti House. Paula próbowała nawiązać z nią rozmowę o szkole, lecz Sadie odpowiadała monosylabami. Zamiast spaghetti zamówiła hamburgera z frytkami. Kilka dni wcześniej zobaczyła w telewizji swój sweter, kiedy wrócił już z policyjnego laboratorium w Ithace. Nie powiedziała Pauli, że oddała go Sharon Malloy, i choć Paula teraz już o tym wiedziała, to Sadie dręczyło poczucie winy. Przyznała mi się później, iż nie mogła uwolnić się od okropnego podejrzenia, że policja zechce zwrócić jej sweter. Jej przerażenie wynikało nie z faktu, że sweter kojarzył się z Paulą, lecz z tego, że przez pewien czas należał do Sharon. Wyobrażała sobie nawet, że znajdzie na nim plamy krwi, które umknęły uwadze laborantów, co oczywiście było bardzo głupie. Kiedy jadła, jej włosy opadały tuż nad talerzem, niebezpiecznie blisko keczupu. Franklin i Paula kilka razy zamierzali powiedzieć, żeby je związała, ale się powstrzymali.

Ryan Tavich zaprosił Cookie Evans na kolację w Mike's Steak House w centrum handlowym. Ostatnio pracował po dwanaście godzin na dobę, doszedł więc do wniosku, że należy mu się odpoczynek. Wciąż jednak myślał o ręce manekina w plecaku Sharon. Myślał też o Janice McNeal, jej głosie i jej dotykających go dłoniach. Prawie je czuł i to wspomnienie sprawiało, że potrawy traciły dla niego smak.

Chociaż Cookie Evans niekiedy wręcz niszczyła go swoją niespożytą energią, Ryan lubił z nią wychodzić, ponieważ nie miała nic przeciwko temu, żeby brać na swoje barki ciężar prowadzenia rozmowy. Było jej właściwie wszystko jedno, czy Ryan cokolwiek mówi. Podczas kolacji opowiadała mu o kobietach, które w ubiegłym tygodniu zjawiły się w jej salonie kosmetycznym. Było ich zaskakująco dużo. Ryan kiwał głową,

uśmiechał się i myślał o Janice McNeal. Cookie wyliczała klientki na palcach. Miała długie ciemnoczerwone paznokcie oraz krótkie pofalowane włosy. Jej fryzura skojarzyła się Ryanowi z księżycowym krajobrazem; zanotował to sobie w pamięci, by powtórzyć Franklinowi, który wielokrotnie zarzucał mu brak poczucia humoru.

- Czy któraś z nich mówiła o Sharon Malloy? – zapytał w pewnej chwili.

Cookie spojrzała na niego z irytacją.

- Wszystkie o niej mówiły! I o swoich mężach, ma się rozumieć. Zdumiewające, ile z nich czuło, że coś im zagraża.

W Bud's Tavern Hark Powers rozprawiał na ten sam temat. Pracująca za barem Sheila Murphy podawała jemu oraz jego koleśiom kolejne kufle piwa i salaterki z chipsami. W pomieszczeniu unosił się dym, słychać było stukot bil. Z szafy grającej dobiegały dźwięki muzyki country, od czasu do czasu ktoś puścił jakąś starą piosenkę Sinatry.

- Widziałem w telewizji film, w którym morderca zawiózł zwłoki na cmentarz - opowiadał Hark. - Rozkopał świeży grób, położył trupa na trumnie i zasypał. Założę się, że gliniarze nie sprawdzili wszystkich grobów. Taki typek, co porwał jedną dziewczynkę, prędzej czy później porwie drugą. To jest jak choroba.

Razem z kolegami zamyślił się głęboko nad tą chorobą i nad sposobami jej powstrzymania.

Doktor Malloy spędził wieczór z najbliższą rodziną i Leimbachami. Wszyscy starali się zachowywać w miarę normalnie, była telewizja i rozmowy, niemniej jednak każdy przez cały czas czekał na dzwonek telefonu. Mój kuzyn Chuck Hawley siedział w radiowozie przed domem doktora. W siedzibie Przyjaciół Sharon Malloy kilkunastu ochotników, wśród nich Donald Malloy, szykowało ulotki i plakaty do wysyłki. Kapitan Percy siedział na swoim niedużym, wypielegnowanym ranczu w Potterville i czytał raporty dostarczone przez oddział specjalny zajmujący się sprawą Sharon Malloy. Nie znalazł w nich nic, czego by już

wcześniej nie wiedział.

Punktualnie o ósmej, kiedy podgrzewałem sobie zupę, Barry opuścił kręgielnię, wsiadł do swego przerdzewiałego forda fairlane i pojechał coś zjeść. Zgłodniał, a poza tym znudziło go gapienie się na grających w kręgle. Z nikim nie rozmawiał, nie chciał jednak jeszcze wracać do domu, gdzie matka natychmiast zapytałaby, gdzie był i czy dobrze się bawił. Potem zaczęłaby przyglądać mu się z niepokojem.

Przed barem szybkiej obsługi nie było wolnych miejsc, zaparkował więc przecznicę dalej. Nie lubił zatłoczonych parkingów, jako że potrzebował dużo miejsca, żeby zmieścić swój samochód. Był chłodny wieczór, na bezchmurnym niebie wisiał księżyc w drugiej kwadrze. Barry przystanął na chwilę i rozejrzał się w nadziei, że zobaczy klucz dzikich gęsi. Lubił im się przypatrywać, gdy przelatywały nad miastem w zwartym szyku, pokrzykując energicznie. Lecz tym razem usłyszał tylko szafę grającą w Bud's Tavern. Barry nie lubił muzyki country. Jego ulubiona grupa nazywała się Phish. Ogólnie rzecz biorąc, muzyka niewiele go obchodziła.

W barze zamówił kanapkę wegetariańską z serem i dużą colę. Chciał usiąść przy stoliku, ale zmienił zamiar, kiedy zobaczył pięciu wyrostków złowróźnie szczerzących do niego zęby. Barry dopiero co wszedł z dworu, zdawał więc sobie sprawę, że mruga bardziej niż zwykle. Kiedy stanął przy ladzie, odwrócony do tamtych plecami, usłyszał rzucone półgłosem swoje przezwisko:

- Prosiak!

Chociaż Barry wciąż nienawidził swego wyglądu, to zaczął go traktować ze sporą dawką stoicyzmu. Już nie zamierzał farbować sobie włosów, stosować makijażu ani nosić szkieł kontaktowych. Nie uśmiechało mu się jednak spożywanie posiłku w takich warunkach.

Wyszedł z baru i skierował się z powrotem do samochodu. Zamierzał pojechać na kampus i tam w spokoju zjeść swoją bułkę. Gdyby wrócił do domu, matka zażądałaby wyjaśnień, dlaczego wyrzuca pieniądze w

barach, skoro ona mogłaby zrobić mu w domu taką samą kanapkę.

Kiedy od samochodu dzieliło go już tylko kilkanaście kroków, ktoś zawołał:

- Hej, Prosiak! Zaczekaj!

Hark Powers wraz z trzema kumplami szli szybkim krokiem w jego stronę. Barry'ego ogarnęła chęć rzucenia się do ucieczki, ale jakoś ją przezwyciężył.

Hark zatrzymał się przed nim na chodniku, zagradzając mu drogę do samochodu zaparkowanego przed piekarnią Weavera. Barry rozpoznał Jeba Hendricksa, nie miał za to pojęcia, kim są tamci dwaj.

- Dokąd maszerujesz, Prosiaku? - zapytał Hark.

- Do domu.

- A czemu się tak spieszysz?

- Wcale się nie spieszę.

- Czeka mamusia? Pewnie nie chcesz się spóźnić.

Hark i Jeb Hendricks mieli na sobie dżinsowe kurtki, dwaj pozostali ciemne bluzy.

- Nie o to chodzi. Po prostu wracam do domu.

- A co tam masz?

W lewej ręce Barry niósł kubek z colą, w prawej kanapkę z serem, przypominającą rozmiarami niewielką piłkę do futbolu.

- Kanapkę.

- Zobaczmy... - Hark wyjął mu bułkę z ręki, rozwinął papier, rzucił go na chodnik, po czym odgryzł spory kęs. - Mmmm... niezła. Jeszcze ciepła. To lubię. Chcesz trochę, Jeb?

Przekazał kanapkę Jebowi, który ugryzł kawałek i podał ją Erniemu Corellemu. Barry w milczeniu przyglądał się, jak przeżuwają.

- Bez wędliny? - zdziwił się Ernie.

- Nie jadam mięsa - wyjaśnił Barry.

- Mięso mu szkodzi - powiedział Hark. - Od mięsa robi się bardziej Prosiakowy.

Barry zamierzał upomnieć się o kanapkę, doszedł jednak do wniosku, że już mu na niej nie zależy. Hark odgryzł kolejny kęs.

- Co masz do picia, Prosiaku? - zapytał z pełnymi ustami.
- Colę.
- Pokaż no.

Barry przycisnął kubek do piersi i cofnął się o krok.

- To moje.

Hark wytrącił mu kubek z ręki. Część coli wylała się na nowiutką koszulę Barry'ego, część chlusnęła na chodnik.

- Wygląda na to, że trochę się oblałeś, Barry – powiedział Hark.

Barry odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku baru. Nie miał już pieniędzy na drugą kanapkę, zamierzał jednak poczekać wewnątrz, aż Hark i jego kumple dokądś sobie pójda. Zimna, mokra koszula lepila mu się do ciała.

- Mówię do ciebie, Prosiaku!

Barry nie zareagował. Bał się Harka, ale jeszcze bardziej tego, że się rozplącze.

Hark złapał go za ramię, szarpnął, odwrócił i pchnął na ścianę budynku.

- Powiedziałem, że do ciebie mówię!

Zbliżył twarz na kilkanaście centymetrów. Od uderzenia w mur Barry'ego rozboleła głowa.

- Zostawcie mnie w spokoju!

Hark lekko uderzył go w twarz.

- Ja tu rozkazuję - poinformował uprzejmie.

Barry dostrzegł kątem oka jakąś postać stojącą przed wejściem do baru. Był to Aaron. Hark uderzył go mocniej.

- Mówię do ciebie, Prosiaku. Może opowiesz nam o Sharon?

- Co mam opowiedzieć?

Aaron wciąż stał nieruchomo.

- Chciałeś ją dotykać, prawda?

- Sharon? Po co miałbym ją dotykać?

Zastanawiał się, czy powinien zawołać Aarona. Wyjął chustkę z tylnej kieszeni spodni i próbował osuszyć koszulę. Mokra plama była przeraźliwie zimna.

- Słyszałem, że to ty podłożyłeś przed posterunkiem jej ubranie.

Barry spojrział na niego. Od Harka czuć było piwem.

- Ubranie?

- Dostałeś je od tego Araba?

Barry wykonał nagły zwrot w lewo i pognął pędem w kierunku baru. Zdążył przebiec najwyżej dwa metry, kiedy Hark skoczył mu na plecy i powalił na chodnik. Barry wylądował na brzuchu, okulary spadły mu z nosa. Hark natychmiast odwrócił go na plecy i zaczął okładać pięściami.

- Nie pozwoliłem ci nigdzie iść! - krzyczał.

Barry leżał bez ruchu, rozpaczliwie zasłaniając twarz. Hark siedział na nim okrakiem i młócił rękami, większość ciosów spadała na ręce, przedramiona i łokcie. Nagle jakby dał susa wstecz; Barry otworzył oczy i zobaczył, jak Aaron ciągnie Harka po chodniku, trzymając go za włosy. Hark wyrwał się, stanął na nogi i usiłował uderzyć Aarona. Aaron kopnął go, w chwilę później otrzymał ciosy od Jeba Hendricksa, Erniego Corelego i Jimmy'ego Feldmana. Usiłował się bronić, przywarł plecami do zaparkowanego samochodu i starał się zadawać uderzenia, ale niezbyt mu to wychodziło. Barry zwinął się w kłębek i ponownie zasłonił twarz. Nie mógł znieść widoku czterech mężczyzn bijących Aarona, nie mógł znieść tępych odgłosów uderzeń. Żałował, że jest tchórzem.

Aaron osunął się na ziemię. Napastnicy próbowali go kopać, ale wchodzili sobie w drogę. W pewnej chwili Barry usłyszał ciężki tupot. Zerknąwszy przez palce, ujrzał Ryana Tavicha.

- Policja! - zawołał Ryan.

Złapał Harka za kołnierz i odciągnął. Pozostali odstąpili od leżącego nieruchomo Aarona.

- Napadli na mnie - powiedział Barry. Próbował wstać, lecz kolana odmawiały mu posłuszeństwa. - Zabrali mi kanapkę. Aaron próbował ich powstrzymać.

Otarł oczy i rozejrzał się w poszukiwaniu okularów. Ryan trzymał Harka za ramię. Dookoła zgromadziło się już kilkanaście osób, w tym również wyrostki z baru.

- Zapytaj ich o Sharon Malloy - wycedził Hark przez zęby.

Aaron wstał. Miał zakrwawioną twarz. Schylił się, podniósł okulary Barry'ego i oddał mu je. Nadjechał radiowóz z migającymi światłami na dachu.

- Powinieneś trochę bardziej uważać - Aaron zwrócił się do Harka. - Zostało ci już tylko jedno ucho.

Ryan wciąż przytrzymywał Harka Powersa za ramię. Aaron podszedł nieco bliżej, a następnie z całej siły kopnął Harka w krocz. Hark stęknął głośno i zgiął się wpół. Chwilę później jeden z policjantów chwycił Aarona od tyłu i obezwładnił.

Miałem cztery lata, kiedy mego ojca wysłano do Korei, skąd już nie wrócił. Moja matka przeprowadziła się ze mną do Aurelius, do swojej matki. Wcześniej mieszkaliśmy w Utice, lecz niewiele z tego pamiętam: duzi ludzie, zatłoczone ulice. Dziadek już wtedy nie żył, babcia natomiast cieszyła się doskonałym zdrowiem, grywała namiętnie w brydża i udzielała się w kółku parafialnym. Rodzina ojca pochodziła z Uteki. Prawie ich nie znałem. Od czasu do czasu zaglądał do nas na pół godziny jakiś wujek bawiący akurat przejazdem w Aurelius. Wyjazd ojca powinien pograć mnie w żalu, ja tymczasem byłem zadowolony. Nie okazywałem jednak swojej radości, matce bowiem bardzo go brakowało, a kiedy nadeszła wiadomość o jego śmierci, przepłakała wiele dni. Oczywiście odczuwałem potworne wyrzuty sumienia i nawet przyszło mi do głowy, że to wszystko moja wina, że zginął dlatego, iż cieszyłem się, że nie ma go w domu.

Przeprowadziliśmy się latem, kiedy Aurelius tonęło w zieleni. Wszędzie rosły kwiaty. Codziennie od rana do wieczora przebywałem z matką. Czytała mi, chodziliśmy na spacer. Opowiadała mi historie o ludziach mieszkających w domach, które mijaliśmy. Ojca zapamiętałem jako surowego człowieka. Niekiedy łaskotał mnie, a potem podrzucał wysoko. Bardzo się tego bałem. Bez niego czułem się znacznie lepiej. Jeśli czasem mawia się, że troje to za wiele, to w tej konfiguracji zbytecznym elementem był właśnie mój ojciec. Po jego śmierci rzadko o nim myślałem. Rzecz jasna otrzymywałem mnóstwo dowodów współczucia.

Ludzie głaskali mnie po głowie i mówili, jakie to okropne, że nie mam ojca. W związku z tym również dręczyło mnie poczucie winy. Jeśli chodzi o moją babcię, to stanowiła ona łagodniejszą i powolniejszą wersję mojej matki, też mi czytała i też zabierała na spacer. To były bardzo szczęśliwe lata.

Na początku lat pięćdziesiątych Aurelius tętniło życiem, wciąż jeszcze funkcjonowało połączenie kolejowe z Utiłą. Regionalny festyn w Potterville był naprawdę ważnym wydarzeniem, każdego lata zaś w samym Aurelius organizowano Dzień Strażaka z wielkim piknikiem i mnóstwem atrakcji. Zawsze wyczekiwałem go z utęsknieniem i ogromnie chlubiłem się sprawnością w rzucaniu strzałkami w balony, choć nie wydaje mi się, aby była ona czymś nadzwyczajnym. W kinie na sobotnich popołudniowych seansach prezentowano dwa filmy. Kiedyś przyjechał hipnotyzer i zahipnotyzował połowę widowni; pamiętam, jak bardzo żałowałem, że nie dałem się zahipnotyzować. Szczęśliwcy, których to spotkało, kwakali jak kaczkę, skomleli jak szczenięta i wspinali się po nieistniejącej linii. Było to ogromnie zabawne.

Chcę przez to powiedzieć, że miasto stanowiło jakby przybudówkę do domu mojej matki. Mogłem wszędzie chodzić, choć matka uprzedzała mnie, żebym nie zbliżał się do torów kolejowych ani do rzeki. Mimo to w weekendy uganiałem się między stojącymi na bocznicach wagonami i mało było rzeczy, które sprawiały mi większą radość od rzucania kamieniami do rzeki albo spuszczenia ich z mostu. Miałem kilku przyjaciół, choć nie łączyły nas bardzo silne więzy, a to z uwagi na to, że dość słabo radziłem sobie na boisku. Nie ulega jednak wątpliwości, iż uważałem za oczywiste, że otaczający mnie ludzie mają wyłącznie dobre zamiary i że znikąd nie grozi mi niebezpieczeństwo. Oczywiście unikałem niektórych ulic, czy to ze względu na groźnego psa, czy na mieszkającego przy niej osiłka w rodzaju Harka Powersa, ale na dobrą sprawę nie wiedziałem, co to strach. Korea i komunizm były daleko, wystarczyło zaś tylko posłuchać

opowieści któregoś z dość licznych weteranów drugiej wojny światowej, aby dojść do wniosku, że wojny skończyły się na dobre.

Nie wiem, czy mogę nazwać moje dzieciństwo idealnym. Często bywałem samotny i czułem, że różnię się od innych dzieci - częściowo dlatego, że nie miałem ojca, częściowo dlatego, że byłem marnym sportowcem, a częściowo ze względu na okulary. Czasem nazywano mnie maminsynkiem. Bardzo tego nie lubiłem. Kuzyn Chuck był ode mnie młodszy o kilka lat, a i tak był najstarszy z czworga rodzeństwa. Widywałem się z nimi dość często, ale przecież nie mogłem traktować serio takich malców. Matka Chucka była siostrą mojej matki; jeszcze jedna kobieta, która zawsze dobrze mnie traktowała. Mogłem do woli buszować w jej lodówce i szufladach. Jeśli podczas rowerowych szaleństw poczułem nagle, że jestem głodny, mogłem wpaść na małą przekąskę do jej domu jak do własnego.

Moja ciotka jest teraz starą kobietą. Matka i babka nie żyją. Spośród moich kuzynów tylko Chuck pozostał w Aurelius i choć czasem rozmawiamy, to nie jesteśmy sobie bliscy. Na gwiazdkę kupuję mu butelkę whisky, jego żona zaś kupuje mi krawat. Jednak w czasach, które opisuję, Aurelius przypominało zaledwie szkielet miasta, jakim było przed czterdziestu laty. Nie dało się o nim powiedzieć, żeby było przybudówką do czyjegokolwiek domu.

Kiedy dwadzieścia lat temu wróciłem do Aurelius z Nowego Jorku, spodziewałem się zastać miasto takim, jakim było na początku lat pięćdziesiątych. Tymczasem budynek dworcowy przeistoczył się w pizzerię, na Main Street straszły puste sklepy. Wciąż jednak, w porównaniu z Nowym Jorkiem, było tu idealnie. Ludzie nie zamykali domów ani samochodów. Kiedy Jack Shelbourne zainstalował alarm w swoim BMW, dzieciaki z upodobaniem kołysały samochodem, by usłyszeć wycie syreny. Wcześniej nikt tu czegoś takiego nie słyszał.

Znałem wiele pokoleń tutejszych rodzin. Znałem ojca Harka Powersa. Miał jakieś dziesięć lat więcej ode mnie i był farmerem. Znałem również

jego dziadka. Ojciec Harka zmuszał go do występów w Małej Lidze i ludzie powiadali, że za każdy słabszy mecz karał go laniem. Dawno temu ojciec Harka miał przez kilka lat forda coupé z 1949 roku - z usuniętymi klapami silnika i kufra - pomalowanego na lśniący kasztanowy kolor. Tłumik wydawał niski melodyjny odgłos. W sobotnie wieczory w nieukończoność obwoził nim przyjaciół po centrum miasta albo razem z którymś z kumpli urządzali sobie podwójną randkę i jechali z dziewczynami do kina dla zmotoryzowanych w Norwich. Ożenił się, mając dziewiętnaście lat, niespełna rok później przyszedł na świat najstarszy brat Harka. Matka Harka pochodziła z Morrisville. Jestem pewien, że po raz pierwszy zwróciłem na nią uwagę dopiero kilka miesięcy po jej ślubie, a i to tylko dlatego, że była w zaawansowanej ciąży. Miała wyjątkowo delikatne jasne włosy, prawie jak dziecko, i duże błękitne oczy. W ciągu siedmiu lat urodziła czterech chłopców, a potem, po dziesięcioletniej przerwie, Harka. Pamiętam jak kiedyś, gdy jeszcze mieliśmy w centrum dom towarowy Woolworth's, Hark zgubił się matce podczas zakupów. Gdy go zobaczyłem - przypuszczalnie pierwszy raz - siedział na podłodze w dziale z damską bielizną i ryczał wniebogłosy. Miał wówczas mniej więcej trzy lata i był bardzo pyzaty. Podłogi były wtedy jeszcze drewniane, kiedy więc ludzie rzucili mu się na ratunek, ich kroki zadudniły jak na pokładzie żaglowca. Nie mam pojęcia z jakiej okazji, w każdym razie tego dnia Hark miał na sobie granatowy marynarski mundurek z krótkimi spodenkami. Płacząc, zaciskał mocno powieki. Przybiegła matka, złapała go na ręce, potrząsnęła nim, a potem pocałowała i rozejrzała się dookoła, jakby w poszukiwaniu tego, kto przestraszył jej synka. Stałem kilka kroków od nich, ona zaś zmierzyła mnie takim spojrzeniem, jakbym dał mu kuksańca albo zrobił przeraźliwą minę. Umarła, kiedy Hark był w szkole średniej. Nie wiem, czy na raka, czy na coś innego. Tak czy inaczej, nie zdążyła zobaczyć go z jednym uchem.

Teraz, mijając sąsiadów podczas codziennego joggingu, widziałem ich niepewność, a ponieważ spoglądałem na nich przez pryzmat własnej niepewności, wydawała mi się ona jeszcze większa niż w istocie. Trudno było mi nie sięgać wstecz, by przypomnieć sobie, jacy byli w dawnych, szczęśliwszych czasach.

Harry Martini, dyrektor Knox Consolidated, był pulchnym chłopcem ze strzechą czarnych włosów, informującym każdego, kto mu się nawinał, że jest w stanie przeliterować słowo „czterometylodwuarsyna”. Nieusatsfakcjonowany tym niewątpliwym osiągnięciem nauczył się literować je również wspak. Zdarzało się, że zaczepiał ludzi na ulicy, by pochwalić się swoją umiejętnością. Równie dobrze radził sobie z wyrazem „nitroalizaryna”, chociaż nikt, jego samego nie wyłączając, nie miał pojęcia, co on oznacza. Nie twierdzę, że dzięki swoim zamięowaniom został w końcu dyrektorem szkoły średniej, chociaż kto wie...

Phil Schmidt, nasz szef policji, był gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej. Podobno niewiele brakowało, żeby w związku z tym dostał sportowe stypendium i uczył się dalej w college'u w Syracuse, ostatecznie jednak przypadło ono jakiemuś kolorowemu chłopcu. Krótco potem właśnie w Syracuse zabłysła gwiazda Jima Browna, ja zaś bardzo długo przypuszczałem - całkowicie mylnie, jak się okazało - że właśnie Jim Brown dostał to stypendium.

Nasz burmistrz, Bernie Kowalski, urządził przyjęcia w letnim domu rodziców nad Round Lake. Jako siedemnastolatek uczestniczyłem w jednym z nich. Było piwo, chłopcy i dziewczęta całowali się albo tańczyli przy dźwiękach *Teen Angel*. Legalnie piło się wtedy od osiemnastego roku życia, co wydaje mi się całkiem rozsądne. Bernie nie pozwalał nikomu dotykać gramofonu. Palił pall maile i miał dziewczynę z Norwich imieniem Suzie, która cieszyła się opinią bardzo doświadczonej. Stałem na pomoście i rzucałem kamienie do wody. Bałem się napić piwa, żeby matka nie poczuła ode mnie zapachu alkoholu. Bałem się zatańczyć, żeby matka nie poczuła ode mnie zapachu perfum. Przyjechałem z kilkoma

kolegami i nie mogłem wyjść, dopóki oni się bawili. Był czerwiec, tuż przed końcem roku szkolnego. Około północy kilka osób, głównie dziewcząt, zostało wrzuconych do jeziora. Pewien futbolista nazwiskiem Herchel Morgan wrzucił tam i mnie, ponieważ, jak powiedział, nie spodobał mu się wyraz mojej twarzy.

Wiele lat później, kiedy wróciłem z Nowego Jorku, Cookie Evans była cheerleaderką w szkole średniej. Szczupła i nieduża, mogła szybować wysoko w górę, a uśmiech nigdy nie znikał z jej twarzy. Nosiła grubą błękitną bluzę ze zlocistą literą A z przodu. Miała wysoki, niemal piskliwy głosik. Już wtedy zyskała sobie opinię nieuleczalnej gaduły. W ostatniej klasie trochę urosła, a głos jej się pogłębił. Jej matka twierdziła, że to wielka szkoda, gdyby tak się bowiem nie stało, mogłaby dostać pracę w cyrku.

Megan Kelly jest dzisiaj korpulentną starszą panią, która ledwo wiąże koniec z końcem, sprzątając u ludzi i wykonując różne dorywcze prace, na przykład opiekując się Sadie. W młodości Megan była piękną, postawną kobietą. Miała cztery córki, wszystkie należały do żeńskiej drużyny skautów. Kiedy na wiosnę skauci piekli i sprzedawali ciasteczka, moja matka kupowała je wyłącznie od córek pani Kelly. Później dziewczęta utworzyły zespół wokalny. Nazwały się Kellyettes, wywijały batutami i śpiewały *How Much Is That Doggie in the Window*. Ludzie pisali o nich listy do „Ted Mack's Amateur Hour”, ale nic z tego nie wyszło i nie wystąpiły w telewizji.

Niekiedy wyobrażam sobie Janice McNeal, Franklina lub Ryana Tavicha jako dzieci. Żadne z nich tu nie mieszkało. Słuchali wiadomości z Wietnamu i nowych piosenek Beatlesów. Mieli rowery. Uwielbiali gwiazdy filmowe i wybitnych sportowców. Obwieszali plakatami ściany swoich pokojów. Mieli psy albo koty, którym zwierzali się z najskrytszych tajemnic.

Allen i Donald Malloyowie wychowywali się w okolicy Rochester, w Spencerport, jeśli się nie mylę. Paul Leimbach wspominał o żaglówkach, którymi pływali po jeziorze Ontario. Pasja żeglowania pozostała im do

dzisiaj; doktor Malloy zaczął już nawet szkolić Sharon. Mniej więcej rok temu wydawał przyjęcie z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin. W zawiadomieniu znalazło się również jego zdjęcie z dzieciństwa. Miał na nim około ośmiu lat. Był ubrany w krótkie spodenki, białą koszulę, marynarkę, miał też krawat. Jego twarz była okrągła jak pieniążek, a jasne włosy ostrzyżone prawie na jeża. Stał z bardzo poważną miną na werandzie domu obitego pomalowanymi na biało deskami. W wyciągniętej lewej ręce trzymał jo-jo. Na najniższym stopniu, u jego stóp, siedział trzyletni Donald i z wyrazem nabożnego zachwytu na twarzy wpatrywał się w trzymaną przez brata zabawkę.

Paul Leimbach chodził do szkoły dwie klasy niżej ode mnie. Był szczupłym, bardzo poważnym chłopcem, cieszącym się opinią matematycznego geniusza. Miał ogromną kolekcję kart baseballowych i lubił zaskakiwać kolegów - nawet tych starszych - pytaniami o to, ile punktów zdobył Ted Williams w sezonie 1956 albo ile celnych uderzeń w sezonie 1955 zanotował na swoim koncie Jackie Robinson. Znał te dane na pamięć i wcale się nie przejmował tym, że poza nim nikogo one nie obchodziły. Swoją kolekcję trzymał w niedużym niebieskim etui. To przede wszystkim ona wyróżniała go spośród dzieciarni. Paul miał ciemne oczy, ciemne włosy, gęste czarne brwi i często przez długie minuty stał nieruchomo jak słup, trzymając etui w ręce. Było niemal widać szeregi cyfr i liczb przemykających przez jego umysł. Jak wyobrażał sobie wtedy swoją przyszłość? Teraz jest księgowym w małym miasteczku, a bratanica jego żony zaginęła bez śladu.

Wędruję przez Aurelius i patrzę na tych ludzi i ich skomplikowane, czasem szczęśliwe, a czasem nieszczęśliwe życie. Młodszych znam niemal od urodzenia. W dzieciństwie Aaron był zupełnie inny niż obecnie: przyjazny, pogodny i otwarty. Wspominałem już, jak rozwoził na rowerze gazety, a jego pies gonił za nim. Ponieważ pracowałem z ojcem, siłą rzeczy zwracałem również uwagę na syna, i to na długo zanim dowiedziałem się

o stylu życia jego matki. Pies Aarona uwielbiał aportować patyki. Niekiedy przynosił je nawet obcym i tak długo uderzał nimi ich nogi, aż wreszcie zwrócił na siebie uwagę. Któregoś dnia zginął na autostradzie pod ciężarówką. Aaron pracował jako roznosiciel gazet do czternastego roku życia. Jego ojciec chwalił się, że Aaron sam kupuje sobie ubrania, co wywoływało we mnie mieszane uczucia, ponieważ wiedziałem, że Patrick całkiem nieźle zarabia. Oczywiście nie powiedziałem ani słowa na ten temat. Gdy Aaron ukończył szkołę podstawową, zaczęła się w nim dokonywać transformacja, w której rezultacie stał się taki jak teraz: milczący i tajemniczy, nierzadko postępujący w trudny do wytłumaczenia sposób.

Barry Sanders był różowym, pulchnym dzieckiem o białych włosach. Nosił grube szkła, nigdy nie widziałem, żeby biegał lub bawił się z rówieśnikami. Jak już mówiłem, jego ojciec zniknął bez śladu, kiedy Barry miał dwa lata, matka zaś szczerze otoczyła go kokonem rodzicielskiej opieki. Latem musiał nosić słomkowy kowbojski kapelusz, który miał chronić przed słońcem jego delikatną cerę. Dzieciaki wciąż mu go zabierały, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego protesty. Dość często kapelusz zdobił głowę stojącego przed ratuszem posągu przedstawiającego żołnierza wojny domowej z muszkietem w rękach. Przejeżdżałem obok ratusza, widziałem kapelusz na głowie żołnierza i wyobrażałem sobie Barry'ego szlochającego w jakimś kącie. Policjantem był wówczas Potter Malone, bardzo miły człowiek, który uznał za swój obowiązek odnosić Barry'emu jego kapelusz. Szczerze mówiąc, można było mieć wrażenie, że jest to jego j e d y n y obowiązek, dlatego kiedyś, podczas jednego z posiedzeń rady miejskiej, ktoś zauważył z przekąsem, że miasto utrzymuje policjanta tylko po to, żeby Barry'emu Sandersowi miał kto zwracać kapelusz. Po jakimś czasie Potter Malone przeszedł na emeryturę i wyjechał na Florydę.

Kiedy przychodzi do mnie Sadie Moore, rozsiada się na kanapie i od-
rabia lekcje albo czyta *Anię z Zielonego Wzgórza*, widzę nie tylko jej
aktualną twarz, lecz również poprzednie twarze, z ośmioletnią - wysma-
rowaną czekoladą - włącznie. Często siaduje przy kuchennym stole i
długo wpatruje się w szczura zamkniętego w słoju z formaliną. Łokcie
opiera na blacie, twarz zbliża do szczurzego pyska.

- Pewnego razu Powolniak przechodził przez jezdnię, kiedy nagle
nadjechała ogromna ciężarówka. I wiesz, co się wtedy stało?

- Przejechała go? - zaryzykowałem.

- Nie. Uratował go policjant. Możliwe, że to był Ryan.

Albo spogląda na zakonserwowanego grzechotnika i pyta:

- Dlaczego ludzie boją się węży? Wcale nie są groźne, tylko smutne.

Równie dobrze pamiętam kumpli Harka: Jeba Hendricksa, Erniego
Corellego, Jimmy'ego Feldmana. Jeba i Erniego uczyłem w ósmej klasie.
Byli głupi i rozkojarzeni. Pamiętam ich jednak również z wcześniejszych
lat, kiedy skakali „na bombę” do basenu w Lincoln Park lub śmigali na
rowerach bocznymi ulicami miasta. Dorastając, zachowywali się tak, jak
należało oczekiwać. Na początku tego procesu była niewinność, ale co
czekało na końcu?

O czym myśli Hark Powers, kiedy patrzy w lustro i widzi bliźnię tam,
gdzie powinno być jego lewe ucho? O czym myśli Barry, kiedy mrużąc
oczy spogląda na swoje odbicie? Czy Aaron, patrząc na swoją twarz pod-
czas golenia, zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest podobny do matki? A co
widzi w swojej twarzy człowiek, który porwał Sharon Malloy? Czy wy-
czuwa lodowy soplek w głębi swego serca?

Pięć lat temu w Aurelius wystawiano jasełka. Anielski chór otaczał
stajenkę w Betlejem. Aniołami były dziewczynki ze szkoły podstawowej.
Śpiewały *Cichą noc*. Wśród nich znajdowały się Sadie, Sharon Malloy,
Sarah Patton, Meg Shiller, Bonnie McBride i Hillary Debois. Miały na

sobie udrapowane szaty z prześcieradeł ozdobione różnymi błyskotkami. Do białego płótna przypinano mnóstwo broszek, klipsów i innych świecidełek. Przy każdym ruchu stroje mieniły się tysiącem różnokolorowych iskier. Wycięte z kartonu skrzydła były pokryte srebrzystą folią, druciane aureole lśniły złościście. Od wysokich, piskliwych głosików dziewcząt aż bolały mnie zęby. Myśląc o Sharon Malloy, widzę ją również jako anioła śpiewającego *Cichą noc*. Przypuszczam, że podobnie ma się sprawa z wieloma ludźmi z naszego miasta.

Zniknięcie Sharon wywołało tak wielkie przerażenie nie tylko dlatego, że najprawdopodobniej oznaczało, iż Sharon nie żyje; ono napiętnowało znamieniem śmierci wszystkie te dziewczynki. Stały się potencjalnymi okazami, jak te w moich słojach. Czy Bonnie McBride dożyje końca szkoły? Czy Hillary Debois dożyje dorosłości? Czy Sadie będzie miała okazję obchodzić dwudzieste urodziny? Nasze miasto okrył cień. Kto jeszcze zniknie? I jakimi tragicznymi wydarzeniami zaowocują nieufność i podejrzenia, które spłynęły na nas razem z cieniem?

Nie wiem jak w innych miastach, ale w Aurelius Halloween z biegiem lat nabierało coraz większego znaczenia. Za mojego dzieciństwa po prostu zakładało się maskę albo kostium domowej roboty, i biegało od drzwi do drzwi, żądając słodyczy. Teraz kostiumy stały się bardzo kosztowne, tak że niekiedy tylko wypożycza się je na tę jedną noc. Mieszkańcy ozdabiają swoje domy dekoracjami z migających lampek, ustawiają w ogródkach sztuczne dynie lub nagrobki, rozwieszają ogromne sztuczne pajęczyny i szkielety. W oknach migoczą elektryczne świece. Naturalnej wielkości kukły wiszą na drzewach albo leżą na chodnikach, niekiedy z nożami sterczącymi z brzuchów albo klatek piersiowych. To wszystko przypomina mi religijne święto, w którym zabrakło miejsca dla jakiegokolwiek bóstwa.

Dzieci również mają teraz większe oczekiwania: wielkie batony, pudła wypełnione po brzegi cukierkami, nawet pieniądze. Kiedy jakiś czas temu obdzieliłem tabliczką czekolady stojącą przed moimi drzwiami gromadkę, dzieciaki popatrzyły po sobie ze zdumieniem i zapytały, czy to wszystko. Jeden chłopczyk wręcz odmówił przyjęcia poczęstunku.

Jeśli w Halloween jest coś religijnego, to doprawdy trudno się domyślić, jaka to może być religia. Chyba niezbyt przyjemna. Przed laty przepływało się słodyczami stukające do drzwi demony, obecnie można odnieść wrażenie, że mieszkańcy sprzymierzili się z nimi lub, co gorsza, starają się je odstraszyć za pomocą nagrobków, kukieł udających zwłoki,

szkieletów, a także wrzasków, których bogaty repertuar oferują kasety magnetofonowe i płyty, towarzyszy zaś temu takie szaleństwo, jakby wszyscy zabiegali o względy samego Księcia Ciemności.

Kiedy byłem młody, w Halloween włóczyły się po mieście grupy młodocianych rozrabiaków, którzy zamalowywali ludziom okna mydłem i przewracali kosze ze śmieciami. Obecnie żarty stały się znacznie groźniejsze. Któregoś roku samochód Helen Berger został przewrócony na dach, podpalono garaż przy Alfred Street, włożono petardy w rury wydechowe kilku samochodów i ogolono do gołej skóry psa pani Parson, owczarka szkockiego wabiącego się Ollie. Niepoważne i niebezpieczne wygłupy, tak oceniła to policja, można było jednak podejrzewać, iż takie zachowanie ma służyć wezwaniu albo nawet oblaskawieniu jakiejś mrocznej siły. I to nie tylko nastolatkiw pozwalali sobie na te wybryki. Na przykład Hark Powers i jego trzech kolesie byli już dorosłymi ludźmi, a wciąż z upodobaniem czynili zamieszanie.

Wszyscy czterej oraz Aaron zostali oskarżeni o zakłócenie porządku publicznego w miniony sobotni wieczór. Co prawda Aaron był bardziej ofiarą niż napastnikiem, ale Ryanowi nie spodobał się kopniak wymierzony unieruchomionemu Harkowi. Wszyscy otrzymali identyczną karę w postaci trzystudolarowej grzywny. Policja zadzwoniła do matki Barry'ego, ta zaś natychmiast przyjechała po syna. Tak więc tego wieczoru Barry jednak zjadł kolację w domu, w towarzystwie matki pytającej go co chwila, jak to się stało, że wpakował się w takie kłopoty.

Ponieważ ostatni cios zadał Aaron, sprawa pozostała nierozstrzygnięta. Hark był wściekły, że wyszedł przed kumplami na idiotę. Dostał kopniaka w jaja i nie zdołał się zrewanżować. Rozprawiał na ten temat w Bud's Tavern i w pracy i jego urażona duma puchła coraz bardziej. W jego przekonaniu Aaron zasługiwał na znacznie więcej niż grzywnę. Jeb i Ernie utwierdzali go w poczuciu krzywdy. Pytali, co zamierza teraz zrobić i jak chce się zemścić. Hark po prostu musiał jakoś

zareagować, choćby po to, by odzyskać władzę nad kolegami.

- Zaczekajcie do Halloween - powtarzał.

Słyszało go wiele osób, w tym również Sheila Murphy. Później wszyscy opowiedzieli o tym w sądzie.

Zaginiecie Sharon wprowadziło do tegorocznego Halloween dodatkową dawkę grozy i niepokoju. Niewielu dzieciom pozwalano biegać samotnie po mieście. Albo wyruszały grupami, albo wozili je rodzice. W wielu domach urządzono dla nich zabawy i przyjęcia, żeby w ogóle nie wychodziły. Noc także nie należała do przyjemnych: było zimno i siąpił deszcz, który nad ranem zamienił się w gęsty śnieg.

Sadie przebrała się za wampira. Włożyła czarną suknię i czarną perukę, twarz pomalowała na białą, a usta na ciemnoczerwono. Odwiedzała domy z dwiema przyjaciółkami: Meg Shiller i Hillary Debois. Meg udawała ofiarę wypadku drogowego - cała była poobwijana zakrwawionymi bandażami, lewą nogę miała w gipsie. Hillary przebrała się za zombie; potrzasała peruką, szczyrzyła plastikowe zęby i nosiła pałkę przebitą gwoździem. Zajrzały również do mnie. Miały niezbyt tęgie miny, zaproponowałem więc, że będę im towarzyszył. Nie było to najszcześniejsze posunięcie, mój pomysł bowiem tak bardzo je przeraził, że zaraz zupełnie zapomniały o strachu, a więc i ostrożności. Zabawnie się czułem, patrząc na te trzy upiorne postaci zajadające słodczyce w moim pokoju i widząc wyzierającą spod makijażu i przebrania ich trzynastoletnią urodę.

Jeśli o mnie chodzi, to spędziłem wieczór, siedząc przy drzwiach i rozdając milky way, snickersy i marsy. Miałem sporo prac uczniów do przejrzania, wątpię jednak, czy między szóstą a dziewiątą zdołałem poświęcić im więcej niż pięć minut. Dzieciaki były przemoczone i zziębnięte, przypominały raczej uchodźców niż demony. Często towarzyszyli im rodzice, czekając w dyskretnym oddaleniu. Niektórzy mieszkańcy również się poprzebierali, w związku z czym małych gości witały większe,

dorośle wersje strzyg, wampirów i wilkołaków. Ja miałem na sobie to co zwykle, czyli niebieski rozpinany sweter, koszulę i krawat. Nawet jeśli to także był kostium, to przynajmniej taki, jakiego ludzie po mnie oczekiwali.

Hark i jego przyjaciele przywdziali jedynie szczątkowe kostiumy. Hark założył czarną maskę z wąsami i czapeczkę baseballową, Jeb Hendricks - maskę upiora, Ernie Corelli natomiast zdecydował się na maskę Myszki Miki. Jimmy Feldman miał zieloną maskę konika polnego. Wyruszyli w objazd czerwonym chevroletem blazerem Jeba, ze skrzynką schłodzonego piwa na tylnym siedzeniu. Im dłużej jeździli, tym większego animuszu nabierali.

Najpierw kręcili się trochę po mieście, potem pojechali do college'u, gdzie odbywała się zabawa z okazji Halloween. Jeb ryknął silnikiem na jakiegoś przechodzącego przez jezdnię dzieciaka. Następnie wyruszyli poza miasto, by potrenować baseball na skrzynkach pocztowych. Zniszczyli ich sześć lub siedem. Tom Schneider usłyszał, jak rozbijają kijami jego skrzynkę i wyruszył w pościg swoim pick-upem, ale mu uciekli. Około ósmej zajechali przed budynek, w którym mieszkał Aaron. W oknach jego mieszkania było ciemno. Mimo to weszli do środka i przez jakiś czas łomotali do drzwi. Zamierzali wyciągnąć Aarona z mieszkania i zostawić go na golasa przed ratuszem albo przywiązać - również nagiego - do pomnika i spryskać żółtą farbą w aerozolu. Dyskusja, którą opcję wybrać, sprawiała im ogromną przyjemność, tym boleśniej odczuli więc rozczarowanie, kiedy okazało się, że Aarona nie ma w domu.

Blazer Jeba miał wyjątkowo głośny tłumik, toteż wiele osób słyszało, jak przyjeżdża i odjeżdża. W tym samym czasie w mieście buszowało kilka grup młodych ludzi podobnych do Harka i jego przyjaciół, szukających okazji do rozrób. Ktoś przywiązał jeden koniec linki do tylnego zderzaka fordą bronco należącego do Randy'ego Beevisa, drugi koniec zaś do frontowych drzwi piekarni Weavera; kiedy Randy ruszył, drzwi

wyleciały z hukiem i włączył się alarm przeciwpożarowy. Ktoś inny (a może była to ta sama osoba?) polał olejem roślinnym schodki przed posterunkiem policji. Chuck Hawley poślizgnął się i upadł, boleśnie obijając sobie kość ogonową.

Franklin wyruszył w miasto z Bobem Altonem, swoim fotoreporterem. Tego roku Halloween wypadło we wtorek, więc Franklin chciał mieć zdjęcia do czwartkowego wydania. Spotkali sześciu chłopców niosących siódmego w trumnie. Oprócz Louiego Hyde'a w trumnie było również mnóstwo łakoci zebranych po domach. Louie został wybrany do roli trupa, gdyż był zdecydowanie najmniejszy i najlżejszy, chociaż liczył sobie już czternaście lat. Bob Alton wykonał dwadzieścia zdjęć, Franklin zaś przeprowadził krótki wywiad z Louiem, który powiedział, że jako trup czuje się doskonale, ponieważ wszędzie go noszą.

Bob zrobił również zdjęcie kukły wciąganej na maszt przed ratuszem. Losie urządziły zabawę dla młodzieży połączoną z rozmaitymi konkursami, w tym także na najlepsze przebranie. Franklin rozmawiał ze zwycięzcami, bliźniakami Timem i Tomem Millerami, którzy przebrali się za kości do gry. Bob Alton sfotografował też wiele innych dzieciaków: Lucy Schmidt w wózku ciągniętym przez bernardyna, rodzeństwo Gillespie w liczbie sześciu sztuk przebrane za Wielkiego Ptaka z Ulicy Sezamkowej. Przejeżdżali również obok domu doktora Malloya; w oknach było ciemno, tak samo jak w domach Leimbachów i Donalda Malloya. Franklin i Bob pracowali cały wieczór, jednak po tym, co stało się później, Franklin uznał, że publikowanie tych fotografii byłoby w złym guście.

Ryan Tavich umówił się z Cookie Evans i zamierzał zabrać ją na kolację do Colgate Inn, lecz w ostatniej chwili odwołał spotkanie. Trudno by mu było wytłumaczyć, dlaczego to zrobił. Dręczył go wewnętrzny niepokój. Cały wieczór spędził w samochodzie, jeżdżąc po mieście lub parkując na Main Street. Cookie oczywiście nie była zachwycona.

- Mógłbyś uprzedzić mnie przynajmniej dzień wcześniej, że bym zdążyła coś sobie zorganizować!

Sadie, Meg Shiller i Hillary Debois kręciły się w pobliżu swoich domów. Później Sadie powiedziała mi, że wcale się dobrze nie bawiły, bo było za mokro i za zimno. Spotkały sporo innych dzieci, ale ze względu na przebrania i ciemności rozpoznały tylko nieliczne.

- Byli też poprzebierani dorośli.

- Ilu?

- Ze dwudziestu. Dużo więcej niż zwykle.

Przypuszczalnie byli to rodzice pilnujący dzieci, a może i nie.

Krótko po ósmej Hark wraz z przyjaciółmi przyjechał przed dom Barry'ego. Stłoczyli się we czwórkę na ganku, Hark zadzwonił do drzwi. Otworzyła im pani Sanders. Była potężną kobietą, większą od Barry'ego.

- Przyszliśmy po słodycze - oznajmił Hark.

Jeb Hendricks parsknął śmiechem.

Pani Sanders sięgnęła po stojący w pogotowiu talerz z łakociami, ale coś ją zastanowiło.

- Trochę duzi jesteście jak na słodycze.

- Ale w głębi serca jesteśmy dziećmi.

Hark wszedł do środka, wyjął jej talerz z rąk i podał Erniemu. Jeb Hendricks i Jimmy Feldman zaczęli napychać kieszenie słodyczami. Potem Jeb rzucił cukierka Jimmy'emu, Jimmy zaś zrewanżował się batonikiem.

- Oddajcie to! - poleciła pani Sanders surowym tonem, lecz Hark nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Czy Barry może pójść z nami? - zapytał.

- Chcemy pobawić się z Prosiakiem - zawtórował mu Ernie.

- Jak śmiecie mówić o nim w ten sposób!

Pani Sanders wyrwała Erniemu talerz z ręki. Chłopak próbował się z nią szarpać, pchnęła go więc tak, że aż się zatoczył.

- Wynoście się stąd!

- Coś mi się zdaje, że paniusia nie w humorze - zauważył Jeb.

Pani Sanders wstawiła talerz do środka, po czym wzięła do ręki duży czarny parasol.

- Powiedziałam, że macie się stąd wynosić!
- Chcemy Prosiaka - powtórzył Hark.

Pani Sanders tak mocno dziabnęła go parasolem w żołądek, że stęknął.

- Wiem, że to ty, Hark. Zabierajcie się stąd, zanim wezwę policję.

Uniosła parasol nad głowę. Wszyscy czterej cofnęli się o krok. Harka koczyło, żeby jej go wyrwać; był wściekły, ponieważ wyszedł na idiotę. Jednak właśnie wtedy do domu zbliżyła się grupka poprzebieranych dzieciaków.

- Idziemy - warknął Hark, odwrócił się i pomaszerował z powrotem w kierunku samochodu. Jeb rzucił cukierek na ziemię, usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon.

Pani Sanders i tak zadzwoniła na policję.

- Powiniście aresztować Harka Powersa - powiedziała Chuckowi. - Razem z kolegami próbował wtargnąć do mojego domu.

Tego wieczoru służbę pełniły trzy radiowozy. Chuck połączył się z ich załogami i polecił im rozglądać się za Harkiem. Nie wiedział jednak o czerwonym blazerze Jeba; był przekonany, że cała banda jeździ pick-upem Harka.

Hark kazał Jebowi zajechać przed dom Aarona. W oknach wciąż było ciemno, mimo to Hark wysiadł, wszedł do budynku i przez jakąś minutę łomotał do drzwi. Kiedy nie dało to rezultatu, wyszedł na zewnątrz.

- Trzeba nam psiego gówna - oświadczył.

Znaleźli trzy psie kupy, które Jimmy wziął do ręki przez foliową torebkę. Hark kazał mu włożyć połowę ładunku do skrzynki na listy Aarona, drugą połowę zaś rozsmarować na drzwiach. W pewnej chwili z mieszkania po drugiej stronie korytarza wyjrzał Herman Potter.

- Ejże, co wy robicie?
- Pieprz się! - wykrzyknął Hark.

Wrócili biegiem do samochodu. Następnie postanowili odszukać Leona Stahla, który mieszkał tuż obok college'u.

- Zabierzemy grubasa do miasta, rozbierzemy i zostawimy przed ratuszem - postanowił Hark.

W budynku, w którym mieszkał Leon, był domofon. Hark nacisnął przycisk i po chwili usłyszeli głos Leona.

- Kto tam?
- Przyjaciele - odparł Hark.
- To znaczy kto?
- Aaron McNeal.
- To nie jest głos Aarona - zauważył Leon podejrzliwie.
- Jasne, że to ja. Wpuść mnie.
- Jak masz na drugie imię?
- Leon, daj spokój, wpuść mnie wreszcie!
- Pytałem, jak masz na drugie imię.
- Naciśnij inne guziki - poradził Jeb. - Ktoś na pewno nas wpuści.

Guzików było piętnaście. Hark wcisnął wszystkie. Zaraz potem rozległ się brzęczyk i drzwi stanęły otworem.

Wbiegli po schodach i zaczęli dobijać się do mieszkania Leona. Hark zasłonił ręką wizjer. Leon nie otwierał, więc Hark cofnął się i kopnął w drzwi z całej siły.

- Wiem, kim jesteś! - zawołał Leon. - Zaraz wezwę policję!
- No więc, kim jestem?
- Hark Powers.
- Cholera! - Wrócili do samochodu. - Jakim cudem wszyscy mnie rozpoznają, chociaż mam maskę na twarzy?
- Pewnie po ubraniu - podsunął Jeb.
- Albo po tym, jak chodzisz - odezwał się Jimmy.

Żaden nie miał ochoty wyjaśnić Harkowi, że to z powodu jego ucha. Pojechali do Harriet Malcomb, ale nie było jej w domu. Po raz kolejny

sprawdzili u Aarona, lecz w oknach wciąż było ciemno.

- W takim razie zajmijmy się braciszczkami - rzucił Hark.

Adres Jessego i Shannona znaleźli w książce telefonicznej. Bracia mieszkali w pobliżu college'u, przy Whittier Street.

Jesse i Shannon przez jakieś pół godziny biegali od domu do domu, ponieważ nie mieli pieniędzy, mieli natomiast ochotę na słodycze. Zasłonili sobie twarze chustami i podawali się za zbiegłych przestępców. Potem wrócili do siebie i oglądali telewizję. Około wpół do dziewiątej zadzwonił Barry z informacją, że Hark usiłował wedrzeć się do jego domu. Tuż po dziewiątej taką samą wiadomość przekazał Leon. Żaden z nich nie darzył braci szczególną sympatią, zależało im jednak na ich względach. Telefonowali również do Aarona i Harriet, lecz nikogo nie zastali.

Jesse i Shannon wyłączyli światła, wyszli na zewnątrz i czekali. Wkrótce potem usłyszeli charakterystyczny odgłos silnika blazera. Samochód się zatrzymał, kierowca i pasażerowie wysiedli. Bracia mieszkali w obszernym domu podzielonym na niewielkie mieszkania dla uczniów. Frontowe drzwi były otwarte. Hark, Ernie i Jimmy weszli do środka, Jeb zaś został przy samochodzie. Po kilku minutach tamci wrócili.

- Tych też nie ma.

- Stchórzyl, palanty! - parsknął Jeb.

Wsiedli do samochodu. Jak tylko Jeb uruchomił silnik, Jesse i Shannon doskoczyli z obu stron i zaczęli psikać na boczne szyby czarną farbą w aerozolu. Jeb wrzasnął coś niezrozumiałego i odbił od krawężnika. Jesse napryaskał na przednią szybę. Jeb zahamował gwałtownie. Jesse i Shannon spryskali tylną szybę. Cała czwórka zaczęła gramolić się z samochodu, lecz bracia byli już daleko. Pościg nie miał szans powodzenia, ścigający bowiem wypili za dużo piwa, a w dodatku nie znali terenu. Jesse i Shannon zniknęli między zabudowaniami college'u.

Zasapani Hark i jego kumple zatrzymali się na dziedzińcu. Nic się nie poruszało, z daleka dobiegały dźwięki muzyki.

- Lepiej wracajmy do wozu, zanim te palanty go podpalą - powiedział Jeb.

- Jezu! - jęknął Hark. - Jezu!

Kiedy dotarli do blazera, przednia szyba była wybita, a na fotelu pasażera leżał solidny pieniek. Fragmenty rozbitego szkła lśniły w świetle latarni jak brylanty.

To, co Hark Powers odczuwał jako potrzebę wymierzenia sprawiedliwości, było w istocie potrzebą wymierzenia kary, przy czym to on właśnie miał pełnić rolę karzącej ręki. Zamierzał w Halloween ukarać wszystkich, którzy wyrządzili mu coś złego, a ponieważ nie był w stanie tego uczynić, ogarniała go coraz większa wściekłość. Fakt, że Aarona nie było w domu, że matka Barry'ego dziabnęła go parasolem, że Leon nie wpuścił go do mieszkania, że Jesse i Shannon zamalowali szyby blazera, a następnie wrzucili do środka pieniek przez przednią szybę - wszystko to sprawiło, że o dziesiątej wieczorem Hark był jak bomba gotowa w każdej chwili wybuchnąć.

Ernie Corelli i Jimmy Feldman chcieli wracać do Bud's Tavern. Jeb chciał wracać do domu. Jego wóz został zdemolowany, a on sam miał dosyć wszystkiego. Hark zdawał sobie sprawę, że traci kontrolę nad kumplami, równocześnie jednak miał poczucie, że dookoła dzieje się coś bardzo, ale to bardzo złego. Poczucie to towarzyszyło mu od chwili, kiedy przyłączył się do Przyjaciół Sharon Malloy, a nawet wcześniej. Coś było nie tak i Hark nie zamierzał wracać do domu, dopóki nie zrobi czegoś w tej sprawie. - Pojedźmy do Araba - zaproponował. Pojechali więc na Mapie Street. Było po dziesiątej, ulice opustoszały. Robiło się coraz zimniej, krople deszczu stawały się coraz większe i cięższe. Przez miejsce, w którym powinna być przednia szyba blazera, deszcz i chłód wdierały się do środka. Jeb włączył ogrzewanie na pełną moc. Skrzynka piwa

na tylnym siedzeniu była już prawie pusta. Żeby się rozgrzać, sięgnęli po whisky.

Dom Chihaniego był pogrążony w ciemności, ale na podjeździe stał czerwony citroen.

- Założę się, że nikomu nie dał cukierka - mruknął Jeb.
- Pewnie siedzi po ciemku na piętrze - powiedział Ernie.
- I wali konia - dorzucił Jimmy.
- Stań tutaj - polecił Hark.

Jeb zatrzymał samochód i wyłączył światła, ale nie zgasił silnika. Deszcz padał na deskę rozdzielczą.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Ernie.
- Zaraz zobaczycie.

Hark miał maskę podciągniętą na czoło, lecz teraz ponownie zsunął ją na oczy. W milczeniu spoglądał na samochód i dom Chihaniego.

- Myślisz, że nie śpi? - spytał Jimmy.
- Gówno mnie to obchodzi. - Wziął jeden z kijów, którymi trenowali baseball na skrzynkach pocztowych. - Nie wyłączaj silnika - rzucił, otworzył drzwi i wysiadł.

- A niech to! - Ernie złapał drugi kij i wyskoczył za nim. Maską Myszki Miki uśmiechała się od ucha do ucha.

Hark ruszył w kierunku citroena. Sporo już wypił i nie poruszał się zbyt pewnie. Po tej stronie podjazdu rósł jeden klon, po drugiej - kilka. Sąsiedni dom również spowijały ciemności, świeciło się natomiast w stojących nieco dalej. Chichocząc pod nosem, Ernie podążył za Harkiem. On też się zataczał. Pozostali dwaj obserwowali ich z blazera.

Dotarli do samochodu, Hark zaczął na Erniego. Citroen stał przodem do ulicy. Hark stanął przy drzwiach kierowcy, cofnął się o krok, chwycił kij obiema rękami i uderzył w przednią szybę. Deszcz stłumił odgłos pękającego szkła. Hark uderzył ponownie i roztrzaskana szyba wpadła do środka.

- Cholera! - zawołał Ernie.

Zamachnął się kijem i stłukł prawy przedni reflektor. Tym razem has był większy, prawie jak wystrzał. Chromowane obramowanie reflektora potoczyło się po trawie.

Hark uderzył kijem w tylną szybę, potem jeszcze raz, i jeszcze jeden. Na leżące na tylnej półce książki posypała się ulewa szklanych odłamków, zaraz potem dołączył do niej prawdziwy deszcz. Ernie stłukł drugi reflektor. Hark zaczął walić kijem w boczne szyby. Jednym uderzeniem oderwał boczne lusterko, które poleciało aż na ulicę. Ernie tak samo postąpił z lusterkiem po stronie pasażera.

Byli tak bardzo zajęci, że gdy zjawił się Chihani, nie mieli pojęcia, czy wyszedł z domu, czy wyłonił się zza rogu. Chociaż utykał, poruszał się bardzo szybko, podpierając się laską. Był w berecie i ciemnym płaszczu. Kiedy znalazł się całkiem blisko, uniósł laskę.

- Przestańcie! - wykrzyknął.

Hark i Ernie tak się zdziwili, że zaprzestali dewastacji i odwrócili się w jego kierunku. Obaj chwiali się na nogach.

- To jest niedopuszczalne! - wykrzykiwał Chihani jeszcze cieńszym niż zwykle głosem. Był znacznie wyższy od Harka i Erniego, był również od nich szczuplejszy. I trzeźwy.

Hark wymamrotał coś obraźliwego i zamierzał wrócić do przerwanej pracy, lecz Chihani wykonał błyskawiczny ruch ręką i uderzył go laską w twarz.

- Auuu!

Hark złapał się za policzek i zatoczył do tyłu. Ernie rąbnął kijem w maskę samochodu. Zabrzmiało to jak uderzenie w dziurawy kocioł.

- Jesteście zwykłymi wandalami!

Tym razem laska wylądowała na grzbiecie Erniego. Następny cios dosięgnął maski Myszki Miki, która pękła na dwie części. Ze względu na deszcz i mokre liście podjazd był bardzo śliski. Ernie stracił równowagę, poślizgnął się i z rozmachem usiadł. Pęknięta maska zsunęła mu się z

twarży. Trzymał się za ramię. Chihani uderzył jeszcze raz, dla odmiany w głowę, i Ernie krzyknął boleśnie.

Jimmy Feldman i Jeb Hendricks obserwowali rozwój wypadków z samochodu. Zdumiała ich szybkość, z jaką poruszał się Chihani. Nie wierzyli własnym oczom. Czekali, aż przestanie, ale on nie przestawał.

- Musimy się stąd zwijać - powiedział Jeb.

- Nnnie mmmożemy ich tak zzzostawić... - odparł Jimmy, z trudem wymawiając słowa. Powoli zakręcał napoczętą butelkę whisky.

- Zaraz przyjadą gliny.

- Jezu, ten Arab ich załatwi!

Jimmy wygramolił się z samochodu i zyzgakiem pobiegł w kierunku kolegów. Ernie wciąż siedział na ziemi, trzymając się za głowę. Chihani po raz drugi uderzył Harka laską w twarz i chłopak zatoczył się na samochód.

Jimmy podniósł kij leżący na ziemi obok Erniego. Był w masce konika polnego, w związku z czym niewiele widział przez zbyt małe otwory na oczy. Rozglądając się za Chihanim, potknął się o wyciągnięte nogi Erniego i wpadł z impetem na czerwonego citroena. Usiłował zamortyzować siłę zderzenia rękami, ale ześlizgnęły się po mokrym nadwoziu. W tej samej chwili Chihani uderzył go laską w tył głowy i maska spadła.

- Ej! - wrzasnął Jimmy.

Hark otarł twarz lewą ręką. W prawej wciąż ścisnął kij baseballowy. Chihani zadał kolejny cios, lecz tym razem Hark zablokował go kijem. Był oszołomiony, nie nadążał za ruchami Araba. Laska znowu uderzyła go w kolano, tak że się zachwiał. Nie mieściło mu się w głowie, żeby ten kulawy Arab w berecie dał radę im trzem. To było jakieś monstrualne oszustwo. To było nie w porządku. Zamachnął się kijem, lecz chybił. Maską przekrzywiła mu się na twarży, częściowo zasłaniając oczy, toteż niewiele widział.

Jimmy odepchnął się od maski citroena i machnął kijem, przypadkowo trafiając Chihaniego w ramię. Chihani rąbnął go laską w bark; Jimmy'ego odrzuciło w tył, potknął się o nogi Erniego i rozciągnął jak długi na ziemi.

Hark spostrzegł, że Chihani odwrócił się do niego tyłem. Uniósł kij, uderzył w plecy. Chwilę potem posypał się na niego prawdziwy grad ciosów laską. Chihani przyparł go do samochodu i okładał z lewa i prawa. Hark zdołał zablokować większość uderzeń, ale jedno z nich po raz kolejny dosięgło jego twarzy.

Jimmy podniósł się z trudem i uderzył Chihaniego w ramię. Jeb wyskoczył z blazera, podbiegł do Erniego, chwycił go za kołnierz i próbował postawić na nogi. W swojej masce Jeb wyglądał jak prawdziwy upiór. Mocując się z Erniem, poczuł silne uderzenie w głowę, poleciał do przodu, wypuścił Erniego z rąk i runął na niego całym ciężarem ciała. Jimmy zadał kolejny niecelny cios kijem.

Hark ściągnął maskę i czapkę i rzucił je na ziemię. Teraz zobaczył wyraźnie, jak Chihani spycha Jimmy'ego Feldmana do rozpaczliwej obrony, a Jeb i Ernie nieporadnie próbują się podnieść. Nie był w stanie pojąć jak to możliwe. Przebiegł kilka kroków, podniósł kij i uderzył z całej siły, celując w bark. Chihani usłyszał go, zdołał się częściowo odwrócić, podniósł nawet laskę, lecz nie udało mu się zablokować ciosu. Kij baseballowy z ogromną siłą uderzył go w kark. Beret spadł Chihaniemu z głowy, on sam zatoczył się i osunął na ziemię. Laska wyslizgnęła mu się z palców i upadła na mokre liście.

- Pieprzony sukinsyn! - wysapał Hark.

Kopnął Chihaniego w żebra, lecz tamten ani drgnął.

- Spadajmy stąd! - wybełkotał Jeb, podnosząc się z ziemi.

Ernie klęczał na czworakach. Pęknięta maska Myszki Miki przesunęła mu się na ucho, wyglądał więc tak, jakby miał dwie twarze. Jimmy Feldman wciąż siedział na podjeździe i rozcierał sobie głowę. Obok niego w trawie leżała maska konika polnego.

Hark ponownie kopnął Chihaniego, a po chwili jeszcze raz, tak mocno, że bezwładne ciało trochę się przesunęło.

- Daj spokój - powiedział Jeb. - Zostaw go.

Pomógł Erniemu wstać na nogi, ten zaś od razu chwiejnym krokiem ruszył w kierunku domu. Jeb musiał złapać go za ramię i odwrócić we właściwą stronę. Po dwóch krokach Ernie zgął się wpół, maska Myszki Miki zsunęła się na ziemię, a on zwymiotował do niej.

- Jezu! - jęknął Jeb.

Jimmy Feldman wstał, przez chwilę kiwał się niezdecydowanie, podniósł kij, spróbował uderzyć w samochód, lecz chybił. Siła niecelnego uderzenia pociągnęła go z powrotem na ziemię. Hark natychmiast postawił go na nogi. Jeb złapał Erniego za łokieć i pociągnął w stronę blazera.

- Głowa mnie boli... Rzygać mi się chce... - jęczał Ernie.

- Załatwmy tego kutasa! - domagał się Jimmy.

- Już go załatwiliśmy - oświadczył Jeb. - Wracamy do domu.

Wepchnął Erniego do samochodu, a potem wrócił po pozostałych. Minutę później Jimmy znalazł się na tylnym siedzeniu. Hark przez kilkanaście sekund stał nieruchomo i gapił się na dom Chihaniego, po czym rozpiął rozprek i zaczął sikać. Zimne światło ulicznej latarni lśniło w żółtym łuku. Deszcz coraz wyraźniej zamieniał się w śnieg. Chihani wciąż leżał na ziemi. Hark skończył, zapiął spodnie i podniósł oba kije.

- Może zrobimy mu porządek w domu? - zaproponował.

- Musimy jechać - odparł Jeb i pociągnął go za sobą. - Zaraz tu będzie policja.

Hark szarpnął się i machnął kijem. Nie trafił.

- Zostaw mnie!

- Jezu, jesteś tak samo szurnięty jak on! Chodź wreszcie!

Jeb ruszył do blazera. Hark szedł za nim, ale powoli. Co chwila spoglądał przez ramię, jakby przez cały czas zastanawiał się, czy jednak nie wrócić, żeby zdemolować dom. Jeb siłą wepchnął go do samochodu.

Jimmy i Ernie siedzieli z tyłu, jęcząc i trzymając się za głowy. Hark nadal gapił się na dom Chihaniego.

- Zamknij drzwi - powiedział Jeb.

Hark nawet nie drgnął. Jeb wyskoczył z samochodu, podbiegł z drugiej strony, zatrzasnął drzwi i wrócił za kierownicę. Nie miał pojęcia, dlaczego jeszcze nie zjawiała się policja. Nie rozumiał tego, ale się cieszył. Miał szczęście.

- Pojedziemy się napić? - zapytał Hark.

Jeb nie odpowiedział. Zamierzał ich porozwozić, a następnie wrócić do domu. Miał dość zabawy na ten wieczór. Sądząc po odgłosach dobiegających z tylnego siedzenia, Ernie usiłował rzygać, ale nie miał czym. Jeb na próżno starał się wymazać z pamięci widok nieruchomego ciała Chihaniego leżącego na podjeździe. Ocknie się, powtarzał sobie. Ściągnął maskę. W środku była mokra od potu. Tylko on przez cały czas miał maskę na twarzy, i z tego również się cieszył. Zanim odstawił wszystkich do domów, sypał już gęsty śnieg. Przez rozbitą przednią szybę napadało go do środka dobre dziesięć centymetrów.

Houari Chihani leżał na podjeździe jakieś pięć metrów od swego samochodu. Czerwony citroen miał powybijane szyby, stłuczone reflektory i wgniecenia w masce. Obok drzwi pasażera leżała czarna maska Harka, a przed samochodem zielona maska Jimmy'ego.

Nieco dalej pęknięta na dwie części twarz Myszki Miki spoglądała z uśmiechem na drzewa, aż wreszcie przykrył ją śnieg.

Śnieg przykrył także Chihaniego. Tej nocy spadło ponad piętnaście centymetrów białego puchu i nad ranem Chihani wyglądał po prostu jak mały pagórek. Laska i maski znikły bez śladu. Śnieg przysypał również przednie fotele citroena.

Codziennie rano około szóstej Irving Powell wyprowadzał na spacer swego czekoladowego labradora. Labrador wabił się Sidney. Powell nie

używał smyczy, ponieważ o tej porze zazwyczaj na ulicach nie było żywego ducha, Sidney zaś był bardzo grzecznym psem i zawsze przybiegał na wezwanie. Uwielbiał ryc pyskiem w świeżym śniegu, po czym otrząsać się energicznie. Było jeszcze ciemno, świeciły uliczne latarnie.

Jak tylko Powell zobaczył Citroena Chihaniego, zauważył powybijane szyby. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Aurelius wiedział, do kogo należy samochód, i dobrze znał historię Chihaniego. Sidney obwąchiwał jakiś mały śnieżny pagórek. Powell zawołał psa, ten jednak wciąż węszył. Powell ruszył w jego stronę. Sidney odgarnął łapami nieco śniegu, dzięki czemu Powell stwierdził, iż ów pagórek to leżąca na ziemi kukła, jedna z tych, jakie ludzie wieszają w Halloween na słupach i drzewach. Powell nie lubił Halloween. Miniony wieczór od początku do końca był nieudany. Szybko wyczerpał mu się zapas słodczy, pogasił więc światła w całym domu. Potem znikły gdzieś jego pojemniki na śmieci.

- Chodź, Sidney!

Pies wciąż obwąchiwał kukłę i trącał ją łapą. Powell stracił wreszcie cierpliwość, podszedł do psa i chwycił go za obrozę. Nie lubił wchodzić na czyjś teren.

- Niedobry pies! - skarcił Sidneya, a następnie spojrzał na kukłę. Śnieg zsunął się z jej twarzy. W Irvinga Powella wpatrywały się szeroko otwarte oczy.

Byłoby błędem sądzić, że sąsiedzi Houariego Chihani nie wezwali policji. Głuchy odgłos uderzenia kija baseballowego w maskę samochodu zaniepokoi każdego spokojnego obywatela. Mieszkająca po drugiej stronie ulicy pani Morotti zadzwoniła na policję kwadrans po dziesiątej, a jej sąsiad z prawej strony, James Pejewski, uczynił to kilka minut później. Żadne z nich nie widziało jednak osuwającego się na ziemię Chihaniego, ich zgłoszenia dotyczyły zatem wyłącznie wandalizmu. Kiedy ponownie podeszli do okien, Chihani leżał już na podjeździe, lecz to wcale ich nie zaniepokoiło. Było przecież Halloween i przed wieloma domami leżały kukły udające nieboszczyków.

Okolo drugiej w nocy, a więc kilka godzin po otrzymaniu wezwania, ulicą przejechał radiowóz. Sypał już wtedy gęsty śnieg. Dwaj policjanci, Tommy Flanagan i Ray Hanna, nie wiedzieli o wcześniejszych wezwaniach, zauważyli jednak zdewastowanego citroena. Hanna chciał się zatrzymać, ale Flanagan kazał mu jechać dalej. W domu Chihaniego było ciemno, sprawa mogła poczekać do rana. Ponadto mieli na głowach coś znacznie ważniejszego niż chuligaństwo i wandalizm.

Przypuszczalnie oba wezwania od sąsiadów Chihaniego zostały odnotowane w policyjnej książce zgłoszeń. Prawdopodobnie jeden lub dwóch funkcjonariuszy otrzymało polecenie zajęcia się tą sprawą, jak tylko będą mieli chwilę czasu. Szybko jednak o tym zapomniano w związku z innymi wydarzeniami, które miały miejsce tego wieczoru.

Sadie, Meg Shiller i Hillary Debois biegały w przebraniach od wpół do siódmej do ósmej, ale ze względu na chłód i deszcz nie sprawiało im to takiej przyjemności jak zwykle. Co prawda Sadie i Meg miały parasole, lecz nie bardzo pasowały one do kostiumów, a poza tym przeszkadzały w noszeniu poszewek na poduszki, do których zbierały słodycze. Kilka domów odwiedziły wspólnie ze spotkanymi po drodze koleżankami.

O ósmej wróciły do Sadie. Franklin wciąż uganiał się za materiałami do najbliższego numeru swojej gazety, tak że dziewczęta były same. Pani Kelly już sobie poszła, choć Franklin miał nadzieję, że zostanie przynajmniej do dziesiątej. Bała się, że ktoś ukradnie jej pojemniki na śmieci. Dziewczynki były zupełnie przemoczone, zrzuciły więc mokre stroje i założyły szlafroki Franklina, które Sadie wygrzebała w szafie. Ubrania trafiły do suszarki. Meg i Hillary zadzwoniły do rodziców. Meg mieszkała dwie przecznice dalej, Hilary zaś jedną, tyle że w przeciwną stronę. Czekając, aż ubrania wyschną, piły gorącą czekoladę i zjadały zdobyczne łakocie. O czym rozmawiały? O pracy domowej z historii. O tym, że Shirley Potter najwyraźniej czuła miętę do Bobby'ego McBride'a. Że Meg w najbliższą sobotę zamierzała pojeździć konno. Że Anne, kuzynka Hilary z Albany, zapowiedziała się z wizytą na weekend. Że zdaniem Meg Frank Howard był całkiem do rzeczy, lecz według pozostałych do niczego się nie nadawał. Czy rozmawiały o Sharon Malloy i o tym, co mogło jej się przytrafić? Nie, co jednak nie znaczy, że o tym nie myślały. Mówiły szybko, często sobie przerywały i śmiały się głośno.

- Jasne, że myślałyśmy o Sharon - powiedziała mi później Sadie. - Wciąż o niej myślimy, ale to strasznie przygnębiające ciągle o niej mówić.

O dziewiątej ubrania były suche. Meg ponownie włożyła dżinsy i białą koszulę ojca pomazaną farbą, która miała imitować krew. Jako ofiara wypadku drogowego nie potrzebowała wymyślnego kostiumu. Nie założyła też gipsowego opatrunku na nogę- ten zresztą, zrobiony z masy

papierowej, prawie się już rozpadł. Uznała również, że nie ma sensu owijać sobie głowy i ramion zakrwawionymi bandażami.

Hillary miała na sobie garnitur ojca, Sadie zaś czarną sukienkę matki, która, jej zdaniem, doskonale wywiązywała się z roli kostiumu wampira. Szminkę podkraśla Pauli; przed użyciem starannie wytarła ją chusteczką, żeby nie dotykać ustami tego, czego wcześniej dotykały usta Pauli.

Ponieważ nazajutrz szły do szkoły, Meg i Hillary obiecały rodzicom, że wrócą między wpół do dziesiątej a dziesiątą. Trochę było im niedobrze od nadmiaru słodkości, czuły się też trochę zmęczone, dlatego krótko po wpół do dziesiątej zadzwoniły ponownie do rodziców z informacją, że wyruszają do domów. Franklin wciąż jeździł po mieście z fotoreporterem. Ja siedziałem w domu nad pracami domowymi uczniów, szczęśliwy, że już co najmniej od czterdziestu pięciu minut nikt nie dzwonił do moich drzwi.

Matka Hillary zapowiedziała, że przyjedzie po córkę, chociaż dziewczynka mieszkała zaledwie ulicę od Sadie. Meg nie chciała czekać. Stwierdziła, że jej rodzice wечно gubią kluczyki do samochodu i że zanim je znajdą, ona już dawno będzie w domu. Wciąż padał deszcz, lecz Meg miała duży czarny parasol ojca. Hillary zaproponowała, że ją odwiozą, Meg jednak podziękowała.

Tak więc za kwadrans dziesiąta Meg pożegnała się z koleżankami i wybiegła w deszcz. Niespełna pięć minut później przed dom zajechał dodge caravan z Joan Debois za kierownicą. Sadie zaczęła na ganku, aż Hillary dobiegnie do samochodu. Jak tylko dziewczynka wsiadła i zatrzasnęła drzwi, dodge zawrócił i odjechał. Hillary pomachała przez szybę. Sadie zamknęła drzwi na zasuwę, po czym wróciła do kuchni. Nadal miała problemy z matematyką, usiadła więc przy kuchennym stole z podręcznikiem i filiżanką gorącej czekolady. Miała nadzieję, że ojciec wróci, zanim ona położy się spać, ale ostatnio często odwiedzał

Paulę McNeal. Czasem, kiedy była sama, Sadie dzwoniła do mnie około wpół do jedenastej, żeby powiedzieć dobranoc. Nie podobało mi się, że Franklin zostawia Sadie samą w domu, lecz nie odważyłem się mu tego powiedzieć. To zdumiewające, jak często milczymy wtedy, kiedy należałoby zabrać głos. Zwykle jednak nie chcemy kogoś urazić, zwracając mu uwagę na jakiś problem albo mówiąc mu, jak naszym zdaniem powinien postąpić. Uważałem, że to niebezpieczne, by Sadie spędzała samotnie tak dużo czasu, zamiast jednak coś z tym zrobić, nawet kosztem rozdrażnienia Franklina, pozwoliłem, by sprawy toczyły się swoim biegiem.

Piętnaście po dziesiątej zadzwoniła matka Meg Shiller i poprosiła córkę do telefonu. Najwyraźniej była bardzo niezadowolona, że Meg zasiedziała się tak długo, mimo że jakiś czas temu zapowiadała, iż zaraz wraca do domu.

Lodówka włączyła się z głośnym pstryknięciem i Sadie aż podskoczyła.

- Meg wyszła pół godziny temu.

Zapadło kilkusekundowe milczenie. Obie obliczały w pamięci, ile czasu trzeba na pokonanie odległości dzielącej ich domy.

- Jesteś pewna? - zapytała wreszcie matka Meg. – Mam nadzieję, że nie żartujesz?

Helen Shiller uczyła w Pickering Elementary School. Wiedziała, że dzieci potrafią niekiedy wyglupiać się w sytuacjach, kiedy nikt by się po nich tego nie spodziewał.

Sadie ogarnęła lęk.

- Wyszła za kwadrans dziesiąta.

- O mój Boże... - powiedziała Helen Shiller i odłożyła słuchawkę.

Sadie natychmiast zatelefonowała do Hillary Debois, ale linia była zajęta. Zadzwoniła więc do mnie. Powiedziałem, że zaraz u niej będę. Włożyłem płaszcz i chwyciłem parasol. Sadie czekała na ganku.

- U Hillary też jej nie ma - poinformowała mnie. – Właśnie z nią rozmawiałam.

Miałem ze sobą latarkę, włączyłem ją więc i poświeciłem na Sadie. Zdumiało mnie, jak staro wygląda i jak bardzo jest przerażona.

- Chodźmy do Meg - zaproponowałem. - Może już wróciła.

Deszcz właśnie zamieniał się w śnieg. Oboje skryliśmy się pod moim parasolem. Po drodze Sadie zdała mi relację z wydarzeń tego wieczoru i opowiedziała, jak to Meg uparła się, żeby samotnie wracać do domu. Byliśmy dopiero w połowie drogi, kiedy zatrzymało się przy nas kombi Helen Shiller.

- Widzieliście ją? - zapytała.

Odparliśmy, że nie. Ulica była ciemna i opustoszała. Stojące przy niej domy są otoczone dużymi ogrodami, często sięgającymi do następnej przecznicy. Coraz więcej płatków śniegu nie rozpuszczało się od razu po zetknięciu z ziemią.

Helen Shiller ruszyła z piskiem opon. Do dziś pamiętam lęk na jej twarzy, przerażone oczy oświetlone blaskiem wskaźników na desce rozdzielczej. Sadie i ja szliśmy dalej pieszo, potrącając się co chwila pod parasolem. Świeciłem latarką na krzaki i trawniki. Mniej więcej po dziesięciu metrach snop światła padł na jakiś czarny podłużny przedmiot leżący na podjeździe przed domem Herba Gladstone'a.

- Co to może być? - zdziwiłem się głośno. Sadie pobiegła sprawdzić.

- Parasol Meg - powiedziała.

To ja zaalarmowałem policję. Trochę się wstydzę tak myśleć, wydaje mi się jednak, że ponieważ dyżur pełnił akurat Chuck Hawley, reakcja nastąpiła szybciej, niż gdyby zgłoszenie pochodziło od kogoś innego. Po raz pierwszy ucieszyłem się, że mój kuzyn jest policjantem, choć wcześniej nigdy nie miałem powodu być z tego niezadowolonym.

Powiedziałem Chuckowi, co się stało.

- Cholera - jęknął. - Tylko nie to...

W ciągu niespełna pięciu minut Ryan Tavich zjawił się w domu Sadie. Dwa kolejne radiowozy nadjechały minutę lub dwie później. Matka Hillary Debois zadzwoniła z pytaniem, czy są jakieś wiadomości. Na zewnątrz trzaskały drzwi samochodów, słychać było tupot wielu nóg. Przez otwierane co chwila drzwi wpadało lodowate powietrze.

- U Meg nikt nie podnosi słuchawki - powiedziała Joan Debois.

Sadie poinformowała ją, że wciąż nic nie wiadomo.

- Czy to znaczy, że nie dotarła do domu? Mój Boże, jej biedna matka...

Wkrótce potem zaczęli się zjawiać funkcjonariusze, którzy tej nocy powinni mieć wolne. O jedenastej przybyła policja stanowa. Cockerspaniela Sadie, imieniem Cień, trzeba było zamknąć w piwnicy, gdzie bezustannie ujadał. Sypał gęsty śnieg. O wpół do dwunastej przyjechał kapitan Percy. Jego jak zawsze nieruchoma twarz sprawiała wrażenie odlanej ze stali. Powinienem był wrócić do domu, Franklina jednak wciąż jeszcze nie było, a ja nie chciałem zostawiać Sadie samej, tym bardziej że się rozplakała. Poza tym udzieliło mi się ogólne podniecenie, chociaż doprawdy nie wiem, dlaczego miałbym się podniecać, słysząc, jak kapitan Percy dzwoni do Utiki i każe jak najszybciej przysłać psy. Mężczyźni w mundurach i po cywilnemu wbiegali i wybiegali, telefon dzwonił prawie bez przerwy. Przed dom zajeżdżało coraz więcej radiowozów, na ulicy zaczęli się gromadzić gapie.

Jak tylko kapitan Percy odłożył słuchawkę, Ryan zadzwonił do Franklina.

- Lepiej zaraz tu przyjeźdź - powiedział tajemniczo. Słuchał przez chwilę, po czym dodał: - Z Sadie wszystko w porządku. Chodzi o jej koleżankę.

Kilka minut później Franklin wpadł do domu i zastał w nim tłum policjantów.

Policja przeszukała każdy metr kwadratowy terenu między domami Sadie i Meg Shiller. Obudzono i przesłuchano nie tylko wszystkich mieszkańców naszej ulicy, lecz również sąsiednich. Nikt nie widział Meg Shiller. Wcześniej na ulicach roіło się od poprzebieranych dzieciaków. Ludzie słyszeli ich wrzaski i piski. Było przecież Halloween. Nawet gdyby Meg krzyczała, nikt nie zwróciłby na to uwagi.

Dodatkowy problem stanowił śnieg. Sadie wskazała Ryanowi miejsce przed domem Herba Gladstone'a, w którym znaleźliśmy parasol. Trawnik ciągnął się aż do Tyler Street. Policja wyciągnęła Herba z łózka, niczego jednak nie słyszał ani nie widział. Nawet gdyby ktoś zostawił na trawniku ślady, do północy zdążyły zniknąć pod warstwą śniegu.

Krótko po dwunastej poszedłem do domu. Teraz, kiedy Franklin wrócił, straciłem pretekst, żeby zostać dłużej. Sadie miała żal do ojca.

- Byłeś u Pauli.

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

Franklin miał niepewną minę. Zmierzwione włosy i nieład, w jakim znajdowało się jego ubranie, nie pozostawiały złudzeń co do tego, czym zajmował się jeszcze kilkanaście minut temu. Do kompletu brakowało tylko śladów szminki na policzku.

Pierwsi reporterzy z Utiki i Syracuse dotarli około pierwszej, niemal równocześnie z policyjnymi psami. Leżąc w łózku, słyszałem ujadanie. O drugim zażyłem tabletkę nasenną. Zamieszanie na ulicy wciąż trwało.

Meg należała do czwartego pokolenia Shillerów mieszkającego w Aurius. Jej pradziadek sprowadził się tu krótko po pierwszej wojnie światowej. Po to, by zamerykanizować swoje nazwisko, zrezygnował z litery

„c” po „S”. Jego ojciec urodził się w małej bawarskiej wiosce w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Jakieś piętnaście lat temu, mniej więcej rok przed przyjściem Meg na świat, jej rodzice odwiedzili tę wioskę, a raczej miasteczko - niestety nie pamiętam jego nazwy - i stwierdzili, że wprost roi się tam od Schillerów. Ralph często powtarzał, że wstyd mu, iż jego dziadek zmienił rodowe nazwisko i nawet zastanawiał się nad przywróceniem jego oryginalnej pisowni, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Chyba czuli się dość dziwnie w miasteczku, pełnym dalekich krewnych, i na cmentarzu, wśród grobów przodków sprzed dziesiątek i setek lat.

Panięskie nazwisko Helen Shiller również miało niemieckie brzmienie: Kraus. Jej wiedza na temat rodziny kończyła się jednak na dziadku, którego, mam wrażenie, niezbyt lubiła. Ralph i Helen urodzili się i wychowywali w Aurelius. Znałem ich od najwcześniejszego dzieciństwa. Ralph wykonywał różne roboty elektryczne w moim domu. Jego ojciec także był elektrykiem. Po raz pierwszy wezwałem go do jakiejś awarii wyłącznie dlatego, że moja matka przy takich okazjach korzystała zawsze z usług jego ojca. Jak już wspomniałem, Helen była nauczycielką w szkole podstawowej. Mieli troje dzieci: dziewięcioletniego Bobby'ego, trzynastoletnią Meg oraz szesnastoletniego Henry'ego. Mieli też mnóstwo bliższych i dalszych krewnych zarówno w samym mieście, jak i w okolicach, choć zapewne nie tak wielu jak w tym bawarskim miasteczku, którego nazwa uciekła mi z pamięci. Może to głupie, ale zawsze wydawało mi się, że Niemcy powinni być blondynami; tymczasem Shillerowie byli ciemnowłosi, niscy i brązowoccy. Żyli spokojnie i uczciwie pracowali. Takim rodzinom nigdy nie przytrafiają się żadne skandale.

Uczyłem Meg Shiller w ósmej klasie. Była dobrą i solidną, choć niewyróżniającą się uczennicą. Zawsze tryskała energią i dobrym humorem, nie dziwiło mnie więc, że Sadie się z nią zaprzyjaźniła.

Uwielbiała jeździć konno i być może właśnie dlatego cesała swoje długie kasztanowe włosy w koński ogon. W prawie wszystkie weekendy pracowała w stajni na południe od miasta, w zamian za co mogła pojeździć godzinę lub dwie. Należała do tych dzieci - a raczej już młodych kobiet - na których widok ogarniało mnie przeświadczenie, że świat zmierza we właściwym kierunku. Była szczęśliwa, zadowolona z życia i wszystko jej się udawało. A teraz znikła.

Ryan Tavich nie poszedł spać ani tej nocy, ani nawet rano. Zbyt wielu ludzi trzeba było obudzić i wypytać, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego. Niektórzy widzieli wcześniej Meg przebraną za ofiarę wypadku samochodowego; byli i tacy, którzy retrospektywnie uznali za zły omen fakt, iż chodziła od domu do domu schlapana krwią i z zabandażowaną twarzą.

Niemal każdy, kto dowiedział się o jej zniknięciu, natychmiast chwycił za słuchawkę i telefonował do przyjaciół, sąsiadów lub krewnych. Nieliczni wskakiwali do samochodów, po czym jechali powoli Van Buren Street, a następnie, minawszy mój dom, wzdłuż trasy, którą Meg miała pokonać z domu Sadie do swojego. Wciąż padał śnieg, drogi były śliskie. W związku ze wzmożonym ruchem kapitan Percy polecił Ryanowi zamknąć ulice w pobliżu domu Meg, co chyba było błędem, ponieważ widok policyjnych barierek od razu przyciągnął tłumy gapiów. Nie wiem, czy rzeczywiście doszło do jakichś wypadków, ale ludzie bez przerwy opowiadali o tym, jak to ktoś wpadł w poślizg i wylądował na drzewie, a ktoś inny nie zdążył w porę zahamować i uderzył w tył czyjś samochodu.

W tym czasie Ralph Shiller siedział jak kamienny posąg przy kuchennym stole. Jego żona Helen szlochała w sypialni. Na zaparkowanym przed wejściem kombi powoli zbierała się coraz grubsza warstwa śniegu. Telefony odbierał policjant, obaj chłopcy zaś, Bobby i Henry, siedzieli w salonie na kanapie. Bobby zasnął na siedząco. Był tam również Mike,

młodszy brat Ralpa Shillera. Mike pracował na poczcie.

- Myśli pan, że ona się znajdzie? Na pewno się znajdzie, prawda? - pytał raz po raz Chucka Hawleya, który tylko kiwał głową i starał się nie mówić.

Czekali, aż ktoś zadzwoni albo przyjdzie i powie, że próba, której zostali poddani, dobiegła już końca. Tak samo jak Malloyowie, oni też zastanawiali się, co się mogło wydarzyć, i każdy kolejny scenariusz był okropniejszy od poprzedniego. Tylko w jednym z nich Meg wbiegała do domu cała i zdrowa - niestety, ten był najmniej prawdopodobny.

Okolo piątej trzydzieści Ryan pojechał do mieszkania Aarona. Żałował, że nie posłał tam kogoś wcześniej, ale wyznaczenie człowieka, którego jedyne zadanie polegałoby na odnalezieniu Aarona, równałoby się uznaniu chłopaka za podejrzanego. Obawiał się, że upłynęło już zbyt wiele czasu i jeśli Aaron miał coś do ukrycia, to spokojnie zdążył to ukryć. Jego obawy okazały się jednak mało istotne, ponieważ mieszkanie było puste, a dzięki świeżo spadłemu śniegowi Ryan mógł stwierdzić z całą pewnością, że tej nocy Aaron nie wchodził do domu ani z niego nie wychodził. Na drzwiach mieszkania dostrzegł jakieś brązowe plamy; powąchawszy je domyślił się, że miał to zapewne być żart z okazji Halloween. Żartownisiem prawie na pewno był Hark Powers.

Ryan zdawał sobie sprawę, że Aaron spotyka się z wieloma kobietami, ale nie miał pojęcia, u której z nich był teraz. Nie wiedział zresztą, czy chłopak na pewno udał się do którejś z wizytą, czy może oddawał się tej nocy jakimś bardziej ponurym zajęciom, na przykład związanym ze zniknięciem Meg Shiller. I czy miało to jakikolwiek związek z Tropicielami Prawdy, czy też Aaron działał na własną rękę?

Ryan pojechał do Harriet Malcomb. Zastukał do drzwi, lecz nikt nie odpowiadał. Stamtąd udał się do Jessego i Shannona. Ich też nie było w domu. Z powodu pandemionium, jakie zapanowało po zaginięciu

Meg Shiller, Ryan prawie całkiem zapomniał o tym, że minionego wieczoru ktoś informował policję o jakichś problemach z Harkiem Powersem. Kiedy więc zjawił się u Leona Stahla, w ogóle nie myślał o Harku. Zależało mu wyłącznie na odnalezieniu Aarona.

Leon spał, a kiedy się obudził, nie chciał otworzyć. Uczynił to dopiero wtedy, kiedy Ryan kategorycznie mu to nakazał i podsunął przed wizjer legitymację. Miał na sobie pasiastą błękitną piżamę tak ogromnych rozmiarów, że Ryanowi natychmiast nasunęło się skojarzenie z namiotem cyrkowym. Leon wypełnił sobą całe drzwi. Poprzedniego wieczoru zgłosił policji skargę na Harka Powersa, lecz nie doczekał się żadnej reakcji. Wtedy był wściekły, że nikt się nie zjawił, teraz zaś wściekł się, że Ryan wyciągnął go z łóżka o szóstej rano.

- Czy to takie pilne? Dzisiaj mam klasówkę z chemii! - narzekał płaczliwym głosem.

- Szukam Aarona - odparł Ryan. - Widziałeś go?

- Jasne, że nie.

- A Shannona i Jessego?

- Rozmawiałem z nimi wieczorem przez telefon, ale ich nie widziałem. Czy to ma jakiś związek z Harkiem Powersem?

- A dlaczego miałyby mieć?

Leon opowiedział Ryanowi, jak to Hark wraz z kumplami zjawił się przed drzwiami jego mieszkania. Byli też u Barry'ego.

Zaraz po wyjściu od Leona Ryan pojechał do Chihaniego. Wciąż padał śnieg. Chociaż Ryan pamiętał, że wcześniej ktoś już wspominał o Chihanim, to za nic nie mógł sobie przypomnieć, w jakim kontekście. Sądził jednak, że skoro Hark odwiedzał kolejno wszystkich Tropicielei Prawdy, to mógł również złożyć wizytę ich przywódcy.

Zajechał przed dom Chihaniego w chwili, kiedy Irving Powell odciągał swego czekoladowego labradora od zwłok leżących na podjeździe.

- Niedobry pies! - powtarzał Powell. - Bardzo niedobry!
- Ryan zobaczył zdemolowanego Citroëna i podbiegł do Powella.
- Co się stało? - zapytał.
- Tam leży człowiek. Ma otwarte oczy.

Pies zawzięcie potrząsał trzymanym w pysku beretem. Trochę to rozpraszalo Ryana, dlatego minelo nieco czasu, zanim uswiadomil sobie, ze lezacy w sniegu czlowiek nie zyje i ze jest to Houari Chihani.

Część trzecia

Każdy tekst pisany zawiera zarówno informacje jawne, jak i ukryte, odbierane przez czytelnika na różnych poziomach rozumienia. Twierdzenie to jest często powtarzane na rozmaitych kursach i konferencjach dla nauczycieli, których skrzętnie unikam. Posłużyłem się nim teraz, ponieważ uważam, że mój homoseksualizm nie będzie stanowił dla nikogo zaskoczenia. Do tej pory nie poruszałem tego tematu, nie należał on bowiem do tej opowieści, tak samo jak ja do niej nie należałem. Początkowo myślałem o sobie jako o parze oczu albo o oknie - tak, byłem oknem, przez które można było śledzić przebieg wydarzeń. Przypuszczam, że w Aurelius mieszka około setki homoseksualistów, od dość fircykowatych poczynając, takich jak Jaime Rose, na bardzo poważnych kończąc, w niczym nie przypominających stereotypu geja. Nie działa żadna gejowska organizacja, nie ma stałego miejsca spotkań, jednak ludzie ci dość dobrze się znają. Niektórzy są żonaci, inni żyją w stałych związkach z mężczyznami, większość natomiast mieszka samotnie, ponieważ w niedużych miasteczkach takich jak Aurelius homoseksualiści raczej nie mogą liczyć na życzliwość i zrozumienie. Z tego właśnie powodu mężczyźni ci są traktowani ze sporą podejrzliwością. Niektórzy nawet zdecydowali się stąd wyjechać, tak jak ja, ale ja w końcu jednak wróciłem. Wiem o dwóch tutejszych gejach, którzy zmarli na AIDS, oraz o jednym chłopcu cierpiącym na hemofilię. Znam również co najmniej kilku, którzy są nosicielami wirusa HIV.

Są geje, którzy czują się doskonale ze swoim homoseksualizmem i nawet starają się podkreślać swoją odmienność. Lecz ja do nich nie należę - może dlatego, że mieszkam w małym miasteczku, a może dlatego, że nigdy nie lubiłem zwracać na siebie uwagi. Z nikim nie rozmawiam o swoich upodobaniach seksualnych i, prawdę powiedziawszy, miałem niewielu partnerów. Szczerze mówiąc, to wszystko działa na mnie trochę przygnębiająco. Nie to, że pragnąłbym być heteroseksualny, bo to jeszcze mniej atrakcyjna opcja; po prostu uważam, że nasz seksualizm działa w sposób nieuchronnie prowadzący do upokorzenia. Idealem był dla mnie zawsze całkowity celibat. Nie odczuwam żadnego powołania religijnego, zdarzało się jednak, iż zazdrościłem mnichom.

Jaką mam alternatywę? Nie pociągam młodych, atrakcyjnych dla mnie mężczyzn, w związku z czym jestem zmuszony ograniczać się do trzydziesto- i czterdziestolatków, a nawet starszych. Przyjaciół z San Francisco, z którym koresponduję, napisał w jednym z listów, że lokale, w których gromadzą się homoseksualiści w moim wieku, nazywa się potocznie „zmarszczkarniami”. Pomarszczeni geje obejmujący się przy barze... Tak, celibat jest bez wątpienia lepszy. Aczkolwiek, rzecz jasna, mam swoje potrzeby i odczuwam pokusy. Nigdy nie tknąłem Barry'ego Sandersa, lecz zdarzało mi się myśleć w bezsenne noce, że byłoby to całkiem miłe. To samo dotyczy Jaimego Rose. Zdaję sobie sprawę, iż staram się uciec przed degradacją, a równocześnie podświadomie o niej marzę. Czymże zresztą jest degradacja? Jej definicja powstała w świecie heteroseksualistów. Doprawdy zazdroszczę ludziom, którym ich gejostwo nie sprawia żadnych problemów, choć wątpię, aby było ich naprawdę tak wielu, jak się wydaje.

W ciągu wszystkich lat spędzonych w Aurelius tylko trzy razy zapraszałem kochanków do domu, i przez cały czas ich wizyty nie mogłem opanować zdenerwowania. Być może jestem ostrożniejszy, niż powinienem, niemniej zawsze wolałem spotykać się z przyjaciółmi w innych

miejscach. Nawet kiedy jestem z nimi albo uprawiam z nimi seks, jakaś częśćka mej duszy wciąż tęskni za celibatem. Zdaję sobie sprawę, że to niedobrze. Zdaję sobie sprawę, że powinienem zaakceptować swoją seksualność, a jednak na samą myśl o kpiących spojrzaniach uczniów przechodzą mnie ciarki. Rzecz jasna, wiele osób mnie podejrzewa - bądź co bądź, żyję samotnie - nikt jednakże nie ma niezbitych dowodów. Tak więc w gruncie rzeczy przez cały czas mówię o podejrzliwości.

Wątpię, czy któregokolwiek z mieszkających w Aurelius homoseksualistów ucieszyło pojawienie się Tropicielei Prawdy, nie ulega wszak wątpliwości, iż dla wszystkich, którzy z takich czy innych powodów nie całkiem mieścili się w granicach tak zwanych norm społecznych, Tropiciele pełnili funkcję zderzaka. Obywatele zakładają zwykle, że złe uczynki popełniają wyłącznie źli ludzie. A co jest złem? Czyż nie wszystko, co wykracza poza pojęcie wspólnego dobra, czyli tego, co jest dobrem zdaniem większości? Dlaczego zbrodniarz musi nosić czarny kapelusz? A gdyby go nie nosił, w jaki sposób rozpoznalibyśmy w nim zbrodniarza?

Pierwszą myślą, jaka nawiedziła niemal każdego z nas, było przypuszczenie, że Sharon Malloy została uprowadzona przez kogoś spoza miasta. Kiedy okazało się to wątpliwe, podejrzzenia natychmiast skierowały się ku Houariemu Chihani i Tropicielom Prawdy. Tropiciele głosili przecież pochwałę chaosu, a trudno było sobie wyobrazić większy chaos. Dodatkowo Chihaniego widziano w pobliżu miejsca zdarzenia, był cudzoziemcem, jego skóra miała odrobinę ciemniejszy odcień niż przeciętna. Oczywiście nie wszyscy uważali, że jest winny, aczkolwiek panowało ogólne przekonanie, iż nie byłoby źle, gdyby tak się okazało. A po zniknięciu Meg Shiller ludzie stali się jeszcze bardziej podejrzliwi i z jeszcze większym zapalem zaczęli tropić wszelkie odchylenia od tego, co uznawano za normę.

Wiem o tym, ponieważ sam tego doświadczyłem. Mój samotniczy tryb życia nie wszystkim się podobał. Wiedziano dość powszechnie, że odwiedza mnie Sadie i że znam jej przyjaciółki. Meg Shiller musiała przechodzić obok mego domu na kilka chwil przed zniknięciem. Chociaż składałem wyjaśnienia policji, ani przez moment nie traktowano mnie jako podejrzanego. Byłby to absurd. Niemniej jednak wiele osób zaczęło patrzeć na mnie inaczej, stałem się również tematem rozmów w szkole. Uczniów ekscytowała myśl o tym, że nauczyciel biologii może być seryjnym mordercą. Innym także przyglądano się uważniej niż do tej pory: homoseksualistom, lesbijkom, dziwakom, nieprzystosowanym, niedorozwiniętym... Ja również inaczej patrzyłem na sąsiadów; ci ludzie dopuszczali do siebie myśl, że mogę być zbrodniarzem, a ja do tej pory traktowałem ich jak przyjaciół. Niektórych znałem od urodzenia.

Bob Moreno, właściciel sklepu z galanterią męską przy Main Street, był tym samym małym Bobbym Moreno, którego uczyłem od pierwszej do szóstej klasy. Poszedłem na jego ślub. Następnie uczyłem co najmniej sześcioro spośród jego siedmiorga dzieci. Teraz podejrzewał, że mogę być zbrodniarzem. Kiedy przyszedłem do jego sklepu, żeby kupić kilka podkoszulków, patrzył na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

Trzeba przyznać, że przez kilka dni po zaginięciu Meg Shiller w mieście panowała histeria. Jeden z członków rady miejskiej, George Rossi, zgłosił nawet projekt uchwały upoważniającej policję stanową do przeszukania wszystkich domów w mieście. Powiedział, że mogą zacząć od jego domu. Kiedy pozostali radni zaczęli zgłaszać zastrzeżenia, Rossi zarzucił im, że widocznie mają coś do ukrycia. Przeprósili ich dopiero kilka miesięcy później.

Policja pytała wiele osób, w tym kilku homoseksualistów, gdzie spędziły Halloween. Jaimego Rose zawieziono na komisariat, gdzie był przez godzinę przesłuchiwany przez funkcjonariusza w stopniu sierżanta. Zwolniono go, niemniej wkrótce potem wszyscy wiedzieli już o

przesłuchaniu. Powinienem chyba zaznaczyć, że Jaime przez całe dotychczasowe życie nie dostał nawet mandatu za niewłaściwe parkowanie. Zaczęto wywierać naciski na Cookie Evans, żeby go zwolniła, co najmniej osiem stałych klientek zagroziło zaś, że ich stopa nie zostanie w jej salonie, jeśli Jaime będzie tam nadal pracował. Cookie nie dała się zastraszyć, nie zmienił się również jej stosunek do Jaimego. Byli tacy, którzy ją za to podziwiali, nie ulega jednak wątpliwości, że sporo na tym straciła.

Wśród przesłuchiwanym znaleźli się także doktor Malloy i jego brat Donald, oraz ich szwagier Paul Leimbach. Nawet Ralph Shiller i jego brat Mike musieli powiedzieć, co robili w minionym miesiącu w czasie, kiedy uprowadzono Sharon Malloy. Rzecz jasna, wszyscy mieli zadowalające alibi.

Spotkawszy przypadkowo mego kuzyna w banku, nie omieszkałem go poinformować, iż za nieludzkie uważam dręczenie ojców ofiar takimi pytaniami. Chuck niezbyt się przejął moim oburzeniem.

- Statystyki wykazują, że prawie zawsze stoi za tym ktoś z rodziny. - Po chwili jednak nieco spuścił z tonu. - Tak, mnie też to się nie podoba.

Przypuszczalnie chciał powiedzieć, że policja nie mogła przeoczyć żadnej ewentualności, ale ludziom po prostu nie mieściło się w głowach, jak można było podejrzewać Malloyów albo Shillerów.

W ratuszu ponownie znaleźli się agenci FBI. Zdaniem Ryana kapitan Percy samego siebie obarczał winą za zniknięcie Meg. Gdyby odnalazł Sharon, Meg byłaby bezpieczna. Powtarzał to niemal bez przerwy, chociaż niektórzy uważali, że te dwa zniknięcia nie są ze sobą w żaden sposób powiązane. Może Meg została porwana przez kogoś innego albo w ogóle nie została porwana. Było to bardzo mało prawdopodobne, najmniej taką ewentualność także należało brać pod uwagę.

Zaginięcie Meg tchnęło nowe siły w Przyjaciół Sharon Malloy. Nie chcę powiedzieć, że uradowało ich jej zniknięcie, nie ulega jednak wątpliwości, iż poszukiwania Sharon stopniowo traciły impet. Kolejne nieszczęście nadało im rozpęd. W ciągu godziny teren między domami przy Van Buren Street przeczesały co najmniej pięćdziesięcioro Przyjaciół; kapitan Percy wcale nie był tym zachwycony, twierdząc, że zadepczą ślady i utrudnią pracę psom, które lada chwila powinny przyjechać z Utiki.

Nazajutrz rano, pierwszego listopada, w sklepie wynajętym przez Przyjaciół Sharon Malloy zaroilo się od ochotników, którzy chętnie wzięliby na swoje barki ciężar prowadzenia śledztwa. Jeszcze przed południem kilka osób, wśród nich Donald Malloy, udało się do domu Chihaniego, by porozmawiać z gospodarzem. Dopiero po przybyciu na miejsce dowiedzieli się, że nie żyje. Ciekawe, co by zrobili, gdyby żył. Można spróbować to sobie wyobrazić, opierając się na tym, co spotkało Harry'ego Martini, dyrektora Knox Consolidated. Co prawda wyprzedzam nieco bieg wydarzeń, sądzę jednak, że teraz właśnie jest najwłaściwsza pora, by o tym wspomnieć. Zaznaczam, iż sprawa jest zupełnie błaha i nie ma najmniejszego związku ze zniknięciami, doskonale świadczy natomiast zarówno o nastrojach panujących w tej grupie, jak i w całym mieście.

Harry Martini i jego żona Florence pobrali się przed ponad dwudziestu pięciu laty. Atmosferę, jaka panowała w tym związku, najlepiej chyba oddaje słowo „oziębła”; gdyby Harry'emu wystarczyło odwagi, najprawdopodobniej już dawno by się rozwiódł. Bał się jednak reakcji władz szkolnych i opinii mieszkańców Aurelius, chociaż moim zdaniem rozwód niewiele by mu zaszkodził. Harry i Florence mieli dwoje dzieci. Starsza córka, Sally, pracowała u Kodaka w Rochester; młodszy syn, Harold junior, studiował w Alfred University. Nieszczególnie bystry chłopiec, ale solidny i pracowity. Mimo że państwo Martini mieszkali razem, to mieli oddzielne sypialnie i niewiele czasu spędzali wspólnie.

O ile się orientuję, bardziej niezadowoloną stroną była Florence. Harry piastował ważne, absorbujące stanowisko, podczas gdy jego żona, chociaż historyk z wykształcenia, pracowała na pół etatu w sklepie z artykułami biurowymi przy Jefferson Street. Działała również aktywnie wśród Przyjaciół Sharon Malloy i w kościele prezbiteriańskim. Miała około czterdziestu pięciu lat, była wysoką kobietą o posiwiałych włosach i z lekkim wąsikiem.

Zdarzyło się, co następuje: wczesnym wieczorem w Halloween Harry wyszedł z domu, oświadczając, że idzie omówić parę pilnych bieżących spraw ze swoim zastępcą, Frankiem Armstrongiem. Dzięki powiązaniom z Przyjaciółmi Sharon Malloy Florence Martini dowiedziała się o zniknięciu Meg jako jedna z pierwszych, bo już około jedenastej. Natychmiast zadzwoniła do Franka, by zawiadomić męża, usłyszała jednak od żony Franka, że Harry ani się u nich nie pojawił, ani nawet nie zapowiadał się z wizytą. Kiedy godzinę później wrócił do domu, Florence zapytała go, gdzie był. Odparł, że u Franka Armstronga, ona zaś zarzuciła mu kłamstwo. Bez trudu potrafię sobie wyobrazić jego nadętą minę, kiedy to usłyszał. Następnie Florence zażądała wyjaśnień, on natomiast kategorycznie odmówił. Nazajutrz Florence powiedziała Przyjaciółom Sharon Malloy, że minionego wieczoru jej mąż wyszedł z domu, a po powrocie nie chciał wyznać, gdzie był.

Możliwe, iż świadczyło to o jej obłudzie. Wiele osób było gotowych przysiąc, że Florence doskonale wiedziała, dokąd udał się Harry i że urządziła całą tę scenę wyłącznie po to, by go upokorzyć. Tak czy inaczej, oznajmiła Paulowi Leimbachowi i Donaldowi Malloyowi, że jej męża przez cały miniony wieczór nie było w domu i że od chwili zaginięcia Sharon zachowywał się jakoś dziwnie.

Zamiast zawiadomić policję, Donald i jeszcze dwaj członkowie grupy pojechali natychmiast do szkoły, żeby porozmawiać z Harrym. Widziałem

ich, kiedy przyjechali około jedenastej, niczego się jednak nie domyślałem. Ani ja, ani nikt inny. Rozmawiali w jego gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Przymuszczałnie Harry odmówił im udzielenia wyjaśnień co do swoich poczynań poprzedniego wieczoru, zapytali go więc, co robił w czasie, kiedy zniknęła Sharon. Jak już wspomniałem, Donald Malloy jest postawnym, mocno zbudowanym mężczyzną. Zadał to pytanie groźnie pochylony nad biurkiem Harry'ego. Dowiedziałem się o tym później. Okazało się, że tamtego dnia Harry'ego nie było w szkole. Miał podobno uczestniczyć w konferencji odbywającej się w Utice.

Godzinę lub dwie później spotkałem go w korytarzu. Był bardzo blady i zdenerwowany. Po południu miało się odbyć zebranie rady pedagogicznej, ale zostało odwołane. Zdaje się, że Harry wyszedł wcześniej do domu.

Jadąc do szkoły we czwartek rano, byłem przekonany, że Harry nie pojawi się w pracy. Ale się myliłem. W pewnym sensie było to dla niego typowe zachowanie: już od dzieciństwa nigdy nie robił tego, co powinien zrobić, bardzo często zaś robił to, czego nie należało. Chociażby to bezustanne popisywanie się umiejętnością literowania długich i skomplikowanych słów... Tak czy inaczej, Harry zapowiedział pani Miller, że nie ma go dla nikogo i żeby nie łączyła żadnych rozmów telefonicznych, po czym zamknął się na klucz w gabinecie. Działo się to o ósmej trzydzieści.

O wpół do jedenastej w szkole zjawili się Peter Marcos, młody porucznik pełniący obowiązki asystenta kapitana Percy'ego, oraz jeszcze trzech funkcjonariusze. W Albany Marcos często był wyznaczany na oficera łącznikowego przy biurze gubernatora i na razie nie mógł się zdecydować, czy Aurelius jest krokiem we właściwym kierunku na drodze jego kariery, w związku z czym na wszelki wypadek starał się wypaść jak najlepiej. Dziesięć minut później odjechali, zabierając ze sobą Harry'ego.

Harry miał zwyczaj noszenia kwiatka w butonierce - najczęściej był to goździk - co stało się w końcu niemalże jego znakiem firmowym.

Harry'ego zabrano ze szkoły podczas lekcji; na pierwszej przerwie po tym wydarzeniu uczniowie znaleźli jego goździk w korytarzu. Przez jakiś czas bawili się nim, rzucając go i kopiając, następnie zaś kwiatek wpadł w ręce niejakiego Tommy'ego Onetti. Próbował go sprzedać, nie mógł jednak znaleźć kupca, tak więc wpiął go sobie w klapę i nosił aż do końca dnia.

Pani Miller opowiadała, że Harry płakał, kiedy wyprowadzano go z gabinetu. Co najmniej dziesięć osób twierdziło, że płakał przez całą drogę do radiowozu. W porze lunchu wszyscy wiedzieli już o jego aresztowaniu. Niektórzy utrzymywali, że miał na rękach kajdanki, co było nieprawdą, znaleźli się też i tacy, którzy zapewniali, że od razu przyznał się do uprowadzenia Sharon Malloy i Meg Shiller.

Rzecz jasna, to także była nieprawda. Ryan Tavich opowiedział Franklinowi, co się stało:

- Przywieźli go na posterunek płaczącego jak bóbr. Marcos zaprowadził go prosto do kapitana Percy'ego. Ja też poszedłem. Zanim Percy zdążył o cokolwiek zapytać, Martini zaczął bełkotliwie opowiadać cholernie skomplikowaną historię o jakiejś kobiecie, którą poznał w Utice, i o tym, jak ona tu przyjeżdżała i zatrzymywała się w Gillian's Motel. Mówił, że ona go kocha i rozumie i że zrujnował sobie życie. Trudno było się w tym rozeznaczyć. Muszę przyznać, że Percy był niesamowicie cierpliwy. Jedno w każdym razie było jasne: tamtego wieczoru Martini rznął jakąś nauczycielkę z Utiki. Jestem gotów założyć się o dziesięć dolców, że jego żona doskonale o tym wiedziała już wtedy, kiedy w Halloween telefowała do Armstronga.

Wiadomość, że Harry Martini nie ma nic wspólnego ze zniknięciem obu dziewczynek, rozchodziła się znacznie wolniej niż informacja o jego aresztowaniu. Kiedy o drugiej po południu tego samego dnia wrócił do szkoły, na jego widok kilka uczennic wpadło w panikę i rzuciło się do ucieczki. Podobne, choć może nie aż tak gwałtowne reakcje zdarzały się również poza szkołą.

Podczas zebrania rady pedagogicznej, zarządu szkoły i rady miejskiej padały pytania, czy dzieci mogą się czuć bezpiecznie w szkole kierowanej przez Harry'ego. Krążyły nawet pogłoski - moim zdaniem mocno przesadzone - że zamierzano zawiesić go w wykonywaniu obowiązków dyrektora. Nie ulega wątpliwości, iż nie narobiłby sobie takich kłopotów, gdyby od razu przyznał się do romansu z tą kobietą z Utiki. Tydzień później, kiedy szum wokół sprawy zaczął powoli cichnąć, jego żona wystąpiła o rozwód.

Incydent z Harrym był tylko jednym z wielu. Wiem na pewno, że Paul Leimbach w towarzystwie jeszcze dwóch Przyjaciół Sharon Malloy zjawił się w Make Waves i rozmawiał z Jaimem Rose. Co prawda Cookie twierdziła, że rozmowa przebiegała w przyjacielskiej atmosferze, ale kto wie? Znacznie ważniejsze było to, że przyszło im do głowy tam pojechać, niż to, czego się dowiedzieli. Równie ważne jak to, że widziano Donalda Malloya oraz kilku innych Przyjaciół wchodzących do gabinetu Harry'ego. Kiedy na kogoś padł cień podejrzenia - a takich ludzi znalazło się całkiem sporo - bardzo trudno było mu się z tego cienia usunąć. Wszyscy pamiętali mu to jeszcze długo po tym, jak cała sprawa dobiegła końca.

Jednak w rzeczywistości sytuacja okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Jak już wspominałem, trafiłem pod pręgierz opinii publicznej jako samotny mężczyzna wykazujący widoczne zainteresowanie dorastającymi dziewczętami. Muszę przyznać, iż odczułem ulgę, kiedy podejrzenie padło na Harry'ego, gdyż tym samym ja stałem się mniej podejrzany. Naturalnie dręczyły mnie z tego powodu wyrzuty sumienia. Nigdy nie lubiłem Harry'ego, ponieważ jest głupi, zarozumiały i zachowuje się jak kogut, niemniej świadomość, iż cieszę się z jego nieszczęścia i cierpienia, kładła mi się na sercu trudnym do zniesienia ciężarem. Nie wątpię, iż podobnie jak ja myśleli również inni.

Powinienem - chyba przynajmniej w skrócie - wspomnieć o innych zdarzeniach. W poniedziałek rano, szóstego listopada, Tom Schneider

zgłosił się na policję i powiedział, żeby go aresztować. Był właścicielem stacji benzynowej Mobil na obrzeżach miasta. Twierdził, że jest zbożnym, choć równocześnie zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z zaginięciem Sharon i Meg. Było jednak jasne, iż spodziewa się, że zostanie o to oskarżony. Utrzymywał, iż odbywał stosunki płciowe ze swoimi niewiele ponad dziesięcioletnimi dziećmi. Jego żona wiedziała o tym i zagroziła, że jeśli sam nie odda się w ręce władz, to ona złoży na niego skargę. Podejrzała go również o uprowadzenie Sharon i Meg, ale on zaklinał się na wszystkie świętości, że nie przyłożył do tego ręki.

Ryan porozmawiał z żoną Schneidera, jego dziećmi, ich lekarzem rodzinnym oraz z sąsiadami. Wynik tych rozmów był taki, że Toma Schneidera aresztowano pod zarzutem kazirodztwa i wykorzystywania seksualnego nieletnich. Kilka dni spędził w areszcie, po czym został zwolniony za kaucją. Chyba wynajął kogoś do prowadzenia stacji, sam zaś otrzymał zgodę na przeniesienie się do Utiki lub Rome, gdzie miał czekać na wyznaczenie daty rozprawy. Mimo całkowitego braku dowodów ludzie przypuszczali, że jest także odpowiedzialny za zniknięcie Sharon i Meg. Tydzień po jego aresztowaniu ktoś powybił szyby w stacji benzynowej i przewrócił jeden z dystrybutorów. Nazajutrz człowiek, który miał pod nieobecność właściciela prowadzić interes, pozabijał deskami i zamknął stację. Wkrótce potem na jednej z desek ktoś wypisał czerwoną farbą ZBOCZENIEC. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby usunąć napis.

W kolejny incydent był zamieszany Billy Perkins, drobny pijaczek żyjący z niewielkiej renty wojennej. Zjawił się na posterunku dwa dni po Schneiderze. Był ciężko przerażony. W Halloween, rzecz jasna, upił się do nieprzytomności, potem zaś kilku młodych ludzi wmówiło mu, że najprawdopodobniej zamordował Meg Shiller. Billy nie przypominał sobie, żeby to uczynił, co wcale o niczym nie świadczyło, kiedyś bowiem

po pijanemu zdarzyło mu się zabić psa. O tym, że to zrobił, dowiedział się dopiero wtedy, kiedy wytrzeźwiał. Prosił, żeby zamknąć go w celi, ponieważ bał się, że Przyjaciele Sharon Malloy sami zechcą wymierzyć mu sprawiedliwość.

Mój kuzyn był jednym z dwóch funkcjonariuszy, którym wyznaczono zadanie odtworzenia poczynań Billy'ego w Halloween. Ustalili, że około szóstej wieczorem kupił butelkę taniej whisky. Dotarli do dwóch mężczyzn, z którymi ją opróżnił - każdy z nich również przyniósł butelkę. Pat O'Shay, w której domu mieszkał, zeznała, że wrócił około północy, wyśpiewując na całe gardło wojskowe piosenki. Podobno zdarzało mu się to dość często. Poprosiła go, żeby się zamknął, Billy zaś grzecznie ją przeprosił i poszedł spać.

- To wrak, ale całkiem miły człowiek - powiedziała Pat O'Shay.

Billy zgodził się poddać leczeniu w ośrodku dla alkoholików w Syracuse. Próbował już kiedyś, ale może tym razem będzie inaczej. Tak naprawdę Ryanowi chodziło o to, żeby pozbyć się go z miasta. Było jasne, że nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Sharon i Meg, w oczach niektórych ludzi wciąż jednak był podejrzany i mogło mu się przytrafić jakieś nieszczęście. Znowu dotknęliśmy więc tematu powszechnej podejrzliwości, przerażenia i chęci znalezienia kogoś, na kogo można by rzucić winę. Tym razem jednak wybiegłem stanowczo zbyt daleko na przód.

Kiedy Ryan stanął nad przysypanym śniegiem ciałem Houariego Chihani, bez trudu odgadł, co się stało. Tuż obok widział przecież Citroëna zdemolowanego uderzeniami kija baseballowego, a wiedział, że wczesnym wieczorem Hark i jego kołesie trenowali baseball na skrzynkach pocztowych w okolicy. Tak na oko samochód został uderzony co najmniej trzydzieści razy. Ryana ogarnęła wściekłość na Harka i jego kumpli. Marzył tylko o tym, żeby zrobić z nimi to samo, co oni z tym małym czerwonym samochodem. Irving Powell wciąż stał na podjeździe.

- Mogę już iść? - spytał.

Wziął psa na smycz, w ręce trzymał beret Chihaniego. Spod płaszcza wystawały nogawki pasiastych spodni od pizamy. Powell miał pięćdziesiąt kilka lat i przez całe życie mieszkał przy tej ulicy.

- Oczywiście, że nie! - parsknął Ryan. - Przecież jest pan głównym świadkiem w sprawie o morderstwo! - Po chwili nieco złagodniał. - Proszę iść do domu, przebrać się i zaraz wrócić. Bez psa.

Oficerem dyżurnym był John Farulli. Ryan zameldował mu, że wszystko wskazuje na to, iż Chihani został zamordowany. Wiedział, że informacja szybko dotrze do Schmidta i że policyjna machina ruszy natychmiast. Ulica zostanie zablokowana, ludzie będą przesłuchiwani, dojdzie do aresztowań. A ponieważ niemal wszyscy policjanci w hrabstwie byli już zajęci szukaniem Meg Shiller, Ryanowi wkrótce zabraknie ludzi.

Nadjechały radiowozy. W wyniku przeprowadzonego przeszukania terenu znaleziono trzy maski: czarną z wąsami, pękniętą maskę Myszki Miki oraz zieloną konika polnego. Natrafiono również na czapkę baseballową i łaskę Chihaniego, a także na sześć butelek po budweiserze, w tym dwie w połowie pełne. Śnieg na trawniku i podjeździe przed domem zdeptały dziesiątki butów. Sąsiedzi mieszkający po drugiej stronie ulicy - pani Morotti i James Pejewski - zeznali, że minionego wieczoru dzwonili na policję. Jacyś mężczyźni tłukli w czerwonego citroena kijami baseballowymi. Nie zdołali zidentyfikować chevroleta blazera należącego do Jeba Hendricksa, zgodnie jednak twierdzili, iż była to czerwona terenówka.

- Nie miała przedniej szyby - powiedział James Pejewski. - Musiało im być cholernie zimno.

W przesłuchiwanie sąsiadów i przeszukiwaniu bezpośredniej okolicy domu Chihaniego uczestniczyło około dziesięciu policjantów. Pani Morotti zaparzyła im kawy.

- Tylko ostrożnie, bo bardzo gorąca - powtarzała.

Franklin Moore pojawił się w chwili, kiedy zwłoki Chihaniego układano na noszach. Miały zostać zawiezione do Potterville w celu przeprowadzenia autopsji. Podobnie jak Ryan i inni policjanci, Franklin tej nocy nie zmrzył oka, ale przynajmniej zdążył się ogolić. Na tle mężczyzn o szarych, zmęczonych twarzach zdawał się tryskać świeżością i energią. Miał na sobie kozuch, a wokół szyi owinał pasiasty szalik.

- Jak tam Sadie? - zapytał Ryan.

- Odwiozłem ją do szkoły. Jest trochę oszołomiona, ale poza tym wszystko w porządku. Co tu się stało?

Stali przy ambulansie, siorbiąc kawę z błękitnych ceramicznych kubków. Pani Morotti powtórzyła chyba z dziesięć razy, że chce swoje kubki z powrotem, i nawet uczyniła jednego z funkcjonariuszy, Henry'ego Swendera, odpowiedzialnym za ich zebranie i dostarczenie.

- Hark Powers zjawił się ze swoimi kumplami i zaczął demolować samochód Chihaniego. Chihani pewnie wyszedł, żeby ich odgonić, więc jemu też przyłożyli.

- Czy są już aresztowani?

Franklin pilnie notował.

- Nigdzie nam nie znikną - odparł Ryan. - Wkrótce będziemy ich mieli.

Przyszło mu na myśl, że zabójstwo Chihaniego stanowiło również doskonały pretekst do zatrzymania Aarona i pozostałych Tropicieli Prawdy. Przy okazji będzie można przesłuchać ich w sprawie zniknięcia Meg Shiller.

Chwilę później w Mapie Street skręcił biały mikrobus Channel 9 z Syracuse, za nim zaś samochód z emblematem Channel 5. Oba jechały dość szybko.

- Macie szansę na dużą popularność - powiedział Franklin. - Wszyscy zwalili się tutaj z powodu Meg.

Ryan już szedł do radiowożu.

- Schmidt się nimi zajmie - rzucił przez ramię. - Ja nie jestem w stanie rozmawiać z tymi ludźmi.

Ryan był przekonany, że wie, kto towarzyszył Harkowi i że czerwona terenówka to Chevrolet blazer należący do Jeba Hendricksa. Wysłał dwóch ludzi do warsztatu, w którym pracował Hendricks, żeby go aresztowali, a następnie, również po dwóch, do Henderson's Plumbing and Heating po Erniego Corellego oraz do Knox Consolidated po Jimmy'ego Feldmana. Poleciał też sprowadzić na posterunek Aarona, Barry'ego, Harriet, Leona, Jessego i Shannona. Dał jednak jasno do zrozumienia, że zatrzymanie Tropicieli Prawdy nie ma żadnego związku z zaginięciem Meg, co w pewnym sensie było prawdą.

Po Harka pojechał osobiście. Nie przyszło mu do głowy, żeby brać kogoś ze sobą. Ludzie mieli mnóstwo roboty, więc Ryan nie chciał

niepotrzebnie robić zamieszania. Zależało mu także na tym, by uporządkować sprawy na swoim podwórku, zanim wtrąci się w nie policja stanowa.

Śnieg przestał padać, wyrzało słońce. Ryan wątpił, czy śnieg utrzyma się na ziemi do wieczora, może z wyjątkiem zacienionych miejsc pod drzewami. Teraz dosłownie parował w ciepłych promieniach słońca, które świeciło tak jasno, że Ryan założył ciemne okulary. Tym razem również nadłożył nieco drogi, by przejechać Hamilton Street obok niewielkiego domu z czerwonej cegły i z białym gankiem, w którym kiedyś mieszkała Janice McNeal. Przed dwoma tygodniami, szesnastego października, minęły dokładnie dwa lata od jej śmierci. Ryan spędził rocznicowy wieczór samotnie; siedział w fotelu, słuchając Billie Holiday i pijąc whisky. Rozpalił w kominku. Nazajutrz wyrzucał sobie przez cały dzień, że jest sentymentalnym idiotą, ale w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu.

Przez rok dom Janice stał pusty, potem zaś kupił go jakiś inżynier z Kingston, z żoną i trójką dzieci. Na trawniku przed domem została już wzniesiona śnieżna forteca, obok stały plastikowe niebieskie sanki. W oknie dawnej sypialni Janice wisiały pomarańczowe papierowe dynie. Ryan kochał się z Janice we wszystkich pomieszczeniach, nie wyłączając strychu i piwnicy. Kochali się nawet na podwórku. Przypuszczalnie to samo mogli powiedzieć inni mężczyźni, którzy to z nią robili. Ryan wiedział na pewno, że niekiedy miała tego samego dnia dwóch kochanków; wcale by się nie zdziwił, gdyby miewała ich nawet pięciu. Rąbnął pięścią w kierownicę, niechęć uruchamiając klakson. Obiecał sobie, że już nigdy tędy nie przejedzie. Obiecywał to sobie wielokrotnie. Obserwował we wstecznym lusterku, jak dom i papierowe dynie w oknie robią się coraz mniejsze.

Znowu myślał o tym, kto ją zabił. Biorąc pod uwagę jej apetyt na seks, mógł to być ktokolwiek. Niekoniecznie musiał mieszkać w Aurelius. Równie dobrze mógł pochodzić z Potterville, Norwich albo z innego,

jeszcze bardziej odległego miasta. Ryan nie wierzył, żeby zabójcą była kobieta. Janice zamordował jeden z jej kochanków. Być może z zazdrości. Chociaż niekoniecznie, powód mógł być inny, ale gdyby to on, Ryan, ją zabił, zabiłby właśnie z zazdrości. Myślał o jej uciętej ręce i o ręce manekina w plecaczku Sharon Malloy. Czy ubranie Meg również zostanie zwrócone? I czy będzie dołączona ręka?

Tuż po wpół do dziesiątej dotarł do prowadzonego przez Jacka Morrisa salonu sprzedaży i zarazem punktu serwisowego Forda. Na parkingu Shep McDonald zgarniał śnieg z nowiutkich, czekających na klientów samochodów. Z warsztatu dobiegały metaliczne odgłosy, od czasu do czasu rozlegał się warkot jakiegoś urządzenia. Ryan wszedł przez otwartą na oścież bramę. Chociaż przemoczył już buty przed domem Chihaniego, starał się omijać miejsca, w których śnieżna breja była najgłębsza. Kilka osób zatrzymało się na jego widok i śledziło go wzrokiem. Oczywiście poznali go, ze sposobu zaś, w jaki się poruszał, natychmiast się domyślili, że nie przyjechał po to, żeby zostawić samochód do naprawy.

Hark pracował przy turbosprężarce niebieskiego mustanga rocznik '92. Samochód należał do Pete'a Roberta i wyzionął ducha tydzień wcześniej na szosie między Aurelius i Clinton. Hark grzebał w silniku, opierając się o błotnik przykryty brezentową płachtą. Był odwrócony tyłem do Ryana. W miarę jak Ryan zbliżał się do niego, coraz więcej osób przerywało pracę i odkładało narzędzia, żeby lepiej śledzić rozwój wydarzeń. Nikt jeszcze nie wiedział o Chihanim, dla nikogo natomiast nie było tajemnicą, że Hark spędził miniony wieczór z kumplami i że najprawdopodobniej nie wszystko poszło po jego myśli, zjawiał się bowiem w pracy nie dość że skacowany i ponury, to jeszcze z podbitym okiem.

W warsztacie zapadła cisza. Hark zorientował się, że coś jest nie tak, i odwrócił się gwałtownie. Miał na sobie niebieski kombinezon z napisem

„Jack Morris Ford” na kieszonce. Długie ciemnoblonde włosy zasłaniały mu uszy. Miał spuchnięty lewy policzek, niebieskofioletowe oko oraz czerwonego siniaka na czole.

Nic nie powiedział, tylko wytrzeszczył oczy. W jednej ręce trzymał klucz pneumatyczny, w drugiej pomarańczową szmatę. Ryana dzieliło od niego jeszcze jakieś sześć metrów. Hark wypuścił klucz z ręki, po czym rzucił się w kierunku tylnych drzwi warsztatu.

- Ryan poszedł za nim. Nie pobiegł, tylko poszedł, może najwyżej odrobinę szybciej - opowiadał później w Bud's Tavern Jerry Golding. - Wyglądał jak mała lokomotywa. Po prostu parł do celu.

Pick-up Harka stał na zapleczu. Kiedy Ryan wyszedł z warsztatu, ujrzał chłopaka stojącego przy drzwiach samochodu i rozpaczliwie przetrząsającego kieszenie kombinezonu. Nagle Hark znieruchomiał. Przypomniał sobie, że zostawił kluczyki w szafce, razem z „cywilnym” ubraniem. Spojrzał na Ryana, zgarbił się, po czym nie czekając na wezwanie, stanął w rozkroku i oparł ręce o samochód. Jednak już po chwili odzyskał rezon, odwrócił się błyskawicznie i wycelował palcem w swoją twarz.

- Widzisz, co mi zrobił ten pieprzony Arab?

Ryan zbliżał się w milczeniu. Kilku mężczyzn wyszło z warsztatu. Hark najwyraźniej nie wiedział, co począć. Podniósł zaciśnięte pięści, lecz zaraz je opuścił.

- Chihani nie żyje - powiedział Ryan, kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków.

- Kłamiesz!

- Zabiłeś go kijem baseballowym.

Zawzięty grymas znikł z twarzy Harka. Zastąpiło go najpierw zdumienie, a potem lęk. Przycisnął ręce do piersi. Na kombinezonie zostały ciemne tłuste plamy. Zamknął oczy, pochylił głowę, a z jego gardła wydobył się dziwny odgłos - coś jakby rżenie uszkodzonego silnika.

Ryan przez chwilę przyglądał mu się bez słowa. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym sprowadził się do Aurelius, Hark miał sześć lat. Pamiętał, że włosy chłopca były wtedy prawie białe, niewiele ciemniejsze od włosów Barry'ego Sandersa. Wreszcie Ryan otoczył go ramieniem i poklepał po plecach. Stali tak przez jakiś czas, obserwowani przez pięciu pracowników warsztatu. Następnie Ryan zaprowadził Harka do swojego escorta. Kiedy zapytano go później, dlaczego nie założył mu kajdanek, najpierw odparł, że zapomniał, potem zaś powiedział, że chciał oszczędzić mu wstydu.

Gdy Ryan dostarczył Harka na posterunek, Jeb Hendricks, Ernie Correlli i Jimmy Feldman składali już tam zeznania. Wszyscy zgodnie twierdzili, że to Hark wpadł na pomysł, żeby pojechać do domu tego Araba. Oni chcieli wracać do Bud's Tavern. Jeb oświadczył, że usiłował powstrzymać Harka, kiedy ten zaatakował Chihaniego kijem baseballowym. Ernie utrzymywał, że również starał się to zrobić, choć w rzeczywistości jego wspomnienia urywały się na pogoni za Jessem i Shannonem. Jimmy także niewiele pamiętał, ale miał podbite oko i opowiadał ze szczegółami o tym, jak to Chihani zaatakował go bez żadnego powodu. Przecież nawet nie miał kija w ręce. Nie żywił też żadnej urazy do tego Araba. Jego życiowa dewiza brzmiała: żyj i daj żyć innym.

Hark również złożył zeznania. Nie przyszło mu do głowy, żeby tego nie robić. Był tak przygnębiony, że chociaż też mało co pamiętał, nie widział powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Nie miał pojęcia, dlaczego postanowił zdemolować samochód Araba. Wtedy uważał to za doskonały pomysł. Przypominał sobie, że go uderzył, ale z całą pewnością nie chciał go zabić. Wciąż powtarzał, że bardzo mu przykro, a kiedy dowiedział się o zaginięciu Meg Shiller, powiedział tylko „O cholera”.

Barry'ego i Leona przesłuchano w związku z wydarzeniami minionej nocy. Z Barrym przyjechała jego matka, nie pozwalała mu dojść do słowa, wtrącała się co chwila, mówiła, że Barry chciał dobrze i że pozostali Tropiciele Prawdy wykorzystywali go bezlitośnie. Stwierdziła też, że od początku wiedziała, iż zarówno Hark, jak i Aaron to typy spod ciemnej gwiazdy. Było jej ogromnie przykro z powodu Meg Shiller.

- Ale co z profesorem Chihanim? - pytał Barry.

- Nieważne - odpowiadała matka.

Z punktu widzenia Barry'ego śmierć nauczyciela była czymś znacznie gorszym od zniknięcia Meg. Z profesorem widywał się bardzo często, a chociaż oczywiście żał mu było także zaginionej dziewczynki, to przecież prawie jej nie znał.

Leon nic nie wiedział o Meg. Był w stanie myśleć wyłącznie o Chihanim.

- Zabili go? - pytał wciąż na nowo. - Ale dlaczego? Co takiego zrobił?

W ogóle nie chciał rozmawiać o Meg. Nie widział takiej potrzeby. Myślał o książkach i artykułach, które Chihani pisał i które miały pozostać nieukończone.

- Jaka szkoda - powtarzał. - Pomyślcie tylko, taka praca!

Jesse i Shannon przyznali się do rozbicia przedniej szyby w chevroletcie Jeba. Potem przez jakiś czas włóczyli się tu i tam, wypili parę piw i przed północą wrócili do domu. Owszem, słyszeli, jak rano policja dobiła się do drzwi, ale bardzo chciało im się spać. Nie mieli pojęcia o żadnej Meg. Kiedy się dowiedzieli, co spotkało Chihaniego, ogarnęła ich wściekłość.

- Co on im takiego zrobił, do cholery? - zapytał Jesse.

- Dupki! - parsknął jego brat.

Potem Jesse się rozplakał, a brat otoczył go ramieniem. Ryan patrzył na ich jasne, związane w kucyki włosy. Zdziwiła go emocjonalna reakcja chłopców, zaraz potem zaś zdziwiło go własne zdziwienie. Później

powiedział Franklinowi, że najwyraźniej zupełnie nie zna się na ludziach.

- Spodziewasz się, że ktoś zrobi to albo to, a on robi coś zupełnie przeciwnego.

Około południa Ryan pozwolił braciom wrócić do domu. Harriet Malcomb nie miała ochoty powiedzieć, gdzie była, aż do chwili, kiedy usłyszała o Meg.

- Dlaczego miałabym mieć coś wspólnego z jej zniknięciem? - Ona również była wstrząśnięta śmiercią Chihaniego. - Nikomu już nie potraficie zapewnić bezpieczeństwa - powiedziała. - Ani nauczycielom, ani dzieciom.

Okazało się, że nawiązała romans z żonatym nauczycielem historii, Shermanem Carpenterem, który zresztą uczył ją o ruchach związkowych. Całe miasto wiedziało o jego problemach małżeńskich. Pojechali we dwojkę do motelu w pobliżu Clinton. Ze względu na padający śnieg do domu wróciła dopiero około piątej rano.

Ryan miał wielką ochotę zapytać ją, jakiej oceny spodziewa się na koniec semestru i czy pomyślała choć raz o żonie Carpentera, która wielokrotnie skarżyła się na to, że pod wpływem alkoholu jej mąż staje się agresywny. Harriet jednak zachowywała się chłodno i wyniośle, patrząc na Ryana w taki sposób, jakby знаła jakąś jego wstydliwą tajemnicę. Miała na sobie obcisły niebieski golf i równie obcisłe levisy. Co chwila gwałtownym ruchem odgarniała do tyłu długie czarne włosy, jakby to one były obiektem jej gniewu. W głębi duszy Ryan myślał o niej jako o wrednej dziwce, lecz najmocniejszym określeniem, jakiego użył w rozmowie z Franklinem, było „twarda sztuka”.

- Narobiłeś niezłego bigosu - stwierdziła Harriet. - Opowiem o tym nie tylko burmistrzowi, ale i władzom college'u.

- Idź do diabła! - warknął.

- Rzygać mi się chce na samą myśl o tym, że kiedyś pozwoliłam ci się dotykać - powiedziała, wychodząc z pokoju.

Pozostał jeszcze Aaron.

Od dwóch godzin siedział sam w małym pokoiku i wcale mu się to nie podobało. Ryan wszedł, po czym usiadł przy biurku, w ogóle na niego nie patrząc. W związku z zamieszaniem związanym z poszukiwaniami Meg na posterunku panował spory hałas, ale akurat w tym pokoju było całkiem cicho. Aaron siedział z rękami splecionymi na kolanach i wpatrywał się w podłogę. Nie wyglądał na zirytowanego, raczej na głęboko zamyślnego nad kolejami życia. Ryan przypomniał sobie, co Harriet mówiła o tym, jak Aaron kazał jej się z nim kochać, i nagle zaczął żałować, że żyje w tak małym mieście, w którym wszyscy znają wszystkich i nie może być mowy o żadnej anonimowości.

Wyjął z szuflady plik żółtych kartek, napisał na górze datę, nieco niżej zaś nazwiska swoje i Aarona. Wciąż milczał. Następnie narysował kilka gwiazdek i kaczkę, za którą rzędem podążały kaczątka. Właśnie kończył rysować szóste kaczątko, kiedy Aaron zapytał:

- No i co?
- Dzisiaj rano przejeżdżałem obok domu twojej matki.
- Czy to ma mnie zmiękczyć?

Aaron odchylił się do tyłu i wyprostował nogi. Splecione ręce powędrowały na zapadnięty brzuch.

- Ciekawe, czy ludzie, którzy teraz tam mieszkają, myślą czasem o tym, że twoja matka została zamordowana w ich salonie.

- Musiałbyś ich zapytać.

Aaron nawet nie starał się skrywać niechęci. Ryan oderwał kartkę z kacuzškami, zmiął ją i rzucił do kosza. Odbiła się od krawędzi i spadła na podłogę.

- Co sądziłeś o Chihanim?
- Był nieszkodliwy. I mądry. Lubilem go.
- Zastanawiam się, czy Hark by go zabił, gdyby nie ta afera z uchem. Zaczął mazać na następnej kartce. Tym razem jajka.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To co mówię.

Ryan doszedł do wniosku, że chyba się trochę wygłupił.

- Uważasz, że jestem odpowiedzialny za jego śmierć?

Ryan puścił pytanie mimo uszu.

- Myślisz, że zabójca twojej matki mieszka w Aurelius?

Aaron nie odpowiedział.

- Co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, kto to jest?

- A co ty byś zrobił?

- Myślę, że mógłbym go nawet zabić.

- Czy to by coś zmieniło?

- Owszem: zapewniłoby mi spokojny sen. Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Aaron odwrócił wzrok.

- Nie twoja sprawa.

- A w ogóle jeszcze cię to obchodzi?

Aaron aż poderwał się na krześle.

- Jasne, że tak!

- Więc próbowałbyś go zabić, czy nie?

- Skąd wiesz, że to mężczyzna? - W głosie Aarona zabrzmiała kpiąca nuta.

- To oczywiste.

- Skoro zabił ją jakiś mężczyzna, który mieszka w Aurelius, to dlaczego jeszcze go nie schwytałeś?

- Bo to nie takie proste.

- To jedno z wyjaśnień - odparł Aaron, a następnie zapytał: - Myślisz, że ten sam człowiek załatwił Sharon i Meg?

- Wcale bym się nie zdziwił. - Ryan zdążył już narysować osiem jajek. Teraz zabrał się do dorysowywania pęknięć na skorupkach. - Dlaczego kazałeś Harriet, żeby poszła ze mną do łóżka?

- Tak ci powiedziała?

- Dlaczego jej kazałeś?

- Jest moim żołnierzem.

- Co to znaczy?
- Sam ją zapytaj.

Pęknięcia były już ukończone.

- Z kim spędziłeś ostatnią noc?
- Nie zamierzam ci tego powiedzieć.

Ryan oddał kolejną kartkę, zmiął ją i rzucił do kosza. Tym razem celnie. Wstał, otworzył drzwi i zawołał:

- Chuck, zawieź go do Potterville. Niech go tam zamkną.

Dziesięć dni po zniknięciu Meg było dniami, które wypełniały zdruzgotane nadzieje i chaos. Zaginięcie drugiej dziewczynki oraz narastające przekonanie, że sprawca mieszka pośród nas, nie tylko ściągnęły na Aurelius uwagę opinii publicznej, lecz także najróżniejszej maści pragnących służyć pomocą ochotników niemal z całego kraju. Wśród nich znajdowała się niejaka Madame Respighi, wizjonerka - tak przynajmniej o sobie mówiła - która ulokowała się w Aurelius Motel, a następnie, korzystając z fragmentów garderoby Sharon i Meg, wyruszyła na parapsychologiczne poszukiwania obu dziewcząt. Za swoje usługi nie żądała żadnego wynagrodzenia i według powszechnej opinii nawet jeśli niewiele mogła pomóc, to i nie powinna zaszkodzić. Niemniej za każdym razem, kiedy przejeżdżałem obok motelu, wyobrażałem sobie Madame Respighi zamkniętą w pokoju i zmagającą się z siłami ciemności. Wiele osób wyrażało się o niej nieżyczliwie, uważając, że wykorzystuje tragedię naszego miasta. Była dość zażywną kobietą w szarym kostiumie, co trochę mnie rozczarowało, podświadomie oczekiwałem bowiem długiej kwiecistej spódnicy i wielkich złotych kolczyków w uszach. Nosiła okulary w czarnej rogowej oprawie i miała krótkie, kręcone siwe włosy.

Przyjechało kilku ludzi i psami o nadzwyczajnych zdolnościach tropicielskich, oraz znacznie więcej takich, którzy po prostu chcieli przyłączyć się do poszukiwań. Dwaj pisarze ostrzyli sobie zęby na ewentualne kontrakty z wydawcami. Zjawili się psychologowie, funkcjonariusze policji z rozmaitych części kraju, którzy mieli do czynienia z podobnymi

problemami, pracownicy pomocy społecznej przeszkoleni w kontaktach z osobami ciężko doświadczonymi przez los. Na mnie jednak najbardziej wstrząsające wrażenie wywarli rodzice dzieci, które zaginęły bez wieści w innych miastach i miasteczkach. Zjawili się po to, by wyrazić współczucie rodzicom Sharon i Meg, ale i trochę w nadziei, że sprawca tych uprowadzeń zostanie schwytany i być może ujawni jakieś informacje dotyczące innych porwań. Byli to smutni ludzie ze zgaszonymi twarzami. Patrząc na nich, trudno było nie odczuwać ich bólu.

Pod koniec pierwszego tygodnia listopada zebrano zeznania od wszystkich, którzy mogli mieć cokolwiek istotnego do powiedzenia. Odszukano wszystkie podejrzane pojazdy. Okoliczne parki, pola i lasy zostały przetrząśnięte przez setki ochotników. Sprawdzone stawy i jeziora. Wuj Meg, Mike, stał się aktywnym członkiem Przyjaciół Sharon Malloy. Wiadomość o zaginięciu Meg dotarła do najdalszych zakątków kraju. Ponownie rozdzwoniły się telefony, zgłaszano informacje o dziewczynkach podobnych do Meg lub o podejrzanych osobach, które mogły mieć coś wspólnego z jej zniknięciem.

Fotografia Meg Shiller przedstawiała szczupłą trzynastolatkę z długimi brązowymi włosami, stojącą przy plastikowym stoliku. Machała do aparatu i niezbyt mądrze się uśmiechała. Miała na sobie kraciatą spódniczkę i gładką pastelową bluzkę. Uczesane z przedziałkiem włosy opadały poniżej barków. Miała prosty, prawie spiczasty nos i leciutko wyдутą dolną wargę. Lekko przechyliła głowę, przez co wyglądała tak, jakby się nad czymś zastanawiała. Niespełna dwadzieścia cztery godziny po zaginięciu powielone w niezliczonej ilości odbitek zdjęcie znalazło się obok fotografii Sharon na wystawach sklepów, na słupach, płotach i budkach telefonicznych. Sporo osób umieściło oba zdjęcia za tylnymi szybami swoich samochodów.

Lęk, jaki wywołało zaginięcie Meg, był znacznie większy od tego, jaki towarzyszył zniknięciu Sharon. Wtedy mogliśmy jeszcze żywić nadzieję,

że to tylko odosobniony wypadek. Teraz stało się jednak bardzo prawdopodobne, iż mamy do czynienia z seryjnym zjawiskiem, i na reakcję nie trzeba było długo czekać. Dzieci - i to nie tylko dziewczynki, lecz także chłopcy - wychodziły z domu wyłącznie w towarzystwie dorosłych lub grupkami. Psychoza strachu ogarnęła nawet Binghamton i Syracuse. Oczekiwaliśmy trzeciego zniknięcia, a potem kto wie, może czwartego i piątego.

Takie nastawienie zaowocowało wieloma fałszywymi alarmami. Betty Brewer z Forest Street zauważyła jakiegoś mężczyznę obserwującego jej dom. Doszła do wniosku, że jest to przestępca, który zaczął się na jej córkę Ilene, i natychmiast zawiadomiła policję. Trzy minuty później na miejscu zjawiły się cztery radiowozy. Tajemniczy mężczyzna okazał się ubranym po cywilnemu funkcjonariuszem policji stanowej. Dziesięciu takich funkcjonariuszy patrolujących ulice Aurelius zostało w krótkim czasie zauważonych przez mieszkańców. Większość zgłoszeń dotyczyła pracowników gazowni i wodociągów spisujących stan liczników. Podejrzani stali się mężczyźni wyprowadzający psy na spacer, a nawet listonosze. Wieczorami i nocą rozbrzmiewały niepokojące odgłosy: kroki na podjeździe, skrzypienie okna, szelest uschniętych liści pod gankiem. Policja nie mogła jednak zignorować żadnego sygnału, zawsze istniała przecież szansa, że może właśnie teraz, może właśnie tym razem uda się schwytać złoczyńcę.

A kim mógł on być? Policja dysponowała profilami osobowościowymi przygotowanymi przez psychologów. Jeśli wierzyć Ryanowi, pod wieloma względami pasowały one niemal do wszystkich mieszkańców Aurelius, ale, rzecz jasna, nie było to prawdą. Przede wszystkim dlatego, że sprawcą najprawdopodobniej był mężczyzna w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, samotny lub taki, którego niewiele łączyło z rodziną. W naszym hrabstwie mieszkało przypuszczalnie kilka tysięcy mężczyzn spełniających te kryteria; ja byłem jednym z nich.

Właśnie wtedy, po uzyskaniu portretu psychologicznego domniemanego sprawcy, na oczach całej szkoły zabrano na posterunek Harry'ego Martini, wtedy też przesłuchano Jaimego Rose. Przesłuchiwany był również Herbert Maxwell, hydraulik; całkiem przypadkowo wyszło na jaw, że w okresie wojny wietnamskiej unikał poboru do wojska. Mieszkał sam, nie udzielał się towarzysko. Za tamto przestępstwo albo poniósł już karę, albo mu ją darowano - nie jestem pewien, jak wyglądało to naprawdę. W każdym razie nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Teraz wiedzieli wszyscy. Jako samotny mężczyzna, a w dodatku odludek, oczywiście trafił na listę podejrzanych. To samo dotyczyło wielu jemu podobnych - na przykład Ryana Tavicha i mnie.

W pierwszą sobotę po Halloween mój sąsiad, Pete Daniels, zagadnął mnie, kiedy obaj grabiliśmy liście z trawników przed naszymi domami. Do tej pory prawie nigdy się nie odzywał, byłem więc nieco zaskoczony. Najpierw rzucił jakąś uwagę na temat pogody, potem poużalał się nad losem Meg Shiller.

- Zdaje się, że Sadie Moore często pana odwiedza, prawda? - zapytał wreszcie.

Zesztywniałem. Gdybym zaprzeczył, natychmiast nabrałby podejrzeń. Tak samo zareagowałyby zresztą wówczas, gdybym odpowiedział twierdząco. Rzecz jasna, nic nie powinno go to obchodzić, sam fakt więc, że zadał mi takie pytanie, świadczył o jego podejrzaniach. Podparł się grabiami i czekał w napięciu na odpowiedź; chudy, kościsty jegomość w bluzie z napisem „Syracuse University”.

- W miarę możliwości staram się pomóc Franklinowi. Ostatnio jest bardzo zajęty.

Stałem się obiektem rozmów. Sąsiedzi zaczęli na mnie patrzeć inaczej niż do tej pory. Naturalnie, łatwo było wpaść w paranoję na tym punkcie. A może powinienem po prostu spytać Pete'a, czy jego zdaniem mogłem porwać Sharon Malloy i Meg Shiller? Policja wiedziała, że w porze pierwszego zaginięcia byłem w szkole, wtedy zaś, kiedy wydarzyło

się drugie, siedziałem w domu albo sam, albo z Sadie. Co jednak wiedzieli sąsiedzi? Jeśli pojawiły się już plotki na mój temat, rozróżnienia między prawdą a fałszem przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Nazajutrz, w niedzielę, Sadie powiedziała mi, że ojciec szuka kogoś, kto mógłby się nią opiekować. Pani Kelly miała czas tylko w trzy popołudnia i wieczory, a w dodatku zdarzało jej się wychodzić wcześniej niż powinna. Oprócz niej Franklin chciał mieć jeszcze kogoś. Wspomniał nawet o możliwości odesłania Sadie do ciotki w White Plains „dopóki to wszystko się nie wyjaśni”. Sadie zaprotestowała tak gwałtownie, że chwilowo temat upadł, niemniej Franklin powiedział córce, że nie powinna spędzać tyle czasu w moim domu. Odparła, iż zawsze wydawało jej się, że ojciec mnie lubi.

- To nie jest kwestia lubienia albo nielubienia. Zasugerował, że mogłaby co wieczór chodzić do Pauli.

- Ucieknę z domu - ostrzegła go.

Kiedy w poniedziałek po południu wróciła ze szkoły, zastała w salonie matkę Barry'ego Sandersa oglądającą telewizję.

- Wyglądała jak ogromna paskudna roślina - opowiadała.

- Powiedz mi, kiedy zgłodniejesz, to zrobię ci coś do jedzenia - powiedziała pani Sanders, nie odrywając wzroku od telewizora.

Ponieważ twierdziła, że ma alergię na psy, zamknęła Cienia w piwnicy. Sadie uwolniła go i zamknęła się w swoim pokoju. Około szóstej pani Sanders przygotowała makaron z serem i fasolką. Na kolację przyszedł Barry, ale nie odzywał się ani słowem; w obecności matki był chorobliwie nieśmiały. Pani Sanders namawiała syna, żeby zjadł fasolkę. Po kolacji Barry i Sadie chcieli pójść do mnie, pani Sanders jednak stwierdziła, że to niezbyt dobry pomysł. Zasiedli więc wszyscy przed telewizorem. Cięń skomlał w pokoju Sadie, lecz nie pozwolono mu do nich dołączyć.

- Chce zrobić ze mnie więźnia w moim własnym domu - poskarżyła mi się Sadie następnego dnia w szkole.

Późnym wieczorem we wtorek, chyba około jedenastej, wybrałem się do Franklina.

- Naprawdę sądzisz, że mogę mieć coś wspólnego z tym wszystkim?
- Ludzie wygadują różne rzeczy - odparł, kręcąc się niespokojnie.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Jasne, że tak nie myślę, ale ludzie są wzburzeni. Co mogę zrobić?

Chciałem powiedzieć: „Spójrz na mnie, Franklin. Przecież jestem twoim przyjacielem”. Zamiast tego jedynie westchnąłem:

- No cóż, mam nadzieję, że to się szybko wyjaśni.
- Ja też - odparł. - Boże, ja też!

Harkowi przedstawiono zarzuty. Prokurator okręgowy zamierzał oskarżyć go o morderstwo pierwszego stopnia, ale pod wpływem argumentacji Ryana ograniczył się do drugiego. Czasem myślę, że Ryan w głębi duszy współczuł Harkowi, być może jednak zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się zebrać wystarczających dowodów. Wiele osób było zdania, że Hark w ogóle nie powinien zostać aresztowany, ponieważ zrobił to, co należało. Dość powszechna była opinia, że choć Chihani nie miał nic wspólnego ze zniknięciami obu dziewcząt, to przecież wyznawał i propagował poglądy prowadzące w prostej linii do zbrodni. Często powtarzano argument, że prawo służy temu, by rozmaici zbrodniecy byli eliminowani ze społeczeństwa, ci zaś, którzy - jak Chihani - usiłują doprowadzić do radykalnych zmian w tymże prawie, narażają społeczeństwo na poważne zagrożenia. Nauki Chihaniego oraz działalność Tropicieli Prawdy wytworzyły atmosferę, w której mogło dojść i doszło do podwójnej tragedii.

Wiele dyskutowano o niebezpieczeństwach związanych z nadmiernym permissywnizmem. Henry Skoyles, właściciel kina Strand Theater przy Main Street, zrezygnował z pokazywania dwóch albo trzech

filmów, które uznał za zbyt brutalne lub prowokujące seksualnie, zastępując je obrazami, jak to określił, „umacniającymi tradycyjne wartości rodzinne”. Pamiętałem Henry'ego ze szkoły. Był dwie klasy niżej ode mnie, a mimo to cieszył się opinią jednego z największych świntuchów. Kiedyś nazwał dyrektora „gównianym mózdzkiem” i już wkrótce potem wszyscy tak mówili. Teraz uznał za stosowne ściągnąć kopię Disneyowskiego *Aladyna* i puszczać ją przez cały miesiąc.

Do tej pory chyba za słabo podkreślałem, jak wielkie ogarnęło nas przerażenie. Nie tylko wiedzieliśmy, że wydarzyło się coś okropnego, ale i baliśmy się, że w przyszłości czekają nas jeszcze bardziej wstrząsające niespodzianki. W związku z tym staliśmy się bardziej podejrzliwi, zupełnie jakbyśmy w ten sposób mogli zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Po zaginięciu Meg szeregi Przyjaciół Sharon Malloy zasililo wielu nowych członków. Teraz coraz częściej nazywano ich po prostu Przyjaciółmi, jako że należeli do nich również przyjaciele Meg Shiller. Oficjalnie nazwa pozostała jednak niezmieniona. Przyjaciele doszli do wniosku, że mogą pomóc policji, organizując zespoły ochotników, które patrolowały miasto. Już w weekend po ulicach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jeździły trzy samochody, każdy z trzyosobową załogą. Tu już nie chodziło o odnalezienie zaginionych dziewcząt, lecz o niedopuszczenie do zaginięcia kolejnych. Gdybym podzielił się z kimś swoją opinią, że patrole te stanowią przejaw samowoli i nie mają nic wspólnego z przestrzeganiem prawa, z pewnością spotkałbym się z ostrą reprimendą. Nie wątpię, iż wiele osób myślało tak jak ja, powszechne poczucie zagrożenia było jednak tak silne, że chcąc nie chcąc, musieliśmy przyklasnąć poczynaniom Przyjaciół.

Największą aktywność w organizowaniu patroli wykazywali Paul Leimbach i Donald Malloy, chociaż uczestniczył w tym również Mike Shiller,

wujek Meg. Zgłoszono propozycję, żeby członkowie patroli nosili specjalne czapki albo chociażby opaski na rękawach, ale Leimbach stwierdził, iż niepotrzebnie nasuwałoby to skojarzenia z siłami policyjnymi. Donald Malloy dostał od firmy budowlanej z Utiki kilka przyczepianych na magnesy, pomarańczowych odbłaskowych trójkątów kilkudziesięciocentymetrowej wysokości; patrolujący miasto Przyjaciele umieszczali je na przednich drzwiach samochodów. Wiele razy w ciągu dnia, spoglądając przez okno sali lekcyjnej lub mojego domu, widziałem oznakowany w ten sposób pojazd sunący powoli ulicą. Był to widok napawający otuchą i zarazem niepokojący. Wiem, że Ryanowi Tavichowi pomysł z patrolami wcale się nie spodobał, komendant Schmidt natomiast uznał, że jeśli nie pomogą, to przynajmniej nie zaszkodzą, i chętnie powitał je na ulicach. Kapitan Percy miał w tej sprawie mieszane uczucia.

Paul Leimbach i Donald Malloy coraz rzadziej pokazywali się w pracy. Obaj często wyrażali opinię, że policja czyni zbyt mało, aby schwytać sprawcę i zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom Aurelius. Podczas posiedzenia rady miejskiej Donald zaproponował wprowadzenie godziny policyjnej dla osób poniżej osiemnastego roku życia. Mimo nielicznych protestów jego wniosek został przyjęty, chociaż z pewnymi zmianami. Poczynając od dnia następnego, młodzież do szesnastego roku życia mogła po godzinie siódmej wieczorem przebywać poza domem wyłącznie w towarzystwie kogoś dorosłego.

Kusiło mnie, by przypomnieć, że Sharon zaginęła wczesnym popołudniem, osiągnęliśmy już jednak etap, na którym należało bardzo uważać na to, co się mówi. Kiedy zabierałem głos, odnosiłem wrażenie, że ludzie słuchają nie moich słów, lecz tego, co pod nimi ukryte. Nie muszę chyba dodawać, iż często wydawało im się, że słyszą coś, czego nie powiedziano. Najrozsądniej postępowali ci, którzy dzielnie się uśmiechali, jeśli zaś

w ogóle zabierali głos, to tylko po to, by wychwalać Przyjaciół za ich poświęcenie. Przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy się do nich przyłączyć - było to wtedy, kiedy zdawało mi się, że jestem obserwowany - lecz ostatecznie odważyłem się na mały wewnętrzny bunt i odrzuciłem tę propozycję, chociaż to tylko ja sam ją sobie złożyłem i nikt nie wiedział o mojej odmowie.

Zaraz po wprowadzeniu godziny policyjnej Henry Skoyles odwołał wieczorne seanse filmowe; a zresztą nawet te wcześniejsze nie cieszyły się zbyt dużą popularnością. Właściciele wielu sklepów i restauracji zmienili godziny otwarcia lokali: Junior's zamykano teraz już o siódmej, Aurelius Grill zaś o ósmej wieczorem. Wegmans, który od lat czynny był aż do północy, teraz kończył działalność o dwudziestej pierwszej. Odwoływano wieczorne spotkania towarzyskie oraz próby do szkolnych i kościelnych przedstawień. Frekwencja w barach i restauracjach drastycznie spadła. Ludzie, którym do tej pory nawet nie przyszło do głowy zamykać drzwi na klucz, teraz robili to zawsze, bez względu na porę.

Równocześnie obroty firm dostarczających pizzę do domów znacznie wzrosły, wzrost obrotów odnotowały także wypożyczalnie wideo i sklepy z alkoholem. Więcej osób zaglądało do biblioteki i kościołów, ja natomiast muszę od siebie dodać, że uczniowie bardziej punktualnie oddawali prace domowe. Z rozmów w pokoju nauczycielskim wynikało, że w innych klasach było tak samo. Morellowie, moi sąsiedzi z naprzeciwka, kupili sobie w Utice dużego psa, owczarka niemieckiego, który ujadł całymi nocami i terroryzował okoliczne koty. Psy sprawiło sobie też wiele innych osób.

Franklin donosił o tym wszystkim w swojej gazecie, co sprawiło, że atmosfera lęku jeszcze bardziej gęstniała. Odwoływano kolejne spotkania, zamykano wcześniej kolejne sklepy. Gdyby jednak o tym nie pisał, strach byłby jeszcze większy, pisał więc o wszystkim, o czym wiedział.

Ze względu na jego powiązania z Paulą i Aaronem, oraz dlatego, że często zamieszczał rozmowy z Chihanim, a nawet w związku z tym, że nie pochodził z Aurelius, ludzie podejrzewali, że mimo wszystko coś ukrywa. Dlatego też znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Pisząc, wywoływał lęk; nie pisząc - również, bez względu na to zaś, co i ile pisał, zawsze było tego za mało, zawsze istniało podejrzenie, że nie pisze o wszystkim.

Dnie grubego Leona Stahla wyglądały tak, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Zajęcia prowadzone przez Chihaniego przejęli inni nauczyciele; te, na które uczęszczał Leon, czyli stosunki klasowe w dziewiętnastym wieku, przypadły Shermanowi Carpenterowi, którego przez krótki czas łączył romans z Harriet Malcomb. Chociaż wstrząśnięty śmiercią Chihaniego, Leon nie bardzo przejął się zaginięciem Meg i Sharon. Nie był nieczuły, tylko, podobnie jak większość uczniów college'u, żył w trochę innym świecie. Wielu z nich opuszczało teren szkoły tylko wtedy, kiedy szli do pubu albo coś zjeść. Leon wiedział o zaginięciach i z pewnością pragnął, by dziewczynki odnalazły się całe i zdrowe, lecz o wiele większe znaczenie miał dla niego fakt, iż Harriet, w której się podkochiwał, łączyły intymne stosunki z profesorem Carpenterem.

W ciągu dziesięciomiesięcznej przynależności do Tropicielei Prawdy Leon nieco wydorósł. Oprócz czarnych wąsików nosił teraz również czarną kosią bródkę, ubierał się zaś w sportowe płaszcze, które kupował w sklepach ze starzyzną w Utice. Żaden nie był w szczególnie dobrym stanie, żaden też na niego nie pasował. Kiedy się ochłodziło, zaczął nosić filcowy kapelusz z podwiniętym rondem. Większość uczniów nosiła książki i zeszyty w plecakach, Leon natomiast sprawił sobie, oczywiście również używaną, skórzaną teczkę. Miał teraz okulary w drucianych oprawkach. Uważał się za intelektualistę i może nawet nim był. Prawie nie rozstawał się z książkami. Potrafił nawet czytać, idąc, i często widywałem go, jak to robi, zmierzając dokądś z college'u.

Właśnie przy takiej okazji spotkali go Andy Wilkins i Russ Fusco. Ci dwaj młodzi ludzie pracowali w wytwórni lin. Co ważniejsze, należeli do Przyjaciół i uczestniczyli w patrolach, chociaż akurat wtedy, kiedy natknęli się na Leona, nie byli na służbie. Roztaczali wokół siebie aurę samozadowolenia i stanowczo zbyt wysoko oceniali swój wygląd. Andy grał w Terierach i nawet zdołał ukończyć szkołę średnią. Russ pochodził z Norwich, przeprowadził się jednak do Aurelius, ponieważ dostał tu pracę. Obaj liczyli sobie po dwadzieścia kilka lat.

Kto wie, co wtedy myśleli? Co prawda żaden nie miał opinii łobuza, ale też niewiele dało się o nich powiedzieć dobrego. Byli zwyczajnymi młodymi ludźmi, którzy pili piwo, nie potrafili się sensownie wysłowić i byli wstrząśnięci, podekscytowani i oburzeni niedawnymi wydarzeniami w mieście. Chcieli tylko zapytać o coś Leona - tak później twierdzili. Mogło to być prawdą, tyle że pytanie dotyczyło przynależności Leona do Tropicielei Prawdy oraz związków Tropicielei z zaginięciem Sharon i Meg. Zarówno Andy, jak i Russ znali Harka Powersa; chociaż nie przyjaźnili się z nim, uważali jednak, że spotkała go rażąca niesprawiedliwość. Bądź co bądź, Chihani stłukł go laską.

Leon szedł Monroe Street w kierunku Main Street. Właśnie minęło południe, zamierzał zjeść lunch w Aurelius Grill. W środy oferowano tam po specjalnej cenie pieczeń z tłuczonymi ziemniakami i sosem. Środowe wypady do Aurelius Grill stały się dla Leona niemal rytuałem, zwłaszcza że jego ulubiona kelnerka kroila mu wyjątkowo gruby plaster pieczeni. Dzień był umiarkowanie ciepły, po błękitnym niebie sunęły nieduże białe chmurki. Leon czytał książkę Terry'ego Eagletona o marksistowskiej teorii literatury.

Andy zatrzymał zielonego camaro przy krawężniku.

- Hej, ty! - zawołał, kiedy Leon mijał samochód.

Leon szedł dalej. Później utrzymywał, że niczego nie słyszał.

Andy zawołał ponownie, ale Leon się nie zatrzymał. Andy wrzucił wsteczny bieg, cofnął samochód, zahamował gwałtownie i wysiadł. Russ Fusco też wysiadł.

Andy czekał na Leona na środku chodnika.

- Hej! - zawołał jeszcze raz.

Nie mieściło mu się w głowie, że można czytać książkę, tym bardziej idąc ulicą.

Leon wciąż szedł, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Andy wytrącił mu książkę z ręki. Potoczyła się po chodniku, a kiedy znieruchomiała, podniósł ją Russ. Tytułu w ogóle nie rozumiał, rozpoznał jednak nazwisko Marksa. Pokazał je Andy'emu.

Leon dopiero teraz ich zauważył.

- Oddajcie mi książkę! - zażądał stanowczym tonem.

Nie rozumiał, dlaczego mu ją wytrącono. Był wyższy zarówno od Andy'ego, jak i od Russa, ważył zaś tyle, ile oni dwaj razem wzięci. Russ opowiadał później, że kapelusik tkwił na głowie Leona jak rodzynek na czubku ciastka z kremem. Wiele osób powtarzało to porównanie.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedział Andy.

- Oddajcie mi książkę! - powtórzył Leon nieco głośniej.

- Oddamy ci ją, kiedy będziemy chcieli - odparł Russ. Leon zaatakował. Książki stanowiły dla niego świętość. Powalił

Andy'ego na chodnik i spróbował wyrwać Russowi książkę z rąk, ale ten odskoczył. Leon ruszył za nim, Andy zerwał się na nogi i skoczył na niego od tyłu.

Skończyło się na tym, że Andy pobił Leona. Połamał mu okulary, przewrócił go, skopał, wyrzucił kapelusz na jezdnię, a kiedy Leon skulił się w roztrzęsiony, jęczący kłęb, podarł książkę. Działo się to w środku dnia, na oczach wielu ludzi. Zanim Andy skończył, tuż obok z piskiem opon zatrzymał się radiowóz, wyskoczyli z niego Chuck Hawley i Ray Hanna i odciągnęli Andy'ego od ofiary. Russ nie tknął Leona, ale nie uczynił też nic, by powstrzymać przyjaciela.

Leon nie doznał poważnych obrażeń, został jednak solidnie poturbowany. Andy był wściekły, że taki tłuścioch odważył się go zaatakować, Leon z kolei nie mógł darować Andy'emu, że ten podarł mu książkę. Andy i Russ zostali aresztowani. Leon nalegał, by zawieźć go do szpitala. Prześwietlenie nie wykazało żadnych uszkodzeń organów wewnętrznych i po przyklepieniu kilku plastrów z opatrunkiem Leon był jak nowy.

Nazajutrz zdarzenie to opisał „Independent”. Czytelnicy dowiedzieli się, że Andy i Russ działali aktywnie wśród Przyjaciół Sharon Malloy, Leon zaś należał do Tropicielei Prawdy i przyjaźnił się z Chihanim. Andy twierdził, że chciał go tylko o coś zapytać (nie powiedział jednak o co), i wtedy Leon go zaatakował. Leon utrzymywał, że chciał tylko odzyskać książkę.

Franklin rozmawiał o tym zajściu z Paulem Leimbachem, licząc na przeprosiny ze strony Przyjaciół. Usłyszał jednak tylko tyle, że „ludzie są wzburzeni, więc musimy się liczyć z tym, że pomyłki będą się zdarzały”. Nie zabrzmiało to pocieszająco.

We czwartek wieczorem ktoś rzucił kamieniem w okno mieszkania Leona, wybijając szybę i uszkadzając stojący na stoliku radiomagnetofon. Nikogo nie zatrzymano, było natomiast wiadomo, że ani Andy, ani Russ nie mieli z tym nic wspólnego. W niedzielę około dwudziestej drugiej zdarzyło się to samo. Leon zadzwonił na policję. Telefon odebrał Chuck Hawley, lecz załoga wysłanego na miejsce radiowozu nikogo nie znalazła. „Okolica była wyludniona”, opowiadał Chuck.

W poniedziałek rano dziekan do spraw uczniów wezwał Leona do gabinetu i zapytał, czy nie zechciałby chwilowo zawiesić nauki. Czesne za semestr jesienny zostanie przesunięte na następny. Leon przyjął propozycję. Teraz, kiedy wreszcie zainteresował się światem zewnętrznym, stał się ostrożniejszy. Wciąż nie był w stanie zrozumieć, dlaczego ktoś miałby zabierać mu książki albo wybijać szyby w oknach.

- Przecież ja w ogóle nie pojechałem z nimi na ten cmentarz! - powtarzał.

Nawet przez chwilę nie przypuszczał, żeby ktoś mógł mieć mu za złe przynależność do Tropicieli Prawdy.

- To tylko kółko zainteresowań! Po co mielibyśmy porywać dziewczynki?

We wtorek Leon spakował rzeczy i wyjechał do domu, do Dunkirk nad jeziorem Erie. Policja miała jego numer telefonu. Tym samym w Aurelius zostało pięcioro Tropicieli: Aaron, Harriet, Barry oraz bracia Levine. Już nie organizowali spotkań. Od czasu do czasu Barry widywał się z Aaronem albo Aaron z Harriet. Jesse i Shannon wrócili na deskorolki, choć w dalszym ciągu uważali się za marksistów. Marksizm, który wyznawali, nie wymagał wiedzy ani nauki, stanowił po prostu alternatywę dla wszystkiego, co niedobre w świecie. Znajomość podstaw marksistowskiego żargonu dawała im przewagę w dyskusjach z innymi uczniami.

- Praktyka! - powiadali. - Dialektyka epistemologiczna!

Nie udało im się jednak wykić tak tanim kosztem. Jeszcze z nimi nie skończyliśmy.

I choć napaść na Leona spotkała się z dość powszechnym potępieniem, to byli i tacy, którzy uznali ją za wzorcowy przykład postępowania mogącego ukrócić anarchię. Traktowali ją nawet jako akcję Przyjaciół Sharon Malloy, chociaż Andy i Russ byli wtedy po służbie. Przyjaciele stali się na terenie Aurelius wpływową siłą, aczkolwiek ich aktywność wpływała wyłącznie z lęku przed utratą kolejnych dzieci. Jeśli nawet uciekali się do przemocy, to z pewnością nie czynili tego dla niej samej. Owszem, niektórzy z nich chętnie po nią sięgali, jednak grupa jako całość zdawała się mieć szlachetne intencje.

Moim zdaniem lęk doprowadził do tego, że przekroczyli swoje uprawnienia, których zresztą nikt im oficjalnie nie nadał. Za przykład niech posłuży wizyta, jaką mi złożyli tego samego dnia, kiedy doszło do

pobicia Leona. Powiniennem chyba dodać, że podobne wizyty składali wielu ludziom, lecz nikt nie poczuł się w związku z tym szykanowany. A przynajmniej nikt się nie skarżył.

Właśnie skończyłem przygotowania do zajęć, które miałem prowadzić nazajutrz, i zasiadłem w fotelu, by przejrzeć najnowszy numer „Scientific American”. Muszę przyznać, że rzadko czytam więcej niż kilkanaście początkowych zdań każdego artykułu, ilustracje są jednak wspaniałe i niemal zawsze znajdzie się coś, co przyda się przy nauczaniu biologii w dziesiątej klasie. Raz w miesiącu zlecam opracowanie tego tematu ochotnikowi, który w ten sposób ma szansę na dodatkową pozytywną ocenę.

O dziewiątej zadzwonił dzwonek u drzwi. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Sadie, choć ona zwykle puka albo po prostu wchodzi. Lecz teraz, podobnie jak wszyscy, zamykałem drzwi od środka. Poza tym dziewczynką wciąż opiekowała się matka Barry'ego, czyli Kloc, jak nazywała ją Sadie, a ponieważ była środa, wiedziałem, że to nie Franklin, który z pewnością przygotowywał do druku jutrzejsze wydanie swojej gazety.

Przez firankę w szklanych drzwiach zobaczyłem na ganku troje ludzi. Włączywszy światło, rozpoznałem w nich Donalda Malloya, Agnes Hilton i Dave'a Bauera. Od razu ogarnął mnie niepokój, wiedziałem bowiem, że wszyscy są Przyjaciółmi Sharon Malloy. Agnes Hilton pracowała jako skarbnik i sekretarka w kościele baptystów, Dave Bauer zaś współprzewodniczył miejscowemu oddziałowi YMCA i działał w ochotniczej straży pożarnej. Na szczęście, sprawiali wrażenie przyjaźnie nastawionych - szczególnie po tym jak zapaliłem światło.

Otworzyłem drzwi i zaprosiłem ich do środka. Nastąpił trwający co najmniej minutę ceremoniał wycierania butów, zdejmowania wierzchnich okryć i wymieniania uścisków dłoni. Wieczór był chłodny, cała trójka miała więc na sobie zimowe ubrania. Z bliska stwierdziłem, że są nie tyle przyjaźnie nastawieni, ile bardzo starają się stworzyć takie pozory.

- Chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów – powiedział grzecznie Donald Malloy. - Z pewnością nie zajmiemy panu dużo czasu.

Poprosiłem ich do salonu. Agnes rzuciła jakąś uprzejmą uwagę na temat mebli, chociaż niczym szczególnym się nie wyróżniały. Była rudowłosą, czterdziestokilkuletnią kobietą i zawsze ubierała się wyłącznie w sukienki. Jej mąż albo umarł, albo zniknął w jakiś inny sposób, mieszkała bowiem z młodszą siostrą. Nosiła jednak obrączkę, z czego należało wysnuć wniosek, że kiedyś istniał jakiś pan Hilton.

Zapytałem, czy napiją się herbaty.

- Chętnie - odparł Dave Bauer. - To bardzo miło z pańskiej strony.

Agnes Hilton zaproponowała, że mi pomoże, lecz ja zapewniłem ją, że sobie poradzę. Chciałem przez chwilę być sam. Potrzebowałem odrobiny czasu, żeby zebrać myśli. Ustawiłem kubki na tacy, z szafki wyjąłem puszkę z duńskimi ciasteczkami i wyłożyłem kilka na talerzyk. Takie sytuacje zawsze wprawiają mnie w zakłopotanie. Powinienem wziąć talerzyk z najlepszego serwisu, czy zwyczajny? Wybrałem zwyczajny. Nalałem wodę do imbryczka i zaniósłem wszystko do pokoju. Dave Bauer i Agnes siedzieli na kanapie, Donald zaś w moim ulubionym fotelu. Trzymał w ręce numer „Scientific American”, który właśnie przeglądałem.

- Fascynujący jest ten projekt odczytania ludzkiego genomu - oświadczył. - Chętnie uściskałbym rękę temu Watsonowi.

Odłożył czasopismo na stolik do kawy. Miał otwartą, szczerą twarz, a liczne piegi czyniły go młodszym, niż był w istocie. Tego wieczoru włożył spodnie khaki i luźny, trochę porozciągany sweter. Kiedy pochylił się, by sięgnąć do stolika, stęknął cicho.

Postawiłem tacę obok „Scientific American”.

- Pewnie przykro panu z powodu Terierów - zauważył Bauer.

W związku z wprowadzeniem godziny policyjnej mecz Terierów, który miał się odbyć w piątkowy wieczór, został odwołany.

Było to równoznaczne z wycofaniem zespołu z rozgrywek. Musiałem się chwilę zastanowić, zanim dotarło do mnie, o czym mówi Bauer.

- Tak, to rzeczywiście przykre - odparłem, nalewając herbatę do kubków. - Są też cukier i mleko.

- Ja poproszę bez niczego - powiedział Donald.

Podąłem mu kubek, nalałem również sobie, a następnie usiadłem w fotelu po drugiej stronie kominka. Co prawda ułożyłem w palenisku kilka brzoźowych polan, ale zamierzałem rozpalić ogień dopiero w piątkowy wieczór. Przywołałem na twarz wyraz uprzejmego oczekiwania.

- Pewnie zastanawia się pan, po co przyszliśmy - zagaił z uśmiechem Donald Malloy. Bauer wziął sobie ciasteczko.

Agnes poinformowała mnie o ich działalności w szeregach Przyjaciół Sharon Malloy, co siłą rzeczy skierowało rozmowę na temat zaginionych dziewczynek. Starąłem się nie powiedzieć niczego niewłaściwego i równocześnie usiłowałem nie okazać zdenerwowania. Bauer wziął jeszcze jedno ciastko. Należał do tych żylastych chudzielców, którzy mogą jeść całymi dniami, a i tak nie przybędzie im ani kilogram. Latem udzielał się w Małej Lidze, zimą zaś trenował drużynę koszykówki. Zależało mi na tym, by nie odkrył mego całkowitego braku zainteresowania sportem. Jednocześnie byłem zdumiony, że tak łatwo dałem się zastraszyć.

- Mogę wiedzieć, co to ma wspólnego ze mną? - zapytałem.

- Zdaje się, że widział pan Meg Shiller na krótko przed jej zaginięciem - powiedział Donald. Było mu chyba wygodnie w moim fotelu. Jego kubek z nietkniętą herbatą stał na stoliku. Nie poczęstował się też ciasteczkiem.

- Owszem, była u mnie z Hillary i Sadie. Pochwaliły się swoimi kostiumami, a potem sobie poszły.

- A więc zna pan Meg? - spytała Agnes.

Nie uszło mojej uwagi, że użyła czasu teraźniejszego.

- Znam Sadie, a Meg jest jej przyjaciółką. Naturalnie znam je wszystkie również ze szkoły. W ubiegłym roku uczyłem Meg fizyki.

- O której godzinie przyszedł do pana? - zapytał Donald.

- Około szóstej.

- A potem już jej pan nie widział?

Przez chwilę milczałem, po czym odparłem:

- Czy wolno mi spytać o powód zainteresowania moją osobą? Złożyłem zeznania przed policją i wydaje mi się, że sprawy, o które państwo pytają, powinny interesować wyłącznie właściwe władze. W każdym razie nie ulega dla mnie wątpliwości, że nie muszę odpowiadać na państwa pytania.

Popatrzyli po sobie z takimi minami, jakby spodziewali się takiej reakcji. Ciężar wyjaśnień wziął na siebie Bauer.

- Rozmawialiśmy z wieloma osobami. Oczywiście wiemy, że zarówno pan, jak i wszyscy składali już zeznania policji, pomyśleliśmy jednak, że nie zaszkodzi jeszcze raz dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć. Nie dlatego, żebyśmy podejrzewali, że coś pan ukrywa. Po prostu na wypadek, gdyby coś umknęło uwagi policji.

Miałem już na czubku języka pytanie, gdzie i w jaki sposób zdobywali kwalifikacje niezbędne do prowadzenia śledztwa, ale doszedłem do wniosku, że nie warto stawiać sprawy na ostrzu noża.

- Potem już jej nie widziałem - powiedziałem po prostu. Wypytywali mnie dość długo. Opowiedziałem ze szczegółami, jak Sadie przyszła później do mnie, jak razem wyruszyliśmy na poszukiwanie Meg i jak Sadie znalazła jej parasol.

- Czy to pan zawiadomił policję?

Przyznałem, że tak. Starłem się mówić spokojnie, nie okazując irytacji. Wspomniałem, że do północy przesiedziałem u Franklina, a potem wróciłem do domu.

- Mamy jeszcze jedno pytanie - oznajmił Donald Malloy. - Pragnę jednak najpierw podkreślić, że w żadnym razie nie chcę pana urazić.

Czekałem, oczekując najgorszego.

Donald zerknął na panią Hilton, a ta ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

- Otóż chcielibyśmy wiedzieć, czy jest pan homoseksualistą. Spodziewałem się czegoś szokującego, ale nie do tego stopnia.

- Nie wydaje mi się, aby moje najbardziej osobiste sprawy powinny interesować kogokolwiek poza mną.

- Oczywiście ma pan całkowitą rację. - Ponownie spojrzął na pozostałych, jakby szukając u nich wsparcia, po czym uśmiechnął się przyjaźnie. - Rozumie pan chyba jednak, że nie pytamy dla zaspokojenia naszej ciekawości, lecz w interesie zaginionych dziewcząt. A wie pan może o jakichś homoseksualistach mieszkających w Aurelius?

Zawahałem się.

- Być może.

- Na przykład o Jaimem Rose? - wtrąciła się Agnes Hilton.

- Czyżby był homoseksualistą? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- A Aaron McNeal?

- Wątpię. Spotyka się z wieloma dziewczętami.

Byłem ciekaw, czy ich zainteresowanie Aaronem wynikało z faktu, że przyjaźnił się z Barrym. Donald pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, jego spory brzuch rozlał mu się na udach.

- To oczywiście pańska sprawa, czy jest pan gejem, czy nie, ale chcielibyśmy wiedzieć, czy w Aurelius działa jakaś mniej lub bardziej formalna organizacja skupiająca homoseksualistów. Moglibyśmy wówczas zwrócić się do niej oficjalnie, żeby mieć pewność, że niczego nie zaniedbaliśmy.

- Rozmawialiśmy już z innymi grupami - dodał Bauer. - Na przykład z kółkiem tanecznym przy kościele episkopalnym.

Nie mogłem w to uwierzyć, ale on najwyraźniej nie dostrzegał różnicy między przykościelnym kółkiem zainteresowań a klubem homoseksualistów.

- I z masonami - dorzuciła Agnes.

Mieli zatroskane miny. Przyglądali mi się, jakby coś było ze mną nie w porządku. Starałem się zachować kamienną twarz, aby nie dać im

odczuć, że moim zdaniem to z nimi jest coś nie tak. I to bardzo.

- Nic nie wiem o tym, by w Aurelius istniała jakaś organizacja skupiająca homoseksualistów - stwierdziłem rzeczowym tonem.

Była to prawda. Podejrzewałem, że wiedzieli o wszystkim już wcześniej, co oznaczało, że przyszli nie po informacje, lecz wyłącznie po to, by przyjrzeć mi się z bliska.

- Zdajemy sobie sprawę, że zaginięcie dziewcząt bardzo pana poruszyło, szczególnie, że tak blisko przyjaźni się pan z Sadie - powiedział Donald, odchylając się do tyłu w fotelu. – Ta tragedia dotknęła nie tylko ich rodziny, ale i całe miasto. - Delikatnie potarł prawą ręką policzek, jakby miał tam siniaka. – Nie wątpimy również, iż niepokoją pana także inne wydarzenia: alarmy bombowe w szkole, śmierć tego nauczyciela, atmosfera lęku i niepewności... Do normalnego życia wrócimy dopiero wtedy, kiedy dowiemy się, co spotkało Meg i Sharon. Nadzwyczajna sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się po ich zaginięciu, wymaga przedsięwzięcia nadzwyczajnych środków.

- Naprawdę sądzi pan, że jeszcze kiedyś będziemy żyć normalnie? - zapytałem. - Nawet jeśli poznamy prawdę?

- Może i nie - przyznał.

- Musimy jednak mieć nadzieję - powiedziała Agnes Hilton.

- Modlimy się, żeby tak się stało.

Dwa dni po Halloween Ryan Tavich odebrał telefon i usłyszał przyciszony kobiecy głos: - Możecie wypuścić Aarona McNeala. Noc Halloween spędził ze mną. Wiadomość o tym, że Aaron został osadzony w areszcie w Potterville, opublikował „Independent”.

- Kim pani jest? - zapytał Ryan.

Spodziewał się czegoś takiego. Usiłował skojarzyć głos z jakąś konkretną osobą, lecz bez powodzenia.

- Tego wolalabym nie ujawniać - odparła kobieta wyniosłym tonem. Ryan westchnął współczująco.

- W takim razie obawiam się, że nie będę mógł zwolnić McNeala. Nie wiem, kim pani jest, nie znam szczegółów dotyczących waszego spotkania...

- Z pewnością może się pan ich domyślić.

Ryan musiał przyznać jej rację.

- Wciąż jednak nie wiem, z kim rozmawiam. Dlaczego miałbym pani wierzyć?

- Jeśli powiem panu, jak się nazywam, czy zachowa pan to w tajemnicy?

- Musiałbym z panią porozmawiać.

- Właśnie pan to robi.

- Musiałbym porozmawiać z panią osobiście.

- To niemożliwe - stwierdziła podniesionym głosem.

- W takim razie Aaron pozostanie w areszcie.

Czekał.

- Ale dlaczego? - zapytała po chwili milczenia.

Ryan uznał, że wystarczy tej zabawy.

- Ponieważ muszę spotkać się z panią twarzą w twarz. Oto dlaczego.

Nastąpiła kolejna przerwa w rozmowie. Ryan wsłuchiwał się w szmer oddechu kobiety. W tle zabręczała kasa. Gdzie jeszcze używano staroświeckich kas z brzęczykiem? Do pokoju wszedł kapitan Percy z dwoma ludźmi. Podeszli do ściennej mapy i Percy wskazał jakieś miejsce na północ od miasta.

- Bardzo zależy mi na dyskrecji - odezwała się po dłuższym czasie.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Jeśli przekonam pana, że Aaron był wtedy ze mną, czy wypuści go pan z aresztu?

- Oczywiście.

- A zatem powinniśmy spotkać się jeszcze dzisiaj. - Kobieta ponownie umilkła, po czym zaproponowała: - Co pan powie na dziewiątą trzydzieści w czytelni naukowej w bibliotece? O tej porze zazwyczaj nikogo tam nie ma.

Umówili się i Ryan odłożył słuchawkę. Zaintrygowała go ta kobieta. Sądząc po głosie, z pewnością nie była nastolatką, nie potrafił jednak określić jej wieku. A do tego ta kasa... Widział ją oczami wyobraźni - wielką, chromowaną, z czarnymi klawiszami - lecz nie potrafił jej nigdzie umiejscowić. Biblioteka mieściła się zaledwie trzy przecznice od posterunku, postanowił więc udać się tam na piechotę. Kapitan Percy i jego ludzie wciąż studiowali mapę. W ciągu minionego miesiąca Percy stracił nieco swojej wojskowej sztywności. Trudno powiedzieć, aby stał się bardziej ludzki, ale niewątpliwie ubyło mu pewności siebie. Tak samo jak nam wszystkim, pomyślał Ryan.

Włożył płaszcz, wyszedł z budynku ratusza i skręcił w prawo w Main Street. Był chłodny słoneczny dzień, wiatr szeleścił na chodnikach

ostatnimi uschniętymi liśćmi. Pomachał kilku znajomym, którzy akurat przechodzili ulicą lub przejeżdżali samochodami. Sporo pojazdów stało przed siedzibą Przyjaciół Sharon Malloy. Po prawej stronie drzwi wisiała fotografia Sharon, po lewej zaś Meg. Ryan minął Junior's i Key Bank, piekarnię Weavera i aptekę Malloya. Z ogromnego zdjęcia w oknie apteki uśmiechała się do niego Sharon. Zerknął do środka przez szklane drzwi, lecz nikogo nie zobaczył. To znaczy, wydawało mu się, że dostrzegł jakieś poruszenie, ale nie był pewien. Dotarłszy do biblioteki, wspiął się po schodkach i wszedł do czytelni ogólnej. Około dziesięciu osób wertowało gazety i czasopisma. Ryan znał prawie wszystkich i prawie wszystkim skinął głową. Pani Wright, bibliotekarka, na jego widok uniosła wysoko brwi.

- Muszę coś sprawdzić - powiedział i minął ją szybkim krokiem, zanim zdążyła zaproponować mu pomoc.

Czytelnia naukowa znajdowała się na piętrze. Grzejniki cichutko postukiwały, w pomieszczeniu nie było żywego ducha. Ryan zdjął z półki tom Britanniki i usiadł przy stole w najdalszym kącie, twarzą do drzwi. Otworzył encyklopedię na hasło „Tybet” i zaczął je pobieżnie przeglądać. Mógł z dużą dozą prawdopodobieństwa przewidzieć, że nigdy nie odwiedzi Tybetu. Przypuszczalnie nigdy nie odwiedzi również Europy. Zastanawiał się przez chwilę, czy tego żałuje, i doszedł do wniosku, że wcale.

Ktoś wszedł do sali. Była to pani Porter z Malloy's Pharmacy. W pierwszej chwili pomyślał z irytacją, że jej pojawienie się może spłoszyć kobietę, z którą się umówił, zaraz potem jednak stwierdził ze zdumieniem, że pani Porter zmierza prosto ku niemu. Nagle przypomniał sobie, gdzie widział staromodną, chromowaną kasę. Teraz wszystko było już jasne.

Pani Porter była szacowną czterdziestokilkuletnią osobą, może nierzucającą się w oczy, ale całkiem do rzeczy. Miała na sobie czarną sukienkę i niebieski wełniany żakiet. Ryan spodziewał się, że usłyszy coś

w rodzaju „Bardzo mi wstyd”, tymczasem ona zapytała:

- Czy to wystarczy?

Ryan widywał ją dziesiątki razy, ale nigdy nie spotkał jej poza apteką. Uświadomił sobie, że nic o niej nie wie. Dość mętnie zdawał sobie sprawę z istnienia jakiegoś pana Portera, lecz nie miał pojęcia, czym mógł się on zajmować. Kobieta nigdy nie była piękna, miała jednak atrakcyjną figurę i interesujące ciemnobrązowe oczy. Nie była też ani szczupła, ani otępyła; „kompaktowa”, tak określił ją Ryan.

- Proszę usiąść.

Zawahała się, a następnie zajęła miejsce po drugiej stronie stołu i położyła na blacie splecione dłonie.

- Czy ja też powinnam wziąć jakąś książkę? - zapytała z ironią w głosie.

- Jak pani uważa. - Nie poruszyła się. Ryan spojrzał na swoje ręce, szerokie z krótkimi palcami, a następnie na dłonie pani Porter, duże i z długimi palcami, przypuszczalnie większe od jego rąk. - Jak ma pani na imię?

- Mildred.

W tej chwili Ryan przypomniał też sobie, że jej były mąż ma na imię Rolf, jest właścicielem biura pośredniczącego w handlu nieruchomościami o nazwie Century 21 oraz że wspólnie z Sandrą Petoski pełni funkcję wiceprzewodniczącego Przyjaciół Sharon Malloy. Nie pamiętał tylko, czy Porterowie mają dzieci.

- Proszę mi opowiedzieć o pani związku z Aaronem.

- Nie ma żadnego związku. Po prostu spędził ze mną kilka nocy, i tyle. Wątpię, czy to się jeszcze zdarzy.

Mówiła takim tonem, jakby starała się usprawiedliwić, ale nie unikała wzroku Ryana.

- W Halloween też był z panią?

- Wyszedł dopiero rano, kiedy wybierałam się do pracy.

- Od jak dawna go pani zna?

- Od lat wiedziałam, kim jest. Jakiś miesiąc temu zagadnął mnie w aptece. Nazajutrz rozmawialiśmy trochę dłużej, a na trzeci dzień zjawił się wieczorem w moim domu. Nie odprawiłam go.

Ryan zastanawiał się, co Aarona w niej pociągało.

- O czym rozmawialiście?

Przez chwilę sprawiała wrażenie lekko zdezorientowanej, jakby zaświtało jej podejrzenie, iż Ryan sugeruje, że czterdziestokilkuletnia kobieta i dwudziestoparoletni mężczyzna nie mogą znaleźć wspólnego tematu do rozmowy.

- O różnych sprawach.

- Mówił coś o Houarim Chihani?

- Nie.

- A o Sharon Malloy?

- Tylko trochę.

- O matce?

- Owszem, całkiem często.

- Co na przykład?

- Opowiadał o jej poczuciu humoru, energii, o tym jak bardzo się nim interesowała. Wspominał nawet, jak się czesała.

Ryan zobaczył przed sobą Janice jak żywą, siedzącą przed lustrem i przez pół godziny rozczesującą włosy. To wspomnienie prawie go rozbroiło.

- Wspominał o jej zabójstwie?

- Nie bezpośrednio. To dla niego bardzo bolesny temat.

- A o jej związkach z mężczyznami?

- Wspominał, że kochała się chyba z dwiema setkami mężczyzn Aurelius. Podziwiał ją za to. Zapytałam, czy zamierza jej dorównać liczbą kobiet, z którymi sypia, a on przyznał, że być może spróbuje.

- Co się pani w nim spodobało?

- Był miły i zależało mu na mnie. Czy to pana dziwi?

Ryan odwrócił wzrok. Wciąż byli sami. Zamknął leżący przed nim na stole tom encyklopedii.

- Znała pani jego matkę? - zapytał.

Pani Porter zawahała się.

- Przychodziła często do apteki.

- Na zakupy?

- Oczywiście.

- Co kupowała?

- To co zwykle kupuje się w aptece.

- Również prezerwatywy?

- Owszem.

- Czy rozmawiała z Donaldem?

- Czasem ją obsługiwał.

- Sprawiali wrażenie zaprzyjaźnionych?

- Raczej nie. Powiedziałabym nawet, że odnosili się do siebie dość chłodno.

- Co pani o niej myślała?

- Nie wydaje mi się, żebym miała jakąś sprecyzowaną opinię.

- Musiała pani mieć.

Przez chwilę wpatrywała się w stół, po czym znowu spojrzała na niego.

- Była też pańską kochanką, prawda?

W pierwszym odruchu Ryan się zachnął, zaraz jednak niemal się uśmiechnął, rozbawiony własną świętoszkowatością.

- Przez pewien czas.

- Lubił ją pan?

- Bardzo.

- Musiała mieć ciekawą osobowość, skoro potrafiła wzbudzić tak silne zainteresowanie tylu mężczyzn... Lubi pan Aarona?

- Sprawia mnóstwo problemów, ale trudno mi go nie lubić. Jest do niej bardzo podobny.

- Wciąż pan o niej myśli? Ryan wyprostował się na krześle.

- Wydaje mi się, że to ja powinienem zadawać pytania. Pani Porter cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- W takim razie, niech je pan zadaje.
- Czy miała pani kiedyś romans z Donaldem Malloyem?
- Oczywiście, że nie.
- Dlaczego „oczywiście”?
- Jest moim pracodawcą.
- Uważa pani, że jest nieatrakcyjny?
- Nigdy nie myślałam o nim w ten sposób.

Ryan zastanawiał się, jakie uczucia tak naprawdę żywi pani Porter wobec mężczyzn. Do tej pory sądził, że kobiety, które lubią seks, okazują to w jakiś sposób, lecz po Mildred Porter niczego nie było widać. Cóż, najwyraźniej w tej kwestii również się mylił, podobnie jak w wielu innych.

- Czy teraz wypuści pan Aarona?
- Natychmiast.

Istotnie, godzinę później Ryan zwolnił Aarona z aresztu. Bez słowa prowadził go do samochodu. Zależało mu na tym, żeby rozbudzić w nim ciekawość - oczywiście, o ile w ogóle było to możliwe. Niebo się zachmurzyło, temperatura spadała. Wieczorem należało spodziewać się śniegu. Aaron patrzył przez przednią szybę i milczał.

- Powiedz mi - odezwał się Ryan, kiedy przejechali pięć lub sześć kilometrów - co właściwie widzisz w Mildred Porter?

- Lubi seks.

Aaron wciąż patrzył przed siebie. Był wściekły na Ryana za to, że ten wsadził go do aresztu. Pod wpływem gniewu blizna w kształcie litery L na policzku wyraźnie pociemniała.

- Jest od ciebie starsza co najmniej o dwadzieścia lat i nie grzeszy urodą.

- O osiemnaście. Rznąłem jej dupę, nie twarz.

Ryan był lekko zszokowany.

- Wydawało mi się, że ją lubisz...

- Jeśli dasz mi do wyboru brzydką kobietę, która lubi seks, i piękną, której jest obojętny, to wybiorę tę brzydką. Owszem, lubię Mildred Porter. Jest namiętna i zarazem skromna.

- Będziesz się z nią dalej spotykał?
- Raczej nie.
- Dlaczego?
- Bo już przeszedłem tę drogę.
- Co wiesz o zabójstwie twojej matki?
- Nie więcej od ciebie.
- Jesteś pewien?
- Chyba słyszałeś, co powiedziałem?

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Na ziemiach między Potterville i Aurelius uprawiano głównie kapustę. O tej porze roku pola były szare i puste. Nieliczne pozostawione głowy kapusty przywodziły Ryanowi na myśl rozkładające się czaszki.

- Myślisz, że śmierć twojej matki ma jakiś związek z zaginięciami tych dziewczynek? - zapytał Ryan.

- Nie mam pojęcia.
- Podejrzewasz kogoś o zabójstwo?
- Trudno powiedzieć.
- Dlaczego kazałeś Harriet kochać się ze mną?
- Sam ją o to zapytaj.

Odwiózłszy Aarona do domu, Ryan pojechał do Bud's Tavern. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Dochodziło wpół do dwunastej, Sheila Murphy stała za barem i wycierała kieliszki. Rude włosy miała wysoko upięte; kiedy spojrzała na Ryana, odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk. Była dużą, hożą dziewczyną, która już teraz, w wieku dwudziestu kilku lat, zaczęła wyraźnie przybierać na wadze. Z kuchni dochodził zapach gotowanego mięsa.

- Jeszcze nie ma lunchu - poinformowała go Sheila. - Chce pan piwo?

- Chcę porozmawiać.
- Może później? Teraz jestem trochę zajęta.
- W takim razie, może pojedziemy na posterunek i tam pogadamy? - zapytał uprzejmie Ryan.

Sheila milczała przez chwilę.

- O czym chce pan rozmawiać? - spytała wreszcie.
- Przyjaźniłaś się z Janice McNeal?
- Znałyśmy się, i tyle - odparła, nie kryjąc zaskoczenia.
- Chcę wiedzieć coś więcej - powiedział, siadając na barowym sto-

ku.

- Co na przykład?
- Czy umawiałyście się razem z mężczyznami.
- To nie pańska sprawa - rzuciła podniesionym głosem i zerknęła niespokojnie w kierunku kuchni.

- A więc jedziemy na posterunek?

- No dobrze! - Sheila przygryzła wargę. Na jej górnych zębach został ślad szminki. - Odwiedzałam ją nieraz w domu. Lubiałam ją. Od czasu do czasu chodziliśmy razem na coś w rodzaju randek w ciemno: albo ona знаła kogoś z mężczyzn, albo ja.

- Uprawialiście z nimi seks?

Starannie złożyła ściereczkę i położyła ją na ladzie.

- Czasem. Jeśli nam się podobali.

- A więc znałaś tych, z którymi się zadawała?

- Wiedziałam, że pan też wśród nich był, jeśli o to panu chodzi. - Ponownie odgarnęła kosmyk włosów. - Wszystkich na pewno nie znałam.

- Czy Aaron też cię o to pytał?

- Kiedy?

- W motelu, kiedy cię ugryzł.

- Skąd pan o tym wie?

Oparła obie ręce na ladzie i pochyliła się w stronę Ryana. Kręcił się razem ze stołkiem trochę w lewo, potem trochę w prawo. Zupełnie jak dziecko.

- Nie odpowiedziałś mu i dlatego się wściekł, prawda?

- Powiedziałaś mu, że to nie jego interes. Ani nie pański.

- Więc niczego się od ciebie nie dowiedział?

- Żartowaliśmy sobie. W każdym razie, ja żartowałam. Powiedziałam mu, że jego matka śmiała się z jakiegoś profesjonalisty. Tak o nim mówiła: „profesjonalista”, jakby to był jakiś dowcip. Zapytał mnie, kto to taki, ale ja już się wtedy zorientowałam, że umówił się ze mną tylko po to, żeby mnie wypytać, i byłam urażona. Poza tym nie chciałam nikomu narobić kłopotów. Zaczęliśmy się mocować. Zagroził, że jeśli mu nie powiem, załatwi mnie tak jak Harka. Myślałam, że żartuje. Kazałam mu się odpieprzyć. Wtedy mnie ugryzł.

- Kim jest ten profesjonalista?

- Nie powiem. Nie wiem, czy naprawdę choć raz z nim spała.

- Czy chcesz, czy nie, musisz powiedzieć. Teraz to sprawa policji.

Do baru weszło dwóch mężczyzn i Sheila szybko odwróciła się w ich kierunku.

- Widzę, że jednak nie obejdzie się bez wizyty na komisariacie... - westchnął Ryan.

Sheila posłała mu miażdżące spojrzenie.

- Tak naprawdę to nie wiem, ale jestem prawie pewna, że to był doktor Malloy. I co, jest pan zadowolony? Janice zawsze powtarzała, że lubi kochać się z lekarzami, bo pachną czystością.

Podeszła do dwóch nowo przybyłych klientów. Ryan rozpoznał w nich farmerów z okolic Aurelius, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywają. Myślał o Janice i jej niezaspokojonym apetycie. Po jakimś czasie wyszedł z baru, wrócił do samochodu i pojechał na Hamilton Street, przy której stał dom Janice.

Przez następną godzinę rozmawiał z jej sąsiadami - Floydem i Lois Washburnami z lewej oraz panią Winters z prawej strony. Przesłuchiwał ich bezpośrednio po śmierci Janice, teraz jednak chciał porozmawiać z nimi raz jeszcze. Zadał im identyczne pytanie: Czy ostatnio odwiedzał ich Aaron McNeal?

Wszyscy troje zgodnie stwierdzili, że tak, i to nawet wielokrotnie. Za każdym razem pytał, czy widzieli kogoś, kto wchodził do domu Janice mniej więcej wtedy, kiedy została zamordowana.

- Wymienił nawet pańskie nazwisko - powiedziała pani Winters. Była emerytowaną nauczycielką, jej dom wypełniała woń starych książek i zbyt wielu kotów. - „Widziała pani może Ryana Tavicha?”. Tak właśnie zapytał. O innych też pytał.

- O kogo?

Rozmawiali w hallu.

- O różnych. Nie, nieprawda: chodziło mu przede wszystkim o takich, których nazywał „profesjonalistami”. Kilku prawników, księgowy, nauczyciel, inżynier.

- Ten księgowy to Paul Leimbach?

- Zgadza się.

- A nauczyciel?

- Profesor Carpenter z college'u.

- Widziała pani któregoś z nich?

- Powiedziałam mu, że nie siedziałam dniami i nocami przy oknie, żeby sprawdzać, kto odwiedza jego matkę!

- Pytał może o doktora Malloya?

- Nie.

Floyd i Lois Washburnowie udzielili mu niemal identycznych odpowiedzi. Właśnie jedli lunch w kuchni; zaproponowali Ryanowi filiżankę kawy, a on przyjął poczęstunek. Floyd, w zielonych dresowych spodniach i zielonej bluzie, od rana naprawiał jakieś domowe urządzenie.

- Wyliczył mnóstwo nazwisk - powiedział. - Większości nie znałem, ale było wśród nich i pańskie. Jasne, że widywałem pana z Janice, ale nie tego dnia, kiedy została zamordowana.

- Był zdziwiony, że wszystkich nie pamiętamy - wtrąciła Lois. - Zupełnie jakby się spodziewał, że będziemy prowadzić listę albo coś w tym rodzaju!

- Szczerze mówiąc, starałem się nie zwracać uwagi na to, kto tam wchodzi - dodał Floyd. - Mogłoby mi się zrobić głupio, na przykład gdybym zobaczył swojego dentystę...

- Właśnie! - przytaknęła mu żona. - A potem siedział na fotelu i myślał, co on robił tymi samymi rękami...

Po tych rozmowach Ryan wiedział niewiele więcej niż bezpośrednio po morderstwie, to zaś, czego się dowiedział, dotyczyło bardziej Aarona niż jego matki. Mimo to poczuł ulgę, ponieważ dzięki temu mógł lepiej zrozumieć postępowanie Aarona. Pojechał do college'u, żeby spotkać się z Shermanem Carpenterem, z którym Harriet Malcomb pojechała w Halloween do motelu. Ryan przesłuchiwał go już wcześniej, by zweryfikować zeznania Harriet. Teraz miał do niego inną sprawę.

Carpenter akurat rozmawiał w gabinecie z jednym z uczniów, Ryan więc czekał w hallu, czując na sobie zaintrygowane spojrzenia. Zza drzwi dobiegał śmiech Carpentera i jego głos; opowiadał historię o Johnie L. Lewisie i jego krzaczastych siwych brwiach.

Jak tylko uczeń wyszedł, Ryan uchylił drzwi i wsunął głowę do pokoju.

- Tylko jedno pytanie: czy Harriet wypytywała pana o Janice McNeal?

Carpenter siedział za biurkiem, na którym piętrzyła się sterta papierów.

- Proszę wejść i zamknąć drzwi.

Ryan wszedł i zamknął drzwi. Carpenter był atletycznie zbudowanym, niespełna czterdziestoletnim mężczyzną. Ryan nie miał mu nic do zarzucenia, może poza tym, że wyglądał i zachowywał się zanadto po profesorsku. Zbyt wiele tweedu i zarostu.

- Zapytała, czy ją rznąłem.

- Robił to pan?

- Parę razy. Prawdę mówiąc, była dla mnie zbyt apodyktyczna. Zrób to, zrób tamto... Nie spodobało mi się.

- Kiedy to było?

Carpenter potarł czoło. Sprawiał wrażenie zażenowanego, ale i zarazem trochę rozbawionego.

- Mniej więcej miesiąc przed jej śmiercią.

- A Harriet nie pytała, czy Janice wspomniała kiedykolwiek o jakichś „profesjonalistach”?

- Owszem, ale ja nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Sam o sobie lubię myśleć jako o profesjonalście. Zazwyczaj w ogóle nie rozmawialiśmy, tylko od razu braliśmy się do pracy, jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

Ryan zacisnął zęby.

- A może chciała wiedzieć, czy Janice mówiła coś o doktorze Malloyu lub Paulu Leimbachu?

- Nie. Wymieniła z nazwiska tylko jednego mężczyznę.

Na twarzy Carpentera znowu zagościł wyraz rozbawionego zażenowania.

- Kogo?

- Zapytała, czy Janice kiedykolwiek mówiła o panu. Powiedziałem jej, że tylko raz. Kiedyś Janice wspomniała, że kobiety, z którymi pan się spotyka, nazywają pana Starym Milczkiem. Harriet bardzo to rozbawiło.

Nazajutrz po odwiedzinach Przyjaciół Sharon Malloy postanowiłem się ostrzyć. Nie była to zupełnie niewinna decyzja. Do tej pory strzygłem się zawsze u niejakiego Jimmy'ego Hoblocka. Chodziłem do jego zakładu od młodości. Teraz jednak zauważyłem, że Make Waves zaprasza klientów obojga płci, postanowiłem więc skorzystać z usług Jaimego Rose. Ciekawość wzięła górę nad wieloletnim przyzwyczajeniem.

Zaraz po szkole pojechałem do centrum i po krótkim oczekiwaniu zasiadłem w fotelu.

- Najwyższa pora - powiedział Jaime.

Wyjaśniłem, że ostatnio byłem u fryzjera nie dawniej jak miesiąc temu.

- Najwyższa pora, żeby się pan pokazał. Wieki całe pana nie widziałem.

Jaime miał doskonale przystrzyżoną czarną brodę. Podejrzewam, że strzygł ją włos po włosku. Wydawało mi się, że płachta, którą obwiązał wokół mojej szyi, jest z czarnego atlasu.

Odarłem, że ostatnio byłem bardzo zajęty, wydarzenia zaś, które wstrząsnęły naszym miastem, odebrały mi ochotę do wychodzenia z domu, chyba że było to rzeczywiście niezbędne. W drugim końcu pomieszczenia Cookie Evans pracowała nad fryzurą Brigit Daly. Mówiła prawie bez przerwy.

- Istotnie, marnie się tu ostatnio żyje - przyznał Jaime.

- Myślisz o przeprowadzce?

- Zastanawiam się nad tym. Mam przyjaciół tu i tam. Położył nacisk na słowo „przyjaciół”. Jaime nie był szczególnie

znawcą, lecz z pewnością również nie pasowało do niego określenie „męski”.

- Nie wierzę, żeby ten, kto to zrobił, mieszkał w Aurelius - powiedziałem.

- A mnie wcale by to nie zdziwiło.

- Mówisz poważnie?

Jaime spojrzął na moje odbicie w lustrze. Wiedział o mnie więcej, niżbym sobie życzył, choć nigdy nie byliśmy razem ani nie interesowaliśmy się sobą w ten sposób. Wiedział także, że gdyby potrzebował pomocy, na pewno bym mu jej udzielił, podobnie jak on mnie. W Nowym Jorku chyba nie byłoby to możliwe, lecz Aurelius to małe miasto.

- Może mi pan wierzyć. Znam tu paru świrusów.

- To jeszcze nie znaczy, że któryś z nich miałby porywać małe dziewczynki.

Jaime ponownie zajął się moimi włosami. Pierwszy raz w życiu zażyłem sobie strzyżenia brzytwą i teraz zastanawiałem się, ile to będzie kosztowało.

- Może i nie, ale gdybym opowiedział policji, co wiem o dwóch albo trzech powszechnie szanowanych obywatelach, zrobiłoby się niezłe zamieszanie.

- Co przez to rozumiesz? - zapytałem najspokojniej jak potrafiłem. Jaime mrugnął do mnie w lustrze.
- Pan akurat nie ma się czego obawiać.
- Jeśli wiesz o czymś, co może mieć związek z zaginięciami, powinieneś już dawno powiedzieć o tym policji!
- Eee, to nic takiego. - Jaime przeszedł do defensywy. - Po prostu nie wszyscy z nas są tacy, za jakich chcą uchodzić. Prawdę mówiąc, niektórzy są po prostu paskudni.
- Aż mnie skręcało z ciekawości, zdawałem sobie jednak sprawę, że nie należy drażnić tematu.
- Cóż, każdy z nas ma jakieś tajemnice - zauważyłem.
- Jaime napryskał mi czymś na głowę.
- Czasem bardzo, ale to bardzo ponure. - Znów psiknął czymś w aerozolu. - Zna pan tych dwóch braci z tej marksistowskiej grupy w college'u?
- Jessego i Shannona Levine'ów?
- Właśnie.
- Oni też mają ponure tajemnice?
- Skądże znowu. Spotkałem ich kiedyś w barze. Zachowywali się okropnie. Szczerze mówiąc, zdziwiło mnie to.
- To oni pobili Barry'ego Sandersa, a w każdym razie próbowali to zrobić.
- No właśnie. Wtedy też naskoczyli na mnie bez żadnego powodu. - Jaime ustawił się za mną, położył mi ręce na policzkach i delikatnie obrócił moją głowę najpierw w lewo, a potem w prawo. - Przydałoby się trochę je zageścić.
- Obawiam się, że trochę na to za późno.
- Nie wolno tak myśleć. Wie pan, chyba naprawdę powinienem stąd wyjechać. Co ja w ogóle robię w takiej dziurze? Nawet w Syracuse byłoby mi lepiej.
- Czy ci ludzie próbują cię jakoś zastraszyć? - spytałem. - Ci z ponurymi tajemnicami?

- Ależ skąd. - Nastroszył mi włosy. - Tak sobie tylko gadam.

Moja wizyta w zakładzie Cookie Evans dobiegła końca. Stanowiła za-
ledwie epizod w długim dniu wypełnionym obowiązkami zawodowymi i
być może nawet bym o niej nie wspomniał, gdyby nie to, co wydarzyło
się później. Chyba trochę rozminąłem się z prawdą, twierdząc, że uda-
łem się do Make Waves głównie po to, by porozmawiać z Jaimem. Moje
włosy w istocie stawały się coraz cieńsze, a na dodatek zacząłem łysieć.
Zwykła próżność kazała mi sprawdzić, czy Jaime potrafi coś przeciw
temu zaradzić; i rzeczywiście, co najmniej przez kilka dni wyglądałem
znacznie lepiej.

Od chwili zaginięcia Meg Shiller drzwi posterunku policji oraz troje pozostałych drzwi ratusza znajdowały się pod ciągłą obserwacją. Kapitan Percy był pełen nadziei. Jeśli za zniknięcie obu dziewczynek odpowiadał ten sam człowiek, to należało oczekiwać, że zwróci rzeczy Meg tak samo jak zwrócił rzeczy Sharon.

Później zadawano pytanie, ile osób wiedziało o obserwacji. Przede wszystkim ci, którzy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wpatrywali się w cztery monitory. Dwie kamery zainstalowano w magazynie sklepu obuwniczego na północ od ratusza, dwie zaś na piętrze w sklepie z konfekcją męską Boba Moreno, na południe od budynku. Same monitory umieszczono w podziemiach ratusza. Zarówno Bob Moreno, jak i Charlie Weber wiedzieli o obecności kamer w swoich sklepach. Kiedy więc zaczęto się zastanawiać, w jaki sposób sprawca uprowadzeń dowiedział się o policyjnym monitoringu, wyjaśnienie samo się nasunęło: tajemnica, o której wie tylu ludzi, bardzo szybko przestaje być tajemnicą.

Frieda Kraus (według dość powszechnej opinii główna siła napędowa miejscowej gazety) codziennie przychodziła do pracy o siódmej trzydziści, niekiedy nawet wcześniej. Franklin miał sporo szczęścia, że trafił na cierpiącą na bezsenność osobę o energii ciągnika siodłowego. Gdyby dysponowała talentem pisarskim, mogłaby sama prowadzić gazetę, ale, znowu na szczęście dla Franklina, była go pozbawiona. Miała około pięćdziesiątki, pięć syjamskich kotów i duży ogród. Dwa koty mieszkały

w redakcji, ponieważ nie potrafiły dogadać się z tymi z domu. W młodości Frieda miała wielu chłopaków, wszyscy jednak się wykruszyli. Zdaniem Franklina po prostu nie było takiego mężczyzny, który mógłby z nią wytrzymać. Obecnie żyła w bardzo luźnym związku z pracującym na własny rachunek dekarzem, który co tydzień przyjeżdżał do niej z Norwich. Ze względu na jej niespożytą energię oraz gadatliwość (zwykle opowiadała o wydarzeniach sportowych, które śledziła nocami na ekranie telewizora) dość trudno było z nią wytrzymać.

Frieda była kuzynką matki Meg Shiller, w związku z czym szczególnie boleśnie odczuła zaginięcie dziewczynki. Nikt zresztą nie pozostał na to obojętny. Solidnej postury, zaczesywała krótkie czarne włosy do przodu, prawie jak Marlon Brando w filmie *Juliusz Cezar*. Nosiła okulary o ogromnych szklach, powiększających nie tylko oczy, lecz także brwi i kości policzkowe.

Pokonując pieszo odległość sześciu przecznic dzielącą jej mieszkanie od redakcji, myślała o tym, jaki nudny czeka ją dzień. Najświeższy numer trafił do czytelników minionego dnia wieczorem, zanosilo się więc na to, że nie będzie miała co robić. Sklepy były jeszcze pozamykane, a ulice pustawe, chociaż przed Aurelius Grill po drugiej stronie ulicy parkowało już kilka samochodów. Kiedy Frieda stanęła przed drzwiami redakcji, zobaczyła kartonowe pudełko po piwie przymocowane do klamki srebrzystą taśmą izolacyjną. Niekiedy „korespondenci terenowi” przekazywali w ten sposób relację z meczu lub informację o wypadku drogowym, zawsze jednak umieszczali materiały w kopercie, a nie w kartonowym pudle.

Taśmę kilka razy owinięto wokół klamki, Frieda musiała więc użyć scyzoryka, żeby zdjąć pudełko. Otworzyła drzwi, weszła do środka, postawiła pakunek na biurku. Najpierw dała jeść kotom, a dopiero później podniosła przykrywkę. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była leżąca dłonią do góry ręka z krwistoczerwonymi paznokciami. Cofnęła się gwałtownie,

przewracając krzesło. Minęło trochę czasu, zanim sobie uświadomiła, że dłoń jest sztuczna; była to gumowa cielistą rękawiczka, pozostałość z niedawnego Halloween, którą można założyć na rękę. Tę jednak wypełniono gipsem i położono na starannie złożonych ubraniach.

Frieda zadzwoniła do Chucka Hawleya na posterunek i do Franklina. Następnie, czekając na przyjazd policji, zrobiła kilka zdjęć otwartego pudełka; ukazały się w kolejnym wydaniu gazety. Frieda wiedziała o tym, że wszystkie wejścia do ratusza są pod obserwacją, toteż wcale jej nie zdziwiło, że paczkę podrzucono do redakcji.

Pierwszy zjawił się kapitan Percy. Był zirytowany, chociaż nie sposób wykluczyć, że właśnie w ten sposób objawiała się u niego frustracja.

- Dlaczego otworzyła pani paczkę?
- A jak miałam sprawdzić, co jest w środku?

Kiedy kilka minut później przybył Franklin, w siedzibie redakcji niepodzielnie rządziła policja. Musiał skorzystać z tylnego wejścia, ponieważ drzwi frontowe były dokładnie fotografowane, zdejmowano z nich odciski palców i szczegółowo przeszukiwano teren w ich sąsiedztwie. Wszedłszy do środka, zobaczył jak Percy wyjmując z pudełka kopertę i chowa ją do kieszeni.

- Co to? - zapytał.
- Nie pański interes.
- Zamierza pan wyrzucić mnie z mojego własnego biura?
- Oczywiście - odparł Percy i jak powiedział, tak zrobił.

Oprócz ręki paczka zawierała ubranie, które Meg Shiller miała na sobie w Halloween. Wszystko było starannie wyprane, uprasowane i złożone. Czerwone plamy na białej bluzce wywołały początkowo poruszenie, szybko jednak okazało się, iż zostały zrobione farbą i stanowiły część przebrania. Rodzice rozpoznali rzeczy córki. Okropnie było myśleć o tym, że Sharon i Meg są gdzieś w tej chwili zupełnie nagie. A można tak było pomyśleć, bo przecież ich odzież została zwrócona.

Badania laboratoryjne, które niezwłocznie przeprowadzono w Ithace, nie dały żadnych rezultatów. Ani wewnątrz, ani na zewnątrz pudełka, podobnie jak na frontowych drzwiach redakcji i w ich pobliżu, nie znaleziono niczego, co pozwoliłoby snuć jakiejkolwiek domysły na temat tożsamości sprawcy. Nikt też niczego nie widział. Kiedy patrolujący tej nocy okolicę Roy Hanna przejeżdżał o wpół do piątej obok siedziby redakcji, na klamce nic jeszcze nie wisiało. Przyjaciele Sharon Malloy również wypytywali mieszkańców centrum, czy zauważyli coś podejrzanego. Czasem mijali się w drzwiach z policją i, ma się rozumieć, zadawali te same pytania co ona.

Percy zgłosił swoje zastrzeżenia Paulowi Leimbachowi, chociaż na dobrą sprawę powinien zwrócić się do współprzewodniczących grupie Sandry Petoski i Rolfa Portera.

- Staramy się tylko dopilnować, żeby w tej sprawie rzeczywiście zrobiono wszystko co można - odparł dość agresywnie Leimbach.

Ryan twierdził, że choć Percy nie lubił Leimbacha i uważał go za głupka, to jednak wysoko cenił pomoc ochotników podczas poszukiwań i zdawał sobie sprawę z politycznej siły, jaką reprezentowali. W związku z tym starał się nie urazić rozmówcy.

- Zapewniam pana, że robimy wszystko co w naszej mocy.
- Ale dziewczynki wciąż się nie odnalazły.
- Nie pomożecie nam, kręcąc się pod nogami.
- Pilnujemy, żeby niczego nie przeoczyć.

Policzki Percy'ego były płomiście różowe, jakby ktoś potarł je papierem ściernym. Dla odmiany czoło miał zupełnie białe.

- Uważa pan, że coś zostało przeoczone?
- A czy dziewczynki się odnalazły?

Franklin, który był świadkiem tej rozmowy, twierdził, iż głos kapitana przypominał trzeszczenie suchych patyków. Stał wyprostowany, z założonymi rękami. Publiczne konfrontacje ludzi, którzy się nie lubią, ale nie mogą tego okazać, bywają bardzo trudne.

- Czy jest coś, czego zaniedbaliśmy, a co wy byście zrobili? - zapytał Percy.

- Owszem - odparł Leimbach. - Przeszukalibyśmy wszystkie domy w mieście, a jeśli trzeba, to nawet w całym hrabstwie.

- To niezgodne z prawem.

- Czy dziewczynki nie są ważniejsze?

Jak tylko znaleźli się sami w gabinecie szefa policji w Aurelius, Percy i Schmidt otworzyli kopertę znaną w paczce.

Ona również zawierała kartkę z listą słów ułożonych z powycinanych liter. Niektóre litery zostały wykreślone, czy raczej wymazane czarnym pisakiem, tak że z KURWA została URWA a z DZIWKA - DZWKA. Ani na kopercie, ani na kartce laboranci nie znaleźli żadnych odcisków palców.

Zatrudnieni przez FBI psychologowie uznali za znamienny fakt, że ubranie Meg zostało zwrócone znacznie szybciej niż rzeczy Sharon. Zwrócili także uwagę na trudności, jakie wiązały się z dostarczeniem paczki pod drzwi redakcji, co świadczyło o dużej przebiegłości sprawcy. Niemniej, sam fakt jej dostarczenia był swego rodzaju manifestem. Z jednej strony sprawca czynił wszystko, by pozostać w ukryciu, z drugiej jednak jakaś część jego osobowości pragnęła, by został schwytany. Gdzieś głęboko w duszy człowiek ten był przerażony swoimi czynami, należało się więc spodziewać, że będzie działał szybciej, podejmując coraz większe ryzyko - nie z nadmiaru odwagi, ale po to, żeby ktoś wreszcie go powstrzymał.

Ryan Tavich uczestniczył we wszystkich spotkaniach z psychologami.

- Powinniście być przygotowani na coraz większą brutalność ze strony sprawcy, połączoną z brawurą i lekceważeniem zagrożeń - mówił jeden z nich. - Takie zachowanie można interpretować niemal jak wołanie o pomoc.

Psycholog był niewysoki, z czarną brodą, w tweedowej marynarce. Ryanowi skojarzył się z jakimś gryzoniem.

- Czy to znaczy, że będą kolejne uprowadzenia? - zapytał Schmidt.

- Prawie na pewno. Jeżeli nie uprowadzenia, to przynajmniej próby.

Wszystko według tradycyjnych schematów.

Ryan sprzeciwiał się obecności tych ludzi, podejrzewając, że wykorzystują naszą trudną sytuację w zamian za wysokie honoraria.

- Po ich wykładach wiem tylko tyle - powiedział któregoś dnia - że mieszkamy w mieście pełnym głupków.

Myślę, że to odpowiednia chwila, by wspomnieć o pewnym incydencie. Otóż Madame Respighi, prowadząca śledztwo w krainie duchów, wciąż mieszkała w Aurelius Motel, oddając się swoim tajemnym praktykom. Dwa dni po tym, jak paczka z rzeczami Meg została znaleziona przy frontowych drzwiach redakcji, udostępniono jej białą koszulę z czerwonymi plamami, aby na podstawie tego dowodu rzeczowego zasięgnęła informacji, zajrzała w zaświaty, wyczuła aurę, czy jak się nazywa to, co robiła. Policja nie przejawiała nadmiernego entuzjazmu, ustąpiła jednak na wyraźną prośbę rodziców Meg. Z podobną prośbą, żeby nie powiedzieć: żądaniem, wystąpili Przyjaciele Sharon Malloy. Kapitan Percy uważał, że to absurd, lecz ostatecznie wyraził zgodę.

Madame Respighi odebrała koszulę i zamknęła się w pokoju. Przyjaciele Sharon Malloy czekali na zewnątrz. Było ich sześcioro lub siedmioro, wśród nich Donald Malloy i Sandra Petoski. Sandra należała do osób, które pragną być wszędzie, gdzie cokolwiek się dzieje, a następnie bez końca o tym dyskutować. Ciekawe, jak radziła sobie w tym okresie ze swymi szkolnymi obowiązkami.

Mniej więcej po dziesięciu minutach Madame Respighi zaprosiła wszystkich do środka. Jak już wspomniałem, była raczej staromodną

kobietą noszącą szare kostiumy i okulary w rogowej oprawie. Szare kostiumy stanowiły coś w rodzaju jej znaku firmowego. Chociaż mieszkała w północnej Kalifornii, pochodziła z Brooklynu i wciąż mówiła z dość wyraźnym, typowym dla niego akcentem.

- Ukazało mi się kilka obrazów - oświadczyła. Siedziała na krześle przy stoliku, reszta stała. Pokój wyglądał tak jak tysiące pokoiów w innych motelach: trochę przytulnie, a trochę bezosobowo. Madame trzymała, a raczej ścisnęła w rękach białą koszulę. - Najpierw ujrzałam piwnicę z klepiskiem zamiast posadzki.

Nie zamierzam odtwarzać całego, długotrwałego ceremoniału. Ma się rozumieć, Przyjaciele łączywie chłonęli każde jej słowo. Opisała dom o obdrapanych ścianach, niegdyś pomalowanych na biało, co najmniej stu pięćdziesięcioletni, wąski, dwupiętrowy, z niewielkim garażem z tyłu. Opisała zwieńczone łukiem okno i czarne okiennice. Opisała rosnące przed domem klony. Opisała samotnie mieszkającego w tym domu mężczyznę. Mógłby to być jeden z wielu domów w Aurelius, im dłużej jednak o nim opowiadała, tym bardziej zawężał się krąg podejrzanych.

- Zna pani nazwę ulicy? - zapytał Donald Malloy.
- Ma coś wspólnego ze słynnym odkrywcą... Pływał na statkach...
- Hudson Street! - wykrzyknęła Sandra Petoski.

Nie muszę chyba dodawać, że mamy również ulice nazwane dla uczczenia De Soto, Cooka i Francisa Drake'a.

Padaly kolejne pytania, przyniesiono plan miasta i dość szybko ustalono, iż Madame Respighi ponad wszelką wątpliwość ma na myśli Irvinga Powella, który mieszkał przy Hudson Street. To on odkrył ciało Chihaniego. Wszystko to działo się we wczesne sobotnie przedpołudnie.

- Widzi pani psa?

Sandra Petoski miała na myśli Sidneya, czekoladowego labradora stanowiącego własność Powella.

- Nie. Nie widzę żadnego psa - odparła Madame Respighi.

Donald Malloy chciał jechać prosto do domu Powella, jednak Sandra doszła do wniosku, że najpierw powinni zawiadomić policję. Sama to uczyniła. Telefon odebrał Ryan Tavich. Wysłuchawszy informacji o rewelacjach Madame, powiedział:

- Nie możemy przeszukać domu Powella bez nakazu rewizji, a nie dostaniemy nakazu na podstawie bredzenia jakiejś wariatki. Mogłabyś czasem ruszyć głową, Sandro.

Później Ryanowi miano za złe brak ogłady.

- Od tej pory ja będę z nimi rozmawiał - powiedział mu kapitan Percy.

Sandra powtórzyła słowa Ryana Malloyowi i pozostałym.

- Wobec tego pojedziemy tam sami - zdecydował Donald.

Irving Powell od trzydziestu lat pracował w biurze miejskiego skarbnika. Wybrana na to stanowisko Martha Schroeder twierdziła, że w gruncie rzeczy to on wszystkim tam rządzi. Wdowiec, z odchowаныmi, dorosłymi i usamodzielnionymi dziećmi, mieszkał sam - jeśli nie liczyć psa. Był spokojnym, niewadzącym nikomu człowiekiem w dość zaawansowanym średnim wieku. Należał do kółka czytelniczego przy bibliotece, działał w kółku ogrodniczym i klubie szachowym. O ile wiem, na szczęście nie był gejem.

Okolo południa zjawili się u niego Malloy, Sandra Petoski i jeszcze kilka osób i wyjaśnili, czego chcą. Powell przywitał ich na ganku. Pies wściekle ujadł za drzwiami. Starszy pan potrzebował dziesięciu minut, by zrozumieć, o co im chodzi. Był kościstym, lekko przygarbionym mężczyzną noszącym wełniane swetry. Kiedy kogoś słuchał, zawsze pochylał się lekko do przodu.

- Oczywiście, że nie pozwolę wam niczego szukać w moim domu!

Malloy i reszta wycofali się na chodnik. Bali się, że wkraczając siłą, mogą niechcący zniszczyć lub zatrzeć dowody winy Powella. Sandra stwierdziła, że potrzebują posiłków, Tom Simpson pojechał więc po nie do kwatery głównej Przyjaciół. O wpół do pierwszej wokół domu kłębiło się pół setki ochotników. Powell wezwał policję. W ciągu kilku

minut zjawily się cztery radiowozy, nieco później zaś kapitan Percy. Widok Przyjaciół Sharon Malloy nie wprawił go w dobry nastrój.

- Dlaczego nas nie zawiadomiliście? - zapytał.

- Zrobiliśmy to - odparł Donald. - Rozmawialiśmy z Ryanem Tavichem, ale nie był zainteresowany.

Tłum gęstniał. Irving Powell stał na ganku, trzymając Sidneya za obrożę. Nie bardzo było wiadomo, kto ma kogo bronić. Przyjechał Franklin i od razu poprosił Sandrę Petoski o rozmowę.

- Uznaliśmy, że naszym obowiązkiem jest działać - powtórzyła kilka razy.

Ktoś krzyknął do Powella „ty zboczeńcu!”. W pierwszej chwili można było wziąć to za żart, napięcie jednak wzrosło tak bardzo, że o żadnych żartach nie mogło już być mowy. Wszyscy oczekiwali, że w domu Powella znajdą się obciążające go dowody, on sam zaś zostanie aresztowany - choćby po to, by doprowadzić sprawę do może tymczasowego, ale satysfakcjonującego rozwiązania. Plotki rozdziły się i błyskawicznie rozprzestrzeniły. Ktoś zasugerował, że Chihani żył jeszcze, kiedy Sidney go znalazł, i że dopiero Powell wyprawił go na tamten świat. Ludzie prześcigali się w rzucaniu oskarżeń, chociaż, o ile wiem, Powell nigdy nie skrzywdził nawet muchy. Jakie to jednak miało znaczenie? Kto wie, co robił pod osłoną nocy, kiedy nikt go nie widział?

Kapitan Percy wspiął się po stopniach, by z nim porozmawiać.

- Chyba byłoby najlepiej, gdyby zaprosił pan dwoje albo troje z nich, a oprócz tego mnie i Schmidta. Albo niech pan od razu dzwoni po adwokata.

- Przecież to absurd! - zaprotestował Powell.

- Nie mogę panu niczego narzucać.

- Czy jeśli ich wpuszczę, reszta się stąd wyniesie?

- Jeżeli będą usatysfakcjonowani...

- Boże, jakie to okropne!

Kapitan Percy starał się nie okazywać zniecierpliwienia. Chuck Hawley opowiadał później, że Powell znajdował się na krawędzi hysterii, nie wiem jednak, czy można mu wierzyć. Wyobraźcie sobie, że od urodzenia mieszkacie w tym samym mieście, jesteście szanowanymi członkami społeczności, a pewnego dnia ludzie zaczynają was podejrzewać o to, że jesteście zbrojcami i mordercami, przed waszym domem zaś kłębi się ponad stuosobowy, rozgniewany tłum. Powell z pewnością nie spodziewał się tego nawet w najgorszych snach.

- No cóż, w takim razie zapraszam.

Przyjaciół Sharon Malloy reprezentowali Donald Malloy, Sandra Petoski oraz Dave Bauer z YMCA, a policję Percy, Schmidt i Hawley. Powell oprowadził ich po domu.

- Dave Bauer wchodził nawet do szaf - relacjonował Chuck.

- W piwnicy nie było klepiska, tylko normalna betonowa posadzka.

Mieszkając całe życie w tym samym domu, Powell zgromadził mnóstwo mniej lub bardziej niepotrzebnych przedmiotów. Miał również sporo rzeczy nieżyjącej żony, jego troje dorosłych dzieci także podrzucało od czasu do czasu to i owo na przechowanie. Wkrótce potem przed dom zajechała telewizyjna furgonetka. Informacja o tym, że Madame Respighi wycelowała oskarżycielski palec w Irvinga Powella, zyskała wysoką rangę.

Policja i Przyjaciele spędzili w domu Powella prawie godzinę, ale niczego nie znaleźli.

- Co oczywiście nie oznacza, że niczego tu nie ma - powiedział Malloy.

- Ściągnijcie techników z laboratorium! - poprosił przerażony Powell. - Mogą robić, co chcą! Wcale nie będą mi przeszkadzać.

- Nie wydaję mi się, żeby to było konieczne... - odparła z wahaniem Sandra Petoski.

- A w jaki inny sposób możemy uzyskać całkowitą pewność? - zapytał Malloy.

Rozmowa toczyła się na ganku, przed obiektywami kamer i aparatów fotograficznych.

- Proszę! - błagał Powell. - Naprawdę nie mam nic przeciwko temu!

A więc kapitan Percy ściągnął ludzi z laboratorium. Oni również niczego nie znaleźli, lecz skoro już raz podejrzenia padły na Powella, bardzo trudno było mu się od nich uwolnić. Wielu Przyjaciół, w tym Donald Malloy, sugerowało, że technicy mogli bardziej przyłożyć się do pracy, a jeszcze tego samego dnia wieczorem ktoś wybił kamieniem szybę w salonie Powella. W rezultacie przez kolejnych pięć dni domu pilnował policjant, roztrzęsiony Powell zaś rozpaczliwie proponował Przyjaciołom Sharon Malloy swoje usługi. Wyglądało to doprawdy żałośnie.

Madame Respighi nie uznała za stosowne go przeprosić, chociaż z drugiej strony, przecież to nie ona zidentyfikowała dom, który ujrzała w swojej wizji. Moim zdaniem, całkowitą odpowiedzialność za tę sytuację ponosiła podejrzliwość przez duże „p”. Przypominała obracający się strumień światła z latarni morskiej: przez chwilę wylądował z ciemności jedną osobę, by zaraz potem przenieść się na inną. Przez pewien czas Irving Powell żył w stanie ciągłego przerażenia; później ktoś inny ściągnął na siebie powszechną uwagę.

W tłumie, który zebrał się wokół domu Powella, byli także Barry Sanders i Jaime Rose. Akurat tędy przechodzili. W soboty salon zamykano o dwunastej. Barry szedł w kierunku college'u, Jaime zaś towarzyszył mu bardziej z nudów niż z jakiegokolwiek potrzeby. Był ciepły jesienny dzień, wiele osób pracowało w ogródkach, robiąc ostatnie porządki przed nadejściem zimy. Barry jak zwykle miał na głowie czapkę, a na nosie okulary. Jaime lubił skórzane ubrania, paradował więc w skórzanych spodniach i czarnej skórzanej kurtce, pod którą miał bluzę. Obaj zupełnie nie pasowali do Aurelius.

Zrelacjonowałem Franklinowi moją rozmowę z Jaimem sprzed kilku dni, odrobinę ją ubarwiając. Franklin uznał, że sam powinien z nim pogadać. Zauważywszy go w tłumie, podszedł do niego. Znali się, choć niezbyt dobrze.

- Ooo, jest nasz tropiciel informacji! - powitał go Jaime.

- Chętnie wysłuchałbym pańskiej opinii na temat mieszkańców Aurelius - powiedział Franklin, uścisknąwszy mu dłoń.

- Muszę już iść do szkoły - oznajmił Barry i oddalił się szybkim krokiem.

Uczynił to prawdopodobnie z nieśmiałości, lecz postronny obserwator mógłby odnieść inne wrażenie. Problem polegał na tym, że postronnych obserwatorów była prawie setka. Każdy z nich mógł zauważyć, że ci trzej byli przez chwilę razem.

- Mam wiele różnych opinii - odparł Jaime.

- Ktoś mi powiedział, że wcale nie jest pan zaskoczony tym, co się tu dzieje.

Franklin trochę przeinterpretował moją relację.

- Palant! - Na co dzień Jaime nie posługiwał się takim językiem, zdawał sobie jednak sprawę, że tym razem ma wielu słuchaczy. - Nienawidzę plotek - dodał.

Powoli ruszyli w kierunku centrum. Byli podobnej budowy ciała i mniej więcej tego samego wzrostu. Franklin miał na głowie irlandzki kapelusz, Jaime był z gołą głową. Bardzo się chlubił swoimi włosami i niechętnie je przykrywał.

- Domyśla się pan, kto mógł porwać dziewczynki?

- Nigdy nie twierdziłem, że to wiem - odparł Jaime. - Mówiłem tylko, że znam sporo paskudnych ludzi.

- Na przykład kogo?

- Niech pan nie żartuje. Chyba nie spodziewa się pan, że podam ich nazwiska, żeby mógł je pan wydrukować w gazecie.

- A jeśli ci ludzie mają coś wspólnego z zaginięciami Sharon i Meg?

- Tego też nigdy nie powiedziałem. Po prostu ich upodobania trochę odbiegają od normy, i to wszystko.

- O ilu ludziach mówimy? - zapytał Franklin, który zaczął już sobie wyobrażać gromady zwyrodnialców.

- O dwóch albo trzech.

- Czy są wśród nich Jesse i Shannon Levine'owie?

- Oczywiście, że nie. To tylko zwykłe łobuzy.

- Jakie upodobania ma pan na myśli?

- Właśnie na tym polega problem. Nawet jeśli powszechnie szanowany obywatel lubi być związany i batożony, to jeszcze nie powód, żeby podejrzewać go o udział w porwaniach dziewczynek. A co by się stało, gdybym podał panu nazwiska? Proszę popatrzeć na Irvinga Powella. Kto przy zdrowych zmysłach mógłby podejrzewać go o cokolwiek? Mimo to teraz przetrząsają jego dom. Myślę, że i tak już za dużo panu powiedziałem.

- Jeżeli jednak któryś z tych ludzi... - zaczął Franklin, lecz Jaime nie pozwolił mu dokończyć.

- Wystarczy. Wolalbym, żeby nie widziano nas razem.

Ale było już za późno.

Szczerze mówiąc, miałem trudności ze zrozumieniem teorii, według której brutalność jest równocześnie wołaniem o pomoc. Moim zdaniem wcale nie wyjaśniała ona motywów, jakimi kierował się sprawca uprowadzeń. Pojawienie się rzeczy Meg jeszcze mocniej utwierdziło nas w przekonaniu (a przynajmniej tych, którzy jeszcze w to wątpili), iż człowiek ten nie tylko mieszkał w Aurelius, lecz także dysponował wiedzą o czynnościach podejmowanych przez policję w celu jego schwytania. Przydało nam się to przypomnienie, bez niego bowiem łatwo moglibyśmy uwierzyć, że to niemożliwe.

W niedzielę wieczorem drzemałem nad książką w moim ulubionym fotelu, kiedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Aż podskoczyłem i książka - thriller Daphne du Maurier - wypadła mi z ręki. Zbliżała się jedenasta. Początkowo zamierzałem zignorować pukanie, w końcu jednak zwlokłem się z fotela. Okazało się, że to Sadie.

- Ktoś próbuje dostać się do naszego domu tylnymi drzwiami - oznajmiła.

Była na bosaka, w staromodnej flanelowej nocnej koszuli. Co chwila oglądała się przez ramię. Wpuściłem ją do środka.

Strach jest najbardziej zaraźliwą rzeczą pod słońcem. Żałowałem, że zamiast kilku tępych noży kuchennych nie mam pistoletu albo strzelby. Ostatnio kupowało je wielu ludzi.

- Gdzie Franklin?
- Wyszedł.

- A pani Sanders?

- Zasnęła na kanapie przed telewizorem. Nie mogę jej dobudzić. Cień szczeka w piwnicy.

Sadie stała przy kominku. Szczupła, z małymi piersiami, przypominała mi kwiat szykujący się dopiero do rozkwitnięcia. Odgarnęła włosy na plecy.

- Co konkretnie się stało? - zapytałem.

- Usłyszałam skrzypnięcie zewnętrznych tylnych drzwi, a potem ktoś nacisnął klamkę. Na szczęście drzwi były zamknięte na klucz. Po-tem ten człowiek szarpnął mocniej, a ja uciekłam.

Choć udzielił mi się jej lęk, nie chciałem uwierzyć, że to prawda. Noc była wietrzna; być może to właśnie wiatr poruszył zewnętrznymi drzwiami. Moja nadzieja, że Sadie tylko się coś przywidziało, była tak silna, że nie zadzwoniłem na policję. Słyszałem opowieści o wielu fałszywych alarmach, których autorzy wychodzili na kompletnych idiotów. Stara pani Sherman zamknęła się kiedyś w łazience, usłyszawszy myszy harcujące w spiżarni, i nie chciała wyjść z ukrycia nawet po przyjeździe policji. Przekonała ją dopiero córka, która specjalnie po to przyjechała z Norwich. Chuck Hawley śmiał się do rozpuku, kiedy mi o tym opowiadał.

- Sprawdźmy, co to takiego.

Sadie nawet nie drgnęła.

- Sami?

Wziąłem pogrzebacz ze stojaka przy kominku.

- Przynajmniej obudzimy panią Sanders.

Dziewczynka skinęła głową i ruszyła za mną. Dałem jej starą wełnianą marynarkę, sam zaś włożyłem palto. Bezszelestnie wymknęliśmy się na ganek. Na ulicy nie było żywego ducha. Wiatr gonił po chodnikach i podjazdach nieliczne martwe liście. Większość domów spowijały ciemności, w oknie pokoju niewidomej dziewczyny świeciło się światło. Nad centrum wisiał rąbek księżycy przesłaniany co chwila ciemnymi chmurami. Sadie trąciła mnie w plecy; podskoczyłem, ale w miarę szybko się

opanovałem. Nigdy nie grzeszyłem nadmierną odwagą. Będąc dzieckiem, unikałem jak ognia zabawy w podchody.

Przeszliśmy przez podwórze Pete'a Danielsa. W świetle ulicznej latarni nasze cienie padły na ścianę jego domu. Chwilę potem znaleźliśmy się za domem Sadie. Świeciło się tylko w oknach salonu, nawet lampa na ganku była wyłączona. Przyciskałem pogrzebacz do uda, żeby zanadto nie rzucał się w oczy. Ciekawe, jak często ludzie narażają się na poważne niebezpieczeństwo tylko po to, żeby nie narazić się na śmieszność?

Wspięliśmy się po głośno skrzypiących frontowych schodkach. Sadie szła tuż za mną. Otworzyłem drzwi i weszliśmy do środka. Cień nieprzerwanie ujał w piwnicy. Salon znajdował się po lewej stronie. Telewizor był wyłączony. W wieczornych wiadomościach z Syracuse właśnie informowano o podwójnym ślubie w Saint Joseph's Hospital. Przez ekran przemykały migawki z uroczystości. Pani Sanders leżała na kanapie, bez pantofli, z głową na poduszce i szeroko otwartymi ustami. Gdyby nie donośne chrapanie, byłbym gotów uwierzyć, że miała udar mózgu. Była dużą kobietą o zaokrąglonych kształtach i srebrzystych włosach skręconych w wieczną trwałą. Spod zawiniętej kraciastej spódnicy wyzierało blade udo. Odwróciłem wzrok. Z telewizora dobiegała przytłumiona gadanina.

Podszedłem do kanapy i potrząsnąłem panią Sanders za ramię. Nie zareagowała. Potrząsnąłem mocniej, głowa zsunęła się jej z poduszki. Dopiero wtedy otworzyła oczy i szybko usiadła.

- Co pan tu robi?
 - Sadie nie mogła pani obudzić. Przestraszyła się.
 - Mam mocny sen.
- Ruszyłem do wyjścia.
- Dokąd pan idzie?

Zerkała niepewnie na pogrzebacz. Uświadomiłem sobie, że się mnie boi. Ja również spojrziałem na pogrzebacz.

- To tak na wszelki wypadek - wyjaśniłem, po czym skierowałem się do kuchni.

- Nie podoba mi się, że on tu jest - usłyszałem za plecami ściszony głos pani Sanders.

Nie wiem, co odpowiedziała Sadie. Tylne drzwi istotnie były zamknięte na klucz. Włączyłem światło na werandzie z tyłu domu i otworzyłem drzwi. Pokrywa pojemnika na śmieci leżała na ziemi. Przypuszczalnie buszował tu szop i to najprawdopodobniej on wystraszył Sadie i psa. Przykryłem pojemnik. Nic nie świadczyło o tym, żeby ktoś próbował się włamywać, choć z drugiej strony nie bardzo wiedziałem, co miałyby o tym świadczyć. Sadie uwolniła psa z piwnicy; Cień przecisnął się przez szczelinę między drzwiami i futryną, skoczył mi na kolana, a następnie zbiegł po schodkach i ponownie zaczął ujadać.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Ktoś zbliżał się ku mnie między drzewami. Odruchowo uniosłem pogrzebacz.

- Zaatakuj mnie pan?

To był Aaron. Najpierw rozpoznałem jego koński ogon, a dopiero potem twarz.

- Co tu robisz? - spytałem.

- Skracam sobie drogę. Sadie jeszcze nie śpi?

Pies umilkł i podbiegł, żeby się przywitać. Aaron schylił się i podrapał go za uszami.

- Byłeś tu wcześniej?

- O czym pan mówi?

- Sadie wydawało się, że coś słyszy.

Stała przy mnie na ganku.

- Aaron!

Chłopak podszedł bliżej, zatrzymał się przed schodkami i spojrzał na nas. Tak mocno ściągnął sobie włosy, że kąciki jego oczu powędrowały nieco w górę i na boki, nadając mu lekko orientalny wygląd.

- Mam dla ciebie nowiny - zwrócił się do Sadie. - Twój ojciec zamierza ożenić się z moją siostrą. Chcą to zrobić jeszcze w tym tygodniu.

Wydawało mi się, że to dobra wiadomość, jednak sądząc po minach Sadie i Aarona, oboje uważali inaczej.

- Co tam się dzieje? - dobiegł z wnętrza głos pani Sanders.

- Szykujemy się na wesele! - odparł Aaron, po czym wybuchnął śmiechem.

Po rozmowie z Jaimem od razu rzuciła mi się w oczy wrogość, z jaką traktowali go bracia Levine. Jaime wspomniał mi o spotkaniu w barze, lecz nie powtórzył dokładnie, co do nich powiedział. Być może nie spodobał im się jego ton, ale chyba nie miało to większego znaczenia. Tak naprawdę nie podobała im się przyjaźń Jaimego z Barrym Sandersem.

W poniedziałek rano, przechodząc obok Make Waves, zatrzymali się i zajrzeli do środka przez szklane drzwi. Jaime właśnie chesał panią Adams, której mąż zasiadał w radzie miejskiej. Jesse i Shannon otworzyli drzwi, stanęli w progu i zaczęli się śmiać, wskazując Jaimego palcami. Nie był to zwyczajny śmiech, lecz głośnie, histeryczne rżenie jakby żywcem przeniesione z jakiejś hałaśliwej kreskówki. Cookie natychmiast kazała im się wynosić, oni jednak ani myśleli to uczynić. Poszli sobie dopiero wtedy, kiedy spryskała ich jakimś mocno kwiatowym pachnidłem.

We wtorek Jesse i Shannon zjawili się w Aurelius Grill akurat w chwili, gdy Barry i Jaime jedli razem lunch. Przypuszczam, że Barry i Jaime byli tylko przyjaciółmi, i to nawet nieszczególnie bliskimi, ale bracia nawet do tego mieli zdecydowane zastrzeżenia. Zdaje się, że marksizm pomylił im się z purytanizmem albo może uważali, że Barry zradca Tropicielei Prawdy.

Jesse i Shannon przysiedli się do stolika, przy którym siedzieli Barry i Jaime. Wyglądali trochę głupio z identycznymi kucykami.

- Nikt was tu nie zapraszał - powiedział Jaime.
- Nieprawda - odparł Jesse. - Prosiak nas zaprosił.
- Mrugnął na nas - dorzucił Shannon.
- Nieprawda! - zaprotestował Barry.
- Co jest dzisiaj na lunch? - zapytał Jesse.
- Zostawcie nas w spokoju - poprosił Jaime.
- My też mamy prawo jeść!
- Chcesz, żebyśmy głodowali?

Jaime dał znak Ralphowi Stangosowi, właścicielowi lokalu. Ralph jest również sportowcem i strażakiem-ochotnikiem. Bez względu na uczucia, jakimi darzył Jaimego, wiedział, że ten jest stałym klientem. Wytarł ręce w fartuch i powoli ruszył w ich kierunku.

- Zdaje się, że jesz zupę - powiedział Shannon, wskazując na talerz Jaimego z zupą pomidorową.

- Ja też chętnie zjadłbym trochę zupy - oznajmił Jesse.

- Proszę, poczęstuj się - odparł Shannon. Wyciągnął rękę, wsunął palec pod krawędź talerza i szybkim ruchem zrzucił go Jaimego na spódnie. - Ojej!

Jaime odskoczył do tyłu razem z krzesłem.

- Specjalnie to zrobiłeś! - wykrzyknął Barry.

W tej samej chwili Ralph Stangos złapał Shannona za kark.

- Wynocha stąd - wycodził. - Obaj!

Był to chyba najbardziej znaczący epizod, choć były też inne, niektóre zaś mogły mi już wylecieć z pamięci. Dwa razy pohukiwali na Jaimego na ulicy. Trwało to przez kilka dni i wiem, że Jaime rozważał złożenie skargi na policji.

We wtorek wieczorem Barry przyszedł do mnie i opowiedział o zdarzeniu w Aurelius Grill.

- Jaime musiał pójść do domu, żeby się przebrać. Całe spódnie miał w zupie pomidorowej.

Siedzieliśmy w fotelach przy kominku i piliśmy herbatę.

- Dlaczego tak go prześladowają? - zapytałem.

Ukryte za grubymi szklami oczy Barry'ego wyglądały jak rozmazane różowe plamy.

- Shannon mówi, że homoseksualizm jest przejawem reakcyjności. Ja jednak myślę, że Jaime rozmawiał z nimi wcześniej w barze i jakoś im się naraził.

Pił herbatę małymi łyżkami i często mrugał. Poruszyliśmy również sprawę małżeństwa Franklina i Pauli. Ślub miał się odbyć nazajutrz w Potterville.

- Sadie jest wstrząśnięta - powiedziałem.

Franklin przypuszczał, że Sadie łatwiej zaakceptuje jego związek z Paulą, jeśli będzie on usankcjonowany prawnie. Rozmawiał o tym z Paulą od wielu miesięcy. Poza tym, nie chciał, żeby jego córka zostawała sama w domu. Paula była miła i mądra. Franklin nie widział żadnego racjonalnego powodu, dla którego Sadie miałaby w dalszym ciągu jej nie lubić. Rzecz jasna, Sadie nie potrzebowała racjonalnych powodów.

Przypomniałem sobie, co Jaime mówił o wstydliwych tajemnicach niektórych obywateli Aurelius. W tym kontekście nie mogłem nie pomyśleć o mężczyźnie, z którym Barry związał się przez jakiś czas w szkole średniej. Zapytałem go, czy ma kontakty seksualne z Jaimem.

- Skądże znowu. Przyjaźnimy się tylko, i tyle.

- Widujesz jeszcze czasem tego człowieka, z którym kiedyś byłeś? Barry od razu się najeżył.

- Jakiego człowieka?

- Tego z twoich szkolnych czasów.

- Nie chcę o nim mówić.

- Mieszka jeszcze tutaj?

Barry powtórzył, że nie chce o nim mówić.

- Czy Jaime go zna?

- Nie wiem.

Podniósł się i powiedział, że musi już iść. Przeprosiłem go za natarczywość.

- Proszę, napij się jeszcze herbaty.
- Naprawdę muszę już iść.

Naleganie nie miało sensu. Zresztą matka kazała mu przyjść o ósmej do domu Sadie, a było już parę minut po tej godzinie. Mimo wszystko czułem do niego żal. Zналиśmy się tak długo, że chyba powinien nabrać do mnie trochę zaufania.

Tymczasem Przyjaciele w dalszym ciągu patrolowali miasto, wypytywali ludzi, utrzymywali kontakty z podobnymi grupami w całym kraju. Mimo iż było oczywiste, że Irving Powell nie miał nic wspólnego z uprowadzeniami, wciąż nagabywali jego sąsiadów. Prowadzili też stały nadzór nadajników policyjnych, mogli więc reagować na każdy sygnał, który wydał im się podejrzany. Niekiedy zjawiali się na miejscu przed policją. Kapitan Percy wielokrotnie zgłaszał protesty radzie miejskiej, lecz ta nie interweniowała. W gęstniejącej atmosferze lęku i niepewności kilka osób wyjechało z miasta, kilka innych zaś odesłało córki do rodziny mieszkającej tam, gdzie - ich zdaniem - powinno być bezpiecznie, chociaż wrażenie bezpieczeństwa mogło być czysto iluzoryczne. Kilka uczennic przestało pojawiać się na moich zajęciach. Kiedy zgłosiłem ten fakt w sekretariacie, dowiedziałem się, że czasowo zostały przeniesione do szkół w Rome lub Baldwinsville. Słowo „czasowo” wymówiono ze szczególnym naciskiem.

W miarę narastania podejrzeń krążące wśród ludzi plotki i pomówienia stawały się coraz paskudniej sze, często ocierając się o granice oszczerstwa. Wiedziałem, że o mnie też się mówi, ale na takim poziomie ignorancji, że bardziej mnie to irytowało niż niepokoiło. Któregoś dnia na przykład, na pierwszej lekcji po dużej przerwie, zastałem na tablicy napisane kredą słowo QUEAR¹. ¹ Queer (ang.) - homoseksualista (przyp. tłum.).

Kilka lat temu w naszej szkole pracowała nauczycielka historii Margaret Quear i w pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi właśnie o nią, wystarczyło jednak spojrzeć na szyderczo uśmiechnięte twarze uczniów,

aby zrozumieć, że wyraz na tablicy ma oznaczać coś całkiem innego, tyle że celowo został napisany z błędem. Było to odrażające. Kusiło mnie, żeby coś powiedzieć, ale tylko wytarłem tablicę i rozpocząłem lekcję. Później urządziłem im niezapowiedziany sprawdzian, na którym wszyscy marnie wypadli. Myślę, że przesłanie do nich dotarło.

Atmosfera podejrzliwości ogarnęła również szkołę. W pokoju nauczycielskim, gdzie zazwyczaj aż huczało od dyskusji, kąśliwych uwag, żartów i plotek, teraz panowała cisza. Ludzie nie wiedzieli, kim tak naprawdę jest siedzący obok nich człowiek. Czy Sandra Petoski, którą widywałem codziennie od lat, była tą samą Sandrą Petoski pełniącą obecnie funkcję wiceprezesa Przyjaciół Sharon Malloy? A może pojawiła się już jakaś trzecia Sandra, groźniejsza od tamtych obu?

Określenia „mroczna strona” używamy niekiedy w niemal żartobliwym znaczeniu. Mroczną stroną charakteru pani Hicks było jej zamiłowanie do czekolady, mroczną stroną życia Harry'ego Martini natomiast - romans z nauczycielką z Utiki. Teraz jednak ujrzeliśmy autentyczną mroczną stronę ciemności. Do tej pory nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak głęboka może to być ciemność. Ktoś spośród nas wprowadził dwie dziewczynki. Co z nimi potem zrobił? Tego pytania woleliśmy nie zadawać. Grobowe milczenie wypełniało pokój nauczycielski wcale nie dlatego, że moi koledzy nie mieli o czym mówić. Oni po prostu bali się tego, co mogliby powiedzieć.

W środę po południu Franklin i Paula wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego w Potterville. Świadkiem był Ryan. Wszyscy troje zwolnili się na godzinę z pracy, Ryan zaś dodatkowo poświęcił przerwę na lunch. Mitchell Friedman, który udzielał ślubu, sypał żartami o specjalnie wzmocnionych nierozzerwalnych więzach i o tym, że Paula wreszcie ma szansę stać się porządną kobietą, jednak państwo młodzi byli poważni jak na pogrzebie. Kiedy ceremonia dobiegła końca, pocałowali się, Ryan uściśnił im dłonie i wszyscy wrócili do Aurelius. Po powrocie ze szkoły

Sadie dowiedziała się, że ma nową mamusię. Nie była tym zachwycona. Franklin i Paula mniej więcej przez godzinę przewozili rzeczy Pauli z domu jej ojca, który zamierzała wystawić na sprzedaż. Franklin nie miał wiele czasu, ponieważ najpóźniej o siedemnastej musiał posłać nowy numer gazety do drukarni. Pojawił się mały problem z psem Pauli, Fletcherem, który za nic nie mógł dogadać się z Cieniem. Chwilowo wzięli go do siebie znajomi Pauli, ona natomiast miała zastanowić się wspólnie z Franklinem, co począć z tym fantem.

Franklin zamieścił w gazecie krótką wzmiankę o ich ślubie. Przepuszczalnie napisał ją jeszcze przed ceremonią. Zawierała tylko podstawowe informacje, lecz nie wiedzieć czemu Franklin uznał za konieczne podać, że jest wydawcą i redaktorem naczelnym tygodnika „Independent” (tak jakby ktoś o tym nie wiedział), Paula zaś pracuje w college'u. Ludzie czytali i kręcili głowami. Wielu z nich miało wrażenie, że i tak wie już zbyt dużo o rodzinie McNealów. Oczywiście wszyscy życzyli Franklinowi szczęścia, choć wątpię, by ktokolwiek uznał za stosowne w jakiś szczególny sposób uczcić jego ślub.

Co prawda Malloyowie i Shillerowie nie zostali przyjaciółmi, ale w tym okresie byli ze sobą bardzo blisko. Jednak ten sam smutek, który ich zbliżał, równocześnie odpychał ich od siebie. Przecież każda rodzina rozpaczała z powodu zaginięcia innej dziewczynki. Mimo to często się kontaktowali, wypytując o nowiny. Ralph i Helen Shiller nie uczestniczyli w działaniach Przyjaciół, natomiast Mike, brat Ralpha, poświęcał im mnóstwo czasu. W tym celu wziął nawet urlop z pracy. Trzeci z braci, Albert, także pomagał Przyjaciółom, a dwaj bracia Helen i kuzyn brali udział w patrolach.

Ralph i Helen Shillerowie starali się funkcjonować w miarę normalnie, aczkolwiek niezbyt im się to udawało, ponieważ w gruncie rzeczy żyli w stanie niemal całkowitego paraliżu. Przez kilka minut działali aktywnie, by potem po raz kolejny uprzytomnić sobie, że stracili dziecko, i wówczas od razu uchodziło z nich powietrze. Na szczęście Ralph miał pracowników, którzy zastąpili go w firmie. Najgorsza była kompletna niewiedza oraz to, że wciąż wyobrażali sobie okropne rzeczy, jakie mogły spotkać ich córkę. W świetle zastanawiających i niepokojących faktów takich jak zwrot ubrania i obecność w paczce z rzeczami sztucznej ręki, prawdopodobne stawały się nawet najbardziej ponure scenariusze. Ralph zaczął jeździć bez celu po mieście swoją furgonetką. Często widywałem niebieskiego forda z białym napisem RALPH SHILLER, ELEKTRYK, sunącego powoli przy krawężniku. Za kierownicą, jak duch, unosiła się jego blada twarz.

Helen rzadko wychodziła z domu. Henry, brat Meg, którego uczyłem biologii, często opuszczał zajęcia, ale przecież nie mogłem z tego powodu obniżyć mu oceny. Do tej pory był pogodnym, wesołym chłopcem, teraz zaś miał twarz pozbawioną wyrazu, a także kłopoty z koncentracją. Inni uczniowie albo mówili do niego szeptem, albo go ignorowali. Jego młodszy brat Bobby chodził do czwartej klasy. Nic o nim nie wiem, często jednak się zastanawiam, jak dawał sobie radę.

Malloyowie zareagowali w podobny sposób. Doktor Malloy w ogóle zaprzestał praktyki. Przesiadywał godzinami w domu albo na posterunku. Jego syn Frank, podobnie jak Henry Shiller, opuszczał mnóstwo zajęć w szkole. Mała Millie chodziła do trzeciej klasy. Doktor codziennie odwoził ją i zabierał samochodem, a kiedy była zapraszana do koleżanek, również zawoził ją na miejsce, a następnie czekał na zewnątrz w wozie. Opanował go obsesyjny lęk, że coś jej się stanie.

Jego żona Catherine wychodziła z domu tylko po to, by spotkać się z Leimbachami lub Shillerami. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że znajdują się w centrum zainteresowania. Byli wdzięczni ludziom za dowody sympatii i solidarności, lecz za każdym razem, kiedy napotykali czyjeś współczujące spojrzenie, ból odzywał się ze zdwojoną siłą. Doktor Malloy jeździł brązowym chevroletem pick-upem. Któregoś dnia zauważyłem przez tylną szybę uchwyty na strzelbę, parę dni później zaś pojawiła się tam również sama strzelba. Co prawda mieszkaliśmy w stanie Nowy Jork i był listopad, wątpię jednak, żeby doktor sprawił sobie strzelbę z myślą o polowaniu na jelenie. On także jeździł powoli po mieście, obserwując ulice i domy.

Grafik dla załóg patrolowych przygotowywał zwykle Paul Leimbach. Przyjaciele mieli do dyspozycji około dwudziestu samochodów, ale w tym samym czasie na ulicach przebywało najwyżej pięć. Precyzja, która czyniła z niego doskonałego księgowego, pozwoliła mu opracować doskonały plan operacyjny. Każdy samochód miał wyznaczony swój

sektor, każdy poruszał się według konkretnego schematu, by nagle zmienić go na inny - zupełnie jakby taka zmiana miała zaskoczyć skradającego się cichaczem złoczyńcę.

Znałem Paula Leimbacha od zawsze, choć niezbyt dokładnie. Odnosiłem wrażenie, że jego dziecięce zamiłowanie do kart baseballowych i nieco późniejsze do liczb służyło głównie temu, by sprowadzić świat do mierzalnych wymiarów. Był pozbawiony jakichkolwiek fizycznych ułomności, silny i zyłasty. Wiem od kogoś, że sypiał tylko cztery godziny na dobę. Miał skupioną twarz i zdawał się uważnie przyglądać otoczeniu, niczym jastrzęb na uschniętym drzewie. Sprawiał wrażenie człowieka, którego nic nie jest w stanie zaskoczyć, a zniknięcie Sharon całkowicie go zaskoczyło. Jego matematyczny umysł nie był w stanie sobie z tym poradzić.

Córka Leimbacha, Jenny, miała dwanaście lat. Był przekonany, że jej także grozi niebezpieczeństwo. Jego żona Martha chciała wysłać Jenny z miasta, ale Leimbach nie zgodził się, ponieważ uważał, że byłoby to nie w porządku wobec doktora Malloya. Z pewnością nie zamierzał ryzykować życia córki, równocześnie jednak - Bóg tylko wie, jak i dlaczego to sobie uroił - uważał, iż postąpiłby nie fair, zapewniając jej całkowite bezpieczeństwo. Mimo to starał się dopilnować, żeby nigdy nie zostawała sama. Jeśli on ani Martha nie mogli z nią być, dotrzymywał jej towarzystwa piętnastoletni Mark lub Scott, uczęszczający już do szkoły średniej.

Wydaje mi się, że Donald Malloy poświęcał Przyjaciołom co najmniej czterdzieści godzin tygodniowo. Siłą rzeczy ciężar prowadzenia apteki spoczął w znacznej części na barkach Mildred Porter, choć Donald wpadał raz albo dwa razy dziennie. Mieszkał samotnie - chyba miał kota, ale nie jestem tego pewien - przy Dodge Street. Jego dwupiętrowy, wąski dom stał na dużej działce. Przez kilka lat przypuszczano, że się powtórnie ożeni, nic takiego jednak nie nastąpiło. Prawdopodobnie, będąc

rozwodnikiem, wołał ponownie nie ryzykować. Nie miał dzieci. Bezpośrednio po przeprowadzce do Aurelius spotykał się z kilkoma kobietami. Był wtedy szczuplejszy i żwawszy. Należał do mężczyzn, którzy wyglądają tak, jakby w szkole grali w futbol, potem zaś pozwolili, by mięśnie stopniowo zamieniły się w tłuszcz. Nie był jeszcze gruby, ale już otyły. Nawet jeśli od czasu do czasu umawiał się z kobietami, to nic mi o tym nie było wiadomo.

Razem z Agnes Hilton i Dave'em Bauerem złożył wiele wizyt takich jak u mnie. Zawsze starali się zachowywać przyjaźnie, choć w niczym nie zmieniało to faktu, że każdy, u kogo się zjawiali, był w mniejszym lub większym stopniu podejrzany. W domu Donalda odbywały się zebrania, podczas których zastanawiano się nad tym, co mogło się stać z dziewczynkami; ich rezultatem były kolejne wizyty. Rzecz jasna, nie wszystkie przebiegały w miłej atmosferze, w związku z czym coraz więcej osób zaczynało obawiać się Donalda, niektórzy zaś czynili widoczne wysiłki, by wkupić się w jego łaski.

W tym okresie Franklin ponownie starał się przeprowadzić z nim wywiad dla gazety, lecz bez powodzenia. To znaczy Donald powiedział mu, że z przyjemnością odpowie na wszystkie pytania, nie chce jednak, żeby rozmowa ta przybrała w druku formę wywiadu z jego osobą.

- Jestem tylko narzędziem - powtarzał. - Moim jedynym celem jest odnalezienie tych dziewcząt. Poza tym na niczym mi nie zależy.

- Oprócz tego ma pan przecież swoje życie, o którym moglibyśmy porozmawiać.

- Może później, kiedy już to się skończy.

Jego oddanie sprawie zwracałoby uwagę, gdyby nie to, że identycznie zachowywali się jego brat, Leimbach oraz Ralph i Mike Shillerowie. Znałem tych ludzi od lat. Leimbach przygotowywał moje roczne zeznania

podatkowe. Kiedy potrzebowalem porady lekarskiej, szedłem do doktora Malloya. Ralph Shiller naprawiał instalację elektryczną w moim domu. Kupowałem znaczki pocztowe od Mike'a Shillera, a lekarstwa w aptece Donalda Malloya. Zaliczali się do najsympatyczniejszych ludzi w Aurelius. Ja i moi koledzy uczyliśmy ich dzieci. Teraz nagle stali się obcy, jakby zostali naznaczeni jakimś okropnym piętnem. Opuścili naszą społeczność, by utworzyć własną, ponurą i przerażającą, my zaś modliliśmy się, by i nas do niej nie wciągnięto.

„Jestem tylko narzędziem”, mówił Donald. Czy ktoś mógł mieć mu za złe, że wpycha się ludziom do domów, że zadaje im kłopotliwe pytania? Wszyscy mu współczuliśmy. Jego otyłość, cały ten zbędny ciężar upychany pod marynarkami albo białym fartuchem farmaceuty, zdawał się fizyczną manifestacją jego cierpienia. Można by pomyśleć, że gdyby nie ono, byłby znacznie chudszy.

Doktor Allen Malloy często przebywał w towarzystwie kapitana Percy'ego i nawet bywał w jego domu w Norwich. Byli do siebie bardzo podobni: obaj mieli poczucie obowiązku, obaj starali się być odpowiedzialni i uczciwi, obu wreszcie charakteryzowało raczej stoickie usposobienie. Mieli rumiane, lecz zazwyczaj nieruchome twarze, jakby ich barwa miała stanowić jedyny dowód skrywanej we wnętrzu aktywności, a także dzieci w zbliżonym wieku, nie ulegało więc wątpliwości, że kapitan Percy potrafi sobie wyobrazić rozmiary straty poniesionej przez doktora.

Zdaniem Ryana, zacieśniająca się przyjaźń Percy'ego z doktorem Malloyem tylko zwiększała poczucie winy tego pierwszego w związku z brakiem postępów w śledztwie zmierzającym do wykrycia i ujęcia sprawcy uprowadzeń. Percy najpierw sporządzał długą listę możliwości, następnie omawiał je ze współpracownikami i przystępował do badania.

W tym względzie przypominał Przyjaciół Sharon Malloy. Coraz częściej zwierzał się Ryanowi, którego początkowo ignorował, preferując towarzystwo swoich kolegów.

Mimo to Percy nie był zachwycony poczynaniami Przyjaciół, a szczególnie podejmowanymi przez nich próbami wyręczenia policji. Choć zaprzyjaźniony z doktorem Malloyem, nie miał dobrych układów z Leimbachem i Donaldem. Nie podobały mu się ani zmotoryzowane patrole, ani prowadzone przez Donalda przesłuchania. Nie chodziło tu o jakąkolwiek rywalizację; po prostu Percy uważał, że gdyby nie patrole, sprawca miałby się mniej na baczności i być może zdradziłby się w jakiś sposób, wizyty Donalda zaś jedynie skłaniały ludzi do tego, by tym bardziej trzymali języki za zębami.

Zdaniem kapitana Percy'ego podejrzani byli wszyscy mieszkańcy Aurelius, łącznie z Ryanem, a nawet doktorem Malloyem; nie chciał więc, by zajęte biegały razem z psami myśliwskimi. Doskonale pamiętał, że Ryana odsunięto od dochodzenia w sprawie zabójstwa Janice. Niektórzy sądzą, że każda społeczność ma swoje tajemnice, skryte pod wieloma ochronnymi warstwami; Percy uważał, że jego praca polega na stopniowym zdzieraniu tych warstw i dotarciu do ukrytego w samym środku sekretu. W swoim komputerze miał dane o wszystkich mężczyznach w Aurelius, może z wyjątkiem tych najmłodszych i najstarszych. Kiedy Harry Martini przyznał się do romansu z nauczycielką z Utiki, dla kapitana nie była to żadna nowość. Nie wątpię również, iż wiedział o moim niefortunnym pobycie w Nowym Jorku. Przypuszczalnie znał mroczne tajemnice nas wszystkich albo prawie wszystkich.

To okropne nie móc mieć tajemnic. Wiele lat temu odkopałem w ogrodzie gniazdo małych kretów i obserwowałem, jak bezradnie pelzają w promieniach słońca. My tacy właśnie byliśmy. Życie prywatne pełni funkcję bufora między wrażliwym wnętrzem człowieka a społeczeństwem. Percy zamierzał pozbawić nas tej ochrony. Wyobrażałem sobie,

jak pod osłoną nocy zakrada się chyłkiem do łazienek i sypialni. Nic nie wiedziałem o jego przekonaniach politycznych, podejrzewam jednak, iż w głębi serca był gorącym zwolennikiem totalitaryzmu. Dzięki wolności, jego zdaniem, ludzie mogli się ukrywać, czynił więc wszystko, żeby pozbawić ich tej szansy. Równocześnie - a jakże inaczej - uważał, że uzyskane informacje będą całkowicie bezpieczne w jego rękach i w pamięci jego komputera. Czy nie można tego uznać za ignorancję? Czym bowiem jest całkowite bezpieczeństwo i gdzie je znaleźć?

Dla kapitana Percy'ego istniała nie tylko sprawa zaginionych dziewcząt, rzeczywiście okropna i wstrząsająca, lecz także kwestia walki z kimś, kto próbuje coś przed nim ukryć. Krzywdzące byłoby stwierdzenie, że z biegiem czasu dla kapitana ważniejsza stała się ta druga, niemniej z pewnością przywiązywał do niej duże znaczenie. Sprawcą porwań był ktoś z mieszkańców Aurelius, przypuszczalnie ktoś, z kim Percy często się widywał. Osoba ta kpiła sobie z niego, podrzucając paczki z ubraniami. Kapitan musiał chyba bacznie się pilnować, by nie sprowadzić całego zagadnienia do poziomu osobistej walki z kimś, kto najwyraźniej kpił sobie z niego w żywe oczy. Jego przełożeni z pewnością pytali go, dlaczego śledztwo ciągnie się tak długo. Bez względu na to, jak bardzo był im potrzebny, istniała możliwość, że będą musieli kimś go zastąpić. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zdoła znaleźć sprawcy, jego kariera będzie zagrożona, podchodził więc do tego zadania z bardzo osobistym nastawieniem. On też, w pewnym sensie, był ofiarą. Ktoś bawił się z nim jak kot z myszką.

Ryan powtórzył kapitanowi rozmowę z Sheila Murphy oraz to, co powiedziała o „profesjonaliście” odwiedzającym Janice, on zaś zrewanżował mu się informacją o profesorze Carpenterze, którego alibi na dzień morderstwa właśnie sprawdzano.

- Skąd ten pomysł, żeby ją przepytąć?

Siedzieli w ratuszu, w gabinecie przekazanym w użytkowanie „siłom specjalnym”.

- Do tej pory wydawało mi się, że Aaron nie miał żadnego powodu, żeby ugryźć Sheilę, że zrobił to ze zwykłej złośliwości albo dlatego, że się upił. A jeśli miał jakiś powód? Może niewystarczający, ale jednak. Od razu przyszło mi do głowy, że szukał zabójcy matki i że atak na Sheilę miał jakiś związek z Janice. Matka Aarona uwielbiała spotykać się wciąż z nowymi mężczyznami, a znajomość z Sheila otwierała przed nią mnóstwo możliwości.

- Ale to wcale nie musieli być profesjonalści.

- Jestem pewien, że Janice dość ironicznie traktowała to określenie, ale może któryś z nich właśnie w ten sposób o sobie mówił? Może to był jakiś lekarz, prawnik albo na przykład ciężarowiec? Albo ktoś, kto starał się uchodzić za bardziej męskiego, niż był w istocie?

- To znaczy?

- Nie wiem. Janice często żartowała ze swoich kochanków. Równie dobrze mógł to być ktoś, kto udawał, że interesują go kobiety, chociaż naprawdę wcale tak nie było.

Percy doszedł do wniosku, że Ryan powinien jeszcze raz porozmawiać z panią Porter. Ponownie umówili się na spotkanie w czytelniku naukowej biblioteki. Nie chciała się zgodzić na spotkanie, w końcu jednak ustąpiła, kiedy Ryan zagroził, że w takim razie będzie musiał złożyć jej oficjalną wizytę w aptece.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedziała, siadając po drugiej stronie stołu. - Mam wrażenie, że stara się pan wykorzystać fakt, że panu zaufałam.

- Ta sprawa nie dotyczy Aarona - odparł Ryan, zastanawiając się, czy tak jest w istocie. - Podejrzewam, że znała pani Janice znacznie lepiej, niż pani twierdzi. Przyjaźniłyście się, prawda?

- Czy to konieczne?

- Obawiam się, że tak.

Spojrzała mu w oczy, po czym odwróciła wzrok.

- Odwiedzałam ją kilka razy w jej domu, ale nie wiem, czy mogę powiedzieć, że byłyśmy przyjaciółkami. - Pani Porter miała na szyi jedwabną apaszkę spiętą broszką przedstawiającą kobiecą twarz z profilu. - Wtedy byłam jeszcze mężatką. Janice wiedziała, że moje życie z Rolfem nie jest... satysfakcjonujące.

- Czy w jej domu spotykała się pani z mężczyznami?

Pani Porter skinęła głową i spojrzała na Ryana, tym razem niemal z gniewem.

- Czy Aaron pytał panią o tych mężczyzn albo czy знаła pani tych, którzy spotykali się z jego matką?

- Podałam mu pięć nazwisk. Wydawał się zadowolony.

- Czy znajdowali się wśród nich mężczyźni, których mogłaby pani nazwać „profesjonalistami”?

Pani Porter uniosła brwi.

- Przede wszystkim pan, rzecz jasna. Janice właśnie wtedy z panem zerwała. I Henry Swazey, prawnik. Przez jakiś czas nawet go lubiła.

- Spotykała się z nim po tym, jak rozstała się ze mną?

- Obawiam się, że wcześniej.

Ryan odniósł wrażenie, że słyszy w jej głosie nutę mściwej satysfakcji, więc pośpiesznie zmienił temat.

- Ciekaw jestem, jak układają się pani stosunki z Donaldem Malloyem.

- Zapewniam pana, że są wyłącznie służbowej natury!

- Wie pani może coś o jego życiu prywatnym?

- Nic. To jest, oczywiście znam jego brata i wiem, jak bardzo Donaldem wstrząsnęło zaginięcie bratanicy.

- A wcześniej?

- Nic nie wiem.

- Słyszała może pani, żeby spotykał się z jakimiś kobietami?

- Nigdy o tym nie mówił. W ogóle niewiele mówi i przypuszczam, że ceni mnie między innymi za to, że ja też nie jestem gadatliwa.

- Lubi go pani?
- Nasze profesjonalne stosunki są całkowicie satysfakcjonujące.
- Czy on tak właśnie mówi? „Profesjonalne stosunki”?
- Skądże znowu. To ja mówię tak, jak jest.
- Czy Donald był kiedykolwiek związany z Janice McNeal?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Ale rozmawiał z nią?
- Obsługiwał ją kilka razy. Już o tym mówiłam.
- Kupowała prezerwatywy?
- Być może.
- Czy Donald ma przyjaciół?
- Jest blisko związany z rodziną brata i rodziną Paula Leimbacha.
- Widziała go pani kiedyś u Janice?
- Nigdy. Co pan sugeruje?

Ryan opowiadał później, że nie mógł przestać myśleć o pani Porter i Aaronie. Powtórzę jeszcze raz, że nie była pociągającą kobietą. Choć miała niezłą figurę i elegancko się ubierała, to jednak w jej wyglądzie ani zachowaniu nie było nic prowokującego. Na próżno usiłował wyobrazić ją sobie z Aaronem, tarzających się nago w łóżku. Przez całą rozmowę odczuwał okropne zażenowanie. Bał się, że się zarumieni, i w końcu oczywiście do tego doszło.

Do „profesjonalistów”, którzy znaleźli się w orbicie zainteresowań kapitana Percy'ego, należeli: stomatolog, prawnik Henry Swazey, Paul Leimbach, doktor Malloy, miejscowy architekt oraz Donald. Wszyscy zostali przesłuchani. Percy dowiedział się, że kilka lat temu Donald spotykał się z trzema kobietami, z jedną z nich zaś, zatrudnioną w szpitalu pielęgniarką Joan Thompson, utrzymywał kontakty seksualne. Liczyła sobie czterdzieści lat i była samotna, chociaż twierdziła, że ma stałego partnera.

- Prawie nie pamiętam Donalda Malloya - oświadczyła Ryanowi. - To było tak dawno...

- Czy było w nim coś szczególnego? Coś, na co zwróciła pani uwagę? Rozmawiali w szpitalnej kafejce. Joan Thompson była w białym fartuchu, na głowie miała niewielki czepek.

- Nic. Chyba to właśnie najbardziej rzuciło się w oczy: był potwornie nudny. Kiedy szliśmy gdzieś na kolację, prawie się nie odzywał.

- Jak go pani poznała?

- Przez jego brata. Potem zadzwonił do mnie albo ja do niego... Naprawdę nie pamiętam.

- Jaki był w łóżku?

Ryan czuł się okropnie, zadając takie pytania.

- Też nudny - odparła Joan Thompson i roześmiała się. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Robiliśmy to zresztą najwyżej dwa razy. Nie wydawał się zainteresowany. Zapamiętałam jednak, że był bardzo czysty i miał piękne, zadbane ręce.

Ryan odwiedził także Leimbacha. Rozmawiali w pokoju na zapleczu sklepu, w którym mieściła się siedziba Przyjaciół Sharon Malloy. Telefony dzwoniły prawie bez przerwy, w głównym pomieszczeniu pracowało około dwudziestu osób. Dopiero po jakimś czasie Ryan uświadomił sobie, czego mu brakuje: nikt się nie śmiał.

Leimbach siedział za biurkiem. Mówił z prędkością karabinu maszynowego. Miał na sobie ciemny garnitur, błękitny prążkowany krawat był nienagannie zawiązany.

- Nie rozumiem, dlaczego kogokolwiek miałyby obchodzić moje stosunki z żoną.

- Nie chodzi o pańskie stosunki z żoną, tylko z innymi kobietami.

Leimbach przyznał niechętnie, że dwa albo trzy razy spotkał się z pewną kobietą z Syracuse.

- Ale to było dawno temu - zastrzegł.

Siedział nieruchomo jak posąg, z rękami na biurku.

- Czy uważa się pan za profesjonalistę?

Ryan zdawał sobie sprawę, że niezbyt zręcznie sformułował pytanie.

- Co pan przez to rozumie? Myślał pan, że kopię rowy? Jestem księgowym.

- Proszę mi opowiedzieć o pańskiej przyjaźni z Janice McNeal.

- O jakiej przyjaźni?

- Dobrze pan wie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Ryan pochylił się w kierunku rozmówcy.

- Chyba pan zapomniał, że przez jakiś czas ja również byłem z nią związany.

Nie uznał za stosowne poinformować Leimbacha, że sąsiedzi Janice widywali go wchodzącego do jej domu.

- Powiedziała panu? - Leimbach wciąż nawet nie drgnął.

- Proszę mi po prostu o niej opowiedzieć.

- Była szalona. Kompletnie szalona. Byłem z nią tylko dwa razy. Chciała zrobić mi krzywdę.

- W jaki sposób?

- No, wie pan... Miałem na penisie ślady jej paznokci. Boże, ależ byłem głupi! Naprawdę panu powiedziała?

- Ciekawe, komu jeszcze... - Ryan nie mógł sobie odmówić tej drobnej przyjemności.

Leimbach zacisnął palce na krawędzi blatu.

- Od takich rzeczy nie można się uwolnić, prawda?

Po wyjściu od Leimbacha Ryan pojechał prosto do doktora Malloya. Pielęgniarka wprowadziła go do gabinetu. W pierwszej chwili Ryan zamierzał usiąść na leżance, ostatecznie jednak wybrał krzesło. Po kilkuminutowym oczekiwaniu zdjął buty i zważył się: sześćdziesiąt dziewięć kilogramów. Wciąż jeszcze stał na wadze, kiedy zjawił się doktor Malloy.

- Myślałem, że to wizyta oficjalna - powiedział, spoglądając na stojące przed krzesłem buty.

Ryan zaczerwienił się lekko.

- To tylko tak, dla zabicia czasu... - Włożył buty. - Muszę panu zadać osobiste pytanie: czy łączyło coś pana z Janice McNeal?

- Oczywiście, że nie. - Doktor Malloy miał na sobie trzyczęściowy granatowy garnitur. Z kieszeni marynarki wystawały lekarskie słuchawki. - Dzwoniła kilka razy właściwie bez powodu, a raz przyszła na wizytę, symulując bóle żołądka.

- Skąd pan wie, że symulowała?

- Badanie niczego nie wykazało. Wydaje mi się, że trafiła na niewłaściwego człowieka: nie mogłem i nie chciałem dać jej tego, na czym jej zależało.

- Czy łączyły pana jakieś związki z innymi kobietami?

- To nie pański interes.

Ryanowi zaświtała myśl, że lepiej było zaprosić doktora na posterunek, niż rozmawiać z nim na jego terenie.

- A Paul Leimbach i pański brat... Czy łączyło ich coś z Janice?

- Proszę ich o to spytać.

Malloy stał z ręką na klawecie.

- Czy Janice powiedziała wprost, że chce przeżyć z panem przygodę?

- Dawała mi to do zrozumienia spojrzeniami i aluzjami, które naturalnie zignorowałem.

- Kiedy to było?

- Tuż przed jej śmiercią. Tydzień, może trochę więcej.

- Czy kiedykolwiek myśli pan o sobie jako o profesjonalście?

Doktor Malloy długo przyglądał mu się w milczeniu, po czym odparł:

- Zawsze myślę o sobie jako o lekarzu.

W chwili, kiedy Ryan ponownie zajechał przed kwaterę główną Przyjaciół, Donald Malloy właśnie wrócił z patrolu. Stali na chodniku przed

wejściem. Słońce wisiało nisko na niebie. Donald chyba się spieszył, ponieważ nie ukrywał zniecierpliwienia, odpowiadając na pytania Ryana.

- Kto taki?

Ryan spojrział prosto w błękitne, nieruchome oczy farmaceuty.

- Naprawdę pan nie pamięta?

- Chodzi panu o matkę Aarona McNeala? O tę, która została zamordowana?

- Spotykał się pan z nią?

- To chyba oczywiste, że nie!

- Dlaczego?

- Ze względu na jej reputację, ma się rozumieć. Jakby to wyglądało, gdyby widziano nas razem? Poza tym, moim zdaniem wcale nie była atrakcyjna.

- Jeszcze przed chwilą pan jej nie pamiętał.

Ryan stanął tak, by nie widzieć fotografii Sharon i Meg.

- Ale właśnie sobie przypomniałem. - Donald mierzył Ryana takim spojrzeniem, jakby uważał go za idiotę. - Chyba zdaje pan sobie sprawę, że mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie?

- Czy Janice przychodziła do pańskiej apteki?

- Owszem.

- Co kupowała?

- Nie pamiętam.

- Może prezerwatywy?

- Chyba nie oczekuje pan, że będę rozповідаł na prawo i lewo, co kupują moi klienci? - zapytał z oburzeniem Donald Malloy. - Wątpię, czy nawet sąd zmusiłby mnie do tego.

Czwartym „profesjonalistą”, z którym tego dnia rozmawiał Ryan, był Harry Martini. Ryan zjawił się w Knox Consolidated na krótko przed końcem zajęć. Martini zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek coś go łączyło z Janice. Wyznał, iż wolał nie spotykać się z kobietami mieszkającymi w Aurelius.

- Przyznaję, kusilo mnie, ale nie chciałem tego robić.

Biorąc pod uwagę to, co powiedział wcześniej o swoich innych związkach, Ryan nie widział powodu, aby mu nie wierzyć. Później przekazał wszystkie nowe informacje Percy'emu.

Wychodząc z gabinetu Martiniego, zobaczył Sadie, która właśnie wyjmowała palto z szafki. zaproponował, że odwiezie ją do domu, a ona się zgodziła. Włożyła czerwone palto i szarą czapkę z długim pomponem.

- Myślałam, że pojedziemy radiowozem - powiedziała, wsiadając do escorta.

- Może następnym razem.

Po drodze opowiadała o szkole i znajomych.

- Jak ci się układa z Paulą?

- Za bardzo się stara.

- Może jesteś zazdrosna?

- I co z tego? Mogła sobie znaleźć innego mężczyznę.

- Oni się kochają.

- A co z moją mamą?

- Ona nie... Jej już nie ma.

Ryan chciał powiedzieć „ona nie żyje”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

- Jedyny pożytek z tego, że ona jest w domu, to że Aaron może przychodzić, kiedy zechce, a tata się o to nie wścieka.

- Długo u was przesiaduje?

- Nie przesiaduje, tylko nas odwiedza.

Ryan zostawił samochód przed domem i wszedł do środka, żeby przywitać się z Paulą. Urzędowała w kuchni, przepasana fartuchem. Z powodu włączonej zmywarki w kuchni było ciepło i wilgotno, musiała więc co jakiś czas wycierać zaparowane okulary. Upiękla ciasteczka. Powitała Ryana uśmiechem. Sadie od razu znikła w swoim pokoju.

- Trudno jest być miłym - powiedziała Paula. - Po raz ostatni piekłam ciasteczka, jak Aaron był jeszcze mały.

- Kiedy zdążyłaś to zrobić? Nie byłaś dzisiaj w pracy?

- Zaczynam o ósmej, a wychodzę o drugiej. Nie jem lunchu, więc kiedy wracam do domu, jestem głodna jak wilk.

- Szczęśliwa młoda żona.

Chciał jeszcze dodać coś na temat Sadie, ale zrezygnował.

- Tak, jestem szczęśliwa - odparła Paula. - Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo kocham Franklina.

Kiedy w piątek o siódmej trzydzieści rano Cookie Evans zjawiała się w swoim salonie piękności, zastała drzwi szeroko otwarte. Pomyślała, że widocznie Jaime przyszedł wcześniej, choć zwykle nie pojawiał się przed ósmą. Wszedłszy do środka, ujrzała potworny bajzel. Takie właśnie określenie nasunęło jej się jako pierwsze: potworny bajzel. Drugim było pobojowisko. Poprzewracane krzesła i fotele, stłuczone lustro, roztrzaskany stolik, porozrzucane czasopisma. Były na nich plamy krwi. Zaraz potem takie same plamy zauważyła na fragmentach lustra oraz na tapecie w kąpane, suszone, strzyżone i czesane pudle. Gablota z szamponami i odżywkami została przewrócona, w powietrzu unosiła się ostra woń zmieszanych pachnidel. Cookie ogarnęła to wszystko jednym spojrzeniem, po czym zaczęła przyglądać się uważnie. „Pomyślałam, że trafiłam pod niewłaściwy adres”, wyznała później. Na środku podłogi leżał czarny włoski mokasyn z klamerką. Takie mokasyny nosił Jaime.

- Jaime? - zawołała Cookie.

Nikt nie odpowiedział.

Oczywiście powinna była wycofać się, zamknąć drzwi i wezwać policję, lecz oburzenie i ciekawość kazały jej wejść dalej. Choć taka drobniotka, Cookie nie znała strachu, a poza tym na ósmą była umówiona Louise Talbot, trzeba więc było zawiadomić ją, że raczej nie ma po co przychodzić. Z włączonego radia dobiegała lekka muzyka rockowa nadawana przez stację z Utiki, dźwięk jednak co jakiś czas zanikał i zastępowały go szумы i trzaski.

- Jaime!

Cookie ruszyła w głąb salonu. Drzwi wejściowe zostawiła otwarte. Promienie słońca wlewały się do środka, lśniąć w kałuży rozlanego szamponu.

Za głównym pomieszczeniem znajdowały się magazyn oraz niewielki gabinet przeznaczony dla klientów, którzy życzyli sobie większej prywatności. Była tam również łazienka. Cookie najpierw zajrzała do magazynu: wszystko w porządku. Całkowicie zdewastowany został natomiast gabinet: przewracane fotele, potłuczone butelki, zniszczony komputer. Cookie zobaczyła swoją zszokowaną twarz spoglądającą z fragmentu rozbitego lustra. Otworzyła drzwi łazienki. Nie było tam okna, musiała więc włączyć światło. Jak tylko to zrobiła, ujrzała Jaimego.

Stał pochylony nad umywalką, z głową wepchniętą pod kran. Miał na sobie tylko czarną bawełnianą koszulkę i białe skarpetki. Z jego odbytu wystawał mniej więcej metr żółtego kija od szczotki. Sama szczotka leżała włosiem do góry między jego rozstawionymi stopami. Na kiju widać było kręty ślad po krwi, która spływała tamtędy, a następnie kapiała na podłogę, gdzie utworzyła ciemną kałużę. Jaime miał ręce związane z tyłu przedłużaczem i głowę zwróconą twarzą do drzwi. Został zakneblowany zakrwawionym bandażem, oczy spoglądały w górę. Spod podartego T-shirta wyłaniały się liczne rany i zadrapania. Dwie zaschnięte strużki krwi łączyły nozdrza z gęstymi czarnymi węsami.

Cookie usłyszała głos, a raczej dźwięk, który wydobył się z jej gardła. Najbardziej przypominał cichy skowyt. Z aparatu telefonicznego w salonie zostały tylko skorupy, wybiegła więc na ulicę, żeby wezwać policję z telefonu w mieszczącej się naprzeciwko agencji ubezpieczeniowej. Traf chciał, że akurat nadjeżdżał samochód patrolowy Przyjaciół z pomarańczowym trójkątem na drzwiach.

- Hej! - krzyknęła Cookie, wymachując rękami.

Kremowa mazda zatrzymała się przy krawężniku, kierowca opuścił szybę. Był nim Paul Leimbach. Oprócz niego w samochodzie siedzieli Russ Fusco i Bud Shiller, kuzyn Ralph'a i Mike'a, zatrudniony w Aurelius Oil jako kierowca ciężarówki. Leimbach uśmiechnął się do Cookie.

- Hej! - odpowiedział.

- Ktoś zamordował Jaimego! Musicie zawiadomić policję!

Leimbach otworzył drzwi i pospiesznie wysiadł. Pozostali również wyskoczyli z samochodu.

- Gdzie on jest?

- Nie żyje! W łazience. Ktoś...

Głos uwiązał jej w gardle. Nie mogła się zdobyć na to, by powiedzieć o kiju od szczotki.

- Wezwij ich przez radio - polecił Leimbach Shillerowi, a następnie razem z Russem Fusco pobiegł w kierunku salonu.

- Czekajcie! - zawołała za nimi Cookie. - Chyba nie powinniście tam wchodzić!

Ale oni już byli w środku.

Cookie pobiegła za nimi. Rozlany szampon zamienił podłogę w ślizgawkę. Kiedy dotarła do łazienki, Fusco właśnie wymiotował, Leimbach zaś wpatrywał się w Jaimego wytrzeszczonymi oczami.

- Policja zaraz tu będzie! - zawołał Bud Shiller z salonu, po czym zajrzał do łazienki. - Jezu Chryste!

Kilka minut później zjawił się kapitan Percy w towarzystwie dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Nadszedły kolejne radiowozy i Chuck Hawley zaczął odgradzać teren żółtą taśmą. Ryan Tavich był akurat w Potterville, gdzie zeznawał przed sądem w ciągnącej się od wielu miesięcy sprawie o wielokrotne włamanie.

- Nie mieliście prawa tu wchodzić! - wydzierał się Percy na Leimbacha. - Nie jesteście policjantami! Jesteście ignorantami! Cholera wie, ile śladów zatarliście!

- Chcieliśmy tylko pomóc...
- Rzygając na dowody?!

Stali na zewnątrz, dookoła zbierało się coraz więcej gapiów. W związku ze swoją działalnością w szeregach Przyjaciół Paul Leimbach cieszył się tak wielkim szacunkiem, że ludzie byli zaszokowani tonem, jakim zwracał się do niego Percy. Schmidt odprowadził kapitana na bok. Przyjeżdżało coraz więcej policyjnych samochodów. Był to jeden z tych jeśnnych dni, podczas których to świeci piękne słońce, to znów niebo zasnuwają gęste chmury. Spadło kilka kropli deszczu.

Schmidt zostawił Percy'ego i wrócił do Paula Leimbacha.

- Doprawdy powinniście być bardziej ostrożni.

Leimbach wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego policja ma do nich pretensje. Russowi Fusco było głupio, że się porzygał; miał nadzieję, że ludzie nie będą o tym mówić. Wreszcie zjawiła się ekipa z laboratorium. Godzinę później z salonu wyniesiono na noszach ciało Jaimego. Kij od szczotki pozostał tam, gdzie był, żeby mógł się nim zająć koroner. Ponieważ kij również przykryto, można było odnieść wrażenie, że Jaime po śmierci stał się nienaturalnie szeroki.

Porucznik Peter Marcos i jeszcze dwaj funkcjonariusze policji stanowej pojechali do mieszkania Jaimego w pobliżu ratusza. Na tym samym osiedlu, tyle że w innym budynku, mieszkał Aaron. Mieszkanie Jaimego znajdowało się na parterze. Marcos sprowadził gospodarza domu, żeby otworzył drzwi. Wewnątrz zastali rozrzuconą na podłodze kolekcję płyt kompaktowych oraz przewróconą gipsową replikę *Dawida* Michała Anioła z oderwaną głową. Jeden z policjantów nastąpił na nią niechcący i rozgniół. Marcos zajrzał do sypialni i kuchni, lecz tam wszystko było w porządku.

Rozesłał ludzi po sąsiadach. Mieszkająca piętro wyżej Clara Schloss, która pracowała na drugą zmianę w wytwórni lin, powiedziała, że w mieszkaniu Jaimego tak głośno grała muzyka- określiła ją słowem

„zagraniczna” - że około drugiej w nocy musiały zastukać szczotką w podłogę. Zaraz potem zrobiło się ciszej. Muzykę słyszeli również pozostali sąsiedzi, a nawet osoby w innych budynkach. Była to salsa, w kółko ta sama płyta. Istotnie, w odtwarzaczu znajdowała się płyta Juana Luisa Guerry. Nikt nie zwrócił uwagi na żadne krzyki ani hałasy; przypuszczalnie zagłuszyły je właśnie dźwięki muzyki.

Wszyscy mówili o braciach Levine oraz ich nieskrywanej niechęci do Jaimego. O dziesiątej kapitan Percy wysłał po nich dwa radiowozy na sygnale. Jesse i Shannon mieszkali na pierwszym piętrze, okna wychodziły na ulicę, mogli zatem z daleka zobaczyć nadjeżdżające samochody. Sześciu policjantów dowodzonych przez Marcosa wbiegło po schodach i załomotało do drzwi. Nikt nie odpowiadał, wyważyli je więc i wdarli się do środka. Na stole w kuchni stały talerze z platkami kukurydzianymi i szklanki z mlekiem. Tylne drzwi były otwarte. Funkcjonariusze zbiegli schodami przeciwpożarowymi w samą porę, by zobaczyć, jak bracia przełazą przez ogrodzenie.

Jeszcze przez kilka tygodni po tych wydarzeniach ludzie mieszkający w okolicy opowiadali, jak to policja stanowa przeszukiwała ich podwórka i ogródki. Ponieważ Przyjaciele Sharon Malloy prowadzili stały nasłuch nadajników policyjnych, w krótkim czasie do pościgu przyłączyło się około dwudziestu ochotników. Część funkcjonariuszy była po cywilnemu, większość Przyjaciół wiedziała zaś tylko tyle, że szukają dwóch młodych mężczyzn, dochodziło więc do wielu nieporozumień. Psy ujadają, padł nawet strzał, choć policja twierdziła później, że nie miała z tym nic wspólnego. Russ Fusco i Bud Shiller powalili i obezwładnili młodego policjanta w cywilnym ubraniu. Kilka osób, widząc biegających w tę i z powrotem mężczyzn, zadzwoniło na policję.

Jessego znaleziono w końcu w altance, którą zbudował sobie na drzewie Bobby Hicks, syn nauczycielki angielskiego ze szkoły średniej. Jeden z Przyjaciół zauważył koszykarski but wystający przez szczelinę

w ścianie. Rzecz jasna nie wiedział, że but należy do Jessego. Ów Przyjaciel - był nim Don Evans, pracujący w Aurelius Lumber - wspiął się po drabinie. Kiedy był na samej górze, ukrywająca się tam osoba kopnęła go tak, że spadłby, gdyby nie chwycił się gałęzi. Wisiał pięć metrów nad ziemią na starym klonie. Policjanci, którzy akurat wtedy wbiegli na podwórko, zobaczyli go i pomyśleli, że to Jesse albo Shannon. Don był mniej więcej w ich wieku. Kazali mu natychmiast zeskoczyć. Odmówił, a następnie poinformował ich, że jeden z poszukiwanych ukrywa się w altance. Policjanci nie uwierzyli. Po kilku próbach Donowi udało się zarzucić nogi na gałąź, zwiślał więc z niej jak leniwiec. Wrzeszczał na policjantów, oni zaś wrzeszczeli na niego. Na ich głowy posypały się klucze i drobniaki z jego kieszeni. Wkrótce zjawiono się kilku Przyjaciół, potwierdzili tożsamość Dona, po czym pobiegli po drugą drabinę.

Jesse siedział na górze jak mysz pod miotłą, nie reagując na wezwania policji. Czterech funkcjonariuszy wspięło się po szczeblach przybitych do pnia. Kiedy ten, który był najwyżej, dotarł do altanki, Jesse kopnął go w głowę. Policjant ześlizgnął się stopień niżej, mało nie strącając z drabinki kolegi, który szedł za nim. Nastąpił pat: policjanci krzyczeli do Jessego, ten zaś nadal nie odpowiadał. Na podwórko przybywali kolejni funkcjonariusze, Przyjaciele oraz mieszkańcy okolicznych domów. Zjawił się także Franklin. Między ludźmi biegał jakiś podekscytowany czarny pies.

Przyjechał Marcos, objął dowodzenie i polecił swoim ludziom zdobyć altankę szturmem. Ośmiu z nich wspięło się po drabinach. Jesse poczęstował kopniakami dwóch, ale spadł tylko jeden. Trzeci policjant zsunął się po pniu strącony omyłkowo przez kolegę. Innym udało się wreszcie wdrzeć do altanki, która nie wytrzymała tak dużego obciążenia i rozsypała się na kawałki. Franklin, który miał ze sobą aparat, zrobił kilka zdjęć funkcjonariuszy policji stanowej czepiających się rozpaczliwie

konarów starego klonu, wyperswadowano mu jednak ich publikację. Szczątki altanki i połamane gałęzie posypały się na ziemię.

Jesse wspiał się na jedną z wyższych gałęzi. Przyjechała straż pożarna z kolejnymi drabinami. Najpierw wykorzystano je do ratowania z opresji policjantów trzymających się kurczowo konarów. Jesse przeniósł się na sam wierzchołek i stamtąd obrzucał prześladowców obelgami. „Kapitalistyczne psy gończe!”, brzmiała jedna z nich. Któremuś funkcjonariuszowi udało się zapiąć kajdanki na jego kostce. Dano mu do wyboru: albo zejdzie sam, albo zostanie ściągnięty siłą. Wybrał to pierwsze rozwiązanie; następnie został zapakowany do radiowozu i odwieziony do ratusza.

Kiedy o pierwszej Ryan wrócił z Potterville, Jesse siedział już w areszcie, choć wciąż odmawiał składania zeznań. Shannona jeszcze nie odnaleziono. Ze wstępnego raportu koronera wynikało, że Jaime Rose został uduszony i zadźgany. Kij od szczotki wepchnięto mu w odbytnicę już po śmierci. Policja przesłuchała dziesiątki osób, lecz nikt nie widział, jak Jaime wychodził - lub był wyprowadzany - ze swego mieszkania ani jak wchodził do Make Waves. Minionego wieczoru skończył pracę o szóstej, potem zaś zjadł samotnie kolację w Aurelius Grill. Tyle tylko udało się ustalić.

Ryan potrzebował prawie godziny, żeby uzyskać pełny obraz sytuacji. Porozmawiał z Cookie i Franklinem, popatrzył na Jessego siedzącego w celi w ponurym milczeniu, pomyślał o tym, jak Jesse (a może to był Shannon?) wylał Jaimemu na spodnie talerz zupy pomidorowej.

Przez pozostałą część popołudnia Ryan pomagał organizować oblawę na Shannona. Ustawiono blokady na szosach, mieszkanie braci dokładnie przetrząsnięto w poszukiwaniu śladów, które pozwoliłyby skojarzyć ich z zabójstwem Jaimego lub zaginięciem dziewcząt. O czwartej zapadła już ciemność. Z Utiki ponownie przywieziono psy policyjne, które niestety nie na wiele się przydały. Przyjaciele Sharon Malloy byli zachwyce- ni, że wreszcie mogą się zająć czymś konstruktywnym. Trudno mi

powiedzieć, w jakim stopniu ludzie obarczali Shannona odpowiedzialnością za uprowadzenia, nie ulega jednak dla mnie żadnej wątpliwości, iż zdecydowana większość z nich była zdania, że to właśnie bracia zamordowali Jaimego Rose, a przynajmniej szczerze pragnęła, by tak się okazało. Ale nikt nie miał na to żadnych dowodów, jedyną poszlakę stanowił zaś powszechnie znany fakt, że obaj od wielu tygodni prześladowali Jaimego na każdym kroku.

O siódmej wieczorem Ryan zatrzymał samochód na podjeździe przed swoim domem. W oknach było ciemno. Od rana nie miał nic w ustach, był więc potwornie głodny. Otworzył drzwi, włączył światło w hallu, wszedł do kuchni i znieruchomiał. Na blacie leżał bochenek chleba, obok stał otwarty słoik z majonezem, na talerzyku leżały pokrojona szynka i ser. Zaraz potem zobaczył stłuczoną szybę w tylnych drzwiach.

Usłyszał za plecami jakiś szelest i odwrócił się gwałtownie.

- Przepraszam za tę szybę. Zapłacę. I za jedzenie też. Byłem cholernie głodny.

To był Shannon. Siedział na kanapie w pograżonym w półmroku salonie. Wyglądało na to, że spał tam i dopiero przed chwilą się obudził. Na jego kolanach leżał kot Ryana i głośno mruczał.

- Co tu robisz? - zapytał Ryan, myśląc o tym, jak rzadko Wódz mruczał, kiedy to on go drapał.

- Chcę się oddać w ręce policji.

- W związku z czym?

- Cholera wie. Chyba w związku z tym, za co nas ścigali.

Ryan zapalił lampę w salonie. Shannon miał na sobie dżinsy i szarą bluzę. Zarówno jego ubranie, jak i kanapa były zabłocone. Na podłodze stały brudne buty.

- Ktoś zamordował Jaimego Rose - powiedział Ryan.

- Chyba jaja pan sobie robi?

Kot zeskoczył na podłogę.

- To wasza robota?

- Ale skąd!
- Więc dlaczego uciekaliście?
- Pan też by uciekał, jakby rzuciło się na pana milion gliniarzy. Mie-
liśmy stać i czekać? Jak go zabili?

Ryan nie uznał za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

- Obawiam się, że będę musiał zabrać cię na posterunek.

W chwili, kiedy Ryan wszedł z Shannonem do ratusza, kapitan Percy właśnie ustalał plan dalszych poszukiwań. Ryan zdawał sobie sprawę, że powinien był zawiadomić go telefonicznie, bał się jednak, że w jego do-
mu natychmiast zjawiliby się kilku uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy. W komisariacie było kilkunastu ludzi, wśród nich także mój kuzyn. Wszyscy wytrzeszczyli oczy na Shannona, jakby miał dwie głowy. Ryan zamknął go w celi po sąsiedzku z Jessem. Bracia popatrzyli na siebie, lecz nie odezwali się ani słowem.

- Te dzieciaki nikogo nie zamordowały - powiedział Ryan do kapita-
na.

- Nie ty o tym decydujesz - odparł Percy.

Jeszcze tego samego wieczoru Ryan wyruszył na poszukiwania Barry'ego. Nie było go w domu, podobnie jak jego matki, która opiekowała się Sadie. Ryan pojechał do college'u, zajrzał do biblioteki, wreszcie po-
stanowił sprawdzić u Aarona.

Było wpół do dziesiątej. Kiedy Aaron otworzył drzwi, Ryan zobaczył w głębi pokoju siedzącego na kanapie Barry'ego. W jednej ręce miał kanapkę, w drugiej szklanekę mleka. Policzki świeciły mu się od masła orzechowego. Był przerażony.

- Ktoś mnie szuka - oświadczył. - Ktoś do mnie dzwoni, a kiedy podnoszę słuchawkę, milczy.

Ani Barry, ani Aaron nic nie wiedzieli o Jaimem. Kiedy Ryan opo-
wiedział im, co się stało, Barry rzucił się na kanapę. Przez jakiś czas leżał bez ruchu, po czym jego ciałem wstrząsnęło łkanie.

- Kto to zrobił? - zapytał Aaron, przyglądając się nieufnie Ryanowi.
- Jeszcze nie wiemy.

Ryan od dawna domyślał się, że Aaron podejrzewa go o zamordowanie Janice, zaskoczyło go jednak, że zdaniem Aarona mógł mieć również coś wspólnego ze śmiercią Jaimego. Chętnie zapewniłby go, że kochał Janice i za nic nie zrobiłby jej krzywdy, lecz się powstrzymał, ponieważ jego uwagę zaprzętnęła myśl o ewentualnym związku śmierci Jaimego z zabójstwem Janice.

- A może ty wiesz, kto to mógł zrobić? - zapytał Barry'ego.
- Dlaczego akurat ja? - odparł chłopak z twarzą wciśniętą w poduszki.
- Ponieważ być może ten sam człowiek poluje teraz na ciebie.

Przez cały tydzień towarzyszyło nam przekonanie, że sprawca uprowadzeń zaczyna działać z coraz większą brawurą, choć nikt nie wiedział, czy wynikało to z jego potrzeby zapewnienia sobie bezpieczeństwa, czy wręcz przeciwnie, chciał przyspieszyć chwilę, kiedy wreszcie zostanie schwytany. Oczywiście pamiętałem o niedzielnym wieczorze, kiedy Sadie wydawało się, że ktoś próbuje włamać się do ich domu. Chętnie przypisałbym to nadmiernie rozbudzonej wyobraźni dziewczynki, ponieważ podświadomie nie chciałem przyznać nawet sam przed sobą, że to była prawda. Powtarzałem sobie, że to niemożliwe, że na pewno jej się przywidziało, ale wkrótce potem historia się powtórzyła, tyle że tym razem wyglądało to znacznie groźniej.

Wyobraźcie sobie, że jesteście w nocy sami w domu i nagle słyszycie skrzypnięcie schodów lub odgłos otwieranego okna. Wasz umysł natychmiast podsuwa gotowe interpretacje: to albo coś zupełnie niewinnego, na przykład wiatr lub osiadanie domu, albo coś niebezpiecznego. Czekać, aż dźwięk się powtórzy. Termostat z cichym kliknięciem włącza ogrzewanie, w kuchni pomrukuje lodówka, tyka zegar. Umysł wciąż analizuje prawdopodobne wytłumaczenia. Jeśli dręczy was poczucie winy, jeśli lęk towarzyszy wam na co dzień, zaczynacie bać się najgorszego. Jeśli jesteście zadowoleni i życie w miejscu, które uważacie za bezpieczne (czym jednak jest bezpieczeństwo?), po prostu wracacie do przerwanej lektury.

A potem słyszycie to ponownie.

W sobotni wieczór Franklin i Paula wybrali się na kolację do restauracji, by uczcić swoje już trzydniowe małżeństwo. Mieli do nich dołączyć Ryan i Cookie Evans, okazało się jednak, że Ryan musi zostać dłużej w pracy, a Cookie także nie przyszła. Śmierć Jaimego tak nią wstrząsnęła, że zamknęła salon do końca listopada. Gdyby nie to, że policja poprosiła ją, by została, z pewnością wyjechałaby z miasta.

Franklin i Paula pojechali do Colgate Inn w Hamilton. Franklin obiecał, że wrócą około wpół do dziesiątej. Przyszła pani Sanders i zrobiła dla Sadie kolację. Ustalono, że gdyby musiała wyjść trochę wcześniej, Sadie przyjdzie do mnie.

Jak zwykle pani Sanders przez cały wieczór oglądała telewizję. Ze względu na jej alergię, Cień siedział w piwnicy. Sadie wzięła prysznic, a następnie ułożyła się z książką w swoim pokoju naprzeciwko salonu. Od czasu do czasu docierał do niej śmiech pani Sanders, bez trudu przebijający się przez wrzawę z telewizora. Punktualnie o wpół do dziesiątej zadzwonił telefon. Sadie przypuszczała, że to ojciec, który chce ją uprzedzić, że się trochę spóźni, ale potem usłyszała głos pani Sanders:

- Halo, kto mówi?... Jak to?

Wyszła do hallu w momencie, gdy pani Sanders odkładała słuchawkę.

- Coś się stało Barry'emu! - powiedziała kobieta. - Muszę natychmiast wracać do domu!

Sadie była już w piżamie.

- Mam się ubrać i pójść z panią?

Pani Sanders spojrzała na zegarek.

- Twój ojciec powinien lada chwila wrócić. Możesz poczekać u tego człowieka.

Miała na myśli mnie. Sięgnęła po palto.

- Tylko szybko!

Sadie narzuciła kurtkę na piżamę i wyszła z panią Sanders na ganek.

- Biegnij - powiedziała matka Barry'ego. - Poczekam w samochodzie, aż tam wejdiesz.

Jednak pani Sanders ruszyła w chwili, kiedy Sadie była dopiero w połowie drogi do mojego domu. Nagle dziewczynka usłyszała ujadanie swojego psa. Cień został w piwnicy. Pani Sanders wyjechała z podjazdu i zatrzymała samochód przy krawężniku. Sadie dała jej znak ręką, że może jechać, i pani Sanders odjechała, Sadie natomiast, zamiast iść dalej w kierunku mojego domu, zawróciła. Cień bardzo nie lubił zostawać sam, ona zaś wiedziała, że nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli zjawi się u mnie z psem.

Wbiegła z powrotem po schodkach. Całe szczęście, że poruszała się prawie bezszelestnie. Pies wciąż szczekał i Sadie po raz pierwszy zaświatała myśl, że Cień czegoś się boi. Przemknęła przez hall. Kiedy stanęła przed drzwiami do piwnicy, pies umilkł, a ona usłyszała, jak ktoś szarpie za klamkę drzwi kuchennych. W pierwszej chwili pomyślała, że to wiatr, zaraz potem jednak dostrzegła sylwetkę mężczyzny za matową szybą. Nie mógł to być Aaron, był za duży. Cień ponownie zaczął ujadać i mężczyzna znieruchomiał na chwilę, nasłuchując. Stał oparty rękami o szybę, palce miał rozczapierzone, głowa wyglądała jak kłęb ciemnej mgły.

Sadie bała się wycofać do hallu, ponieważ światło w salonie było włączone i mężczyzna mógłby zauważyć przez szybę jej cień albo sylwetkę. W swoim pokoju miała telefon, mogła więc wezwać policję. Najpierw jednak otworzyła drzwi od piwnicy. Cień wyskoczył jak z procy, a następnie, wciąż wściekle ujadając, popędził do kuchni. Jego pazury ślizgały się i skrobały po terakocie.

Sadie przemknęła do swojego pokoju, rzuciła się do telefonu, lecz w słuchawce panowała głucha cisza. Pies szczekał i rzucał się do tylnych drzwi. Dziewczynka otworzyła okno, z którego widać było mój dom. Całe szczęście, że Franklin był tak bardzo zajęty, że mimo częstych zapowiedzi, nie zdołał zamontować okiennic. Sadie usiadła na parapecie, przełożyła nogi na zewnątrz i zeskoczyła na ziemię. Po chwili na parapecie pojawił się również Cień. Dziewczynka zdjęła go, sekundę później zaś z

kuchni dobiegł brzęk tłuczonego szkła i rozbita szyba posypała się na posadzkę.

Sadie postawiła psa na ziemi, lecz ten - zamiast przy niej zostać - donośnie ujadając popędził w kierunku tylnych drzwi. Dziewczynka była zbyt przerażona, żeby go zawołać, zwracając w ten sposób uwagę na siebie. Odwróciła się i co sił w nogach pognąła w kierunku mojego domu.

Kiedy minęła dziewięta trzydzieści, a Sadie się nie pojawiła, uznałem, że widocznie Franklin wrócił już do domu i zacząłem się zastanawiać, czy nie położyć się do łóżka, by tam kontynuować lekturę. Prawdę mówiąc, w ogóle zapomniałem i o Franklinie, i o Sadie, tak bardzo dałem się wciągnąć nastrojowi powieści Daphne du Maurier.

Jak tylko jednak usłyszałem kroki Sadie na ganku, podniosłem się z fotela. Światło na zewnątrz było włączone, od razu rozpoznałem ją więc przez szybę. Ona też z pewnością mnie zauważyła, a mimo to nie przestawała dobijać się do drzwi. Miała na sobie zbyt dużą kurtkę i co chwila oglądała się przez ramię. Jeszcze przed otwarciem drzwi wyczułem jej przerażenie. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

- On wrócił! - wykrzyknęła. - Widziałam go!

Rozejrzałem się dookoła. Ani żywego ducha.

- Kogo?

- Nie wiem! - odparła niemal z gniewem. - Tego, kto próbował włamać się do naszego domu!

Zaprowadziłem ją do pokoju i poprosiłem, żeby mi wszystko spokojnie opowiedziała. Była roztrzęsiona, nie chciała nawet usiąść. Czerwona kurtka Franklina sięgała jej prawie do pięt, a gdyby chciała, mogłaby owinać się nią dwa razy. Na stopach miała stare, wytarte kożuszkowe kapcie.

Przez miniony tydzień często zastanawiałem się nad pójściem w ślady wielu sąsiadów i kupieniem sobie broni, pomysł ten jednakże trochę mnie przerażał, w związku z czym nie zrealizowałem go. Strzelałem tylko raz w życiu, podczas festynu, a i to nie z prawdziwej strzelby. Zresztą

chybiłem. Miałem jednak latarkę, wyszedłem więc na ganek i poświeciłem dookoła. Panowała cisza, pies przestał ujadać. Zamierzałem wrócić do domu i zatelefonować na policję, gdy nagle zauważyłem samochód z pomarańczowym trójkątem na drzwiach jadący powoli ulicą. Zamachałem latarką i samochód, kremowa mazda, zatrzymał się przy krawężniku. Rozpoznałem kierowcę jeszcze zanim zdążył wysiąść. Był to Paul Leimbach i był sam.

Początkowo nie zastanowiło mnie to. Ucieszyłem się na jego widok, zszedłem szybko po schodkach i pospieszyłem w jego kierunku.

- O co chodzi? - zapytał.

Miał na sobie grube palto, szyję owinał szalikiem.

Wyjaśniłem, że Sadie zaalarmowała mnie, iż ktoś próbuje włamać się do jej domu przez tylne drzwi. Leimbach zaraz tam pobiegł, a ja za nim - głównie dlatego, jak mi się wydaje, że nie chciałem zostać sam. Po chwili dołączyła do nas Sadie. Kiedy snop światła z mojej latarki padł na Leimbacha, dostrzegłem, że w prawej ręce trzyma pistolet. Ten widok powinien podnieść mnie na duchu, tak się jednak stało. Poły palta trzepotały mu wokół kolan. Sadie zagwizdała na psa, lecz ten nie zareagował.

Weszliśmy do domu. W środku panowała martwa cisza. Leimbach włączył światło w kolejnych pomieszczeniach. Nasze kroki rozbrzmiewały nienaturalnie głośno. Szyba w drzwiach kuchennych była rozbita. Leimbach starał się omijać odłamki szkła, ale coś zachrząściło pod jego butami. Otworzył drzwi - zewnętrzne skrzydło było uchylone. Ktoś przeciął cienkie listewki i podniósł haczyk.

- Zawiadomię policję - powiedział Leimbach. Był podekscytowany i zarazem bardzo rzeczowy. Przyciskał pistolet do uda. W palcie sprawiał wrażenie potężniejszego niż był naprawdę; przez głowę przemknęła mi myśl o sylwetce, którą Sadie widziała za szybą. Podniósł słuchawkę leżącego na podłodze aparatu. - Nie działa.

Poszedł do samochodu, gdzie zostawił telefon komórkowy. Wiatr przybrał na sile, robiło się coraz zimniej. Sadie wciąż gwizdała na psa.

- Gdzie on się podział? - pytała.

Zadzwońszy na policję, Leimbach skierował się ku północnemu narożnikowi domu, tam gdzie docierały przewody telefoniczne, poprowadzone następnie wzdłuż listwy podłogowej w hallu. Poszliśmy za nim, choć przyznam, że jego niespodziewane zjawienie się akurat tam i wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny, nie dawało mi spokoju. Z drugiej strony, należało pamiętać, że Leimbach codziennie spędzał kilka godzin w samochodzie, patrolując ulice miasta. Fakt, że pojawił się jak na zawołanie, nie był wystarczającym powodem, żeby go podejrzewać. Świeciłem mu latarką. Przewody telefoniczne zostały przecięte przy samej ścianie. Miedziane druty połyskiwały złotawo. Na ten widok Sadie przysunęła się do mnie jeszcze bliżej.

Okrążyliśmy budynek. Wszedłem na ganek jako pierwszy, Leimbach i Sadie podążali kilka kroków za mną. Myślałem o tym, że gdyby coś się stało, nie zdołałbym nawet krzyknąć, tak bardzo miałem gardło ściśnięte ze strachu. Ganek ciągnął się wzdłuż całej frontowej ściany domu, w jednym jego końcu wisiała huśtawka. Kołysała się leciutko. Coś leżało na siedzeniu. Podeszedłem bliżej.

Chyba jednak z moich ust wydobył się jakiś dźwięk, ponieważ Leimbach błyskawicznie znalazł się przy moim boku.

- Co się stało?

Bąłem się, że wypuszczę latarkę.

- Ręka... - wychrypiałem.

Na huśtawce leżała szczupła kobieca ręka. W pierwszej chwili byłem przekonany, że jest prawdziwa; dopiero po kilku lub kilkunastu sekundach stwierdziłem, że to ręka manekina.

- Boże! - wykrztusił Leimbach.

- Tego tu nie było - powiedziała Sadie, ściskając mnie za ramię.

Oświetliłem latarką podwórko, ale niczego nie zobaczyłem. Huśtawka kołysała się lekko, a ręka poruszała prawie jak żywa. Sadie drżała na całym ciele.

- Gdzie jest Cień? - zapytała ponownie. - Dlaczego nie przychodzi?
Nie potrafiłem jej odpowiedzieć.

Minutę później, mniej więcej równocześnie, nadjechali Franklin i Paula oraz policja. Zjawiły się dwa radiowozy; w jednym z nich siedział mój kuzyn. Leimbach powiedział, że ktoś chciał się włamać do środka i nawet stłukł szybę w kuchennych drzwiach. Chuck i dwaj funkcjonariusze pobiegli na tył domu. Mieli latarki, snopy światła tańczyły po ziemi i drzewach. Usiłowałem zrelacjonować Franklinowi i Pauli przebieg wydarzeń.

Sadie kurczowo uczepiła się ręki ojca. W obszernej kurtce wyglądała jak jego nieco zmniejszona replika. Już nie bała się o siebie, tylko o psa. Nawoływała go, gwizdała, po czym nasłuchiwała.

Po kilku minutach nadbiegł Chuck. Kazał pozostałym policjantom ściągnąć Ryana i kapitana Percy'ego, a następnie skinął na Franklina i powiedział tak cicho, żeby Sadie nie usłyszała:

- Tam, z tyłu, leży martwy pies. Cocker-spaniel. Ktoś skrzył mu kark.

Sadie miała jednak lepszy słuch, niż Chuck przypuszczał. Popędziła co sił w nogach, a za nią ojciec. Pies leżał obok drzewa jakieś pięć metrów od tylnej ściany domu. Sadie rzuciła się na kolana, chwyciła go w objęcia, wykrzykiwała jego imię. Z pyska i nosa psa kapą krew. Franklin delikatnie odebrał psa córce, położył go z powrotem na ziemi, wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Dziewczynka szlochała rozpaczliwie z twarzą ukrytą na jego piersi. Poszedłem za nimi.

- Gdzie pani Sanders? - zapytał Franklin.
- Musiała wyjść - wyjaśniłem.

Jeszcze nigdy nie widziałem go tak przybitego. Siedział na kanapie obok Sadie i co chwila muskał ręką jej włosy. Przyniósł z łazienki mokry ręcznik i starł jej z twarzy psią krew. Sadie wciąż płakała, zwinięta w kłębek. Po jakimś czasie zasnęła. Paula przykryła ją kocem i usiadła obok. Usiłowałem sobie wyobrazić, że znajduję się teraz na miejscu Franklina: przez kilkunastominutowe spóźnienie mało nie straciłem córki. Może zamówili jeszcze po kawie i koniaku? Albo po ciastku? Albo może całowali się w samochodzie, zanim wyruszyli w drogę powrotną, a w tym czasie Sadie mało nie zginęła?

Przez następną godzinę panowało ogromne zamieszanie: przyjeżdżały kolejne wozy policyjne, składaliśmy wyjaśnienia. Człowiek, który próbował dostać się do domu, nie zostawił żadnych śladów. Zwłoki psa odesłano do laboratorium, bo przecież mógł przed śmiercią ugryźć lub zadrapać włamywacza. Percy rozmawiał z Leimbachem ostrym tonem, dopytując, skąd wziął się w tej okolicy i dlaczego był sam, skoro było powszechnie wiadomo, że patrole Przyjaciół składały się zwykle z dwóch albo trzech osób. Leimbach tłumaczył, że często jeździł po mieście również samotnie, poza wyznaczonymi godzinami, i że tylko tej nocy czterokrotnie przejeżdżał przez Van Buren Street. Percy zażądał okazania pozwolenia na broń. Leimbach odnosił się do niego chłodno, choć nie starał się mu niczego utrudniać. Łatwo było się zorientować, że w pełni odwzajemnia niechęć, jaką czuje do niego kapitan. Co prawda Percy nie powiedział tego wprost, niemniej było oczywiste, iż dopuszcza ewentualność, że tajemniczym człowiekiem przy drzwiach był właśnie Leimbach. Ryan nic nie mówił, nie spuszczał jednak Leimbacha z oka, jakby próbował przeniknąć mu wzrokiem do mózgu.

Okolo jedenastej zjawił się Aaron. Dotarły do niego jakieś zniekształcone plotki, przyjechał więc, by sprawdzić, czy Sadie nic się nie stało. Zaczęto się zastanawiać, dlaczego pani Sanders wyszła wcześniej niż powinna. Sadie opowiedziała o telefonie z informacją, że Barry'emu coś się stało.

- Nic mu się nie stało - powiedział Aaron. - Był ze mną przez cały wieczór.

Percy wysłał dwóch ludzi do pani Sanders, żeby wypytali ją o ten telefon. Ach, jacy byliśmy naiwni! Zdumiała nas myśl, że ten, kto zawiadomił panią Sanders o wypadku Barry'ego, mógł być tą samą osobą, która zaraz potem usiłowała włamać się do domu Franklina. Zdumiała nas jego wiedza o Barrym i matce, zdumiała nas jego wiedza o nas wszystkich. Choć już wcześniej poszlaki świadczyły jednoznacznie o tym, iż musi to być ktoś z nas, my jednak wciąż się zdumiewaliśmy. Jak to możliwe? Kto to może być? Policjant? Sąsiad?

Nazajutrz, w niedzielę, padał śnieg. Obudziłem się rano w ciszy, którą może spowodować jedynie trzydziestocentymetrowa warstwa świeżego śniegu na ziemi. Włączyło się ogrzewanie. Za szybą z nieba spływały wielkie płatki. Obserwując je, wróciłem pamięcią do innych zim, nawet tych najwcześniejszych. Co prawda padało już w Halloween i parę razy potem, ale to był pierwszy „prawdziwy” śnieg tej zimy. Chociaż zbliżałem się do pięćdziesiątki, sprawiło mi to prawdziwą radość. Gdyby dziś nie była niedziela, lecz poniedziałek, przypuszczalnie odwołano by zajęcia w szkole. Przez chwilę żałowałem, że tak nie jest. Będąc dzieckiem, zjeżdżałem na sankach z pagórka w Lincoln Park, niedaleko szpitala. Miałem drewniane sanki z wysoko zawiniętymi płozami. Teraz dzieciaki jeżdżą głównie na plastikowych, choć od czasu do czasu widzi się również drewniane, podobne do moich. Była ósma rano, wstałem więc, by zrobić sobie śniadanie. Spojrzawszy w okno, ujrzałem przed domem Franklina policyjny radiowóz. Sądząc po warstwie śniegu na dachu, stał tam przez całą noc. Ledwo widoczny obłoczek spalin wydobywających się z rury wydechowej świadczył o tym, że silnik pracuje.

Spowijająca miasto cisza była jak strach. Ogarnęła wszystko. Wspomniałem już, że ludzie masowo kupowali broń. Ponieważ uzyskanie zezwolenia na posiadanie pistoletu lub rewolweru wiązało się z długim czasem oczekiwania, wielu decydowało się na broń myśliwską. George

Fontini, właściciel sklepu sportowego przy Main Street, sprzedał wszystkie egzemplarze, nawet te najbardziej kosztowne. Sprzedał także sporo pistoletów. Żartował, że ludzie wykupili też cały zapas kusz i że jak tak dalej pójdzie, to wkrótce zabraknie również rzutków.

Jesse i Shannon spędzili weekend w areszcie. Zaprzeczyli, jakoby mieli jakikolwiek związek ze śmiercią Jaimego, choć nie byli w stanie przedstawić żadnego sensownego alibi. Obdukcja wykazała, że Jaime umarł między północą a czwartą nad ranem, a o tej porze większość ludzi nie ma niepodważalnego alibi. Z drugiej strony, ani w mieszkaniu, ani w Make Waves nie znaleziono odcisków palców Jessego ani Shannona, nie postawiono im też zarzutu morderstwa. Jesse miał odpowiadać za czynną napaść na funkcjonariusza, Shannon zaś za włamanie się do domu Ryana.

Wszyscy zadawali sobie identyczne pytanie: skoro Jesse i Shannon nie zamordowali Jaimego, to kto i dlaczego to zrobił? Wciąż myślałem o tym, co Jaime mówił o ludziach, którzy skrywają nieprzyjemne tajemnice. Być może mówił o tym jeszcze komuś innemu. Wydawało się oczywiste, iż zabił go ktoś, z kim łączyły go bliskie kontakty, przypuszczalnie także natury seksualnej, i kto nie chciał, by ich związek wyszedł na światło dzienne. Pytanie dodatkowe brzmiało: czy człowiek ten miał również coś wspólnego ze zniknięciem Sharon i Meg? A może wykorzystał sprawę dziewczynek jako coś w rodzaju zasłony dymnej?

Policja przesłuchiwała wszystkich, którzy znali Jaimego. Mnie też. Detektyw z policji stanowej, niejaki Mitchell, przyszedł po cywilnemu.

- Nic o nim nie wiem - powiedziałem. - Strzygł mnie ostatnio. Zwykle chodzę do innego fryzjera, ale tamten zamknął na tydzień zakład i wyjechał na polowanie.

- Z kim przyjaźnił się Jaime?

- Nie mam pojęcia. Może Cookie Evans będzie wiedziała.

Rozmawialiśmy w hallu. Nie zaprosiłem go nawet do pokoju i widziałem wyraźnie, że budzę w nim irytację. Nic mu nie pomogłem, uważałem jednak za skandaliczne, by czyniono pewne założenia wyłącznie na podstawie obserwacji mego stylu życia.

Barry też był przesłuchiwany. Powiedział, że znał Jaimego, ale tylko trochę. Powiedział również, iż ma wrażenie, że ktoś go śledzi, chociaż nie przedstawił żadnego sensownego powodu, dla którego ktoś miałby to robić. Był zdenerwowany, jękał się, policja więc uznała, że albo jest histerykiem, albo kłamie, żeby dodać sobie znaczenia. Ani słowem nie napomknął o swoich kontaktach z mężczyznami mieszkającymi w Aurelius, zasugerował natomiast, iż ten, kto go rzekomo prześladowuje, może to czynić w związku z przynależnością Barry'ego do Tropicielei Prawdy. Wspomniał też, iż kilkoro członków grupy musiało nawet opuścić miasto. Jego pech polegał na tym, że nie miał dokąd wyjechać. Nie zwrócono jednak uwagi na jego historię. Podejrzewano, że jest przewrażliwiony, i nikt nie wierzył w to, żeby istotnie mógł się stać obiektem czyjegosi złowrogiemu zainteresowania.

W szeregach policji panowało przeświadczenie, że krąg podejrzanych zacieśnia się. Do tej pory Percy nie zdradzał się ze swymi przypuszczeniami, teraz jednak, a zwłaszcza po rozmowie Ryana z Sheila Murphy, zaczął się zachowywać bardziej agresywnie i zdecydowanie. Był przekonany, że zabójstwo Janice, uprowadzenia dziewczynek i morderstwo Jaimego są sprawką tej samej osoby. Bez przerwy rozmyślał o tym, co Janice mówiła o swoim „profesjonaliście”. Dwa razy osobiście przesłuchiwał Sheilę na posterunku. Przesłuchiwał także doktora Malloya, który przysięgał na wszystkie świętości, że nie miał nic wspólnego z Janice, oraz Donalda Malloya, który zareagował na jego pytania z nieskrywanym oburzeniem.

- Jak pan śmie przypuszczać, że cokolwiek łączyło mnie z tą kobietą! Przecież to była prawie ulicznica!

W sobotnią noc, po tym, jak ktoś próbował wdrzeć się do domu Franklina, Percy zarządził dokładne przeszukanie okolicy. W całym

mieście doliczono się kilkunastu, może dwudziestu, pustych domów. Były to domy ludzi, którzy wyjechali z Aurelius ze strachu, oraz emerytów, którzy pojechali na południe w pogoni za ciepłem i słońcem. Kilka kolejnych rodzin szykowało się do opuszczenia miasta. Zdaniem Percy'ego grasujący w nocy złoczyńca mógł łatwo znaleźć schronienie w którymś z tych budynków.

Tak się złożyło, że dom sąsiadujący od tyłu z domem Franklina był pusty. Mieszkała w nim Maggie Murray, emerytowana nauczycielka. Zawsze w Nowy Rok wyjeżdżała do siostry w Fort Lauderdale i spędzała tam resztę zimy, lecz tym razem udała się do niej już na początku listopada. Percy uważał, że ktoś mógł zaparkować samochód na podjeździe przed domem Maggie, a następnie przedostać się od tyłu do domu Franklina. Między innymi dlatego podejrzewał Leimbacha, który tak szybko pojawił się na miejscu zdarzenia.

W niedzielę jego podejrzenia jeszcze się nasiliły. Na komisariat dostarczono dużą kopertę zaadresowaną do kapitana Percy'ego. Później nikt nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tam wzięła. Albo przyniesiono ją razem z pocztą - choć nie było na niej znaczka - albo ktoś rzucił ją na podłogę przed drzwiami, ktoś inny zaś odruchowo podniósł ją i położył na biurku.

Koperta dotarła do rąk kapitana dopiero po kilku godzinach. Otworzył ją, stojąc przy biurku. Ryan akurat na niego patrzył, zauważył więc, jak Percy wyraźnie drgnął. Koperta zawierała kartkę z nazwiskiem LEIMBACH wypisanym wielkimi literami. Litery napisano, a raczej narysowano kredkami, każdą kreskę pociągnięto kilkanaście - albo nawet kilkadziesiąt - razy inną kredką, tak że czarny, żółty, niebieski, czerwony, brązowy i zielony utworzyły w końcu tłustą, agresywną, błyszczącą mieszaninę woskowych kolorów.

Po zaginięciu Meg Shiller kapitan Percy przystąpił do intensywnych działań, które - taką przynajmniej żywił nadzieję - miały doprowadzić do szybkiego pojmania sprawcy. Wytypowano dziesięć dziewcząt podobnych do Sharon i Meg (wszystkie były wysokie i szczupłe, wszystkie miały też długie włosy) i wzięto je pod całodobową obserwację. W kilku punktach miasta ustawiono radiowozy, których załogi miały za zadanie wprowadzać do komputera numery rejestracyjne przejeżdżających samochodów, ten zaś miał wykryć ewentualne prawidłowości w pojawianiu się tych samych samochodów w różnych częściach Aurelius, ze szczególnym uwzględnieniem pojazdów, których właściciele - jak udało się wcześniej ustalić - przebywali w swoich samochodach wtedy, kiedy wydarzyły się oba porwania. Podjęto także inne działania, o których nie nie wiedziałem. Wszystkie były bardzo kosztowne, niemniej na wysokim szczeblu najwyraźniej postanowiono, że lepiej ponieść te koszty niż stracić jeszcze jedno dziecko. Niestety, nie dało to planowanego rezultatu - przynajmniej nie w tym sensie, o jaki chodziło.

Percy wpadł także na pomysł, by posłużyć się przynętą. Sprowadził Becky DeMarino, trzydziestopięcioletnią, drobniutką policjantkę z Corning. Odpowiednio ubrana mogła uchodzić za nastolatkę. Miała przechadzać się bocznymi uliczkami obstawionymi dyskretnie przez policję. Oczywiście cała operacja była znacznie bardziej skomplikowana i zaplanowana ze wszystkimi szczegółami; ja podaję tylko jej najbardziej ogólne zarysy. Wiem na przykład, że Percy dysponował furgonetką udającą

samochód elektrowni, podczas gdy naprawę w środku siedzieli trzej funkcjonariusze z radiostacją.

Becky DeMarino miała przy sobie nie tylko pistolet, lecz także włączony nadajnik, dzięki czemu wszystkie rozmowy, które prowadziła, były doskonale słyszalne w furgonetce. Zjawiła się w Aurelius w środę, piętnastego listopada. Tą podoperacją - jeśli można tak powiedzieć - kierował porucznik Marcos. Planowano rozpocząć ją w piątek, ale właśnie wtedy znaleziono ciało Jaimego, zaczęła się więc dopiero w niedzielę.

Podczas spacerów Becky DeMarino nosiła różową puchową kurtkę, ciągnęła plastikowe czerwone saneczki. W narciarskiej czapce i z szalikiem owiniętym wokół szyi wyglądała na jakieś dwanaście lat. Wcześniej podobno specjalnie ćwiczyła dziecięcy sposób chodzenia - trochę chaotyczny i bez określonego celu. Od czasu do czasu powinna się potykać, ślizgać albo nawet przewracać. Już choćby po tym widać, jak bardzo zdesperowana była policja. Pomimo ogólnej atmosfery zagrożenia w niedzielę w Lincoln Park zjawilo się sporo dzieciarni. Becky miała kręcić się ze swymi saneczkami po okolicy. Mała samotna dziewczynka o zmroku na pustej ulicy... Może zbrodniarz da się skusić.

Problem ponownie polegał jednak na tym, że o całej akcji wiedziało zbyt wielu ludzi. Przede wszystkim, ma się rozumieć, policja. Kiedy Becky już wędrowała przed siebie po Walnut Street, podjechał jeden z samochodów patrolowych Przyjaciół. Kierowca - zdaje się, że był nim Henry Polaski - namawiał ją, żeby wróciła do domu, i nawet zaproponował, że ją odwiezie. Oczywiście zorientował się, że Becky nie jest dzieckiem i po krótkiej rozmowie odjechał. Czy domyślił się, że Becky pracuje dla policji? Czy on albo inny uczestnik patrolu opowiedział komuś o trzydziestokilkuletniej kobiecie ciągnącej sanki i udającej małą dziewczynkę?

O tej porze roku w Aurelius zmrok zapada o czwartej po południu, szczególnie kiedy dzień jest pochmurny i śnieżny. Becky od rana

przechadzała się w pobliżu pagórka, z którego dzieci zjeżdżały na san-kach. Drzewa rosły tam na tyle rzadko, że można było między nimi bezpiecznie przejechać. Tylko najszybszym saneczkarzom udawało się dojechać do odległego o prawie pięćdziesiąt metrów chodnika. Dzieciaki przychodziły albo z rodzicami, albo w grupkach. Lęk był tak powszechny, że żadne nie zjawilo się samo, wielu zaś w ogóle zakazano saneczko-wania. Pamiętam czasy, kiedy pagórek w Lincoln Park oblegała nawet stuosobowa gromada, lecz w tę niedzielę było tam najwyżej dwadzie-ścioro dzieci. Mimo to panowała spora wrzawa, dookoła ganiały psy. Jednak około trzeciej wszyscy zaczęli rozchodzić się do domów.

Mniej więcej za kwadrans czwarta Becky szła prowadzącą wzdłuż granicy parku Johnson Street. Świeciły już latarnie, choć było jeszcze na tyle jasno, że Becky widziała pięcioro lub sześcioro dzieci kręcących się po pagórku. Kiedy dotarła do miejsca, w którym większość saneczkarzy kończyła ślizg, zobaczyła stojące na uboczu zielone plastikowe saneczki z pomarańczowym sznurkiem. Zatrzymała się i w tej samej chwili usłysza-ła czyjś głos:

- Karla! Karla!

Becky odwróciła się. Jakaś młoda kobieta biegła w jej stronę, przy- stanęła, ponownie podbiegła. Była rozgniewana i równocześnie wystra- szona. Miała na sobie sięgającą trochę poniżej kolan zieloną puchową kurtkę oraz niebiesko-czerwoną narciarską czapkę.

- Przecież mówiłam ci, że masz zaraz wrócić na górę.

Kiedy dzieliło je jakieś dwadzieścia metrów, zatrzymała się ponow- nie.

- Ty nie jesteś Karla. Gdzie ona jest?

Znowu ruszyła biegiem, zobaczyła sanki, stanęła zaskoczona.

- To jej sanki!

Podniosła ręce do twarzy i zaczęła przeraźliwie krzyżeć.

Funkcjonariusz siedzący w furgonetce ze słuchawkami na uszach gwałtownie zdarł je z głowy. Kierowca włączył światła i ruszył, wyrzucając spod buksujących kół fontanny śniegu.

Kobieta wciąż krzyczała. W ten sposób ci, którzy byli w pobliżu, dowiedzieli się o zniknięciu trzeciej dziewczynki.

Kobieta nazywała się Louise Golondrini, miała trzydzieści lat, pracowała w fabryce lin i samotnie wychowywała córkę. Miała przyjaciela, ten jednak wyjechał do pracy na Florydę. Mieszkała wspólnie z inną samotną matką, Pam O'Brien. Synek Pam, Harry, liczył sobie osiem lat. Pam także pracowała w fabryce, ale na inną zmianę. Louise pochodziła z Uti-ki, do Aurelius przeniosła się przed dwoma laty, kiedy dostała pracę.

Rok wcześniej uczyłem Karłę fizyki i matematyki. Dziewczynka miała duże problemy z koncentracją, przez pół lekcji potrafiła gapić się w okno albo mazać esy-floresy w zeszytach. Na koniec roku powinienem był właściwie wlepić jej dwóję, ale z litości dałem trójkę. Była ładna, bardzo szczupła, miała długie czarne włosy i bladą cerę. Trzynasto- i czternastoletnie dziewczynki nie są już dziećmi, choć nie są też jeszcze kobietami. Tak oczywiście nie powinno być, niemniej patrząc na nie, człowiek mimowolnie zastanawia się, jakie będą w przyszłości, nie widzi natomiast prawie wcale, jakie są. Tego niedzielnego popołudnia rozważania na temat przyszłości Karli Golondrini przestały mieć jakikolwiek sens.

Karla była ubrana w prawie taką samą różową puchową kurtkę jak ta, którą miała na sobie Becky DeMarino. Właśnie dlatego Louise wzięła z daleka Becky za córkę. Przyszły na sanki o drugiej i Louise Golondrini chciała już wracać do domu. Było jej zimno, przemieęły jej buty. Samochód stał na parkingu z drugiej strony pagórka. Karla uparła się, że zjedzie jeszcze raz. Matka w końcu się zgodziła, kazała jej jednak natychmiast wracać na górę. Karla zjechała ze zbocza, niknąc Louise z oczu w gęstniejącym mroku. Louise czekała. Minęło pięć minut. Przybiegł jakiś

pies, obwąchał ją i pobiegł dalej. Stojąc na szczycie pagórka, zawołała córkę. Zaczęła się obawiać, że wydarzyło się coś okropnego. Co sił w nogach pobiegła na dół. Kiedy ujrzała Becky DeMarino w różowej kurtce, poczuła ogromną ulgę. Niestety nie na długo.

Louise Golondrini wszczyła alarm niespełna dziesięć minut po zaginięciu córki. Policja natychmiast przystąpiła do akcji. Kilkunastu funkcjonariuszy zaczęło przeszukiwać park, poczynając od okolic pagórka, inni stukali do drzwi pobliskich domów. Do poszukiwań przyłączyli się liczni ochotnicy. O wpół do piątej policyjne blokady stanęły na wszystkich drogach wylotowych z Aurelius, niewiele później takie same blokady pojawiły się na autostradzie i szosie numer 20. Ale, jak powiedział Chuck Hawley: „Wszyscy wiedzieliśmy, że ona jest gdzieś tutaj”.

Louise koniecznie chciała zostać w parku, w końcu jednak udało się ją przekonać, żeby pojechała na posterunek.

- Moje dziecko! - szlochała.

Wezwano Robertę Fletcher, pielęgniarkę pracującą z doktorem Malloyem. Zjawili się również sam doktor i jego żona. Malloy chciał dać kobiecie środek uspokajający, lecz ona odmówiła. Ulokowali się w gabinecie Schmidta, jedynym miejscu, gdzie można było w miarę spokojnie poczekać. Wkrótce potem przyjechali Shillerowie. Louise musiała poczuć się okropnie, kiedy uświadomiła sobie, że teraz i ona należy do klubu.

O piątej już ponad setka ludzi szukała zaginionej dziewczynki. Przez cały dzień przószył słaby śnieg, pod wieczór jednak zaczął szybko gęstnieć. Nadjechały samochody stacji telewizyjnych z Syracuse, Utiki, a nawet Binghamton. W jaskrawym blasku reflektorów śnieg migotał miliardami maleńkich brylancików. Z mojego domu nie jest daleko do Lincoln Park, poszliśmy więc tam z Sadie, żeby popatrzeć. To ona poinformowała mnie o zaginięciu Karli. Siedziałem w domu, czytając niedzielną gazetę. Ktoś zawiadomił Franklina, który wybiegł jak oparzony.

Paula początkowo nie chciała wypuścić Sadie z domu, ale w końcu sama też wyszła. Szedłem między nimi, pełniąc funkcję żywej przegrody. Paula była ode mnie o kilka centymetrów wyższa, Sadie zaś mniej więcej o tyle samo niższa. Śnieg sięgał do połowy łydek, miałem więc powody do zadowolenia, że włożyłem zimowe buty z wysoką cholewką.

Wieść o zaginięciu trzeciej dziewczynki spadła na nas jak choroba. Poczuliśmy się tak, jakby za tymi zbrodniami nie krył się człowiek, lecz jakby były one jedną z plag takich jak te, o których czytamy w Starym Testamencie. Ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami, mieli przygaszone twarze. Niektórzy płakali. Migające sygnalizatory na dachach policyjnych radiowozów oświetlały wszystko na niebiesko. W oknach pobliskich domów widziałem zaintrygowane twarze.

- Kojarzę ją - powiedziała Sadie - ale wątpię, czy zamieniłam z nią choć słowo.

- Biedna matka! - powtarzała Paula.

Park spowijała złowróżbna cisza. Grubo ubrani ludzie na pagórku z daleka tylko w ogólnym zarysie przypominali ludzkie istoty. Poruszali się powoli i sztywno niczym zombie w *Nocy żywych trupów*. Z policyjnych radiotelefonów dobiegały szумы, trzaski i podekscytowane szczęśliwe głosy. Porozumiewały się głównie ciągami cyfr i liczb. O szóstej wszyscy wróciliśmy do mojego domu na herbatę.

Kapitan Percy sporządził listę pięćdziesięciu osób, które chciał jak najprędzej zlokalizować. Lista zawierała nazwiska ludzi, o których ani razu nie wspomniałem, oraz Harry'ego Martini, Shermana Carpentera, Henry'ego Swazeya i moje. Wśród mężczyzn, którym policja złożyła wizytę, znajdował się także prawnik Greg Dorough, homoseksualista, mieszkający wspólnie z pewnym laborantem z firmy farmaceutycznej w Norwich. Gdyby ktoś nie wiedział, że są gejami, nigdy by się tego nie domyślił. To przykre, iż Grega nagabywano wyłącznie dlatego, że był

gejem. Wizyta trwała krótko: policja chciała tylko wiedzieć, gdzie Greg spędził popołudnie. Niemniej fakt pozostaje faktem. Kiedy przyszli do mnie, byłem bardzo zadowolony, że zastali również Sadie i Paulę. Gdyby nie one, przypuszczalnie nie oszczędzono by mi kolejnych uwag na temat mojego niezdrowego zainteresowania małymi dziewczynkami.

Policja odszukała też Paula Leimbacha, Donalda Malloya, Mike'a Shillera oraz innych, blisko związanych z rodzinami zaginionych dziewczynek. Aaron przebywał w swoim mieszkaniu razem z Harriet. Oświadczył, że przez całe popołudnie wspólnie przygotowywali plan uroczystości pogrzebowych Chihaniego. Mike Shiller twierdził, że łowił ryby w jeziorze. Najdłużej trwały poszukiwania Donalda Malloya, aż wreszcie Percy uświadomił sobie, że Donald znajduje się wśród ochotników przeszukujących park i że zjawił się tam jako jeden z pierwszych.

Okazało się, że w chwili kiedy znikła Karla, Paul Leimbach był sam w samochodzie, patrolując wyznaczony rejon Aurelius. Później ludzie mówili, że Percy zareagował zbyt gwałtownie, ale chyba nie mógł inaczej zareagować, szczególnie po tym, jak otrzymał kartkę z wypisanym krzyżącymi literami nazwiskiem Leimbacha. Tak czy inaczej, kazał przywieźć Leimbacha na posterunek, za jego samochód zaś wzięli się policjanci technicy. Chihani nie żył, Jaime Rose nie żył, Oscar Herbst był w Troy, reszta Tropicielei Prawdy wyjechała z miasta, Hark Powers siedział w areszcie, podobnie jak bracia Levine... Teraz, kiedy wina potencjalnie najgorszych spośród nas była praktycznie wykluczona, należało wziąć się za pozostałych, z najlepszymi włącznie.

Leimbachowi nie postawiono żadnych zarzutów, poproszono go jednak, by zechciał zdać szczegółową relację ze swoich poczynań tego popołudnia. Wszyscy byli wobec niego bardzo uprzejmi albo przynajmniej starali się być. Ponieważ gabinet Schmidta wciąż zajmowała Louise Gollondrini, rozmowę z Paulem Leimbachem przeprowadzono w kącie innego pomieszczenia komisariatu. Uczestniczył w niej także Chuck Hawley. Opowiadał później, że Leimbach miał na sobie ciemne spodnie,

ciemny golf i ciemną kurtkę. Był ubrany prawie jak komandos, powiedział mój kuzyn. Paul twierdził, że mniej więcej od trzech godzin jeździł po mieście. Przez pierwszą godzinę towarzyszył mu Jamie Fendrick, lecz później musiał pójść do pracy, tak więc od wpół do trzeciej aż do wpół do piątej, kiedy zgarnęła go policja, Leimbach był sam.

Czy znał Karłę Golondrini?

Nie, nigdy jej nie widział.

Pokazano mu zdjęcie dziewczynki.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek ją spotkał.

Przyprowadzono matkę Karli, ale ona także widziała go po raz pierwszy w życiu.

- To on zabrał mi dziecko?

Zaczęła wykrzykiwać różne rzeczy i policjantka musiała siłą wyprowadzić ją z pokoju.

- Dlaczego mnie tu trzymacie? - zapytał Leimbach. – Przecież to absurd!

Ryan przyniósł kartkę z nazwiskiem Leimbacha wypisanym różnokolorowymi kredkami. Wcześniej tego samego dnia spróbował zrobić to samo - napisać imię, wielokrotnie wodząc kredkami po tych samych liniach. Imię, które pisał, brzmiało: Janice. Eksperyment ten pozwolił mu stwierdzić, że ktoś, kto wyrysował w taki sposób nazwisko Leimbacha, musiał poświęcić tej pracy co najmniej godzinę.

- Przywlekliście mnie tutaj z powodu tego?- zapytał Leimbach z niedowierzaniem.

- Nikt pana tutaj nie włókł - odparł Ryan.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że musimy brać pod uwagę wszystkie możliwości - powiedział porucznik Marcos.

Ryan wiedział, że wszystko zależy od tego, co wykaże badanie samochodu Leimbacha. Jeśli technicy znajdą jakikolwiek ślad Karli, Leimbach zostanie aresztowany. Jeśli nie znajdą, zostanie wypuszczony na wolność, co jednak wcale nie będzie musiało oznaczać, że jest niewinny.

Wypytywano ludzi mieszkających w rejonie, który rzekomo miał patrolować, czy go tam widzieli. Niektórzy zauważyli jasny samochód z pomarańczowym trójkątem na drzwiach, ale nie zwrócili uwagi ani na markę, ani na to, kto siedział za kierownicą.

W pewnej chwili do pokoju wszedł technik i powiedział coś Marcosowi na ucho.

- Czy rozlał pan coś w samochodzie? - zapytał porucznik.
- Kupiłem w McDonalddie hamburgera i colę. Wylało mi się trochę coli.
- Wytarł pan plamę wodą?
- Tak, zatrzymałem się na stacji benzynowej i przyniosłem z toalety wodę.
- Wycierał pan tylko plamę po coli?
- Oczywiście.

O szóstej odesłano go do domu.

Mniej więcej w tym samym czasie w północno-zachodnim narożniku Lincoln Park znaleziono leżący w śniegu czerwony wełniany szalik. Został dostarczony na posterunek, tu zaś Louise Golondrini rozpoznała w nim własność córki. Policja odgrodziła ten kawałek parku i przeszukała go centymetr po centymetrze, łącznie z przesiewaniem śniegu przez sita. Po dwóch godzinach funkcjonariusze znaleźli srebrne wieczne pióro firmy Cross. Leżało trzy metry od miejsca, gdzie wcześniej natrafiono na szalik.

- Byli strasznie podekscytowani, bo wszystkim się wydawało, że mogło należeć do porywacza - opowiadał Ryan. – Chociaż wcale nie musiało.

Takie pióra sprzedawano w Aurelius tylko w jednym miejscu: w sklepie z artykułami biurowymi przy Jefferson Street, w którym pracowała Florence Martini. Pojawiła się sugestia, że pióro stanowiło własność jej męża, który już niebawem miał się stać eksmężem. Powiedział policji, że większą część popołudnia spędził w domu, i tylko około trzeciej wyskoczył na małe zakupy do Wegmansa.

Porucznik Marcos pojechał z piórem do domu Martinich. Martini stwierdził, że to nie jego pióro. Owszem, miał Crossa, ale brązowego, ze złożoną obwódką. Marcos zapytał, czy mógłby je zobaczyć. Martini zaczął szukać w biurku. Jego gabinet znajdował się w piwnicy. W drzwiach stała żona.

- Nie mogę go znaleźć. Widocznie zostało w szkole.
- Czy nie dałam ci też srebrnego? - zapytała Florence.
- Na pewno nie.

Około dziewiątej Marcos zjawił się u właściciela sklepu, Noaha Frankenmutha. Frankenmuth mieszkał przy Butler Street. Właśnie odnawiał jeden z pokoiów na piętrze i nie był zachwycony niespodziewanym najściem. Miał miniaturowego jamnika imieniem Fritz, który bez przerwy pętał się Marcosowi pod nogami. Porucznik bał się, że na niego nadeptanie.

- W sklepie mam listę klientów, którzy kupowali u nas takie pióra. Czy to naprawdę nie może zaczekać do rana?

- Nie - odparł Marcos.

Pojechali więc do sklepu. Frankenmuth włączył komputer a następnie wydrukował listę dwudziestu pięciu osób, które w ciągu minionych dwóch lat kupiły u niego pióro marki Cross. Pięć z tych piór było ze srebra. Na liście figurowała Martha, żona Paula Leimbacha, która nabyła takie pióro w lutym.

- Mówiła, że to na prezent urodzinowy - przypomniał sobie Frankenmuth.

Marcos pojechał do Leimbachów. Wszystkie zakręty brał z poślizgiem.

Leimbachowie mieszkali w jednym z nowszych domów przy Myrtle Street, z ogromnym, sięgającym od sufitu do podłogi oknem w salonie. Oglądali telewizję.

- Wygląda jak moje - powiedział Leimbach. - W każdym razie, moje też było srebrne. Zgubiłem je latem. Dostałem je w prezencie, więc byłem na siebie wściekły. Gdzie je znaleźliście?

- Nie mogę tego powiedzieć - odparł porucznik.

Później przyznał, iż kusilo go, żeby natychmiast aresztować Leimbacha, jakoś się jednak powstrzymał. Wciąż jeszcze nie poinformował o swoich ustaleniach kapitana Percy'ego, wrócił więc do samochodu i pojechał na posterunek.

Percy nie był zadowolony.

- Teraz będzie się miał na baczności.

Wyzначył człowieka, który miał sprawdzić pozostałych czterech nabywców srebrnych piór marki Cross. Co prawda wszystko wskazywało na to, że pióro należało do Leimbacha, lecz wcale nie oznaczało, że to on zgubił je w śniegu. Dwaj inni funkcjonariusze otrzymali zadanie wypytania pracowników Leimbacha, czy ten wspominał kiedyś o zgubionym piórze.

Śnieg padał przez cały wieczór. Poszukiwania w parku zakończono około wpół do dwunastej. Do tego czasu cały teren został dokładnie zryty butami i zdeptany. Donald Malloy wraz z Przyjaciółmi dodatkowo przeszukali co najmniej sto podwórek. Nad ranem dopadało kolejne piętnaście centymetrów śniegu i całe miasto przykryła świeża, nienaruszona warstwa białego puchu. W poniedziałek rano nic już nie świadczyło o intensywności prowadzonych zaledwie przed kilkoma godzinami poszukiwań.

Wprost trudno było myśleć o tym, że do Święta Dziękczynienia pozostał zaledwie tydzień. Nie mieliśmy zbyt wielu powodów do wdzięczności i świętowania. Przed rokiem upiekłem niewielkiego indyka i zaprosiłem Franklina i Sadie; teraz nie miałem żadnych planów. Chodziło mi po głowie, żeby pojechać do Utiki i samotnie zjeść w restauracji świąteczny obiad, doszedłem jednak do wniosku, że zdradziłbym w ten sposób przyjaciół z Aurelius - tak jakbym zabawiał się w tajemnicy przed nimi, nie bacząc na ich cierpienia. We wtorek odbył się pogrzeb Jaimego Rose. Początkowo zamierzałem w nim uczestniczyć, ale w końcu zrezygnowałem. Nie chciałem być obiektem ciekawskich spojrzeń. W nocy kilka razy dzwonił telefon, ale kiedy podnosiłem słuchawkę, nikt się nie odzywał. Zaniepokoiło mnie to na tyle, że zmieniłem numer. Później okazało się, że nie ja jeden otrzymywałem takie telefony, wtedy jednak jeszcze o tym nie wiedziałem.

Pogrzeb był bardzo skromny. Przyszła Cookie Evans, zjawili się kilku przyjaciół Jaimego z Nowego Jorku, z Clinton przyjechała jego matka. Barry również poszedł, choć matka kategorycznie mu zakazała, a razem z nim Aaron i Harriet. Było też kilkoro zupełnie obcych ludzi, którzy przyszli dlatego, że Jaime zginął w tak okropny sposób. Skromne szeregi żałobników uzupełnił policjant po cywilnemu. Zdaniem Ryana istniała niewielka szansa, że być może pojawi się także zabójca Janice.

Również we wtorek z aresztu zwolniono za kaucją Shannona i Jessego Levine'ów. Nie przedstawiono im żadnych zarzutów związanych ze

śmiercią Jaimego, oskarżono ich natomiast o czynną napaść na policjanta i włamanie, choć Ryan przeczuwał, że sąd może oddalić te zarzuty. W kręgach policyjnych ścierały się dwie opinie dotyczące zabójstwa Jaimego: jedna, zgodnie z którą był to rezultat nieporozumień w homoseksualnym związku, i druga, że zdarzenie to miało bezpośredni związek z uprowadzeniami dziewcząt. Gejowska społeczność Aurelius ponownie znalazła się w centrum podejrzeń. Przesłuchiwano gejów nawet z Norwich. Ja jednak wciąż myślałem o rozmowie, jaką Franklin odbył z Jaimeem w pobliżu domu Irvinga Powella otoczonego przez Przyjaciół Sharon Malloy. Wiele osób widziało ich wtedy razem i ktoś mógł się przestraszyć tego, co Jaime miał do powiedzenia Franklinowi. Barry też był z nimi.

Kapitan Percy przywiązywał dużą wagę do telefonu, jaki otrzymała pani Sanders w sobotni wieczór. Męski głos powiedział jej wówczas, że Barry spadł ze schodków przed domem i złamał nogę. W związku z tym czym prędzej pojechała do siebie. Niektórzy sądzili, że to zwykły głupi dowcip, Percy jednak był przekonany, iż autorem tej fałszywej informacji była osoba odpowiedzialna za zniknięcia dziewczynek. Osoba ta nie tylko wiedziała zarówno o tym, że Franklina nie ma w domu, jak i o tym, że pani Sanders jest właśnie u niego.

Percy przesłuchał również Aarona. Siedział za biurkiem, Aarona posadził po drugiej stronie, Ryan natomiast stał przy drzwiach. Aaron często zerkał na Ryana, ten zaś za każdym razem myślał o tym, jak bardzo Aaron go nie lubi.

Percy zaczął od stwierdzenia, iż wie, że Aaron wrócił do Aurelius po to, by odszukać zabójcę matki. Wiedział także o tym, że Aaron wypytywał sąsiadów i że zaatakował Sheilę dlatego, że ta odmówiła mu udzielenia informacji. Następnie umilkł i spojrzał na niego, jakby oczekiwał protestu lub zaprzeczeń.

- Cwany z pana gość - powiedział Aaron.

- Nie bądź taki sprytny - odparł Percy. - Czy rozmawiałeś z matką bezpośrednio przed jej śmiercią?

- Dzwoniłeś do siebie mniej więcej dwa razy w tygodniu.

- Mówiła coś o mężczyznach, z którymi była związana?

- Wspominała czasem, że poznała kogoś interesującego, ale nigdy nie wymieniała nazwisk.

- Domyślasz się, kim mógł być ten „profesjonalista”?

Aaron wysunął przed siebie nogi i założył ręce na piersi.

- Może Tavich, a może pan...

- A może doktor Malloy?

- Może.

- Masz jednak bardziej konkretne podejrzenia?

- Kto wie...

- Podobno przyjaźnisz się z Sadie Moore? Niewiele brakowało, żeby wczoraj ona też została uprowadzona. Ukrywając przed nami to, co wiesz, ryzykujesz również jej życie.

Aaron bez słowa odwrócił wzrok. Percy zadał mu jeszcze kilka pytań, na które otrzymał wymijające odpowiedzi, po czym zwolnił Aarona do domu.

- On chyba myśli, że sam go znajdzie - powiedział Percy.

To przesłuchanie bardzo przygnębiło Ryana.

- Albo tak myśli, albo nam nie ufa. Znał pan Janice?

- Chodzi ci o to, czy z nią spałem? Jasne, że nie.

- Była tak samo uparta jak on.

Przez kilka dni Barry miał wrażenie, że ktoś go śledzi, potem to się skończyło - albo może od początku tylko mu się zdawało. Twierdził, jakoby wieczorami, kiedy był sam w domu, ktoś szarpał za klamkę u drzwi wejściowych albo dzwonił do drzwi, a gdy Barry otwierał, nikogo już nie było. Poza tym ulicą wiele razy przejeżdżał powoli jakiś samochód. Barry nie zapamiętał marki, ale wydawało mu się, że był błękitny albo kremowy. Do tego wszystkiego należało dodać głuche telefony, dzwonić jednak mógł ktokolwiek, wcale nie potencjalny morderca. W

tym samym czasie wiele osób otrzymywało identyczne głuche telefony. Później dowiedzieliśmy się, że ich autorami byli Przyjaciele Sharon Malloy, którzy starali się w ten sposób „zmiękczyć” ludzi, których uznali za podejrzanych. Strategię tę wymyślił Donald Malloy. Uważał, że wywierając delikatny nacisk na wyselekcjonowaną grupę, uda się zdemaskować złoczyńcę. Nie wiadomo jednak było dokładnie, czy wszystkie głuche telefony należało przypisać Przyjaciółom.

Aaron uznał je za poważną wskazówkę i postanowił odkryć tajemnicę Barry'ego. Z kim związał się w szkole średniej i co takiego zrobił tamten mężczyzna, że tak go wystraszył? Ani policja, ani Franklin nic o tym nie wiedzieli, wiedzieliśmy natomiast ja i Aaron, choć nie znaliśmy nazwisk. We wtorek po pogrzebie Aaron zabrał Barry'ego do swojego mieszkania i próbował zmusić go do wyznania prawdy. Barry opowiadał potem, że Aaron nawet uderzył go w twarz.

- I co, powiedziałaś mu coś? - zapytałem.

- Nic. Tylko to, co panu: że to był profesjonalista. Nigdy nie myślałem, że Aaron mnie uderzy. Zupełnie stracił panowanie nad sobą.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, co to oznacza w praktyce. Aaron stawał się coraz bardziej brutalny, aż w końcu wydusił z Barry'ego nazwisko tego człowieka.

W poniedziałek dziesięć dziewcząt nie przyszło do szkoły. Najstarsza miała szesnaście lat, najmłodsza dwanaście. Rodzice wysłali je do krewnych w innych miastach. Ponieważ wcześniej tak samo postąpili rodzice piętnastu dziewczynek, w klasach zrobiło się pustawo. Karla Golondrini miała niewiele przyjaciółek, ale sporo koleżanek, tu i ówdzie dało się więc słyszeć stłumione pochlipywanie. Atmosferę pogarszała obecność licznych ekip telewizyjnych. Pojawiła się nawet sugestia, żeby zamknąć

szkolę do chwili, kiedy wszystko się uspokoi, Harry Martini przekonywał jednak, że dzieci muszą mieć dokąd pójść. W szkole przynajmniej są bezpieczne, a jeśli nie pójdą do szkoły, to kto wie, dokąd pójdą? Lou Hendricks zauważył - na tyle głośno, iż usłyszało go kilka osób - że ponieważ w niedzielę policja aż dwa razy przesłuchiwała Harry'ego, to być może ma on własne, niezbyt chwalebne powody, żeby za wszelką cenę zatrzymać dziewczęta w szkole. Uznałem, że to nie w porządku wobec Harry'ego; takie samo wrażenie odniosło wielu innych, ale nie wszyscy.

Nikt nie miał pretensji do rodzin, które nie posłały dzieci do szkoły albo wyjechały z miasta. Jestem przekonany, że tak samo postąpiliby prawie wszyscy, gdyby tylko mogli. Zarówno w korytarzach, jak i w pokoju nauczycielskim zrobiło się znacznie ciszej. Cisza ogarnęła również inne miejsca. Ludzie rzadziej rozmawiali w sklepach, restauracje i kino opustoszały, kluby i kółka zainteresowań zawiesiły spotkania. Doskonale prosperowały jedynie wypożyczalnie kaset wideo oraz pizzerie, ale tylko te, które oferowały dostawę do domu.

W środę odbyło się nabożeństwo w intencji Karli. Mówiono o nim: „nabożeństwo nadziei”. Zjawilo się tak wiele osób, że kościół dosłownie pękał w szwach. Louise Golondrini opowiadała o swojej córeczce, o tym, jak Karla uwielbiała psy, kolekcjonowała lalki Barbie i marzyła, by zostać pielęgniarką, jak to nigdy nikogo nie skrzywdziła, dokarmiła ptaszki i bezdomne kotki, jak kochała Aurelius i przyjaciół i jak to wspomniała, że teraz wszyscy modlą się o jej szczęśliwy powrót. Byłem bardzo zadowolony, że tam nie poszedłem. Chybabym tego nie wytrzymał.

Zdjęcie Karli trafiło na słupy telefoniczne i witryny sklepów. Ktoś zauważył, że wszystkie zaginione mają długie włosy; nazajutrz wiele dziewcząt ostrzygło się na krótko, jakby w nadziei, że to uchroni je przed nieszczęściem.

Policja działała coraz bardziej nerwowo. Prowadzono przeszukiwania, zasięgano porad ekspertów. Kapitan Percy utracił znaczną część pewności

siebie. „Jeśli ktoś ma jakieś pomysły, nawet najbardziej nieprawdopodobne, niech się natychmiast do nas zgłosi”, powtarzał wielokrotnie. Co prawda przeciwstawił się pomysłowi, żeby poddać znaczną grupę ludzi badaniu za pomocą wykrywacza kłamstw, twierdząc, że wyniki takiego badania nie są stuprocentowo wiarygodne, niemniej jednak nie wykluczył całkowicie takiej ewentualności.

Ustalono właścicieli pozostałych czterech srebrnych piór. Dwaj mieszkali w innych stanach, jeden wyjechał na zimę na Florydę, jeden zaś mieszkał w Norwich i pracował w fabryce farmaceutycznej. Wszyscy czterej mieli swoje pióra. Percy zlecił obserwację Leimbacha przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Naturalnie było to tajemnicą, ale tajemnice mają to do siebie, że trudno je dochować. Ponownie wróciła koncepcja badania na wykrywaczu kłamstw. Miałby je przejść nie tylko Leimbach, lecz również inni. „Byli gotowi przebadać całe miasto”, powiedział mój kuzyn.

Wśród Przyjaciół Sharon Malloy narastało niezadowolenie. Donald Malloy mówił głośno, że Percy'ego należałoby wyrzucić z miasta, jego miejsce zaś powinien zająć ktoś inny. Doktor Malloy wciąż wierzył w Percy'ego, a przynajmniej nie krytykował go publicznie, jego brat natomiast złożył w tej sprawie oficjalne zażalenie do burmistrza. Donald rozmawiał także z Willem Fowlerem, zawiadującym sprawami finansowymi miasta.

- Gdzie twoje poczucie odpowiedzialności? - zapytał.

Fowler jednak stanął po stronie Percy'ego, ponieważ, podobnie jak on, Percy był profesjonalistą. Problemy stwarzali amatorzy tacy jak Donald Malloy. Fowler nie powiedział tego wprost; stwierdził wymijająco, że w tej ciężkiej sytuacji wszyscy musimy okazać cierpliwość.

Miasto jako całość podupało na duchu. Zadowolenie z -życia opadało z nas w strzępach, odsłaniając to, co zawsze było ukryte pod spodem: niepewność i lęk. Ludzie, którzy powinni być naszymi przywódcami, tracili czas na kłótnie, najlepsi byli tak samo podejrzani jak najgorsi.

A zima zbliżała się szybkimi krokami. Każdy kolejny dzień był krótszy o minutę lub dwie, każdego wieczoru ulice pustoszały. Krążyły po nich wyłącznie policyjne radiowozy oraz samochody patrolowe Przyjaciół.

Podejrzałem, że sprawca uprowadzeń czuł się niezwyknięty. Byliśmy zabawkami zdanymi na jego łaskę i niełaskę. Czego jednak bał się pod pancierzem swojej wszechwładzy? Zagięły już trzy dziewczynki, niewiele brakowało, a taki sam los spotkałby Sadie. Czy nie zadawał sobie pytania, do czego go to w końcu doprowadzi? Czy ryzykując coraz bardziej, chciał tylko zakpić z policji, czy raczej dopomóc jej, żeby prędeż go ujęła?

W śróde po południu Chuck Hawley niechętny zrzucił z biurka Ryana papierową torbę. Podniósłszy ją, zerknął odruchowo do środka, by się upewnić, że nic nie uległo uszkodzeniu. Na posterunku panował niemal tłok, ludzie bez przerwy wchodzili i wychodzili. Rano odbyła się konferencja prasowa, później komendant Schmidt usiłował skoordynować poczynania policji i Przyjaciół. Przyjaciele Sharon Malloy uważali, że są szykanowani, policjanci natomiast mieli zastrzeżenia do metod, które tamci stosowali.

W torbie znajdowały się różowa puchowa kurtka, starannie złożone ubranie oraz ręka manekina.

- Cholera! - wykrzyknął Chuck.

Zamieszanie, które potem wybuchło, stanowiło rezultat nie tylko zaskoczenia, lecz również niedowierzania. Wokół mojego kuzyna zgromadziło się co najmniej dwadzieścia osób.

Percy wyłożył na biurko zawartość torby: dzinsy, majteczki, bluzka, zielony sweter, skarpetki, kurtka, ręka. Oprócz tego w torbie znajdowało się: pięćdziesiąt siedem centów, dwa listki gumy Juicy Fruit, czerwona elastyczna gumka do włosów, puste opakowanie po gumie do żucia, złoty łańcuszek z serduszką, na którym wygrawerowano napis *Przyjaciele na zawsze*, tani pierścionek wyobrażający dwie splecione dłonie,

dwie niebieskie plastikowe spinki do włosów, para czerwonych śniegowców i czerwone rękawiczki. Była tam również biała koperta, którą Percy dyskretnie wsunął do kieszeni.

- On był tu, w tym pokoju! - powiedział Chuck.

Podobnie jak co najmniej dwustu innych ludzi, pomyślał Ryan.

Kapitan Percy, porucznik Marcos i komendant Schmidt zastanawiali się, czy zwrot rzeczy Karli oznaczał jakąś wiadomość. Ryan przysłuchiwał się dyskusji, nie biorąc w niej udziału. Miał przecucie, że działania podjęte przez sprawcę już niedługo doprowadzą do jego zdemaskowania i ujęcia i że przypuszczalnie właśnie na tym mu zależy. Albo przeraziły go własne zbrodnie, albo tracił zmysły, albo rozpieęły go duma i poczucie siły. Motywy jego postępowania niewiele Ryana obchodziły. Chciał tylko wreszcie go aresztować.

Również i ta koperta zawierała kartkę z listą zmasakrowanych słów. CIPA zamieniła się w IPA, KURWA w KRWA, PASKUDZTWO w PASKDZTWO. Brakujące litery zostały wymazane różnokolorowymi kredkami. Percy położył kartkę obok tej z nazwiskiem Leimbacha.

- To zrobił ten sam człowiek - stwierdził Ryan. - Kompletnie mu odbiło.

- Czy to znaczy, że Leimbach jest niewinny? - zapytał Marcos.

- Niekoniecznie - odparł Percy. - Może celowo kierować podejrzenia w swoją stronę, żeby się za nimi ukryć. Takie rzeczy już się zdarzały.

Kapitan zmienił zdanie na temat badania za pomocą wykrywacza kłamstw.

- Jeśli będę musiał, przesłucham wszystkich mieszkańców stanu - oświadczył, po czym zadzwonił do Albany i polecił, żeby jak najszybciej poczyniono niezbędne przygotowania.

Przyjaciele także wzięli się ostro do dzieła, otwarcie ignorując zalecenie Percy'ego, aby wszystkie poczynania uzgadniać z policją. W kontekście uprowadzenia Karli szczególnie zaniepokojenie budziły próba włamania do domu Franklina oraz podrzucenie sztucznej ręki na ganku.

Co prawda policja obserwowała dom przez całą dobę, Przyjaciele jednak uważali, że trzeba zrobić coś więcej. Donald Malloy oświadczył, że dwaj ochotnicy będą stale dyżurować pod domem, a najlepiej, żeby Franklin pozwolił im wejść do środka. Franklin odmówił. Był wdzięczny za pomoc, niemniej nie chciał, żeby po jego domu kręcili się obcy ludzie. Donald oskarżył go, że ryzykuje życie własnej córki. Wraz z czterema Przyjaciółmi złożył mu wizytę w redakcji.

Franklin nie podzielał jego opinii. Donald posunął się krok dalej, twierdząc, iż Franklin posługuje się córką jako przynętą, by skupić na sobie uwagę mediów. Doszło do dość ostrej wymiany zdań, którą przerwała dopiero Frieda Kraus, stwierdzając, że obaj zachowują się jak dzieci. W tej samej chwili zjawił się Mike Shiller z informacją, że rzeczy Karli zostały podrzucone na komisariat i że kapitan Percy postanowił poddać wszystkich mieszkańców Aurelius badaniu wykrywaczem kłamstw. Wiadomość wywołała olbrzymią sensację. Tej nocy przed domem Franklina na Van Buren Street stały dwa samochody: policyjny radiowóz i samochód patrolowy Przyjaciół Sharon Malloy.

Człowiek działa zazwyczaj dlatego, że coś go do tego zmusza, ale czy tym czymś jest jeden czynnik, czy raczej kombinacja wielu bodźców? Niektórym bardzo nie spodobała się nowina, że będą musieli poddać się badaniu za pomocą wykrywacza kłamstw. Na przykład Harry Martini oświadczył, że prędzej ustąpi ze stanowiska. Skontaktował się nawet w tej sprawie ze Stowarzyszeniem Obrony Praw Człowieka. Podobnie jak ja, większość z nas miała dość mgliste pojęcie o działaniu tego urządzenia, niektórzy zaś sądzili zapewne, iż jest to coś w rodzaju narkotyku zmuszającego do niekontrolowanego wyznania wszystkich grzechów i grzeszków, od najwcześniejszego dzieciństwa poczynając. Zagrożenie takim badaniem z pewnością wzmogło presję na sprawcę porwań. Bez

wątpienia zastanawiał się, czy uda mu się go uniknąć, a jeśli nie, to czy zdoła oszukać maszynę.

Właśnie wtedy, kiedy nasza ślepotą była najpełniejsza, Aaron poczynił ogromne postępy w swoim prywatnym śledztwie. Stało się tak nie tylko dzięki informacjom, które przekazał mu Barry, lecz również dlatego, iż przypuszczał, że Sadie grozi niebezpieczeństwo. Wkrótce po tym, jak w środę ktoś podrzucił na biurko Ryana rzeczy Karli, Aaron przywiózł z Utiki sześć rąk manekinów, umieścił je w pudełkach po butach, do każdej ręki włożył fotografię matki, na odwrocie napisał „Serdecznie pozdrawiam, Janice”, pudełka owinął czerwonym papierem i obwiązał czerwoną wstążką. Funkcję roznosicieli pełnili Harriet i Barry. Wydawało mu się właściwe, żeby zajęły się tym niedobitki Tropicielei Prawdy. Pierwsza paczka trafiła do Paula Leimbacha, druga do Malloy's Pharmacy, trzecia do gabinetu doktora Malloya, czwarta do Ryana Tavicha, piąta do Shermana Carpentera, szósta do Henry'ego Swazeya - prawnika Patricka McNeala i równocześnie jednego z kochanków Janice. Jediną osobą, która osobiście odebrała przesyłkę, był Ryan.

- Co to jest? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparł Barry, spiekł raka i odwrócił się, żeby odejść.

- Zaczekaj. Pójdiesz dopiero wtedy, kiedy sprawdzę, co jest w środku.

Otworzywszy pudełko, ujrzał rękę i fotografię.

- Jezu... - stęknął.

- I co, mogę już iść?

- Kto kazał ci to przynieść?

- Nie mogę tego powiedzieć.

Ryan wezwał Chucka Hawleya.

- Przymknij go. Po tygodniu w pace może zmądrzeje.

Barry od razu zmądrzał.

- Aaron. To on kazał mi to zrobić.

Ryan był tak zdumiony, że pozwolił Barry'emu odejść, nie zapytawszy go nawet, czy ktoś jeszcze otrzymał taką przesyłkę.

- Więc dlatego kazał jej się ze mną pieprzyć... – powiedział głośno. Chuck uznał, że się przesłyszał.

- Że co?

Ryan nie odpowiedział. Myślał tylko o tym, że Harriet spotykała się z nim wyłącznie po to, żeby wyciągnąć z niego informacje o Janice.

- Była jego żołnierzem - oznajmił zdumionemu Chuckowi.

Po wyjściu z komisariatu Barry zostawił drugą paczkę w gabinecie doktora Malloya. Był bardzo zadowolony, że doktor akurat dokądś wyszedł i że nie musi wręczyć mu jej osobiście. Trzecią paczkę zostawił sekretarce w college'u.

Pod nieobecność Leimbacha biurem rachunkowym kierował jego wspólnik, Frank Kanter. Powiedział Harriet, że zadzwoni do Leimbacha i powie mu, że jest dla niego paczka.

- To jakiś prezent, prawda?

- Coś w tym rodzaju - odparła Harriet.

Kolejną paczkę przekazała sekretarce Henry'ego Swazeya w jego biurze przy Main Street. Spotykała się z nim kiedyś, tak samo jak z Shermanem Carpenterem i Ryanem Tavichem, ucieszyła się więc, że go nie zastała.

Przesyłkę dla Donalda Malloya odebrała w aptecce Mildred Porter. Donald miał się zjawić około szóstej wieczorem. Nazajutrz pani Porter opowiedziała Franklinowi, co się stało.

- Jak tylko przyszedł, dałam mu paczkę i powiedziałam, kto ją przyniósł. Spieszył się, ale zabrał ją ze sobą za ladę. Zapytał, czy to ważne. Odpowiedziałam, że nie mam pojęcia. Był odwrócony do mnie plecami. Kiedy otworzył pudełko, cały zeszytniał. Potem zamknął je i wybiegł z nim z apteki.

O siódmej wieczorem Roy Hanna, pełniący obowiązki oficera dyżurnego w komisariacie, odebrał telefon od mężczyzny, który odmówił podania nazwiska.

- To Paul Leimbach zamordował te dziewczynki – powiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

Nie dało się ustalić, skąd telefonował. Roy natychmiast zawiadomił Schmidta. Przypuszczalnie ten sam mężczyzna dzwonił do biura szeryfa w Potterville i do centrali policji stanowej. Kapitan Percy właśnie rozmawiał z doktorem Malloyem w jego domu, kiedy zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł Frank, starszy brat Sharon.

- Słucham? - wykrztusił. - Co takiego? - Zasłonił ręką mikrofon. - Ktoś mówi, że to wuj Paul zamordował dziewczynki!

Kapitan Percy wyrwał mu słuchawkę z ręki, ale rozmówca już prze-rwał połączenie.

- Mężczyzna czy kobieta?
- Mężczyzna.
- Rozpoznałeś głos?
- Był stłumiony. To mógł być każdy.

Identyczna informacja dotarła do kwatery głównej Przyjaciół Sharon Malloy. Leimbacha akurat tam nie było. Sandra Petoski zawiadomiła policję, a następnie zadzwoniła do Rolfa Portera, który powiedział, że zaraz przyjedzie. Kilka minut później zjawił się Donald Malloy i poprosił ją, by ściągnęła więcej ochotników. Zapytał również, czy wie, gdzie jest teraz Paul Leimbach. Sandra nie miała pojęcia.

- Musimy go znaleźć - stwierdził stanowczo Donald.

Telefon dzwonił prawie bez przerwy, co chwila zjawiali się nowi ludzie. Przez ciągle otwierane drzwi wdzierало się zimne powietrze, na posadzce gromadziła się coraz grubsza warstwa błota, na zewnątrz trąbiły klaksony.

Donald miał rozpięte palto, dzięki czemu pani Petoski dostrzegła pistolet wetknięty za pasek jego spodni.

- Dzieje się coś niedobrego - powiedział Donald. - Wydaje mi się, że Sadie Moore grozi poważne niebezpieczeństwo.

Wszedł Mike Shiller i jeszcze kilku ludzi. Donald pokazał mu pudełko z ręką.

- Spójrz, co przyniósł mi jeden z tych młodocianych komuchów.

Shiller zajrzał do środka.

- Boże!

- Lepiej pojedźcie sprawdzić, co oni knują.

- Niech mnie szlag trafi! - Shiller skinął na dwóch mężczyzn.

- Idziemy!

Franklin był w redakcji. Około ósmej zadzwoniła Sandra Petoski i powiedziała mu o telefonach dotyczących Leimbacha.

- Wszyscy są bardzo wzburzeni, a Donald mówił coś o Sadie.

Franklin natychmiast wybiegł z biura.

Mniej więcej w tym samym czasie w domu Barry'ego zjawili się trzej mężczyźni. Pani Sanders rozpoznała w nich Przyjaciół Sharon Malloy. Powiedziała im, że Barry wyszedł. Mężczyźni - jednym z nich był Mike Shiller - odsunęli ją na bok, weszli do środka i zaczęli szukać.

- Chyba zdajecie sobie sprawę, że łamiecie prawo? - zapytała.

- Tak się pani tylko wydaje - odparł Shiller.

Pani Sanders zatelefonowała na policję, ale linia była zajęta. Jak tylko Shiller upewnił się, że Barry'ego rzeczywiście nie ma w domu, wszyscy trzej wyszli.

Sąsiedzi Harriet mówili później, że trzej ludzie zjawili się również u niej. Przypuszczalnie ci sami, którzy złożyli wizytę u Barry'ego. Dziewczyny nie było w domu. Mężczyźni walili w drzwi pięściami, a jeden z nich próbował je nawet wyważyć.

- Pewnie by je wyłamali, gdybym nie wyszła na korytarz - opowiadała mieszkająca po sąsiedzku uczennica. - Zapytali, kim jestem, i zapisali moje nazwisko.

Sadie była w domu z Paulą. W związku z niechęcią, jaką żywiła do macochy, coraz więcej czasu spędzała w swoim pokoju. Miała tam mini-wieżę i słuchała zespołu o nazwie Indigo Girls; trochę za głośno, uważała Paula, uznała jednak, że nie warto interweniować. Paula siedziała w salonie, usiłując czytać. Tuż przed ósmą rozległo się walenie do drzwi. Paula uchyliła je odrobinę. Na ganku stał Donald Malloy w palcie i tweedowej czapce.

- Sadie może grozić niebezpieczeństwo - powiedział. - Muszę wejść.
- Nikogo nie wpuszczę - oświadczyła Paula.

Za plecami Donalda dostrzegła sylwetki kilku mężczyzn. Mogło ich być nawet sześciu. Przy krawężniku wciąż stał radiowóz, ale nikogo w nim nie było. Godzinę wcześniej Aaron zadzwonił do niej i powiedział jej o pudełkach z rękami manekinów. Dlatego też nie ufała Donaldowi, a nawet się go bała.

- Czy Sadie jest w domu? - zapytał.

Paula chciała zamknąć drzwi, on jednak pchnął je mocno, tak że aż się zatoczyła, i wszedł do hallu, a za nim jeszcze dwóch mężczyzn.

- Wynoście się! - krzyknęła Paula. - Nie macie prawa tu wchodzić!
- To dla jej dobra - odparł jeden z mężczyzn.
- Widziałas Paula Leimbacha? - spytał Donald.
- Nikogo nie widziałam. A teraz wynoście się stąd.

Usiłowała zagrozić im drogę w głąb domu. Drzwi wciąż były otwarte, z ulicy dobiegały jakieś krzyki.

- Gdzie Sadie? - zapytał ponownie Donald.
- W swoim pokoju.
- Sprawdź, czy na pewno tam jest.
- Oczywiście, że jest! Proszę natychmiast stąd wyjść!

Paula bała się już nie na żarty.

- Muszę sprawdzić - odparł Donald.

Paula szybkim krokiem podeszła do drzwi pokoju Sadie i zastukała. Nikt nie odpowiedział. Ze środka dobiegały dźwięki muzyki. Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz. Donald odsunął ją na bok. W ręce trzymał pistolet.

- Zostawcie ją w spokoju! - wykrzyknęła. - Jest na mnie wściekła, dlatego nie chce otworzyć!

- Co zrobiła z ręką, którą znaleźliście na ganku?

Paula opowiadała później, że Donaldowi oczy niemal wychodziły z orbit.

- Policja ją wzięła.
- Kłamiesz!
- Co się z panem dzieje, na litość boską?
- Sadie grozi niebezpieczeństwo. Muszę ją zobaczyć.

Donald szarpnął za klamkę, a potem cofnął się o krok i uderzył w drzwi ramieniem. Otworzyły się z trzaskiem. Donald wpadł do środka. Okno było otwarte na oścież, Sadie ani śladu.

W tej samej chwili Franklin wbiegł do domu i dowiedział się, że jego córka znikła.

Na śniegu za oknem widać było dwie pary śladów. Mniejsze z pewnością należały do Sadie, większe prawie na pewno pozostawił mężczyzna. Kilka metrów dalej ślady Sadie znikły, jakby mężczyzna wziął ją na ręce. Na chodniku jego ślady też znikły, pośród wielu innych, wszystko wskazywało jednak na to, że prowadziły na zachód, w stronę przedmieścia. Policjant, który powinien siedzieć w radiowozie, nadszedł szybkim krokiem z kubkiem kawy w ręce i kazał się wszystkim cofnąć, żeby nie zacierać śladów.

W ciągu kilku minut nadjechały na sygnale jeszcze trzy radiowozy. Patrzyłem z ganku, jak wyskakują z nich policjanci i biegną co sił w nogach. Był wśród nich Ryan. Pospiesznie włożyłem palto.

- Kto mógł ją zabrać? - pytał raz po raz Donald. - Kto mógł to zrobić?

Paula stała na chodniku i rozglądała się bezradnie. Chociaż nie miała wierzchniego okrycia, nie chciała wrócić do domu.

- Niczego nie słyszałam - powtarzała. - Zupełnie niczego!

Franklin czekał, aż ktoś wskaże mu kierunek, żeby mógł popędzić córce na pomoc. Skierował się do Pauli, zawrócił, wybiegł na środek ulicy, próbując patrzeć we wszystkie strony jednocześnie. Co chwila zdejmował kapelusz i przesuwał ręką po włosach. Wyglądał tak, jakby został bezwzględnie oszukany, jakby padł ofiarą okrutnego żartu, którego w żaden sposób nie potrafił zrozumieć. Nadbiegali kolejni ludzie, Ryan Tavich rozmawiał przez radio z policją stanową. W oddali wyły syreny. Trudno było uwierzyć, że w ciągu zaledwie trzech dni zaginęły dwie dziewczynki. Przyniosłem z domu drugie palto i dałem je Pauli. Ogarniało mnie przerażenie na myśl, że Sadie mogło spotkać coś okropnego.

Donald Malloy również miotał się jak w ukropie. Biegał w tę i z powrotem między domem Sadie i ulicą. Cały czas ścisnął w ręce płaską aktówkę. W długim palcie i czapce wyglądał tak, jakby spóźnił się na ważne spotkanie dotyczące interesów.

- To nie tak! - powtarzał.

Ludzie mówili i wykrzykiwali rozmaite rzeczy, nikogo więc nie zdziwiły jego słowa. Radiowozy przyjeżdżały i odjeżdżały. Temperatura spadała, wiatr podrywał tumany śniegu.

- Gdzie ona jest? - krzyknął przeraźliwie Franklin.

Paula podbiegła do niego. Padli sobie w ramiona i zastygli w bezruchu jak splecione w uścisku posągi. Nikt nie miał odwagi do nich podejść.

Chwilę później nadjechał brązowy chevrolet pick-up. Wyskoczył z niego doktor Malloy. Przypuszczalnie o wszystkim dowiedział się z nasłuchu policyjnych nadajników. Rozejrzał się, a następnie szybkim krokiem ruszył w kierunku brata. Można było odnieść wrażenie, że nie obchodzi go nic, co dzieje się dookoła. Jedną ręką chwycił Donalda za klapę palta.

- Dlaczego wciąż oskarżasz Paula? - wykrzyknął. - Wiesz coś?

Stałem jakies trzy metry od nich. Rzecz jasna nie miałem pojęcia, o czym mówi, uderzył mnie jednak wyraz jego twarzy: malowała się na niej mieszanina gniewu i dezorientacji. Donald był odwrócony tyłem do mnie, zobaczyłem więc tylko, jak nagle się garbi. W ręce wciąż ścisnął aktówkę. Na nogach miał żółte śniegowce.

- Nic takiego nie robię! - zaprotestował.

Kilka osób zatrzymało się i śledziło rozwój sytuacji. Ryan zrobił krok w ich stronę, ale i on się zatrzymał.

- Wmawiasz ludziom, że Paul porwał Sharon! - ryknął doktor. Donald odepchnął brata.

- A ty skąd wiesz, że tego nie zrobił?

Doktor Malloy poślizgnął się, lecz zaraz odzyskał równowagę.

- To twój przyjaciel! Dobrze wiesz, że jest niewinny!

Donald pochylił się ku niemu.

- Jest głupcem! - syknął.

Przypuszczam, że oprócz mnie usłyszało to najwyżej kilka osób.

W tej samej chwili z jednego z radiowozów wyskoczył policjant i podbiegł do Ryana.

- Na pagórku w Lincoln Park widziano mężczyznę niosącego dziewczynkę!

- Jedziemy! - zawołał ktoś.

Doktor Malloy rozejrzał się dookoła. Z pewnością już wcześniej zdawał sobie sprawę z naszej obecności, chyba jednak dopiero teraz pojął, że najprawdopodobniej wydarzyło się coś niedobrego.

- Co tu się dzieje?

- Znikła córka Franklina - poinformowano go.

Donald wybiegł na jezdnię.

- Do parku! - krzyknął, wskakując do samochodu prowadzonego przez któregoś z Przyjaciół.

- Stójcie! - ryknął Ryan i podniósł ramiona, ale mało kto zwrócił na niego uwagę. Ludzie, a zwłaszcza Przyjaciele, popędzili do samochodów. Franklin już biegł przed siebie ulicą, doktor Malloy stał na chodniku i patrzył na brata. Jeden z radiowozów ruszył gwałtownie, koła trafiły na lód, zabuksowały z głośnym zawodzeniem.

- To Leimbach! - wołał Donald przez otwarte okno. - Leimbach ją porwał!

- Nie!

Doktor Malloy pobiegł do swego pick-upa. Krzyczeli już prawie wszyscy, silniki wyły jak rozdrażnione psy, snopy światła z samochodowych reflektorów omiatały ściany domów i nagie drzewa. Paula i ja staliśmy bez ruchu, dookoła nas trwała zaś gorączkowa bieganina.

- Stójcie! - zawołał ponownie Ryan, lecz po chwili on także popędził do samochodu. Przed domem Franklina zrobiło się pusto. W kilku oknach dostrzegłem zaintrygowane i przestraszone twarze. Wiatr zasypywał śniegiem ślady stóp i opon.

- Jedźmy tam - poprosiła Paula.

Pospieszyliśmy do mojego samochodu.

Położony na obrzeżu miasta Lincoln Park graniczył z około trzydziestohektarowym lasem, przez który zimą wiodły liczne szlaki dla miłośników biegów narciarskich. W niedzielę poszukiwania prowadzono tam dokładnie i metodycznie, wyznaczając kolejne fragmenty i przeczesując je metr po metrze. W środę nikt nie miał żadnego planu. Kiedy Ryan dotarł do parku, kilkudziesięciu ludzi miotało się chaotycznie. Tylko nieliczni mieli latarki. Fakt - a raczej niepotwierdzona informacja - że w

poblizu widziano kogoś niosącego Sadie, sprawił, że zupełnie potracili głowy. Policja otrzymała trzy niezależne sygnały, dwa od mężczyzn i jeden od kobiety. Wszyscy byli przekonani, że chodzi o Leimbacha, choć wątpię, by ktokolwiek zadał sobie pytanie, skąd wzięła się jego pewność. Wszyscy pragnęli, żeby anonimowy złoczyńca wreszcie przybrał konkretną postać, a nazwisko Leimbacha podsunął im nie kto inny jak sam Donald Malloy. Kto mógł wiedzieć lepiej od niego?

Później okazało się, że w poszukiwaniach uczestniczyło ponad dwieście osób, głównie mężczyzn. W związku z brakiem jakiegokolwiek koordynacji, ciemnościami i ogólnym zamieszaniem wiele razy wszczynano fałszywe alarmy. Ryan zdołał przynajmniej zaprowadzić porządek w szeregach policji i nawet ściągnął reflektory oświetlające teren. Polecił również swoim ludziom otoczyć cały obszar, lecz był on tak duży - ponad sto pięćdziesiąt hektarów - funkcjonariuszy było zaś tak niewielu, że sieć miała żałośnie duże oka. Poprosił także biuro szeryfa o przysłanie posiłków. Wezwanie to usłyszeli wszyscy prowadzący nasłuch policyjnych nadajników i wkrótce potem do parku zaczęli zjeżdżać ludzie z całego miasta - a przynajmniej tak to wyglądało. Ma się rozumieć, taki nasłuch prowadziły również stacje telewizyjne. Zatrzymałem samochód na Johnson Street. Na pagórku wprost roilo się od ludzi, tu i tam tańczyły światła latarek. Nie wyłączyłem silnika ani dmuchawy. Paula siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę. Wciąż miała na sobie moje stare palto, które odziedziczyłem po ojcu. W milczeniu patrzyła przez przednią szybę. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsał dreszcz.

Ryan czynił, co w jego mocy, by zaprowadzić porządek. Na rogu Johnson Street i Walnut Street udało mu się nawet zorganizować coś w rodzaju centrum dowodzenia. Miał poważne podejrzenia co do mężczyzny rzekomo niosącego Sadie w kierunku szczytu wzgórza, jak i co do śladów pod oknem Sadie. Dlaczego szła dobrowolnie? Dlaczego nie wyzywała pomocy? Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać.

Sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Mimo to wysłał człowieka do mieszkania Aarona.

Zdawało mu się, że krzyki i wołania dochodzą zewsząd jednocześnie. Wokół majaczyły podskakujące światła i niewyraźne kształty. Nagle rozległ się wystrzał. Ryan natychmiast kazał swoim ludziom sprawdzić, co się stało, po czym na wszelki wypadek wezwał karetkę. Najbardziej przerażające było to, że czekało nas jeszcze dziesięć godzin ciemności. Ryan polecił dwóm cywilom rozpałcić ognisko, żeby można było się ogrzać. Kiedy usłyszał kolejne dwa wystrzały, zostawił wszystko i popędził w kierunku pagórka.

Franklin dotarł do parku na piechotę. Miał do pokonania zaledwie kilka przecznic. Z latarką w ręce zaczął wspinać się na pagórek, ślizgał się, potykał, przewracał, momentalnie wstawał i biegł dalej. Za każdym razem, kiedy słyszał czyjeś wołanie, wydawało mu się, że właśnie odnaleziono Sadie, i skręcał w kierunku, z którego dobiegały głosy. W ten sposób zapuszczał się coraz głębiej w park. Krzyki rozlegały się z przodu i z tyłu, mijali go ludzie, nikt jednak niczego nie wiedział albo mieli do przekazania tylko tyle, że „właśnie ktoś ją widział”. Dwaj mężczyźni powiedzieli mu, że zauważono także Leimbacha. Franklin miał na nogach półbuty, więc śnieg dostawał się do nich bez trudu. Jakaś gałąź zgarnęła mu z głowy irlandzki kapelusz, długi szalik zaczął o krzaki. Miejscami śnieg miał ponad trzydzieści centymetrów głębokości. Franklin postanowił, że jeśli nie znajdzie Sadie, będzie biegł tak długo, aż zemdleje. Każdy upadek i bolesne stłuczenie były dla niego jak błogosławieństwo, odbierał je jako dowód czystości jego intencji i rozmiarów poświęcenia. Lepiej było biec co tchu w płucach, zmuszać organizm do nadzwyczajnego wysiłku, wypełniać umysł zmęczeniem, niż beczynnienie zadręczać się rozpaczliwymi myślami.

Minął szczyt wzniesienia i wbiegł na gęściej zalesiony teren, gdzie wołania i okrzyki rozbrzmiewały z jeszcze większą częstotliwością. Gałęzie raniły mu twarz. Wykrzykiwał imię córki, lecz nikt nie odpowiadał. Tutaj, wśród drzew, śniegu było nieco mniej, dodatkową przeszkodę stanowiły jednak leżące na ziemi pnie i połamane gałęzie. Starał się osłonić twarz ręką. W pewnej chwili zdarł z szyi szalik i cisnął go w bok. Widział tylko tańczący przed nim snop światła z latarki. Nagle poczuł się tak, jakby jego prawa stopa wpadła w sidła; w rzeczywistości dostała się między dwie przysypane śniegiem gałęzie. Franklin runął jak długi na ziemię, latarka wypadła mu z ręki, śnieg nasypał się za koszulę. Ból w kostce był jak eksplozja. Leżał bez ruchu, ciężko dysząc i walcząc z ogarniającymi go mdłościami. Wreszcie wziął latarkę do ręki i spróbował się podnieść - bez rezultatu. Staw skokowy kategorycznie odmówił posłuszeństwa. Podobny ból czuł wiele lat temu, kiedy doznał kontuzji podczas meczu koszykówki. Wciąż zbierało mu się na wymioty, przed oczami wirowały kolorowe plamy. Ostrożnie wyprostował nogę, chwycił zwieszającą się nad nim gałąź i podciągnął się do pozycji stojącej, opierając cały ciężar ciała na lewej nodze. Był wściekły na śnieg, na swoje półbuty, na wszystko. Zasłużył sobie na ten ból. Spróbował przenieść część ciężaru ciała na prawą nogę, szybko jednak zrezygnował. Skoncentrował się na tym, by mocno chwycić się gałęzi i nie zgubić latarki.

Wiedział tylko tyle, że jest w lesie. Po kilku minutach odważył się ruszyć przed siebie, skacząc od drzewa do drzewa na lewej nodze.

- Hej! - pokrzykiwał od czasu do czasu.

Dopiero za którymś razem udało mu się ułamać suchą gałąź, która mogła posłużyć za laskę. Po oberwaniu bocznych gałązek i skróceniu miała około stu dwudziestu centymetrów długości i była lekko zakrzywiona na końcu. Sprawdził, czy wytrzyma jego ciężar, po czym, utykając, poszedł dalej.

Po dziesięciu minutach dotarł do trasy dla narciarzy. Sam wiele razy jeździł tu z Sadie na biegówkach, wiedział więc, że po drodze ustawiono szałas, w których zmęczeni narciarze mogli nieco odpocząć. Skręcił w lewo i podążył wzdłuż szlaku, nie mając najmniejszego pojęcia, czy idzie w stronę miasta, czy zapuszcza się coraz głębiej w las. Nie mógł opierać się na prawej nodze, bał się zanadto obciążać prowizoryczną laskę. Dwa razy upadł. Świadomość, że niesprawna noga uniemożliwi mu odnalezienie córki, doprowadzała go do szału. W pewnej chwili gdzieś z tyłu rozległ się odgłos wystrzału. Franklin zatrzymał się i usiłował coś dojrzeć między drzewami. Latarka świeciła coraz słabiej.

Mniej więcej po trzystu metrach ujrzał przed sobą niewielki drewniany szałas, ale dobrnięcie do niego zabrało mu ponad dziesięć minut. W tym czasie usłyszał jeszcze dwa wystrzały. Koszulę miał mokrą od potu, skarpetki i półbuty były zupełnie mokre. Schylił się, kuśtykając wszedł do środka i z westchnieniem ulgi opadł na długą ławkę biegnącą wzdłuż tylnej ściany. Laskę oparł obok siebie. Tutaj przynajmniej był osłonięty od wiatru. W kącie stał mały żeliwny piecyk, nie na wiele jednak mógł mu się przydać, ponieważ Franklin nie miał zapalek. Wyłączył latarkę, pochylił się i zaczął masować sobie kostkę.

Kilka minut później dostrzegł na szlaku światło latarki.

- Halo! - zawołał, spróbował się podnieść, bezradnie klapnął z powrotem na ławkę.

Ktoś stanął w wejściu do szałas i zaświecił mu w twarz.

- Kto tu jest?
- Franklin Moore - odparł Franklin, mrużąc powieki.
- Ten z gazety, zgadza się? To pańskiego dzieciaka szukają?
- Tak. A pan kim jest?
- Martin Farmer. Co pan tu robi?

Franklin nie znał nikogo o tym nazwisku, nic też nie widział, oślepiony blaskiem latarki.

- Skręciłem nogę w kostce.
 - I pewnie nie może pan iść? Niedobrze.
 - Pomoże mi pan?
 - Jasne. Powiem im, że pan tu jest.
- Mężczyzna odwrócił się, żeby odejść.
- Chwileczkę!

Franklin włączył swoją latarkę, lecz nadal nie mógł dostrzec twarzy Farmera. Zobaczył tylko czerwoną myśliwską czapkę i czerwoną kurtkę.

- Nie dam rady pana zanieść - powiedział Farmer. – Mam problemy z dyskiem. Sprowadzę paru chłopaków. To zabawne, że akurat na pana trafiłem.

I zniknął.

Franklin usiadł wygodniej na ławce, położył na niej wyprostowaną nogę. Nawet najmniejszy ruch sprawiał mu ogromny ból. Zegarek wskazywał dziesiątą. Wyłączył latarkę. W powietrzu czuć było wilgoć, jakby za chwilę znowu miało zacząć padać. Wiatr szumiał w gałęziach drzew.

Ktoś biegł ścieżką.

- Hej, na pomoc! - zawołał Franklin.

Kroki oddaliły się. A może to wcale nie były kroki? Może to tylko wiatr?

Mniej więcej pięć minut później kroki - tym razem na pewno - rozległy się ponownie. Zanim Franklin zdążył się odezwać, usłyszał swoje imię:

- Franklin! Franklin! - wołał ktoś wysokim, prawie piskliwym głosem.

- Tu jestem!

W wejściu stanęła jakaś postać. Franklin włączył latarkę i poświecił w tym kierunku, baterie były już jednak tak słabe, że z trudem dostrzegł ciemne spodnie i żółte śniegowce.

- Rzeczywiście.

Był to Donald Malloy.

- Skręciłem nogę w kostce - wyjaśnił Franklin.

Odpreżył się. Na widok Malloya poczuł prawdziwą ulgę.

- Tak słyszałem. - Ławka ugięła się pod ciężarem Donalda. Aptekarz poświecił Franklinowi w twarz, tak że ten zamrugał raptownie i odwrócił głowę, po czym zgasił latarkę, zamieniając się w niewyraźny kształt majaczący na granicy zasięgu słabnącego blasku latarki Franklina. - Wszyscy tam są. Biegają jak szaleni.

- Ale co z Sadie?

- To po prostu jeszcze jedna mała dziewczynka - odparł Donald z westchnieniem.

- Boże, to przecież moja córka!

Malloy oparł się o ścianę. Oddychał ciężko i chrapliwie, jakby piłował drewno.

- Ja nie mam dzieci.

Franklin na próżno usiłował dojrzeć w ciemności jego twarz. Pomyślał, że Malloy musi być zupełnie wyczerpany.

- Znaleźliście jakiś ślad? Muszę się stąd wydostać!

- Na pewno są jakieś ślady, ale nie tutaj. Wszystko zbliża się do końca.

- Co pan ma na myśli?

- Wkrótce wszystko się skończy. Może dziś, może jutro.

- Co to były za strzały?

- To ja strzelałem. - Donald wyjął zza paska pistolet, pokazał go Franklinowi, a następnie położył obok siebie na ławce. - Dawałem znaki.

- Komu?

Donald nie odpowiedział. Wciąż ciężko oddychał. Żółtawe światło latarki Franklina odbijało się w lufie pistoletu.

- Dlaczego nie zrobiłeś ze mną wywiadu? - zapytał Donald po dłuższym milczeniu.

Franklin sądził, że się przesłyszał.

- Do gazety?

- Mogłem powiedzieć ci wiele ciekawych rzeczy.
- Przecież pan nie chciał!
- Wtedy nie byłem jeszcze gotowy.
- Zamierzałem spróbować później.
- Za długo czekałeś! - syknął Donald i poruszył się gwałtownie.

Tweedowa czapka zsunęła mu się z czoła. Malloy ponownie oparł się o ścianę. Franklin dopiero teraz zauważył, że Donald wciąż ma ze sobą aktówkę. Nie potrafił sobie wyobrazić, na co komu aktówka w lesie. Nagle dotarło do niego, że coś jest nie w porządku.

Donald pochylił się, wziął do ręki opartą o ławkę laskę Franklina i cisnął ją w ciemność. Uderzyła w drzewo po drugiej stronie ścieżki i upadła w śnieg. Wiatr poruszał gałęziami, które skrzypiały cicho i ocierały się o siebie.

- Nie będzie ci już potrzebna - powiedział Donald Malloy.

Kiedy nadeszła wiadomość o zaginięciu Sadie Moore, Paul Leimbach był w kwaterze głównej policji stanowej w Potterville, gdzie pokazywano mu fotografie znanych policji osób, którym udowodniono napastowanie dzieci. Oczywiście znalazł się tam za wiedzą i zgodą kapitana Percy'ego. Leimbach natychmiast pobiegł do samochodu. Wyjeżdżając z miasta, usłyszał przez radio informację, że widziano mężczyznę niosącego dziewczynkę na szczyt wzniesienia w Lincoln Park. Zadzwoił z komórki do żony.

- Co chwila ktoś telefonuje - powiedziała. - Przyszli nawet po ciebie.

Domyślił się, że chodzi o Przyjaciół. Szosa była odśnieżona, lecz na zakrętach tu i ówdzie zostało nieco rozjeżdżonego i zamarznętego śniegu. Chociaż jechał dość szybko, wyprzedziło go sześć radiowozów z migającymi lampami na dachach.

Zatelefonował do Sandry Petoski w centrali Przyjaciół Sharon Malloy.

- Dzieje się coś niedobrego - usłyszał. - Ludzie mówią różne rzeczy. Chyba powinieneś pojechać prosto na komisariat.

Najpierw pojechał jednak do swego biura, gdzie w szufladzie biurka leżał jego pistolet. Na biurku stało zawinięte w czerwony papier pudełko opatrzone kartką z jego nazwiskiem. Zgarnął pudełko i pistolet i biegiem wrócił do samochodu. W drodze do Lincoln Park otworzył paczkę. Było za ciemno, żeby mógł odczytać napis, niemniej na widok ręki i fotografii Janice ciarki przebiegły mu po plecach. Nie miał pojęcia, dlaczego ktoś

uznał za stosowne mu to przesłać. Naturalnie zdawał sobie sprawę, iż jego nazwisko pojawia się w różnych spekulacjach dotyczących uprowadzeń, oraz że policja wie o jego krótkotrwałym związku z Janice, ale nie widział w tym żadnego sensu. Zaparkował na Johnson Street i wysiadł. Nieco dalej, w pobliżu skrzyżowania z Walnut Street, płonęło duże ogniisko. Dookoła kręciło się kilka postaci, tuż obok stało osiem albo dziewięć radiowozów z migającymi lampami. Po zboczu wzniesienia poruszały się małe światełka, rozlegały się okrzyki. Między drzewami przemykały ciemne sylwetki. Wiatr podrywał śnieg z ziemi i gnał go rozwleczonymi kłębami. Leimbach zatrzymał się pod latarnią, zapiął palto, wsunął pistolet do kieszeni, a następnie włożył rękawiczki.

Ledwo zdążył zrobić dwa albo trzy kroki, kiedy usłyszał, jak ktoś woła go po nazwisku. Dwaj mężczyźni puścili się pędem w jego kierunku. Po chwili dołączyło do nich jeszcze kilku. Również ci, którzy poruszali się po wzgórzu, zawracali i kierowali się w jego stronę. Było ich łącznie dziesięciu, może nawet piętnastu. Ich reakcja trochę go zdezorientowała; w pierwszej chwili poczuł nawet coś w rodzaju dumy, jakby tamci biegli po to, by zasięgnąć jego opinii albo odebrać polecenia, szybko jednak stwierdził, że w ich głosach dźwięczy gniewna, groźna nuta. Na przedzie biegł Mike Shiller. Leimbach wyszedł mu naprzeciw.

- Mike... - Urwał gwałtownie, ujrawszy grymas wściekłości i odrazy malujący się na twarzy Shillera.

- Sukinsyn!

Leimbach uniósł obie ręce, ale Shiller nie zatrzymał się, tylko runął na niego uderzając go w pierś i powalając na ziemię. Nadbiegali kolejni mężczyźni. Leimbach usiłował osłonić twarz, jednak Shiller uderzył go na odlew. Dwaj ludzie chwycili Paula za kołnierz palta i powlekli w kierunku ulicy. Leimbach wyciągnął z kieszeni pistolet, lecz w rękawiczkach

nie mógł znaleźć spustu. Potem ktoś go kopnął, pistolet wypalił, wlokąco go mężczyźni odskoczyli na boki. Leimbach przetoczył się na bok i zwinął w kłębek. W blasku kilku latarek widać było wyraźnie, jak na śniegu rozrasta się powoli czerwona plama. Okrzyki ucichły.

Nadbiegali następni, wśród nich także Ryan. Usłyszał czyjeś bolesne jęki, ale dopiero kiedy przepchał się przez milczący tłum, stwierdził, że to Leimbach.

- Kto do niego strzelał?

Zasapani i wściekły, odepchnął na bok Mike'a Shillera.

- Sam strzelił - odparł Shiller.

- To był wypadek - odezwał się ktoś inny.

- Chciał popełnić samobójstwo - dorzucił trzeci.

- Mam nadzieję, że umrze! - wycedził Shiller.

Ryan mocnym szarpnięciem rozdarł Leimbachowi spodnie tuż nad lewym kolaniem.

- Dawać tu tę karetkę! - ryknął.

Ambulans stał na ulicy, jakieś sto metrów od miejsca zdarzenia. Kilka osób wymachując rękami, pobiegło w tamtym kierunku. Chwilę później karetka powoli ruszyła w ich stronę.

Przy świetle latarki trzymanej przez Shillera Ryan założył Leimbachowi prowizoryczny opatrunek z chusteczki do nosa. Ambulans zakołysał się, przejeżdżając przez krawężnik, czerwone pulsujące światła zalały szkarłatem twarz mężczyzny.

- To on porwał dziewczynki! - powiedział Shiller oskarżycielskim tonem.

Ryan klęczał obok półprzytomnego Leimbacha.

- Nie macie dowodów.

- Więc je zdobędziemy! Są w jego domu.

- Jeśli tam są, znajdzie je policja.

- Wy za długo się z tym pieprzycie!

- Patrzcie, co miał na przednim siedzeniu! - zawołał ktoś stojący obok mazdy Leimbacha.

Natychmiast skierowały się tam snopy światła z kilku latarek. Mężczyzna trzymał rękę manekina z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Przez chwilę panowała głucha cisza.

- Chodźmy! - wykrzyknął wreszcie Shiller.

- Trzeba przeszukać jego dom!

Shiller w towarzystwie dwóch ludzi pobiegł w kierunku ulicy. Po chwili dołączył do nich kolejny mężczyzna, a potem jeszcze jeden.

- Zaczekajcie!

Ale tamci już biegli do samochodów. Ryan ruszył za nimi, zaraz jednak zatrzymał się, ponieważ koła karetki zabuksowały w śniegu.

- Chodźcie tu prędko z noszami! - zawołał.

Dom Leimbachów przy Myrtle Street był pograżony w ciemności, jeśli nie liczyć lampy na ganku oraz drugiej z tyłu budynku przy garażu, tam gdzie zamontowano tablicę do koszykówki. Martha pojechała z dziećmi do doktora Malloya. Przed dom zajęchały trzy samochody. Było w nich ośmiu mężczyzn. Fritz Mossbacher, listonosz pracujący na tej samej poczcie co Shiller, opowiedział później kapitanowi Percy'emu, co się stało.

- Nikt nie otwierał, więc Mike poszedł od tyłu. Wszystkie drzwi były zamknięte. Wziął kamień, stłukł szybę w bocznych drzwiach i wpuścił nas do środka. Zupełnie jakby miał to już wcześniej ułożone w głowie.

Mike Shiller był święcie przekonany, że w domu Leimbacha znajdzie dowody jego winy. Może broń, może butelkę chloroformu, a może poszewkę Meg ze zdobytymi w Halloween słodyczami, której nie było wśród jej zwróconych rzeczy.

- Donald powiedział nam, że Leimbachowi ręce kleiły się do Sharon - wyjaśnił Mossbacher. - A to ją uszczypnął, a to połaskotał... Mike był pewien, że Leimbach jest winny. Do tego jeszcze to wieczne pióro i telefony,

i ta sztuczna ręka w samochodzie... Przekopaliśmy się dokładnie przez wszystko, nie tylko w pokojach, ale i w piwnicy. Nie przejmowaliśmy się szczególnie tym, że coś niszczymy.

Niczego jednak nie znaleźli. Małe zamieszanie wybuchło w chwili, kiedy natrafili na dziewczęce ubrania, ale okazało się, że należały do córki Leimbacha. W domu panował niezwykle porządek: wszystkie naczynia w szafkach, ubrania w szafach i szufladach, czasopisma i gazety w jednym miejscu. Zamiast przyznać się do pomyłki, mężczyźni wpadli we wściekłość.

- Mike wciąż powtarzał, że fakt, że niczego nie znaleźliśmy nie oznacza, że niczego tu nie ma.

Przystąpili więc do metodycznego demolowania domu. Nie wątpię, iż kierowało nimi coś więcej niż tylko przekonanie o winie Leimbacha. Odreagowywali długie tygodnie frustracji i niewiedzy, dawali upust nagromadzonej złości. Tak się akurat złożyło, że obiektem, na którym ją wyładowali, stał się dom Leimbacha.

- Zaczęli rzucać naczyniami - opowiadał Mossbacher. – Ja chyba zresztą też. Ktoś zrzucił na podłogę kuchenkę mikrofalową, ktoś inny zaczął wyrzucać wszystko z szafek. Mike i Charlie Potter wrzucili lodówkę do piwnicy. Boże, ależ narobiła hałasu! Rozpruli łóżko wodne w sypialni na piętrze, woda zaczęła lać się z sufitu. Małe łóżko wyrzucili przez okno. Cały czas się śmiali. Niektórym zupełnie odbiło. Po co rozwalali telewizor? To wcale nie było potrzebne.

Percy zapytał Mossbachera, czy Shiller kazał im to robić.

- Robiliśmy to, bo chcieliśmy. Nikt nie musiał nam kazać.

Na szczęście któryś z sąsiadów wezwał policję i na szczęście w komisaracie był ktoś, kto odebrał zgłoszenie. Chuck Hawley pojechał na miejsce wraz z dwoma funkcjonariuszami i zmusił mężczyzn do opuszczenia domu.

- Powinniście trzymać naszą stronę, nie jego! – wykrzykiwał Shiller.
- Nie macie dzieci?

Chuck chwycił go za ramię, ale Shiller się uwolnił. Na chodniku zgromadziło się około dwudziestu osób. Podjazd przed domem otaczały ułożone rzędem białe kamienie, częściowo wystające spod śniegu. Shiller schylił się, podniósł jeden z nich i rzucił w największe okno.

- To było prawie jak wybuch - relacjonował Mossbacher. – Szkło pospało się na cały trawnik przed domem. Hawleya mało szlag nie trafił. Zakuł Mike'a w kajdanki i prawie wkopał go do radiowozu.

Później, kiedy już wszystko było jasne, uznano za ironię losu, że w tym samym czasie, kiedy Mike Shiller wraz z kompanami demolował dom Paula Leimbacha, doktor Malloy zjawił się w domu brata. Był sam, wszedł do środka przez kuchenne okno. Nazajutrz wyjaśnił, iż nie rozumiał, dlaczego Donald nagle zaczął oskarżać Leimbacha, skoro obaj zawsze byli przyjaciółmi. Nie rozumiał też dziwnego zachowania brata i miał nadzieję, że w jego domu znajdzie jakieś wyjaśnienie. Niewykluczone, iż oprócz tego dręczyły go jakieś prawie nieuświadomiane podejrzenia i przecucia. Co prawda zaprzeczał, ale kto wie, ile prawdy było w tych zaprzeczeniach? Oczywiście doktor Malloy często był w domu brata, rzadko jednak wchodził na piętro, a nigdy nie zdarzyło mu się zajrzeć na strych.

Franklin oparł notes na kolanie, ponieważ Donald Malloy chciał mieć go na oku. Latarka świeciła coraz słabiej. Franklin nie widział co pisze, długopis co chwila odmawiał posłuszeństwa na mrozie, niemniej jednak starał się notować najwierniej jak mógł. Nie chciał denerwować Donalda. W ciemności tylko z najwyższym trudem mógł dostrzec jego sylwetkę. Najpierw Donald kazał mu spisać podstawowe fakty z jego życia: że urodził się w Rochester, że pracował w Buffalo, że niefortunnie się ożenił.

- Ktoś mnie rozgniewał - powiedział Donald takim głosem, jakby jedynie ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywał się przed krzykiem.

- W jaki sposób?

- Ktoś przysłał mi rękę w pudełku po butach. Rękę i zdjęcie Janice z jej dedykacją. Przyniosła mi to ta mała komunistka.

- Harriet Malcomb?

Franklin zastanawiał się, czy może wierzyć w cokolwiek z tego, o czym mówi Donald Malloy.

- Pamiętasz oczy Janice? Nienawidziłem ich.

- Czy to był żart?

- Zdenerwowałem się. To nie była prawdziwa ręka, tylko manekina. Pudełko było obwiązane wstążką.

- Przekazał je pan policji?

- Po co mi je dała? - zapytał Donald chyba bardziej siebie niż Franklina, po czym poruszył się na ławce. - To chyba ta sama ręka, którą znaleźli w twoim domu. Ta, która miała być dla Sadie. To niemożliwe, żeby to był żart. - Umilkł na chwilę, a następnie zapytał gniewnie: - Dlaczego nie notujesz?

- Notuję.

Franklin pospiesznie nagryzmoilił imię Harriet.

- Nie kłam!

Przez jakiś czas siedzieli w całkowitej ciszy, wypełnionej ciężkim oddechem Donalda. Pistolet trzymał na kolanach.

- Ten, kto przysłał mi tę rękę, wie, że staram się kogoś osłaniać. To mój obowiązek. Moja matka wiele razy mi to powtarzała. Na szczęście już nie żyje, więc o niczym się nie dowie. Czy ty wiesz, jakie to wszystko było okropne?

Franklin odrobinę przesunął nogę i ból natychmiast odezwał się ze zdwojoną siłą.

- Kogo pan osłania?

- Naprawdę nie wiesz, kto jest winien? - zapytał Donald podniesionym głosem. - Nie bądź głupi!

- Więc kto? Leimbach?

- Leimbach jest idiotą!

To już prawie nie był głos, tylko pisk.

- Pański brat, Allen?
- Wstyd mi za niego!
- Allen uprowadził własną córkę?

Franklin coraz bardziej bał się siedzącego obok niego człowieka.

- Ludzie myślą, że on jest taki dobry. Pan doktor to, pan doktor tamto... Moja matka go osłaniała i ja też to robiłem, ale on jest jak zwierzę. Jak zgniły owoc.

- Nikt by tego nie podejrzewał.

Franklin żałował, że nie widzi twarzy Donalda, ale nie chciał włączać latarki, by nie zużyć baterii do końca. Lepiej zachować rezerwę na później, kiedy może bardzo potrzebować światła.

- Dlaczego piszesz po ciemku? - zapytał Malloy.
- Baterie już mi się prawie rozładowały.
- Moje nie.

Malloy włączył swoją latarkę i położył ją na ławce. Snop jasnego światła padał na ścieżkę i rosnące po drugiej stronie drzewa. Na twarzy Donalda Franklin ujrzał przebiegły uśmiech.

- Mój brat jest sprytny - powiedział Donald. - Tylko ja go przejrzałem. Zawsze wiedziałem o jego niedobrych przyzwyczajeniach.

- Badanie na wykrywaczu kłamstw na pewno by go zdemaskowało.

Franklin starał się, żeby jego głos brzmiał zupełnie obojętnie.

- Allen chce mnie skrzywdzić. Chce tak to zorganizować, żeby wykrywacz wskazał na mnie jako na sprawcę.

- Mimo to pan go osłania...

- Zawsze byłem dla niego dobry. Zawsze się starałem. Wiele razy tuszowałem jego postęпки. Dlaczego ona właśnie mnie przysłała tę rękę? Nie wiedziała, że to nie ja, tylko Allen?

- Czy pańskiego brata łączyło coś z Janice McNeal?
- Oczywiście! - parsknął Donald. - Naprawdę niczego nie rozumiesz?

- Proszę mi wyjaśnić.

- To nie jest przyjemna historia.

Franklin czekał na ciąg dalszy. Z daleka dobiegały okrzyki i nawoływania.

- Pomoże mi pan się stąd wydostać? - zapytał wreszcie Franklin.

- Nie tak prędko - odparł Donald. - Nie poganiaj mnie. Dlaczego nie piszesz?

- Piszę, piszę. - Franklin przesuwał długopisem po kartce. - To była ręka mężczyzny czy kobiety?

Donald chwycił pistolet i gwałtownie odwrócił się w jego stronę.

- Kpisz sobie ze mnie!

Uderzył go ręką w głowę. Franklin nie zdążył uchylić się przed ciosem. Zsunął się na ziemię i osłonił głowę rękami.

- Nie wiesz, że mogę cię zabić? - wykrzyknął Donald.

Franklin ostrożnie przesunął ręką po twarzy. Była zdrętwiała z zimna, nic nie czuł. Z trudem ukląkł. Donald wymierzył mu kopniaka.

- Wstawaj i rób, co do ciebie należy!

Franklin podciągnął się z powrotem na ławkę, po czym, przy blasku latarki Donalda, odszukał notes i długopis. Każdy ruch musiał okupić dotkliwym bólem.

- Nie lubię cię. Nigdy cię nie lubiłem. Ucieszyłem się, kiedy umarła ci żona.

Franklin wytarł zabłocony długopis o rękaw.

- W porządku - powiedział, starając się nie okazać gniewu ani strachu. - Proszę mi opowiedzieć o pańskim bracie i Janice.

- Ta kobieta sprawiła mu ból - oznajmił Donald po chwili milczenia.

- W jaki sposób?

- Ciii!... Ręką. Złapała go i sprawiła mu ból.

- Może to lubił? - zaryzykował Franklin.

- Nieprawda. Nigdy tego nie lubił.

- Cały czas mówimy o pańskim bracie, prawda?
- O Allenie. Wsunęła mu rękę w spodnie, wyjęła małego, ścisnęła i szarpała. Lubiała patrzeć, jak z niego tryska. On tego nie znoślił.
- Dlaczego więc jej na to pozwalał?
- Bo w głębi duszy był chory. Przecież już ci to mówiłem.
- A jednak nadal ją odwiedzał.
- Właśnie na tym polegała jego choroba.

Donald wciąż szeptał.

- Czy to on zabił Janice?

Franklin dopiero teraz poczuł, że na twarzy ma krwawiącą ranę. Otarł policzek rękawem.

- Kiedy znowu wsadziła mu rękę w spodnie, Allen złapał ją za gardło i ścisnął tak, jak ona ścisnęła jego. Wypuścił ją dopiero wtedy, kiedy całkiem ucichła.

- A co z jej ręką?
- Ręka podąża za tym, czego pragnie. Jedna ręka jest czysta, druga brudna. Zabrał jej brudną rękę.
- Wciąż ją ma?
- Oczywiście. Wszystkie są razem.

Franklin zadrżał. Donald siedział na ławce pochylony do przodu, mówił przytłumionym głosem. Pistolet leżał obok, lecz Franklin bał się po niego sięgnąć.

- A co z Sharon? Czy ona też była nieczysta?
- Miała nieczyste myśli.
- Dotykał ją pan?
- Nie! - Potem, znacznie ciszej, dodał: - Tylko Allen dotykał je wszystkie.

- Czy to Allen zabrał Sharon z ulicy?
- Zepsuł jej się rower, więc zatrzymał się przy niej. Dotykał ją wcześniej i dlatego się bał. Zapytał ją, czy komuś o tym powie, ale ona nie chciała o tym rozmawiać. Nie zamierzał jej dotykać, ona go do tego zmusiła. Chciała pokazać mu swoje futerko. Bał się, że jednak komuś powie. Przyjaźniła się z Sadie Moore. Mogła powiedzieć Sadie, mogła nawet

powiedzieć Aaronowi. Aaron wypytywał wszystkich o swoją matkę. Allen kazał jej obiecać, że nikomu nie powie, ale ona milczała. Wtedy zasłonił jej usta. Próbowala krzyżeć, ale jej nie pozwolił. Kiedy Sharon była całkiem mała, była bardzo miła. Teraz to się zmieniło. Za bardzo wyrosła, żeby być miła. Zmusiła go, żeby ją dotykał, a kiedy to zrobił, udawała, że to jego wina. Jego palce czuć było jej futerkiem. Jego ręka stała się nieczysta. Jeszcze trochę a zaczęłyby łapać mężczyzn tak jak Janice. Mój brat postanowił ją przed tym ocalić. Postanowił uczynić z niej świątynię. Gdzieś daleko rozległ się policyjny gwizdek.

- Znowu nie piszesz! - stwierdził z gniewem Donald.

- Stenografuję - odparł Franklin. - To są takie specjalne znaki. Później przepiszę to na czysto. A co z ręką Sharon?

- Nie rozumiesz? - Donald jeszcze bardziej zniżył głos. - To wszystko wina ręki. Ręka lubi chwytać i ścisnąć. Ręka je. Ręce jedzą. Ręce są unurzane w szczytach i gównie, a nawet w jeszcze gorszych rzeczach. Ręce uwielbiają je w siebie wcierać.

- Więc co zrobił?

Donald roześmiał się cicho.

- Przecież wiesz.

- Uciął rękę?

- Tylko w ten sposób można pozbyć się brudu. Lewa ręka jest nieczysta. Musiał je oczyścić, musiał oczyścić wszystkie dziewczęta.

- A co z ręką Meg?

- Wszystkie są razem.

Franklin z przerażeniem zobaczył, jak Donald Malloy poklepuje aktówkę.

- Czy... czy one tam są? - zapytał szeptem.

- Chcesz je zobaczyć?

Franklin starał się nie myśleć o teczce i jej zawartości, jednak zupełnie mu się to nie udawało.

- Dlaczego właśnie Meg i Karla?

- Nie były lepsze od Sharon. Przychodziły do apteki. Mój brat mógł im się dobrze przyjrzeć. Miały nieczyste myśli, wypinały swoje małe piersi, swoje nędzne cycuszki. Widziałem je. Śmiały się i flirtowały. Odślaniały nogi. One też chciały chwycić i ścisnąć. Poza tym Sharon czuła się samotna. Allen musiał zapewnić jej towarzystwo. To musiały być dziewczynki tak samo zepsute jak ona. Dziewczynki z futerkiem. Wcale nie chciał ich skrzywdzić, chciał je ocalić.

- W jaki sposób je porywał?

- Podjeżdżał samochodem, łapał je, ścisnął i wrzucał do bagażnika.

- Dlaczego nie uciekały?

- A dlaczego miałyby uciekać? Przecież jeździł samochodem z pomarańczowymi trójkątami na drzwiach. Był Przyjacielem.

- Czy Sadie... też?

Franklin zdziwił się, że pytanie w ogóle przeszło mu przez gardło.

- Ona też jest niedobra. Przyszła kiedyś do apteki. Zraniła się, musiałem dotknąć jej nogi. Był z nią Aaron, zadawali pytania. Ale ona tylko udawała, że jest ranna. Chciała, żebym dotykał jej nogi. Miała pierścienek z gołębicą. To Aaron ją zepsuł. Chciał, żeby stała się taka sama jak Janice.

- Allen jej nie zabrał?

- Próbował. Nie chcę o tym mówić.

To, co Franklin poczuł, nie było nadzieją. Po prostu zobaczył przed sobą ogromną, zupełnie pustą, niewypełnioną niczym przestrzeń, a w samym środku tej przestrzeni stała Sadie.

- Więc nie udało mu się?

- Powiedziałem, że nie chcę o tym mówić! - odparł Donald podniesionym głosem. Przez chwilę milczał, a kiedy odezwał się ponownie, mówił już całkiem spokojnie: - Dziewczynki kochają się nawzajem i kochają swoją nieczystość. Czy widziałeś, jak się uśmiechają? Chyba nie myślisz, że to są prawdziwe uśmiechy? Allen sądził, że nikt się nigdy nie

dowie. Wydawało mu się, że wie tylko moja matka. Jest niedobry. Czyż nie miał niedobrej córki? Zaraziła się tym od niego. Teraz mój brat zbudował świątynię trzech dziewcząt. Wydaje ci się, że nie żyją, ale to nieprawda. Poruszają się i błyszczą. Migoczą w świetle. Nieczyste słowa zostały oczyszczone. Czy wiesz, że są liczby dobre i niedobre? Chronią je dobre liczby. Mój brat modli się tam. Pragnie stać się lepszym, ale zło głęboko zapuściło korzenie. Nie jest w stanie zeszkrobać go nawet nożem. Powinienem powiedzieć o nim policji, ale jest moim bratem. Powinienem go kochać.

- A co z Jaimem? - spytał Franklin, zapisując imię w notesie.

- Był jak Janice. Tacy ludzie noszą maski zamiast twarzy. Uśmiechają się, sprawiają wrażenie szczęśliwych. Udają, że cię lubią. Czy wiesz, jaka paskudna jest czaszka, kiedy usunie się skórę? Dopiero wtedy naprawdę widać zęby. Właśnie takie są ich prawdziwe twarze. Mój brat go ustawił. Jaime włożył rękę w spodnie Allena i ścisnął jego małego. Miał zamiar o tym wszystkim opowiedzieć, więc Allen nie mógł do tego dopuścić. Zabrał go z powrotem do salonu piękności. Co za nazwa! To prawie śmieszne. Nie żaden salon piękności, tylko obrzydlistwa, salon ohydy!

- A Barry?

- Och, wkrótce umrze. Zaczął mówić, chociaż wytłumaczyłem mu, że nie powinien tego robić, że tak nie można. Trzeba nauczyć go milczenia. Mój brat to załatwi. On to potrafi.

- Jest niebezpieczny.

Donald zachichotał.

- Owszem, nawet bardzo!

- Trzeba go powstrzymać.

- Och, naturalnie! On również stał się bardzo nieczysty. - Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej. - Jest zimno, ale chyba nie za zimno, prawda? Kiedy Allen odejdzie, kiedy inni odejdą, zrobi się lepiej. Nie mamy wiele czasu. Czy to nie okropne, to całe zamieszanie? Musimy wszystko uspokoić. Ludzie nie mają racji, bojąc się śmierci. Śmierć to spokój.

Dziewczynki są takie spokojne... Czasem wydaje mi się, że się modlą.

- Powinien pan opowiedzieć to policji.

Donald zaśmiał się z goryczą.

- Nie uwierzą, że to on. Zawsze odgrywał rolę tego dobrego. Na przykład w szkole. Ja jednak widywałem go, kiedy spał, kiedy zgrzytał zębami. Obserwowałem go wtedy, kiedy on nie miał o tym pojęcia.

- Powinien więc pan przynajmniej porozmawiać z Ryanem Tavichem.

- Próbujesz mnie wykiwać.

- Wcale nie - odparł Franklin. - Jestem pańskim przyjacielem.

- Udajesz, że notujesz, ale wcale tego nie robisz! - Donald wyrwał mu notes z ręki, poświecił latarką. Kartki były prawie puste, tu i ówdzie widniały jakieś nieczytelne gryzmoły, pojedyncze litery, pozbawione znaczenia zawijasy. - Chcesz mnie oszukać! - wykrzyknął Donald Malloy, rzucając notes w śnieg.

- Wszystko mam w głowie. Później to spiszę.

Donald syknął niecierpliwie.

- Mogłem cię przekonać. Mogłeś mi uwierzyć.

- Wierzę panu, naprawdę! Wszystko zapamiętałem.

Franklin usłyszał odgłos otwieranych zamków aktówki.

- Patrz! - powiedział Donald.

Franklin stanął na zdrowej nodze, spróbował się odwrócić, kątem oka zobaczył Donalda trzymającego w jednej ręce latarkę, a w drugiej coś przerażającego. Ruszył do przodu, wyskoczył z szałas, z całej siły odepchnął się rękami od futryny, przekroczył ścieżkę, upadł, zaczął się czołgać w śniegu. Dotarł do zwałonego pnia, dźwignął się na drugą stronę, znieruchomiał. Snop światła z latarki Donalda zatańczył nad jego głową.

- Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać - powiedział Donald. - Sadie to bardzo ładne imię. Jestem pewien, że ją znajdziemy.

Donald wyszedł spomiędzy drzew przy samym parkingu. Stał tam samochód Armii Zbawienia z Utiki, z którego jakaś kobieta rozdawała kubki z gorącą kawą. Donald nie wyróżniał się niczym szczególnym wśród ochotników uczestniczących w poszukiwaniach. Nie zatrzymując się, przeszedł przez parking i skierował się w stronę pagórka. Tędy wiodła najkrótsza droga do centrum.

Ryan zobaczył go schodzącego ze wzniesienia, a raczej zobaczył kogoś z aktówką i w żółtych śniegowcach. Donald biegł lekko pochylony, na ugiętych nogach - Ryanowi skojarzyło się to ze zwierzęciem. Oświetlał sobie drogę latarką. Ryan i Chuck Hawley zmierzali w kierunku ulicy, by porozmawiać z Aaronem, który właśnie przyjechał. Ryan przypuszczał, że Aaron ma jakieś wiadomości o Sadie. Nagle stanął jak wryty, wpatrując się w zbiegającą po zboczu postać.

- To Donald Malloy - powiedział Chuck.

- Hej! - zawołał Ryan i ruszył truchtem w stronę Donalda. Chciał zapytać go o to, co mówił doktor Malloy, a także o aktówkę. Zamierzał do niej zajrzeć.

Donald zatrzymał się, wyłączył latarkę i włożył ją do kieszeni. Stał przodem do Ryana, ściskając oburącz aktówkę na wysokości brzucha. Czapka przekrzywiła mu się na głowie. Ponieważ był nieco wyżej, wydawał się nienaturalnie wysoki. Kiedy Ryan podszedł bliżej, zobaczył uśmiech na jego twarzy. Oświetlił go latarką w samą porę, by ujrzeć, jak Donald wysuwa zza teczki jedną rękę. Trzymał w niej pistolet. W pierwszym momencie Ryan pomyślał, że ma przywidzenia. Trwające ułamek

sekundy wahanie okazało się decydujące. Odskoczył w bok w tej samej chwili, gdy Donald nacisnął spust. Poczul coś jakby potężne kopnięcie, latarka wypadła mu z ręki i poszybowała w powietrzu. Padł drugi strzał. Ryan runął na śnieg, przetoczył się metr albo dwa. Usiłował sięgnąć po broń, lecz mięśnie nie chciały go słuchać.

Aaron był mniej więcej w połowie zbocza, kiedy usłyszał strzał. Widział, jak ktoś pada, nie wiedział jednak, że to Ryan. Chuck Hawley błyskawicznie wyciągnął pistolet z kabury.

- Donald! - krzyknął, po czym wystrzelił trzy razy.

Donald Malloy zawrócił i pobiegł z powrotem w kierunku szczytu wzniesienia. Skrył się za jednym z drzew, strzelił za siebie. Ludzie zgromadzeni przy ognisku najpierw znieruchomieli, potem jak jeden mąż padli na ziemię. Aaronowi nawet nie przyszło do głowy, że może zostać trafiony. Zobaczył Chucka biegnącego do człowieka, który leżał na wznak między drzewami, i pognał za nim. Latarka rannego tkwiła w śniegu na sztorc jak pochodnia. Stożek światła zdawał się muskać wiszące nisko chmury. Dopiero kiedy Aaron podniósł latarkę i pochylił się wraz z Chuckiem nad wijącym się w śniegu mężczyzną, rozpoznał Ryana Tavicha.

- Cholera! - powtarzał Chuck. - Cholera!

Przyklęknął obok Ryana. Aaron z latarką w ręce popędził za Donaldem, który właśnie znalazł się na szczycie wzgórza. Gdzieś z przodu rozległy się krzyki. Aaron potknął się, ale szybko odzyskał równowagę. Dotarli do parkingu, zobaczył biegnących na jego spotkanie ludzi. Ani śladu Donalda.

- Czy to Leimbach? - wykrzyknął ktoś.

- Gdzie Donald Malloy? - zapytał Aaron.

Kobieta z Armii Zbawienia wpatrywała się w niego wybałuszonymi oczami. Kilku policjantów trzymało w rękach broń gotową do strzału. Ludzie miotali się we wszystkich kierunkach. Jakiś człowiek, którego

widział po raz pierwszy w życiu, złapał go za ramię.

- Kto zginął? - wysapał.

Aaron machnął ręką w stronę podnóża wzniesienia, wyszarpnął ramię i pomknął w las. Snop światła jego latarki prześlizgnął się po tabliczce z sylwetką narciarza na biegówkach i strzałką wskazującą kierunek. Aaron myślał o uciekającym przed nim Donaldzie Malloyu. Do tej pory wiedział tylko, że Donald molestował kiedyś Barry'ego Sandersa. Teraz miał już pewność, że także zamordował Janice. Profesjonalista, tak o sobie mówił. Teraz Aaron zamierzał mu za to wszystko odpłacić. Biegł tak szybko, że ślizgał się i potykał, a raz nawet się przewrócił. Zataczał latarką półkoła, w poszukiwaniu miejsca, w którym ślady skręcały w las. Na razie jednak odciski ciężkich zimowych butów prowadziły go środkiem ścieżki. A może to wcale nie były ślady Donalda? Aaron zatrzymał się, nasłuchując. Gdzieś z przodu rozległo się wołanie:

- Halo! Pomocy!

Aaron nie rozpoznał głosu, niemniej szybkim krokiem ruszył w stronę miejsca, z którego dobiegało wołanie. Co prawda przez głowę przemknęło mu podejrzenie, że to może być pułapka, zaraz jednak odrzucił je jako mało prawdopodobne. Niepokoilo go tylko to, że Donald może mu uciec. Zaczął padać śnieg, duże płatki wirowały w strumieniu światła jego latarki.

- Pomocy! Tu jestem!

W chwili, kiedy Aaron dostrzegł niewyraźną sylwetkę stojącą na ścieżce, rozpoznał po głosie Franklina. Nagle uświadomił sobie, że Franklin jest jego szwagrem i aż się skrzywił - nie z niechęci, lecz raczej czegoś w rodzaju zażenowania.

- Tutaj!

Aaron podszedł bliżej, świecąc Franklinowi w twarz, tak że ten musiał zmrużyć powieki i częściowo odwrócić głowę. Stał na jednej nodze. Zupełnie jak kaczka, pomyślał Aaron.

- To ty - rzucił.

Franklin osłonił oczy ręką. Drugą opierał się o drzewo.

- Aaron? Skręciłem nogę w kostce. Nie mogę chodzić.
- Donald Malloy strzelał do Ryana - powiedział Aaron.
- Boże! Zabił go?

Franklin zachwiał się i musiał złapać się drzewa obiema rękami, żeby nie upaść.

- Chyba nie. Zaraz potem uciekł w las.
- Szuka Sadie. Musimy go powstrzymać!

W głosie Franklina brzmiała panika.

- Nie znajdzie jej. - Dopiero teraz Aaron opuścił latarkę. - Ja ją mam.

Aaron zawiózł Sadie do Aurelius Motel. Była przy niej Harriet. Zrobił to po to, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Podejrzewał, że po otrzymaniu paczki z ręką morderca przystąpi do działania, chciał więc mieć pewność, że Sadie nic się nie stanie. Pomyśl, żeby upozorować jej porwanie, przyszedł mu do głowy niemal w ostatniej chwili. Może w ten sposób jeszcze bardziej rozdrażni zbrodniarza, który dojdzie do wniosku, że ktoś próbuje wkroczyć na jego teren? Gdy tylko dowiedział się o krótkotrwałym związku Barry'ego z Donaldem Malloyem, i o tym, jak Donald potraktował chłopaka, był prawie pewien, że zabójcą Janice i porywaczem dziewcząt jest właśnie Donald, brakowało mu jednak stuprocentowych dowodów. Chciał zmusić go do działania, chciał go sprowokować, żeby sam się ujawnił, tak żeby nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do jego winy.

- Ale przecież ktoś widział, jak jakiś mężczyzna niesie ją do parku... Czy na pewno nic jej nie grozi?

- Tak jak powiedziałem.

Aaron był trochę zirytowany na szwagra.

- Musisz mi pomóc się stąd wydostać.
- Najpierw muszę znaleźć Malloya.

Franklin chwycił go za ramię, mało się przy tym nie przewracając.

- Ale ja tu umrę! Już prawie zamarzę!

- On zabił moją matkę - odparł Aaron takim tonem, jakby mówił o wczorajszej pogodzie.

Zapadło milczenie.

- Wiem - powiedział wreszcie cicho Franklin.

- Sukinsyn.

Aaron odsunął się o krok i Franklin upadł na ścieżkę. Aaron stał bez ruchu, świecąc na niego latarką. Żaden się nie odzywał. Po jakimś czasie Franklin spróbował usiąść. Śnieg oblepiał nie tylko jego ubranie, ale również włosy.

Aaron całkiem poważnie zastanawiał się, czy go tutaj zostawić. Wyobraził sobie Franklina w postaci bryły lodu, którą wystarczy uderzyć, by rozsypała się na tysiąc kawałków. Wreszcie wyciągnął rękę i pomógł mu wstać, potem zaś objął go w pasie.

- Złap mnie za szyję.

Franklin uczynił to i powoli ruszyli naprzód.

- Kiedyś sam chciałem zabić Ryana, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć - powiedział Aaron.

Po dziesięciu minutach wyszli z lasu. Po drodze nikogo nie spotkali, dopiero tuż przy parkingu natknęli się na dwóch policjantów. Samochód Armii Zbawienia zniknął. Policjanci pomogli Franklinowi zejść z pagórka. Aaron odprowadził wzrokiem podskakujące w ciemności światła ich latarek. Wciąż myślał o tym, że pozwolił Donaldowi uciec, i próbował przekonać samego siebie, że dobrze się stało. Choć widział go na ławie oskarżonych, nadal uważał, że to za mała kara.

Donald Malloy przeciął narożnik parku i ponownie znalazł się na ulicy. Z rozbawieniem myślał o policjantach szukających go w lesie, podczas gdy on jakby nigdy nic biegł alejką między Juniper Street i Spruce Street. W jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej aktówkę. Ciemnobrązowe palto sięgało mu poniżej kolan. Był z gołą głową, ponieważ podczas

ucieczki zgubił czapkę. Ulicą przejeżdżały samochody, alejka jednak była pusta. W ciągu minionego miesiąca zdążył dokładnie poznać wszystkie alejki i zaułki w Aurelius.

Dotarł od tyłu do domu Barry'ego Sandersa, zaczekał chwilę za rogiem budynku, aż ulica opustoszeje. Zdawał sobie sprawę, że szukają go już wszyscy policjanci w mieście. Wreszcie przeskoczył przez balustradę, ciężkim krokiem przemierzył ganek i załomotał do drzwi.

Kiedy pani Sanders uchyliła je na szerokość palca, od razu uderzył w nie całym ciężarem ciała i wszedł do środka.

- Gdzie twój syn? - zapytał.

Rzadkie rudawe włosy miał przyprószone śniegiem.

- Proszę odejść! - odparła pani Sanders. - Niech pan natychmiast wyjdzie z mojego domu!

Uderzył ją w twarz pistoletem z taką siłą, że runęła na podłogę.

- Gdzie Barry? Gdzie on jest?

To nie był krzyk, tylko coś w rodzaju zachrypniętego pisku.

- Nie ma go tutaj.

Pani Sanders uklękła, sięgnęła ręką do zakrwawionej twarzy.

- Kłamiesz! Czy wiesz, jaki on jest zepsuty?

- Nie ma go tutaj - powtórzyła, próbując się podnieść.

Donald uderzył ją ponownie, a ona osunęła się na kolana.

- Nie wolno kłamać! Za kłamstwo grozi kara. Nie wiesz, że to właśnie ja wymierzam kary? Spójrz!

Ukląkł obok niej, otworzył aktówkę. Pani Sanders zaczęła przeraźliwie krzyżeć. Donald zatrzaskał teczkę i wbiegł do salonu.

- Barry, to ja! Już do ciebie idę!

Barry był na górze. Czym prędzej pobiegł do łazienki i zamknął się od środka. Donald chyba go usłyszał, gdyż wbiegł po schodach. Pani Sanders wciąż krzyżała. Barry myślał, że coś jej się stało i chciał pomóc, ale za bardzo się bał. Schował się w kabinie prysznicowej, zacisnął powieki i modlił się, by zniknąć.

- Jesteś niegrzeczny! - wołał Donald, trzaskając drzwiami kolejnych pomieszczeń. - Jesteś nieczysty, ale ja cię oczyszczę! Zrobię z ciebie świątynię!

Barry wyskoczył z kabiny, rzucił się do okna. Donald nacisnął klamkę drzwi łazienki i stwierdził, że są zamknięte.

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Wyleczę cię tylko i uczynię lepszym.

Barry na próżno szarpał się z oknem, próbując je otworzyć. Wychodziło na dach bocznej werandy.

- Otwórz, to postaram się, żeby cię prawie nie bolało!

Donald uderzył w drzwi całym ciężarem ciała. Cienkie drewniane panele zatrzęszczały. Potem kopnął w dolny panel, który wypadł z hukiem. W otworze Barry zobaczył żółte śniegowce.

W łazience stał stołek, na którym jego matka siadała czasem, czesząc się przed lustrem. Barry rzucił nim w okno, wybijając szybę.

- Barry! - zaskrzeczał Donald. - Będę musiał cię ukarać!

Ponownie spróbował wyważyć drzwi, lecz te nie ustąpiły. Uderzył jeszcze raz, a następnie strzelił. Pocisk przebił drzwi i odbił się rykoszetem od umywalki.

- Jesteś zepsuty do szpiku kości!

Ale Barry był już na dachu. Doczołgał się do krawędzi i spojrzał w dół. Od ziemi dzieliło go około czterech metrów. Usiadł na brzegu, zwiesił nogi. Wiał przenikliwy wiatr, było mu bardzo zimno. Próbował zmusić się do skoku, ale nie mógł. Chwilę później usłyszał, jak drzwi łazienki ustępują z przeraźliwym trzaskiem. Obejrząwszy się przez ramię, ujrzał potężną sylwetkę Donalda zmierzającą ku oknu. Natychmiast skoczył, spadł na ziemię z nogami ugiętymi w kolanach. Odrzuciło go na bok. Potłukł się boleśnie, ale niemal od razu zerwał na nogi.

- Barry!

Donald przeciskał się przez okno na dach werandy. Wiatr sypał mu śniegiem w twarz.

Barry rzucił się do ucieczki.

Donald wrócił do łazienki, zbiegł na dół po schodach i wypadł na zewnątrz przez frontowe drzwi. Biegł po śladach Barry'ego, na ulicy jednak stracił je z oczu. W tym czasie Barry był już za sąsiednim domem i co sił w nogach pędził na ukos w kierunku bocznej alejki.

Donald ruszył biegiem w stronę centrum miasta. Jego ślady tworzyły na śniegu prostą linię. Nie wiadomo, dokąd zmierzał. Niektórzy utrzymywali później, że biegł na komisariat, inni zaś, że zamierzał dotrzeć do kwatery głównej Przyjaciół, przed którą zostawił samochód. Sporo osób widziało go, gdyż przemykał obok ich domów. Był przygarbiony, jakby kogoś tropił. W rozwianym palcie wydawał się znacznie potężniejszy niż w rzeczywistości. W ręce cały czas ścisnął aktówkę.

Sheila Murphy stała w drzwiach Bud's Tavern. Jedynym klientem był wtedy pijany Tommy Shepherd, wyszła więc na chwilę na zewnątrz, by popatrzeć na śnieg. Zastanawiała się, gdzie się wszyscy podziali. Nagle zobaczyła schylonego mężczyznę biegnącego środkiem ulicy.

- Zupełnie jakby węszył - opowiadała później.

Dopiero po chwili rozpoznała Donalda. Jezdnia była pokryta rozjeżdżonym śniegiem, ale na wierzchu tworzyła się już świeża biała warstwa.

Za plecami Donalda zza zakrętu wyjechał z dużą prędkością jakiś pick-up. Sheila zmrużyła i osłoniła oczy, samochód miał bowiem włączone światła drogowe. W momencie, gdy ich blask zalał sylwetkę Donalda, kierowca gwałtownie wcisnął hamulec. Samochód wpadł w poślizg, przez chwilę sunął bokiem, aż wreszcie znieruchomiał w poprzek jezdni, uderzając tylnymi kołami w krawężnik.

Kierowca otworzył drzwi, wysiadł, sięgnął do uchwytów zamontowanych przy tylnej szybie i zdjął z nich myśliwską strzelbę. Nie spieszył się. Nie wyłączył świateł, drzwi zostawił otwarte.

W blasku potężnych reflektorów płatki zdawały się znacznie większe niż w rzeczywistości. Sheila nie widziała twarzy mężczyzny, śnieg był zbyt gęsty. Wbiegła z powrotem do baru.

- Bud, tam jest jakiś człowiek ze strzelbą! Dzwoni na policję!

Potem wróciła na ulicę, rozcierając zmarznięte ramiona.

Donald Malloy biegł środkiem Main Street w kierunku ratusza oraz pomnika Ofiar wojny domowej, na którym odlany z brązu żołnierz stał z muszkietem na baczność. Na obelisku umieszczono nazwiska obywateli Aurelius uczestniczących w tej wojnie. Brązowe gwiazdki oznaczały tych, którzy zginęli. Śnieg wirował wokół nieruchomej postaci.

Donald zatrzymał się przy monumencie, by złapać oddech. Mężczyzna z pick-upa podniósł strzelbę do ramienia i nacisnął spust. Gęsty śnieg stłumił odgłos wystrzału, który zabrzmiał jak trzask łamanej gałęzi. Donald zachwiał się, chwycił za nogę żołnierza. Odwrócił się w kierunku tego, kto do niego strzelał, chwiejnie postąpił krok naprzód. Tamten wciąż trzymał broń przy ramieniu, jakby szykował się do kolejnego strzału. Donald zrobił jeszcze jeden krok, stanął i potrząsnął głową. Przez jakiś czas stał nieruchomo, lekko zgarbiony, z głową wciśniętą w ramiona.

- Wyglądał jak postawiona na sztorc trumna – opowiadała Sheila.

Następnie odwrócił się i niepewnie ruszył przed siebie chodnikiem. Mężczyzna ze strzelbą wciąż do niego celował. Gdyby chciał, mógłby rozwalić mu głowę, ale tego nie zrobił. Przez chwilę jakby się zastanawiał, po czym nieco opuścił lufę i poszedł za Donaldem. Sheila podążyła za nimi.

Po kilku metrach Donald potknął się i osunął na kolana. Cisnął w śnieg pistolet, oparł łokcie na udach i zgiął się tak bardzo, że dotknął czołem śniegu. Trwał bez ruchu przez kilkanaście sekund, później zaś bez pośpiechu wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył aktówkę. Najpierw wydobył coś, co z daleka wyglądało jak prostokątny kawałek metalu.

Dopiero po chwili Sheila zorientowała się, że to tasak. Donald podniósł go wysoko nad głowę. Jego lewa dłoń i przedramię spoczywały na zasnieżonym chodniku. Cztery samochody, w tym jeden radiowóz, zatrzymały się przy obelisku. Nagle Donald błyskawicznym ruchem uderzył tasakiem w nadgarstek. Jego ciało wyprężyło się gwałtownie, a głowa odchyliła do tyłu, tak że spoglądał w zachmurzone niebo. Powoli uniósł tasak, uderzył ponownie, a potem jeszcze raz. Sheila wrzasnęła przeraźliwie. Ręka Donalda została na chodniku, z kikuta trysnął na śnieg strumień jasnej krwi. Donald, wciąż z tasakiem w dłoni, podniósł się z kłęczek.

- Malloy! - zawołał ktoś.

Donald nie zwrócił na to uwagi. Podniósł odrąbaną rękę, delikatnie wytarł ją o palto, włożył do aktówki i zatrzasnął ją. Sheila wyraźnie usłyszała kliknięcie zameczków. Krew wciąż tryskała na śnieg obfitym strumieniem. Donald wyprostował się, zrobił krok naprzód, oddalając się od samochodów i wyskakujących z nich mężczyźn. Pozbawione dłoni przedramię zataczało szerokie kręgi, krew bryzgała we wszystkie strony. Donald postąpił jeszcze krok, zatrzymał się, spojrział w górę, na płatki śniegu oświetlone blaskiem ulicznej latarni, zachwiał się, a następnie runął na twarz.

Podążający za nim powoli mężczyźni rzucili się ku niemu co sił w nogach, pierwszy jednak dotarł na miejsce doktor Malloy i lufą strzelby otworzył aktówkę. Wewnątrz, unieruchomione elastyczną taśmą, spoczywały na poduszce cztery ręce. Pięta, zakrwawiona, leżała na wierzchu. Tylko ta jedna wyglądała jak ludzka ręka. Pozostałe miały zakrzywione palce, jakby każda z nich ścisnęła kulę powietrza. Najstarsza była ciemnobrązowa, opięta cienką jak pergamin skórą, z ciemnoczerwonymi paznokciami. Najświeższa zachowała jeszcze resztki naturalnej cielistej barwy. Przypominała rękę dziecka. Dwie pozostałe wyglądały jak wyschnięte, gruzłowate małpie ręce. W porównaniu z nimi ręka Donalda sprawiała absurdalne wrażenie żywej i zdrowej. Leżała na nich jak miękka trufla. Wciąż jeszcze sączyła się z niej krew.

Allen Malloy w milczeniu przyglądał się rękom. Pozostali stanęli za nim ciasnym półkolem.

- Co to? - dopytywała się Sheila Murphy. - Co tam jest?

Przepchnęła się do przodu.

- Doktorze Malloy... - powiedział ktoś, zbliżając się do milczącej grupki. Był to kapitan Percy.

Doktor odwrócił się i otarł śnieg z twarzy. Wydawał się zdziwiony widokiem tyłu ludzi. Bez słowa oddał strzelbę Percy'emu.

Oto jak wyglądały: trzy martwe dziewczęta siedzące na trzech krzesłach z wysokimi prostymi oparciami. Pośrodku czternastolatka, wyższa od pozostałych o pół głowy, trzynastolatki po jej lewej i prawej stronie. Na piersi każdej z nich krzyżowały się linki prowadzące w górę nad ramię, w dół wokół talii i związane za plecami. Wszystkie trzy były bose, ich kostki przywiązano do nóg krzesła.

Donald Malloy usunął drzwi prowadzące na strych, wstawił w otwór łatę z desek, a następnie zakleił ją taką samą tapetą jak ta na ścianach hallu na piętrze, błękitną w małe ciemnogrnatowe bukietki i w drobniutkie żółte jaskry. Nic nie wskazywało na to, że w tym miejscu kiedykolwiek znajdowały się drzwi.

Doktor Malloy znalazł ukryte w szafie tajne przejście, kiedy włamał się wieczorem do domu brata. Przekonawszy się, co jest na strychu, z bólu i wściekłości rozbił na kawałki wstawiony fragment ściany, po czym wyruszył na poszukiwania Donalda.

Zdjęcia strychu robił Chuck Hawley. Twierdzi, że widok, jaki tam ujrzał, tak głęboko wrył mu się w pamięć, że nie musi patrzeć na fotografie, by ponownie ujrzeć go ze wszystkimi szczegółami. Widzi go niemal bez przerwy, znacznie częściej niżby sobie życzył: trzy martwe dziewczęta siedzące na trzech krzesłach z wysokimi oparciami.

W Lincoln Park na wiosnę wzniesiono pomnik, by uczcić pamięć dziewczynek. Jest to czarny prostopadłościan wysokości trzech a szerokości jednego metra, z nazwiskami i datami wyrytymi na wszystkich czterech ścianach. Na uroczystości odsłonięcia stawilo się pół miasta.

Ja też tam byłem. Bernie Kowalski wygłosił mowę, podobnie jak ojciec Murphy z kościoła Świętej Marii - ten drugi mówił długo i tak zawile, że nie wszyscy go zrozumieli. Żadne z tych przemówień nie podniosło nas na duchu. Obaj wciąż nawiązywali do niedawnych tragicznych wydarzeń. Nikt z rodzin zamordowanych dziewczynek nie chciał zabrać głosu. W ceremonii uczestniczył także Mike Shiller z przyjaciółmi, tymi samymi, z którymi zdemolował dom Paula Leimbacha. Jeśli ktoś przypuszcza, że okazali skruczę, albo że przynajmniej było im głupio, to się myli. Moim zdaniem wciąż sprawiali wrażenie zagniewanych, jakby gniew został z nimi od tamtego dnia i nie mogli się już od niego uwolnić. Chociaż ojciec Karli nigdy nie widział córki na oczy, to jednak przyleciał aż z Kalifornii. Mój kolega Lou Hendricks stwierdził, że spośród wszystkich rodziców on właśnie miał najwięcej szczęścia, aczkolwiek niektórzy uznali tę uwagę za zbyt cyniczną.

Aarona McNeala nie było już wtedy w mieście, przyszli natomiast Franklin, Paula i Sadie. Franklin stał pośrodku, trzymając je za ręce. Doskonale prezentował się w ciemnym tweedowym garniturze. Paula włożyła ciemną sukienkę, jej czarne włosy lśniły jak polakierowane. Chociaż był dopiero kwiecień, zrobiło się już całkiem ciepło i nawet zakwitły żonkile. Zjawił się również Ryan Tavich, lecz i on wkrótce potem miał opuścić nasze miasto. Podobno osiedlił się gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu.

Wspomnienia, a raczej te z nich, których chętnie by się pozbyli, skłoniły wiele osób do wyjazdu z Aurelius. Doktor Malloy wraz z rodziną wrócił do Rochester. Fakt, że strzelił w plecy własnemu bratu, w mieście takim jak nasze miał zbyt duży ciężar gatunkowy. Franklin opowiedział ludziom, jak Donald oskarżał Allena, zupełnie jakby to doktor Malloy, a nie Donald, porywał i mordował dziewczynki. Dla niektórych spośród nas sprawa wciąż jeszcze była zagadkowa. Nie mieli zaufania do doktora Malloya. Jak w takiej sytuacji miał leczyć ludzi? Także Paul Leimbach nadal był tematem wielu rozmów. Znaleźli się nawet tacy, którzy twierdzili, że

Mike Shiller nie zrobił nic złego, demolując dom Leimbacha, że w tamtych okolicznościach postąpił tak, jak należało. Często wybuchały sprzeczki na ten temat, padały ostre słowa. Podejrzenia nie znikły, po prostu wpełzły z powrotem do kryjówek, z których jakiś czas temu się wyłoniły. Miałem wrażenie, że pozostaną z nami już na zawsze, że już zawsze będziemy na siebie patrzeć przez ich pryzmat. Właśnie dlatego słowa Berniego, że uporaliśmy się z zagrożeniem, były wierutnym kłamstwem. Ten ogromny obelisk miał chyba również za zadanie wtłoczyć podejrzenia pod ziemię i zatrzymać je tam na zawsze - niestety, to się nie udało.

Wyobraźcie sobie Ryana opuszczającego nasze miasto. Sądzę, że w ten sposób chciał ostatecznie zerwać łączącą go z nami nić, zapomnieć o Janice, zapomnieć o zamordowanych dziewczynkach. Nie uda mu się. Został trafiony w ramię. Ilekroć nim poruszy, wszystko będzie stawało mu przed oczami. Nigdy nie uwolni się od Aurelius. Będzie towarzyszyło mu wszędzie. To samo dotyczy Aarona. Tu jest grób jego matki, tu mieszka jego siostra. Czy kiedy siądzie przy stole, zapatrzy się w okno i pozwoli swoim myślom na swobodną wędrówkę, czy nie zawiodą go właśnie tutaj? Nawet jeśli z całego serca nienawidzi tego miejsca? Czy ktokolwiek zdoła uwolnić się od wspomnień? Jak często Franklin będzie się budził zlany zimnym potem, słysząc w ciemności piskliwy głos Donalda opowiadającego o tych niewyobrażalnych okropieństwach? Jestem pewien, że zdarza się to nie raz. Jestem pewien, że przysuwa się wtedy do Pauli i szuka schronienia w jej ramionach.

Dla mnie najlepszym środkiem zaradczym jest praca. Mogę jej w pełni ufać. Ustalony rozkład zajęć, wielokrotnie powtarzane działania służące, jak sobie wyobrażam, ogólnemu dobru. Poświęcam uczniom więcej czasu niż do tej pory. Niekiedy odnoszę wrażenie, że teraz wyrażam się do żadnego z nich, niemniej często myślę o Donaldzie snującym

przed Franklinem swoją opowieść w głębi lasu. Gdybyśmy mogli zajrzeć w serca wszystkich ludzi, jakie odkrylibyśmy tam pragnienia? I jakie pragnienia kryją się pod osłoną mojej białej koszuli i krawatu, tych cywilizowanych pozorów ogłady?

Donald Malloy wiele lat nosił w sobie swoje pragnienia. Kto wie, jak ciężkie toczył ze sobą boje? Widział je przecież na swojej twarzy za każdym razem, kiedy spoglądał w lustro. Później dowiedzieliśmy się, że gdy mieszkał w Buffalo, napastował dziewczynkę w swojej aptece. Wziął ją za rękę i wodził nią po swych genitaliach. Opowiedziała o tym rodzicom, ci zaś zażądali od niego wyjaśnień. Błagał ich, żeby nikomu o tym nie mówili. Obiecał, że zwróci się do lekarza. Zobowiązał się do opuszczenia miasta. Prosił, by nie niszczyli jego kariery. Nikt nie wiedział o tym zdarzeniu, nawet jego brat. Rodzice dziewczynki milczeli aż do chwili, kiedy o Donaldzie napisano w gazetach. Ilu jeszcze dziewcząt dotykał? Jakiej okrutnej rozkoszy zaznał podczas tych doświadczeń? Jakiej okrutnej rozkoszy zaznał, zabijając Janice McNeal?

Jak bardzo ta rozkosz nim zawładnęła i jak bardzo jej pożądał, skoro zdecydował się ryzykować wciąż na nowo! Czy to możliwe, że podobne żądze są obecne w nas wszystkich, u zdecydowanej większości jednak śpią twardym snem? Kiedy pomagam dziesięcioklasiście podczas lekcji biologii i czuję tuż obok mnie ciepło jego ciała, czy nie jest to właśnie wołanie tej rozkoszy? Rzecz jasna, nie reaguję. Odsuwam się lub każę chłopcu wracać na miejsce, niekiedy jednakże nawiedzają mnie fantazje. W snach robię rzeczy, których nie powinienem robić. Mimo to jestem dobrym człowiekiem. Cieszę się powszechnym szacunkiem. Nigdy nie zrobiłbym czegoś odrażającego. Czy jednak lęk nie jest jednym z powodów, dla których żyję w samotności? Co wy robicie ze swoimi lękami? I czy czasem śnicie?

Myślę o sąsiadach. Patrzą na mężczyzn oglądających się na ulicy za dziewczętami. Widzę, jak mężczyźni i kobiety obserwują młodych

sportowców na zawodach. Jakie pragnienia ludzie ci kryją w swoich wnętrzach? Czy słusznie udajemy, że nic nam o takich pragnieniach nie wiadomo?

To miejsce, w którym Donald czcił czystość... Z pewnością nie tylko ja próbuję go sobie wyobrazić na jego strychu, w jego świątyni. Czy inni też się zastanawiają, jak to jest, kiedy człowiek całkowicie podporządkuje się swoim pragnieniom?

Wszystkie trzy dziewczynki zostały pochowane na początku tygodnia, w którym wypadło Święto Dziękczynienia. Rodziny zdecydowały się na wspólną ceremonię w kościele Świętej Marii. W nawie głównej ustawiono trzy identyczne trumny. Kościół, rzecz jasna, był wypełniony po brzegi. Zjawily się wozy reporterskie i dziennikarze z całego kraju. Franklin powiedział, że wyglądaliśmy jak w zoo. Na Homeland Cemetery także udał się tłum. Nie wygłaszano żadnych mów, uroczystość została skrócona do minimum. Górę kwiatów zawieziono z kościoła do szpitala i domu starców. Część z pewnością od razu trafiła na śmietnik.

Houari Chihani również doczekał się nabożeństwa żałobnego. Tego rodzaju uroczystości naturalnie odbywają się wyłącznie dla żyjących, jakie znaczenie bowiem mogą mieć dla martwych? Aaron i Harriet zorganizowali ją na początku grudnia w kościele unitariańskim - przypuszczam, iż to właśnie wyznanie byłoby najmniej odstręczające dla Chihaniego. Istotnie, pomieszczenie przypominało raczej jakąś salę posiedzeń. Tropiciele Prawdy stawili się w komplecie, uczniowie zaś ufundowali tablicę, którą wmurowano w ścianę korytarza wydziału historycznego Aurelius College. Na tabliczce znajdowały się nazwisko Chihaniego, daty, oraz jedno słowo: *Nauczyciel*. Przypuszczam, iż bardzo szybko zapomniano, co owa tablica ma upamiętniać.

Donalda Malloya również pochowano na Homeland Cemetery. Jego nagrobek ledwo wystawał z ziemi. Wyrzyto na nim: *D. Malloy* i daty. Niektórzy nie chcieli, by spoczął na naszym cmentarzu, jakby sama jego obecność miała zbezczeszczyć groby ich bliskich. Wiem, że rozważano tę

sprawę na jednym z posiedzeń rady miejskiej, jednak było to już po pogrzebie, a rozkopywanie grobu i przenoszenie zwłok wywołałoby jedynie niepotrzebną sensację.

W pogrzebie Donalda uczestniczyli doktor Malloy, Ryan Tavich i kapitan Percy. I nikt więcej. Ma się rozumieć, doktor Malloy starał się zachować jak największą dyskrecję. Ryan ustalił szczegóły z Ralphem Belmontem, przedsiębiorcą pogrzebowym, z którym grywał - a raczej: z którym niegdyś grywał w koszykówkę. Większość obywateli Aurelius dowiedziała się o pogrzebie już po fakcie. Odbył się dopiero w grudniu, dość długo po pogrzebie dziewcząt, w zimny i słotny dzień. Nikt nie życzył sobie pojawienia się kamer telewizyjnych i dziennikarzy. Mieliśmy już dosyć sławy, tym bardziej że pogrzebowi towarzyszyła mała tajemnica, a raczej zagadka. Dla nikogo nie było sekretem, że ciało Donalda Malloya przechowywano w domu pogrzebowym Belmonta. Odpowiednio przygotowane, spoczywało w trumnie, obok zaś leżała odrąbana ręka. Zamknięta trumna stała w chłodni, czy jak nazywa się to miejsce w tych przybytkach. Duże dwuskrzydłowe drzwi miały takie same chromowane uchwyty jak lodówki w dużych restauracjach.

Kiedy wreszcie została wyznaczona data pogrzebu, Ralph Belmont otworzył trumnę i stwierdził, że ręka znikła. W pierwszej chwili pomyślał, że może położono ją w innym miejscu, i dokładnie przeszukał trumnę, lecz bez rezultatu. Ktoś musiał ją ukraść. Powiedział o tym Ryanowi - byli przecież przyjaciółmi - nie poinformował jednak doktora Malloya. Podejrzał, że doktor nie zechce oglądać zwłok brata, i się pomylił. Wydaje mi się, że doktor poszedł na pogrzeb wyłącznie z poczucia obowiązku albo po to, by się upewnić, że jego brat rzeczywiście spoczął pod metrową warstwą ziemi w najrzadziej uczęszczanym zakątku cmentarza.

Ryan próbował ustalić, co stało się z ręką, ale miał ograniczone pole manewru. Nie chciał ujawnić faktu jej zaginięcia, zdawał bowiem sobie sprawę, że znaleźliby się ludzie, którzy twierdziliby, że ręka nie została skradziona, lecz sama wypełzła z trumny i uciekła, posługując się palcami

jak odnóżami. Ludzie są czasem skłonni uwierzyć w największe bzdury. Ryan popytał więc trochę tu i tam, a stwierdziwszy, że nie jest w stanie się niczego dowiedzieć, po prostu zamknął sprawę. Najdziwniejsze było to, że Madame Respighi oznajmiła na krótko przed opuszczeniem Aurelius, że Donald został pochowany bez ręki, na szczęście jednak nikt nie potraktował jej poważnie. Utrzymywała, jakoby ręka pływała w słoju stojącym obok innych słoików. Wyśmiano ją, a mimo to twardo obstawała przy swoim. Wkrótce potem wsiadła do autobusu i odjechała do Utiki, a może do Syracuse.

Kradzież ręki nie nastęczała żadnych trudności. Tylne wejście do domu pogrzebowego nigdy nie było zamykane na klucz, podobnie jak chłodnia. Czwartkowe wieczory Ralph Belmont spędzał zawsze z Franklinem i Ryanem, chociaż obecnie, ze względu na ranę Ryana, nie grali już w koszykówkę. Wieko trumny nie zostało umocowane na stałe. Żona Belmonta zazwyczaj przebywała w odległej części mieszkalnej, a poza tym, kto i po co miały pilnować kostnicy przed złodziejami?

Po śmierci twarz Donalda była tak samo pozbawiona wyrazu jak tłuste kolano. Rzadkie włosy przylegały gładko do czaszki. Nie wyglądał na pogrążonego we śnie. Nie wyglądał, jakby na cokolwiek czekał. Jego ciało było po prostu pustą skorupą. Znikły wszystkie złe myśli, świątynia martwych dziewcząt została wymazana z jego mózgu. Wystarczyło lekko odsunąć wieko, wyjąć rękę, włożyć ją do foliowej torebki i zasunąć wieko z powrotem. Rzecz jasna miałem latarkę.

Kolekcja marynowanych dziwów stoi teraz nad moim biurkiem. Żaby, szczur, wąż, krowie gałki oczne, nienarodzona świnia, ludzki płód z zamkniętymi oczami. Już nie pokazuję ich uczniom. Na swój ponury sposób dotrzymują mi towarzystwa. Zastanawiam się, co widziały te krowie oczy i jakim człowiekiem stałby się płód, gdyby dane mu było się urodzić. Do mojej kolekcji dołączyła ręka Donalda Malloya, ciemniejąca

powoli w słoju z formaliną. Stoi w samym środku, na honorowym miejscu, między świnią i ludzkim płodem. Przypomina mi o tym, co zawsze towarzyszy ludziom, o pragnieniach, które skrywamy w naszym wnętrzu. Często podnoszę wzrok na zamkniętą w słoju rękę Donalda. Traktuję ją jak mojego prywatnego nauczyciela, jak całą prywatną akademię. Wiele się od niej uczę. Z prawej ręki Donalda i całej reszty nic już nie zostało, lewa natomiast jest bezpieczna. Co prawda skóra się pomarszczyła, widać pozrywane ścięgna, mięśnie, żyły i oczywiście kości. Niekiedy żał mi, że nie mogę zademonstrować jej uczniom. Jej widok wszystko wyjaśnia. Za każdym razem, kiedy próbuję sobie wyobrazić, co czuły te palce, moim ciałem wstrząsa dreszcz przerażenia: smukłe, delikatne szyje dziewcząt.

Donald Malloy bardzo dbał o swoje ręce. Zwróciłem na to uwagę już dawno temu, kiedy obsługiwał mnie w aptece. Były różowe, wyszorowane, z równiutko obciętymi paznokciami i powycinanymi skórkami. Czasem używał nawet bezbarwnego lakieru do paznokci. Teraz palce są skierowane w dół, nadgarstek zaś ku górze. Nieliczne włoski mają rudawą barwę. Palce są lekko podkulone, kostki spuchły w formalinie. Kciuk jest skierowany w bok, jakby zamierzał się oddalić. Połyskuje kość nadgarstka. I te paznokcie... jak starannie je obcięto.